

**Nancy Farmer**

# **Dziki Ogień**

*The Land of the Silver Apples*

Tłumaczenie:

Jacek Drewnowski



# SPIS POSTACI

## LUDZIE (SASI)

Jack - *ma trzynaście lat, uczeń barda*

Lucy - *siostra Jacka, ma siedem lat*

Matka - *Alditha, matka Jacka i Lucy, wieszczka*

Ojciec - *Giles Kuternoga, ojciec Jacka i Lucy*

Bard - *druid z Irlandii, zwany także Smoczym Językiem*

Pega - *niewolnica, ma czternaście lat*

Brat Aiden - *mnich ze Świętej Wyspy*

Ojciec Swein - *opat Klasztoru Świętego Filiana*

Brutus - *niewolnik w Klasztorze Świętego Filiana*

Ojciec Severus - *więzień elfów*

## LUDZIE (WIKINGOWIE)

Thorgil Córka Olafa - *dawniej należała do grupy berserkerów, ma trzynaście lat*

Olaf Jednobrewy - *sławny wojownik i przybrany ojciec Thorgil; nie żyje*

Skakki - *syn Olafa, towarzysz Thorgil*

Runa - *skald*

Eryk Zapalczywy - *towarzysz Thorgil*

Eryk Pięknolicy - *towarzysz Thorgil*

Heinrich Potworny - *siostrzeniec króla Ivara bez Kości*

## PIKTOWIE

Brude - *przywódca Pradawnych*

## HOBGOBLINY

Bugabu - *przywódca hobgoblinów*

Nemesis - *zastępca Bugabu*

Mamcia - *matka Bugabu*

Pan i Pani Blewit - *przybrani rodzice Hazel*

## ELFY

Partholis - *królowa Krainy Elfów*

Partholon - *małżonek Partholis*

Ethne - *elfia dama, córka Partholis i nieznanego człowieka*

Gowrie - *elfi pan*

Nimue - *Pani Jeziora, wodna elfka*

## INNI

Król Yffi - *władca Din Guardi i Bebbas Town, półkelpie*

Księżycowy Człowiek - *dawny bóg, wygnany na Księżyc*

Pan Lasu - *dawny bóg, władca świata zieleni*

Żywopłot - *wcielenie Pana Lasu*

Pukacze - *wyglądają jak twój najgorszy koszmar*

Gnomy - *zwane także landvcettir, duchy ziemi; lepiej z nimi nie zadzierać*

## Piosenka Aengusa Wędrowca

*Schowałem się w cień leszczyny,  
Bo mi ogień palił głowę,  
Witkę z kory ostrugałem,  
Wbiłem na haczyk jagodę.*

*Kiedy biała ćma pomyka,  
I ćma gwiazd niebo zaciąga,  
Na jagodę ze strumyka  
Srebrzystego łapię pstrąga.*

*Położyłem go na ziemi,  
Żeby rozdmuchać ognisko,  
Gdy coś smyrnęło po ziemi  
I ktoś mnie zawołał z bliska.*

*Mój pstrąg już dziewczę przeźrocze  
Z kwiatem jabłoni w warkoczu.  
Zawołała mnie, uciekła,  
W świt się blady przeoblekła.*

*Choć posiwałem wśród drogi  
Po nizinach, po wyżynach,  
Dowiem się, gdzie mi uciekła,  
Ucałuję i przytrzymam.*

*Pójdę przez pstrokate trawy  
Zrywać, nim się czas dokończy,  
Srebrne jabłka księżycowe  
I złociste jabłka słońca.*

William Butler Yeats,  
przekład: Ewa Życieńska

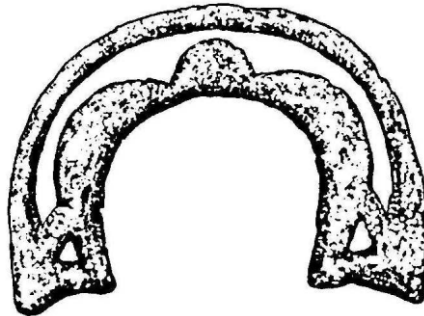
Dla Ruth Farmer

1916-2005

Niech siła życiowa trzyma cię w swojej dłoni

# Rozdział 1

## Naszyjnik



Był środek nocy, gdy zapiał kogut. Słońce już dawno zniknęło w kłębach chmur nad górami na zachodzie. Po wietrze wałącym w ściany domu Jack poznał, że przez Morze Północne przetacza się sztorm. Niebo z pewnością było ciemne niczym kopalnia ołowiu, a przysypanej śniegiem ziemi w ogóle nie było widać. Słońce, gdy już wszędzie - o ile wszędzie - zakryte będzie maską mroku.

Kogut zapiał znowu. Jack usłyszał, jak ptak drapie pazurami o dno koszyka, jakby się zastanawiał, gdzie się podziało jego miękkie gniazdo. I gdzie schowali się jego ciepli towarzysze. Kogut był sam w swojej maleńkiej zagrodzie.

- To tylko na jakiś czas - powiedział Jack do ptaka, który zagadał, po czym się uspokoił. Później znowu zapieje, i jeszcze raz, i jeszcze, aż wszędzie słońce. Z kogutami tak już było. Hałasowały przez całą noc, by mieć pewność, że trafią na właściwy moment.

Jack odrzucił stertę owczych skór, którymi był przykryty. Węgla w palenisku wciąż się jarzyły. To już nie potrwa długo, pomyślał chłopak, czując ukłucie strachu. Dziś przypadało przesilenie zimowe, najdłuższa noc w roku, i bard nakazał zgasić wszystkie ognie w wiosce. Ostatni rok był nadzwyczaj niebezpieczny. Pojawili się berserkerzy zza wody i tylko czysty przypadek sprawił, że nie doszło do rzezi wieśniaków.

Ludzie Północy zniszczyli Świętą Wyspę. Ci, którzy nie utonęli, nie spłonęli ani nie zostali zaszlachtowani, trafili do niewoli.

Bard powiedział, że to czas nowego początku. Ani jedna iskra ognia nie miała pozostać w tym niewielkim skupisku gospodarstw, które dla Jacka było domem. Należało rozpalić nowy

płomień, czerpiąc go z ziemi. Bard nazywał go „dzikim ogniem”. Bez tego ognia zło z przeszłości wkradłoby się w nowy rok.

Jeśli płomień nie rozbłyśnie, jeśli ziemia odmówi swojego ognia, lodowe olbrzymy będą wiedziały, że nadszedł ich czas. Wyruszą ze swojej mroźnej twierdzy na dalekiej północy. Wielki zimowy wilk pożre słońce i światło już nigdy nie powróci.

Oczywiście, to tylko stare wierzenia, pomyślał Jack, wkładając buty z cielecej skóry. Teraz, gdy w wiosce znalazł się brat Aiden, mieszkańcy wiedzieli, że stare wierzenia należy odrzucić. Ten drobny mnich siadał przed swoją chatą w kształcie ula i przemawiał do każdego, kto tylko zechciał go słuchać. Łagodnie upominał ludzi za ich błędy i opowiadał o Bożym miłosierdziu. Był wyśmienitym gawędziarzem, niemal równie dobrym, jak bard. Chętnie go słuchano.

A jednak wśród ciemności najdłuższej nocy w roku trudno było w to miłosierdzie wierzyć. Bóg nie obronił Świętej Wyspy. Zimowy wilk się zbliżał. Słysząc było jego głos, niesiony wiatrem, w powietrzu rozbrzmiewały krzyki lodowych olbrzymów. Bez wątplenia rozsądniej było stosować się do starych zwyczajów.

Jack wspiął się po drabinie na strych.

- Tato, mamó! - zawołał. - Lucy!

- Nie śpimy - powiedział ojciec. Przyszykował się już do długiego marszu. Matka też była gotowa, tylko Lucy z uporem trzymała swoją koldrę.

- Zostawcie mnie w spokoju! - zakwiliła.

- To dzień świętej Łucji. - Ojciec nie dawał za wygraną. - Będiesz najważniejsza w całej wiosce.

- I tak jestem najważniejsza w całej wiosce.

- Też coś! - fuknęła matka. - Ważniejsza może niż bard, brat Aiden albo wódz? Przydałaby ci się lekcja pokory.

- Ach, ale to przecież zaginiona księżniczka - powiedział z czułością mężczyzna. - Będzie wyglądała tak pięknie w swojej nowej sukience.

- Prawda? - Lucy raczyła się uśmiechnąć.

Jack zszedł po drabinie. Matka nigdy nie miała szans w podobnych sporach. Próbowwała nauczyć Lucy dobrych manier, ale tata zawsze udaremniał jej starania.

Giles Kuternoga uważał córkę za najcudowniejszą rzecz, jaka mu się przytrafiła w życiu. Wiedział, że do końca życia będzie chromy. Zarówno on, jak i jego żona, Alditha, nie wyglądali zbyt pięknie, mieli raczej mocną budowę i twarze ogorzałe od pracy w polu. Nikt nie wzięłby ich za szlachetnie urodzonych. Jack wiedział, że gdy dorośnie, stanie się taki jak



oni. Ale włosy Lucy były złote niczym popołudniowe słońce, a oczy miały barwę wieczornego nieba. Poruszała się z taką gracją, że zdawała się niemal nie dotykać ziemi. Kuśtykający Giles siłą rzeczy podziwiał jej wdzięk.

Jack pogrzebał w palenisku, by wydobyć zeń resztkę ciepła. Musiał przyznać, że przez ostatni rok Lucy wiele przeszła. Na Północy widziała śmierć i doświadczyła losu niewolnicy. Jego samego spotkał podobnie srogi los, ale on miał trzynaście lat, a ona tylko siedem. Patrzył więc przez palce na irytujące zachowania siostry.

Podgrzał cydr i owsiane ciastka na kamieniach przy ogniu. Matka ubierała Lucy w wytworny strój. Gdy czesała jej włosy, do uszu Jacka dobiegły narzekania małej. Ojciec zszedł na dół, by napić się cydru.

Kogut znowu zapiał. Zarówno Jack, jak i ojciec zamarli. Dawniej powiadano, że w gałęziach Yggdrasila żyje złoty kogut, który pieje w najciemniejszą noc w roku. Jeśli odpowiedział mu czarny kogut, mieszkający pod korzeniami Wielkiego Drzewa, oznaczało to, że nadszedł koniec świata.

Żadne pianie nie poniosło się po ziemi ani nie wstrząsnęło nieboskłonem. Tylko północny wiatr grzmocił w ściany domu. Chłopiec i mężczyzna odprężyli się i dalej popijali cydr.

- Szkoda, że nie mamy zwierciadła - rozległ się rozkapryszony głos Lucy. - Nie rozumiem, czemu nie możemy go kupić od piktyjskich kupców. Mamy przecież srebro, które przyniósł Jack.

- To na czarną godzinę - odparła cierpliwie matka.

- Oj, phi! Chcę się zobaczyć! Na pewno jestem piękna.

- Może być - stwierdziła kobieta w odpowiedzi.

Tak naprawdę Jack miał więcej srebra, niż sądzili rodzice. Bard poradził mu zakopać połowę pod podłogą starego rzymskiego domu, w którym mieszkał.

- Twojej matce nie brak rozsądku - powiedział wtedy starzec - ale Giles Kuternoga, wybacz, chłopcze, ma mózg nie większy od mózgu sowy.

Ojciec wydał część srebra, które przypadło mu w udziale, na ołtarz brata Aideny, na osiołka dla Lucy oraz owce, gołębie i gęsi. Reszta czekała na ten wspaniały dzień, gdy Lucy poślubi rycerza albo nawet (ambicje Gilesy sięgały jeszcze wyżej) księcia. W jaki sposób Lucy miałyby poznać księcia w małej wiosce, położonej z dala od ważnych traktów, tego nie wiedział nikt.

Dziewczynka zeszła po drabinie i wykonała obrót, by zaprezentować strój. Miała na sobie długą, białą sukienkę z najlepszej wełny. Matka sama utkała żółtą szarfę i namoczyła ją w wodzie, zabarwionej pyłkiem z pszczelich uli. Samą jednak sukienkę sprowadzono z Edwin's

Town na dalekiej północy. Matka nie była w stanie utkać takiego materiału, z jej owiec bowiem dało się pozyskać tylko szorstką, szarawą wełnę.

Na złotych włosach Lucy spoczywała zielona korona z cisowych gałązek. Jack uważał, że jest równie piękna, jak prawdziwa korona, i tylko on znał jej prawdziwy sens. Bard powiedział, że cis strzeże przejścia między tym światem a następnym. W najdłuższą noc w roku przejście to stało otworem. Lucy miała za zadanie zamknąć je podczas ceremonii dzikiego ognia i potrzebowała ochrony przed tym, co znajdowało się po drugiej stronie.

- Wiem, co by pasowało do tej sukienki. Mój srebrny naszyjnik - powiedziała Lucy.

- Nie możesz nosić niczego z metalu - odparła ostro matka. - Bard powiedział, że to zakazane.

- Bard to poganin - stwierdziła Lucy. Dopiero niedawno nauczyła się tego słowa.

- To mędrzec i nie pozwalam ci na taki brak szacunku!

- Poganin, poganin, poganin! - zaśpiewała dziewczynka tonem, który doprowadzał mamę do szału. - Diabły z długimi pazurami zaciągną go prosto do Piekła.

- Włóż płaszcz, niegrzeczne dziecko. Musimy iść.

Lucy przemknęła obok matki i złapała ojca za rękę.

- Pozwolisz mi włożyć naszyjnik, tatku? Proszę! Proszę-proszę-proszę-proszę-proszę! - Przechyliła głowę niczym jaskółka, a Jacka ścisnęło za serce. Była taka cudowna. Te złote włosy, ten uśmiech.

- Nie możesz nosić naszyjnika - powiedział Jack, a kąciki uśmiechniętych ust siostry natychmiast opadły w dół.

- Jest mój! - warknęła.

- Jeszcze nie - odparł Jack. - Dano mi go na przechowanie. Sam postanowię, kiedy go dostaniesz.

- Ty złodzieju!

- Lucy! - wykrzyknęła matka.

- A co to może zaszkodzić, Alditho? - spytał ojciec, włączając się w spór. Otoczył małą ramieniem, a ona potarła policzkiem o jego płaszcz.

- Brat Aiden mówi, że to dzień świętej Łucji. Możemy oddać świętej hołd, ubierając jej imienniczkę w to, co mamy najlepszego.

- Giles... - zaczęła matka.

- Cicho. Niech włoży ten naszyjnik.

- To niebezpieczne - powiedział Jack. - Bard mówi, że metal może zatruć dziki ogień, wszak nie znamy jego wcześniejszej historii. Jeśli używano go jako broni albo w innych złych

celach, wypacza siłę życiową.

Ojciec traktował Jacka z większym szacunkiem po jego powrocie z krainy Ludzi Północy, ale nie zamierzał pozwolić, by syn go pouczał.

- To mój dom. Ja tu rządę - oznajmił. Ruszył do skrzyni z kosztownościami, a Lucy tanecznym krokiem podążyła za nim.

Mężczyzna zdjął z rzemienia żelazny klucz, który nosił na szyi, po czym otworzył skrzynię. W środku znajdowała się część przedmiotów, które matka wniosła w posagu: zwoje tkanin, haftowane serwety i trochę biżuterii. Pod spodem leżał stos srebrnych monet, a także jedna złota moneta z wizerunkiem rzymskiego króla, znaleziona przez ojca w ogrodzie. Był też owinięty w kawałek materiału srebrny naszyjnik w kształcie liści.

Lśnił blaskiem, który w dziwny sposób przykuwał uwagę. Jack rozumiał, czemu Lucy tak go pragnie. Naszyjnik, zrabowany przez Ludzi Północy podczas najazdu, bardzo podobał się półtrollce Frith, lecz trafił do wojowniczej dziewczyny Thorgil, córki wojny. Ta dosłownie się w nim zakochała, co było dość niezwykle, jako że gardziła kobiecymi słabostkami, takimi jak biżuteria czy kąpiel. Później Thorgil, która ceniła cierpienie bardziej nawet od srebra, oddała ukochany naszyjnik Lucy.

Od samego początku mała źle reagowała na prezent. Upierała się, że dostała go od Frith, która - jak twierdziła - traktowała ją jak księżniczkę. I niemal wpadła w histerię, gdy Jack przypomniał jej prawdę: zła półtrollka trzymała dziewczynkę w klatce i zamierzała złożyć ją w ofierze. W tej sytuacji Jack wziął naszyjnik na przechowanie.

- Oooch! - wykrzyknęła Lucy, wkładając go na szyję.

- Naprawdę musimy już iść - powiedział ojciec, zamykając skrzynię. Na drogę zapalił dwie rogowe lampy. Matka spakowała do podręcznego worka kilka cennych świec z pszczelego wosku. Jack polał palenisko wodą i w górę wzbily się kłęby dymu oraz pary. Pomieszczenie rozjaśniały tylko dwie plamki brązowego światła za rogowymi szybkami lamp.

- Dopilnuj, żeby na pewno zgasło - szepnęła matka. Chłopak rozgarnął węgle pogrzebaczem i wylał na nie jeszcze trochę wody, aż poczuł tylko słabnące ciepło kamieni.

Ojciec otworzył drzwi i do środka wdarł się podmuch zimnego wiatru. Kogut zagdakał, a po podłodze potoczył się kubek.

- Przestańcie się tak guzdrać! - powiedział Giles Kuternoga, jakby to Jack i mama odpowiadali za opóźnienie. Wszystko przysypane było śniegiem. Mdły blask lamp zapewniał widoczność tylko na parę metrów. Niebo zasnuły chmury.

Ojciec przyprowadził osiołka dla Lucy. Dzwonek był posłusznym, cierpliwym

czworonogiem, wybranym przez brata Aiden z uwagi na łagodne usposobienie, ale tej nocy trzeba go było wyciągać z zagrody siłą. Opierał się, ale ojciec plasnął go mocno ręką, po czym posadził córeczkę na grzbiecie. Osiołek drżał na całym ciele, a z jego chrap leciała para.

- Dobry Dzwonek - zagruchała Lucy, obejmując zwierzę za szyję. Dziewczynka miała na sobie grubą, wełnianą szatę z kapturem, która otulała także boki osła. Najwyraźniej zapewniała mu trochę ciepła, bo przestał się opierać i poczłapał za ojcem.

Jack szedł przodem z lampą. Był to powolny marsz, bo drogę pokrywał lód w miejscach, gdzie nie przysypał jej śnieg. Czasami zbaczali ze szlaku i chłopak musiał szukać słupków, które go wyznaczały. Raz zgubili drogę, o czym przekonali się dopiero wtedy, gdy Jack wpadł na drzewo.

Wiał wiatr i płatki śniegu tańczyły w powietrzu. Chłopiec usłyszał pianie koguta, ale nie był to złocisty ptak, siedzący na gałęziach Yggdrasila, lecz wojowniczy kogut Johna Grotnika, który straszył każdego, kto przechodził koło zagrody. Dotarli do rzędu zabudowań i skręcili przy domu kowala.

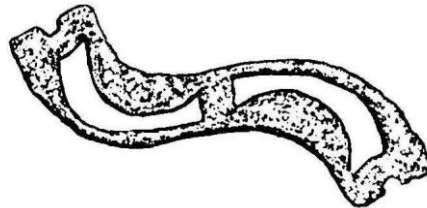
- Nie ma ognia - mruknęła matka. Piec, służący do rozgrzewania żelaznych sztab, był równie czarny, jak stojące pod dębem kowadło.

Jack poczuł zimno jeszcze bardziej dojmujące niż chłód zimowej nocy. Nigdy dotąd nie widział, by ten piec był wygaszony. Stanowił serce wioski, przy którym ludzie zbierali się, by porozmawiać i gdzie można było ogrzać stopy po długim marszu. Teraz ogień nie płonął. Wkrótce wszystkie ognie zgasną, włącznie z dwiema brązowymi plamkami światła, które nieśli.

Potem zostanie rozpalony nowy ogień, za pomocą drewna, czerpiącego swoją moc z ziemi. Dziki ogień musiał bowiem płonąć, by obracać koło roku. Tylko wtedy lodowe olbrzymy wrócą w swoje góry, a przejście między światami zostanie zamknięte.

## Rozdział 2

### Ceremonia Dzikiego Ognia



Wódz mieszkał w dużym domu, otoczonym zabudowaniami gospodarskimi - oborą, szopą i mleczarnią. Po jednej stronie znajdował się sad z jabłonią, teraz bezlistnymi i ciemnymi. Jack często odwiedzał wodza, odkąd został uczniem barda. Nosił za nim harfę na muzyczne wieczory i rozkoszował się miejscem przy ogniu. Wcześniej, gdy był tylko dzieckiem Gilesa Kuternogi, sadzono go w najzimniejszym kącie.

Dostał własną małą harfę, ale nie był jeszcze gotów do występów. Jego palcom, nawykłym raczej do wygrzebywania rzepy, brakowało wyćwiczonej lekkości mistrza. Bard mówił, żeby się nie przejmować. Umiejętności przychodzą z czasem, a poza tym Jack miał dobry głos, który bronił się sam.

Chłopiec zapukał laską w drzwi domu wodza i po chwili ojciec przepchnął się przez drzwi, trzymając w ramionach Lucy. Dom pełen był mężczyzn, którzy mieli uczestniczyć w uroczystości. Musieli mieć krzepę, bo rytuał był trudny i mógł trwać bardzo długo. Słabi, starzy, dzieci i większość kobiet, zostali w domach, skuleni pod owczymi skórami. Bard i brat Aiden siedzieli razem przy palenisku, w którym wciąż buzował ogień.

- Mogę zaprowadzić osła do twojej obory? - zwrócił się ojciec do wodza.

- Usiądź i odpocznij, Gilesie - polecił wódz. - Wiem, jak trudno było ci tu dojść. Pega! Rusz się i zajmij się tym zwierzęciem. - Z cienia w kącie wyskoczyła dziewczyna.

Jack widział ją już wcześniej. Była cichą istotą, uciekającą, gdy się na nią spojrzano, i nic dziwnego. Była brzydka jak noc. Jej uszy sterczały spomiędzy zwisających w strąkach włosów. Była też chuda jak szczapa, a jej szerokie usta przypominały żabią mordę. A co najsmutniejsze, od urodzenia nosiła znamie, które przesłaniało połowę twarzy. Mówiono, że jej matkę przestraszył nietoperz i był to ślad jego skrzydła.

Nikt nie wiedział, kim była matka Pegi. Dziewczyna w bardzo młodym wieku została sprzedana w niewolę, po czym przechodziła z rąk do rąk i z wioski do wioski, aż trafiła tutaj. Była od Jacka starsza, ale rosła bardzo powoli. Miała wzrost dziesięcioletki. Została kupiona jako mleczarka, ale wykonywała wszelkie polecenia każdej osoby, która je wydała.

Pega przepchnęła się przez tłum, a wyglądała przy tym zupełnie jak żaba, przedzierająca się przez wysoką trawę.

- Ja zaprowadzę osła - powiedział nagle Jack. Wziął lampę i wyruszył, zanim ktokolwiek zdołał go zatrzymać. Wiatr targał jego ubranie, gdy chłopak ciągnął Dzwonka przez śnieg. Wepchnął go do obory z bydłem wodza.

Głupek ze mnie, pomyślał, gdy wracał. Chciał odciągnąć barda na bok i powiedzieć mu o naszyjniku Lucy, ale uderzył go widok małej Pegi, z trudem podążającej do drzwi. Sam był kiedyś niewolnikiem. Wiedział, co to znaczy być całkowicie zdany na łaskę innych.

Powiem bardowi o naszyjniku, kiedy wrócę, postanowił. Wiedział, że ogień należy rozpaść bez krzemienia i żelaza, którym się zwykle posługiwali. Metal służył śmierci - albo, jak to ujął bard, „Nieżyciu”. Dzisiaj Nieżycie miało wyjątkową siłę. Jeśli zanieczyci nowy ogień, ceremonia pójdzie na marne.

- Szybko! - zawołał wódz, gdy Jack przecisnął się przez drzwi. Pośrodku pomieszczenia położono na krzyż dwie deski. Kilku mężczyzn przyciskało do podłoża dolną deskę, podczas gdy kilku innych trzymało końce górnej, przesuując ją w tę i z powrotem. Rozpalenie ognia za pomocą dwóch patyków było niezwykle trudne. A tutaj próbowano to zrobić przy użyciu desek.

Lucy zdjęła wełniany płaszcz, by pokazać swoją białą sukienkę i ufarbowaną w pszczelim pyłku szarfę, którą zrobiła dla niej mama. Jej cudowne, złote włosy lśniły w słabym blasku. W ręce trzymała jedną ze świec matki.

Jack nie widział naszyjnika. Dzięki Niebiosom! Widocznie matka go zdjęła, domyślił się, potem jednak dostrzegł błysk nad skrajem sukienki. Lucy ukryła naszyjnik pod spodem.

- Teraz! - krzyknął bard. Ktoś wyrwał Jackowi lampę i zdmuchnął płomyk. Wódz wylał ceber wody na palenisko. Węgla zasyczały i wzbija się z nich para. Jack poczuł, jak ciepło słabnie i pod drzwiami wdziera się chłód. Dom pograżył się w całkowitych ciemnościach.

Muszę coś zrobić, pomyślał gorączkowo chłopak. Nie chciał krzyżeć na całe gardło o naszyjniku. Ojciec by się na niego rozzłościł, a potem wszyscy pozostali rozzłościłoby się na ojca. Wybuchłaby bójka. Konflikt zatrułby uroczystość tak samo jak metal. Może srebro nic nie zmieni. Nie używa się go w broni, powiedział sobie Jack, choć naprawdę wiedział, że zło zanieczyszczało metal. Ten naszyjnik nosiła półtrolka Frith, a niewiele było istot równie

złych, jak ona.

Słyszał szur-szur-szur deski, przesuwanej w tę i z powrotem. Kiedy jedna grupa mężczyzn była zmęczona, ich miejsce zajmowali inni. Bard mówił, że uzyskanie płomienia trwa czasami kilka godzin. Odgłos ciągnął się w nieskończoność, aż w pewnej chwili Jack usłyszał, że ktoś upada.

- Zmienić strony! - wykrzyknął bard.

- Nareszcie - ktoś jęknął.

Mężczyźni wpadali na siebie w mroku, a John Grotnik zaklął, mówiąc, że w jego dłoniach jest więcej drzazg niż w deskach. Szur-szur-szur rozbrzmiało ponownie i Jack poczuł zapach żywicy. Wiedział, że drewno się rozgrzewa.

- Szybciej! - ryknął wódz.

Jeśli podejść do Lucy, będę mógł zabrać naszyjnik, nie wzniecając kłótni, pomyślał Jack. Gdy jednak przeciskał się przez pomieszczenie, za bardzo zbliżył się do pracujących. Czyjś łokieć walnął go prosto w brzuch i zapało mu dech.

- Przepraszam, kto by tam nie był - mruknął jakiś mężczyzna.

- Stoisz mi na nodze - warknął ktoś inny.

Jack oddalił się, trzymając się za brzuch. Stracił poczucie kierunku.

- Lucy! - zawołał.

- Jack? - odpowiedziała. A niech to! Była po drugiej stronie pomieszczenia. Pomylił się. Zaczął wracać i znowu wpadł na mężczyzn.

- Przepraszam - sapnął jeden z nich. Chłopak był pewien, że tym razem ma podbite oko.

- Zmiana stron! - zawołał bard. Teraz Jack czuł już woń dymu i mężczyźni nie potrzebowali dodatkowej zachęty, by pracować szybciej. Pojawiła się iskra, a potem jeszcze jedna i kolejna. Chłopak ujrzał nikły blask i parę rąk, kruszących suszoną hubę, powszechnie używaną na rozpałkę. Zalśnił płomień.

- Huraaaa! - krzyknęli wszyscy jednym głosem. Wódz zasypał ogień garściami słomy i na ścianach zatańczyły cienie. Lucy wystąpiła naprzód i zapaliła świecę.

- Stać! - ryknął bard. Zaskoczona dziewczynka upuściła świecę, która zgasła na podłodze.

- Co to jest? - wykrzyknął starzec. Rzadko pokazywał swoją prawdziwą moc, ale teraz tak właśnie było. Nic dziwnego, że Ludzie Północy zwali go Smoczym Językiem i dbali o to, by zawsze trzymać się z jego prawej strony.

- Nosisz metal! - stwierdził bard, wyciągając srebrny naszyjnik na światło. Lucy pisnęła.

- Nie rób jej krzywdy! - krzyknął ojciec.

- A ty wiedziałeś, że to ma - powiedział starzec.

- To na cześć świętej Łucji - zaproponował ojciec.

- Nie opowiadaj bredni! Płakała, więc jej go dałeś. Słaby głupcze! To ty powinieneś nią pokierować. Jest tylko dzieckiem. Naraziłeś całą wioskę na niebezpieczeństwo.

Giles Kuternoga skulił się, a Jack w tym momencie był całym sercem po jego stronie, choć wiedział, że ojciec nie ma racji. Wśród mężczyzn podniósł się szmer.

- Tyle pracy - mruknął kowal.

- Mam w rękach pełno drzazg... i po co? - odezwał się John Grotnik.

Lucy wybuchnęła płaczem i skryła twarz w sukience mamy.

- Nie będziemy się kłócić - powiedział z naciskiem bard. - Gniew nie służy sile życiowej, ani mój, ani wasz. Pracowaliśmy z sercem, a możliwe, że cała szkoda ograniczy się do tego dziecka. - Ojciec, wstrząśnięty, podniósł wzrok. Jack też był zdumiony, dotąd bowiem myślał tylko o zanieczyszczeniu dzikiego ognia, a nie krzywdzie, która mogłaby spotkać Lucy.

- Potrzebna nam inna dziewczynka, która przekaże ogień reszcie wioski - oznajmił bard.

- Piekarz ma córkę, a wdowa po garbarzu ma dwie - stwierdził wódz. - Ale trzeba czasu, by je tu sprowadzić.

- Nie trzeba. Mamy dziewczynkę tutaj - rozległ się łagodny głos brata Aiden. Do tej pory drobny mnich nie brał udziału w ceremonii. W końcu był to pogański rytuał. - Jest przecież Pega.

- Pega? - powtórzył wódz. - To tylko niewolnica.

- I wielka szkoda. To dobre dziecko o czystym sercu.

- Ale jest taka... taka...

- Brzydka - dokończył kowal, który miał dwie ładne, wyrosnięte córki.

- Nie wewnątrz - powiedział cicho brat Aiden.

- Ma rację - zgodził się bard. - Los nie obszedł się z Pegą łagodnie, ale jaśnieje w niej siła życiowa. Chodź, moja droga - powiedział, wyciągając rękę do przerażonej dziewczyny, którą mężczyźni wypychali naprzód. - Dzisiejszej nocy ocalisz wioskę.

- A co ze mną? - jęknęła Lucy, która wciąż trzymała się sukienki mamy. - To ja miałam być świętą Łucją.

- Óóóó - syknęła matka, próbując wziąć ją w ramiona.

Mała odepchnęła ją.

- Jestem najważniejsza w wiosce! Jestem piękna! Nie wyglądam jak ta paskudna niewolnica!

Ojciec podniósł ją w górę. Zdjął koronę z jej głowy i z zawstydzonym wyrazem twarzy podał ją bardowi. Odwiązał z jej sukienki żółtą szarfę. Próbowała go kopnąć.



- Przepraszam - powiedział zdławionym głosem.

- Tato! Nie możesz mu na to pozwolić! - wydarła się dziewczynka. - Jestem Lucy! Jestem zaginioną księżniczką!

Giles Kuternoga zaniósł rozwrzeszczaną córkę w odległy kraniec pomieszczenia. Jack usłyszał, że obiecuje jej wszelkie smakołyki, jeśli tylko będzie cicho, nie będzie płakać i mu wybaczy. Po twarzy mamy popłynęły łzy, nie opuściła jednak swojego miejsca przy ogniu. Nawet Jack był wstrząśnięty.

- Chodź, dziecko - powiedział bard do Pegi.

- A nie... zbijesz mnie? - spytała. Miała zaskakująco miły głos. Jack zdał sobie sprawę, że słyszy go pierwszy raz.

- Nigdy - obiecał starzec. - To ty masz wnieść światło w nowy rok. - Włożył jej na głowę cisową koronę i obwiązał jej wytartą sukienkę szarfą, zabarwioną zebranym przez pszczoły kolorem słońca. Pega podniosła wzrok i uśmiechnęła się. Jack stwierdził, że faktycznie ma paskudną twarz i żabie usta, ale trudno było nie dostrzec dobra w jej oczach.

Bard wziął świecę - nie tę, którą Lucy upuściła na podłogę - i podał ją dziewczynie.

- Co mam zrobić, proszę pana? - spytała.

- Zapal ją i wyciągnij przed siebie, by inni mogli wziąć od ciebie ogień.

Pega usłuchała i obecni mężczyźni zaczęli po kolei zapalać swoje lampy. Potem natychmiast wychodzili, by rozniecić paleniska i zanieść ogień tym, którzy byli zbyt chorzy lub starzy, by uczestniczyć w uroczystości. Na samym końcu swoje dwie lampy zapaliła mama.

- To dla was - zwróciła się do barda i brata Aideny, dając każdemu z nich po cztery cenne świece z pszczelego wosku.

Tymczasem Pega patrzyła na swoją świecę jak urzeczona.

- Nigdy takiej nie miałam - mruknęła. - Jaka miękka i gładka. To chyba najpiękniejsza rzecz, jaką w życiu widziałam.

- Możesz więc ją zatrzymać - powiedziała matka. - Na razie ją zgaś. Spełniła swoje zadanie. Kiedy będziesz jej potrzebowała, rozświetli ci noc.

- Nie spalę jej. Zachowam ją na zawsze - oświadczyła Pega. - A kiedy umrę, chcę być z nią pochowana.

- W dzisiejszą noc nie mów o śmierci! - upomniął ją bard. Dziewczyna wydawała się tak wstrząśnięta, że poklepał ją po ramieniu. - Spokojnie, tylko żartuję. Dzięki tobie zostawiliśmy śmierć za sobą. Teraz należy się weselić. - Delikatnie zdjął z jej głowy cisową koronę. Odwiązał żółtą szarfę i podał ją matce. Pega zdmuchnęła swoją świecę. Gdy światło zgasło,

wydawało się, że zgasało także coś w jej wnętrzu. W jej oczach znów pojawiło się dawne, przestraszone spojrzenie. Opuściła wzrok, by ukryć twarz.

- Co mam z tym zrobić? - Matka trąciła nogą leżącą na ziemi świecę Lucy.

- Ja się nią zajmę, Alditho - odparł bard. - Brat Aiden i ja będziemy spać tutaj. Zostajecie?

- Zamierzaliśmy, ale... - Matka skinęła głową kierunku ojca i Lucy, skulonych w odległym kącie pomieszczenia, a potem popatrzyła na naburmuszonego wodza, stojącego przy drzwiach. - Teraz moment nie wydaje się odpowiedni.

Jack wziął więc latarnię i poszedł po Dzwonka. Tym razem osioł jeszcze bardziej nie chciał się ruszyć, znalazłszy sobie ciepłe gniazdko między dwiema krowami. Jack ciągnął go i uderzał w zad, aż w końcu po długich zmaganiach doprowadził zwierzę pod drzwi domu wodza. Ojciec wyszedł z Lucy na rękach, ona jednak zaczęła krzyczeć i nie chciała go puścić. Zanim drzwi się zamknęły, Jack zobaczył wodza, barda i brata Aidena, którzy grzali sobie ręce przy ogniu. Pega trzymała pogrzebacz w ogniu, by podgrzać dla nich cydr.

Ruszyli. Ojciec niósł Lucy, a Jack ciągnął Dzwonka na sznurze. Za ciężkimi, śniegowymi chmurami rodziło się światło. Długa noc dobiegała końca i wracało słońce. Lodowe olbrzymy wycofywały się. Zimowy wilk, choć wciąż zdrowy, przez kolejne tygodnie będzie chudnąć.

Lucy poruszyła się w ramionach ojca i sennym głosem spytała:

- Będiesz pamiętał, co mi obiecałeś? Byłam taka grzeczna.

\* \* \*

Wszyscy zaspali. Jack zmusił się, by wypełznąć spomiędzy ciepłych owczych skór i zanieść koguta do reszty stadka. Kury tuliły się do siebie na słomie w swojej zagrodzie. Ledwie się poruszyły, gdy Jack otworzył drzwi. Niebo spowijały chmury, a płatki śniegu znowu zawirowały na wietrze. Z wygodki Jack ledwo widział własny dom.

Nastał dzień odpoczynku, choć na farmie nie było dni, w które nie robiło się zupełnie nic. Ojciec wił ze słomy ule na wiosnę. Na górze mocował patyki, by pszczoły miały na czym wieszać swoje plastry i przykrywał kosze ciasno dopasowanym wiekiem. Matka przędła.

Jack zaniósł siana Dzwonkowi, po czym nakarmił kury, gołębie i gęsi. Kiedyś mieli tylko kury, ale ojciec powiększył hodowlę dzięki srebru, które otrzymał od Jacka. Liczebność stada owiec wzrosła z dwudziestu do trzydziestu sztuk. Dobrze było mieć więcej zwierząt, ale oznaczało to także więcej pracy.

Jack przeszedł przez zaśnieżony ogród do małej szopy, krytej darnią. To tutaj matka trzymała zimowe ule. Większość trzeba było zniszczyć jesienią, bo nie mogły przetrwać mrozów, ale mama zawsze przechowywała pięć czy sześć pszczelich kolonii, które dawały

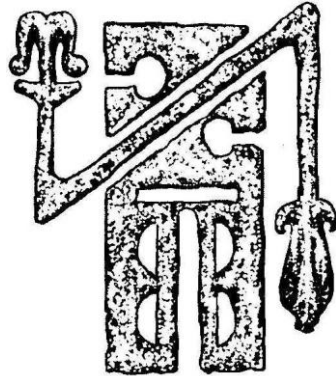
najwięcej miodu. Były to szczególne owady, nie przypominające małych, ciemnych leśnych pszczoł. Przybyły z Rzymu dawno temu, gdy tymi ziemiami władały rzymskie wojska. Wojska odeszły, zostawiając dom, w którym mieszkał teraz bard, drogę, wiodącą na północ przez las, i pszczoły.

Jack przeczołgał się przez drzwi szopy i przyłożył ucho do słomianej ścianki najbliższego ula. Usłyszał cichy, senny szum. Nie było odgłosów zdenerwowania ani cykania, oznaczającego, że pszczoły głodują. Ze słomy było leciutkie ciepło, jakby w środku spało jakieś zwierzę. Jack uśmiechnął się. Lubił pracę przy pszczołach. Chodził od ula do ula, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Bliżej wiosny nakarmi je chlebem, umoczonym w cydrze i miodzie, by dodać im sił.

Lucy spała do popołudnia i zeszła na dół w marnym nastroju. Matka dała jej śniadanie, a ojciec opowiedział bajkę, lecz dąsała się jeszcze przez parę godzin. Nikt nie wspominał o wydarzeniach ostatniej nocy.

# Rozdział 3

## Noworoczne życzenia



- Ładna pogoda - powiedział Giles Kuternoga, podnosząc wzrok na jasne, błękitne niebo. Słońce rozświetlało sople na dachu.

- Idealna - przyznał Jack. Podniósł brzozowy kij i skórzany bukłak z cydrem. Ojciec miał już swój kij. Ruszyli do wioski, a oblodzony grunt trząskał im pod stopami. Jack zobaczył wrony, zjeżdżające z małej, zaśnieżonej góry, zupełnie jak dzieci na sankach. Lądowały z plaśnięciem na dole, znów leciały na szczyt i zjeżdżały jeszcze raz. Waleczny kogut Johna Grotnika do utraty tchu gonił za jedną z wron, która raz po raz lądowała w pobliżu, by go sprowokować, po czym wzbijała się w powietrze, gdy rozszalały kogut rzucał się w jej stronę.

- Zbudźcie się! - wołał Jack do bezlistnych jabłoni, które mijali.

- Oj, tak. Niedługo się zbudzą - odezwał się ojciec. - Bicie dobrze robi i chłopcom, i drzewom.

Często wygłaszał podobne uwagi, ale Jack postanowił się nie przejmować. Powietrze było zbyt czyste, zbyt jasne, zbyt rześkie.

Przed domem wódza czekał hałaśliwy tłum mężczyzn i chłopców. Wszyscy trzymali brzozowe kije, a niektórzy chłopcy ganiłi się i symulowali walki na miecze. Colin, syn kowala, wyzwiał Jacka na pojedynek. Pomknęli przez podwórze, fechtując i krzycząc.

- Nędzny barbarzyńco, skróć cię o głowę! - wydarł się Colin.

- Prędzej twoja ozdobi moje drzwi! - wrzasnął Jack w odpowiedzi.

Colin był od niego cięższy, ale Jack nauczył się, jak walczyć, od Ludzi Północy.

Niebawem przeciwnik rzucił się do ucieczki, piszcząc:

- To nieuczciwe! To nieuczciwe!

Dźwięk myśliwskiego rogu wodza przywołał ich do porządku.

Wódz stał w drzwiach z bardem, który trzymał swoją laskę z czernionego jesionu. Tylko Jack wiedział, jaką moc kryje ten kawałek drewna i skąd pochodzi. Jego własna, mniejsza laska, zdobyta z wielkim wysiłkiem w Jotunheimie, spoczywała w domu barda. Chłopak mógł tam ćwiczyć w spokoju i nie musiał wysłuchiwać ojca, opowiadającego o demonach, które tylko czekały, by zaciągnąć złych czarowników prosto do Piekła.

Chłopak poczuł nagły przypływ radości na widok tego zgromadzenia. Miło było znaleźć się wśród ludzi, gdy słońce świeciło, a znad morza nadpływało świeże powietrze.

Bard uniósł dłoń, by uciszyć zebranych.

- Długa noc już za nami, a słońce zawróciło z wędrówki na południe - oznajmił dźwięcznym głosem. - Zmierza w naszą stronę, niosąc lato, ale będzie to długa i ciężka podróż. Nasza ziemia jest wciąż pogrążona w zimowym śnie. Musimy zbudzić sady do nowego życia.

Skinął głową do wodza, który szeroko rozłożył ręce i zawołał:

- Słyszeliście! Chodźmy zbudzić jabłonie! - Wszyscy rozbiegli się z radosnym krzykiem po sadzie wodza, uderzając w pnie brzoźowymi kijami.

- *Waes hael! Waes hael!* - krzyczeli mężczyźni i chłopcy po sasku. - Dobrego zdrowia! Dobrego zdrowia! - Bard szedł za nimi. Policzki poróżowiały mu z zimna, a jego długa broda i szaty były równie białe, jak śnieg. W gałęziach każdego uderzonego drzewa kładł kawałek chleba, namoczonego w cydrze - dla rudzików, które swoim śpiewem miały zbudzić jabłonie do życia.

Wieśniacy szli od gospodarstwa do gospodarstwa, dmuchając w drewniane piszczałki i na całe gardło śpiewając pieśni. Co jakiś czas przystawali, by napić się cydru, aż większość mężczyzn była pijana. Na końcu zawitali do domostwa Gilesa Kuternogi, które leżało najdalej od wioski.

- *Waes hael!* - wrzeszczeli.

Matka wyszła, by ich powitać.

- *Waes hael!* - wydarł się kowal, wymierzając niezbyt pewny cios pniu drzewa, ocieniającego stodołę. Donośnym głosem zaśpiewał:

*Jabłonko, jabłonko,*

*Obdarz nas jabłkami!*

*Bo cię posadzimy*

*Do góry nogami!*

- Niemądrze jest wygrażać siłom, których się nie rozumie - zauważył bard, kładąc w gałęziach nasączony cydrem chleb. Kowal beknął potężnie i zatoczył się. - Dobrze, że to już koniec - powiedział starzec do Jacka. - Można by się spodziewać, że przywykłem do pijaków, skoro tak długo żyłem wśród Ludzi Północy, ale nadal mnie drażnią. A jeśli o już mowa o drażliwych sprawach, musimy jeszcze porozmawiać o tym, co się zdarzyło podczas ceremonii dzikiego ognia.

Ojej, pomyślał Jack. Liczył, że uniknie kary.

- Tak, widzę, że rozumiesz, o czym mówię. Wiedziałeś równie dobrze, jak Giles, że Lucy ma ten naszyjnik.

- Próbowałem ją powstrzymać, ale ojciec...

- Masz trzynaście lat - przypomniał surowo bard. - Wśród Ludzi Północy uważano by cię za dorosłego.

- Ojciec tak nie myśli.

- A ja owszem. Walczyłeś u boku Olafa Jednobrewego. Byłeś w pałacu Królowej Gór, widziałeś Norny i piłeś ze Studni Mimira. Pokonałeś półtrolkę Frith, dokonałeś zatem czegoś, do czego nawet ja nie byłem zdolny. Ile ci jeszcze potrzeba, by dorosnąć?

Jack miał na końcu języka „bardzo wiele”, ale wiedział, że nie to bard chciał usłyszeć. Znalazł się między młotem a kowadłem - między dwoma mężczyznami, których zawsze słuchał. Teraz bard kazał mu dokonać wyboru.

- Przekazuję ci wiedzę, za którą liczni oddaliby cały majątek - ciągnął starzec. - Na świecie jest niewielu takich jak ja. Z każdym rokiem coraz mniej, a właśnie ciebie wybrałem na swojego następcę. To wielkie przeznaczenie.

Jack odczuwał wstyd, że zawiódł mentora. Bard w niego wierzył i wiele mu dał.

- To nie wszystko - dodał bard, patrząc na jasne, zaśnieżone pola i błękitne niebo. - Podczas ceremonii dzikiego ognia coś się wydarzyło i koło roku obróciło się w nowym kierunku. Czuję to w kościach ziemi. Nadciąga zmiana. Ogromna zmiana.

- Ludzie Północy nie wrócą, prawda? - Jack miał nadzieję, że w jego głosie nie słyhać przerażenia, które czuł w duchu.

- To nie będzie nic tak banalnego - odparł starzec. - Mówię o czymś, co obali bogów i na wiele wieków wywrze wpływ na wszystkie dziewięć światów.

Jack popatrzył na niego szeroko otwartymi oczami. To wszystko przez naszyjnik Lucy,

włożony w nieodpowiednim momencie?

- Muszę koniecznie oduczyc cię tej cieleją miny i otwartej buzi. To niepotrzebnie podkopuje twój autorytet - stwierdził bard.

- Ale kto mógłby obalić boga? - spytał Jack. Wiedział, ma się rozumieć, że jego własny Bóg jest wrogiem Odyna i Thora, i bardzo dobrze! Komu potrzebni tyrani, którzy każą wyznawcom puszczać wioski z dymem? W mniejszym stopniu cieszyła go świadomość, że chrześcijanie sprzeciwiają się wierzeniom jego matki, mocom, władającym polami i pszczołami. Niektórzy potępiali nawet bardów.

Wszystko to mieszało się w umyśle Jacka. Był dobrym chrześcijaninem, a przynajmniej próbował takim być, ale stał przecież przy pniu Yggdrasila i widział, jak wszystko się na nim opiera. Czemu chrześcijanie nie mieliby mieć swojej gałęzi, a Ludzie Północy - swojej?

- Zbyt pochopnie dobrałem słowa. Nikt tak naprawdę nie obala bogów. Po prostu zostają zapomniani i zasypiają.

- Właśnie to się zdarzyło podczas ceremonii dzikiego ognia?

- Niezupełnie. - Czubkiem laski bard narysował na ziemi jakiś wzór. Wyglądałby jak słońce, gdyby nie to, że każdy promień rozgałęział się, niczym wzrastające drzewo. Był to symbol runy ochronnej. - Bardzo drobne wydarzenie, jeśli nastąpi w odpowiednim czasie... jastrząb, który porwie taką kure, a nie inną, ziarno, które zakiełkuje tam, gdzie nie powinno... może mieć poważne skutki, których nie przewidzą nawet mędrcy. Kiedy Lucy zawiodła podczas ceremonii, a jej miejsce zajęła Pega, w sile życiowej nastąpiła głęboka przemiana. Jej znaczenie ma jakiś związek z waszą trójką, ale jeszcze go nie rozumiem. Proszę tylko o to, byś poważnie traktował swoje obowiązki.

- Nie sprawię zawodu - oświadczył Jack z zapalem.

- Oby to była prawda.

Starzec zmarszczył brwi, widząc, że kowal przewrócił się w śnieg. Ojciec klęczał przy nim w przypiływie pijackiego żalu.

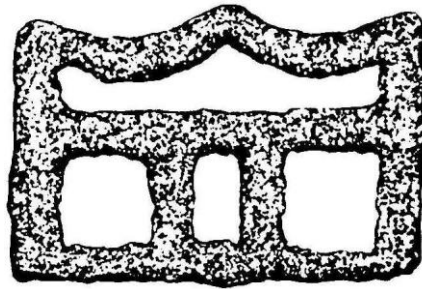
- Powiniennem być zostać mnichem - zawodził Giles Kuternoga, kołysząc się na kolanach w przód i w tył. - Bez pracy w polu, bez trosk. Jako mnich żyłbym szczęśliwie.

- No już, już - powiedział ze współczuciem kowal.

- Okryj tych durniów owczą skórą, zanim zamrzną na śmierć - poradził bard, po czym się oddalił, a jego szata tak szybko zlała się w jedno ze śniegiem, że wyglądało to, jakby zniknął.

## Rozdział 4

### Niewolnica



Matka i Jack przez cały dzień gotowali. Chłopak wyczyścił palenisko na zewnątrz i nappełnił je węglem, który następnie nakrył kamieniami i mokrą trawą. Na górze postawił gliniany garnek z dwiema oskubanymi gęsiami. Ptaki, przysypane jeszcze warstwami węgla i mokrej trawy, piekły się już od dłuższego czasu.

Ojciec przywiązał wokół drzwi gałązki ostrokrzewu. Jako chrześcijanin nie wierzył w starą religię, ale uważał, że nie zaszkodzi powiesić ostrokrzew, by odstraszyć niechcianych bogów, elfy, demony i inne potwory, które wychodziły podczas wielkiego przesilenia. W wiosce niektórzy wieszali także jemiolę, lecz ojciec twierdził, że to niebezpieczne. Jemiola poświęcona była Freyi, bogini miłości.

- Nudzę się - powiedziała Lucy, grzebiąc patykiem w palenisku.

- Zrób coś. Umyj rzepę - podsunęła mama.

Lucy bez przekonania wzięła się do pracy, zostawiła jednak tyle ziemi, że Jack musiał umyć warzywa jeszcze raz.

- Opowiedz mi jakąś historyjkę - zaczęła nękać ojca, ciągnąc go za rękaw.

- Później, księżniczko - obiecał. - Muszę powiesić ostrokrzew wokół otworów dymnych. Nigdy nie wiadomo, co może wyjść z tych dziur o tej porze roku.

- Ja to zrobię - zaoferował się Jack. Wchodzenie na drabinę sprawiało ojcu ból, i choć mężczyzna lubił poświęcać swoje cierpienie Bogu, czasami z ulgą przyjmował pomoc syna.

- No, dobrze. W sumie możesz się na coś przydać. - Ojciec usiadł i posadził sobie Lucy na kolanach.

Nie ma za co, pomyślał chłopak. Kiedyś takie traktowanie by go zdenerwowało, ale teraz



lepiej rozumiał ojca. Giles Kuternoga wcale nie był człowiekiem okrutnym, tylko smutnym i zawiedzionym. Miał ciężkie dzieciństwo i nie widział powodu, by Jack miał mieć lepsze. Ale trzeba przyznać, że nikt tak nie dba o rodzinę, jak on, pomyślał lojalnie Jack.

Wspiął się do otworu dymnego na jednym z krańców dachu. Gdy zajrzał do środka, zobaczył przeciwległy koniec dachu. Jakaś mysz pisnęła z oburzeniem i zagrzebała się w strzechę. Jack powiesił ostrokrzew i zszedł na dół.

Matka piekła specjalne zimowe placki w tłących się węglach paleniska. Zrobione były z najlepszego owsa, zmiękczone miodem i pysznym gęsim sadłem. Ugniecione palcami krawędzie, przypominały promienie słońca, pośrodku każdego placka była dziura. Miało to odstraszać trolle, ponoć często spotykane o tej porze roku. Tylko bard, Jack i Lucy naprawdę widzieli trolle, hen po drugiej stronie morza, ale matka mówiła, że ostrożność nie zawadzi.

Kiedy słońce spłynęło ku wzgórzom na zachodzie, rodzina była już gotowa do uczty z okazji Wielkiego Przesilenia. Ojciec załadował na grzbiet Dzwonka kosze z pieczonymi gęsiami, plackami i rzepą. Lucy pognąła przodem, a Jack ruszył za nią, objuczony buklakami z cydrem. Cienie na zaśnieżonych polach były wydłużone i błękitne. Dym z tuzina ognisk, na których warzono potrawy, niósł się po trakcie. Jackowi aż zaburczało w brzuchu. Cały dzień prawie nic nie jadł, by zostawić sobie miejsce na czekające go wieczorem przysmaki.

I nie zawiódł się. W domu wodza stały prowizoryczne stoły, uginające się od jedzenia. Były tam pasztety z królika i kuropatwy, tarty z gołębi i skowronki w cieście. Były wędzone łupacze i solona wieprzowina. Kilka rodzajów sera ułożono wraz z ciastkami jęczmiennymi, wysmarowanymi smalcem. Na deser czekały kosze pełne lekko przywędłych, ale wciąż smacznych jabłek. Rodziny przynosiły, co mogły, a ci, którzy nie mieli nic, jak wdowa po grabarzu i jej dzieci, mogli brać, ile dusza zapagnie.

Każdy dom miał swoją specjalność: babkę z jęczmiennej mąki pomieszanej z kminkiem, precle pokryte solą czy placki, smakujące popiołem, w którym je upieczono. Ale placki matki uważano za najlepsze z uwagi na miód.

Najbardziej imponujące danie przygotował wódz - owczy łeb, rozłupany w ten sposób, by każdy mógł wyjadać kawałki mózgu albo języka. Podawano go na dużej drewnianej tacy w otoczeniu plastrów baraniny. Wzdłuż zewnętrznej krawędzi ułożono zaś cieszący oczy krąg gotowanych jaj, rzep i cebul, a także po jednym owczym kopytku w każdym rogu, tak dla ozdoby. W sumie był to cudowny widok!

Wieśniacy uctowali, aż ich twarze zrobiły się błyszczące od tłuszczu. Małe dzieci po kolei zasypiały i wynoszono je do sąsiedniego domu. Pega pilnowała ich i podtrzymywała ogień w niewielkim palenisku. Jack cieszył się, że o niej nie zapomniano. Żona wodza dała jej

nową sukienkę. Używaną, ma się rozumieć, ale z porządnej wełny i niezbyt poplamioną.

Wcześniej pozwolono jej wziąć sobie tacę z jedzeniem. Przygarbiła się i jadła szybko, jakby się bała, że ktoś jej to zabierze. Jack znowu poczuł ukłucie, którego doświadczył już podczas ceremonii małego przesilenia. Jak czuł się ktoś, kto całe życie miał spędzić w niewoli? Sam tak żył ledwie przez kilka krótkich miesięcy i uważał, że to straszne.

Oprócz Pegi byli we wsi i inni niewolnicy. Kował miał dwóch rosnących milczących mężczyzn, którzy podtrzymywali ogień. Cały dzień rąbali drewno. Nocą zaś spali w oborze, razem z bydłem. Zostali sprzedani przez swojego ojca w Bebbas Town na północy, bo byli ograniczeni umysłowo.

O czym myślał? - zastanawiał się Jack, patrząc, jak się pożywiają w ciemnym kącie domu. Nie mówili, nie rozmawiali nawet między sobą. Może nie potrafili. Jak się człowiek czuje, gdy sprzedaje go własny ojciec? - pomyślał Jack.

Kiedy wszyscy pochłonęli już ostatnie kęsy jedzenia, brat Aiden opowiedział im historię o małym Jezusku. Była to pasjonująca opowieść o aniołach, pasterzach i zwierzętach, które ogrzewały Boże dziecię swoim oddechem. Jack próbował sobie wyobrazić wielką gwiazdę, która przyciągnęła królów ze Wschodu. Jakiż to musiał być widok!

Potem mnich zaintonował *Anioły słyszeliśmy na wysokościach* po łacinie. Żaden jednak z miejscowych nie znał łaciny. Mogli więc tylko nucić melodię, ale potem to nadrobili własnymi pieśniami na *waes hael*. Kował głębokim głosem śpiewał *Ostrokrzew i bluszcz*, a jego ładne córki tańczyły wokół stołów z zalotnikami.

Bard siedział w cieniu i słuchał. Nie przyniósł harfy. Uroczystości małego przesilenia i *waes hael* należały do niego, ale wielkie przesilenie przekazał uprzejmie w gestię brata Aiden. Jack był zdumiony przyjaźnią, która połączyła tych dwóch mężczyzn. Zakonnicy na ogół odrzucali dawne obyczaje, ale brat Aiden był inny.

Kiedy chwiejnym krokiem dotarł do wioski po zniszczeniu Świętej Wioski, był oszalały z żalu. Wszyscy wtedy sądzili, że bard też jest szalony, w rzeczywistości jednak duch starca wędrował z Jackiem, pod postacią ptaka. Kiedy ten duch powrócił, starzec przygarnął mnicha.

- Przynajmniej tyle mogłem zrobić po wszystkich kłopotach, które wywołałem - wyjaśnił.

Jack nie czuł w sobie podobnej szczodrości, jako że zadanie opieki nad bratem Aidenem spadło na niego. Musiał pilnować, by zakonnik jadł i zażywał ruchu. Prowadzał go po plaży, wciąż przy tym słuchając jego jęków. Cóż, towarzyszy brata Aiden spotkał naprawdę tragiczny koniec, ale żaden z Ludzi Północy nie narzekałby tak długo na los.

Każdej nocy bard grał na harfie, a Jack śpiewał, podczas gdy brat Aiden siedział przy palenisku z nieobecny spojrzeniem.

- Muzyka to powietrze dla chorego - tłumaczył starzec. - Może tego nie widać, ale Aiden słucha. Jego duch jest uwięziony w płonącej bibliotece na Świętej Wyspie. Przy naszej pomocy ucieknie stamtąd.

Koszmary stopniowo opuszczały drobnego mnicha i wkrótce mógł już sam o siebie dbać. Wieśniacy zbudowali mu chatkę w kształcie ula, by miał gdzie mieszkać.

Zakonnik okazywał bardowi wzruszającą wdzięczność i nie wspominał ani słowem o przeklętych poganach.

Uczta z okazji wielkiego przesilenia miała się ku końcowi. Kobiety pakowały pozostałe jedzenie i budziły mężów z przyjemnego odrętwienia. Niewolnicy zanieśli kowala do domu, a niejednego chłopca trzeba było wypchnąć za drzwi siłą. W końcu dom opustoszał.

- Idziemy? - spytała matka. Opatuliła już Lucy wełnianym płaszczem.

- Jeszcze nie - odparł ojciec. - Mam sprawę do załatwienia. Poczekamy, aż wyjdzie bard.

Jack zauważył, że bard staje się czujny, choć z drugiej strony zawsze taki był.

- To może potrwać - stwierdził ojciec. - Nie chcę, żebyś przeze mnie nie spał.

- Nic nie szkodzi - odparł bard.

- Będzie nudno.

- Rzadko się nudzę - celnie zaripostował starzec.

Ojciec zmarszczył brwi, ale powiedział szorstko do wodza:

- Chodzi o Pegę.

- Zrobiła coś złego? - spytał wódz. Rozparł się wygodnie i wyprostował nogi.

- Nie, nie. Rzecz jest w czym innym. Powiedz, jest zdrowa?

Co za dziwne pytanie, pomyślał Jack.

- Jak każde dziecko. Czasem się przeziębiam i tak dalej.

- Dobrze pracuje?

- Ach! - Mężczyzna nagle się ożywił. - Pracowita jak mało kto! Jak na swój wzrost jest zupełnie niesamowita.

- Giles, co knujesz? - spytał bard.

Lucy właśnie się obudziła i przytuliła do taty.

- To gospodarskie sprawy - odrzekł ojciec.

- Codziennie przychodzą chłopcy, żeby ci pomóc - zauważył bard. - Czego ci jeszcze trzeba?

- Chcę kupić kilka krów na mleko i ser.

Jack pierwszy raz słyszał o takim pomysle. Ojciec miał tyle pracy, że ledwie sobie radził, nawet z pomocą chłopców z wioski. O tę pomoc postarał się bard, by Jack mógł zostać jego

uczniem. Ojciec miał kury, gołębie, gęsi i trzydzieści owiec, a także ule i ogródek ziołowy, którymi zajmowała się mama. Latem uprawiał owies, fasolę i rzepę. Jak miałby hodować jeszcze krowy?

- Pega to cenna niewolnica - stwierdził wódz.

- Jest karłowata i brzydka. Aż dziwne, że mleko przy niej nie kwaśnieje - odparł ojciec.

- Wręcz przeciwnie. Zmienia mleko w doskonały żółty ser - powiedział wódz.

Targowali się, jakby Pega była owcą! Jack był tak oburzony, że nie wiedział, czy zdoła wydobyć z siebie głos. Podniósł wzrok i zobaczył, że bard uważnie mu się przygląda.

- Wydaje się słaba. Gdybym był krową, wykopałbym ją z obory - oznajmił Giles Kuternoga.

- Pilnuje ich równie dobrze jak najlepszy owczarek - odrzekł wódz.

- Giles - odezwała się matka. - Nie mamy gdzie trzymać krów.

Czyli mama też nie wiedziała o tym projekcie, stwierdził w myślach Jack.

- Cicho - warknął ojciec. - Dam ci za tę dziewczuchę pięć srebrnych monet.

- Pięć! - wykrzyknął tamten. - Jej zdolne ręce są warte co najmniej pięćdziesiąt.

- Za takiego chorowitego cherlaka? Raczej nie!

- Przyjrzyj się jej twarzy, Giles. Ma ślady po krowiej ospie, więc ospa jej nie grozi.

Zawołałam ją z tamtego domu, żebyś zobaczył.

- Tato - powiedział niepewnie Jack.

- Cicho. Mleczarki są znane z chorób płuc. Ale ze względu na naszą przyjaźń dam ci dziesięć monet - zaproponował Giles Kuternoga.

- Tato, kupowanie niewolników jest złe - odezwał się Jack. Przez dom przebiegł szmer. Wszystkie oczy zwróciły się na niego.

- Słucham? - spytał ojciec lodowatym głosem.

- Powiedział: „kupowanie niewolników jest złe” - powtórzyła matka.

Giles Kuternoga zerwał się na nogi.

- Jak śmiesz mi się sprzeciwiać!

- Spokojnie - powiedział pospiesznie wódz. - Mamy tu specjalistę od zła. Bracie Aidenie, jakie jest twoje zdanie w tej sprawie?

Jada przy stole wodza - pomyślał Jack. Nic nie powie. Serce chłopca waliło jak młotem, a twarz mu płonęła. Jeszcze nigdy tak otwarcie nie przeciwstawił się publicznie ojcu. Nie chciał tego robić. Wiedział jednak, jakie to straszne zostać sprzedanym; można wyrzucić, kiedy się zużyje.

- Niewolnictwo jest złe - powiedział brat Aiden swoim łagodnym głosem w

pomieszczeniu podniosło się poruszenie, lecz mnich tylko się uśmiechnął. - Jak wiecie, prawo na nie pozwala, ale pytaliście mnie o zło. Moi współpracownicy ze Świętej Wyspy, ci których nie zamordowano, zostali sprzedani w niewolę. Porwano twoje własne dzieci, Giles. Wróciły tylko dzięki ogromnemu szczęściu. Naprawdę chciałbyś posiadać inną istotę ludzką?

Ogień w palenisku trząsał, a wiatr buszował w krytym strzechą dachu. Ojciec wydawał się bardzo zawstydzony.

- Chyba... chyba bym nie chciał - powiedział.

- Tato obiecałeś! - wykrzyknęła nagle Lucy. - Powiedziałeś, że mi kupisz Pegę, jeśli będę grzeczna! I byłam!

- No i wszystko jasne - mruknął bard.

- Giles! - jęknęła matka.

- Naprawdę chciałem założyć mleczarnię - bronił się ojciec.

- Obiecałeś! - wrzasnęła Lucy.

- Cśśś - syknęła mama, próbując odciągnąć ją od ojca. Dziewczyna tuliła się do niego, zanosząc się szlochem, a Jack widział, że postanowienie ojca obraca się w pył.

- Dałem słowo - oznajmił obejmując ukochaną córeczkę.

- Słuchaj. Zejdę do czterdziestu srebrnych monet - powiedział wódz. Słowa brata Aiden zaskoczyły go, ale chyba nieszczególnie zdenerwowały. W końcu brat Aiden ciągle wszystkich męczył swoim gadaniem o grzechach.

- Trzydzieści - powiedział odruchowo ojciec.

- Giles, to posag Lucy - wtrąciła matka.

- I bez niego dobrze wyjdzie za mąż.

- Załatwione! - oświadczył wódz.

Niech ktoś coś zrobi, myślał Jack. Spojrzał na brata Aiden i na barda i zobaczył, że oni też patrzą. Na niego. To było jego zadanie. Oczyma duszy zobaczył nagle fochy Lucy podczas ceremonii dzikiego ognia i Pegę, biorącą w dłonie świecę. I już wiedział, jaką rolę ma w tym do odegrania.

- Kupię Pegę za trzydzieści jeden monet - powiedział. - A potem ją wyzwolę. - Zobaczył, że bard i brat Aiden rozluźnili się.

- Co? - ryknął ojciec. - Skąd masz tyle pieniędzy?

- Od Ludzi Północy. Zakopałem je pod podłogą rzymskiego domu.

- Okłamałeś mnie? Zatrzymałeś sobie pieniądze na własne, samolubne cele? Nie jesteś moim synem, nielojalny szczeniaku!

- Nie jestem nielojalny - rzekł chłopak zmęczonym tonem. - Przypuszczałem, że mi nie

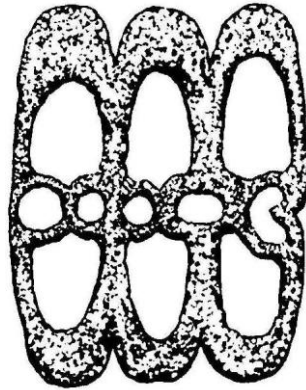
uwierzysz. - Był kłębkiem nerwów. Głos mu drżał i bolało go serce, ale nie zamierzał się cofnąć.

- Natychmiast wynoś się z mojego domu! - wrzasnął Giles Kuternoga w napadzie szału. -  
I nigdy nie wracaj!

A Lucy jęknęła: - Obiecałeś, tato. Byłam taka grzeczna!

# Rozdział 5

## Zakęcie Dalekowidzenia



Stary rzymski dom drżał w posadach, targany wichrem znad Morza Północnego. Ścieżkę na zewnątrz pokrywał czarny lód, a ziab wdzierał się do środka przez dziesiątki szpar w ścianach. Nie pierwszy raz Jack żałował, że bard nie mieszka gdzie indziej. Ale starzec twierdził, że na klifie siła życiowa jest wyjątkowo potężna.

- Zawsze tak jest na granicy dwóch światów - wyjaśnił. - Morze próbuje zagarnąć ląd, a ląd je odpiera. Pomiedzy nimi wzbiera wielka moc. Dzięki temu czuję się młodo.

A ja czuję się staro, pomyślał gorzko Jack. Zimno i ciemność przygnębiały go, a serce bolało go po tym, jak ojciec wyrzucił go z domu. Nie minął nawet dzień, a już żałował swojego pochopnego postępu na uczcie. Straciłem dom i rodzinę - i po co? Dla natrętnej dziewczyny, która przyczepiła się do niego niczym wygłodniały, miauczający kot.

Właściwie nie mógł mieć do Pegi pretensji. Kiedy przyniósł trzydzieści jeden srebrnych monet, a brat Aiden pieczołowicie spisał akt wyzwolenia, wódz powiedział:

- No, jedna gęba mniej do wykarmienia.

Jack dopiero wtedy zdał sobie sprawę, co zrobił. Wyrwał kościstą, brzydką dziewczynę z jedyne go życia, jakie znała. Pega jako płatna służąca nikomu nie była potrzebna. Tak naprawdę nikt nie chciał jej w pobliżu. Mogła wywołać znamiona u nienarodzonych dzieci albo zapalenie kopyt u owiec. Kto mógł odgadnąć skutki tego jej dziwnego znamienia na twarzy? Nawet ojciec nie zamierzał płacić jej pensji - nie, żeby Jack ośmielił się o to prosić.

- Będę ci służyła do końca swoich dni - oznajmiła Pega. - Dałeś mi wolność, a ja nigdy

tego nie zapomnę.

Poszła za chłopakiem do rzymskiego domu. Nie wiedział, co robić. Rozważał obrzucenie jej kamieniami, po czym zrobiło mu się wstyd, że o tym pomyślał. Miał nadzieję, że bard każe jej odejść, ale ten powitał ją z entuzjazmem.

Teraz plotła maty z trawy w drugim końcu domu. Świergotała jak ptaszek, a bard brzdąkał na harfie i uśmiechał się. Pega miała wspaniały głos. Bard był nią oczarowany, Jack zaś nie potrafił się pozbyć okropnego uczucia zazdrości.

- Mógłbyś przynieść trochę drewna? - zawołał starzec. - Przysięgnę, że dookoła domu chodzą lodowe olbrzymy.

Pewnie, pomyślał Jack. Dla mnie ciężka robota. A Pega niech sobie siedzi przy ogniu jak jakaś księżniczka. Wiedział jednak, że to nie w porządku. Pega harowała od świtu do nocy. Próbowwała wykonać każde zadanie, jakie jej wyznaczono, nawet jeśli przerastało jej siły. Pracowała, prawdę powiedziawszy, jak niewolnica. Upierała się jednak, że to co innego niż rzeczywiście być niewolnicą. Nie miała nic przeciwko pracy, jeśli był to jej wolny wybór.

Jack nie dostrzegał różnicy i uważał, że dziewczyna jest dość głupia.

Z szopy przyniósł drewno, zebrane z plaży, i ułożył je na węglach w palenisku. Zielone i błękitne płomyki zatańczyły na kawałkach drewna.

- Kolory morza - powiedział bard.

- To dlatego, że wyrzuciła je woda? - spytała Pega.

Jasne, durna, pomyślał Jack.

- Mądra dziewczyna - pochwalił bard. - Drzewo, które pływało po morzu, po części staje się morzem. Widziałem drzewa, które zmieniły się w kamień od leżenia w ziemi.

- Naprawdę? - spytała Pega z błyskiem w oku.

- Można by na nich połamać siekierę, bo wyglądały jak żywe.

- Nudzę się - powiedział Jack. Bard podniósł surowy wzrok i chłopiec pożałował swego wybuchu. Ojciec zawsze mawiał, że najlepszym lekarstwem na nudę jest ciężka praca, więc Jack spodziewał się kolejnego trudnego zadania. Od dawna nikt nie rozkuwał lodu w wygodce.

Ale bard odłożył harfę i powiedział:

- Chyba czas na lekcję. - Pega bez polecenia wsadziła pogrzebacz do ognia, by go rozgrzać. - Jutro święto Brygidy - zaczął starzec.

- Świętej Brygidy? - spytał Jack, który słyszał o niej od ojca. Modliła się, bo chciała być brzydka, by uniknąć małżeństwa. Kiedy odrzucił ją niedoszły mąż, została świętą zakonnice. Spełniała wiele różnych zabawnych i pożytecznych cudów. Jej krowy dawały mleko trzy razy



dziennie, a raz, kiedy grupa księży przyszła z wizytą, zmieniła swoją wodę do mycia w piwo.

- Nasza Brygida istniała na długo przed wszystkimi świętymi - powiedział bard. - Należy do grona starych irlandzkich bogów. Nauczyła pierwszych bardów śpiewać.

Pega zanurzyła gorący pogrzbacz w kubkach z cydrem i pomieszczenie wypełniła woń lata.

- Nauczyła nas dalekowidzenia - ciągnął starzec.

Jack natychmiast przestał słyszeć szalejącą na zewnątrz burzę. Nie czuł już zimna, nudy ani nawet irytacji na Pegę, która usadowiła się przy ogniu, jakby naprawdę tam było jej miejsce. Bard mówił o magii. A właśnie magia była tym, czego Jack pragnął najbardziej na świecie.

- Dalekowidzenie to kwestia uwagi - wyjaśnił bard. - Kwestia patrzenia ze szczególnym skupieniem, zderzenia barier pomiędzy tobą a tym, co chcesz widzieć. Nie umiem ci powiedzieć, jak to się robi. Mogę ci tylko wyjaśnić poszczególne kroki. Jeśli masz zdolności, a myślę, że masz, znajdziesz sposób. Ale uważaj. Możesz zgubić drogę. Gniew i zazdrość zasłonią szlak, tak jak mgła spowija mokradła. Możesz wejść w ciemność i nigdy nie wrócić.

Bard popatrzył Jackowi w oczy i ten nie miał żadnych wątpliwości, że starzec wejrzał w sekrety jego serca. Mentor wiedział, że chłopakowi przeszkadza obecność Pegi. I ostrzegał go przed zagrożeniem, jakie stanowiły podobne uczucia dla przyszłego barda. Dobrze! Skoro musiało tak być, nauczy się kochać tę nieznośną dziewczynę.

- Dobry! - stwierdził starzec, sącząc swój cydr. - To dzieło twojej matki, lepszego nie ma.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na niebieskie i zielone płomyki wśród żółci. Pega zebrała kubki, by je odstawić. Naczynia Jacka i Pegi były tandetne i łatwo mogły się stłuc. Zrobił je wioskowy garncarz. Ale kubek barda pokrywało bladozielone szkliwo, które przypominało Jackowi morze w pochmurny dzień i bez wątpienia pochodziło z południa.

- Czy ja też mogłabym się nauczyć dalekowidzenia? - pisnęła Pega.

Jack zachwiał się w swoim postanowieniu, by ją polubić.

- To nie dla ciebie - odparł łagodnie bard, a chłopak poczuł, że rośnie mu serce. - Masz swój własny talent, większy, niż sobie wyobrażasz, ale bard kroczy niebezpieczną i samotną ścieżką. Twoja dusza pragnie rodziny i ciepła.

- Nigdy nie będę ich miała.

- Myślę, że będziesz.

- Nie, nigdy! - krzyknęła dziewczyna z gniewem, o jaki Jack jej nie podejrzewał.

- Gdy ktoś żyje tyle, co ja, uczy się, by nigdy nie mówić „nigdy” - odparł bard.

- Przepraszam - powiedziała natychmiast Pega. - Sprawiam wrażenie niewdzięcznicy, a wcale nią nie jestem. Chciałabym zostać tutaj i pracować do końca życia i... być po prostu muchą na ścianie.

- Jesteś warta znacznie więcej. - Bard pogładził jej poczochrane włosy, a ona uśmiechnęła się, trochę smutno. - Teraz nauczę Jacka czegoś bardzo ważnego. Ty masz siedzieć cicho. Myślisz, że dasz radę?

- O tak! Mogę zrobić wszystko! - Pega wycofała się na swoją kupkę słomy w kącie, gdzie wyglądała zupełnie jak żaba, przycupnięta na kępie wodorostów.

- Musisz złożyć dłonie, Jack, i zrobić to, co nazywamy „tubką do patrzenia”. - Bard zademonstrował, zwijając dłonie i przykładając je do oczu. - To pomaga skupić wzrok. Chodzisz zgodnie z ruchem słońca wokół ognia i mówisz sobie:

*Szukam za faldami gór*

*Dziewięcioma falami mórz*

*Ptasim krzykiem na wietrze.*

*Szukam za labiryntem*

*Rozplątany węzeł*

*Otwartymi drzwiami.*

*Jestem światłem i ciemnością*

*Jednym i drugim zarazem*

*Pokaż mi to, czego szukam!*

- Powtarzaj to raz za razem, aż obejdiesz ogień trzykrotnie po trzy razy. Potem stań ze wzrokiem skupionym na ogniu. Odetchnij głęboko i zacznij od początku. - Bard opuścił ręce.

- I już? - spytał Jack.

- To trudniejsze, niż myślisz.

- Ile razy mam to robić?

- Nie wiem - odparł starzec. - Nie uda ci się dzisiaj, a może nigdy. Jeśli będziesz cierpliwy i masz dar, droga otworzy się przed tobą.

Jack chciał dowiedzieć się więcej, ale bard miał inną metodę nauki. Całymi miesiącami wysyłał ucznia na wzgórze, kazać mu obserwować ptaki i chmury, i nie wyjaśniając, po co. Przez cały ten czas chłopak poznawał siłę życiową.

Bard powtarzał zaklęcie, aż Jack dobrze je zapamiętał, bo błąd mógł być niebezpieczny. Chłopak doskonale to rozumiał. Pamiętał, co się stało, gdy próbował zaśpiewać pieśń

pochwalną dla królowej Frith. Wypadły jej wszystkie włosy.

Pega siedziała z poważną miną na swojej stercie siana. Usta miała zaciśnięte w wąską kreskę, a uszy wydawały się jeszcze bardziej odstające niż zwykle. Połowę jej twarzy pokrywało znamię, co sprawiało wrażenie, jakby ta połowa pogrążona była w cieniu. Nie wydawała żadnego dźwięku.

- A czego mam szukać? - spytał nagle Jack.

- Wizja sama do ciebie przyjdzie, zależnie od tego, czego najbardziej potrzebujesz. Później nauczysz się naginać ją do swojej woli. - Bard podszedł do swojego łóżka i położył się plecami do ognia.

Czego najbardziej potrzebuję? - zastanawiał się chłopak. Zobaczyć matkę. Ojciec zabronił jej go odwiedzać. Jack bardzo za nią tęsknił i czuł, że spotkała go wielka niesprawiedliwość. Ojciec nigdy nie powinien próbować kupić niewolnicy. Nie po tym, co syn opowiedział mu o swoich przejściach z Ludźmi Północy. Wyglądało na to, że nic z tego, co mówił Jack, nie robiło na nim najmniejszego wrażenia, podczas gdy najbliższy kaprys Lucy miał pierwszorzędne znaczenie.

Chłopak zrobił z rąk tubki do patrzenia, po jednej na każde oko. Za sprawą jakiejś magii połączyły się one, ukazując jeden obraz, który był w pewnym stopniu wyraźniejszy i głębszy. Jack patrzył na stare malowidła na ścianach rzymskiego domu. Namalowany ptak przycupnął na trzcinie, z którą stykał się krzak róży. Dziwne, nigdy wcześniej nie zauważył, że to róża. Teraz dostrzegał delikatne ciernie i długi promień światła, padający na trzcinę. Skąd pochodził ten blask?

Odwrócił się i obszedł palenisko, patrząc prosto przed siebie i starając się mieć ciepło ognia z prawej strony. Scena zmieniła się, ptaka zastąpiła półka z pęczkami suszonych ziół, a potem odległy kąt pomieszczenia, pogrążony w cieniu. Nawet to było ciekawe. Tuż nad łóżkiem barda zauważył rząd niewielkich dziur, gdzie coś było kiedyś zamocowane. Dotąd nigdy ich nie widział.

Muszę powtarzać zaklęcie, ofuknął sam siebie Jack. Zaczął wyśpiewywać je pod nosem. Trudno mu było oszacować, ile razy okrążył palenisko, był bowiem przyzwyczajony tylko do liczenia rzeczy, które widział. Ciągłe zmieniający się widok przyprawił go o lekkie zawroty głowy. Raz wszedł na rozżarzone węgle i oparzył sobie stopę. Kiedy obszedł ogień trzy razy po trzy - a przynajmniej miał taką nadzieję - odwrócił się, by popatrzeć na palenisko.

Zielone i niebieskie płomyki w większości zniknęły. Widział zwykłe, żółte języki płomieni i strzelający co jakiś czas snop iskier. To wszystko.

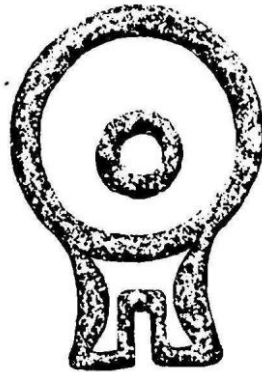
Jack odetchnął głęboko i zaczął jeszcze raz. Powtarzał ten rytuał, aż zrobił się senny i

stracił rachubę okrążeń wokół ognia. Miał też wrażenie, że za ostatnim razem zaśpiewał „rozplątana wełna” zamiast „rozplątany węzeł”. Zasywał płomienie i poszedł się położyć.

Pega wciąż patrzyła na żar swoimi błyszczącymi, małymi oczami, a uszy sterczały jej na boki, jakby słyszała coś w oddali. Pewnie słucha nietoperzy, pomyślał Jack, zapadając w sen.

## Rozdział 6

### Światło z daleka



Nadeszła pora kocenia się owiec, ale w tym roku Jacka nie wysłano na poszukiwanie jagniąt. Ojcu pomagali chłopcy z wioski. Co jakiś czas Jack widywał ich, jak umykali przed złośliwymi owcami o czarnych pyskach, które próbowały ich ubóść. Nie tęsknił za tą pracą - ani trochę! - ale tęsknił za powrotami do domu, za maminią zupą z małży i plackami. Lucy zawsze przybiegała, by go uściskać. Siadał w swoim ulubionym miejscu, a mama opowiadała cicho o czymś, co zrobiły kury albo o roślinie, która wypuściła pąki.

Jack wytarł oczy rękawem. Nie będzie się przejmował. Był teraz dorosły i miał ważne obowiązki jako uczeń barda. Musiał zapamiętywać poezję, uczyć się zaklęć, przyzywać mgłę. Większość prac domowych wykonywała Pega. Ciągnęła kłody drewna z plaży, skakała po skałach w poszukiwaniu trąbików i wyciągała wołki zbożowe z owsa.

Kiedy się tylko dało, Jack ćwiczył zaklęcie dalekowidzenia. Czasami zdawało mu się, że ogień blednie. Czasami powietrze marszczyło się niczym powierzchnia stawu przy pierwszych kropkach deszczu. Zawsze jednak obraz płomieni stawał się wyraźniejszy i Jack wracał do punktu wyjścia. Wciąż zastanawiało go źródło światła na namalowanej trzcinie. Bard nie pytał go o postępy, a Jack z własnej inicjatywy nie udzielał mu informacji.

Zima powoli odchodziła. Na wzgórzach pojawiały się połacie zieleni, a barwa chmur zmieniała się z szarej w białą. Zaczęły grać świerszcze, a z południa wiał ciepły wiatr, przynosząc do kwiatów pierwsze pszczoły. Owady przypomniały Jackowi o matce i sprawiły, że posmutniał.

Z Bebbas Town nadciągnęła grupa piktyjskich kupców, którzy prowadzili osły i dęli w róg, by obwieścić swoje przybycie.

- Mają wszystko! - krzyknął Colin, syn kowala, gdy przyniósł im codzienną porcję chleba. - Przywieźli garnki, i noże, i trójzębne włócznie na węgorze, i igły do szycia! Mam ich szpiegować i dowiedzieć się, jak się robi te igły. Ojcu nie chcą powiedzieć.

- Co jeszcze? - spytał bard.

- Nieciekawe rzeczy, na przykład pergamin. - Colina nie interesowało nic, czego nie zrobiono z żelaza.

- Pergamin? - powtórzył bard.

- Całe sterty. Brat Aiden nawet się o niego targował.

Pega wzięła kosz z chlebem od Colina, który zaczął się zbierać do wyjścia.

- Przydałby mi się kawałek pergaminu - stwierdził z namysłem starzec. - Brat Aiden zna tajemną formułę atramentu, który nigdy nie blaknie. Wiecie co? Spakujmy trochę jedzenia i zrobmy sobie wolne.

Ale Jack nie chciał iść. Wiedział, że będzie tam ojciec, a nie potrafiłby znieść takiej konfrontacji.

- Kiedyś będziesz musiał stawić mu czoło. Nie możesz spędzić reszty życia tutaj - powiedział mentor.

- Ja się nie boję Gilesa Kuternogi - oznajmiła Pega, tańcząc w kółko. - Jestem wolna i nic mi nie może zrobić.

- Oj, cicho bądź - mruknął Jack.

Bard przyodziął swoją białą szatę. Pega włożyła dla ozdoby girlandy kwiatów (co zdaniem Jacka w najmniejszym stopniu nie poprawiło jej wyglądu). Spakowała do kosza chleb i ser.

- Na pewno nie pójdziesz? - spytał starzec spod drzwi. - Może załapałbyś się na zabawę w „byka w stodole”. Dobrze by ci to zrobiło.

Jack lubił bawić się w „byka w stodole”. Grupa chłopców stawała kręgiem wokół tego, któremu przypadła rola byka. Pytał on wszystkich po kolei: „Gdzie klucz do stodoły?”, a każdy odpowiadał: „Nie wiem. Spytaj mojego sąsiada”. Aż nagle jeden z nich krzychał: „Wyjdź tak jak wszedłeś!”, co stanowiło dla byka sygnał, by próbował się przedrzeć przez otaczające go ręce. Była to brutalna zabawa i na koniec zwykle ktoś pędził do domu, drąc się na całe gardło. Jack lubił ją, ale bał się spotkania z ojcem.

- Wolę zostać - stwierdził.

- Jak chcesz. - Bard pożegnał go z pogodną miną, a Pega wymknęła się na zewnątrz z

koszem piknikowym. Jack słyszał, jak podśpiewuje, oddalając się ścieżką.

Był jasny, słoneczny dzień, ale, jakby dla kontrastu, we wnętrzu rzymskiego domu panował półmrok. Pasowało to do humoru Jacka. Ojciec go wyrzucił, a teraz opuścił go bard. Chłopak wziął swoją harfę i zagrał kilka smętnych melodii, by jeszcze bardziej się pognębić. Pomyślał o ucieczce do Bebbas Town. Bard i Pega zobaczą, że go nie ma, i będą żałować. Ale po chwili pojawiła się inna myśl, nieprzyjemna niczym strużka zimnej wody, ciekąca po plecach: Może wcale za mną nie zatęsknią.

Po chwili Jack wyszedł na zewnątrz, by popracować w ogródku ziołowym. Powinienem namoczyć fasolę na obiad, pomyślał, ale przywykł już, że gotowaniem zajmuje się Pega. Robiła świetną potrawkę z węgorka z jęczmieniem, porem, koprem i odrobiną octu. Danie to nie przypominało niczego, co wcześniej jadł. Dziewczynę wiele razy sprzedawano, trafiała w różne miejsca na wybrzeżu i nauczyła się ciekawych przepisów. Myśl o węgorkach przypomniała Jackowi o włóczniach, którymi tak zachwycał się Colin.

Powinienem był poprosić barda, żeby taką kupił, pomyślał. Zostało mu trochę srebrnych monet. Bardzo niewiele, za sprawą Pegi. Przynajmniej gotowała i brała udział w zdobywaniu żywności. Miała niezwykłą umiejętność łowienia pstrągów. Kładła się na brzuchu nad strumieniem i machała palcem, który wił się niczym tłusty robak. Prędzej czy później podpływał jakiś pstrąg, a ona łaskotała go pod brodą - czy pstrągi mają brody? Kiedy już uległ jej zaklęciu, wyciągała go do worka.

Chłopak wciąż wracał myślami do Pegi. Wciskała się wszędzie, niczym myszy podczas żniw. Chcąc pomyśleć o czymś innym, rozdmuchał ogień w palenisku. Zamierzał ćwiczyć dalekowidzenie, jedyną rzecz, w którą nie zdołała się wedrzeć.

Płomienie przetykane były zielenią i błękitem, a ogień szumiał niczym wiatr, wydymający żagiel. Jack zaintonował zaklęcie.

*Szukam za fałdami gór*

*Dziewięcioma falami mórz...*

Zobaczył namalowanego ptaka na źdźble trzciny. Pod różanym krzewem widniały stokrotki, a dalej platanina winorośli. Liście niknęły w zielonej ciemności, a na jej tle jasno świecił ptak. Miał wydętą pierś, porośniętą kremowymi piórami, skrzydła zabarwione były na brązowo. Jack przypuszczał, że to strzyżyk.

Okrażył palenisko trzykrotnie po trzy razy, przystanął, po czym zaczął znowu. Ogarnęło go znużenie i zdawało mu się, że chodzi w kółko przez całe wieki. Już prawie nie zdawał

sobie sprawy, że w ogóle się porusza, istniały tylko zmieniające się powoli obrazy za tubką do patrzenia. Pomieszczenie ciemniało i nagle...

Jack zatrzymał się. Ptak siedział na trzcinie, mocno ściskając ją pazurkami. W dziobie trzymał konika polnego!

Wcześniej owada nie było. Jack był tego pewien. Na pewno nie przegapiłby takiego szczegółu. Na trzcinę padał długi promień światła. Chłopak odwrócił się, by zobaczyć, skąd pada światło i ujrzał niewielkie ognisko na połaci piasku. Dalej rozciągało się morze. Dwaj chłopcy tarzali się po ziemi w zacieklej walce. Jednemu leciała krew z nosa i miotał jakieś słowa, które bez wątpienia były przekleństwami. Nic jednak nie było słyhać.

Drugi chłopiec najwyraźniej wygrywał bójkę. Rzucił przeciwnika w piach i postawił stopę na jego szyi.

Podbiegł do nich jakiś człowiek. Jackowi stanęło serce. Był to Eryk Pięknolicy! Nikt inny nie miał takich paskudnych blizn po bitewnych ranach.

Eryk Pięknolicy rozdzielił ich niczym parę niesfornych szczeniąt i odepchnął w przeciwne strony. Chłopiec z rozkwaszonym nosem zerwał się na nogi i zaczął krzyczeć. Ten drugi ryknął śmiechem.

Odwróć się, odwróć, mówił w myślach Jack do chłopaka, który podskakiwał i drwił z rywala. W końcu tamten faktycznie się odwrócił, ukazując triumfujące, niezbyt czyste oblicze.

Thorgil, pomyślał Jack. Tęsknił za nią - o, niebiosa, jak za nią tęsknił! - a jednak do tej chwili nie zdawał sobie z tego sprawy. Szarozielone morze rozciągało się za nią, a wiatr targał jej krótko przycięte włosy. Wróciły teraz do niego wszystkie emocje, związane z rejsem na północ. Niemal czuł, jak pokład kołysze mu się pod nogami, niemal słyszał skrzywienie kadłuba. Gdzieś wiatr oderwał kawał lodowca z lodowej góry o strzelistym kształcie.

- Jack! - ktoś ciągnął go za rękaw. Wizja zniknęła i znów znalazł się w rzymskim domu. Pega szarpała go za ramię, a jej żabie usta otwierały się i zamykały, gdy coś mówiła.

Ogarnęła go wściekłość. W końcu osiągnął swój cel, a ona mu go odebrała, więc wpadł w furję. Uderzył Pegę na odlew w twarz, a ona zatoczyła się i opadła na czworaki, po czym odczołgała się na bezpieczną odległość.

- Jack! - krzyknął inny głos.

Chłopak odwrócił się.

- Mamo? - szepnął.

- Bardzo, bardzo źle - powiedział bard, pospiesznie mijając matkę, by pomóc dziewczynie. - O, moje biedactwo! - Po brodzie ciekły jej krople krwi. Nie płakała, lecz

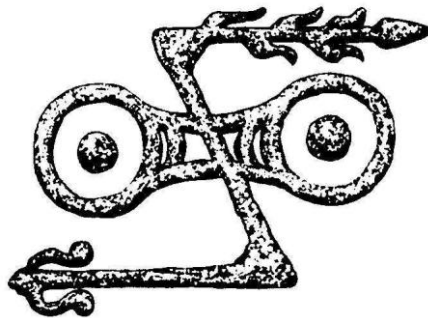


patrzyła na niego szerokimi, przestraszonymi oczami.

- Mamo - powtórzył Jack, oszołomiony tym, co przed chwilą zrobił.
- Przyszłam zabrać cię do domu - oznajmiła kobieta. - Lucy oszalała.

# Rozdział 7

## Sekret Gilesa



Jack ruszył ścieżką za swoją mamą. Był roztrzęsiony, jakby ogarnęła go gorączka. Pamiętał, jak jego ręka walnęła Pegę w twarz, a dziewczyna zatoczyła się i runęła na ziemię. Ból w ramieniu świadczył o sile ciosu.

- Dlaczego to zrobiłeś? - odezwał się cichy głos mamy.

Jack nie wiedział, czemu ogarnął go szal. Tak cudownie było zobaczyć Thorgil. Nigdy by się tego nie spodziewał, ani w tym życiu, ani w niebie. Dziewczyny takie jak Thorgil nie idą do nieba, nawet się do niego nie zbliżają. A potem Pega wszystko zepsuła, pchając się pomiędzy Jacka a jego wizję.

- Chyba jestem zazdrosny - powiedział.

- O Pegę? - spytała kobieta ze zdumieniem. Chciała opatrzeć dziewczynę, ale bard odegnał ją gestem ręki.

- Pega szybciej dojdzie do siebie, jeśli ten chłopak stąd zniknie - stwierdził.

Ten chłopak. W duchu Jack aż się skulił.

- Wiem, że zazdrość jest zła - wyjaśnił - ale ona tak ładnie śpiewa, a bard bardzo ją lubi. Nie żałuję, że ją wyzwoliłem - dodał pospiesznie - ale myślałem... że jakby... sobie pójdzie.

- Pega cię ubóstwia - powiedziała mama. - Wszystkim opowiada, jaki jesteś cudowny.

- Teraz przestanie.

Szli dalej w milczeniu. Ścieżka wiodła w dół z nadmorskiego urwiska na łąki pełne polnych kwiatów - pierwiosnków, nagietków i stokrotek. Jack i mama przeszli w bród strumień o brzegach porośniętych paprocią. Skowronki świergotały do siebie nawzajem

wysoko nad ziemią.

Gdy znaleźli się bliżej gospodarstwa, matka przystanąła.

- Muszę ci coś wyjaśnić - powiedziała. - Od czasu ceremonii dzikiego ognia z głową Lucy nie wszystko jest w porządku. Przy innych zachowuje się zupełnie dobrze. Umie jeść i mówić, ale nabrała przekonania, że jest prawdziwą księżniczką.

- W kraju Ludzi Północy też oszalała - przypomniał Jack.

Kobieta spojrzała na dom. Z otworu dymnego unosiła się smużka dymu.

- Lucy zawsze była osobliwa. Tak jak Giles.

Jack widział, że czuje się nieswojo, krytykując męża.

- On wie, co jest prawdą, a co nie - ciągnęła. - Lucy tego nie wie. Wydaje nam polecenia jak służącym. Nie pozwala, żeby ojciec ją dotykał, mówi, że to chłop. To go rani.

- I ja go zraniłem - odrzekł Jack. - Czemu sądzisz, że znowu mnie nie wyrzuci?

- Twój ojciec żałuje tego, co zrobił. Nie chce tego przyznać, ale przebaczy ci, jeśli go o to poprosisz.

- A przy okazji mnie zbije.

Matka westchnęła.

- Pewnie tak. - A potem dodała ironicznie: - Zawsze możesz ofiarować swoje cierpienie Bogu.

Jack był zdumiony. Ojciec ciągle mówił o tym, że cierpienie jest dobre i że można je ofiarować Bogu. Matka nigdy się temu nie sprzeciwiała. Wyglądało jednak na to, że ma własny pogląd na sprawę.

Dlaczego to zawsze musi być moja wina? - zastanawiał się Jack, gdy szli dalej. Ale wiedział, że zasługuje na lanie za to, że uderzył Pegę. Co go opętało, że zrobił coś takiego?

Od miesięcy nie był w domu i wygląd ojca wywołał w nim wstrząs. Mężczyzna miał przygarbione ramiona, jakby nosił jakieś ciężkie brzemie. Twarz miał pochmurną. Przykucnął na stołku przy palenisku i strugał kawałek drewna. Zwykle o tej porze ojciec nie siedział w domu. Wiosną gospodarstwo wymagało uwagi.

- Co za lichota! - zadrwiła Lucy, niezdarnie rzucając do ognia rzeźbione zwierzątko. - Nigdy nie będziesz taki dobry, jak Olaf Jednobrewy. Nigdy, nigdy, nigdy! On robił mi piękne zabawki. - Miała na sobie białą sukienkę z uroczystości przesilenia, ubabraną teraz sadzą, a także srebrny naszyjnik w kształcie liści.

- Ojcze? - odezwał się Jack, przelykając ślinę. Giles Kuternoga podniósł głowę. - Ojcze, przyszedłem przeprosić.

- I powinieneś - stwierdził mężczyzna.

Jack stłumił przypływ gniewu.

- Źle zrobiłem, chowając pieniądze. Byłem nielojalny i nieszczerzy. Przyszedłem, by poddać się każdej karze, jaką uznasz za stosowną.

- Bez wątpienia zasłużyłeś. - Giles sięgnął do sterty opału i wybrał brzożowy kij.

Jack zebrał w sobie całą odwagę. Ojciec bił mocno i Jack pomyślał, że mniej niż sześć silnych razów będzie wielkim szczęściem.

- Byłeś niegrzeczny - oznajmiła z zadowoleniem Lucy, wycierając dłonie o brudną odświętną sukienkę. - Z przyjemnością popatrzę, jak cierpisz.

Jack obiecał sobie, że zabierze jej srebrny naszyjnik, kiedy tylko zostaną sami. Ojciec złapał go za włosy i wznosił kij. Chłopak zebrał się w sobie.

Ale zamiast go uderzyć, Giles Kuternoga odrzucił kij i opadł na kolana.

- Nie mogę! Nie mogę! - wykrzyknął. Zaczął wyć.

Jack był przerażony. Nigdy nie widział ojca w takim stanie.

- W porządku, tato - powiedział niepewnie.

- Nie powinienem był kłamać - zawodził mężczyzna. - To moja wina. Lucy to moja wina. To był grzech pychy.

- Musisz się położyć, Giles - powiedziała matka, klękając przy nim. - Chyba masz gorączkę... Tak, czuję to. Chodź na strych. Zrobię ci leczniczy napój.

Jack i matka poprowadzili ojca do drabiny. Wspinał się powoli, z bólem, a Jack wchodził za nim, na wypadek gdyby spadł. Mężczyzna wpełzł do łóżka, wciąż szlochając, a matka przyniosła mu napar z sałaty i wierzby, by zasnął. Zamknął oczy i podążył ku czekającym go snom.

Jack siedział przy ogniu, zbyt oszołomiony, by coś powiedzieć. W jakiej kwestii ojciec skłamał? Jaki grzech popełnił?

- Nie pozwoliłam mu spać - odezwała się Lucy, okręcając sobie kosmyk włosów na palcu i wydymając różowe wargi. - Każę swoim rycerzom spuścić mu baty.

Jack poczuł dreszcz grozy, patrząc na swoją siostrzyczkę. Oszałała, a wyglądało na to, że ojciec także. Po tym, jak tego ranka uderzył Pegeę, Jack zastanawiał się, czy i on nie przekroczył granicy szaleństwa.

Było to długie, przynębiające popołudnie. Przyszedł chłopiec z innego gospodarstwa, by pomóc w pracy. Większość owiec o czarnych pyskach zagnano na pastwiska, ale zostały dwie, które karmiły jagnięta. Próbowaly sforsować ogrodzenie, które chłopcy naprawiali, bo chciały się dostać do grochu i fasoli. Gdy im się nie powiodło, z czystej złośliwości goniły

Dzwonka, aż przewrócił się z wyczerpania. Jack musiał zamknąć go w stodole.

Owce potrafiły wskoczyć na kamienny mur wyższy od mężczyzny, przystanąć ze złączonymi nogami i zeskoczyć na drugą stronę. Ale płot je powstrzymywał, nie mogły bowiem balansować na jego wąskiej krawędzi. Jack z satysfakcją patrzył, jak owce bez powodzenia próbują przeskoczyć przez ogrodzenie.

Ignorował Lucy, która próbowała mu rozkazywać. Nie sądził, by naprawdę straciła rozum. Nie przypominała Głupiego Toma, ojca młynarza, którego trzeba było przywiązywać do drzewa, by nie zrobił sobie krzywdy. Lucy po prostu schowała się, tak jak wtedy, gdy królowa Frith trzymała ją w niewoli. Jack sądził, że przy odrobinie cierpliwości zdoła przywołać siostrę z powrotem.

Mógłbym spróbować dalekowidzenia, pomyślał. Znalazłem Thorgil. Czy poszukiwanie Lucy byłoby inne? Mogło się okazać zupełnie inne. Thorgil mieszkała w tym samym świecie, co on. W jakim dziwnym wymiarze wędrowała Lucy?

Tuż przed zachodem słońca bard przyszedł pod drzwi domu wraz z Pegą.

- Wszystko rozwiążemy, Alditho - powiedział do matki. Zmarszczył brwi, widząc Lucy w upapranej sukience i ojca, przycupniętego przy ogniu.

- Możesz przestać się gapić, Jack - powiedział starzec. - Pega postanowiła ci przebaczyć.

Ku swojemu przerażeniu chłopak zauważył, że Pega ma spuchnięte usta, a na jej wardze widnieje długie rozcięcie.

- Nie... nie chciałem cię uderzyć. Strasznie mi przykro - wyjąkał.

- Dostawałam już mocniej. Wiele razy - odparła z dumą.

- Aha. Hmm. - Odpowiedź zupełnie zbiła go z tropu. - To też niedobrze.

- Ale ja nie byłem pewien, czy ci przebaczyć - odezwał się bard. - To nikczemne i godne pożałowania bić kogoś, kto po prostu do ciebie podszedł.

Jack nie odezwał się. Bo co miał powiedzieć?

- Całe popołudnie myślałem o tej rodzinie. Wydaje się, że od ceremonii dzikiego ognia nic nie układa się jak należy.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Ostatnie promienie słońca zbladły, a ogień w palenisku dla odmiany rozbłysnął jaśniej. Był łagodny, wiosenny wieczór bez najłżejszego podmuchu. Do uszu Jacka dobiegł śpiew słowika, który przysiadł na jabłoni przy stodole.

- Tamtej nocy po świecie krążyły mroczne siły - oznajmił bard. - Przejście między życiem a śmiercią stało otworem i ogromne znaczenie miało to, by ogień zapaliło niewinne dziecko. Niestety, Lucy nie była bez winy. - Świdrował dziewczynkę wzrokiem. Odpowiedziała spojrzeniem, zupełnie niespeszona. - Z początku myślałem, że tylko Lucy jest podatna na to,

co się przedostało, ale zdaje się, że przeniosło się dalej. Mogłem się tego domyślić, kiedy Giles próbował kupić Pegę.

- To moja wina! To grzech pychy! - jęknął ojciec, kołysząc się w przód i w tył.

Bard popatrzył na niego, po czym mówił dalej.

- O ciebie też się martwiłem, Alditho. Zakazano ci widywać Jacka, ale kochająca matka przesyłała mu wiadomości. Wydawało się, że zamknęłaś swoje serce.

- Nieprawda! Przysięgam - wykrzyknęła matka. - Ale tu było tak ciężko.

- Okrucieństwo jest do ciebie niepodobne - powiedział starzec - a jednak wezwałaś Jacka z powrotem, wiedząc, że Giles zapewne go zbije. Dziś rano, gdy zobaczyłem, co Jack zrobił tej dziewczynie, byłem już gotów zmienić go w ropuchę. Co najmniej. Co ci przyszło do głowy? Mogłeś jej złamać szczękę!

- Nie... nie myślałem - odparł Jack. Chciał wpełznąć pod kamień i więcej stamtąd nie wychodzić.

- Podniosłem laskę, ale Pega złapała mnie za rękę. „On nie jest taki”, powiedziała. „Nie wiedział, co robi”. A ja zrozumiałem, że ma rację. Gdyby nie ona, chłopcze, już byś skakał po bagnach.

- Dziękuję ci, Pego - powiedział Jack z pokorą.

- Przynajmniej tyle mogę zrobić dla kogoś, kto ocalił mnie od niewolnictwa - stwierdziła Pega. - Poza tym bili mnie silniejsi. Twój cios nie znalazłby się nawet na trzecim miejscu.

Jack miał kłopot z oddzieleniem w tej wypowiedzi komplementów od zniewag.

- Podczas ceremonii Lucy stała się krzywda. Przeniosła się na Gilesa, a potem na Aldithę. A w końcu i na Jacka - powiedział bard. - To jak choroba siły życiowej. Spodziewam się, że zarazi całą wioskę.

Na zewnątrz było zupełnie ciemno, a ze wzgórz na zachodzie zaczął dąć zimny wiatr. Matka wstała, by zamknąć drzwi. Ogień rzucał na ściany roztańczone błyski, a cienie obecnych wyciągnęły się, tworząc na ścianach potężne postacie.

- Dlaczego nikt nie dał mi kolacji? - spytała Lucy. Zimny blask połyskiwał na jej srebrnym naszyjniku. Światło ognia było ciepłe i żółte, lecz naszyjnik połyskiwał błękitem, który przywodził na myśl lodowce i zamarznięte jeziora.

- Później zjemy - oznajmiła matka.

- Chcę jeść teraz! - krzyknęła Lucy. - Jestem księżniczką i nie muszę czekać! Powiedźcie tej zabiej niewolnicy, żeby się ruszyła!

Pega podskoczyła, zaciskając pięści.

- Odwołaj to! Nie jestem niewolnicą!

- Żaba, żaba, żaba - kpiła Lucy. Pega rzuciła się naprzód, ale bard stanął jej na drodze.

- Tak to się zaczyna! - krzyknął, wznosząc łaskę.

Jack poczuł falę gorąca, a Pega przykucnęła tam, gdzie stała. Powietrze zaszumiało, jakby coś przelatywało nad domem na ogromnych skrzydłach. Bard opuścił łaskę i wszystko ucichło.

- Tak rozprzestrzenia się zaraza - stwierdził starzec. - Niesie gorączkę i gniew. Musimy ją odegnąć, zanim pochłonie nas wszystkich. Po pierwsze, trzeba się pozbyć tego naszyjnika.

- Nie! - wrzasnęła Lucy. - Jest mój! Mój! Dała mi go moja prawdziwa matka! Nie pozwolę wam go dotknąć! - Wpadła w histerię, ojciec ustawił się między nią a pozostałymi.

- Nie pozwolę, żebyście ją skrzywdzili - oznajmił.

- Giles, głupcze, próbujemy jej pomóc - powiedział bard. - Z powodu tego naszyjnika była narażona na niebezpieczeństwo podczas ceremonii dzikiego ognia. Musi go oddać. - Matka, Jack i Pega stanęli za starcem. Jack czuł, że i jego ogarnia histeria. Wydawało się, że być może będą musieli obezwładnić ojca, a wynik takiej próby był niewiadomą. Mężczyzna wprawdzie kulał, ale lata pracy w gospodarstwie zrobiły swoje. Był twardy niczym stary dąb i uparty jak czarnopyski baran.

- Widzicie, to nie jej wina - stwierdził Giles Kuternoga. - To przeze mnie, przez kłamstwo, które wypowiedziałem dawno temu. Wiedziałem, że źle robię, tak, ale nosiłem w sobie grzech pychy. Dałem się zwieść na pokuszenie. Teraz spadła na mnie kara za ten grzech.

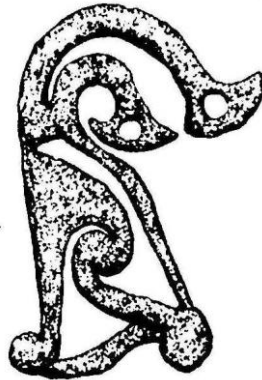
Bard usiadł na ławie i potarł oczy.

- Mówisz jeszcze bardziej od rzeczy niż zwykle. Słowo daję, połowa bólów głowy w wiosce to twoja sprawka. - Groźne napięcie odpłynęło z pomieszczenia. Jack i Pega usiedli przy nogach barda. Ten pierwszy odczuwał ogromną ulgę, że nie doszło do wymiany ciosów.

- Lepiej opowiedz mi o tym kłamstwie, Giles - powiedział starzec, masując sobie czoło. - Z twoich słów o grzechu wnoszę, że będzie to dramatyczna opowieść.

# Rozdział 8

## Zaginione dziecko



Lucy miała tylko dwa dni - zaczął ojciec - ale Alditha ciągle leżała w gorączce. Nie mogła karmić. Na szczęście żona garbarza właśnie urodziła dziecko. Włożyłem Lucy do kosza i zaniósłem ją do garbarni, która, jak wiecie, znajduje się po drugiej stronie leszczynowego zagajnika.

Jack znał to miejsce - a kto go nie znał? Zanim grabarz zmarł dwa lata temu, jego warsztat czuć było po zapachu, na długo zanim się go zobaczyło. Skóry, które przynosili mu ludzie, moczył w dużej wapiennej niecce. Gdy sierść już odpadła, skrobał skóry i zanurzał je w mazi z kory, by się zabrazowały, i otaczał je wszelkimi zgniłymi owocami, jakie tylko zdołał wyprosić od gospodarzy. Dzieło wieńczył okład ze świńskiego i kurzego nawozu. Powiedzieć, że to miejsce cuchnęło niczym tylna brama Piekła - to jeszcze za mało.

Jack rozumiał jednak, że zabranie tam Lucy było sprawą życia i śmierci. Częściowo pamiętał, jak jej nie było. Bardziej przejmował się wtedy chorobą mamy.

- Żona garbarza karmiła Lucy, dopóki Alditha nie wyzdrowiała - opowiadał ojciec. - Poszedłem, żeby zabrać małą do domu, a w drodze powrotnej zobaczyłem, że na ziemi w leszczynowym zagajniku leży pełno orzechów. Była to doskonała okazja. Zwykle o tej porze dziki dawno by je już zżarły. Postawiłem koszyk z Lucy w gałęziach czarnego bzu na skraju lasu. Była tam dobrze ukryta i spała jak aniołek. Pamiętam, że pomyślałem, jaka jest do mnie podobna. - Jack, Bard i matka wyprostowali się. Pega, która nie znała dobrze tej rodziny, wciąż patrzyła na ojca z wyteżoną uwagą. Wszyscy pozostali wiedzieli, że Lucy nie jest w



najmniejszym stopniu podobna do Gilesa Kuternogi. Miała złote włosy i niebieskie oczy i była piękna niczym promień słońca w ciemnym lesie.

- Myślałem, że jest bezpieczna - mruknął mężczyzna. - Myślałem, że nic jej nie dosięgnie. Napełniłem worek orzechami, a kiedy wróciłem, zobaczyłem, że na krzewie coś się porusza. Upuściłem worek i rzuciłem się biegiem. Usłyszałem straszny, przenikliwy dźwięk, gorszy niż wycie wilków. Ze wszystkich stron wokół czarnego bzu skakały... stwory.

Wyglądały jak mali, pokraczni ludzie, cętkowani niczym trawa w leśnym poszyciu. Ich ruchy przyprawiały o zawroty głowy, to byli widoczni, to zlewali się z liśćmi, by po chwili znów się pojawić. Biegali przy ziemi jak pająki i podawali sobie jakieś zawiniątko, a ja zobaczyłem, że... że to Lucy!

Ojciec skulił się, niemal dotykając głową kolan. Jack pomyślał, że chyba zrobiło mu się niedobrze. Sam miał mdłości na myśl o tej maleńkiej dziecinie, rzucaanej to tu, to tam. Wstrząśnięta matka zbladła jak płótno.

- Co się potem stało? - spytał bard.

Giles Kuternoga usiadł prosto z twarzą wykrzywioną bólem.

- Próbowałem je złapać, ale biegały w różne strony, rzucając sobie dziecko. Odbiegły między drzewami i pognały na wzgórza, oddalając się od wioski. Przemykały pod tak niskimi gałęziami i przez tak wąskie szczeliny, że nie mogłem ich tamtędy gonić i musiałem nadkładać drogi. Przeklinałem swoje kalectwo. Nie mogłem im dorównać prędkością i coraz bardziej się oddalały, aż w końcu stały się tylko plamą w dużej odległości. A potem zniknęły.

Biegłem dalej, wołając i obiecując im wszystko, jeśli tylko oddadzą mi dziecko. Ale nie odpowiadały. Las przecinało dziesiątki ścieżek, dziesiątki strumyków i dolinek. Przeszukiwałem je, jedną po drugiej, aż zapadł zmrok. W końcu wróciłem pod czarny bez. Ukłąłem przy nim i modliłem się do Boga o miłosierdzie, jeśli nie wobec mnie, to wobec Aldithy.

- Gdy się tak modliłem, usłyszałem cudowny, świergotliwy głos szczęśliwego niemowlęcia. Wspiąłem się do koszyka, a tam, zawinięte w kocyk, leżało najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałem. Wiedziałem, że przysłał je Bóg - powiedział Giles Kuternoga, a jego oczy zalśniły radością. Wydawało się, że jest zupełnie gdzie indziej, ale gdy minęło kilka chwil i nikt nie przerwał milczenia, zachwyty zniknął z jego twarzy.

- Mam nadzieję, że przysłał ją Bóg - stwierdził.

Wtedy czar przysł.

- To znaczy, że Lucy nie jest moim dzieckiem? - wykrzyknęła matka.

- Mówiłam, że nie jestem - odparła swobodnie Lucy. Spośród wszystkich obecnych, ona

jedna nie wydawała się oszołomiona. Przeciągnęła się miękko niczym kot i lekko ziewnęła. - Tata zawsze mówił, że jestem księżniczką.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi prawdy? - spytała matka piskliwym głosem. - Przyjęłabym tę Lucy, ale szukałabym też tej drugiej. Cała wioska by pomogła.

- Tak, no, byłaś chora. Chwilowo nie byłaś sobą.

- Nie wtedy! Nie po twoim powrocie! Wydawało mi się, że dziecko wygląda inaczej, ale widziałam je tylko przez krótki czas. O, Giles, jak mogłeś?

- Dałem się zwieść na pokuszenie - odparł ojciec pustym głosem. - Popełniłem grzech. Nie myśl, że nie zadreślałem się z powodu swojej słabości!

- Proszę, przestań ofiarowywać swoje cierpienie Bogu - powiedział bard znużonym tonem. - Mamy poważny kłopot, a twoje oszustwo zbyt nam nie pomogło. - Podszedł do Lucy, by popatrzeć jej w oczy. Matka opadła na ławę. Zdawała się nie oddychać. Jack czuł się jak w jakimś koszmarnym śnie. Jak Lucy mogła przestać być jego siostrą? Musiał jednak przyznać, że czasami zachowywała się dziwnie.

- Kim ona jest? - spytał barda.

- To bardzo ciekawe pytanie - odparł starzec. - Widziałem podmienione dzieci... - Ojciec jęknął, a matka głośno westchnęła - ...ale żadne nie było do niej podobne. - Podmienione dzieci, biedactwa, to w naszym świecie odmieńcy.

- Czy ja mogę być takim dzieckiem? - odezwała się nagle Pega. Jack podniósł wzrok i ujrzał malujący się na jej twarzy niepokój. Twarz ta w połowie zakryta była znamieniem, a w połowie blada ze strachu. - Często myślałam, że tak jest. Żona wodza ma zwierciadło z polerowanego brązu. Przejrzałam się w nim.

- Nie, moja droga - powiedział łagodnie bard. - Podmienione dzieci zawsze się boją, bo wyrwano je z miejsca, do którego należą. Mają napady wściekłości i krzyczą, doprowadzając wszystkich do szału. Ale nie rozumieją, co robią, bo nie umieją pojąć uczuć innych ludzi. Ty, moje dziecko, nie jesteś taka.

Na obliczu Pegi odmalowała się tak wyraźna ulga, że aż żal było patrzeć.

- Lucy... - powiedział z wahaniem bard. - Wydaje się, że zależy jej na innych, a jednak jej emocje zmieniają się jak słoneczne błyski na strumieniu.

- Na mnie jej zależy - stwierdził Giles tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Kiedy jej to pasuje.

- To nie jest podmienione dziecko i już. Wszyscy ją kochają - odparł ojciec.

- Dlatego, że jestem księżniczką - powiedziała Lucy, poprawiając piękne, złote włosy.

- Muszę to przemyśleć - oznajmił bard, nie zważając na uroczy uśmiech małej. - Nie

należy psuć takiego pięknego, wiosennego wieczoru niepotrzebnymi troskami. - Wyjął ze swojej sakwy pakunek, owinięty natłuszczoną skórą. Wewnątrz było pięć wysmienitych, wędzonych pstrągów, które złowiła Pega. Matka szykowała już jęczmienne ciastka i garnek pasternaku, utartego z odrobiną masła.

Pega pomogła podać kolację. Wzięła się do pracy z nie mniejszą chęcią niż w domu barda, a mama ciepło jej za to podziękowała. Ja też pomagałem, pomyślał Jack. Cały dzień naprawiałem ogrodzenie i ganiałem złośliwe owce. Nikt nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi. Jak zwykle. Wielkie nieba, myślę jak rozkapryszony trzylatek. To pewnie ta choroba, o której mówił bard. Zmusił się, by wyglądać na zadowolonego.

Bard zabawiał ich historyjką o wyspie, zrobionej tylko z lodu, na której spędził tydzień. Stoczył bój z trollowym niedźwiedziem, który dryfował na tej samej wyspie, i odegnał zwierzę do morza.

Myśli Jacka wciąż wracały do Lucy. Zawsze była inna od pozostałych, ładna i jasnowłosa. Nie chodziło tylko o karnację. Jej ruchy wywoływały w człowieku radość. Jej uśmiech sprawiał, że zapominało się, jak denerwująca była jeszcze przed chwilą. Nawet on, który nie był tak ogłupiały na jej punkcie jak ojciec, śmiał się bez wyraźnego powodu, gdy akurat postanawiała być miła.

Bard i Pega zostali na noc, z czego Jack się ucieszył. Czuł się nieswojo w obecności ojca. Nie starczyło dla wszystkich pościeli, więc to, co najlepsze, dostał oczywiście bard. Jack i Pega musieli się zadowolić nędznymi stertami słomy, podczas gdy Lucy, jako zaginiona księżniczka, spała na miękkich owczych skórkach.

Jack zbudził się przed świtem, zmarznięty i rozdrażniony. Bard siedział już przy żywym ogniu i gestem zaprosił go do paleniska, jakby dzień wcześniej nic się nie wydarzyło.

- Myślałem o twojej siostrze - oznajmił starzec, grzebiąc łaską w płomieniach.

- Sądzę, że tak naprawdę to nie moja siostra - powiedział Jack. W pewnym stopniu czuł się tak, jakby Lucy nie żyła, choć, ma się rozumieć, spała w najlepsze na strychu.

- To nie jest kwestia więzów krwi, chłopcze. Całe życie się nią opiekowałeś, a to sprawia, że w sercu jest dla ciebie siostrą. Martwię się o to, do jakich uczuć jest zdolna.

Zaczynał się poranny chór - świergot rudzików, ćwierkanie strzyżyków, pogwizdywanie drozdów. Ponad tym wszystkim, w sadach i lasach, nawoływały się wrony, jakby chciały się upewnić, czy ich towarzyszki przeżyły noc. Thorgil rozumiałaby, co mówią, choć drażniła ją ich bezmyślna paplanina.

- Widziałem Thorgil - wypalił Jack do barda. - Podczas dalekowidzenia.

- Udało ci się? To znakomicie!

Jack napawał się pochwałą. Opowiedział, jak patrzył na namalowanego ptaka, siedzącego na trzcinie i nagle okazało się, że ptak trzyma w dziobie konika polnego.

- Tak się zdarza, kiedy wizja ożywa - wyjaśnił bard. - Zobaczyłeś ptaka takim, jaki był, kiedy malowali go dawni Rzymianie.

- Na trzcinę padało światło, a kiedy się odwróciłem, by sprawdzić, skąd się wzięło, zauważyłem ognisko na plaży. Thorgil biła się z jakimś dziwnym chłopcem.

- To by się zgadzało - stwierdził mentor. - Powiedz, czy woda była na wschód, czy na zachód od nich?

Jacka ogarnęła nagła tęsknota, a wizja w jego umyśle stała się wyraźniejsza. Ujrzał szarozielone morze, rozciągające się za ogniskiem. Słońce wspinało się nad ścianę mgły nad wodą w oddali. A to znaczyło że... że...

- Woda była na wschodzie!

Bard pokiwał głową. Jack od razu zrozumiał. Ludzie Północy znowu przeprawili się przez morze. Co zamierzali? Czy w tej chwili Thorgil płynęła wzdłuż wybrzeża z bandą berserkerów?

Bard przyłożył palec do ust.

- Później o tym porozmawiamy. - Ze strychu dobiegły narzekania Lucy i przepraszający głos ojca.

Pega usiadła gwałtownie, a z jej włosów w strąkach opadło kilka źdźbeł słomy. Natychmiast zabrała się do dzieła. Ułożyła pościel, rozstawiła kubki i wsunęła pogrzebacz do ognia, by podgrzać cydr. Jack doceniał jej starania, ale czasami jej niespożyta energia sprawiała, że odczuwał zmęczenie. Zanim nadeszła matka, Pega postawiła już na palenisku żelazny garnek, kupiony za srebro Jacka, i grzała wodę na owsiankę. Ojciec zgramolił się po drabinie z Lucy na rękach.

- Gdzie mój cydr? - spytała mała. - Umieram z pragnienia. Chcę dużo miodu do owsianki.

- Pomogę ci - powiedział pospiesznie Jack, bojąc się, że Pega przyłoży jeszcze dziewczynce pogrzebaczem. Wziął bukłak i napełnił kubki. Mama przejęła zadanie gotowania owsianki.

- Chcę porozmawiać z bratem Aidenem - oznajmiła, nie podnosząc wzroku znad wykonywanej pracy.

- Oczywiście - powiedział potulnie ojciec.

- Doskonały pomysł! - ocenił bard. - Też mam do niego kilka pytań. Jestem niemal pewien, że wiem, czym były te stwory w leszczynowym zagajniku, ale przyda się opinia brata Aideny.

- Chcę wiedzieć, gdzie mieszkają. - Mieszkała owsiankę i nie podnosiła głowy. - Chcę, żebyś je znalazł, Giles, i przyprowadził naszą córkę do domu. I masz to zrobić natychmiast, bez przystanków na piwo z kowalem. Słyszysz?

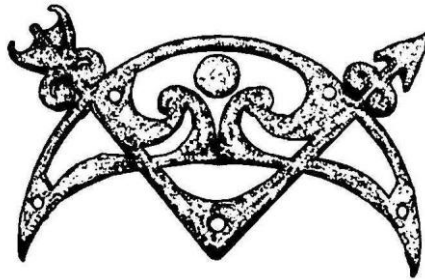
Matka tak rzadko wydawała polecenia, że wszystkie oczy zwróciły się na nią ze zdumieniem. Ludzie łatwo zapominali, że ta kobieta zna dobre czary i umie ujarzmić zwierzęta za pomocą głosu. Teraz właśnie posługiwała się tym głosem. Nikt się nie odezwał, nawet bard. Jack poczuł, że powietrze drży.

- Słyszysz mnie, Giles? - powtórzyła kobieta.

- Tak, najdroższa - odparł ojciec. Wibracje powietrza ustały. Wszyscy odprężyli się i powrócili do przerwanych czynności.

## Rozdział 9

### Brat Aiden



Mgła wzbijała się znad pól i łąk, gdy szli w kierunku chaty brata Aiden. Lucy uparła się, by jechać na Dzwonku, choć Jack uważał, dobrze by jej zrobiło pójście piechotą.

Brat Aiden siedział na zewnątrz z twarzą zwróconą ku stadu jaskółek, krążących w powietrzu. Patrzył na nie z wyrazem takiej radości, że Jack podniósł wzrok, by sprawdzić, czy nic mu nie umknęło. Były to zwykłe ptaki, latały i ćwierkały, chłopak zauważył jednak, że nie oddalają się zbyt od chaty zakonnika.

- Wielbią Boga - powiedział drobny mnich, budząc się z transu, by powitać gości. Kiedy odwrócił uwagę od nieba, jaskółki pomknęły ku leszczynowemu zagajnikowi.

Wnętrze chaty o kształcie ula było pogrążone w mroku i zagracone. Znajdował się tam maleńki ołtarz z cynowym krzyżem. Ojciec zrobił bratu Aidenowi stołek i stół do pracy, a także skrzynię na żywność. Gdy to wszystko znalazło się w środku, niemal brakowało już miejsca dla samego mnicha. A zatem ojciec dobudował szopę do gotowania posiłków. Z tyłu małego, schludnego budynku znajdował się ogród z ziołami i warzywami.

Przy ładnej pogodzie brat Aiden wyciągał stół na zewnątrz, by pracować nad kopiowaniem ksiąg. Teraz też się tym trudził. Obok kałamarzy leżały gęsie pióra i pędzelki z kuniej sierści. Miał tylko trzy kawałki pergaminu, ale pracował tak powoli, że nie miało to znaczenia. Pergamin pokrywały kręte wzory z dziwnymi, drobnymi detalami, takimi jak pnącza, węże czy oczy.

- Naprawdę go wielbią? - spytał ojciec w zadziwieniu, patrząc za odlatującymi jaskółkami.

- Wszystko go wielbi - odparł brat Aiden. - Święty Kutbert medytował, zanurzony po

szyję w zimnej wodzie, a gdy wyszedł, wydry łąsiły mu się do stóp, by je osuszyć.

Jack już miał spytać, w jaki sposób coś tak mokrego, jak wydra, mogło cokolwiek osuszyć, uciszył go jednak surowy wzrok barda.

- Przychodzimy z pytaniami - oznajmił starzec.

- Postaram się odpowiedzieć, chociaż wiecie, że nie mam wybitnego wykształcenia.

- Dasz radę - odrzekł z uśmiechem bard. - Giles właśnie zdradził, że Lucy nie jest jego córką. - I powtórzył braciszce historię o czarnym bzie i małych ludziach.

- Ciekawe - powiedział mnich. - Wygląda to na puki.

- Puki? - powtórzył Jack, który nie spotkał się z tym słowem.

- Inaczej hobgobliny. Mają wiele nazw - stwierdził bard. - Też o nich myślałem.

- Nie mogę znieść myśli, że moje dziecko zabrały te... te stwory! Czy ona w ogóle żyje?

- Moja biedna Alditha! - Brat Aiden złapał ją za rękę. - Jacy z nas głupcy, że rozmawiamy o twojej córce tak, jakby stanowiła tylko ciekawą zagadkę. Moim zdaniem to bardzo prawdopodobne, że twoje dziecko żyje. Puki nie są złe, tylko złośliwe. Czasami zakwaszają mleko albo robią dziury w wiadrach. Nic wielkiego.

- Ale czego od niej chciały?

Brat Aiden i bard wymienili spojrzenia.

- To jest jedyny słaby punkt tej teorii - przyznał bard. - Nigdy nie słyszałem, żeby puki ukradły dziecko.

- Jeśli tak się stało, na pewno są dla niego dobre.

Mama usiadła z twarzą w dłoniach, a ojciec - z wahaniem, jakby obawiał się odrzucenia - ukląkł przy niej.

- Poszukam ich. Zaproponuję okup.

- Nie wiesz, gdzie mieszkają. - Głos kobiety był stłumiony.

- W tym ja mogę pomóc - powiedział bard. - Są przejścia do ich krainy, jeśli się wie, gdzie szukać. A ja, ma się rozumieć, wiem. Puki żyją w podziemnych jaskiniach, w młodości często je odwiedzałem. Lubią ciemne lasy i góry z wartkimi strumieniami. Najbliższe takie miejsce to Zapomniany Las.

Zapomniany Las, pomyślał Jack. Co za cudowna nazwa! Już samo jej brzmienie budziło dreszcz emocji. Niemal widział postrzępione, porośnięte paprocią rozpadliny.

- Gdzie to jest? - spytał z zapalem.

- O kilka dni drogi od Bebbas Town.

- Jeśli te stwory mieszkają tak daleko, co robiły tutaj? - spytał ojciec.

- Nie znasz puków - powiedział bard. - Przebiegną trzydzieści mil, by nazbierać

orzechów, i na kolację będą z powrotem w domu. Wariują na punkcie orzechów laskowych.

- Gdybym tylko nie zatrzymał się w lesie - jęknął ojciec.

- No ale się zatrzymałeś, a to prowadzi nas do drugiego pytania - powiedział bard. - Skąd wzięły Lucy?

Wszyscy odwrócili się w jej stronę. Zbierała polne kwiatki przy ogrodzie brata Aiden, jak zwyczajne dziecko. Potem jednak rzuciła je w kierunku Pegi i nieprzyjemnym tonem powiedziała: - Uwij z nich dla mnie koronę, żabo.

- Sama to zrób, pluskwo - odparła dziewczyna. „Pluskwa” to była w ustach Pegi najgorsza obelga. Nienawidziła tych krwio pijnych owadów, bo jeden z właścicieli zamykał ją w chacie, w której się od nich roiło.

Bard opowiedział o zmianie zachowania Lucy od czasu ceremonii dzikiego ognia i gniewie, który rozprzestrzenił się na Gilesa, na Aldithę i na Jacka.

- Może została opętana - powiedział brat Aiden. - Powszechnie wiadomo, że dzieci rozpieszczane przez rodziców przyciągają demony. Dusze dzieci, które muszą znieść ciężki los, są zbyt twarde, by demony zatopiły w nich zęby. Szukają więc raczej łagodnych owieczek.

- Nie mów takich rzeczy! - poprosił ojciec.

- Przepraszam. Tak po prostu jest - stwierdził drobny zakonnik. - Egzorcyzmy mogą bardzo pomóc Lucy.

- Nie jest opętana!

- Nazywaj to szaleństwem, demonem czy jak tam chcesz, ale podczas ceremonii coś się wydarzyło - powiedział bard.

- Oj, przestańcie, proszę - wtrąciła matka, a Jack dostrzegł, że wygląda na bardzo zmęczoną. Pierwszy raz dostrzegł w jej włosach pasma siwizny i zmarszczki po obu stronach ust. Musiała mieć je wcześniej, ale ich nie zauważył. - Z każdym dniem Lucy coraz bardziej się od nas oddala. Na początku twierdziła tylko, że jest córką kogoś innego... nie wiedziała, że trafia w sedno! Ale teraz przemawia do ludzi, których nie widzę, i powtarza rozmowy, których nie słyszę.

Jack zobaczył, że jego młodsza siostra rozmawia z kimś w tej właśnie chwili. Siedziała na trawie, a kwiaty, które nazbierała, rozrzucone były wokół niej. Patrzyła w jakieś miejsce tuż ponad ogródkiem ziołowym brata Aiden. Jej twarz przepelniona była radością i mała klaskała w ręce, jakby oglądała jakieś wspaniałe przedstawienie.

- Nie mówiłaś o tym wcześniej, Alditho - powiedział ojciec.

- Jak bym mogła, skoro ciągle opowiadasz o demonach?



W ogródku nie było nic z wyjątkiem rozmarynu, mięty, szalwii i kilku pszczoł, unoszących się nad kwiatami.

- Lucy - przemówił łagodnym tonem bard. - Co widzisz?

Odwróciła się gwałtownie z twarzą wykrzywioną gniewem.

- Zostaw nas! - warknęła. - Nikt nie pozwolił ci się odezwać.

- W takim razie proszę o pozwolenie - powiedział starzec, a Jack nie mógł się nadziwić jego cierpliwości.

Lucy przez chwilę wydawała się zmieszana. Odwróciła się w stronę grządek, a później z powrotem.

- Możesz mówić - oznajmiła.

- Niestety, nie widzę twoich przyjaciół.

- To dlatego, że jesteś prostakiem - odparła.

- Lucy! - wykrzyknęła matka.

- W porządku. Byłbym bardzo wdzięczny, Lucy, gdybyś przekazała swoim przyjaciołom moje pozdrowienia.

Mała znów odwróciła się do ogródka i powiedziała coś z powagą. Jej usta poruszały się, ale nie dobywał się z nich żaden dźwięk. Bard podszedł bliżej i uważnie wpatrywał się w grządki. W końcu dziewczynka powiedziała: - Mówią, że jesteś głupim staruchem z włosami w uszach. - Matka chciała zaprotestować, ale starzec uniósł dłoń.

- Wszystko prawda, oprócz „głupim” - stwierdził. - Powiedz, czy ci przyjaciele mają jakieś imiona?

- Nie chcą się przedstawić.

- Co teraz robią?

- Tańczą... och!

Bard rzucił swój płaszcz na grządki. Przycisnął go nogą do ziemi.

- Szybko, Jack! Złap drugi koniec! - krzyknął, lecz zanim chłopak zdążył zareagować, nagły, zaciekły podmuch narzucił płaszcz na głowę starca. Tkanina ciasno przylegała do jego twarzy. - Zdejmijcie to ze mnie! - zawołał stłumionym głosem. Jack musiał wyteńczyć siły, by oderwać płaszcz. Zdawało się, że płachta tkaniny dysponuje własną wolą! Po chwili jednak opadła bezwładnie na ziemię.

- Prawie ich miałem! - wydyszał bard.

- Wystraszyłeś ich! - krzyknęła Lucy. Rzuciła się na ziemię i zaczęła turlać się to w jedną, to w drugą stronę, zgrzytając zębami. Gdy ojciec próbował ją podnieść, uderzyła go pięściami.

- To naprawdę były demony! - mruknął mężczyzna.

- Nie możemy mieć pewności - odparł bard, otrzepując brodę. - Osobiście uważam, że „demony” to bardzo szerokie pojęcie. To chochliki i utopce, błędne ogniki i skrzaty, krasnale i driady, nie wspominając już o nimfach. Cudownie różnorodne istoty. Równie dobrze można wszystko, co ma skrzydła, nazywać „ptakiem”.

Brat Aiden ukląkł przy Lucy i położył jej rękę na głowie. Nic nie powiedział, ale jego dotyk uspokoił ją, tak jak ręka dobrego gospodarza uspokaja przestraszone jagnię.

- Została opętana, tak? - spytał ojciec.

- Nie jestem pewien - odparł mnich. - W Bebba's Town jest opat, który specjalizuje się w takich przypadkach.

- Jeśli chcesz poznać moje zdanie, a oczywiście powinieneś chcieć - powiedział bard - opat nie będzie miał bladego pojęcia, jak się zająć problemem Lucy.

- Egzorcyzmy jeszcze nikomu nie zaszkodziły - upierał się brat Aiden.

- Egzorcyzm... to jak zabijanie komara głazem. - Bard w zamyśleniu krążył wokół ogródka. - Może wyrządzić Lucy nie mniejszą krzywdę niż komarowi.

- Nie możemy jej tak zostawić. - Zakonnik pogładził Lucy po włosach, wciąż jednak miała zdezorientowane, niewidzące oczy.

- Bebba's Town leży blisko Świętej Wyspy - mruknął ojciec z tęsknym spojrzeniem w oczach. Jack wiedział, że mężczyzna wspomina swoje odwiedziny na wyspie przed laty, kiedy to przemili mnisi próbowali wyleczyć mu nogę.

- Na Świętej Wyspie nikogo już nie ma - przypomniał mu brat Aiden. - Ten opat, ojciec Swein, mieszka w Klasztorze Świętego Filiana. Studnia Świętego Filiana słynie z uzdrowień.

- Myślisz, że mogłaby mi wyleczyć nogę? - spytał ojciec.

- Dla Boga wszystko jest możliwe, ale studnia leczy raczej przypadłości duszy. To może być coś w sam raz dla Lucy.

- To byłoby jak pielgrzymka - stwierdził ojciec. Wciąż miał tęskny wzrok.

- Pielgrzymka? - powtórzył brat Aiden.

- Moglibyśmy iść też do Zapomnianego Lasu - dodał Jack. Przez cały czas kiełkowało w nim dziwne uczucie, niczym młoda roślina, wzrastająca ku słońcu. Ujrzał okręt, pochylający się pod podmuchami zimnego wiatru na szarozielonym morzu. Brzeg porastała gęstwa ciemnych drzew. Powinienem być już mądrzejszy, pomyślał, gdy narastała w nim żądza przygód. Kiedy zdarzyło się to ostatnim razem, omal nie skończyłem w smoczym żołądku. Uczucie było jednak zbyt silne, by je stłumić.

Pomimo radości po powrocie do domu z dalekiej północy, życie w wiosce wydawało mu

się trochę nudne. Nie żeby lubił spotkania z trollami czy olbrzymimi pajakami. Ale z perspektywy czasu cała wyprawa wydawała się miłsza, niż naprawdę była. Taka już jest natura przygód, pomyślał mądrze Jack. Kiedy je przeżywasz, są okropne, dopiero później stają się przyjemne.

- Może znajdziecie moją zaginioną córkę - mruknęła matka.

- Oj, dobrze - ustąpił bard. - Chyba dam się namówić na wyprawę do Zapomnianego Lasu. Od lat nie rozmawiałem z pukami. - Także w jego oczach pojawiło się tęskne spojrzenie.

Wszyscy siedzieli w jakimś oszołomieniu. Parę godzin wcześniej ich problemy zdawały się przytłaczające. Teraz, w jasnym, wiosennym słońcu, gdy na tle nieba krążyły ćwierkające jaskółki, układał się przed nimi plan. Ojciec wydawał się nieobecny, a Jack zdał sobie sprawę, że mężczyzna nigdy donikąd nie podróżował, nie licząc tej jednej wyprawy na Świętą Wyspę. Bard uśmiechnął się, wspominając jakieś przeżycia, których Jack mógł się jedynie domyślać. Sam chłopak już oczyma duszy widział siebie w magicznym lesie, pełnym maleńkich ludzi.

- Jeśli mamy wyruszyć, ktoś musi spakować rzeczy - powiedziała Pega, jak zwykle myśląca praktycznie, przerywając ogólne odrętwienie.

Jack podniósł wzrok. Nie przypominał sobie, by ktoś ją zapraszał.

- Muszę zajmować się gospodarstwem - powiedziała matka. - Poproszę o pomoc żonę garbarza i jej dwie córki. Ucieszą się, mogąc się wyprowadzić z tej swojej nędznej chatynki.

- Szkoda, że nie możesz iść - powiedział Jack, szczerze żałując, że zostawia ją z całą pracą na głowie.

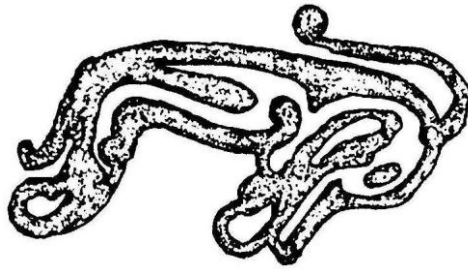
- Tak będzie lepiej - powiedziała matka. - Moje miejsce jest wśród pól, zwierząt i pszczół, a nie w klasztorze. Poza tym miło będzie porozmawiać o babskich sprawach. Tylko nie ociągajcie się za bardzo z powrotem!

- No to załatwione - powiedział bard. - Wezmę ziołowe lekarstwa, którymi będziemy płacić za kwatery. Giles może zabrać świece, a Aiden swoje specjalne atramenty. Idziesz z nami, prawda, Aiden?

- Na pielgrzymkę? W odwiedzinach do świętego Filiana? - wykrzyknął mnich. - Za nic nie przepuszczę takiej okazji!

# Rozdział 10

## Pielgrzymka



Jack zabrał pułapkę na węgorze, a Pega podręczny worek i ruszyli w stronę strumienia. Ślizgając się na trawiastym brzegu, zeszli w miejsce, gdzie woda była głęboka i bystra. Jack włożył do pułapki trąbiki jako przynętę, a następnie umieścił ją w bocznej, zacienionej odnodze strumienia - w miejscu z rodzaju tych, w których lubią kryć się węgorze. Potem wraz z Pegą usiedli w cieniu kępy olch i czekali.

- Bardzo mi przykro, że cię uderzyłem - powiedział Jack, patrząc z niezręczną miną na rozcięcie na jej wardze.

- Na jakiś czas oszalałeś - stwierdziła Pega. - Jeden z moich właścicieli wariował raz w miesiącu, podczas pełni.

- Nie jestem taki zły - powiedział Jack, dotknięty tym porównaniem.

- W porządku. Możesz mnie bić, ile chcesz. Wyzwoliłeś mnie, więc zasłużyłeś na takie prawo.

- Nie chcę tego prawa! Dziwna jesteś - stwierdził.

- Nawet nie w połowie tak dziwna, jak twoja siostra. Wiele uchodzi jej na sucho, tylko dlatego, że jest ładna.

Jack spojrział na Pegę, zdziwiony spokojem w jej głosie. Przefiltrowany przez liście blask słońca malował na jej twarzy wzór plam cienia i światła, łagodząc szpecący efekt znamienia. Z drugiej strony, wyglądała jak nakrapiana. Przykucnięta pozycja też nie przydawała jej uroku. Wyobraził sobie, że dziewczyna kumka i łapie muchę za pomocą języka.

- Przeszkadza ci... że jest ładna? - spytał.

- To znaczy, czy jestem zazdrosna? Kiedyś może by tak było. Kiedy byłam młodsza, w

pierwszy dzień maja wychodziłam obmyć twarz rosą. Powiadali, że od tego się pięknieje, ale na mnie nie podziało. - Ciemny cień przemknął przy dnie strumienia i wpłynął do bocznej odnogi. - To, że jestem brzydka, nie oznacza, że nienawidzę piękna. W pułapce jest węgorz - powiedziała.

Wyciągnęli go szybko, zanim zdołał się wydostać. Woda ochlapała im nogi i ubrania. Była to duża sztuka. Ryba miała metr długości i rzucała się ze wszystkich sił. Pega odcięła jej głowę nożem rybackim, po czym wcisnęła wciąż wijącego się węgorza do worka.

- Jesteś w tym dobra - przyznał Jack, który poczuł wywołane śmiercią węgorza drżenie powietrza.

- Kiedyś złapałam sześć z rzędu - pochwaliła się. Wrzucili pułapkę z powrotem do wody. Gdy mieli cztery ryby, Pega po kolei poluzowała im skórę na szyjach. Następnie silnym, szybkim szarpnięciem ściągała ją z całego węgorza, niczym ktoś, kto zdejmuje rękawiczkę. Potem rozcięła ryby i starannie oczyściła je w strumieniu z wnętrzości.

Po powrocie do domu powiesiła je, ogonami w dół, w beczce nad dymiącym ogniem.

- Nauczyłam się tego od jednego z moich właścicieli w Edwin's Town - wyjaśniła. Węgorze wisały tak przez trzy dni i noce. Wszędzie unosił się zapach spalonego rybiego tłuszczu. Ale czwartego ranka pachniały wyśmienicie. Mogły teraz długo zachować świeżość.

Jack dziwnie się czuł, gdy Pega tak beztrąsko mówiła o „jednym z właścicieli”. Najwyraźniej ciągle ją sprzedawano i błąkała się raz tu, raz tam niczym brzydki pies. Edwin's Town leżało tak daleko na północy, że nawet nie mówiono tam po sasku.

Wyruszyli przy pięknej pogodzie. Z każdego zagonu i drzewa rozlegały się ptasie śpiewy. Brat Aiden informował mijanych wieśniaków, że idą na pielgrzymkę, a wszyscy uśmiechali się i życzyli im szczęścia. Pielgrzymki były w dużym poważaniu, im dłuższe, tym lepsze. Można było iść do Canterbury, do Rzymu albo nawet do Jerozolimy i przeżyć przy tym chwalebne przygody. Wszyscy cię szanowali, a jeśli po drodze zostałeś męczennikiem, wędrowałeś prosto do Nieba.

Giles Kuternoga szedł swoim nierównym krokiem, stąpając z entuzjazmem, jakiego od lat nikt u niego nie widział. To jest życie, myślał. Powinien był zostać wędrownym mnichem. Lucy jechała na Dzwonku, który niósł też juki z towarami na wymianę, a także harfę barda. Bard i Jack maszerowali po obu stronach zwierzęcia, trzymając w dłoniach laski. Dla przypadkowego przechodnia wyglądały one jak zwykłe kije do podpierania się, ale za pomocą swojej laski bard mógł wywołać wicher, zwalający wroga z nóg, albo uśpić niedźwiedzia. Obiecał, że przekaże Jackowi te umiejętności, gdy dotrą do Zapomnianego Lasu. Brat Aiden i

Pega zamykali pochód.

Kiedy doszli na szczyt wzgórza - w ostatnie miejsce, z którego jeszcze widać było wioskę - odwrócili się, by popatrzeć. Żegnał ich pogodny, miły widok. Z tuzina domów wzbijały się smugi dymu. Szczególnie duży i gęsty słup unosił się nad dołem, w którym kowal wypalał węgiel drzewny.

- Okryję to miejsce ochroną - powiedział bard. Zaintonował zaklęcie w języku, którego Jack nie znał. Brat Aiden pobłogosławił dolinę po łacinie.

Jack zmrużył oczy, chcąc dojrzeć dom w drugim krańcu doliny. Połyskiwał w ciepłej mgielce, unoszącej się nad polami. Także nad jego dachem widniała smuzka dymu. Mama piekła ciastka owsiane. Nie dla niej wolność radosnej pielgrzymki. Należało nakarmić kury i gęsi, powrywać chwasty, podlać grządki. Ktoś musiał nadzorować chłopców, którzy przychodzili pomagać. Jack odczuwał smutek, zostawiając matkę, ale wiedział, że sprawi jej ogromną radość, jeśli wróci z zaginioną siostrą.

- Nie chciałbym na długo zostawiać wioski bez opieki - mówił teraz bard, osłaniając oczy i spoglądając w kierunku morza. - Niektórzy mówią, że smocze łodzie znowu ruszyły.

- Przekłęci łupieżcy - mruknął ojciec.

- Niechaj ciemność opadnie im na oczy. Niechaj sztormy rozerwą im żagle. Niechaj dryfują po głębinach, do jedzenia mając tylko wiatr - powiedział brat Aiden. Podejrzanie przypominało to jedną z klątw barda, a nie łagodne zazwyczaj modlitwy mnicha.

Jack milczał. Wiedział, że gdzieś tam jest Thorgil. Bez wątplenia zajmowała się paleniem i rabowaniem. Próbował znowu odnaleźć ją za pomocą dalekowidzenia, ale wizja mu umykała.

- To prawda, że zmieniają się w wilki? - spytała Pega.

Jack przypomniał sobie Olafa Jednobrewego, dyszącego na wzniesieniu na wioską Gizura Łamikciuka.

- Tak - odparł.

- Musimy iść dalej - ponaglił bard. Poprowadził ich w dół drugą stroną wzgórza i wkrótce nie widzieli już żadnych śladów ludzkich siedzib. Jack czuł się znakomicie. Choć dokładnie zwiedził okolicę wioski, ten teren był dla niego nowy i podobał mu się. Bez pól, bez domów, bez wrednych owiec. Po obu stronach rosły wrzosy i janowce, w dolinach zaś - gęste drzewa. Droga poznaczona była głębokimi koleinami i poprzątkana strumykami. Miejscami zupełnie zniknęła. Król powinien ją utrzymywać, ale wioska Jacka nie była ważna i nikomu nie zależało na poprawieniu jej połączenia z zewnętrznym światem.

Nie do wiary! Może zobacze króla, pomyślał radośnie Jack. Bebbas Town słynęło z Din

Guardi, twierdzi większej, starszej i wspanialszej od wszystkich innych w całym królestwie. Swoją siedzibę miał tam królewski dwór. Rycerze jeździli na wierzchowcach wielkich jak koń Johna Grotnika, a czasami organizowali turnieje ku uciechu mieszkańców.

Już raz widziałem króla, przypomniał sobie Jack. Ivara bez Kości. To dopiero było rozczarowanie. Saski lord bez wątplenia byłby szlachetniejszy od tego nędznika.

Była to powolna wędrówka. Giles Kuternoga, pomimo całego entuzjazmu, musiał często odpoczywać, a i bard szybko się męczył. Lucy domagała się nieustannej uwagi. Złościła się z powodu swego brzydkiego podróżnego ubrania, które było luźne i wygodne, a przy tym brązowe, by się łatwo nie brudziło.

- Musisz ukryć swoją obecność przed wrogiem - wyjaśnił jej ojciec. Był to początek długiej, zawilej opowieści, w której występował olbrzym imieniem Bolster, pragnący uwięzić jakąś księżniczkę, by prała mu ubrania. Przy każdym postoju mężczyzna wskazywał duży głaz, którym rzucił Bolster, albo kłodę, której używał jako wykałaczkę.

Jackowi nie przeszkadzało powolne tempo. Im dłużej trwała podróż, tym więcej mógł chłonąć nowych widoków i zapachów. Minęli wrony, późnym popołudniem zbierające się w stado. Ptaki nadlatywały ze wszystkich stron, pojedynczo, po dwa albo po trzy, aż w końcu tak gęsto obsiadły ogromny dąb, że niemal nie było widać liści. Powietrze wypełniały kraknięcia, skrzeki i wrzaski. Bard nasłuchiwał uważnie, lecz nie wyjawiał, czego się dowiedział.

Pielgrzymi rozbili obóz pod jesionem, gdzie jedli cebulę, wędzonego węgorka i ciastka. Te ostatnie powstały w zupełnie niezwykły sposób. Pega zagniotła ciasto z grubej pszennej mąki, masła i soli. Najpierw uklepała je na płaskim kamieniu, a potem zaczęła tłuc drewnianym młotkiem. Raz za razem uderzała i składała ciasto, aż to nabrało jedwabistego połysku. Ciastka zostały upieczone na blasze, a Pega twierdziła, że nie sczerstwieją ani nie stwardnieją przez kilka tygodni.

Teraz, pod drzewem, przy blasku ogniska i migoczących gwiazd, te podróżne wypieki smakowały nie gorzej od ciasta na uczcie przesilenia. Nawet Lucy była zadowolona. Pili cydr, a brat Aiden wyciągnął bukłak z piwem, które sam uwarzył. Jackowi i Pedze pozwolono go skosztować.

- Nie wszędzie takie znajdziecie - powiedział bard. - To z tajnego przepisu. Nigdy nie zgadniesz, co w nim jest, moja dziewczyno.

- Właśnie, że zgadnę - odparła Pega, ale gdy spróbowała, jej brwi powędrowały w górę ze zdumienia. Jack nawet nie próbował opisać tego smaku. Przypominał wiatr na wrzosowisku, księżyc na jeziorze czy liść, rozwijający się wiosną.

- Nie do wiary! - wykrzyknął.

Brat Aiden wyraźnie pokraśniał.

- Jednego z moich przodków schwytał szkocki król. Obiecano mu darowanie życia, rękę księżniczki i worek złota, jeśli zdradzi przepis. Wolał umrzeć.

- To się nazywa poważny kucharz - stwierdziła z aprobatą Pega.

- Mam ochotę zaśpiewać - oznajmił ojciec i bez dalszych wstępów zaintonował hymn:

*Chwalmy stwórcę bezkresu Niebios,*

*Majestat Jego mocy i Jego wielką mądrość,*

*Dziela władcy świata, stwórcy wszystkich cudów,*

*On to, Pan wieczystej Chwały,*

*Najpierw stworzył dla ludzi Niebo jak koronę drzewa,*

*Potem zaś stworzył Midgard, by stał się ich domem.*

Jack był zdumiony. Ojciec nigdy nie śpiewał! Chłopak nie pamiętał, by coś podobnego zdarzyło się choćby raz przez całe jego życie, a jednak głos ojca brzmiał głęboko i czysto, jak głos prawdziwego barda.

- Ten hymn dawno temu napisał brat Caedmon. Wykonałeś go nadzwyczaj dobrze - powiedział brat Aiden.

Ojciec zaczerwienił się jak małe dziecko.

- Nauczyłem się go na Świętej Wyspie. W najlepszym możliwym miejscu.

- W najlepszym - zgodził się mnich. - Zaśpiewaj coś jeszcze.

A zatem ojciec zaśpiewał o stworzeniu świata i o tym, jak Adam nadał nazwy zwierzętom, a Noe zbudował arkę. Zapamiętał mnóstwo pieśni. W jakiś cudowny sposób zachowały się w jego umyśle, jakby czekały na tę noc.

- Zaskakujesz mnie, Giles - powiedział bard. - Do tej pory myślałem, że Jack ma talent muzyczny po matce.

- Nauczyłem się hymnów Caedmona, bo były po sasku i je rozumiałem - wyjaśnił mężczyzna. - No i dlatego, że był chłopakiem ze wsi, jak ja.

- Uciekał z przyjęć, z obawy, że ktoś go poprosi o śpiewanie - przypomniał sobie brat Aiden. - Chodził spać z bydłem. A potem pewnej nocy we śnie przybył do niego anioł i nauczył go tej pierwszej pieśni. Wszyscy powinniśmy mieć tyle szczęścia!

Ojciec opowiedział im, jak to w dzieciństwie zabrano go na Świętą Wyspę, by mnisi mogli wyleczyć jego zdeformowaną nogę. Powiedział, że wprawdzie im się nie powiodło, ale



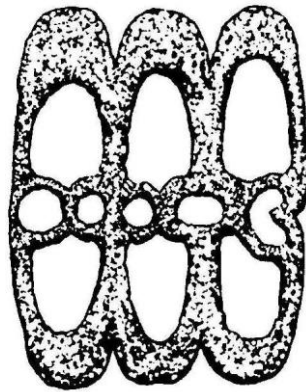
pokazali mu świat, w którym wszystko było poukładane i piękne. Pierwszy raz Jack słyszał, jak ojciec mówi o tym bez uzalania się nad sobą. Najzwyczajniej w świecie cieszył się wspomnianiem najważniejszego doświadczenia w swoim życiu.

Bard uderzył w struny harfy i zaintonował znaną im balladę o złym elfim królu i sprytniej wiejskiej dziewczynie. Ogrywał rolę króla, partię dziewczyny zaś śpiewała Pega. Potem śpiewali razem, oprócz Lucy, która zasnęła. W końcu wszyscy wyciągnęli się pod jesionem. Gwiazdy świeciły między gałęziami i wyglądały jak owoce na wielkim drzewie Yggdrasilu.

Tej nocy Jack śnił o muzyce tak pięknej, że omal nie pękło mu serce, ale gdy zbudził się o świcie, wszelkie wspomnienia cudownych dźwięków zniknęły z jego umysłu.

# Rozdział 11

## Dama ze źródła



Bebba's Town nie zawiodło oczekiwań Jacka. Rynek był pełen kupców i zwierząt. Powroźnicy, garbarze i złotnicy wystawiali swoje towary. Liny, wełniane tkaniny, sprzączki do pasów, noże, blachy do ciastek i garnki leżały i stały na placu obok klatek ze strzyżykami, szczyglami i gołębiami, które miały skończyć na czymś stole.

- Klejnoty jak dla królowej! - krzyczał złotnik, pokazując wysadzaną granatami broszę, gdy obok niego na Dzwonku przejeżdżała Lucy. Nagrodziła go uśmiechem. - Na Panią, ładna dziewczyna - powiedział mężczyzna do swojego towarzysza i obaj popatrzyli za nią z podziwem.

Pega podążała za nią, pochylając głowę, by ukryć znamię, nie mogła jednak zamaskować swoich kościstych kształtów. Złotnicy odwrócili wzrok, a jeden splunął na stronę, by uniknąć klątwy.

Przy trawniku jakiś mężczyzna gotował cebule w żelaznym kotle. Wyławiał je szczypcami i układał na stole. Bard kupił tuzin i pożywiali się gorącymi, parującymi cebulami, posypanymi solą.

- Pyszne - powiedział ojciec, oblizując palce. - Kto by pomyślał, że cebula może być tak smaczna?

- To przez wiosenne powietrze - stwierdził bard.

- I tłum - dodał brat Aiden. - Uwielbiam przebywać wśród ludzi. Spójrzcie. Widać kontur Świętej Wyspy.

Jack zmrużył oczy i popatrzył na horyzont. Ujrzał blady cień na tle głębokiej szarości morza. To tam Olaf, Runa, Sven Mściwy i Eryk Pięknolicy - i Thorgil - wyróżnili niewinnych mnichów. Nie mieściło mu się w głowie, że jego przyjaciele dokonali tak okrutnego czynu, ale tak właśnie się stało. Nie wolno mu było o tym zapomnieć.

- Jak można wybaczyć komuś, kto jest zły? - zapytał na głos.

Jeśli brat Aiden był zaskoczony nagłą zmianą tematu, wcale tego nie okazał.

- Musimy wybaczać wrogom. Gdy ktoś nas uderzy, powinniśmy nadstawić drugi policzek. Boża dobroć w końcu weźmie górę.

W porządku, jeśli chodzi tylko o uderzenia, pomyślał Jack. Ludzie Północy nie bili, lecz ścinali głowy.

- Lepiej w ogóle nie dać się uderzyć - poradził bard. - Teraz musimy znaleźć miejsce na nocleg. Może i lubisz tłum, Aidenie, ale złodzieje i rzezimieszki też lubią.

- Po południu doszlibyśmy do schroniska u Świętego Filiana - powiedział mnich.

- To dobre miejsce, ale dla was. Zakonnicy niechętnie widzą u siebie takich ludzi jak ja - powiedział bard. - Zatrzymam się w Din Guardi. Tam też mnie nie lubią, ale się mnie boją.

Mijali coraz skromniejsze domy. Były one niewysokie i miały zapadnięte, słomiane dachy. Za rozchwierutanyimi płotami znajdowały się małe ogródki. Po prawej ziemia uprawna ustępowała miejsca piaskowi, a dalej, na skalnym półwyspie, wrzynającym się w morze, wznosiła się ogromna twierdza.

Jej mury zbudowano z ciemnego kamienia i wyglądała jak plama nocy na tle jasnego wybrzeża. Największe wrażenie robił żywopłot ze starych cisów, stojący między pielgrzymami a fortecą. Drzewa rosły tak gęsto, że wyglądały jak mur i wywoływały w Jacku niemiłe uczucie, choć nie wiedział, dlaczego.

Bard zmarszczył brwi, jakby jego także mierzył ten widok.

- Oto twierdza Din Guardi - oznajmił. - Stoi tu od niepamiętnych czasów. Powiadają, że wzniesli ją dawni bogowie.

- Dawni bogowie? - powtórzył Jack.

- Strażnicy pól, ziemi, drzew. Ci, którzy byli tu przed pojawieniem się ludzi. Większość z nich śpi i lepiej niech tak zostanie.

- Kto teraz tam mieszka? - spytał chłopak.

- Król Yffi.

- Prawdziwy król? - upewnił się Jack, podekscytowany wizją dworu z rycerzami, końmi i chorągwiami.

- To brutal. Din Guardi nie jest miejscem dla dzieci i lepiej ci będzie w klasztorze. - Bard

parsknął śmiechem. - Ale Yffi daje dobrze zjeść, a ja lubię go postraszyć.

Droga zaczęła oddalać się od wybrzeża i wiodła przez ukwieconą łąkę nad wartkim strumieniem. Zatrzymali się, by Dzwonek odpoczął, a Lucy i Pega weszły do wody, by opłukać nogi.

- Tutaj się rozdzielimy - powiedział bard. - Spotkamy się w tym miejscu za trzy dni, rano. Ojciec Swein będzie miał dosyć czasu na wygnanie demona. A, Jack...

Chłopak podniósł wzrok, zdziwiony ostrym tonem mężczyzny.

- Nie rób niczego głupiego. Pamiętaj, skąd się wzięła twoja laska i... no, wiesz, o czym mówię.

Jack dobrze rozumiał, o co chodzi, nie uważał jednak, że starzec ma powody do niepokoju. Jego laska, kopia potężniejszej laski starca, przyzwała ogień z serca Jotunheimu. Wciąż pulsowała w niej moc - słabo, ale jednak. Jack próbował robić nią różne ciekawe rzeczy, takie jak uniesienie głazu pod niebo albo odwrócenie przyływu, ale udało mu się tylko wypłoszyć myszy ze spichlerza.

- Powinniśmy iść za nim - powiedziała Pega, gdy bard się oddalił.

- Da sobie radę - odparł Jack, zły, że to ona pierwsza na to wpadła. - Walczył z półtrolką Frith, a ona była znacznie groźniejsza, niż wydaje się ten Yffi.

- Żmija jest mniejsza od wilka, ale też może zabić - odrzekła dziewczyna.

- Klasztor Świętego Filiana! - zawołał brat Aiden, wskazując plamę bieli za sosnowym zagajnikiem na wzgórzu. Przez ciemnozielone gałęzie Jack ujrzał ścianę oślepiającej jasności, która podniosła go na duchu. Gdy podeszli bliżej, zobaczył, że to skupisko zabudowań. Wszystkie miały tę samą, lśniącą barwę.

- Piękny - powiedział.

- O, tak - odparł z zadowoleniem brat Aiden. - Bracia bielą go wapnem, żeby tak wyglądał.

Jack z zachwytem patrzył na budynki. Klasztor tętnił życiem. Rodziny czekały na przyjęcie, mnisi chodzili to tu, to tam, wykrzykując polecenia, niewolnicy nosili drewno na opał. Niewolnicy? - pomyślał chłopak, zdumiony, że widzi ich w takim miejscu. Wkrótce brat Aiden umieścił swoją gromadkę w schronisku, poprzegradzanym przenośnymi parawanami. Jeden z klasztornych niewolników układał posłania z suszonego wrzosu.

Pomimo piękna zewnętrznych ścian, powietrze w środku cuchnęło, bez wątpienia z powodu latryny w odległym krańcu budynku. Panowały tu wilgoć i chłód, a jedyne światło wpadało przez otwarte drzwi.

- Nie wiedziałem, że mnichom wolno mieć niewolników - powiedział Jack.

- Tylko takich, którzy stracili wolność za zbrodnie - wyjaśnił brat Aiden. - Służba kościołowi ma uzdrowić ich dusze.

Z tego, co Jack widział, kościół miał ciężkie zadanie. Wszyscy mężczyźni nosili ślady dawnych kar - szramy od bata, brakujące uszy, rozcięte nosy. Dwóch miało bezwładne ręce. Brat Aiden wyjaśnił, że to skutek prób, którym ich poddano. - Musieli nieść kawałek rozgrzanego do czerwoności żelaza albo zanurzyć rękę we wrzątku i podnieść z dna kamień - powiedział. - Potem zawijano ranę. Gdyby przez trzy dni nie zaczęła się jątrzyć, uznano by ich za niewinnych. Z tymi najwyraźniej było inaczej.

Jack poczuł mdłości, patrząc na poharatane mięso na tych rękach.

- To litościwa kara - stwierdził mnich. - Większość złodziei skazuje się na śmierć.

- Nie ma w niej nic litościwego - mruknęła pod nosem Pega.

Stanęli w kolejce przed kancelarią opata, chcąc umówić Lucy na egzorcyzmy. Młody zakonnik siedział przy stole i zapisywał nazwisko, rodzaj skargi i spodziewaną zapłatę. Cierpiącym towarzyszyły rodziny, by ich pocieszać albo trzymać w ryzach. Pewien mężczyzna, który ciskał przekleństwa, został obwiązany kocem, by nikomu nie zrobił krzywdy.

Ojciec trzymał Lucy w ramionach, chcąc oszczędzić jej widoku miotających się szaleńców. Kiedy podeszli do stołu, mnich powiedział:

- Rozumiem, czemu ją przyprowadziliście. Jest brzydka jak noc.

- To nie ona - odparł brat Aiden, stając przed Pegą. - Chodzi o tę małą. Obawiamy się, że jest opętana.

Skryba uśmiechnął się i wyciągnął rękę, by dotknąć włosów Lucy.

- Nie chce mi się wierzyć.

- Widzi rzeczy, których nie ma i łudzi się, że jest księżniczką.

- Jestem księżniczką - powiedziała Lucy i wyduła wargi.

- To raczej nieszkodliwe - stwierdził mnich - ale zapiszę was na jutro po jutrzni. Co ofiarujecie za jej leczenie?

Brat Aiden wyciągnął mały woreczek i wyjął z niego pędzelki z kuniego włosia oraz buteleczki z jaskrawymi barwnikami.

- O! To znaczy... ojej! Ojciec Swein będzie zachwycony. Czy to te słynne tajemne tusze?

- Tak.

Jack z zaciekawieniem zerknął na brata Aidena. Pierwszy raz słyszał o jego sławie.

- Dopilnuję, żeby przyjęto was od razu - obiecał młody zakonnik. - Sio! Precz! Przyjdźcie później - zwrócił się do czekającego tłumu.

Dwaj klasztorni niewolnicy groźnie ruszyli spod ściany w kierunku pacjentów i ich rodzin.

- Proszę do środka! - zawołał mnich, otwierając drzwi. Brat Aiden, Jack, Giles, Lucy i Pega znaleźli się na uroczym dziedzińcu, otoczonym wysokim, białym murem i krzewami różanymi. Pośrodku tryskało źródło. Woda z głośnym bulgotem wpadała do kamiennej misy. Stamtąd spływała do kanału i znikła w otworze pod murem.

- To prawdziwa Studnia Świętego Filiana - poinformował zakonnik - ale jest za mała, by leczyć tłumy, które tu przychodzą. Skierowaliśmy wodę do większego zbiornika. W sezonie leczymy setki osób. - Zniknął za innymi drzwiami, zapraszając ich wcześniej, by usiedli i cieszyli oczy widokiem róż.

Ojciec postawił Lucy na ziemi, a ona w jednej chwili pobiegła do źródła. Natychmiast podniósł ją z powrotem.

- Nie możesz się w nim bawić, kochanie. Należy do Świętego Filiana - powiedział.

- Nieprawda. Do niej. - Wskazała miejsce przy kamiennej misie.

- Ćśśś, skarbie, bo rozgniewasz świętego.

Lucy ułożyła się wygodniej w ramionach ojca i patrzyła w miejsce, które wcześniej wskazała. Jack żałował, że nie ma z nimi barda, który mógłby uwięzić to, co tam było, pod swoim płaszczem. Chłopak był przekonany, że siostra naprawdę coś widzi.

Ostrożnie zbliżył się do źródła. Nie widział nic z wyjątkiem rosnących przy brzegu smagliczek i lawendy. Powietrze na dziedzińcu było ciężkie od zapachów, a wśród kwiatów uwijały się pszczoły. A jednak coś tam było. Wyczuwał ruch w powietrzu. Istotę zbyt szybko, by mógł ją zobaczyć.

Laska zawibrowała mu w dłoni. Jego słuch wychwycił szum, zbyt cichy, by go zrozumieć, ale wznoszący się i opadający jak mowa.

- Wyjdź - szepnął. - Ukaż się, duchu tego miejsca. Porzuć cień i wystąp do światła. Przyzywam cię, na drewno, na wodę, na kamień.

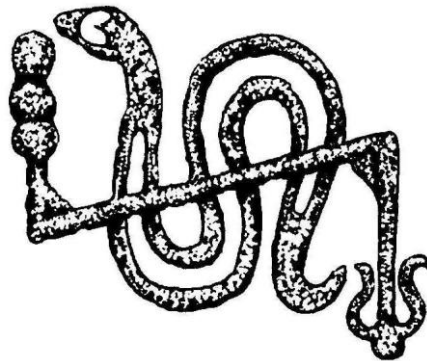
Powietrze za źródłem zafalowało, zgęstniało jak mgła, która nadciąga na łąkę nad morza. Bardzo przypominało to mgłę, tyle że zajmowało bardzo niewielką przestrzeń. Unosiło się w leniwych kręgach i stawało się coraz wyraźniejsze, aż w końcu Jack zobaczył powstający w środku kształt.

Była to kobieta w bieli, cudowna istota, a jej stopy nie czyniły najmniejszej szkody kwiatom, po których stapała. Miała jasne, złote włosy i skórę niczym światło księżyca. Pochyliła się w stronę towarzyszy Jacka, kiwając na nich ręką. Ojciec jej nie widział, Pega też nie. Brat Aiden wydawał się niespokojny. Lucy przyglądała się uważnie.

Dama odwróciła się i zobaczyła Jacka. W jednej chwili wyrzuciła rękę przed siebie i pierś chłopaka przeszył ból, jakby trafiła go strzała. Laska wypadła mu z ręki. Ujrzał niebo nad sobą, zataczając się w tył i padając na plecy.

## Rozdział 12

### Głowa Oswalda



- Miewał już takie ataki? - spytał jakiś mężczyzna.

Jack otworzył oczy i zobaczył drewniane belki pod niskim sklepieniem. Tu i ówdzie wisały pęki suszonych ziół.

- Nigdy - odparł ojciec. - Może zmoła go gorączka.

- Jeśli już, to jest zbyt zimny. Przyprowadziłeś go, żeby zanurzył się w wodzie?

- Jego nie, tylko córkę - powiedział ojciec.

- Pewnie wystarczy mu gorący posiłek. Każę niewolnikowi przynieść zupę.

Jack podniósł głowę. Jego plecy przeszył ból. Zobaczył znikającego za drzwiami mnicha w brązowym habicie.

- Dobrze, obudziłeś się. Jak się czujesz? - spytał ojciec.

- Jakby stratowało mnie stado owiec. - Przekonał się, że każdy ruch musi okupić cierpieniem. - Gdzie jesteście?

- W klasztornej szpitalu. Mnisi byli dla nas bardzo mili! Przenieśli nas z tego cuchnącego schroniska do najlepszych pokojów gościnnych. Dostaliśmy też zaproszenie na wspólny posiłek z samym opatem.

Ojciec wydawał się bardziej przejęty swoją nową pozycją niż zdrowiem Jacka. Ale nie, niesprawiedliwie go oceniam, pomyślał chłopak. To najbardziej emocjonująca rzecz, jaka mu się w życiu przydarzyła.

- Dlaczego tak szczególnie nas traktują? - spytał.



- To ma coś wspólnego z tymi atramentami, które przyniósł brat Aiden. Robi je w tajemny sposób, znany tylko mnichom ze Świętej Wyspy. Są na wagę złota.

Przyszedł niewolnik z miseczką zupy z soczewicy.

- Mam nakarmić chłopaka... chyba że zechcesz zrobić to sam - powiedział z nadzieją.

Ale ojcu spieszno było do wyjścia. Powiedział, że chce zobaczyć witrażowe okno w kaplicy i stado pięknych, białych owiec. Na rosnącym w sadzie dębie widniało oblicze świętego Filiana, wypalone przez piorun. Potem mieli zwiedzić piwnicę z zapasem piwa. Nie do wiary, mieć tyle piwa, że do jego składowania trzeba było całej piwnicy! Tego wieczoru szykowała się uczta. Szkoda, że Jack nie mógł pójść.

- Słuchaj - powiedział niewolnik, gdy ojciec wyszedł. Nie wiem, co z ciebie za wariat, ale jeśli spróbujesz mnie ugryźć, na deser dostaniesz moją pięść.

- Nie jestem szalony - odparł Jack.

- Wszyscy tak mówią. - Niewolnik wlał łyżkę zupy w usta chłopaka, a potem, nie czekając, aż ten przełknie, zaczął mu wciskać następną.

- Czekaj! Czekaj! - parsknął chłopak odwracając głowę. Kręgosłup eksplodował bólem. Zamarł, bojąc się wykonać jakikolwiek ruch.

- Co się stało? Zbili cię? - spytał niewolnik. - Podobno biciem można wszystko wyleczyć. Nieudane małżeństwo? Spuść baty żonie. Masz syna przygłupa? Wbij mu rozum do głowy. Ojciec Swein mówi, że to zawsze działa.

- Nie możesz wierzyć w te bzdury.

- A kim jestem, by sądzić lepszych od siebie? Za pięć czy dziesięć lat mogą wbić dobro we mnie, chociaż wątpię. Możesz już jeść?

- Jeśli nie będziesz mi wpychał tego do gardła!

Tym razem niewolnik był ostrożniejszy, a Jack przekonał się, że pomimo bólu jest głodny. Jedzenie było pyszne, gęsta polewka z soczewicy, porów i kawałków baraniny. Od kilku dni nie jadł nic równie sycącego.

- Jak się nazywasz? - spytał niewolnika.

- Najczęściej „Ej, Ty” - odparł tamten. - Matka wołała na mnie Brutus.

- Brutus? To saskie imię?

- Rzymskie. Tak. - Niewolnik wyprostował się. - Płynie we mnie krew zdobywców. Pochodzę z rodu Lancelota, ale jak widzisz, daleko mi do chwały przodków. Ojciec Swein mówi, że nadaję się tylko do chlewa.

Jack zastanawiał się, jaką zbrodnię popełnił Brutus, że trafił do niewoli w klasztorze.

Ramiona mężczyzny nosiły ślady od bicia, miał też złamany nos. A jednak jego szeroka,

inteligentna twarz i szare oczy zdradzały znamiona szlachectwa.

- Ktoś, kogo kiedyś znałem - odezwał się Jack - powiedział, że nigdy nie wolno się poddawać, nawet kiedy spadasz z urwiska. Nigdy nie wiadomo, co się zdarzy po drodze w dół.

Brutus wybuchnął śmiechem. Był to zaskakujący, radosny dźwięk, który zupełnie go zmienił. Złamany nos i blizny nie miały nagle znaczenia.

- Chciałbym go poznać! Brzmi to jak słowa prawdziwego rycerza.

- Nie wiem, czy należał do ludzi, których mógłbyś polubić - odparł chłopak, wspominając, że Olaf Jednobrewy miał w zwyczaju najpierw bić, a dopiero potem zadawać pytania.

- „Należał”? To on nie żyje? - spytał Brutus.

- Zginął w walce z olbrzymim trollowym niedźwiedziem. Ale go zabił - dodał Jack.

Brutus spojrzał na niego badawczo.

- Jesteś kimś więcej, niż się wydaje, wariacie.

- Nie jestem wariatem - zaprotestował Jack, wywołując kolejny wybuch śmiechu.

Posiłek trwał dalej w miłej atmosferze, nie licząc grymasów bólu, które pojawiały się na twarzy chłopaka przy każdym nieostrożnym ruchu. Brutus znał mnóstwo opowieści i najwyraźniej wcale mu się nie spieszyło, by powrócić do swoich obowiązków.

- Co ci się stało? - spytał w końcu.

Jack opowiedział mu o pięknej kobiecie, która zmaterializowała się z mgły.

- Kiedy wyciągnęła do mnie rękę, straciłem zmysły, a potem ocknąłem się tutaj - zakończył. - Nie jestem szalony. Naprawdę ją widziałem.

Niewolnik siedział nieruchomo, jakby nasłuchiwał czegoś z oddali. Z zewnątrz dobiegały odgłosy klasztornej życia, rąbanie drewna, wykrzykiwane polecenia, tupot nóg. Po chwili Brutus otrząsnął się i wrócił do rzeczywistości.

- Nie śniłeś. To był elfi strzał.

Drzwi otworzyły się na oścież i do środka wszedł mnich, który zajmował się Jackiem.

- Ty leniwy wieprzu! - krzyknął. - Kucharz czeka na drewno. Zasłużyłeś na podwójne baty!

Na oczach Jacka Brutus zupełnie się zmienił. Przygarbił się, a jego twarz przybrała głupawy wyraz.

- Błagam o wybaczenie, panie - jęknął. - Nie gniewaj się na tego nędznika, nieszczęsnego Brutusa.

- Oj, wynoś się - powiedział mnich, a niewolnik wymknął się za drzwi.

Zakonnik zaczął krzątać się wokół. Wziął przetarty koc i opatulił nim Jacka.

- Czekałem, aż się obudzisz, żeby dać ci lekarstwo. Masz szczęście. Tak się składa, że mam na półce ziemię z grobu świętego Oswalda. A raczej z jednego z jego grobów. - Pokazał chłopakowi garnek z ciemną ziemią, która mogłaby pochodzić skądkolwiek.

- Pochowali tam głowę świętego Oswalda. Poganie zakopali części jego ciała w różnych miejscach, gdy już go zamęczyli. Ale głowa trafiła na Świętą Wyspę, więc jest podwójnie błogosławiona. Zawsze uważałem, że ziemia z głowy jest najlepsza. - Mnich zagotował wodę i wybrał różne zioła z pęków wiszących u powały. Na koniec wsypał do kubka szczyptę ziemi. - Masz! Jeśli to ci nie pomoże, chyba już nic cię nie wyleczy.

Podetknął kubek do ust Jacka. W naparze wyczuwało się rumianek i dziwny, mineralny posmak. Głowa Oswalda, bez wątpienia.

- Dlaczego Brutus jest niewolnikiem? - spytał Jack, gdy przełknął ostatni piaszczysty łyk. Zakonnik uniósł brwi.

- Karmił cię opowieściami o swoim szlachetnym pochodzeniu? Jego matka była nędzną czarownicą. Kiedy umierała z gorączki, kazała synowi odpędzić księdza kamieniami. Odmówiła ostatniego namaszczenia. Brutus puścił jej ciało na łódce, wierząc, że dopłynie na Wyspy Błogosławionych. Został skazany za czary.

- Za to, że spełnił ostatnie życzenie matki? - spytał Jack słabym głosem. Prawo do wyboru życia po śmierci wydawało mu się najzupełniej rozsądne. Nie wszyscy pasowali do Nieba - wystarczyło spojrzeć na Thorgil - a bard zawsze się zaklinał, że trafi na Wyspy Błogosławionych.

- Nie, nie. Wielu głupców wierzy w Wyspy Błogosławionych. Brutus został skazany za rzucanie uroków na kobiety. Zupełnie nie mogą mu się oprzeć... młode, stare, zamężne, samotne. Nawet owce chodzą za nim po polach. Latami próbowaliśmy wybić z niego tę magię, ale to beznadziejny przypadek.

Po wyjściu mnicha Jack długo leżał z otwartymi oczami i rozmyślał. Pomieszczenie rozświetlały jedynie węgle w palenisku i przez to zawieszona na krokwiach ziola wyglądały jak nietoperze. Wśród cieni w przeciwległym kącie chłopak dostrzegł swoją laskę. Wyobraził sobie reakcję mnicha, gdyby ten się dowiedział, ile magii kryje w sobie ów przedmiot.

Muszę uważać, pomyślał. Nic dziwnego, że bard wolał zamieszkać u króla Yffiego. Zaczęło go palić w trzewiach. Może głowa Oswalda nie chciała się znaleźć w jego brzuchu. Wkrótce chłopak stwierdził, że musi albo wyjść z łóżka, albo zwymiotować na koc.

Plecy przeszył mu ból, gdy przeturlał się na bok i spadł na podłogę. Nie mógł się ruszyć. Przekłęta kobieta, pomyślał. Po co kręci się przy tej studni? I dlaczego zrobiła mi krzywdę?

Czy była elfką? Odtworzył w pamięci jej jasne, złote włosy i księżycową cerę. Oczy nieznajomej przypominały niezapominajki w głębokim lesie. Wszystko wydawało się w niej jakby przytłumione, ale może sprawiła to spowijająca ją mgła.

Gdy ból minął, chłopak zaczął powoli pełznąć w stronę laski. Właściwie bez powodu, tylko dlatego, że dzięki niej czuł się bliżej barda. Potrzebował czyjejs przyjaźni. Pęczki ziół wyglądały tak, jakby zaraz miały odpaść od krokwi i dostać skrzydeł. Głowa Oswalda zabolgotała mu w żołądku.

W końcu dotarł do ściany. Laska była ciepła, jakby pomimo ciemności wciąż leżała na słońcu.

- *Ut, lytel spere, gifher inne sy* - wyszeptał po sasku. „Wyjdź, mała włócznie, jeśli jesteś w środku”. Wiedział wszystko o elfim strzale. Dzięki matce znał zaklęcie, które go usuwało. - *Gifher inne sy, hit sceal gemyltan.* - „Jeśli jest w środku, niech się rozpuści”.

Raz po raz powtarzał zaklęcie i stopniowo ciepło laski popłynęło w górę jego ramienia i rozlało się po całym ciele. Ból zaczął się cofać, aż stał się tylko słabym echem. Potem przeszedł zupełnie i Jack zapadł w sen na zimnej podłodze, nieprzykryty nawet kocem.

\* \* \*

- O, święci, umarł!

Krzyk wdarł się w sen Jacka. Chłopak zerwał się na nogi i zamrugał powiekami, patrząc na przerażonego człowieka przed sobą. Mnich odskoczył w tył.

- Chwała Panu i jego aniołom! Żyje! Wybacz mi, święty Oswaldzie, że zważyłem w ten cud.

- Jaki cud? - spytał rozdrażniony Jack. Przerwano mu najlepszy odpoczynek od początku tej pielgrzymki.

- Ty! - wykrzyknął mnich. - Na kolana, chłopcze. Musimy podziękować Niebiosom. - Pociągnął go w dół i zaczęli się razem modlić. Jack szczerze dziękował, bo niezależnie od przyczyny ból ustąpił. Przez okno sączyło się światło słońca. Zza drzwi doleciał zapach boczku, smażonego nad ogniem. Dobrze było żyć.

- Niech no opat o tym usłyszy - powiedział mnich, wstając na nogi. - Zawsze mówi, że święty Oswald nie ma takiej mocy, jak święty Filian.

Nie przestając mówić, poprowadził Jacka korytarzem do drzwi, które otworzył kluczem. Za nimi znajdowało się cuchnące stęchlizną pomieszczenie o szarych, kamiennych ścianach. Na jego krańcu widniała słabo oświetlona wnęka. Jack wyczuł czyjaś obecność, zupełnie jak wcześniej przy studni. W powietrzu czaiła się wyraźna wrogość. O, nie, pomyślał. Naprawdę

nie chcę kolejnego elfiego strzału. Mocniej chwycił laskę i w myślach zażądał, by tajemnicza istota trzymała się na dystans.

- To miejsce nie jest chyba nawiedzone?

- Oczywiście, że nie! Już wiele lat temu egzorcyzmowaliśmy tego demona - odparł zakonnik, ponaglając Jacka. - Zwykli ludzie nie mają dostępu do tych świętych relikwii, ale skoro święty Oswald postanowił okazać ci łaskę, pewnie chciałby, żebyś zobaczył jego...

Jego co? - pomyślał Jack. Wnękę wypełniały skrzynki, na których wyrzeźbiono różne sceny. Jedna przedstawiała mężczyznę, walczącego z dwoma wężami, które próbowały pożreć mu głowę. Inna ciało kobiety, której nogi porastały łuski. Zamiast stóp miała płetwy.

We wnęce znajdowało się też małe okienko. Kawałki kolorowego szkła, szkarłatnego, jasnozielonego i żółtego, połączono paskami ołowiu. Poranne słońce oświetlało je z drugiej strony. Świeciły niczym ogniste iskry.

- Och! - wykrzyknął z zachwytem Jack.

- Ładne, prawda? - zgodził się mnich. - To szczątki, które zdołaliśmy ocalić ze Świętej Wyspy. Okno w naszej kaplicy jest większe, ale nie ma tak jaskrawych kolorów. Nie było nic cudowniejszego niż ten witraż na Świętej Wyspie. Tutaj - dodał z dumą, stukając palcem w jedną z rzeźbionych skrzynek - są sandały świętego Chada. Podczas pielgrzymek nie chciał jeździć konno. Wolał chodzić jak prosty wieśniak.

- Może bał się koni? - podsunął Jack.

- Bzdura. Święci niczego się nie boją. Tu mamy kosmyk włosów świętego Kutberta. Jednemu z naszych braci zrobił się okropny guz na oku, wielki jak kurze jajo. Brat przyłożył sobie do powieki włosy świętego Kutberta i od tej chwili guz zaczął się kurczyć.

Mnich pokazywał jedną relikwię po drugiej, opowiadając o ich świętych mocach. Jack powiedziałby „magicznych” mocach, ale wiedział, że zakonnicy są przeczuleni na tym punkcie. W końcu mężczyzna wyciągnął skrzynkę z kości słoniowej.

Wiek było poplamione i trochę pociemniałe, może od krwi, jak z niepokojem pomyślał Jack. Ujrzał relief, przedstawiający mężczyznę, który leżał z rozłożonymi ramionami na posłaniu z liści. Pnącza wiły się wokół niego niczym węże, jakby pożerała go roślinność i niebawem miał zniknąć na dobre.

- W tym - powiedział mnich pełnym czci głosem - są ręce świętego Oswalda.

- Ręce?

- Kiedy poganie go poćwiartowali, kruk, który należał do świętego, zabrał jego ręce i ukrył na drzewie. Był to jeden z pierwszych cudów świętego Oswalda.

- Trzymacie tu części ciała?

- Relikwie, mój chłopcze - poprawił zakonnik. - Święte relikwie. Królowie przyjeżdżają z dalekich stron, by oddać im cześć. Dają nam za ten przywilej dużo złota.

- To miło - powiedział Jack, myśląc: Proszę, nie otwieraj tej skrzynki.

- Zaniosę je do świątyni, a potem możemy zapalić świecę w podzięce świętemu Oswaldowi.

Po drodze mnich zostawił Jacka w niewielkiej jadalni. Ojciec, brat Aiden, Pega i Lucy siedzieli przy stole, zastawionym ciastkami owsianymi i innymi pysznościami.

- Wyzdrowiałeś! - wykrzyknęła Pega i podskoczyła, by go objąć.

- Tak się cieszę - powiedział brat Aiden i posunął się, by zrobić mu miejsce.

- Szkoda, że cię tu nie było wczorajszego wieczoru - stwierdził ojciec, najwyraźniej zapominając, że Jack był cały czas sparaliżowany. - Jedliśmy baraninę i kurczaki.

- I ciastka miodowe - dodała Lucy.

- Przyprawili mięso ziołami, o których nigdy nie słyszałem - powiedział z entuzjazmem ojciec. - Czarnym zamorskim proszkiem, który nazywa się „pieprz” i brązowym, który nazywa się „cynamon”.

- Bez dwóch zdań, dobrze tu jedzą - zauważył Jack, odkrawając swoim nożem kawałek boczku. Przynajmniej w jadalni ojca Sweina, dodał w myślach. Zastanawiał się, co jedzą zwykli pielgrzymi. Albo niewolnicy.

Mnisi wchodzili i wychodzili. Wszyscy byli wyżsi, grubszy i lepiej ubrani niż brat Aiden, który w swoim wyświechtanym habicie wyglądał jak mała, zabiedzona jaskółka. Nakładali sobie na talerze stopy boczku, szynki, ostryg i sardynek. Wycierali sos wyśmienitym, białym chlebem, posmarowanym masłem.

- Czy na Świętej Wyspie też było takie dobre jedzenie? - spytał chłopak.

- O, nie - odparł brat Aiden. - Złożyliśmy śluby ubóstwa. Wiedliśmy proste życie. Ciągnęliśmy wodę ze studni, rąbaliśmy drewno i uprawialiśmy pola. Wolny czas poświęcaliśmy na modlitwy. Ja odpowiadałem za porządek w bibliotece. Niestety, tutaj biblioteka jest zaniedbana. Manuskrypty na podłodze, puste kałamarze. Nie chciałbym, żeby atramenty, które przyniosłem, wyschły, bo nikt ich nie będzie używał.

Osobiście Jack przypuszczał, że zostaną sprzedane, by kupić więcej boczku, szynki, ostryg i sardynek.

- Mieliście niewolników?

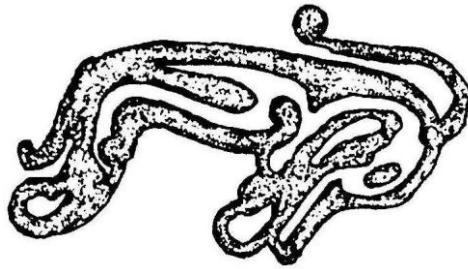
- A... nie - odparł drobny mnich. - Nasz opat uważał, podobnie jak ja, że niewolnictwo jest złe. Ale ojciec Swein stara się ratować dusze ludzi, którzy inaczej zostaliby straceni. Raczej bym go nie krytykował.

W oddali rozległ się dzwon. Wszyscy zakonnicy wstali. Niektórzy wpychali sobie do ust ostatnią ostrygę czy ciastko, zanim pomknęli do drzwi. Kuchenni niewolnicy zaczęli sprzątać ze stołów.

- Zdaje się - powiedział brat Aiden - że pora na egzorcyzmy.

## Rozdział 13

### Opętanie przez Pomniejszego Demona



Ojciec układał Lucy włosy. Miała na sobie swoją białą odświętną sukienkę, którą wyprano i wyszczotkowano. Na jej szyi wisiał srebrny naszyjnik.

- Czy ten naszyjnik to dobry pomysł? - spytał Jack.
- Nie dotykaj go! - wrzasnęła dziewczynka. - Chcesz go ukraść!
- Drogie dziecko, to twój brat - ofuknął ją brat Aiden.
- To złodziej!

Ojciec tylko wzruszył ramionami i zebrał połę swojego płaszcza, po czym wziął Lucy w ramiona.

- Mogę jej ściągnąć ten naszyjnik - szepnęła Pega do Jacka. - Jeden z moich właścicieli nauczył mnie kraść.

- To tylko doprowadzi ją do szału - odparł. Ruszyli za bratem Aidenem przez teren klasztoru. Tłum ludzi czekał w nierównej kolejce przed drzwiami w wysokiej ścianie i Jack pierwszy raz miał okazję bliżej przyjrzeć się tym, którzy przychodzili po błogosławieństwo świętego Filiana.

Pewien chłopiec ciągle się ślinił - całą tunikę miał mokrą - a inny wił się, jakby po rękach i nogach gryzły go mrówki. Chuda, nerwowa kobieta szlochała bez ustanku, podczas gdy mąż głaskał ją po ramieniu, powtarzając: - No już, już.

Ktoś zaczął krzyczeć i nagle cała kolejka rozbrzmiała jękami i wrzaskami. Członkowie rodzin zaczęli beznamiętnie pocieszać albo przytrzymywać chorych, zależnie od potrzeb.

Lucy wtuliła się w pierś ojca.

- Nie podobają mi się ci ludzie!



- Nie będą cię leczyć razem z nimi - zapewnił ją tata. - Ojciec Swein zagwarantował nam specjalną audiencję.

Kolejka powoli zaczęła przechodzić przez drzwi. Na zewnątrz stał mnich z listą.

- Jocelyn. Nocne lęki. Zapłata: stado królików. Zapłacono. - Odkreślił coś na liście. Jocelyn, która piszcziała za każdym razem, gdy ktoś się do niej zbliżał, przytuliła się do swojej matki. - Erkbert. Lęk wysokości i opętanie przez pomniejszego demona. Zapłata: dwie kury nioski. Zapłacono. - Erkbert przeszedł potulnie obok mnicha wraz ze swoją równie potulną żoną. - Guthlac. Opętanie przez potężnego demona. Zapłata: jedna mleczna krowa. Zapłacono. - Guthlaka, który sam był potężny, niezależnie od demona, musieli siłą ciągnąć jego ojciec i brat.

- Chcę do domu - jęknęła Lucy.

- Wrócisz tam, kiedy tylko wyzdrowiejesz - uspokajał ją ojciec.

- Jak oni właściwie egzorcyzmują ludzi? - spytał Jack.

- Pewnie skrapiają ich święconą wodą - odparł brat Aiden. - Tak robiliśmy na Świętej Wyspie.

Stali już przy drzwiach.

- Lucy. Możliwe opętanie przez pomniejszego demona. Zapłata: pięć flakoników atramentu ze Świętej Wyspy... A! To wy! - wykrzyknął mnich, uśmiechając się do brata Aidena. Dał znak roslemu niewolnikowi, który stał pod murem. - Zaprowadź naszego szacownego gościa do relikwiarza. Urządzili małe przyjęcie na twoją cześć.

- Ale chciałem popatrzeć na egzorcyzmy tego dziecka!

- Sam opat o to prosił. Nie co dzień gościmy czcigodnego bibliotekarza ze Świętej Wyspy. Byłby zachwycony, słowo daję, gdybyś zechciał zostać u nas na zawsze.

- Ale... - zaprotestował brat Aiden, gdy odprowadzano go od drzwi. Jack patrzył na to z konsternacją. Nie ufał tym zakonnikom, a Aiden, choć drobnej postury, zapewniał pewną ochronę.

- Na czym stanąłem? - odezwał się mnich z listą. - Zapłata: pięć flakoników atramentu ze Świętej Wyspy. Zapłacono. Do środka.

Po drugiej stronie drzwi kłębił się jęczący tłum. Dalej ział wielki dół, w którego głębi połyskiwała woda. O jego krawędź oparto drabinę, po której można było zejść na dół. Dołu pilnowały najbardziej przerażające zbiry, jakich chłopak w życiu widział, w tym także Ludzie Północy.

- Mieliliśmy obiecaną prywatną wizytę - zaprotestował ojciec. Odwrócił się do drzwi, te jednak zamknęły się. Stała przed nimi banda niewolników.

- Wracaj tam z resztą wariatów - warknął jeden.

- To nie miejsce dla małego dziecka! - krzyknął ojciec, przyciskając Lucy do piersi.

- Chcę iść! - jęknęła.

- Masz wybór, szefie - powiedział przywódca niewolników. - Ustaw się grzecznie z pozostałymi przyglupami albo dostaniesz moje specjalne lekarstwo na ból głowy. - Uderzył pałką w swoją mięsistą dłoń.

Ojciec przeciskał się przez tłum, a za nim podążali Jack i Pega. W odległym kącie dziedzińca chłopak znalazł wierzbę, rosnącą pod murem. Przycięto ją, by mogły wyrosnąć nowe, cieńsze gałązki. Widniała w niej naturalna wnęca, w sam raz dla Lucy.

- To tak jak wtedy, kiedy chowaliśmy się przed Ludźmi Północy - szepnął Jack, gdy przycupnęła w środku. - Musisz być zupełnie cicho. Kiwnęła głową i skuliła się, chcąc stać się jak najmniejsza. Przypomniała sobie, jak ciągnięto ją za włosy z nożem przytkniętym do gardła.

- Dasz radę się na to wspiać? - zwrócił się do Jacka ojciec.

- Ja?

- Wejdź na górę, a ja podam ci Lucy.

Gałęzie wierzby pokryte były baziami, z których na twarz chłopaka sypał się pyłek. Jack kichnął.

- Cicho - szepnął ojciec. Jack przełknął ślinę, starając się nie zważać na łaskotanie w gardle. Wcisnął się między wierzbę a mur, na próżno szukając jakiegoś oparcia dla nóg. Wszystkie dziury w murze wypełniono białym tynkiem. Gałęzie uginały się pod jego ciężarem i sprężynowały, sypiąc pyłkiem, gdy tylko zdjął nogę. Lada chwila któryś z niewolników musiał to zauważyć. Jack przystanął w połowie drogi na górę, dysząc z wyczerpania.

- Szybciej - ponaglił ojciec.

Zręcznie pokonał ostatni odcinek muru i z ulgą stwierdził, że jest on dość szeroki, by się położyć. Poprzez bazie zauważył zbliżającą się grupę niewolników. Ojciec i Pega przykucnęli między drzewem a murem, Lucy zaś skuliła się w swojej wnęce. Niewolnicy przemaszerowali obok, kierując się do drabiny w studni. Jeden po drugim zeszli na dół. Po pluskach i parsknięciach Jack poznał, że woda jest głębsza, niż się wydawało.

- Weź. Bard mówi, że zawsze powinieneś mieć ją przy sobie - szepnęła Pega. Ostrożnie podała mu między gałęziami jesionową laskę. - Łaskocze - zdziwiła się, gdy złapał drugi koniec. Miała rację. Zaskoczony Jack omal nie spadł z muru. Odkąd opuścił Jotunheim, nigdy nie czuł tak potężnej mocy. Nagle pojawiło się kilku mnichów, którzy usiedli na trawie obok

wierzby.

Co za pech! Jack nie mógł teraz wziąć Lucy. Idźcie stąd, nakazał im w myślach. Mężczyźni jednak siedzieli wygodnie i nie zamierzali się ruszać.

Jack leżał na szczycie muru, wyężając umysł i próbując obmyślić jakiś plan. Po drugiej stronie widział pierwotną Studnię Świętego Filiana, krzewy różane i schludne kwietniki. Damy w bieli na szczęście nie było. To musiała być elfka, pomyślał, przypominając sobie słowa Brutusa o elfim strzale. Całe życie słyszał o elfach, o ich pięknie i dziwnych mocach. Chrześcijanie nie mogli wierzyć w elfy, ale oni nie wierzyli też w trolle, a Jack widział je na własne oczy. Żałował, że nie ma przy nim barda. Starzec mówił, że nie ma nic bardziej urzekającego niż elfia pieśń o zmierzchu. Żaden bard nie potrafił tak śpiewać.

Studnię Świętego Filiana zbudowano przy naturalnym źródle, a wodę skierowano przez otwór w murze do czarnego dołu po drugiej stronie. Jack domyślał się, że pierwotnie strumień płynął przez pola. A może wpadał do jeziora. Co sądzi ta elfia pani o tym, że kradną jej wodę? - pomyślał Jack. Może dlatego jest w takim złym humorze.

Niewolnicy zaczęli zaganiać pacjentów na bok, odsyłając rodziny z powrotem za bramę. Gdybyśmy poczekali, pomyślał z żalem chłopak, moglibyśmy zabrać Lucy ze sobą. Ale być może niewolnicy zmusiliby ją, by została, sama i bezbronna.

Mnisi podawali sobie bukłak z winem.

- Dobrze - stwierdził jeden.

- Hiszpańskie - odparł inny. - Od tego księcia, który prosił świętego Oswalda o pomoc w ataku na sąsiada.

- I święty pomógł?

- Oczywiście. Sąsiad był poganinem.

Ku zaskoczeniu Jacka, chorym zawiązano oczy. Wszyscy pokornie poddali się tej czynności, z wyjątkiem Guthlaka, tego od opętania przez potężnego demona. Trzeba go było rzucić na ziemię i związać. Rzucił się, ryczał, klął i gryzł, ale niewolnicy wkrótce opletli go sznurem niczym gąsienicę kokonem. Brutus miał go pilnować.

Brutus. Jack nie wiedział, co o nim myśleć. Godny podziwu był fakt, że spełnił ostatnie życzenie matki. Z drugiej strony skamlał i płaszczył się niczym robak. Tak jak teraz, przed tym wysokim mnichem w nieskazitelnym białym habicie.

- Nieszczęśni! - wykrzyknął mnich, gdy na dziedzińcu zapadła cisza. - Wasze uzdrowienie już blisko! Święty Filian obdarzy was swoim błogosławieństwem i przegna diabły, które zatrwały wam umysły. Będą się opierały. Będą krzyczały wam prosto w uszy i drapały was brudnymi pazurami, by zyskać władzę nad waszymi duszami. Ale nie traćcie

wiary. Zwycięzimy. Usiądź na nim, Brutusie - dodał ciszej. - Słowo daję, zamieszkał w nim sam Belzebub.

- Tak, najdroższy panie - powiedział Brutus, sadowiąc się na piersi Guthlaka.

To pewnie opat, ojciec Swein, pomyślał Jack.

Niewolnicy poprowadzili Jocelyn, tę, która cierpiała na nocne lęki, do krawędzi dołu. Jęknęła żałośnie. Ustawili ją na brzegu wykopu, plecami do wody.

- Nie, nie, nie, nie - jęknęła.

- Przemawia przez nią demon - ojciec Swein zapewnił pozostałych chorych, którzy mieli zawiązane oczy i nie widzieli, co się dzieje.

- Proszę, proszę - powiedziała błagalnym tonem. Jeden z niewolników popchnął ją brutalnie. Z krzykiem poleciała w tył, prosto do wykopu. Jack skoczył na równe nogi. Głośny plusk zagłuszył jej krzyk, a z dołu natychmiast dobyło się straszliwe wycie. Zupełnie jakby wszystkie stwory z Piekieł wyłoniły się z otchłani i walczyły o nieszczęsną dziewczynę.

Z wysoka Jack widział, co się dzieje w wodzie. Niewolnicy targali Jocelyn jak kłębem szmat. Podtapiali ją, szczypali, ciągnęli za włosy i bili po twarzy. Chłopak ścisnął swoją laskę. Nie mógł zrobić nic, by jej pomóc.

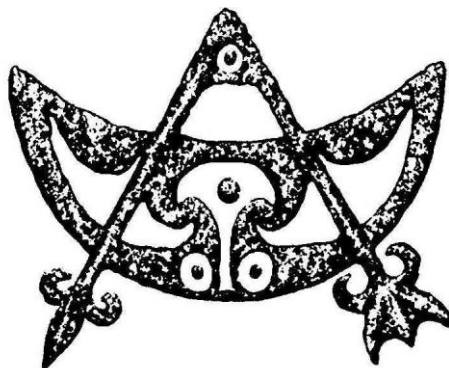
- Nie zwracajcie na to uwagi - przemówił opat. - Szatana trudno wyrzucić, ale święty Filian zwycięży.

Jocelyn najwyraźniej zemdląca, bo Jack nie słyszał już jej krzyków. Ociekała wodą, gdy wniesiono ją po drabinie i ułożono na trawie. Wyglądała jak martwa, lecz po chwili wstrząsnął nią spazm i wymiotowała na ziemię.

- Weźcie ją do sadu i przywiążcie do drzewa - nakazał ojciec Swein. - Rano może ją zabrać matka. - W jego głosie nie było ani krztyny współczucia. Mówił tak, jakby chodziło o wyliniałego kundla.

# Rozdział 14

## Trzęsienie ziemi



Chorych po kolei ustawiano plecami do wykopu i spychano w dół, by tam dręczyli ich niewolnicy. Jack czuł nienawiść do oprawców, choć zdawał sobie sprawę, że to skazańcy, których nikt nie nauczył litości. Mnisi byli inni. Krzyczeli, jakby obserwowali grę w piłkę, i zakładali się, który pacjent wytrzyma najdłużej, zanim zemdleje. Jack gardził nimi bez reszty.

Ostatni w kolejce był Guthlac, owinięty sznurowym kokonem. Nikt nie zawiązał mu oczu. Zbliżanie się do jego kłapiących szczęk było zbyt niebezpieczne. Dwaj mężczyźni podciągnęli go do krawędzi wykopu i sturlali do dołu.

- Uuuuuuch! - ryknął Guthlac niczym rozwścieczony niedźwiedź. Postanowił walczyć. Jack z zachwytem patrzył, jak wielkolud zatapia zęby w rękę pierwszego przeciwnika, który się doń zbliżył.

Ale potem wydarzenia przybrały bardzo zły obrót. Niewolnicy wciągnęli go pod wodę i nie przerywając diabelskiego wycia, przytrzymały go pod powierzchnią pomagając sobie nogami. Jack patrzył na to ze zdumieniem i przerażeniem. Był świadkiem morderstwa z zimną krwią! Nawet mnisi wydawali się wstrząśnięci.

- Ojciec Sweinie! Za długo jest pod wodą! - krzyknął jeden z nich.

Opat powoli zbliżył się do krawędzi dołu. Przez chwilę obserwował scenę rozgrywającą się poniżej.

- Wyciągnijcie go - nakazał w końcu. Mężczyźni odpłynęli na boki. Guthlac wynurzył się niczym martwa foka. Okazał się zbyt ciężki, by wnieść go po drabinie, więc wyciągnęli go za

pomocą liny. Brutus pochylił się, by rozsypać więzy.

- Nie ma potrzeby - stwierdził ojciec Swein.

- Panie, on umiera - powiedział Brutus, nie przerywając podjętej czynności. - Mogę go uratować, jeśli wypompuję z niego wodę.

- Cofnij się.

- Nie, panie - odparł Brutus. Przewrócił nieprzytomnego na brzuch i zaczął naciskać na jego żebra.

- Cofnij się. - Opat dał znak niewolnikom, a oni odciągnęli Brutusa. - Tak czasem bywa przy szczególnie potężnych demonach. Tylko śmierć może je wypędzić. Ocaliliśmy nieśmiertelną duszę tego człowieka.

Brutus, podobnie jak wcześniej w szpitalu, w jednej chwili zmienił się z bohatera w błazna. - Proszę o wybaczenie, najmilszy panie. Brutus jest głupi. Zawsze był. Nie odróżnia łajna od rosy.

- To prawda - powiedział ojciec Swein, gdy niewolnik dalej płaszczył się przed nim w obrzydliwy sposób.

Jackowi aż zakręciło się w głowie ze wściekłości. Mnisi okazali się nie lepsi od Ludzi Północy. Co gorsza, nie mieli honoru. Grabili tych, którzy wierzyli w ich dobroć i żyli jak królowie, jedząc smażone ostrygi i popijając hiszpańskie wino.

- Kto tam stoi na murze? - spytał opat. Jack zbyt późno zrozumiał swój błąd. Chcąc dobrze przyjrzeć się procesowi wypędzania demonów, znalazł się na widoku.

- To ten chłopak wyleczony przez świętego Oswalda! - stwierdził zakonnik, który opiekował się Jackiem w szpitalu. - Jesteś świadkiem cudu, ojcze. Ostatniej nocy ledwo mógł się ruszyć. Zawsze mówiłem, że święty Oswald ma wielką moc...

- Milcz - przerwał mu ojciec Swein. - Pamiętam, że miał siostrę. Opętanie przez drobnego demona czy coś. Jeszcze jej nie widziałem.

- Wyszła z członkami rodzin. Ojciec zmienił zdanie - oznajmił twardo Jack.

- Kłamiesz - odparł opat. - Widzę twojego ojca. Chowa się za wierzbą.

Giles Kuternoga wyszedł z ukrycia.

- Zmieniłem zdanie - potwierdził. - Zatrzymajcie atrament ze Świętej Wyspy. Zabieram Lucy do domu.

- O, nie, nie, nie - ojciec Swein uśmiechnął się, by zamaskować groźbę, którą Jack dostrzegł w jego oczach. - Nie możemy pozwolić, by kręcił się tu demon, nawet mały i śliczny.

- Bardzo przepraszam, ale wasza kuracja nie jest odpowiednia dla małego dziecka.

- Owszem, jest - sprzeciwił się opat, a na jego cienkich wargach pojawił się wyraz rozbawienia. - Poczuj się znacznie lepiej, kiedy wyjdzie z niej to okropne diable.

- Nie mogę na to pozwolić. Przykro mi.

Ojciec Swein dał sygnał niewolnikom. Ojciec dzielnie stanął im na drodze. Może i był kaleką, ale nie zamierzał cofnąć się przed walką o słuszną sprawę, niezależnie od tego, z iloma przeciwnikami przyszło mu się mierzyć. Jack jeszcze nigdy nie był z niego tak dumny.

- Też nie mogę na to pozwolić! - zawołał chłopak, prostując się z laską w ręce. Niewolnicy zarechotali, a opat pozwolił sobie na uśmiech.

Pega wypadła zza wierzby, ciągnąc za sobą Lucy.

- Podam ci ją, Jack. Złap ją za rękę.

Ale Lucy, jak zwykle przekorna, krzyknęła:

- Puszczaj, zabo! Nie cierpię, kiedy dotykają mnie niewolnicy!

Pega natychmiast puściła dziewczynkę.

- Pega... - jęknął Jack błagalnym tonem. Pomoc jednak nadeszła z najmniej spodziewanej strony.

Wśród mężczyzn, wysłanych, by poskromić ojca, był i Brutus. Na widok Lucy stanął jak wryty.

- Cofnąć się! Cofnąć! - nakazał pozostałym. - Ona należy do Jasnego Ludu.

- Jasny Lud to przekłete demony! - zagrmiał opat. - Natychmiast mnie posłuchaj albo oddam cię królowi Yffiemu!

Brutus stanął przy ojcu.

- Nie ruszę się nawet o krok! - wykrzyknął, znów przyjmując rolę bohatera. - Moja matka służyła Jasnemu Ludowi i ja też mam taki zamiar!

Niewolnicy gapili się nań z otwartymi ustami.

- Odejdź, nędzniku, albo każę cię spalić żywcem! - ryknął ojciec Swein.

Mężczyźni ruszyli. Rozgorzała walka.

Jack wiedział, że ojciec i Brutus nie mogą się długo opierać tak licznym przeciwnikom. W dodatku niewolnicy z wykopu wspinali się już po drabinie. Zadrżał z wściekłości na zdradzieckiego opata. *Przybądź*, wołał jego umysł, a chłopak ścisnął pulsującą laskę tak mocno, że zbieleły mu kłykcie. *Zburz te mury. Oczyść to paskudne miejsce*. Nie wiedział, jakie siły przyzywa. Wiedział tylko, że jego wołanie wnika w głąb ziemi i niesie się echem po rozległych, podziemnych jaskiniach, które nigdy nie widziały słońca. Laska trzęsła się w jego ręce. Włosy stanęły mu dęba.

Po ziemi przetoczył się grzmot. Kamienie pod stopami Jacka jęknęły, a wszyscy stojący

na dziedzińcu aż zatoczyli się od wstrząsu. Chłopak opadł na kolana. Po kolejnym wstrząsie kamienie zaczęły się walić w kłębach kruszącego się tynku. Jack zobaczył, że Studnia Świętego Filiana pęka na dwoje. Woda trysnęła potężnym strumieniem, który uderzył w mur. Jackiem rzuciło o wierzbę. Spadając, rozpaczliwie chwycił się gałęzi.

Kiedy usiadł, ujrzał rzekę, przelewającą się przez wyłom w murze. Siła wody była tak ogromna, że nie słyszał krzyków niewolników. Widział tylko, jak otwierają i zamykają usta. Woda wlewała się do dołu, ale wcale go nie wypełniała, lecz znikła w szczelinie, która otworzyła się na dnie. Porwała ze sobą nieszczęsnego Guthlaka. Boczna fala pochwyciła ojca Sweina z wprawą żaby, chwytającej pojedynczą muchę z roju. Woda poniosła krzyczącego opata ze sobą.

Z jakiegoś nieznanego Jackowi powodu nurt uspokoił się i spienione fale zmieniły się w krystaliczny łuk. W wyłomie w murze stała na wodzie elfia Pani. Wyglądała, jakby w ogóle nic nie ważyła. Brutus opadł na kolana. Lucy z zachwytem klasnęła w ręce.

Kobieta wyciągnęła ręce i Lucy puściła się biegiem. Jack próbował ją złapać, podobnie jak ojciec, który był zbyt obolały, by dać radę. Elfka porwała Lucy w ramiona i z triumfalnym krzykiem skoczyła do wody. Koniec strugi prześliznął się przez krawędź dołu niczym ogon węża i zniknął.

Jack podbiegł do wykopu i spojrzał w dół. Dziura była czarna i sprawiała wrażenie bezdennej, pustej i pozbawionej życia. A także suchej.

- Nie ma jej. Utonęła. Nie żyje. Moja biedna córeczka - jęknął ojciec, leżący na ziemi.

Kilku mnichów i niewolników stało na skraju dołu. Dwaj niewolnicy opuszczali się na linach, by zbadać szczelinę. Wszyscy pozostali albo byli ranni, albo w bezradnym oszołomieniu krążyli wśród ruin. Większość murów wokół dziedzińca runęła. Jack dostrzegł za nim zapadnięte dachy i dym.

- Myślisz, że poniosłeś wielką stratę? - zakwilił jeden z zakonników. - My straciliśmy swojego opata. Co mamy zrobić? Był światłem, które wskazywało nam drogę!

- Do diabła z ojcem Sweinem - mruknął Giles Kuternoga.

- Gdzie ten mnich ze szpitala? - wykrzyknął Jack. Niepokoiły go obrażenia ojca. Niewolnicy mocno go pobili. Kulawą nogę miał wygiętą pod innym kątem niż zwykle. Na pewno bardzo cierpiał.

- Powiedz im, Giles - odezwała się Pega. - Nigdy nie widziałam większego rzezimieszka niż ten opat.

- Czy ktoś tu umie nastawiać kości? - zawołał głośno Jack. Nikt jednak nie radził sobie ze wszechogarniającym chaosem. Z dziedzińca i z zewnątrz do uszu chłopaka dobiegały tylko



jęki i przekleństwa.

- Spróbuję - powiedziała Pega. - Jeden z moich właścicieli...

- Ja to zrobię - przerwał jej Brutus. Odlamał z wierzby kilka gałęzi i przykucnął obok ojca.

- Będzie bolało, proszę pana.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ona nie żyje. Biedne, biedne dziecko - rozpaczła mężczyzna.

- Myślę, że żyje, proszę pana. Widziałem, jak zabrała ją Pani.

- Lucy utonęła. Musimy się modlić za jej duszę. Pomóż mi uklęknąć.

- W takim stanie nie może pan klękać. Przytrzymajcie go - nakazał Brutus dwóm niewolnikom, którzy byli cali i zdrowi. Ku zaskoczeniu Jacka, usłuchali. Gdy Brutus nie płaszczył się przed innymi, było w nim coś, co wymuszało posłuszeństwo. Jack zgrzytnął zębami. Gdyby tak nauczył się od barda czarów leczniczych zamiast przyzywania tego, co przed chwilą nastąpiło... Ojciec krzyknął, gdy Brutus nastawiał kość.

- Szkoda, że nie mogę użyć soku makowego - mruknął niewolnik. - Nie ma czasu.

- Ból jest dobry! Zasłużyłem na niego! To wszystko moja wina! - krzyknął jeszcze ojciec, zanim stracił przytomność. Brutus raczej wiedział, co robi, a w każdym razie tak się Jackowi wydawało. Noga ojca wydawała się prostsza i równiejsza niż kiedykolwiek. Brutus przymocował łubki sznurem.

- Gotowe! - oznajmił, siadając prosto. - Przykro mi, że zadałem mu ból.

- Czy nic... czy nic mu nie będzie? - spytał Jack.

- Mam nadzieję.

- Zrobiłeś to po mistrzowsku - oceniła Pega, przyglądając się łubkom. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- Od matki - odparł Brutus.

- Hej! - zawołali niewolnicy z wykopu. Szybko wciągnięto ich na górę.

- Ciemno tam jak w piekle - powiedział jeden. - Bez pochodni nie sposób iść dalej. Bez wielu pochodni.

- Czy ta dziura prowadzi prosto w dół?

- Skręca w bok - odparł niewolnik. - Zmieściłaby się w niej cała armia.

- I jest zupełnie sucho - dodał drugi.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Myśl o przejściu tak szerokim, że zmieściłoby całą armię budziła niepokój. Jakim cudem może tam być sucho, skoro przelało się tyle wody? - pomyślał Jack.

- O, nie! Tutaj widzę jeszcze gorsze obrażenia. - Jack dostrzegł brata Aiden, pnącego się

przez ruiny. Za nim podążał mnich ze szpitala z grupą pomocników. - Przenieście rannych na pola - nakazał zakonnik. - Dziś w nocy niech nikt nie śpi w środku. Trzęsienie ziemi może powrócić. Giles! - Brat Aiden pochylił się i zbadał puls ojca. - Żyje, Bogu dzięki. Pięknie nastawiona kość.

- Brutus to zrobił - oznajmił Jack.

- Naprawdę? Przyda mi się twoja pomoc, młodzieńcze. Wszędzie wokół mamy połamane kości. Czy ktoś zginął?

- Woda porwała Lucy, ojca Sweina i pacjenta, który już nie żył - powiedziała Pega.

- Tylko nie Lucy! - wykrzyknął brat Aiden. - Wiedziałem o opacie, ale nie o tym biednym dziecku. Co za okrutny los!

Rannych kładziono na deskach i wnoszono. Jack pilnował ojca, by mieć pewność, że będą z nim postępować ostrożnie.

- Lucy nie utonęła - odezwał się Brutus.

- Ciagle to powtarzasz. Widziałam, jak porwała ją wodą i słowo daję, nikt by tego nie przeżył - odparła Pega. - To było najdziwniejsze, bracie Aidenie. Lucy sama pobiegła do wody.

- Wezwała ją Pani - powiedział Brutus. - I Pani ją zabrała.

- Też to widziałem - przyznał Jack.

Brat Aiden chciał coś powiedzieć, ale przerwał mu tętent kopyt, gdy na dziedzińcu wpadli jeźdźcy.

- Stać! - ryknął mężczyzna w hełmie. Wierzchowce zaryły kopytami. Potrząsały głowami, a ich boki lśniły od potu. - Din Guardi zatrzęsło się jak szczur w zębach psa, ale wytrzymało. Zobaczyliśmy dym z klasztoru. Gdzie ojciec Swein? Dobry Boże! Tu musiało być centrum trzęsienia ziemi.

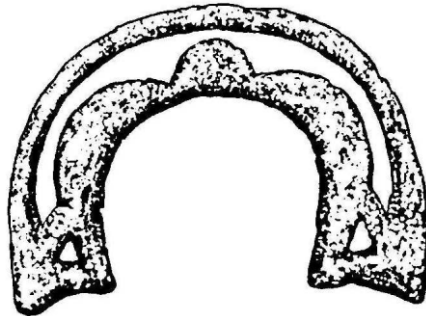
- Opat nie żyje - powiedział brat Aiden, który przy roślach wojowników jeszcze bardziej przypominał małą, brązową jaskółkę. - Jestem mistrzem sztuk ze Świętej Wyspy.

- Ach! - wykrzyknął jeździec, na którym te słowa wyraźnie wywarły spore wrażenie. - Całe szczęście, że jesteś tutaj, by objąć po nim funkcję. Co wywołało te wstrząsy? Demony?

- On! - wykrzyknął mnich ze szpitala, wskazując Jacka. - Niewolnicy widzieli go tuż przed trzęsieniem ziemi. Wypowiadał zaklęcia i wymachiwał laską czarownika. I pomyśleć, że zmarnowałem na ciebie głowę świętego Oswalda - dodał, wygrażając chłopakowi pięścią.

# Rozdział 15

## Din Guardi



- Mogło być gorzej - stwierdził bard, opierając się na krześle, które król Yffi kazał wstawić do jego komnaty. Wyciągnął stopy w kierunku pełnego rozżarzonych węgli piecyka pod głębokim, wąskim oknem. Na zewnątrz szalała wiosenna burza. Krople deszczu co jakiś czas wdzierały się do środka, wywołując syczenie węgli. - Może nie dużo gorzej, ale gorzej. - W zamyśleniu pociągnął łyk rumiankowego naparu, który zaparzyła mu Pega.

- To nie moja wina - zaprotestował Jack. Poprzednią noc i większą część dnia spędził w lochu króla Yffięgo. Uwolniono go tylko dzięki wstawiennictwu brata Aideny. Wydrążona w skale cela, w której został zamknięty, była ciemnym i budzącym grozę miejscem, do którego dobiegały wycia nieznanymi stworzeń i łoskot fal gdzieś niedaleko.

- Uprzedzałem cię tuż przed naszym rozstaniem: „nie rób niczego głupiego”.

- To prawda. Pamiętam - potwierdziła Pega.

- Oj, cicho bądź - mruknął Jack.

- Nigdy nie posługuj się gniewem, by przywołać siłę życiową, chłopcze - zbeształ go bard. - Uruchamia się, kiedy najmniej się tego spodziewasz.

Jack czuł się okropnie. Przez niego Studnia Świętego Filiana uległa zniszczeniu, a dziesiątki ludzi odniosły obrażenia. Ojciec przez kilka miesięcy nie będzie chodził, a w dodatku oszalał z żalu. Chłopak nie wyobrażał sobie, jak powiedzą matce o Lucy.

- Król Yffi chciał cię upiec na wolnym ogniu, bo Święty Filian dobrze mu płaci za ochronę, ale groźbami zmusiłem go do zmiany zdania. - Bard spokojnie popijał swój napar. Słońce już zaszło i niebo za podłużnym, prostokątnym oknem zmieniło barwę ze srebrzystej

na ołowianą. Starzec uśmiechnął się, gdy w otworze przysiadła jaskółka, by wysuszyć skrzydła.

- Dziękuję - mruknął Jack. Król nie zamierzał go upiec, ale to jeszcze nie oznaczało, że nie szykuje się nic złego. Przed drzwiami ustawiono strażę, by nikt nie wychodził.

- Yffi musi podjąć ciekawą decyzję - stwierdził bard. - Nie sądzę, by już o tym wiedział. Pewnie ma zdecydować, ile bólu zdołam znieść, pomyślał chłopak.

Pega jak zwykle nie próżnowała i zastawiła niewielki stół chlebem i duszonym mięsem z zamkowej kuchni. Jack zauważył cztery miski i zastanawiał się, kto jeszcze przyjdzie. Ojciec przebywał w znajdującym się w Din Guardi szpitalu, a bard oznajmił, że podano mu sok makowy na uspokojenie.

- Przed Gilesem długie leczenie - powiedział. - Obawiam się, że noga to najmniejszy z jego problemów.

- Dlaczego traktują cię tu tak dobrze, skoro król Yffi to chrześcijanin? - spytał Jack, zwracając uwagę na przepych komnaty i umeblowania. - Myślałem, że oni nie znoszą pogan.

- Yffi przypomina mur, pokryty świeżym tynkiem - wyjaśnił bard. - Na zewnątrz wydaje się chrześcijaninem, bo to przynosi mu bogactwo. W środku jest tym samym brutalem, który zabił prawowitego władcę Din Guardi, po czym zniewolił jego żonę i dziecko. Nad większością stworzeń można zapanować dzięki dobroci, ale co jakiś czas spotykasz kogoś takiego, jak Yffi, kto reaguje tylko na strach. Na szczęście wiem, jak go wywołać.

- Ale... - zaczął Jack, próbując poukładać myśli. - Myślałem, że jest królem. - We wszystkich opowieściach, jakie słyszał, tacy ludzie byli szlachetni od urodzenia.

Pega parsknęła śmiechem.

- Gdzieś ty się uchowaf? Królowie to po prostu złodzieje, którym się powiodło.

- Nieprawda! - odparł zapalczywie Jack.

- Spokojnie - uciszył ich bard. - Nie wszyscy władcy są zepsuci, choć doświadczenie nauczyło cię w to wierzyć, Pego. A! Jest Aiden. Możemy już jeść.

Mnich okutany był mokrym płaszczem, który parował w gorącym pomieszczeniu.

- Co za dzień! Poprosiłem mnichów od świętego Filiana, żeby posprzątały kamienie, a oni na to: „to robota dla niewolników”. Szybko okazało się, że wszystko jest robotą dla niewolników. Co ci ludzie robią całymi dniami? Na pewno nie spędzają czasu w bibliotece, a kiedy zajrzałem do kaplicy, też była pusta. - Brat Aiden zdjął płaszcz, przemieniając się z tłustej kuropatwy w wychudzoną jaskółkę. Pega powiesiła płaszcz przy ogniu, by wysechł.

Zakonnik wyciągnął jesionową laskę Jacka.

- Przypuszczam, że niedługo możesz jej potrzebować, chłopcze. - Wymienił z bardem

porozumiewawcze spojrzenie. - Królewscy strażnicy bali się jej dotknąć, kiedy cię aresztowali. Gorąca zupa z soczewicy! Jesteś cudowna, Pego! - wykrzyknął, zanim Jack zdążył spytać, czemu miałby potrzebować laski.

Usiedli i zaczęli jeść. Zupę doprawiono cebulą i nową przyprawą, którą ojciec nazywał „pieprzem”. Była pyszna! Jack pomyślał, że mógłby jeść pieprz codziennie. Bard zostawił kawałek chleba dla jaskółki w oknie. Nie okazała najmniejszego lęku, przeciwnie, sfrunęła i zjadła mu chleb z ręki.

Gdy skończyli posiłek, Pega przyniosła przysmak, który przyrządziła w zamkowej kuchni - omlet z miodem.

- Gdyby był tu ojciec Severus - powiedział brat Aiden, kiedy całe towarzystwo usiadło wokół piecyka, by się ogrzać - wziąłby tych leniwych mnichów do galopu. Potrafił nakłonić do modlitwy nawet wilka.

- Kto to jest ojciec Severus? - spytał Jack.

- Człowiek, który uratował mi życie - odparł drobny mnich. - Byłem mały i zabłądziłem w Zapomnianym Lesie. Pamiętam, że jadłem korę z drzew.

- Też to robiłam - wtrąciła pogodnie Pega. - Jeden z moich właścicieli...

- Pozwól mu opowiadać - poprosił Jack, który chciał usłyszeć historię o Zapomnianym Lesie.

- Mam mgliste wspomnienia, ale wydawało mi się, że wszystko na mnie poluje. Zrobiłem sobie gniazdo na drzewie, jak ptak. Ojciec Severus został wysłany do lasu, by odbyć pokutę i zauważył moją kryjówkę. Z początku się go bałem. Bałem się zresztą wszystkiego, ale zostawiał jedzenie u podnóża mojego drzewa. Stopniowo nabrałem do niego zaufania.

- Twoi rodzice nie żyli? - spytała Pega.

Brat Aiden odchylił się i zmarszczył brwi.

- Nie pamiętam. Nadal umiem mówić w ich języku. - Powiedział coś w szeleszczącej mowie, która bardziej przypominała szum wiatru w lesie niż ludzki głos.

Włosy zjeżyły się Jackowi na głowie.

- To piktyjski! - wykrzyknął. Nie rozumiał słów, ale ich syczące brzmienie przywołało złe wspomnienia. Słyszał ten język na targu niewolników, gdzie Ludzie Północy próbowali go sprzedać. Przypomnił sobie niskich wojowników o pomalowanych ciałach, wyłaniających się z mroku. Ich skóra zdawała się tańczyć w blasku ognia. Malunki na ich ciałach - wilk z ludzką głową w zębach, jeleni pozerający węża, człowiek miażdżony kopytami byka - ukazywały świat cierpienia. Przypominały rysunki, które brat Aiden robił na swoich pergaminach.

- Jesteś Piktem! - powiedział Jack, rozumiejąc teraz przyczynę drobnej budowy mnicha.
- Jestem - przyznał brat Aiden.
- Jak to możliwe? To dzikusy! Zjadają ludzi!
- Skończyłeś? - spytał bard.
- Chyba tak - odparł chłopak.
- W takim razie muszę ci powiedzieć, że byłeś nieznośnie niegrzeczny. Nic nie wiesz o ludzie Aiden, a jednak masz o nich jak najgorsze zdanie.
- Widziałem ich. Ludzie Północy wymieniali niewolników na broń, a Piktowie obmacywali jeńców, by sprawdzić, czy są grubi. Omal nie zabrali i mnie! To było straszne.
- A rzeź mnichów z rąk Ludzi Północy taka nie była? - Oczy barda zaśniły gniewem.
- Oczywiście, że była - odparł Jack, rozpaczliwie pragnąc, by starzec go zrozumiał. - Ale Piktowie byli gorsi. Tacy nienaturalni. Nawet Olaf Jednobrewy ich nienawidził.
- Lista ludzi, których Olaf Jednobrewy nienawidził, a także tych, którzy nienawidzili jego, sięgnęłaby stąd do następnej wioski.
- Nie obrażam się - odezwał się brat Aiden, niespodziewanie stając w obronie Jacka. Pradawni u wielu budzą lęk. Współcześni Piktowie nie różnią się od innych ludzi. Noszą ubrania i mieszkają w domach. Mówią tym samym językiem co sąsiedzi i zawierają śluby z ich synami i córkami. Pradawni... - Głos mnicha umilkł.
- Żyją tak jak ich przodkowie przed tysiącem lat - dokończył bard. - Nadzy, pomalowani, skryci. Wychodzą tylko nocą. Ludzie powiadają, że światło ich osłabia.
- Tak długo żyli w ciemnościach, że zaczęli się bać słońca - zgodził się brat Aiden.
- Piktowie, których widziałem, byli pokryci rysunkami - powiedział Jack.
- Też mam ich kilka. - Brat Aiden obnażył pierś, ukazując ozdobny półksiężyc, przeszyty złamaną strzałą. Poniżej widniała niebieska linia, przecięta pod kątem prostym pięcioma krótkimi kreskami. - Nie musisz się mnie bać, Jack. Od dawna nikogo nie zjadłem.
- Prze... przepraszam - wyjąkał Jack. Nie potrafił w łagodnym mnichu rozpoznać dzikusów, których pamiętał z targu niewolników.
- Od tego znaku wzięło się moje imię. - Brat Aiden wskazał niebieską linię.
- To runa - wyjaśnił bard. - W języku Piktów oznacza *aiden*, czyli „cis”. Mnisi ze Świętej Wyspy uznali, że to imię równie dobre, jak każde inne.
- Teraz muszę się udać na modlitwę - oznajmił zakonnik. Przystanął przy oknie, by pożegnać się z jaskółką. - Często się zastanawiałem, dokąd odlatują na zimę. Niektórzy mówią, że lecą do Raju - powiedział, głaszcząc ptaka po łebku.
- Chciałam o coś spytać - odezwała się Pega, podając bratu Aidenowi nagrany płaszcz. -

Dlaczego ojciec Severus odprawiał pokutę?

- Miał pechowe spotkanie z syreną... ale nie chcę się wdawać w próżne plotki - odparł brat Aiden. - Jutro długi dzień. Wszyscy powinniśmy się dobrze wyspać.

- A co jest złego w próżnych plotkach? Może lepsze są pełne plotki? - złościła się później Pega, ścieląc sobie posłanie. Bard dostał materac z gęsiego puchu, ale ta gościnność nie obejmowała Jacka ani Pegi. Skromne wiechcie słomy ledwie przykrywały twardą kamienną posadzkę.

- Założę się, że ojciec Severus zakochał się w tej syrenie - powiedziała Pega. - Powiadają, że Morski Lud wiąże się z ludźmi, by zdobyć ich dusze.

- Bard mówi, że oni cuchną wodorostami - mruknął Jack.

- A ojciec Severus cuchnął pewnie jak stare buty.

- Nikogo nie szanujesz, co?

- Nieprawda - zaproponowała Pega. - Po prostu nie daję się zwieść oszustom. Królowie, szlachta, opaci... uważają się za takich świętych, że pewnie błoto nie przywarłoby im do tyłków, gdyby usiedli w bagnie. Ale podziwiam dobrych ludzi, słowo daję, takich jak bard, brat Aiden... i ty - dokończyła cicho.

- Oj, idź spać - powiedział Jack, który poczuł się nieswojo, słysząc tę nagłą zmianę w jej tonie. Położył się na swojej słomie i odwrócił się do niej plecami. Na dworze szalała burza. Co jakiś czas podmuchy wiatru wdzierały się przez wąskie okno i chłopca przenikał chłód. Szkoda, że nie miał więcej słomy. Albo jakiejś owczej skóry. Pega najwyraźniej nie zważała na zimno, ale przecież nawykła do złych warunków.

Po jakimś czasie Jack wstał. Jaskółka wyglądała jak ciemna plama w rogu okna. Nawet dziecko nie przecisnęłoby się przez tę wąską szczelinę. Z tego, co Jack zdołał dostrzec, do ziemi było daleko. Podeszedł do drzwi. Strażnicy kulili się na podłodze niczym stado wilczarzy.

Przeciągnął piecyk na środek pomieszczenia. Skoro nie mógł zasnąć, powinien jakoś wykorzystać ten czas.

*Szukam za faldami gór*

*Dziewięcioma falami mórz*

*Ptasim krzykiem na wietrze...*

Śpiewał cicho, okrążając ogień. Może zdoła zobaczyć Lucy, jeśli ta jeszcze żyje. Chodził w kółko, aż odgłosy burzy przycichły, a węgle zaśniły jaśniej. Przez twierdzę przetoczył się

grzmot.

- Nie rób tego - powiedział ostro bard. Zarówno on, jak i Pega, siedzieli prosto. Z oddali dobiegały krzyki. - Siły, które wczoraj przyzywałeś, wciąż krążą. Nie chcemy, żeby cała twierdza zwała się na głowy. - Wstał i wetknął pogrzebacz w rozgrzane węgle. - Napar z mięty dobrze by mi zrobił, Pego.

Dziewczyna podeszła do wnęki w ścianie, by wziąć stamtąd węgiel drzewny. Rozpaliła ogień, napełniła kubki wodą z drewnianego cebra i nasypała do nich liści mięty.

- Nie mam miodu - oznajmiła przeproszającym tonem.

- Świetnie się spisujesz - zapewnił ją starzec. - Najbardziej potrzeba nam ciepła. Na gwiazdy! Można by pomyśleć, że mamy grudzień.

Wkrótce siedzieli wokół piecyka, czując na twarzach gorącą, miętową parę.

- Co takiego przywołałem? - spytał Jack.

- Trzęsienie ziemi - odparł bard.

- A co to jest trzęsienie ziemi?

- Bardzo dobre pytanie. Piktowie mówią, że to Wielka Dżdżownica i jej dziewięcioro młodych przekopują ziemię. Sam zawsze uważałem, że to zaburzenie równowagi w sile życiowej. Jeszcze lepsze pytanie brzmi: czemu ci odpowiedziało. O czym myślałeś, kiedy je przyzywałeś, chłopcze?

- Za pierwszym razem byłem zły na ojca Sweina. A raczej wściekły - przyznał Jack. - Ścisnąłem laskę tak mocno, że chyba tylko cudem jej nie złamałem. Drżała mi w ręce.

- Też to czułam - wtrąciła Pega.

- Naprawdę? - Bard posłał jej pełne namysłu spojrzenie.

- Wezwałem... coś - powiedział Jack. - Powiedziałem, żeby zburzyło mury. I oczyściło to miejsce. Przez chwilę dosłownie patrzyłem w głąb ziemi. Były tam groty, jak wielkie komnaty, zupełnie ciemne...

- A za drugim razem? - spytał cicho bard.

- Wykonywałem zaklęcie dalekowidzenia. Chciałem tylko zobaczyć Lucy. - Jack odczuwał wewnętrzną pustkę. Gdzie się podziewała jego siostrzyczka? Czy bała się mrocznych komnat, które przez moment widział? A może uwięził ją jakiś potwór?

- Dawno temu - odezwał się bard, składając ręce - studnia Świętego Filiana nie była studnią, lecz jeziorem. Władala nim potężna pani Krainy Elfów, ta, o której mówił Brutus, a także jej nimfy. Zawsze bronił ich pan Din Guardi.

- Nie król Yffi? - zapytał Jack.

- Nie. On zabił prawowitego władcę, a potem wezwał grupę mnichów odszczepieńców.



Ci zatamowali źródło, które zasilalo jezioro, i uwięzili Panią na dziedzińcu za pomocą chrześcijańskiej magii. Przez lata prowadzili tam swoje małe przedsiębiorstwo. Opat ze Świętej Wypsy protestował, ale niczego nie zrobiono. Ludzie Północy zniszczyli wyspę. Szkoda, że Olaf wylądował ze swoją przygłupią załogą właśnie tam, a nie tutaj.

- Czy Pani była naprawdę nieszczęśliwa? - spytał Jack.

- Na tak małym dziedzińcu? Bez stad ptaków, mgieł, trzciny i polnych kwiatów, które kochała? Oczywiście, że tak. Co gorsza, starzała się. W naszym świecie elfy żyją długo, ale przedłużają swoją egzystencję, odwiedzając Krainę Elfów, gdzie czas nie płynie.

- Pewnie dlatego do mnie strzeliła - powiedział chłopak.

- Na pewno rozmyślała o tym od lat. Kiedy otworzyłeś szczelinę... Na brwi Odyna! Właśnie! Jak mogłem to przeoczyć?

- Co? Co robisz?

Bard upuścił kubek i podszedł do okna. Nie bez trudu przełożył przez nie rękę. Jaskółka zaćwierkała z rozdrażnieniem.

- Nie martw się, moja mała. Sprawdzam tylko pogodę - powiedział starzec. - Ha!

- Co? - wykrzyknęli chórem Jack i Pega.

- Na zewnątrz jest zupełnie sucho. Tak jak myślałem. To nie była zwykła burza.

- Wcześniej padało - zauważyła Pega.

- Woda wylała się ze studni i popłynęła do szczeliny, którą otworzyłeś, Jack. Wszystko zostało zupełnie suche. - Bard popatrzył na Jacka i Pegę wyczekująco.

- Ale co to ma wspólnego z... - zaczął chłopak.

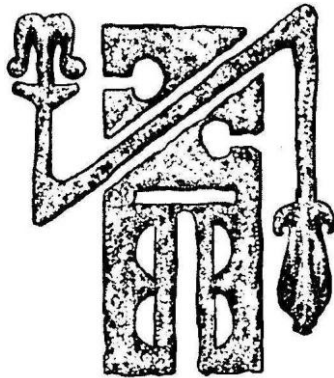
- Pomyśl! Przez całą noc i dzisiejszy dzień lało. A teraz deszcz zniknął! - Złożył ręce, najwyraźniej nadzwyczaj zadowolony z siebie.

Jack i Pega wlepiali oczy w starca.

- Chrońcie mnie przed ogłupiałymi uczniami! Pani Jeziora opróżniła niebo. Zabrała całą wodę - wyjaśnił bard. - Nie zdziwię się, jeśli wszystkie studnie w okolicy wyschły. A kiedy król Yffi się o tym dowie, będzie go słyhać nawet w Jotunheimie!

# Rozdział 16

## Król Yffi



Przed świtem zaśpiewała jaskółka. Świergotała i pogwizdywała, jakby toczyła z kimś długą rozmowę. Jack zasłonił uszy, ale nic mu to nie dało. Ziąb przenikał kości, a cienka warstwa słomy stała się jeszcze cieńsza. Usiadł.

- Co ty powiesz - mruknął bard.

*Ćwir, pii, pi, pi* - ciągnął ptak.

Pega też już siedziała i patrzyła.

- Całe zbocze góry się zapadło. To dopiero było trzęsienie ziemi!

*Ćwierk, trit, kuu.*

- Twoja jaskinia pozostała nietknięta. No i całe szczęście. Spotkamy się w Zapomnianym Lesie, bo mamy wiele do omówienia. - Starzec odchylił się, a jaskółka skoczyła na krawędź okna. Nastroszyła piórka w srebrzystym świetle, po czym odleciała z furkotem skrzydeł. - Dzień dobry - powiedział bard, wstając i wygładzając zagniecenia na swojej szacie. - Myślę, że przed nami piękny, słoneczny dzień.

- Rozmawiałeś z tym ptakiem? - spytała Pega.

- Ściśle rzecz biorąc, to ptak mówił do mnie. Trzęsienie ziemi wywołało zamieszanie wzdłuż całego wybrzeża i jaskółka chciała wiedzieć, czy należy się spodziewać kolejnego. Powiedziałem, że nie.

- Nie wiedziałam, że jaskółki są takie inteligentne - powiedziała Pega.

Bard tylko się uśmiechnął, a Jack wiedział, że nie należy zadawać mu pytań. Starzec

niczego nie ujawniał, o ile nie uznał, że to ważne. Chłopak widywał już, jak rozmawia z lisami, jastrzębiami, wronami i borsukami, mentor rzadko jednak przekazywał mu pozyskane informacje.

Na śniadanie zjedli wczorajszy chleb, moczony w cydrze. Jeszcze nie skończyli, gdy pojawili się strażnicy króla Yffiego.

- Nie zapomnij laski - przypomniał Jackowi bard.

Zeszli po schodach, które wiły się wokół stojącej centralnie kolumny. Jack wywnioskował z tego, że znajdują się w wieży. Nawet nie zauważył, kiedy wyciągnięto go z lochu. Strażnicy szli przed nimi i za nimi z przyjaznym błyskiem w oczach.

Powietrze cuchnęło stęchlizną, a podłóże było do bólu zimne. Wydawało się, że wiosna nigdy nie zagląda do tej budowli. Jack przypuszczał, że nawet w pełni lata panował tu ziąb. I smutek. Mróz mógł nieść radość, jak wtedy, gdy budzili jabłonie, ale tutaj gościła wieczna rozpacz. Gdy się uważnie wsłuchiwał, słyszał echo odległego łkania. A może tylko mu się zdawało.

Komnata króla Yffiego sprawiała nie mniej ponure wrażenie. Była duża i okazała umeblowana, ale liczne pochodnie na ścianach wcale nie rozpraszały unoszącej się w pomieszczeniu melancholii. Władca siedział na złotym tronie, wokół rozstawiono kosze, w których żarzyły się węgle. Król był roslym mężczyzną, wyższym i potężniejszym od wszystkich swoich ludzi. Co najdziwniejsze, od stóp do głów ubrany był na czarno, na dłoniach zaś miał skórzane rękawice. Jediną widoczną część jego ciała stanowiły oczy, spoczywające w twarzy niczym dwa kamyki w misce owsianki.

Jakiś mężczyzna przyklęknął na posadzce przed nim. Jack rozpoznał Brutusa, mimo jego podbitych oczu i opuchniętych warg. Naprawdę ucierpiał, stanąwszy w obronie Lucy.

- Brutus wie, że jest nędznikiem, szlachetny panie - jęknął mężczyzna, waląc głową o posadzkę. - Jest bezmyślny jak marcowy zając. Nie chciał atakować dobrych mnichów, naprawdę nie, bardzo ich kocha! Ale potężny czarownik rzucił na niego zaklęcie.

Jaki czarownik? - pomyślał Jack. Po chwili już wiedział. Brutus zrzucił winę na niego!

- A to świnią - mruknął.

- Spokojnie - poradził bard. - Być potężnym, to jeszcze nie tak źle.

- Aiiii! - wrzasnął Brutus, płasko przywierając do posadzki. - Jest tutaj! Jest tutaj! Proszę, mistrzu magii, nie burz tej twierdzy! Nie miażdż biednego Brutusa pod kamieniami! - Podpełznął bliżej i pocałował Jacka w stopę. Chłopak natychmiast się cofnął. - Iiiii! - pisnął niewolnik. - Kopnął mnie! Wypełnił mnie złą magią. Brutus zapaskudzi sobie spodnie! - I zaczął głośno puszczać wiatry.

- Zabrać go! - krzyknął król Yffi.

Strażnicy odciągnęli niewolnika w odległy kąt. Jack dostrzegł teraz, że oprócz Brutusa, w sali obecne były inne osoby z zewnątrz. Za tronem stało kilku mnichów, w tym brat Aiden.

W pomieszczeniu zapadła cisza, nie licząc trzasku pochodni i kwilenia Brutusa.

- Czarownicy - powiedział w końcu król Yffi, spoglądając to na barda, to na Jacka. - Co takiego zrobiłem, by zasłużyć na czarowników?

- Z pewnością coś dobrego - odrzekł bard.

- Od waszego przybycia działy się tylko złe rzeczy - warknął król. - Najpierw trzęsienie ziemi. Potem wyschnięte studnie. Żołnierze donoszą mi, że susza sięga na milę czy dwie poza Bebbas Town, więc możemy przywieźć tu tyle wody, by wystarczyło na nasze potrzeby. Wszystko przez czarowników. - Wbił spojrzenie w Jacka. - Powinienem spalić cię na stosie.

- Co ty na to, chłopcze? - spytał z błyskiem w oku bard. - Zwalimy parę kolumn, żeby im pokazać, co i jak?

- Neeee! - wydarł się ze swojego kąta Brutus. - Nie obsypujcie biednego Brutusa kamieniami!

- Na pewno wymyślimy jakieś inne rozwiązanie. - Yffi rzucił ukradkowe spojrzenie na sklepienie nad swoją głową.

- Można pomyśleć o przywróceniu wody do studni - zauważył bard.

- Rzeczywiście - odrzekł król. On i bard patrzyli na siebie przez chwilę, a Jack z radością zauważył, że to Yffi pierwszy spuścił wzrok.

- Dobrze! - powiedział starzec. - Oto, co wiem: Pani Jeziora uciekła z waszą wodą. Ona uważa, że to jej woda, ale mniejsza o szczegóły. Wzięła też w niewolę ojca Sweina i siostrę tego chłopca. Proponuję ją odnaleźć i obiecać, że dostanie jezioro z powrotem. Na pewno zechce współpracować, jeśli przedstawimy jej rozsądną ofertę.

- Jak ją znajdziemy? - wykrzyknął jeden z mnichów. - Zniknęła w tej wielkiej, brudnej dziurze, gdzie kiedyś była nasza studnia.

- Ja tam nie wejść - wymamrotał pod nosem któryś strażnik.

- Mnisi mówią, że to brama Piekła - mruknął inny.

- Pójdziecie, jeśli wam rozkażę! - ryknął król Yffi, aż wszyscy podskoczyli. - Na spleśniałe ręce świętego Oswalda, moje królestwo wysycha! Poślę tam całą armię, jeśli będzie trzeba. Sprowadzę tę czarownicę z powrotem w łańcuchach!

- Ojej - rozległ się łagodny głos brata Aiden. - Obawiam się, że to nic nie da. Pani Jeziora jest elfką wody. Wody nie sposób zakuć w łańcuchy.

- Nie obchodzi mnie, jak to zrobicie! - krzyknął król. - Użyć łańcuchów! Wiadra!

Możecie przynieść ją w dzbanie, nie obchodzi mnie to! Ale chcę mieć ją z powrotem. - Wbił spojrzenie w Jacka. - Ty nędzny czarowniku! Powinienem tobą nakarmić swoje kraby. Od tygodni ich nie karmiłem. Ale mam lepszy pomysł. To ty zejdziesz do tej dziury. Ty sprawisz, że w moich studniach znowu będzie woda. A jeśli nie, obciążę twojego ojca kamieniami i wrzucę do morza!

Jack był tak wstrząśnięty, że aż zakręciło mu się w głowie. Myślał, że królowie - przynajmniej sascy - są w jakiś sposób szlachetniejsi od zwykłych ludzi. Byli stróżami sprawiedliwości. Nie dokonywali zemsty na bezbronnych. Yffi jednak wcale nie był szlachetny. Był tylko złym piratem, który zyskał królestwo za sprawą zabójstwa. Jak powiedziała Pega: królowie to po prostu złodzieje, którym się powiodło.

- Pójdę z nim - odezwała się Pega.

- To zbyt niebezpieczne - odparł Jack.

Odwróciła się do niego. Surowy wyraz twarzy przydawał jej powagi, która go uciszyła.

- Jestem wolna i chodzę, dokąd zechcę.

- A ja nie jestem wolny, więc nie możesz mnie zabrać! - wykrzyknął Brutus, pełznąc na czworakach po posadzce. - O, nie, nie, nie! Nie możesz wziąć Brutusa. Brutus boi się ciemności. Umarłby ze strachu! - Rzucił się królowi Yffi emu do stóp, zasypując je głośnymi pocałunkami.

- Przestań! - ryknął król. - Przysięgam, nigdy nie widziałem równie obrzydliwego stworzenia! Pójdziesz do tego dołu i mam nadzieję, że na dnie spotkasz coś naprawdę strasznego!

Brutus skulił się i zaczął wyc.

- Zabrać ich! - zawołał król. - Mają się znaleźć w tym dole przed zmrokiem. I postawić warty przy krawędzi, żeby się potajemnie nie wymknęli!

- Dobrze poszło - powiedział bard, gdy oddział strażników o ponurych twarzach gnał ich przez twierdzę. Ludzie Yffiego szli za bratem Aidenem, Pegą i Brutusem, uważali jednak, by to bard z Jackiem prowadzili. Wyraźnie niepokoiła ich taka bliskość czarowników.

Tak? - pomyślał Jack. Ja bym powiedział, że poszło zupełnie fatalnie. Za chwilę wrzucą nas do bramy Pieła. Jeśli nie znajdziemy wody, ojciec zginie w odmętach. A w dodatku musimy wlec ze sobą jego. Chłopak zerknął na Brutusa, który zawodził monotonnie. Jeśli w tej dziurze czai się coś złego, w życiu się obok tego nie przekradniemy.

- Nie jest tak źle, jak się wydaje, chłopcze - odezwał się starzec, gdy strażnicy zamknęli ich w komnacie. - Brutus jest kimś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka.

Jack wzruszył ramionami. Jego zdaniem pierwszy rzut oka robił wystarczająco złe wrażenie.

Niewolnik przestał jęczeć w chwili, gdy znaleźli się sami.

- Stary, dobry Yffi - powiedział, z łatwością przeistaczając się z pełzającego robaka w człowieka. - Jak zwykle łatwo przewidzieć, co zrobi. Nigdy nie przepuści okazji, żeby przysporzyć komuś cierpień.

- Tacy jak on żyją tylko po to, by rozsiewać nieszczęście - zgodził się bard. - Ale prędzej czy później nieszczęście odnajduje drogę powrotną.

- Widzieliście, jak zaśliniłem mu nogi? Pięknie! Yffi nie cierpi śliny.

- Bez wątplenia jesteś w tym dobry - powiedział Jack.

- Dzięki służalczości zachowałem głowę przez te wszystkie lata. - Brutus wesoło puścił doń oko. - Pomyśl tylko! Ruszamy na wyprawę. Przeżyjemy przygody. Może nawet spotkamy smoki.

- Już raz spotkałem - odparł Jack, któremu Brutus nie przypadł do gustu ani w roli pełzającego robaka, ani jako człowiek. - Załamywanie rąk nie robi na nich wrażenia.

- Nigdy nie załamałbym rąk! - wykrzyknął Brutus. - Zabiłbym smoka, jak przystało na prawdziwego rycerza. Nie miałbym też nic przeciwko uratowaniu księżniczki.

Jack nie wierzył własnym uszom. Mówił to człowiek, który jeszcze przed chwilą kulił się na podłodze jak zbity pies.

- To ważne, że Yffi dał się nakłonić, by posłać z wami Brutusa. Ty i Pega będziecie potrzebowali kogoś do ochrony - uznał bard.

Chłopak poczuł się tak, jakby wrzucono go do lodowatej wody.

- A ty nie idziesz?

- Niestety nie, chłopcze. Nie jestem już tak wytrzymały, jak sześćdziesiąt lat temu. Poza tym potrzebują mnie tutaj. Ludzie Północy ruszyli. Nie są jeszcze blisko, ale nigdy nic nie wiadomo. Studnie wyschły i trzeba wskazać wieśniakom nowe źródła. I muszę mieć oko na twojego ojca. Odniósł poważne rany. Jeśli nie zajmę się jego nogą, może już nigdy nie chodzić.

Jack odwrócił się do brata Aideny.

- Ojej. Przykro mi, że sprawię ci zawód. - Zakonnik pochylił głowę. - Przejmuję obowiązki ojca Sweina. Mnisi od świętego Filiana wałęsają się jak zagubione owieczki. Potrzebują mnie, żebym zapewnił im dyscyplinę i pożyteczną pracę.

Jack miał własne zdanie na temat mnichów i ich podobieństwa do owieczek, zachował je jednak dla siebie. Był bardzo zawiedziony. Mógł liczyć na pomoc jedynie ze strony kościstej

dziewuchy i tchórzliwego niewolnika.

- Głowa do góry, chłopcze - powiedział bard. - Jesteś młody, impulsywny, słabo wyszkolony, trochę niedouczony i niedoświadczony, ale ja w ciebie wierzę.

- Dziękuję - mruknął Jack. - Chyba.

Przerwali im strażnicy, którzy przynieśli jedzenie.

- Najedzcie się, a resztę spakujcie - warknął dowódca. - Wrócimy przed zmierzchem. Będzie już ciemno ale... - Uśmiechnął się. - ...nie tak ciemno jak tam, dokąd idziecie.

Na posiłek składała się zimna owsianka, wczorajsze ciastka owsiane, kwaśny tłuczony owies i owsiany budyń (z łożem).

- Szkoda, że nie wyciągnęli wołków zbożowych - mruknęła Pega, dźgając gumowaty budyń palcem, ale nikt inny nie narzekał.

- A teraz - powiedział bard, gdy Pega spakowała już resztę jedzenia do worków i wszyscy usiedli przy piecyku - możecie się uspokoić. Ten tunel nie jest bramą do Piekła.

- Jesteś pewien? - spytał brat Aiden.

- Całkowicie. Mam spore doświadczenie w kwestii podziemnych przejść. Te mniejsze wykopują skrzaty, krasnale i chochliki.

A co to za jedni?, pomyślał Jack. Był przy tym oczarowany wizją małych, magicznych stworzeń, ryjących korytarze pod jego nogami.

- Większość dużych tuneli robią elfy. Panią Jeziora łączy bliska przyjaźń z królową Krainy Elfów i przypuszczam, że ta pierwsza właśnie tam się ukryła.

- Byłeś tam kiedyś? - spytał Jack.

- O, tak - odparł starzec z nie do końca szczęśliwą miną. - Jaki bard nie chciałby usłyszeć elfiej muzyki? Ale... - Umilkł.

Jack był zaskoczony. Zazwyczaj bard był bardzo pewny siebie. Potrafił władać wiatrem i przyzywać ogień tylko za pomocą słów. To dlatego Ludzie Północy darzyli go szacunkiem i nazywali Smoczym Językiem.

- Czy elfy są takie cudowne, jak głoszą legendy?

- Oczywiście - odrzekł bard z rozdrażnieniem. - W końcu to elfy, prawda? Tylko...

- Nie mają serc. Łączą się w nich dobro i zło, a one nie stoją po żadnej ze stron - powiedział brat Aiden.

- Są niebezpiecznie piękne i nawet najmądrzejsi mogą ich urodę pomylić z dobrocią. - Starzec westchnął. - Niejeden mężczyzna zostawił swoją rodzinę w nędzy, by ruszyć za elfami.

- Wydaje mi się, że to вина tych mężczyzn - wtrąciła Pega. - Ja bym nie poszła za elfim

królem, choćby nie wiem ile razy pstrykał palcami.

- Jesteś jeszcze dzieckiem. Nie rozumiesz - powiedział bard.

- Pewnie Pani zabrała Lucy właśnie do Krainy Elfów - powiedział Jack, czując dziwny dreszcz. - To tam musimy iść.

- Tak - przyznał bard bez entuzjazmu.

- Hura! - wykrzyknął Brutus. - Czeka nas cudowna, ekscytująca, fantastyczna przygoda! - Radość tak odmieniła jego oblicze, że Jack zapomniał, jaki pokorny i słaby bywał ten niewolnik.

- To faktycznie wyprawa. - Chłopak westchnął. W jego umyśle pojawił się obraz, płynącego na północ po spienionym morzu okrętu, pełnego wesółych berserkerów, śpiewających *Sława nie umiera*. Wspomnienie cuchnących butów i chlupoczącej w zębie wody uznał za nieistotne. W obliczu przygód, takie rzeczy nie miały znaczenia.

- Przepraszam - odezwała się Pega. - Powiedziałeś, że większość dużych tuneli robią elfy. A kto wykopuje pozostałe?

Bard opuścił wzrok na swoje ręce.

- Smoki.

- Smoki! - wykrzyknął Brutus. - Będę je zabijał i ratował księżniczki.

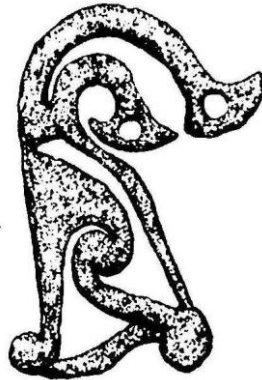
- Oj, cicho bądź - parsknął Jack.

- Ale w tym wypadku to mało prawdopodobne - powiedział z naciskiem starzec. - Pani Jeziora nie wybrałaby przejścia, zamieszkanego przez smoki. Woda i ogień nie idą w parze. Pakujmy się. Czasu jest niewiele, a muszę wam jeszcze wyjaśnić podstawowe zasady, jakie obowiązują przy odwiedzinach u elfów.



## Rozdział 17

### Na wpół Upadle Anioły



- Najpierw, ma się rozumieć, musicie znaleźć elfy - powiedział bard, otwierając dużą, bogato zdobioną skrzynię, stojącą w kącie komnaty. Jack nie zwrócił na nią wcześniej uwagi, w końcu skrzynie znajdowały się w każdym domu. Nawet w najskromniejszej chatynce, w której brakowało krzeseł i stołu. Chłopak przypuszczał, że w tej skrzyni złożono pościel, naczynia i inne przedmioty codziennego użytku. - Elfy niechętnie przyjmują gości, z wyjątkiem dnia letniego przesilenia.

- Wtedy lepiej trzymać się od nich z daleka - odezwał się brat Aiden.

- Czemu? Co się wtedy dzieje? - spytał Jack, ale obaj mężczyźni zignorowali jego pytanie.

- Uczyłem cię szukać wody za pomocą różdżki. Wykonywałaś ćwiczenia, prawda? - Bard wyciągnął ze skrzyni rozgałęziony patyk w kształcie litery Y i podał go Jackowi. Chłopak skinął głową. Prawdę mówiąc, w okolicach jego wioski trudno było nie natrafić na wodę. Za każdym razem, gdy ćwiczył, różdżka prowadziła go na moczary albo do jakiejś glinianki. Raz z ciekawości skierował ją na morze i omal nie ściągnęło go z urwiska.

- Jeśli odnajdziesz wodę, będziesz mógł podążyć tropem Pani Jeziora. W elfich tunelach wala się dużo drewna. Elfy lubią brać ze sobą liściaste gałęzie, gdy dokądś wędrują. Budują altanki, w których śpią, a potem nie zawracają sobie głowy sprzątaniem. Możecie z tego skorzystać i rozpałać ogniska, ale nie róbcie tego przy czarnych bryłkach, jeśli na nie natraficie.

- Dlaczego? Co to za czarne bryłki?

- Smocze odchody. Łatwopalne.

- Elfy niewiarygodnie śmiecą - wtrącił brat Aiden. - Pewnie dlatego, że piją tyle miodu.

- Tego drewna możecie też użyć na pochodnie - ciągnął bard. - Pamiętajcie, żeby patrzeć, w którą stronę leci dym. Nigdy nie wchodźcie do tuneli, w których nie ma ruchów powietrza.

- To albo ślepy zaułek, albo jama pukacza - wyjaśnił brat Aiden. - Na pewno nie chcielibyście tam zajrzeć. Jeśli ziemia zacznie wsysać wam nogi, to zły znak.

- Co to jest pukacz? Dlaczego ziemia wsysa nogi? - wykrzyknął Jack.

Nikt nie odpowiedział na te pytania. Bard szperał wśród owczych skór i zapasowych płaszczy w poszukiwaniu przedmiotów, które najwyraźniej przechowywał tam od chwili przybycia do twierdzy. Jack wiedział, że to do niego podobne. Starzec, niezależnie od tego, gdzie akurat przebywał, zbierał zioła, dziwne kamienie, patyki. Dla innych rzeczy te mogły wyglądać jak śmieci, ale bard wyczuwał drżącą w nich moc. Jack próbował rozwinąć w sobie tę samą zdolność - z dość miernym skutkiem.

Tymczasem Pega pakowała do podróżnych worków ciastka owsiane i bukłaki z cydrem. Miała własny, sznurowany woreczek ze skarbami, w tym ze świecą, którą dała jej mama Jacka podczas ceremonii dzikiego ognia. Dziewczyna wszędzie go ze sobą nosiła.

Jack zastanawiał się, czy matka ma pojęcie, co się z nimi dzieje. Wiedział, że potrafi dowiedzieć się różnych rzeczy, patrząc w miskę wody. Bard nazywał to wróżeniem i twierdził, że można w ten sposób uzyskać jedynie wskazówki. Kiedy Jack był w Jotunheimie, mama zobaczyła go pośród roju pszczół. Miejsce i czas nie były jasne. Z kolei Heide widziała, jak Olaf Jednobrewy umiera w ciemnym lesie, gdy miał zginąć w otwartej dolinie podczas walki z trollowym niedźwiedziem.

Worki wydawały się strasznie duże, ale Jack pomyślał, że w tunelu z pewnością się przydadzą. Brutus nie robił nic. Podśpiewywał jakąś wesołą pioseneczkę i wystukiwał rytm palcami na swoich kolanach. Jack obiecał sobie objuczyć go później workami.

- Chyba jesteś dość młody, by oprzeć się powabowi elfów. - Bard zmarszczył brwi. - Ciekawostka. To jedyna dziedzina, w której dzieci są silniejsze od dorosłych. Nie ulegają tak łatwo ułudzie, a elfy są mistrzami iluzji. Dlatego nigdy nie pokazują się w świetle dnia. Cienie, światło księżyca, mgła... to ich żywioł.

- Mówisz tak, jakbyś ich nie lubił - stwierdził Jack.

- O... Lubię je - odparł starzec. Miał nieobecne spojrzenie, zupełnie jakby patrzył poza szare mury twierdzy w jakąś nieznaną dal.

- Więc co jest z nimi nie tak? Czym są elfy? - Chłopak spodziewał się, że znowu zostanie

zlekceważony, tym razem jednak odpowiedzi udzielił mu brat Aiden.

- Dawno temu - zaczął, siadając w pozycji, która zwiastowała początek opowieści - dawno temu były aniołami.

Pega wzięła gwałtowny wdech, a Jack poczuł, że jego świat przechyla się w jedną stronę. Elfy były aniołami? Ojciec wiązał je z demonami, istotami, których należało bać się i nienawidzić.

- Zdarzyło się to na początku świata - wyjaśnił mnich. - Adam i Ewa zostali wygnani z raju za to, że zjedli owoc z drzewa wiadomości. Ci nieszczęśni grzesznicy wiedli ciężki żywot. Wcześniej wystarczyło, że wyciągnęli rękę, by zdjąć z drzewa plaster miodu, a teraz musieli ciężko pracować od świtu do zmierzchu. Zimą dokuczał im chłód, a latem skwar. Suche wiatry niszczyły im plony, deszcz zaś sprowadzał zarazę na bydło. Co gorsza, jeden z ich synów zabił drugiego.

- Nazywali się Kain i Abel - oznajmiła Pega, która słuchała opowieści brata Aiden, kiedy tylko miała okazję.

- Tak, moja droga - przyznał zakonnik. - Ale Bóg nie do końca zapomniał o swoich dzieciach. Udzielał im dobrych rad i słuchał ich modlitw. Niestety, czekały Go kłopoty we własnym domu.

- W Niebie - powiedziała z zadowoleniem Pega.

- Możesz siedzieć cicho i pozwolić bratu Aidenowi dokończyć? - odezwał się Jack.

- Wśród aniołów była też piękna i wspaniała istota, zwana Lucyferem. Niestety, zżerała go zazdrość i pragnął Nieba wyłącznie dla siebie, wszczął więc wojnę z Bogiem.

- Nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe - zdziwił się Jack.

- Bo nie jest - odparł brat Aiden. - Każdy głupi wie, że Bóg jest wszechmogący, ale Lucyfer okazał się idiotą. Zebrał armię innych idiotów i próbował przejąć władzę.

Jack był oczarowany opowieścią mnicha, która była dla niego zupełnie nowa. Wyłaniał się z niej obraz aniołów podobnych do Ludzi Północy. Tyle że, ma się rozumieć, Bóg zupełnie nie przypominał Odyna.

- Co się potem stało? - spytał.

- Bitwa trwała bardzo krótko - powiedział mnich. - Lucyfer i jego zwolennicy zostali na zawsze strąceni do Piekła, a dobre anioły wyprawiły pewnie ucztę na cześć zwycięstwa. Powrócił porządek, jeśli nie liczyć jednego, drobnego problemu.

Pega, choć uważnie słuchała, nie przerywała pakowania różnych rzeczy przed wędrówką. Bryłka soli, koper, szałwia, rozmaryn i tymianek znalazły się w niewielkim zawiniątku, a suszona kapusta morska i ryby trafiły do plecionego kosza.

- W wiosce spisywałem tę właśnie historię - oznajmił brat Aiden. - Jeśli Bóg pozwoli, wrócę, by ją dokończyć. Złe anioły podażyły za Lucyferem, a mądre zostały przy Bogu. Była też jednak trzecia grupa, która nie chciała się opowiedzieć po niczyjej stronie. „Poczekamy, co z tego wyniknie”, mówiły. „Jesteśmy aniołami i nie bierzemy udziału w żadnych wojnach”. Nie zdawały sobie sprawy, że zadaniem aniołów jest stawać po stronie dobra. W Niebie nie można stać pośrodku.

Przez wąskie okno wpadł długi, czerwony snop słonecznego światła. Słońce zachodziło i wszyscy na chwilę zamilkli, by popatrzeć. Jack przypomniał sobie dziurę, która otworzyła się pod Studnią Świętego Filiana: „Ciemno tam jak w Piekło”, powiedzieli mężczyźni, którzy zeszli na dół. „Zmieściłaby się tam cała armia”. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczą słońce.

- Kiedy wojna się skończyła - ciągnął brat Aiden - Bóg wezwał tę trzecią grupę przed swój tron. - „Wynoście się z Nieba, tchórze”, powiedział. „Z powodu niezdecydowania zatraciliście dusze. Ale ponieważ nie podnieśliście na Mnie ręki, okażę wam miłosierdzie. Zamieszkacie między Moimi dziećmi na ziemi i strącę was do Piekła. Będziecie długo żyć i dysponować wielką mocą, ale wasza droga do nieba będzie bardzo trudna. Moje śmiertelne dzieci mają dusze, ale wy musicie je sobie stworzyć poprzez cierpienie i dobre uczynki”.

- I tak niezdecydowane anioły zostały zrzucone na ziemię niczym jesienne liście. Wylądowały na łąkach, mokradłach i w strumieniach. Straciły całą swoją wytworność. Zniknęły ich skrzydła. Choć wciąż były piękne jak brzask, czuły się brzydkie w porównaniu ze swą dawną postacią. Pełne smutku wpełzły do górskich grot, gdzie nie widziały ich ludzkie oczy. I tam zbudowały swoje siedziby.

- Więc stąd się wzięły elfy - powiedziała Pega. Skończyła już się pakować, ale jej ręce jak zwykle nie próżnowały i układały teraz słomę z posłania w równą stertę. - Nawet na wpół upadłe anioły muszą być szczęśliwe.

- Niezupełnie - odparł mnich. - Elfy żyją długo i doznają licznych przyjemności, ale prawdziwa radość jest przed nimi ukryta. W końcu bledną jak tęcza z nadejściem nocy i nie trafiają ani do Nieba, ani do Piekła.

- Nie trafiają też do siły życiowej, by się odrodzić - dodał bard. - My, bardowie, znamy o nich inne historie, ale wszystkie mówią, że elfy już dawno wyszły ze strumienia życia. To tylko cienie. Piękne cienie. Zdumiewająco piękne. - Starzec westchnął.

- Aby zyskać duszę, elfy znoszą cierpienia ludzkości: głód, choroby, ból i śmierć - ciągnął brat Aiden. - Muszą robić to z własnej woli, a nie pod czyjąś presją. Ale i tak elfowi może się nie powieść, musi też bowiem spełniać dobre uczynki. Życzliwość nie przychodzi mu w

naturalny sposób. Gdyby mijał tonące dziecko, wcale niekoniecznie wyciągnąłby pomocną dłoń.

- Chwileczkę - odezwał się Jack, bo zaświtała mu pewna myśl. - Brutus powiedział, że Lucy należy do Jasnego Ludu. Czy to oznacza...

- Obawiam się, że tak - odparł zakonnik. - Cały czas to podejrzewałem. Kiedy patrzyłem, jak tańczy na polach, kiedy porównywałem ją z innymi dziećmi z wioski, wiedziałem, że jej pochodzenie kryje jakąś tajemnicę. Teraz zyskałem pewność. Pani Jeziora nie zabrałaby śmiertelnego dziecka.

Nagle w głowie Jacka wszystko się poukładało. Samolubstwo Lucy, jej brak współczucia, a nawet szalone fantazje nabierały sensu, jeśli dziewczynka nie była człowiekiem.

- To pewnie tłumaczy, czemu była taka niezdolna - mruknęła Pega.

- Jak się dostać do Pani Jeziora, by ją uwolnić? - spytał Jack, myśląc o matce, smutnej i samotnej w gospodarstwie. Jej prawdziwa córka zaginęła, a przybrana zupełnie o nią nie dbała. A jeśli Jack nie znajdzie Pani Jeziora, także ojciec nie wróci do domu.

- Tutaj może ci pomóc Brutus - powiedział bard, przerywając potok myśli chłopaka. - Ma umiejętności, które posiadało niewielu.

- O, pewnie! Umie się tarzać po trawie i puszczać wiatry.

- Spokojnie. Nie miał okazji pokazać swojej prawdziwej wartości.

Jack popatrzył na Brutusa, skulonego niczym wielki, brudny pies. Dosłownie dyszał z podniecenia, wywołanego perspektywą wyprawy. Jeśli naprawdę spotkamy smoka, widok Brutusa odbierze mu pewnie apetyt, pomyślał chłopak bez zyczliwości.

- Jako broni może użyć tego - powiedział bard. Pogrzebał w skrzyni z pościelą i wyciągnął podłużne zawiniątko, związane sznurem. Jack poczuł kwaśny odór. Brat Aiden i Pega wzdrygnęli się.

- Na Panią, jak to znalazłeś? - wykrzyknął Brutus. Oczy mu błyszczały, gdy klękał, by przyjąć dar.

- Szukając tu i tam. Jeszcze nie odwijaj - uprzedził starzec. - Yffi poluje na to od lat, opukuje ściany, szuka ukrytych komnat i tak dalej. Twoja matka była mądrą kobietą i królową. Wiedziała, że nie przyjdzie mu do głowy coś tak prostego, jak chlew.

- Co to jest? - spytał Jack, rozdrażniony wyraźnym szacunkiem, jakim bard darzył niewolnika.

- Ćśśś. Nie możemy przyciągać uwagi strażników.

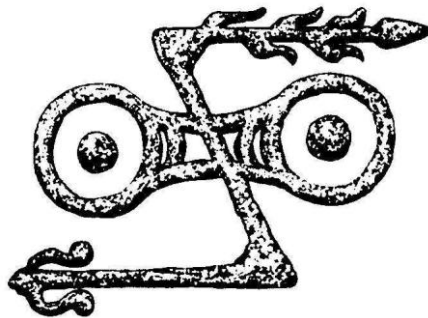
Rzeczywiście, strażnicy byli już pod drzwiami. Wmaszerowali do środka i ostro nakazali Jackowi, Pedze i Brutusowi wyjście.

- Obchodźcie się z nimi łagodnie - poprosił brat Aiden, na co żołnierze tylko paskudnie się uśmiechnęli i zaczęli mocniej popychać więźniów. Bard podniósł laskę i posłał w górę słomę z posłania, która zawirowała im wokół głów. Ich uśmiechy natychmiast znikły, wszyscy bowiem wiedzieli, że bardowie potrafią odwieść człowieka od zmysłów, dmuchając w garść słomy.

- Możesz jechać ze mną na koniu - warknął kapitan straży, gdy doszli do bramy. Jack zmarszczył czoło, przypominając sobie, jak związano mu ręce i gnano za końmi przez całą drogę do twierdzy. Chowanie urazy nie miało jednak sensu. Groźba barda zapewniła im przyzwoite traktowanie w drodze powrotnej do Studni Świętego Filiana.

# Rozdział 18

## Wędrówka przez tunel



Gdy wyruszyli, dookoła zapadał już zmrok. Nie był to łagodny zmierzch nadmorskiego wieczoru, w powietrzu nie unosiła się żadna mgła. Żadne wysokie, rzadkie chmury nie chwytały ostatnich promieni słońca, chmur bowiem wcale nie było. Noc spadła na świat niczym topór. Gdy dotarli do gęstych cisów, które rzędem stały między twierdzą a światem zewnętrznym, panowały już zupełne ciemności.

Drzewa rozciągały się po obu stronach niczym gęsty, żywy mur. Żelazna brama stanowiła jedyne przejście przez tę barierę. Wiodła do długiego, okolonego zielenią tunelu. Jack był zbyt oszołomiony, gdy wiedziono go do Din Guardi, by zwrócić uwagę na zieloną pułapkę. Poza tym to było za dnia. Teraz, gdy mrok rozświetlał tylko słaby blask lamp, niesionych przez ludzi króla, tunel wydawał się nie mieć końca. Z powrotem, z powrotem, myślał Jack, gdy gałęzie się przybliżały.

Powietrze było suche i nieruchome. Czuł suchość w gardle. Mało tego, wyczuwał też niechęć otaczającej ich masy drzew. Myślicie, że jesteście panami wszystkiego, bo macie szybkie nogi, zdawały się mówić drzewa. My byliśmy tu wcześniej.

- Zostaw! - wykrzyknął Jack, gdy gałąź przejechała mu po twarzy.

- Nie gadać - osadził go krótko kapitan straży.

Po chwili wyszli na czyste powietrze nocy. Tysiące gwiazd wisiało na bezksiężycowym niebie, mężczyźni zaczęli cicho rozmawiać. Jack poczuł krew na twarzy, w miejscu, gdzie uderzyło go drzewo.

- Niezbyt miło, co, mały czarowniku? - zagadnął kapitan.

- Co to było? - spytał Jack, z trudem starając się powstrzymać szczykanie zębów.

- To Żywopłot. Lepszy niż każdy mur.

- Chroni twierdzę? - spytał chłopak, pragnąc podtrzymać rozmowę.

- Nie wiem, czy chroni. - Mężczyzna parsknął chrapliwym śmiechem. - Trzyma się od nas na dystans, a my od niego. Jest tu od niepamiętnych czasów.

- Wyrósł, kiedy Pan Lasu oblegał Księżycowego Człowieka - rozległ się w ciemnościach głos Brutusa.

- A co ty wiesz, zapłakany nędzniku? - warknął kapitan.

- Nic, szlachetny panie - jęknął niewolnik. - Brutus jest głupi jak świńskie łajno.

- No i zobacz, co narobiłeś! Teraz znowu zaczyna - rozłościł się jeden z żołnierzy.

Przez pozostałą drogę Brutus zawodził, jaki to jest paskudny i jak bardzo, bardzo, bardzo mu przykro z tego powodu. Było to niezwykle irytujące i Jack nie raz i nie dwa słyszał odgłos uderzenia, gdy jakiś strażnik próbował uciszyć niewolnika, co nie przynosiło żadnego efektu.

Płonące pochodnie okalały czarny dół na dziedzińcu Klasztoru Świętego Filiana. Niewolnicy, pod nerwowymi spojrzeniami mnichów budowali wokół niego ogrodzenie. Jack zauważył, że zakonnicy mają ze sobą skrzynkę ze szczątkami świętego Oswalda dla dodatkowej ochrony. Przed czym? - pomyślał. A jednak także on odczuwał nieokreślony lęk. Jeśli święty mógł odstraszyć siły czające się w dole, to całym sercem mu sprzyjał.

- Kto to? - spytała Pega, spoglądając na podobiznę, wyrzeźbioną na poplamionej skrzynce z kości słoniowej.

- Stary, dobry Oswald - odrzekł Brutus. - Zawsze go wyciągają, kiedy sprawy przybierają trudny obrót. - Świętego przedstawiono leżącego na posłaniu z liści. Pnącza wiły się wokół niego niczym węże. - Tu pokazano jego walkę z Panem Lasu. Zdaje się, że ten drugi wygrywa.

- Milcz, poganinie! - ryknął jeden z mnichów, wymierzając cios w głowę niewolnika. Ma się rozumieć, wywołało to kolejną falę jęków i błagań Brutusa.

Długa lina z supłami na całej długości opadła poza krawędź dołu i zniknęła w mroku.

- Jak długo mamy zostać na dole? - spytał Jack.

- Słyszałeś, co powiedział król. Dopóki nie znajdziecie wody - odparł kapitan straży.

Jack, jak każdy chłopak ze wsi, miał spore doświadczenie we wspinaczce na drzewa i wzgórze. Nie cierpiał na lęk wysokości. Nigdy wcześniej jednak nie był w kopalni. Sama myśl o zejściu pod ziemię przyprawiała go o zawroty głowy. Znajdzie się w przestrzeni zamkniętej ze wszystkich stron. Zupełnie jakby coś połknęło go żywcem.

- Ja, ee, ja... - Przełknął ślinę.



- Pomogę ci - powiedział Brutus. Szybko przerzucił wszystkie pakunki przez krawędź. Potem przewiesił sobie przez ramię chłopaka razem z łaską i zaczął powoli schodzić po rozkołysanej sznurowej drabinie. Wszystko wydarzyło się tak prędko, że Jack miał tylko czas, by stłumić krzyk i wczepić się w ramiona niewolnika niczym kot, który nie chce, by ściągnięto go z drzewa. Na dole Brutus rozwarł palce chłopaka, zsunął go sobie z ramienia i puścił.

Wtedy Jack krzyknął. Nie umiał tego powstrzymać. Niemal natychmiast wylądował na miękkim piasku i poczuł się jak głupiec. Podniósł wzrok na krąg pochodni i zobaczył, że Brutus schodzi na dół z Pegą w ramionach.

- Jeśli zniszczyłeś bukłaki z cydrem, nigdy ci nie wybaczę - zagroziła.

- Nie martw się, panienko. Podłoże jest miękkie jak puch. - Z cichym chrzęstem Brutus zeskoczył na piasek, a strażnicy wciągnęli linę na górę.

- Hej! - krzyknęła Pega. - Jak mamy stąd wyjść?

- Kiedy będzie woda, możecie wypłynąć! - Kapitan i jego ludzie ryknęli serdecznym śmiechem, gdy dziewczyna posłała im wiązanke przekleństw.

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedział Brutus, zbierając zapasy w jedno miejsce. Siedzą jak kijanki w pustym stawie. Niedługo wyschną i odfruną.

- A co z nami? Też wyschniemy - powiedziała Pega.

Brutus skrzesał ogień za pomocą krzemienia i kawałka żelaza, rozpalając pochodnię. Zanurzona wcześniej w smole, zapłonęła z sykiem, lecz po chwili czerwonawy płomień uspokoił się.

- To prawda, że podczas tej wyprawy możemy zginąć, ale działamy w imię honoru. To coś więcej, niż czekanie, co przyniesie los.

Czerwony blask oświetlał twarz Brutusa, podkreślając wydatne kości policzkowe. Zapłakany niewolnik zniknął, jego miejsce zajął mężczyzna, który, choć szorstki, miał w sobie coś szlachetnego. Dopóki się czegoś nie przestraszy, pomyślał Jack.

- Lepiej ruszajmy - zarządził.

Wejście do długiego, ciemnego tunelu było najtrudniejszą rzeczą, jaką Jack w życiu zrobił. Każdy jego nerw krzyczał, by wrócić tam, skąd widać było krąg pochodni i gwiazdy na niebie. Nie zamierzał jednak okazywać strachu. Nie będzie gorszy od Brutusa, który zaczynał jęczeć, gdy cma przelatywała mu przed nosem.

Szedł zatem naprzód, jakby pozbawiony wszelkich obaw. Co oczywiście nie było prawdą. Tunel schodził coraz głębiej pod ziemię, a masa skał nad głową stawała się grubsza i cięższa. W każdej chwili korytarz mógł się zawalić, miażdżąc ich niczym pchły. Jack nie

widział powodu, by tak się nie stało.

Całymi milami wędrowali między ścianami z piaskowca. Pochodnie wypalały się, a Brutus zapalał kolejne. W tunelu walały się nie tylko gałęzie, ale także potrzaskane gliniane naczynia, ogryzki jabłek, rybie ości i muszle małży. Elfy musiały przemierzać te podziemia już od lat, a sądząc po zapachu, Jack uznał, że zakopują swoje odchody w piasku, tak jak koty. Brat Aiden powiedział, że elfy niewiarygodnie śmieją.

Po dłuższej chwili Jack i jego towarzysze dotarli w miejsce, gdzie korytarz rozdzielał się na dwoje. Jedna odnoga prowadziła w lewo, a druga, nie mniejsza - w prawo. Z obu dobywał się słaby wietrzyk, więc Jack nie mógł dokonać wyboru. Ale po raz pierwszy na ścianach pojawiło się coś nowego. Ze ścian prawego tunelu sterczały czarne, błyszczące gałki.

- Co to takiego? - spytał Jack i zdziwił się, jak głośno rozbrzmiewają jego słowa po długiej wędrówce w milczeniu.

- Niektórzy nazywają to gagatem - wyjaśnił Brutus. - Rzymianie robili z niego biżuterię.

Jack oderwał jedną z gałek. Była zastanawiająco ciepła i lekka.

- A ma jeszcze inne nazwy?

- Moja mama mówiła na to „smocza kupa”.

Jack upuścił gałkę i otrzepał ręce.

- To znaczy, że powinniśmy trzymać się z dala od prawego tunelu - stwierdziła Pega.

Jack odpakował rozwidlony patyk, który dał mu bard. Wyciągnął go przed siebie. Wyczuł bardzo słabe drgania drewna i wibracje energii w swoich dłoniach. Woda znajdowała się daleko w głębi prawego tunelu.

- Można się było spodziewać - mruknął.

- O ile się nie mylę, idziemy już przez czwartą część nocy - powiedział Brutus. - Ty i ja możemy iść dalej, ale panienka jest wyraźnie zmęczona.

Jack, pogrążony we własnych troskach, nie zauważył wyczerpania dziewczyny.

- Och! Trzeba było coś powiedzieć, Pego. Oczywiście, możemy nocować tutaj.

- Nie jestem słaba - zaproponowała, ale nie zaproponowała też kontynuowania wędrówki.

Brutus nazbierał drewna i po krótkim czasie ogień trzaskał wesoło - na tyle wesoło, na ile mógł trzaskać ogień w tunelu pełnym smoczycich odchodów. Mężczyzna rozdał im owsiany budyń.

- Pijcie jak najmniej - powiedział, wyciągając bukłak z cydrem. - Kto wie, kiedy znajdziemy wodę?

- Myślę, że woda jest tam - oznajmił Jack, wyciągając rękę - ale to bez sensu. Bard mówił, że smoki nie korzystają z tuneli, w których jest woda.

- To zależy - odezwał się Brutus z pełnymi ustami.

- Pewnie wiesz na ten temat więcej niż bard?

- Możliwe - odparł niewolnik z drażniącą pewnością siebie.

- Jeden z moich właścicieli widział smoka, pływającego w jeziorze - wtrąciła Pega. Wyciągnęła wołki zbożowe ze swojego budynku i pstryknęła nimi w ścianę.

- Bardzo możliwe - powiedział Brutus. - Tylko ogniste smoki kopią tunele, ale inne mogą z nich korzystać: wywerny, hipogryfy, mantykory, bazyliuszki, hydry, krakeny, no i oczywiście piktyjskie bestie, które nade wszystko lubią wodę. - Brutus uśmiechnął się niczym młody chłopiec, coraz bardziej zapalając się w swoim wywodzie. - To jak z norą borsuka. Borsuk ją wykopuje, ale gdy ją opuści, korzystają z niej lisy, króliki i myszy.

- Nie musimy się więc przejmować ognistymi smokami - powiedział Jack - a tylko wywernami, hipogryfami, mantykorami, bazyliuskami, hydrami, krakenami i... i... jak one się nazywały?

- Piktyjskie bestie - odrzekł z entuzjazmem niewolnik. - Moja mama znalazła jedną i wzięła jako zwierzę domowe. Dopiero się wykluła i była nie większa od ogórka, ale bardzo szybko rosła. Pozbyła się jej, kiedy bestia zaczęła pożerać bydło.

Podziemny świat okazał się znacznie bardziej zatłoczony, niż Jack przypuszczał. Nie wiedział, jak wygląda piktyjska bestia, ale (sądząc po Piktach) z pewnością była okropna.

- Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem - powiedział Brutus przeproszającym tonem. - Osobiście nie mogę się doczekać przygód. Na gwiazdy! Zapomniałem o najważniejszym. - Poklepał swój worek i wyciągnął zawiniątko, które dał mu bard. Zapach, na który Jack zwrócił uwagę już wcześniej, stał się teraz silniejszy. Przypuszczał, że jego źródłem są śmieci, pozostawione przez elfy.

- Myślałem, że to zaginęło na zawsze - mruknął mężczyzna, odwijając śmierdzący pakunek.

Pega odsunęła się pospiesznie na drugą stronę ogniska i zasłoniła twarz złożonymi dłońmi.

- Przepraszam, panienko. Zapomniałem, że większość ludzi nie lubi zapachu świńskiego łajna. - Brutus przeszedł kawałek w głąb tunelu. - Mnie ten zapach przenosi w czasy dzieciństwa. Lubilem szaleć ze świniami, drapać ich szorstkie uszy i jeździć im na grzbietach. Uwielbiały moją matkę, ma się rozumieć. Tak jak ja. I pomyśleć, że przechowały to przez tyle lat w swoim chlewie.

Wyciągnął coś z pakunku i Jack dojrzał rozbłysk światła. Był to pięknie wykonany miecz o klindze jasnej niczym zachodzące słońce. Pochwa połyskiwała klejnotami - rubinami,

szmaragdami i ametystami - zaś pas, do którego była przymocowana, zrobiono z jasnozielonej skóry.

- Zwykły miecz by zardzewiał, ale nie ten - objaśnił Brutus. I rzeczywiście, na cudownej broni nie widniał ani jeden pyłek, ani jedna plamka rdzy. Co jeszcze bardziej zaskakujące, obrzydliwy smród w ogóle do niego nie przywarł. Niewolnik machnął klingą i rozdzielił ognisko na dwoje. W górę strzelił oślepiający snop iskier.

- Patrzcie, oto Anredde! - wykrzyknął. - Zrobiła go Pani Jeziora dla Lancelota. Ten miecz jest oddany jej służbie, tak jak ja!

Wokół opadały iskry, a cień Brutusa wydawał się wyższy i wspanialszy od tego, który go rzucał. Usiadł raptownie, kładąc sobie miecz na kolanach. Cień skurczył się do normalnych rozmiarów.

- Przepraszam. To niegodne chwalić się, zanim zyskasz sławę, ale samo uczucie jest bardzo miłe.

Jack i Pega patrzyli na niego z otwartymi ustami.

- Kim jesteś? - spytał w końcu chłopak.

- Prawdziwym władcą Din Guardi, pozbawionym dziedzictwa przez zdrajcę Yffięgo. Panowie Din Guardi służyli od niepamiętnych czasów Pani Jeziora, a ona ich chroniła. Ale w ową harmonię wkroczył Yffi ze swoimi kłamstwami, w które niestety mój ojciec uwierzył. Biedny ojciec! Mama zawsze powtarzała, że jest zbyt ufny.

- Yffi zabił twojego ojca? - spytała Pega.

- Przyszedł sam, błagając o azyl. Ojciec serdecznie go przyjął, ale ten zdrajca cały czas planował jego śmierć. Armia Yffięgo nie mogła najechać naszych ziem. Żywopłot ma tylko jedno wejście, tak wąskie, że trzeba iść gęsiego. Zresztą Żywopłotowi też nie można w pełni ufać. Co jakiś czas zdarza się, że jakiś wojownik wchodzi z jednej strony i nigdy nie pojawia się z drugiej.

Dłoń Jacka instynktownie powędrowała ku szramom, które pozostały mu na twarzy po uderzeniu cisowej gałęzi.

- Ojciec strzegł morskiego brzegu, ma się rozumieć, ale do Din Guardi wiedzie jeszcze trzecia droga. Przejście, które prowadzi głęboko pod skałami, straszne miejsce, gdzie mieszkają krakeny, a kelpie wychodzą na łowy. Cięży nad nim klątwa. Niewielu przeżywa wędrówkę.

- Twój tata wiedział o tym przejściu? - spytała Pega.

- Oczywiście. Myślał, że nikt nie spróbuje z niego skorzystać, ale nie znał Yffięgo. Widzieliście jego rękawice?

Jack przypomniał sobie grube, czarne rękawice i ubranie króla. Mężczyzna był zupełnie zasłonięty, z wyjątkiem oczu i nienaturalnie białej skóry wokół nich.

- Yffi to w połowie kelpie - oznajmił Brutus.

- Do licha! Trzeba mi było nie mówić - powiedziała Pega, kuląc się i bacznie obserwując ciemne tunele, rozciągające się z dala od blasku ogniska. - Miałam co do niego złe przeczucia.

- Szkoda, że mój ojciec nie był tak przenikliwy - odrzekł Brutus. - Nie wiem, jaka groza doprowadziła do narodzin Yffięgo. Zazwyczaj kelpie nie parzą się z ludźmi, tylko ich pożerają.

- Dostałam gęziej skórki - mruknęła Pega. - Co to takiego te kelpie?

- Zmiennokształtne istoty. Czasami przypominają piękne konie, ale gdy spróbujesz ich dotknąć, nurkują pod wodę i cię topią. Czasami zaś wyglądają jak wielkie kobiety, a czasami jak bardzo przystojni mężczyźni. Podobno mogą zgruchotać kobiecie kości, po prostu ją obejmując.

- Rozumiem, czemu kobiety ich nie lubią - mruknęła Pega.

- Yffi w jakiś sposób przyszedł na świat, ale wieśniacy wrzucili dziecko do morza. Mimo to nie umarł. Przypominał delfina, od urodzenia umiał pływać. Żył tak jak kelpie, czyhając na swoje ofiary i wciągając je pod wodę. Był mniejszy od innych, więc pewnie go dręczyły. Moja matka nie zdołała dowiedzieć się zbyt wiele o jego dzieciństwie, mówiono że po zmroku podkradał się do domostw i patrzył na ludzi, siedzących przy ogniu. Poznawał ich zwyczaje, uczył się, jak nosić ubrania, które kradł.

Jack poczuł wobec małego Yffięgo mimowolne współczucie. Nie prosił się przecież na ten świat, by urodzić się jako półpotwór. To musiało być straszne - patrzeć na ogień ze świadomością, że nigdy nie zaproszą cię do środka. A potem wracać do wody, gdzie też nie byłeś mile widziany.

- Stopniowo uczył się być człowiekiem - ciągnął Brutus. - Musiał zasłaniać włosy, które przypominały sierść wydry, a także palce, połączone błoną i zakończone pazurami. Zielonkawe zęby nie stanowiły problemu. Wielu rycerzy takie ma.

Urwał, by dolożyć do ognia.

- Nie spodziewam się gości, ale ostrożność nie zawadzi. - Pega wyciągnęła swój nóż do oprawiania ryb i położyła go w zasięgu ręki. - W końcu Yffi ukradł łódź i postanowił być piratem. Wkrótce został przywódcą bandy, bo nawet półkelpie jest trzy razy silniejszy od człowieka. Ale cały czas chciał żyć na lądzie, być akceptowanym i kochanym.

- Kochanym - mruknęła Pega.

Jacka zdziwił głęboki smutek w jej głosie. Spojrzał na nią ukradkiem i pomyślał, że sama mogłaby uchodzić za półczłowieka, z tą swoją pocętkowaną twarzą, niedorozwiniętym ciałem, włosami w strąkach. A jednak bard z mocą podkreśla, że Pega jest człowiekiem.

- Dziwne, prawda? - powiedział Brutus. - Myślę, że Yffi naprawdę pragnął przyjaźni mego ojca, ale jego kielpia połowa łaknęła krwi. W noc napaści popłynął do gniazd krakenów i powiedział im, że na północy tonie statek. Krakeny natychmiast ruszyły na poszukiwania. Wtedy ludzie Yffiego przeszli tunelem do lochów. Opanowali twierdzę, zabijając wszystkich na swojej drodze. Zaszlachtowali ojca, zanim zdążył sięgnąć po miecz.

- Ale ty i twoja matka przeżyliście - zauważył Jack.

- Yffi chciał, by nowi poddani go kochali. Dlatego poprzestał na wypędzeniu nas do chlewa i wznosił Klasztor Świętego Filiana, tak naprawdę jednak nie rozumiał chrześcijaństwa. Klasztor zbudowali dla zysku mnisi odszczepieńcy. Dokładnie tego należało się spodziewać po piracie. Matka i ja żyliśmy w ciągłym strachu przed śmiercią. Wciąż groził, że rzuci mnie swoim krabom na pożarcie. Teraz chodźmy spać. Nie wiadomo, jaką drogę będziemy musieli jutro pokonać.

- Chyba nie zdołam zasnąć po tej opowieści - stwierdziła Pega.

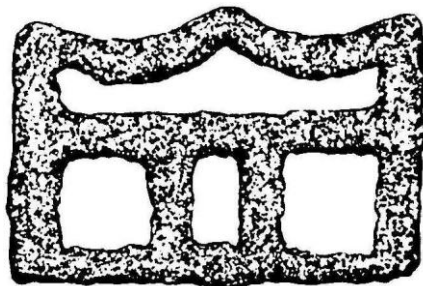
- Bohaterowie podczas wypraw często śpiewają wesołe pieśni, żeby podnieść się na duchu - powiedział Brutus.

- Jestem zbyt zmęczona - odparła Pega. Przyłożyła sobie do policzka świecę, którą dostała od matki Jacka, jakby w ten sposób dodawała sobie poczucia bezpieczeństwa.

A zatem Brutus zaśpiewał im balladę o rycerzu, który pokonał ogra w nawiedzonym lesie. W pieśni często powtarzały się przerywniki „hej!”, „ho!” i „hejże ha!”. Bez wątplenia miała ona napawać optymizmem, ale w Jacku budziła raczej grozę. Zwłaszcza sposób, w jaki „hej!” i „ho!” niosły się echem po długich, ciemnych tunelach.

# Rozdział 19

## Jama Pukacza



Brutus upierał się, że jest już rano, gdy Jack się obudził. Krzątał się dookoła i piekł ciastka owsiane na patykach nad ogniem. Pega oparła się o ścianę i wciąż wydawała się bardzo zmęczona.

- Nie ma to jak ciepłe ciastka na początek dnia - stwierdził niewolnik. Pozwolił Jackowi popić je kilkoma łykami cydru.

- Całą noc śniły mi się kelpie - powiedziała Pega, przeciągając się. - Za każdym razem, gdy się budziłam, widziałam wśród cieni Yffiego.

- Moja matka mawiała, że kiedy śnią się złe rzeczy, wydarzy się coś dobrego - odparł Brutus.

- Na przykład zje cię smok, a nie umrzesz z głodu. - Pega była tego ranka wyjątkowo drażliwa, ale Jack nie mógł mieć do niej pretensji. Sam był podenerwowany. Zewsząd otaczały ich ściany, a powietrze cuchnęło stęchlizną. Czuł ciężar skał nad głową.

- Im więcej zjemy, tym mniej musimy nieść - powiedział wesoło Brutus. - Matka mówiła, że wszystko ma swoje dobre strony, jeśli tylko zadasz sobie trud, by je znaleźć. - Nucąc denerwująco, przygotował pochodnie i załadował worki. Na koniec włożył zielony pas z przymocowanym doń mieczem Anreddelem.

Gdy byli już gotowi, Jack poprowadził ich przez prawy tunel. Może i było w nim mnóstwo smoczych bobków, ale była też woda. Gdzieś. Gdy szli, bryłki gagatu stawały się coraz liczniejsze, a po kilku godzinach musieli okrążyć całe ich sterty.

- Popatrzcie! - wykrzyknął z entuzjazmem Brutus. - Było tu chyba z dziesięć smoków.

- Proszę, nic nie mów - jęknęła Pega. - Strasznie boli mnie głowa. - A zatem Brutus

zaczął pogwizdywać. Pozbawiony melodii dźwięk szybko doprowadził Jacka do szału.

- Cicho! - wybuchnął w końcu. - Nie rozumiesz, co to znaczy „skradać się”? Co to znaczy „ostrożność”? Jeśli w promieniu dziesięciu mil jest jakiś smok, lada chwila będzie tutaj przez nieznośny hałas, który robisz!

- Ktoś powinien się przespać - powiedział Brutus, który ani trochę się nie obraził. - Zróbmy sobie przerwę i chodźmy lulu.

Jack przysiadł na stercie smoczych odchodów i oczyma wyobraźni zobaczył, jak łamie swoją laskę na głowie niewolnika. Brutus podał im worek z kwaśną owsianą papką. Czas w najmniejszym stopniu nie poprawił jej smaku i Pega stwierdziła, że przypomina szczurze kupy, ale nie śmieli jej wyrzucić. Jacka zaczęło dręczyć potworne pragnienie. Wyobrażał sobie wodospady i rwące strumienie, aż w końcu zaczął je słyszeć. Tak naprawdę był to jednak tylko ospały wietrzyk. I, ma się rozumieć, Brutus.

- Wiem! Posłuchajcie zagadek! - wykrzyknął niewolnik. - Nie ma lepszej rozrywki niż zagadki.

*Zawsze toczę bój z wiatrem i falą.*

*Pod wodą skały są mi przyjaciółmi.*

*Gdy leżę nieruchomo, jestem silna.*

*Wyrwana, jestem pokonana.*

*Powiedz, jak się nazywam!*

Brutus patrzył na nich wyczekująco, niczym pies, który czeka, aż rzucą mu patyk.

- Nic mnie to nie obchodzi. Głowa mnie boli - marudziła Pega.

- Zaraz. Chyba umiem to rozwiązać - odezwał się Jack. - Wiatr i fala, czyli statki. A pod wodą jest... kotwica!

- Bardzo dobrze - pochwalił Brutus. - Jeszcze jedna.

*Wszyscy mnie cenią i znoszą z daleka.*

*Zbierany w zagajnikach, przynoszony z pól,*

*Skrzydła mnie niosą pod bezpieczny dach.*

*Powiedz, jak się nazywam!*

- To łatwe. Miód - odrzekł Jack, którego mama hodowała pszczoły.

- Ta będzie trudna.



*W hałaśliwym domu jestem bardzo cicho.*

*Kiedy się nie ruszam, rusza się mój dom.*

*Nigdy go nie opuszczam, bo to oznacza śmierć.*

*Powiedz, jak się nazywam!*

Jack próbował rozwikłać zagadkę.

- Ślimak jest cichy, ale jego muszla też. Wąż? Kurczak w jajku?

- Ryba - powiedziała Pega. - Ryba w pięknym, bulgoczącym, szumiącym, pełnym wody strumieniu. Do stu pluskiew! Umrzemy tu. Już n-nigdy nie zobaczymy s-strumienia! - Zalała się łzami.

Jack był oszołomiony. Nigdy wcześniej nie widział, by płakała, nawet kiedy ją uderzył. Był tak przejęty własnym nieszczęściem, że nie zauważył, jak straciła całą nadzieję. Nie wiedział, co zrobić.

Ale Brutus wiedział.

- Spokojnie, panienko - powiedział podtrzymując ją i kołysząc w ramionach, jakby była małym dzieckiem. - Połowa wyprawy to zawsze najtrudniejszy moment, ale bohaterowie dają radę. A my jesteśmy bohaterami! Będą śpiewać o nas pieśni, jak o królu Arturze i Lancelocie, moim przodku. Były też dzielne niewiasty, Morgana le Fay i Nimue, Pani Jeziora. Tak naprawdę to ta sama Pani Jeziora, bo takie jak ona żyją długo, ale inne trafiły na Wyspy Błogosławionych, gdzie zawsze panuje lato i nigdy nie zagląda smutek. Jest tam moja matka, była bowiem Panią Din Guardi i wieszczką.

- Jestem chrześcijanką. Mam nadzieję, że trafię do Nieba. - Pega oparła mu na piersi załzawioną twarz.

- To też wspaniałe miejsce, panienko. Rzecz w tym, by wieść jak najdzielniejsze życie, a potem udać się po należną nagrodę. Zawsze jest nadzieja, nawet w chwili śmierci.

- Lubię, kiedy mówisz do mnie „panienko” - stwierdziła Pega, przysuwając się bliżej.

- Więc będę często tak mówił. Teraz napij się cydru. Jesteś odwodniona. Musimy iść dalej, ale powiedz, jeśli się zmęczysz.

Brutus jeszcze nigdy nie wyglądał tak szlachetnie, niczym prawdziwy król, a nie pokorny niewolnik.

Jack obiecał sobie zwracać większą uwagę na Pegę. Wiedział, że z czystego uporu może maszerować, aż padnie z wyczerpania. To on będzie musiał powiedzieć Brutusowi, kiedy dziewczyna się zmęczy.

Szli dalej, a smoczycich odchodów przybywało do tego stopnia, że tworzyły słupy, sięgające od podłoża do sklepienia. Musieli je obchodzić, zupełnie jak drzewa w lesie. Od czasu do czasu Jack oddalał się z rozdwojonym patykiem. Woda wciąż była przed nimi, coraz bliżej (miał nadzieję). Często odpoczywali, choć nie dość często dla Pegi, która raz po raz się potykała. Nawet pogwizdywanie Brutusa przerodziło się w ciche poświstywanie spomiędzy zębów. Jack nie otwierał ust. Wciąż myślał o bukłakach z cydrem. Oczywiście, jeśli mieli zginać, lepiej będzie pociągnąć ostatni długi łyk, a potem usiąść i czekać na nieuniknione.

- Coś słyszę - zauważyła nagle Pega.

Jack był tak zahipnotyzowany chrzęstem ich kroków i poświstywaniami Brutusa, że niemal nie docierał do niego żaden inny dźwięk. Wszyscy przystanęli i zaczęli nasłuchiwać. „Iii, iii, iii” - odzywało się coś niedaleko przed nimi.

- To mysz? - szepnął Jack.

„Iii, iii, iii, iii, iii”. Dźwięk narastał i rozprzestrzeniał się. Brutus wyciągnął miecz. Jack chwycił swoją laskę. Ostrożnie ruszyli naprzód. Tunel kończył się ogromną grota, przypominającą wielką podziemną bańkę powietrza. Jej przeciwległy kraniec skryty był w mroku, a sklepienie znajdowało się tak wysoko, że niemal nie było go widać. Brutus wznosił pochodnię. Z początku Jack myślał, że patrzy na formacje skalne, ale gdy jeden z kamieni rozłożył skrzydło, zdał sobie sprawę, że to nietoperze.

Setki tysięcy nietoperzy.

Wisiały uczepione bryłek gagatu, przepychając się nawzajem i piszcząc rozdzierająco, gdy padło na nie światło. Brutus parsknął śmiechem, który rozbrzmiał zdumiewająco głośno w pustej grocie.

- Na Panią, to tylko latające myszy. Ej! Latające myszy! Macie gości. - Pomachał pochodnią, czym wywołał nerwowe poruszenie wśród nietoperzy. Coś zaczęło opadać, niczym drobinki kurzu.

- O, fuj! Wszy! - wykrzyknęła Pega.

- Przestań je straszyć - powiedział Jack, łapiąc Brutusa za rękę.

- Masz rację, chłopcze. Zachowałem się nieuprzejmie. W końcu to ich dom. - Niewolnik opuścił pochodnię i uklonił się. - Tylko tędy przechodziliśmy, moje drogie stworzenia. Pozwólcie nam tu przenocować. Rano odejdziemy.

- Przenocować? - powtórzyła Pega z tęsknotą w głosie.

- Słońce już prawie nad horyzontem, panienko.

- Skąd wiesz? - spytał Jack ostrym tonem. Wciąż wytrząsał nietoperzowe wszy z włosów.

- Po prostu wiem - odparł mężczyzna. Zaczęli szukać miejsca na nocleg. Znaczna część

podłoża była piaszczysta, ale pokryta odpadkami wielkiej kolonii nietoperzy - maleńkimi kośćmi i guanem. Gdziekolwiek spojrzeli, zwierzątka zasłaniały całe sklepienie.

- Jak myślisz, co zostawiło te ślady? - spytał Jack. W piasku widniało podłużne wgłębienie. Rozchodziło się na boki ze środkowej, głębszej bruzdy, której szerokość dorównywała wzrostowi Jacka. Gdy chłopak próbował sobie wyobrazić, co mogło wyłobić takie ślady, w jego umyśle ukazał się obraz tłustego ciała z licznymi, węzowatymi odnóżami. Nie była to zbyt miła wizja.

- Czymkolwiek by to nie było, mam nadzieję, że będzie się trzymało od nas z daleka - powiedziała Pega. - Zobaczcie, jak tu brudno!

Na przeciwległej ścianie grotty, dostrzegli jednakowe wejścia do siedmiu kolejnych tuneli.

- O, rany! - wykrzyknął Jack, upuszczając swoje worki. - Niby jak mamy znaleźć właściwą drogę?

- Osobiście uważam, że to dobry znak. Ta grotta stanowi najwyraźniej ważne miejsce spotkań - uznał Brutus.

- Czyich? Smoków?

- Patrzcie! - zawołała Pega. Nietoperze z głośnym szumem oderwały się od sklepienia. Trzepocząca masa wypełniła powietrze. Zwierzęta fruwały to tu, to tam, wcale się jednak nie zderzając. - Ojej! Ojej! Jeśli nietoperze trzy razy przelecą ci wokół głowy, to znaczy, że umrzesz! - jęknęła, opadając na kolana.

- Nie mogą tego zrobić, jeśli leżysz - dodał Jack, który też o tym słyszał. Oboje padli na piasek. Drobne kości trzasnęły pod ich ciężarem, a w nozdrza uderzył odór zestarzałego guana.

Brutus parsknął śmiechem.

- Nietoperze bez przerwy odwiedzały matkę i żaden z nich niczego nie zabił, co najwyżej komara. Słońce zaszło i po prostu ruszają radośnie na powitanie nocy. Patrzcie, jak latają!

Jack podniósł głowę. Chmara nietoperzy wyraźnie się przerzedziła. Pozostałe poleciały do tunelu, znajdującego się najdalej z prawej.

- Wyfruwają - powiedział i po chwili dotarło do niego znaczenie tego faktu.

- Przemówiłem do nich grzecznie i pokazały nam drogę - odparł Brutus.

Ale czy ta droga prowadziła do Krainy Elfów? Jack nie wiedział. Dla pewności, powinien zbadać wszystkie tunele, ale pokusa wyjścia na zewnątrz była zbyt wielka, by jej się oprzeć. Mogli się uwolnić od tych przytłaczających skał. Mogli znaleźć wodę.

- Wstań, Pego. Już ich nie ma - powiedział, podjąwszy decyzję.

- Ale zostawiły swoje wszy - mruknęła, czochrając włosy.

\* \* \*

Brutus zaproponował nocowanie w tunelu. W grocie było zbyt brudno, a poza tym nawet jemu nie podobał się pomysł spania w otwartej przestrzeni z tunelami rozchodzącymi się na wszystkie strony. Gdy weszli do środka, powitał ich świeży wiaterek.

- Jak miło! - powiedział Jack. - Dlaczego się zatrzymaliśmy?

- Panienska musi odpocząć - zauważył Brutus - ale ja mogę przejść dalej i sprawdzić, jak daleko do wyjścia.

- Nie jestem zmęczona - zaprotestowała Pega.

- Prawie padasz na twarz. - Jack pociągnął ją w dół, by usiadła przy nim. Brutus szedł dalej z obnażonym mieczem, a oni nasłuchiwali jego kroków, niknących w oddali. Nagle tunel zaczął sprawiać wrażenie znacznie bardziej pustego.

- Nie ma tu na ziemi żadnych gałęzi - zauważyła Pega, tłumiąc ziewnięcie.

Jack wzniosł pochodnię. Dziewczyna miała rację.

- Jeśli do wyjścia blisko, nie potrzebujemy już drewna na ognisko.

- Nie o to mi chodziło. Nie ma śmieci, nie ma elfów. Wybraliśmy niewłaściwą drogę. Oooo - ziewnęła znowu i przeciągnęła się.

- Może i tak - przyznał Jack, który nie chciał rezygnować z pomysłu wyjścia na zewnątrz. Jaka to różnica? Kiedy znajdą wodę, mogą tu wrócić.

Pega wstała, chwiejąc się na miękkich nogach.

- Muszę iść dalej. Jeśli się położę, już nigdy nie wstanę. - Zatoczyła się na słup smoczych odchodów. - A niech mnie! Tam jest tunel.

Jack zerwał się na nogi. Po drugiej stronie słupa ział czarny otwór. Wyciągnął pochodnię przed siebie. Nie zamigotała.

- Powietrze się nie porusza. To pewnie grot.

- Niezłe miejsce na nocleg.

- O ile jest pusta.

- Musimy tam zajrzeć - powiedziała Pega. - Śpię znacznie lepiej, jeśli nie muszę się martwić, że coś zacznie po mnie łązić. Grunt jest grząski... i lepki. Nie mogę oderwać nóg!

- Odsuń się! - krzyknął Jack. Przypomniawszy sobie, co powiedział brat Aiden: „Nigdy nie wchodźcie do tuneli, w których nie ma ruchów powietrza. To albo ślepy zaułek, albo jama pukacza”.

- Nie mogę! Nie mogę! Nie chce puścić!

Jack odłożył pochodnię i złapał dziewczynę w pól. Pociągnął z całej siły, ale ani drgnęła.

Z tyłu grotty usłyszał ukradkowy ruch. Mlaszczący odgłos, jakby coś podnosiło się z głębokiego błota.

- Ciągnij! - zawołała Pega.

- Teraz moje nogi utknęły! - krzyknął.

Złapał pochodnię. Zamachał płomieniem w kierunku grotty. Coś zasyczało i cofnęło się. Nie widział wyraźnie, ale bryła ciemności w odległym krańcu wydawała się spływać po ścianie w dół.

- Brutusie! Na pomoc! Wracaj! - wrzasnęła dziewczyna.

- To coś nie lubi ognia - wydyszał Jack, próbując stać prosto mimo ciężaru trzymającej się go Pegi. Rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu drewna i zobaczył swoją jesionową łaskę. Upuścił pochodnię. Łaska leżała tuż poza zasięgiem jego dłoni.

- Nie zostawiaj mnie! - krzyknęła Pega, trzymając się go kurczowo. Musiał oderwać jej ręce od siebie. Rzucił się naprzód i upadł. Jedna jego dłoń opierała się na ziemi, a druga ścisnęła łaskę. Obrócił się i wycelował nią w grotę.

W gasnącym świetle zobaczył ciemną smugę, pełznącą po ziemi. Kilka ciemnych smug. *Ogniu, przybądź do mnie*, wezwał. Nie miał czasu na medytacje, których uczył go bard. Odczuwał jedynie palącą potrzebę i strach. *Przybądź, przybądź, przybądź!*

Sięgnął umysłem w głąb skały, spodziewając się ospałej reakcji, jak wtedy, gdy przywołał ogień w wiosce. Ale tutaj magia znajdowała się blisko powierzchni ziemi i odpowiedziała znacznie szybciej. Poczul ogarniającą go falę ciepła.

- Uciekaj - sapnął.

- Nie mogę - załkała Pega.

Z końca łaski trysnęła struga ognia. Płomień omiótł jaskinię i przez moment Jack ujrzał wielkie, okrągłe cielsko, przypominające ogromnego, sytego krwi kleszcza. Z jego boków wyrastały odnóża, niektóre uczone skał, inne rozłożone po umazanej śluzem ziemi. Niemal dotykały stóp Pegi. Potem otoczył ich ogień.

Jack wyrwał dziewczynę z bulgoczącego śluzu i zatoczył się w tył. Żar był tak silny, że bał się oddychać.

- Sklepienie! - wrzasnęła Pega. Jack podniósł wzrok. W dziesiątkach miejsc bryłki gagatu zajęły się ogniem. Płonęły zaciekle, przypominając rozgwieżdżone niebo. Słup smoczycich odchodów przed jaskinią buchnął nagle płomieniem tak jasnym, że Jacka oślepiło. Poczul, że Pega łapie go za ramię. Cały tunel stał w ogniu.

Zaczęli biec. Piach przylepiał się do śluzu na stopach Jacka, przez co chłopiec poruszał się wolniej. Kłuło go w boku. Miał wrażenie, że lada chwila ugną się pod nim kolana, ale

pędził naprzód, ciągnąc za sobą dziewczynę. Gdy w końcu przewrócili się, dysząc i kaszląc, Jack słyszał za plecami ryk rozszalałego ognia. Na ścianach zamigotał złowieszczy blask.

- Zbliża się? - spytała z przestraszeniem Pega.

Jack zebrał się w sobie, szykując się do kolejnego wysiłku, ale minęło kilka chwil i światło nie stawało się jaśniejsze, a ryk nie przybierał na sile.

- Wiatr go rozwiewa - stwierdził. I rzeczywiście, ogień tak zaciekle przyciągał powietrze, że w tunelu zawył istny wichur. Odległy huk świadczył o tym, że coś się zawaliło. - Nie możemy tu zostać. Dasz radę iść?

- Jeszcze przed chwilą powiedziałabym „nie” - przyznała. - Niesamowicie, ile może zdziałać śmiertelne przerażenie.

Jack z powagą pokiwał głową. Znowu ruszyli naprzód, niezbyt szybko, bo piach spowalniał ich marsz. Światło zbladło, a w końcu zupełnie zgasło, i musieli macać ścianę, by odnaleźć drogę.

- Nie mamy już jedzenia - powiedziała Pega.

- Ani cydru - dodał chłopak.

- Staram się o tym nie myśleć.

- Uwierzysz? Zimno mi - stwierdził Jack. Wiatr przyniósł ziąb, który przeszył go na wskroś. Jego płaszcz został przy workach z prowiantem i z pewnością obrócił się w popiół. - Gdybyśmy znaleźli drewno, mógłbym rozpalić ognisko.

- Ani mi się waży!

Mozolnie podążali przed siebie, trzymając się ściany. Jack badał laską grunt przed nimi. Miał poparzone stopy i przypuszczał, że z Pegą jest podobnie. Zastanawiał się, co zrobią nietoperze, gdy będą chciały tędy wrócić. Dobrą stroną było to, że ogień z pewnością oczyścił tunel z wyvern, hipogryfów, mantykor, bazyliiszków, hydr i krakenów. No i pukaczy.

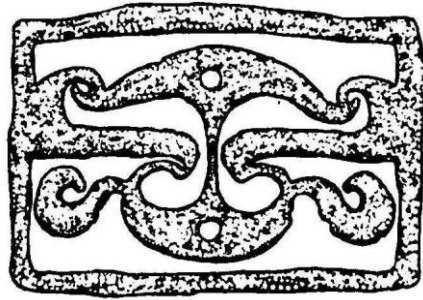
Zwłaszcza z pukaczy.

- Jak myślisz, gdzie się podział Brutus? - spytała Pega.

- Sam nie wiem - odparł Jack, a w jego umyśle znów pojawiły się wszystkie gorzkie podejrzenia względem niewolnika.

## Rozdział 20

### Zaklęty las



- Szkoda, że nie mogę zapalić swojej świecy - mruknęła Pega, leżąc na piasku.

- Jakiej świecy? - spytał Jack, wyciągnięty obok. Wyczerpanie i pragnienie w końcu ich zmoły. Jack przypuszczał, że da radę przeć jeszcze naprzód, ale Pega wyraźnie była u kresu sił.

- Tej, którą dała mi twoja matka.

- Ciągłe ją masz? - zdziwił się.

- Oczywiście. Dostałam ją w najlepszym dniu swojego życia. W dniu, w którym mnie uwolniłeś.

Jack wiedział, że dziewczyna zawsze nosi ją w wiązonym na sznurek woreczku u pasa. Myślał jednak, że świeca przepadła razem z resztą ich dobytku.

- Twoja matka powiedziała: „Kiedy będziesz jej potrzebowała, rozświetli ci noc”. A wtedy ja powiedziałam: „Kiedy umrę, chcę być z nią pochowana”. I niech tak się stanie.

Jack poczuł dreszcz, jakby lzy napływały mu do oczu. Był jednak zbyt odwodniony by płakać.

- Dziwię się, że przetrwała ogień.

- Ja też. Trochę się rozpląsała. - Usłyszał, że Pega się poruszyła, a po chwili poczuł, jak coś muska jego twarz. Poczuł słodki, miodowy zapach wosku. - Czy to nie cudowne? - powiedziała dziewczyna. - Zupełnie jakbyśmy byli na zewnątrz.

Jack przypomniał sobie, jak matka rozmawiała z pszczołami, opowiadając im, co się dzieje w wiosce. Pszczoły chciały wszystko wiedzieć, a teraz chłopak pierwszy raz zastanawiał się, czy ona także ich słuchała. Gdy nadciągała burza, matka śpiewała, by owady

się nie wyroiły. *Sitte ge, sigewif. Sigaceto eorcean*, śpiewała. „Uspokój się, wojowniczo. Wniknij w ziemię”.

To były jej drobne czary. Nie robiły takiego wrażenia, jak potężna magia barda, który potrafił wywoływać burze i doprowadzać ludzi do szaleństwa, ale mogły być nie mniej ważne. Jack nigdy wcześniej o tym nie pomyślał. Świeca Pegi, tworzona pracowicie na polach i łąkach, miała własną, cichą moc. Także ona przyciągnęła ogień z ziemi.

Zamrugnął powiekami. W oddali wisiało blade, błękitne światło. Dostał gęziej skórki. Sięgnął po laskę.

- Czy to duch? - szepnęła Pega.

Światło nie przybliżało się ani nie oddalało. Po prostu czekało. Czy Brutus nie żyje? Może jego duch wrócił, by nas dręczyć? - pomyślał Jack. Ale nie, gdyby Brutus był duchem, toby jęczał. Chłopak uśmiechnął się mimowolnie. Blask nie poruszył się, ale przybrał na sile. I nagle Jack zrozumiał, co widzi.

- To księżyc! Ale ze mnie głupiec!

- Co? - spytała półprzytomnie Pega.

- Doszliśmy! To jest wyjście. Chodź. Dasz radę zrobić jeszcze parę kroków. - Podciągnął ją na nogi i na wpeł powłókł po piasku. Kiedy dotarli do światła, zobaczył, że pada ono przez otwór nad stertą kamieni. To dlatego wcześniej go nie zauważył. Księżyc musiał znajdować się w ściśle określonym miejscu, by jego promienie wpadały do środka.

- Idź. Powiedz mi, czy tam ładnie. - Pega opadła na piasek.

- Wiem, że ładnie. Chodź!

- Już nie mogę - westchnęła.

Wiedział, że nie zdoła jej nieść.

- Nie mogę cię tu zostawić, żeby znalazł cię pukacz.

- Pukacz?

- To coś, co widzieliśmy w grocie.

- To - odparła z nieco większą werwą - była olbrzymia pluskwa.

- Raczej kleszcz - powiedział Jack, który nie cierpiał kleszczy.

- Właśnie że pluskwa. Pluskwa! Widziałam ich setki, tylko żadna nie była taka... ogromna. - W jej głosie pobrzmiwała nutka paniki.

Zastanowił się przez chwilę.

- Mogą być ich tu setki.

Złapała go za ramię.

- Zmyślasz.



- Nie byłoby dziwne, gdyby było ich więcej. Wszystko chodzi parami, a niektóre stworzenia mają mnóstwo potomstwa.

Pega dźwignęła się na nogi.

- Musisz mi pomóc - powiedziała z napięciem w głosie. - Nie wiem, czy dam radę, ale wolę już spaść i skręcić kark niż... - Nie dokończyła, ale Jack rozumiał, o co jej chodzi.

Sterna nie była stabilna. Kilka razy większy kamień poruszył się, posyłając w dół kaskadę żwiru. Kilka razy Jack i Pega musieli przywrzeć do skały, czekając, czy cały stos się nie zawali.

W końcu jednak wydostali się na strome górskie zbocze. Leżeli, zdyszani i oszołomieni pod usłanym gwiazdami niebem. Księżyc w pełni wisiał nad nimi i barwił skały pięknym, błękitnym blaskiem. Z dołu, gdzie ogromne drzewa rozciągały swoje gałęzie nad niewidocznymi polankami, dochodziła muzyka rwącego strumienia.

W powietrzu wisiał zaskakujący chłód, lecz ono było przyjemnie świeże. Jack tak długo przebywał w zaduchu nietoperzowego guana, że zapomniał, jak dobre może być czyste powietrze. Wciągał głębokie hausty, ale choć smakowało wspaniale, nie mogło oczywiście zastąpić wody.

- Już niedaleko - szepnął do Pegi.

Zobaczył, że znajdują się w połowie rozległego zbocza. Osunął się cały klif, zawalając skraj gęstego lasu kamieniami i ziemią. Chłopak i dziewczyna zaczęli ześlizgiwać się po sypkim żwirze, co jakiś czas odpoczywając na wielkich głazach, które sterczały ze stoku niczym śliwki z ciasta. Znacznie łatwiej jednak było poruszać się w dół niż w górę. Księżyc rozsiewał wokół promienie rodem ze snu, tak jasne, że cała góra zdawała się lśnić.

U podnóża natrafili na wąski pas łąki przed linią drzew.

- Oooh - odezwała się Pega, zanurzając w trawie poparzone stopy. Rosło tu mnóstwo jaskrów, złocieni i pierwiosnków, a srebrzysty blask ukrywał barwy kwiatów. Dalej czaiła się całkowita ciemność, a w tej ciemności szemrała woda.

- Myślisz, że są tu wilki? - spytała dziewczyna, przysuwając się do Jacka.

- To bez różnicy. Musimy iść - odparł. Ruszyli przez chłodną trawę. Jack szedł przodem z laską w pogotowiu. Nie słyszał nic z wyjątkiem strumienia, a jednak wyczuwał w powietrzu jakiś niepokój. Szkoda, że nie mam noża, pomyślał. Jego nóż przepadł w ogniu wraz z resztą rzeczy.

- Jak ciemno - mruknęła Pega.

Jack rozmyślał nad zawołaniem Brutusa, który musiał tędy przechodzić, ale ów niepokój w powietrzu sprawił, że się zawahał.

Tylko słaby poblask księżyca przedzierał się przez skraj lasu. Korzenie wiły się wokół kęp mchu, a gałęzie wyginały się niezgrabnie. Zdaniem Jacka wyglądały, jakby zamaryły w miejscu i czekały, aż on się odwróci, by znowu się poruszyć. Nasłuchiwał zwyczajnych odgłosów nocy - żab, świerszczy, nawet sowy, poszukującej zdobyczy. Ale nie dało się słyszeć nic z wyjątkiem strumienia.

- Dobra, idziemy - powiedział.

Ostrożnie szedł naprzód, a Pega uczepliła się jego ramienia.

- Jeśli się rozdzielimy, nigdy się już nie odnajdziemy - szepnęła.

Chłopak uważał ich rozdzielenie się za bardzo mało prawdopodobne. Trzymała go tak mocno, że z pewnością rano będzie miał na ciele siniaki. Kiedy światło zbladło, musieli wyczuwać drogę przed sobą, za jedyne przewodnika mając dźwięk wody. Jack potknął się o korzeń i oboje runęli w kłujące igły.

- A! - krzyknął Jack. Mocny chwyt Pegi uratował go. Grunt był śliski od błota.

- Musi tu być woda - jęknęła.

Jack uniósł się na kolanach. Zobaczył błysk światła i porzucając ostrożność, rozsunął gałęzie.

- O, słodcy święci - powiedziała Pega z czcią w głosie. Za drzewami ukazał się rwący strumień, poznaczony tu i ówdzie plamkami księżycowego światła. Płynął głośno po skałach, a dalej wpadał do szerokiego kanału, czarnej smugi, dzielącej las na dwoje.

Zsunęli się po brzegu najszybciej, jak tylko mogli, i wylądowali w wodzie po pas. Strumień był przenikliwie zimny. Jack na to nie zważał. Pił, aż rozbolała go głowa i dostał skurczy żołądka. Woda ukoila za to ból jego stóp.

W końcu wczołgali się z powrotem na błotnisty brzeg i skulili się obok siebie niczym para lisów w starym, wydrążonym pniu. Byli mokrzy, przemarznięci i bardzo, bardzo głodni, ale szum wody ukoił ich i ukołysał do snu, zupełnie jakby leżeli w domu barda, przy trzaskającym w palenisku ogniu. Przespali noc i świt. Nastął późny poranek, gdy w końcu się poruszyli i zobaczyli wąskie snopy słonecznego blasku, padające między drzewami.

- Gdzie jesteśmy? - spytała Pega, dłonią osłaniając oczy.

- Tutaj. Gdziekolwiek to jest - odparł Jack, ziewając przeciągle. Powietrze drgało, pełne maleńkich muszek, tańczących w sącącym się przez las blasku. Strumień szumiał w pobliżu, a ziemię wokół pustego pnia porastał istny dywan poziomek.

- Jeść! - wykrzyknął Jack.

Zrywali drobniutkie owoce najszybciej, jak potrafili.

- Mmm! Pycha! Jeszcze! Jeszcze! - Sok spływał dziewczynie po brodzie i kapał na sukienkę.

- Wiesz co? - odezwał się Jack, sadowiac się wygodnie, gdy przeszła mu ekstaza towarzysząca napełnianiu brzucha. - Strasznie wcześnie na poziomki.

- A kogo to obchodzi? - Pega otarła usta ręką.

- Nawet jeszcze nie zaczął się maj. Powinny rosnąć tylko kwiaty.

- W takim razie mamy szczęście - stwierdziła Pega. - Brat Aiden nazwałby to cudem. - Znowu zaczęła zbierać owoce.

Jack był niespokojny. Kilka rzeczy go martwiło. Ogień, który przywołał w tunelu, pojawił się niezwykle szybko. Nie, żeby go to nie cieszyło. Nie chciał się dowiedzieć, co pukacze jadają na kolację, kiedy nie mogą znaleźć nietoperzy. Ale w wiosce magiczne rozpalanie ognia przychodziło mu z trudem. Należało oczyścić umysł i przyzwać siłę życiową. Nie wystarczyło pstryknąć palcami.

Światło księżyca też wyglądało jakoś dziwnie. Wieczorem był zbyt zmęczony, by się tym przejmować, ale teraz wszystko sobie przypomniał. Nie tylko księżyc, ale cały świat zdawał się świecić. A teraz te poziomki. Żadna nie była zielona, robaczywa ani przejrzała.

- To miejsce przypomina Jotunheim - powiedział.

- Z tego, co mi mówiłeś, jest tu znacznie milej.

- Niektóre miejsca były tam okropne. Inne... - Zawiesił głos. W żaden sposób nie mógł opisać cudowności Yggdrasila komuś, kto go nie widział. - Tak czy owak, mówię o magii. Tutaj znajduje się ona blisko powierzchni i jest niebezpieczna.

- Niebezpieczna?

- Na przykład wtedy, gdy przyzwałem ogień. Nie mogłem tego powstrzymać.

Pega rozejrzała się. Drzewa porastał gęsty mech, przez co wyglądały jak owce po mroźnej zimie, u ich podnóża rosły zaś borówki. Ziemię pokrywał kobierzec poziomkowych krzaczków. Dalej, nad strumieniem, widniała plama irysów.

- Dobrze. Zgadzam się. Wygląda to trochę zbyt doskonale. Czy zaraz przyleżą żadne naszej krwi trolle?

- Nie tutaj. Za ciepło. Ale co... - Niemal nie ważył się powiedzieć tego na głos. - ...jeśli to jest Kraina Elfów?

Oczy Pegi otworzyły się szerzej.

- Do licha! W sumie bardzo tu pięknie.

I mokro, dodał chłopak w myślach. Jeśli istniało miejsce, które mogło się podobać Pani Jeziora, to właśnie się w nim znaleźli.

- Brutus musi być gdzieś niedaleko. Ciekawe, czemu nas nie woła - powiedział.

- My też go nie wołaliśmy.

- Nie - przyznał Jack, znów zdając sobie sprawę z czujności drzew. Czasami ta nieokreślona świadomość wydawała się odległa, zajęta innymi sprawami, a czasami miał wrażenie, że jest tuż przy nich. - Nie widziałem żadnego śladu jego obecności, chociaż musi gdzieś tu być. Chyba że nie żyje. To byłby problem.

- Szczególnie dla niego - stwierdziła Pega.

- Nie jestem bez serca. Oczywiście, byłoby mi przykro, gdyby coś mu się stało. Ale liczyliśmy na niego. Podejrzewam, że zrobił coś głupiego, na przykład wyzwiał smoka do walki i dał się pożreć.

- Samolub z niego.

- Rozglądamy się dalej? - spytał Jack, nie zważając na sarkazm w jej głosie. - Możemy tak wędrować tygodniami. A może wrócimy na dół i wybierzemy inny tunel? Ogień na pewno już zgasł.

- Wrócić na dół? - Pega zbladła jak płótno i teraz znamię odcinało się od jej twarzy niczym plama atramentu. - Nie chciałabym spotkać jeszcze jednego... no, wiesz.

- Ja też nie.

- No dobra.

Wrócili na łąkę. Za dnia zbocze góry wydawało się jeszcze bardziej zdewastowane. Znaczna jego część odpadła, pozostawiając ogromną wyrwę. Ślad lawiny wiódł do połowy stoku, gdzie kończył się skałami zbyt poszarpanymi, by się po nich wspinać.

- Zdaje się, że lawina zeszła całkiem niedawno - stwierdził Jack, osłaniając oczy przed światłem. - Ciekawe, czy podczas trzęsienia ziemi.

Ruszyli skrajem łąki, brodząc przez wąskie strumyki, które spływały z gór. Po lewej mieli trawę, po prawej zaś skały. Sarny patrzyły na nich z powagą z cienia pod drzewami, a rude wiewiórki wodziły za nimi lśniącymi, czarnymi oczkami. Nornice, myszy i ryjówki buszowały wśród kwiatów, nie przejmując się obecnością dziwnych ludzi. Nawet jeże wyszły na żer.

- Następna rzecz, która wyraźnie świadczy o magii - zauważył chłopak. - Jeże za dnia.

- Mogłabym parę złapać - zaproponowała Pega. - Piecze się je obtoczone błotem, a wtedy kolce od razu odpadają.

- W magicznych miejscach nie wolno polować - odparł z naciskiem.

- Będziemy czegoś potrzebowali. Te poziomki przestały mi wystarczać już parę godzin temu. - Po jakimś czasie Pega znalazła kępę orzeszników. Wyrwała je i zebrała okrągłe

orzeszki.

- Jadałam je, kiedy właściciele mnie nie karmili - wyjaśniła.

Jack stwierdził, że nie są takie złe - smakowały trochę jak zabłocone orzechy laskowe. Zresztą nie mieli niczego innego.

Słońce schowało się za górami. Las zalały niebieskawe cienie, temperatura spadała. Pospiesznie próbowali zebrać drewno na opał, ale o dziwo znaleźli w lesie ledwie parę gałązek i wilgotnych liści. Wszystkie poskręcane konary trzymały się mocno pni starych drzew.

- Czy tutaj nic nie umiera? - wykrzyknęła Pega.

- Nie, jeśli to Kraina Elfów - powiedział Jack. Światło słabło i zęby zaczęły mu szczekać z zimna. Musieli znaleźć jakieś schronienie, inaczej groziło im zamarznięcie. Szukali, aż natrafili na krąg drzew, rosnących tak blisko siebie, że ich pnie tworzyły coś w rodzaju naturalnej izby.

- Nie możesz użyć laski, żeby przyzwać ogień? - spytała dziewczyna, przytupując i rozcierając ręce, by się trochę rozgrzać.

- Nawet magiczny ogień wymaga opału. Podejrzewam, że palenie tych drzew może być niebezpieczne.

Byli bardzo wyczerpani marszem, ale sen nie nadchodził. Z ziemi niósł się chłód i zarówno Jack, jak i Pega przysunęli się bliżej korzeni. Chłopak zdawał sobie sprawę z niechęci drzew, choć nie miał pojęcia, skąd o niej wie. Zdawało się, że podejmują decyzję, co zrobić z intruzami.

- Dostyc tego - powiedziała nagle Pega i usiadła prosto. - Dłużej nie zniosę tego szeptania drzew.

- Jakiego szeptania? - spytał Jack.

- Chodzi o pojedyncze, ukradkowe dźwięki. Chyba je słyszałeś? Nie wiem, co mówią, ale nie podoba mi się to. Pamiętasz, co radził Brutus, kiedy byliśmy już na skraju załamania? Zaśpiewajmy coś wesołego.

- Masz na myśli tę jego balladę o rycerzu, który polował na ogra w nawiedzonym lesie? Pamiętasz, jak się kończyła?

- Nie, nie tę - odparła. - Tę, którą śpiewał twój ojciec w drodze do Bebbas Town. Zaintonowała hymn brata Caedmona, który anioł przekazał mu we śnie.

*Chwalmy stwórcę bezkresu Niebios,*

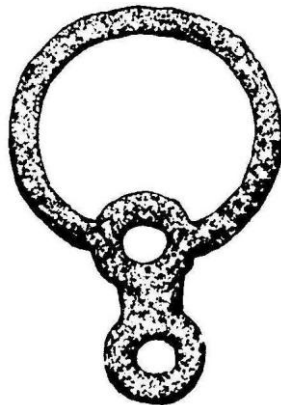
*Majestat Jego mocy i Jego wielką mądrość...*

Musiał przyznać, że to świetny wybór. Po pierwsze, jego unosząca się w powietrzu moc przywołała drzewa do porządku. Jack ich nie słyszał, ale nie wątpił, że Pega słyszy. Po drugie, dziewczyna miała cudowny głos. Zazdrościł jej w domu barda, ale już wtedy wiedział, że jest wobec niej nie w porządku. Nie śpiewała zbyt donośnie, a jednak jej pieśń wypełniła mrok. W ciemnościach można było uwierzyć, że słucha się elfki.

Potem skulili się obok siebie, tak jak wcześniej, w pustym pniu drzewa. Żadne zagrożenie nie zakłóciło im snu, a po przebudzeniu odkryli, że okrywa ich koc z najprzedniejszej wełny.

# Rozdział 21

## Dziewczyna w mchu



Małą przestrzeń między drzewami wypełniało blade, zielone światło. W oddali Jack widział promienie słońca, tu jednak gałęzie tworzyły gęstą zasłonę. Powietrze było ciężkie od woni kwiatów lipy, w górze zaś brzęczały liczne, choć niewidoczne pszczoły. Przez chwilę chłopak myślał, że trafili do Doliny Yggdrasila. Ale to brzęczenie nie było tak gorączkowe, jak tam. Był to po prostu odgłos pszczół, uwijających się w codziennej pracy.

- Skąd się wziął ten koc? - szepnęła Pega.

- Od elfów? - domyślił się Jack.

- Brat Aiden mówił, że elfy są zupełnie samolubne. Zostawił go ktoś inny. Ale jacy ludzie podkradają się do ciebie w środku nocy?

- Może Brutus znalazł jakąś wioskę i pożyczył parę rzeczy - powiedział chłopak z powątpiewaniem. - Mógłbym zacząć go wołać, ale...

- To nie wydaje się zbyt bezpieczne - dokończyła Pega.

- Musi gdzieś tu być. Pewnie poszedł do strumienia napełnić puste bukłaki po cydrze - zastanawiał się głośno Jack. - Wróciliby po nas, chyba że... - Chyba że w ogóle nie wy dostał się z tunelu, pomyślał. Ale nie, usłyszeliby jego wrzaski, gdyby coś poszło nie tak. To było do niego niepodobne, żeby wszedł po cichu do jamy pukacza.

Drzewa nie wyglądały tak groźnie, jak jeszcze poprzedniej nocy, ale wciąż budziły niepokój Jacka.

- Dziwna ta wełna - zauważył, dotykając delikatnych, miękkich włókien. Od spodu było

widać koc, który zniknął, gdy rozłożyło się go na ziemi.

- Magiczna - stwierdziła Pega. - Słyszałam opowieści o płaszczach niewidzialności. Musimy uważać, by go nie zgubić. - Zrolowała koc i położyła na wierzchu kamień, oznaczając tym samym miejsce, w którym leży. - Patrz! - krzyknęła. Puknęła w coś, co Jack wziął z początku za duży grzyb, rosnący między korzeniami drzew. Górna część odpadła i wokół poniósł się smakowity zapach. - To garnek pełen chleba! A chleb jest jeszcze ciepły!

Jack w mgnieniu oka znalazł się przy niej.

- Jest ich więcej - stwierdził ze zdumieniem. W innych naczyniach w kształcie grzybów znaleźli masło, miód i złote gomółki sera. Niewidzialne istoty pomyślały nawet o drewnianych nożach do rozsmarowywania masła.

- Och, dziękuję wam, dziękuję, kimkolwiek jesteście! - zawołała Pega. - Przysięgam, że zrobię dla was coś dobrego, wystarczy, że...

- Cśśś - syknął Jack, zakrywając jej usta. Z historii, które słyszał, wiedział, że niebezpieczne jest składanie obietnic istotom, których nie widać. - Oboje jesteśmy nad wyraz wdzięczni - powiedział, kłaniając się drzewom dookoła. - Byłoby nam bardzo miło, gdybyśmy mogli podzielić się tym posiłkiem z wami.

W lesie jednak panowała cisza, nie licząc słabego wietrzyku, szeleszczącego w gałęziach, oraz brzęczenia pszczoł. W oddali świergotał i gwizdał jakiś nieznany ptak.

Pega rozerwała chleb, po czym posmarowała go masłem i miodem. Podała kawałek Jackowi.

- Myślisz, że to zakłęte jedzenie? - spytał, a jego ręka zamarła w powietrzu.

- Nic mnie to nie obchodzi! - Wgryzła się w swój kawałek, po czym przytłumionym głosem dodała: - Możesz poczekać i sprawdzić, czy zmienię się w konika polnego. Przynajmniej będę najedzonym konikiem polnym.

Jack nie mógł się oprzeć zapachowi topiącego się masła. Zaczął pochłaniać ciepły chleb, który smakował jeszcze lepiej, niż pachniał. Miód był wonny niczym porośnięta koniczyną łąka, ser zaś ostry i cudownie sycący. Wepchnął sobie do kieszeni dwie gomółki na później.

Kiedy skończyli, usiedli w radosnym oszołomieniu, zbyt zadowoleni, by iść albo rozmawiać.

- Powinniśmy umyć ręce i twarze - odezwała się Pega po pewnym czasie.

- Hmm - mruknął Jack. Siedzieli jeszcze przez chwilę, aż bulgoczący strumień wyrwał ich z odrętwienia. - Chętnie bym się napił - powiedział.

- Ja też - odrzekła Pega. Czas mijał.

- Powinniśmy ruszać - stwierdził chłopak. Z wielkim wysiłkiem stanął na nogi. Zielony



bezruch przestrzeni między drzewami ciążył mu i zmusił go, by się ponownie położył. „Ziemia to wygodne posłanie” - szepnął jakiś głos w jego głowie. „Możesz nakryć się mchem i spać sto lat”.

- Wstawaj! - zawołał Jack, zdjęty nagłym niepokojem. Podciągnął Pegę na nogi i zmusił ją, by ruszyła naprzód. Gdy wydostali się spomiędzy drzew, zatupał nogami, by odzyskać w nich czucie. Pega zaczęła klepać się po ramionach.

- Co to było? - spytała z szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

- Nie wiem. Może drzewa. Ani przez chwilę im nie ufałem.

Podeszli do strumienia i obmyli twarze i dłonie. Zimna woda podziałała na nich orzeźwiająco.

- Nie możemy poczuć się zbyt wygodnie - uprzedził Jack. - Kiedy byłem w Dolinie Yggdrasila, straciłem poczucie czasu. - Zatrzymał się i przypomniał sobie przyprawiający o zawroty głowy czar tamtego miejsca. Wciąż by tam był, gdyby nie Thorgil. - Musimy pamiętać o naszym zadaniu. Los wszystkich spoczywa w naszych rękach. Musimy znaleźć Panią Jeziora i sprowadzić wodę z powrotem do Bebba's Town. Król Yffi nie będzie czekał wiecznie.

- Zabawne. Zupełnie o nim zapomniałam. - Pega zamachała rękami przed twarzą, jakby strzepywała pajęczyny.

- Magia tak działa. Musimy ciągle sobie przypominać, po co tu jesteśmy. Musimy powtarzać imiona. Jeśli zapomnę, przypomnij mi.

Pega chwyciła swój sznurowany woreczek i wyjęła świecę, którą dała jej matka Jacka.

- Powąchaj - nakazała.

Zrobił to i natychmiast rozjaśniło mu się w głowie. Wróciły wspomnienia o wiosce, o polach i domach. Zobaczył kowala, wykuwającego jakieś narzędzie rolnicze, piekarza, wyciągającego chleb z pieca, i matkę, przycupniętą przy krośnie.

- Widzisz - powiedziała Pega, także wdychając zapach wosku - przeszedł przez to dziki ogień. Oświetli nam drogę do domu.

- Nauczyłaś się więcej, niż sądziłem - stwierdził z powagą.

- Wiele słuchałam. Niewolnicy tak robią - odrzekła.

Wrócili do kręgu drzew, by wziąć ze sobą koc, ten jednak zniknął, a wraz z nim garnki.

- Pewnie zabrali je właściciele - domyśliła się Pega. - To normalne. Co teraz zrobimy?

Jack zwiesił głowę, próbując obmyślić jakiś plan.

- Szkoda, że nie wiem, gdzie jesteśmy - powiedział. - Może Pani Jeziora jest tutaj, a może

nie. Może Brutus ją znalazł, a może natknął się na smoka. Na pewno nie możemy wrócić do tunelu.

Ostatecznie ruszyli naprzód, mając drzewa po lewej, a góry po prawej. Mijali widmowe brzozy, osiki o liściach, które połyskiwały na wietrze, olbrzymie dęby, pokryte mchem niczym włosami, i gigantyczne cisy. Łąka, przez którą szli, tętniła życiem małych zwierząt. Raz dostrzegli rysia, patrzącego na nich okrągłymi, żółtymi oczami, innym zaś razem przekroczyli strumień, gdzie zielone motyle unosiły się nad brzegami porośniętymi kozłkiem.

Miejsce było wyjątkowo piękne, a jednak w sumie wzbudziło ich rozczarowanie. Nie znaleźli żadnych śladów, nie zobaczyli domostw ani unoszącego się z nich dymu.

- Gdzie są ludzie? - spytała Pega.

Późnym popołudniem dotarli do bezdrzewnego spłachetka, gdzie ze zbocza góry sterczał skalny jezor. Postanowili się nań wspiąć.

- To niezłe miejsce na nocleg - stwierdził Jack.

- Za zimno - odparła Pega. - Będziemy zupełnie odsłonięci.

- To lepsze niż spanie w lesie. - Od tego poranka Jack nabrał niechęci do drzew. Korzenie wiły się u samego podnóża skały, jakby próbowały się na nią wspiąć. Mech tworzył wzory, kojarzące się z pogrzebanymi ciałami, choć chłopak przypuszczał, że to tylko kolejne korzenie, znajdujące się pod ziemią. Nagle ujrzał plamę bieli. - Zobacz! - wykrzyknął.

- Co to jest? - Pega zmrużyła oczy, wpatrując się w mroczny cień lasu.

- Zając albo kot, zwinięty w kłębek. Nie, zaraz! To twarz! - Zaczął się zsuwać po skalnej stromiźnie.

- Poczekaj na mnie - jęknęła Pega, ześlizgując się za nim. - To człowiek! Śpi w lesie, tyle że pokryty mchem. O, to straszne!

Jack zobaczył ślady walki, pochlastany mech i powyrywaną darń. Ktokolwiek to był, nie usnął spokojnie. Podeszedł bliżej, odgarnął płataninę pnączy, które rozrosły się na mchu, a potem krzyknął, tak głośno, że sam się zdumiał.

- Thorgil! Wielkie nieba! Thorgil! Obudź się! Uratuję cię!

Jej ciało było zupełnie pokryte mchem, ale wciąż było widać twarz i szyję. Próbował oderwać mech rękami. Ten okazał się gęstszy i mocniejszy niż każdy mech, jaki w życiu widział. Jego starania nie wywierały żadnego skutku, zupełnie jakby próbował zdrapać kamień.

- Nie mogę znaleźć nic, czym można by kopać - poskarżyła się Pega, bezskutecznie szarpiąc korzenie i gałęzie drzewa. - Są twarde jak żelazo! Nie dam rady ich złamać!

- Użyję magii - powiedział Jack - ale to może być niebezpieczne. Cofnij się. Nie mam

pewności, co się stanie.

Pega cofnęła się pod skałę. Chłopak położył laskę na mchu, próbując oczyścić swój umysł.

O co poprosić? Co powiedzieć? - zastanawiał się gorączkowo. Bał się przyzwać ogień. Mógł buchnąć w niekontrolowany sposób i spalić ich wszystkich. Gdy o tym myślał, zobaczył, że mech powoli wpełza na szyję Thorgil... i aż się wzdrygnął.

Mech zwinął się i lekki wiatr poniosł drobinki popiołu. Wojowniczką miała zamknięte oczy i bardzo bladą twarz, ale mech na jej szyi poruszał się lekko. Wciąż oddychała. Jakaś moc stała pomiędzy nią a lasem.

Runa ochronna, pomyślał. Nie widział jej, runa była bowiem niewidzialna, z wyjątkiem krótkiej chwili, gdy jedna osoba przekazywała ją innej. Ale wyczuwał jej bliskość. Bard miał ją na sobie, gdy szedł przez Dolinę Szaleńców. Jack nosił ją w Jotunheimie i oddał tylko po to, by powstrzymać Thorgil przed samobójstwem. Była czystą siłą życiową.

Jack pragnął jej dotknąć, ale się nie ośmielił. Runę wolno było dawać tylko z własnej woli. Parzyła każdego, kto próbował zabrać ją siłą, tak jak teraz parzyła mech, nie pozwalając mu pokryć twarzy Thorgil. Łamał sobie głowę, szukając rozwiązania. Wiedział, jak przyzwać mgłę i wiatr, znaleźć wodę, rozpaścić ogień, a także (jeden raz) wywołać trzęsienie ziemi. Żadna z tych umiejętności nie mogła mu się teraz na nic przydać. Gdyby tylko ją obudził, pomyślał. Mogłaby zaczerpnąć z runy nowych sił. Poglądził Thorgil po czole i wypowiedział jej imię, ale spała dalej.

- Mogę pomóc? - spytała Pega.

- Nie znasz magii - odparł ze zniecierpliwieniem. Nie chciał, by mu przeszkadzano.

- Umiem śpiewać.

Gwałtownie podniósł głowę. Śpiewać! No jasne! Co z największym prawdopodobieństwem mogło zbudzić Thorgil i pchnąć ją do działania? Nie zawracając sobie głowy wyjaśnieniami, zaczął:

*Bydło umiera, umierają krewni.*

*Domy płoną na popiół.*

*Ale jedno nie znika nigdy:*

*Sława dzielnego wojownika.*

- Dziwne, mówić coś takiemu komuś, kto być może umiera - wtrąciła Pega.

- Cicho - odparł. Śpiewał dalej:

*Okręty idą na dno morza.  
Królestwa obracają się w pył.  
Tylko jedno trwa wiecznie:  
Sława dzielnego wojownika.*

*Sława nie umiera!  
Sława nie umiera!  
Sława nie umiera!*

Gdy śpiewał, wróciły wspomnienia o Ludziach Północy. Siedzieli na okręcie Olafa Jednobrewego, a wiatr wydymał żagiel w czerwono-kremowe pasy. Wiedli brutalne życie, byli najgorszymi zbirami, ordynarnymi, na poły szalonymi i głupimi, a jednak... mieli w sobie szlachetność.

Jack jeszcze raz zaczął pieśń i dołączyła doń Pega. Muzyka łatwo wpadała jej w ucho. „*Sława nie umiera! Sława nie umiera! Sława nie umiera!*” Twarz Thorgil straciła trupią błądź, a jej wargi zdrząły, jakby próbowała zaśpiewać z nimi. Otworzyła oczy.

- Jack? - szepnęła.

- Musisz żyć - powiedział, tak zachwycony, że o mało nie wyskoczył ze skóry. Oczy dziewczyny przestały nagle błyszczeć i znów zaczęły się zamykać. - Tchórzliwa kłamczucho! - wrzasnęła. - To tak się umiera z honorem? Śpiąc na miękkim posłaniu jak ostatni *thrall*? Fuj! Zaslugujesz, by iść prosto do Hel!

- Jack! - wykrzyknęła wstrząśnięta Pega.

- Cicho bądź. Wiem, co robię. Będą cię nazywali Thorgil Zajęcze Serce! Thorgil *Brjóstabarn*! Niemowlę!

- Nie jestem *brjóstabarn* - warknęła Thorgil. Jej twarz się zarumieniła, a ciało zdrząło pod mchem.

- Więc żyj, nędzna padlino!

Usta córy miecza wykrzywiły się, jakby chciała wyrzucić z siebie taki stek paskudnych przekleństw, że nie mogła ich wypowiedzieć wystarczająco szybko. Mech na jej piersi zaczął brązowieć i odpadać całymi płatami. Zjawisko przesunęło się stopniowo na ręce i nogi. Szarpnęła się i próbowała sięgnąć po nóż. Ogarnęło ją osłabienie i opadła na kolana, trzęsąc się gwałtownie.

- Teraz lepiej - powiedział.

- Pomogę ci! - wykrzyknęła Pega, przypadając do Thorgil.

- Nikt... - Młoda wojowniczką urwała, ciężko dysząc, tak bardzo była wyczerpana. - ...nie musi ...mi pomagać.

- Spójrz na siebie. Nie możesz nawet normalnie mówić. Jasne, że potrzebujesz pomocy. - Pega próbowała ją podnieść, ale Thorgil wymierzyła jej słabego klapsa.

- Zostaw ją - poradził Jack. - Thorgil *Brjóstabarn* może pęłzać, jeśli nie zdoła chodzić.

- Nienawidzę... cię - powiedziała wojowniczką, ciężko dysząc.

Wrócił, by usiąść na skale. Czuł się lekko niczym promień słońca.

- Na twoim miejscu zdjąłbym z siebie ten mech. Twoja sprawa, ma się rozumieć. - Pega popatrzyła na niego z konsternacją. - Wiem, myślisz, że jestem okropny, ale manier uczyli mnie Ludzie Północy. Nie umieją przeżyć dnia bez dziesięciu obelg i przynajmniej jednej groźby. - Po kilku słabych uderzeniach Thorgil Pega wycofała się na skały, by usiąść przy Jacku.

Razem patrzyli, jak córa miecza wlecze się na czworakach. Pomimo ostrych słów, Jacka bolało serce na ten widok, wiedział też jednak, że nie ma sensu się wtrącać. Thorgil musiała uratować się sama. W przeciwnym razie poczuje się upokorzona i stanie się jeszcze trudniejsza do zniesienia. W końcu wczółgała się na kamienie, poza zasięg korzeni drzew.

- Dałam... radę... - zipnęła. - Nie... dzięki wam.

Teraz Jack zszedł niżej, by przysiąść przy niej.

- Potrzebujesz wody - zauważył. - Poczekaj tutaj.

Pobiegł do wąskiego strumyka, spływającego obok z góry, i napełnił dłonie wodą. Część wyciekła, gdy wracał, zdołał jednak wlać odrobinę do ust Thorgil. Chodził w tę i z powrotem, a Pega mu pomagała, aż w końcu córa miecza westchnęła i pokręciła głową.

- Dosyć - powiedziała.

Jack wyciągnął gomółkę sera, a Thorgil rzuciła się nań tak łapczywie, że omal nie ugryzła chłopaka.

- Jedz małymi kęsami - poradził. - Niebezpiecznie jest opychać się na pusty żołądek.

Zupełnie jednak na niego nie zważała. Gdy skończyła, oparła się plecami o skałę i zamknęła oczy.

- Znowu zemdleje? - spytała Pega.

- Pewnie potrzebuje czasu, żeby nabrać sił - powiedział Jack. - Nie wiem, jak długo tu była. - Zauważył ciemnozielone plamy na ubraniu Thorgil i przypominającą korę drzew barwę jej butów. Wyglądało to, jakby zaczęła się stawać częścią lasu. Może tak zresztą było.

- Jeden z moich właścicieli nie karmił mnie trzy tygodnie za to, że pobrudziłam mu koszulę - odezwała się Pega. Skuliła się w skalnym wgłębieniu, obejmując rękami kolana, by

się rozgrzać. Słońce zaszło za górę i w powietrzu dawał się wyczuć chłód. - Mogłam jeść tylko to, co znalazłam w śmieciach. Nie uwierzycie, jak pyszne mogą być rybie głowy.

Thorgil otworzyła oczy i popatrzyła prosto na nią.

- Jesteś *thrallem* - powiedziała.

- Co to jest *thrall*? - pytała Pega.

Jack zaklął pod nosem.

- Nie zwracaj na to uwagi. Ludzie Północy lubią wszczynać bójki bardziej, niż niedźwiedzie lubią miód. Nawet ich bogowie obrażają się nawzajem.

- *Thrall* oznacza niewolnicę - powiedziała Thorgil z doskonałym saskim akcentem.

- Nie jestem niewolnicą! Jack mnie wyzwolił!

- Też kiedyś byłem niewolnikiem - wtrącił chłopak. - Wcale się tego nie wstydzę.

- A powinienes? - odparła Thorgil z wilczym uśmiechem.

Sama byłaś niewolnicą, pomyślał, ale powstrzymał się przed wypowiedzeniem tych słów na głos. Drwiny z Thorgil były grą, którą należało prowadzić nadzwyczaj ostrożnie.

- Może powinniśmy poszukać miejsca do spania - zaproponował. - Ma ktoś ochotę na posłanie z mchu?

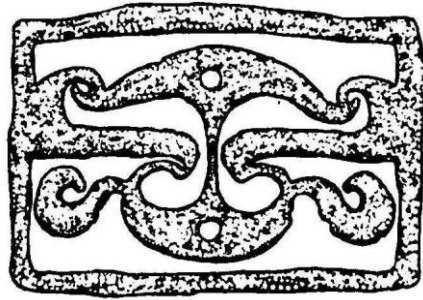
- Nie! - wrzasnęła Thorgil, co tylko pokazało, jak bardzo się bała. Okazywanie strachu było do niej niepodobne.

- Nie rozumiem. Spędziliśmy w lesie dwie noce i nic nam się nie stało do dzisiejszego ranka - odezwała się Pega. - Zupełnie jakby drzewa nagle się obudziły.

- Albo natrafiliśmy nie na te drzewa, co trzeba - odrzekł Jack. - Pewnie niektóre są dobre, a inne złe, tak jak ludzie. Tak czy owak, musimy znaleźć schronienie, zanim zrobi się zupełnie ciemno. Wcześniej zauważyłem rozpadlinę.

## Rozdział 22

### Saga Thorgil



Rozpadlina okazała się dolinką, ukrytą w górskim zboczu. Po jednej stronie strumyka znajdowała się półka skalna, wystarczająco szeroka, by na niej spać. W drugim końcu rosła stara jabłonka, tak pokryta porostami, że zdawała się niemal srebrna. Jej gałęzie obsypane były białymi kwiatami, które tylko przydawały jej upiornego wyglądu. Jakimś cudem obok wisiało mnóstwo bladożółtych owoców. A przynajmniej Jackowi się zdawało, że są żółte. Zapadała noc i trudno było to stwierdzić.

- Myślisz, że można je jeść? - szepnęła Pega.

Jack wspiał się na drzewo. Powietrze wypełniała słodczy, nieprzypominająca woni kwiatów lipy poprzedniej nocy. Tamten zapach koił do snu, podczas gdy ten sprawiał wrażenie, jakby miało się wydarzyć coś ekscytującego.

- To chyba jedno z tych dobrych drzew - stwierdził chłopak.

Pega zebrała kilka jabłek, które leżały na ziemi.

- Uprzejmie dziękuję - powiedziała, kłaniając się jabłoni.

Thorgil prychnęła. Zapewne uważała dziękowanie drzewu za uwłaczające. Znowu nie mogli rozpalić ognia, ale powietrze w dolince stało nieruchomo i nie było zbyt chłodne. Pożywili się jabłkami i ostatnią gomółką sera, po czym popili to wodą ze strumyka. Pega zaśpiewała piosenkę o lisie i kurze, która ciągle krzyżowała plany chcącego ją pożreć drapieznika. Piosenka miała wiele zwrotek, a Jack i Thorgil chórem dołączyli do Pegi.

- Mama śpiewała mi to, kiedy byłam bardzo mała - powiedziała Thorgil.

- Moja też - odrzekł Jack, niezwykle poruszony. Młoda wojowniczką niemal nigdy nie wspominała o swojej matce, złożonej w ofierze na ziemi Ludzi Północy.

- Moja pewnie też, tyle że jej nie pamiętam - dodała Pega.

Skulili się razem, by nie zmarznąć, a potem spali jak susły, pomimo twardego podłoża. Jack obudził się w środku nocy i ujrzał księżyc w pełni, oświetlający dolinę. Jabłoń świeciła niezwykłym blaskiem i wyglądała, jakby naprawdę zrobiono ją ze srebra. Dziwne, pomyślał, kładąc się przy towarzyszkach. Mógłbym przysiąc, że pełnia była dwie noce temu.

Krzyk Thorgil wyrwał Jacka i Pegę ze snu. Wstali na nogi i zobaczyli wojowniczkę z nożem w ręce. Wpatrywała się w jabłoń.

- Coś tam było - oznajmiła. - Zobaczyłam to, kiedy tylko otworzyłam oczy, ale potem zniknęło.

Jack zaczął wraz z nią rozglądać się dookoła.

- Jak wyglądało?

- Trudno powiedzieć. Poruszało się bardzo szybko. Było w zielono-brązowe plamy, niższe od człowieka i miało twarz.

- Twarz?

Thorgil uśmiechnęła się, tak jak miała w zwyczaju, gdy zamierzała powiedzieć coś niemiłego.

- Jak u żaby albo traszki. Szerokie, płaskie nozdrza i usta bez warg. Zapomniałam powiedzieć, że stało nad Pegą.

- Do stu pluskiew! - wykrzyknęła Pega.

- Głaskało cię po włosach.

- Przestań ją straszyć - powiedział Jack. Podeszedł do jabłoni i rozejrzał się. Niczego nie znalazł. Za drzewem w skale widniało wiele nierówności, które można było wykorzystać przy wspinaczce. Czymkolwiek była tajemnicza istota, mogła z łatwością uciec.

- Klnę się na Odyna, że widziałam jakiegoś stwora - powiedziała Thorgil.

Jack nie wątpił w jej słowa. Nie miała w zwyczaju kłamać, choć czerpała złośliwą przyjemność ze straszenia innych. W pewnym stopniu nawet się cieszył, że coś zobaczyła. Ogromna żaba była lepsza od wielu stworów, które pojawiały się w jego wyobraźni.

- Znowu zostawił nam te garnki - stwierdził, klękając przy naczyniach, które wyglądały jak grzyby, rosnące u stóp drzewa.

Pega i Thorgil stanęły przy nim. Tak jak poprzednio, w garnkach znajdował się ciepły chleb, a także masło, miód i ser.

- Dziwne - odezwała się Thorgil, gdy jej twarz owionął smakowity zapach chleba. - Skąd się wzięły te rzeczy? To jakieś czary?



- Pewnie zostawił je nasz tajemniczy gość - odparła Pega.

- Słyszałam, że niektóre istoty potrafią zaczarować błoto, żeby wyglądało jak jedzenie - zauważyła córka miecza. - A w brzuchu z powrotem zamienia się w błoto.

- Czy czasem masz do powiedzenia coś miłego? - warknął Jack.

Wyszczrzyła się w uśmiechu.

Zanieśli jedzenie na skalną półkę nad strumykiem. Na deser po śniadaniu zjedli jabłka.

- Teraz chciałbym wiedzieć, skąd się tu wzięłaś i dlaczego byłaś uwięziona pod mchem - zwrócił się Jack do Thorgil. - Nie pytałem o to wczoraj, bo wydawałaś się... zmęczona. - Chciał powiedzieć „przestraszona”, ale wiedział, że to tylko ją rozzłości.

- Byliśmy na wyprawie - zaczęła.

- „My”? - spytał.

- Skakki, Sven Mściwy, Eryk Zapalczywy... ci, co zwykle.

- I jakiś chłopak, którego nie znałem.

Wyprostowała się, zaskoczona.

- Skąd wiesz?

- Jestem skaldem - odparł z dumą. - Wiem takie rzeczy i już.

- W takim razie możesz sam sobie opowiedzieć resztę - warknęła.

- Proszę. Ja nie mam o tym pojęcia - wtrąciła Pega. - Chciałabym wiedzieć, co taka sławna wojowniczką robi na naszej ziemi.

Jack pogratulował jej w myślach komplementu, który mógł nakłonić Thorgil do współpracy.

- Jak zwykle grabiliśmy tchórzliwe saskie wioski - ciągnęła córka miecza. Urwała, czekając, aż zniewaga dotrze do słuchaczy. Jack bohatersko zachował milczenie. - Ale doszły nas słuchy o tajemnym przejściu do Krainy Elfów. Runa usłyszał o tym na targu niewolników. Na pewno pamiętasz to miejsce, Jack.

- Mów dalej - ponaglił z napięciem w głosie.

- Skakki targował się z Piktami, a oni nie mieli dość broni na wymianę. Obiecali, że zostawią brakującą broń na pustej plaży. Taka obietnica jest warta tyle, co garść kurzu. Ale zanim Skakki odmówił, Runa odciągnął go na bok. Podśluchiwał wcześniej kłótnię Piktów. Nie chcieli ujawnić, gdzie jest plaża, bo znajdująca się tam jaskinia miała prowadzić do Krainy Elfów. Gdy Skakki to usłyszał, postanowił zaryzykować.

- Po co chcieliście iść do Krainy Elfów? - spytała Pega.

- Po łupy, oczywiście! Mają srebro i klejnoty, i jeszcze wspaniałe konie. Wyszliśmy na brzeg. Wierzcie lub nie, ale broń na nas czekała. Przeszukaliśmy plażę, a Eryk Pięknolicy

znalazł jaskinię...

- Eryk Pięknolicy? - powtórzyła Pega.

- To taki żart Ludzi Północy - wyjaśnił Jack. - Ma okropne blizny po walkach. Raz troll niemal odgryzł mu nogę. - Pega szeroko otworzyła oczy.

- Ale Runa słyszała legendę o Krainie Elfów. Podobno jest niebezpieczna dla dorosłych, ale dzieci mogą tam wchodzić i wychodzić - powiedziała młoda wojowniczką.

Jack przypomniał sobie, że bard mówił mu to samo. „Chyba jesteś dość młody, by oprzeć się powabowi elfów. Ciekawostka. To jedyna dziedzina, w której dzieci są silniejsze od dorosłych. Nie ulegają tak łatwo ułudzie, a elfy to mistrzowie iluzji”.

- Postanowiono, że pójdziemy we dwoje: Heinrich i ja.

- To ten chłopak, którego nie znam - odgadł Jack.

- Był siostrzeńcem Ivara bez Kości - oznajmiła Thorgil. - Właśnie skończył dwanaście lat i Ivar uparł się, żebyśmy go zabrali. Wiecie, jak jedna osoba może zepsuć całą wyprawę? Heinrich był strasznie rozpieszczony przez matkę. Ciągłe narzekał. Chciał być pierwszy na brzegu podczas najazdów. Opowiadał bzdury i chciał mieć największy udział w łupach. I jeszcze nalegał, żebyśmy nazywali go Heinrichem Potwornym, na co nie zasługiwał. Nie był bardziej potworny od innych dwunastolatków, mimo że torturował *thrallów*...

- Dosyć - uciął Jack, który nie chciał opowieści o torturowaniu *thrallów* w obecności Pegi. Patrzyła na Thorgil ze szczerym przerażeniem. - Opowiedz nam o wyprawie.

- Heinrich uparł się, że chce iść pierwszy, żeby popisać się swoją bronią. Słowo daję! Miecz, włócznia, tarcza i jeszcze zapasowa tarcza, kiedy po prostu schodzisz pod ziemię. Głupota! W każdym razie drugiego dnia chciał zbadać boczne przejście. - „Pamiętaj, co powiedział Runa”, przypomniałam mu. „Żadnych bocznych przejść”. - Przełknęła ślinę i wzięła głęboki wdech.

Jack miał niemiłe przeczucie, że wie, co kryło się w odnodze.

- Zawołał... zawołał, że utknął - ciągnęła. - Wlokłam się z tyłu z zapasami i usłyszałam jego krzyk. Podniosłam pochodnię i zobaczyłam... - Urwała.

Jack i Pega czekali. Córa wojny wyraźnie miała kłopot z opisaniem tego, co widziała. Słońce odnalazło wreszcie drogę do dolinki, budząc rodzinę wydr. Zwierzaki wskoczyły do strumyka, zanurkowały, po czym wyłoniły się z małymi, srebrnymi rybami w zębach. W najmniejszym stopniu nie bały się ludzi na brzegu.

- Kiedy byłam bardzo mała - powiedziała Thorgil, przetykając ślinę - i szukałam w lesie dzikiego czosnku, natrafiłam na gniazdo węży. Pełzały po sobie nawzajem, sycząc i otwierając pyski. Uciekłam do domu i dostałam w skórę, bo nie przyniosłam czosnku. Coś

takiego zobaczyłam w jaskini, tyle że to gniazdo było o wiele, wiele większe. Wiły się tam setki węży, a pośrodku był Heinrich. Oplatały mu ręce i nogi. Na moich oczach jeden włożył mu do gardła. Ale zanim zdążyłam coś zrobić, ziemia się zatrzęsła! Nigdy w życiu nie czułam czegoś podobnego. Wokół spadały kamienie, a ja nie mogłam ustać na nogach. Potem coś uderzyło mnie w plecy. Kiedy się ocknęłam, tunel, którym weszliśmy, był zawalony, a w sklepieniu pojawiła się dziura.

- A Heinrich? - spytała Pega.

- Przysypały go kamienie. - Thorgil opuściła wzrok na swoje ręce.

- Wpadł do jamy pukacza - stwierdził Jack. - Z nami omal nie stało się podobnie. Ten pukacz wyglądał jak olbrzymi kleszcz.

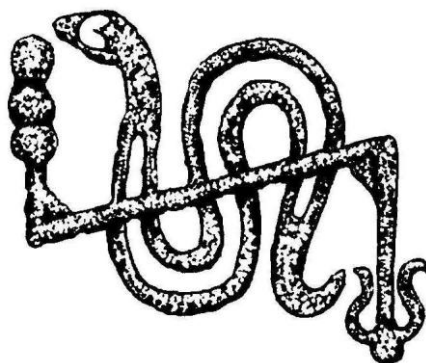
- Nie. Jak pluskwa - upierała się Pega.

- Przysięgam na Odyna, że to było gniazdo węży - odparła Thorgil.

- Pewnie wszyscy mamy rację. Podejrzewam, że pukacz wygląda jak twój najgorszy koszmar - stwierdził Jack.

## Rozdział 23

### Bugabu



Do dolinki wpadały snopy słonecznego blasku. Cała trójka posmutniała po opowieści Thorgil, a Jack zaproponował, by dalszy ciąg historii odłożyć na później. Napełnił kieszenie serem, który został po śniadaniu, i dobrze zrobił, bo garnki w kształcie grzybów zniknęły.

- Dostaję dreszczy na myśl, że jakieś stworzenie może tu sobie przychodzić, a my go nie widzimy. - Pega zadrżała.

- Chyba ma do nas przyjazne nastawienie - powiedział Jack.

- Tak, ale nie chce się pokazać. Jak mam spać, kiedy to coś łązi wokół nas? I dlaczego stanęło akurat nade mną?

- Może wyglądałaś najbardziej smakowicie - podsunęła Thorgil.

- Przestań - nakazał chłopak. Nie chciał wychodzić z tej skalnej rozpadliny. Wydawała się bardzo bezpieczna po szeptach drzew i znalezieniu Thorgil, na wpół pochłoniętej przez mech. Nie mieli jednak wyboru. Ruszyli przez wąską łąkę między skałami a lasem. Nikt się nie odzywał. Nikt nie podjął decyzji, by iść dalej. Było to po prostu najbardziej oczywiste wyjście.

Mijali osiki, brzozy, olchy i jesiony, między którymi rosły sękate, omszałe dęby i lipy, rzucające niesamowite, zielonkawe cienie. W pewnej chwili Jack zauważył, że słońce, które powinni mieć za plecami, znajduje się po lewej stronie. Doszli do krańca doliny i zaczęli okrążyć góry. Wciąż jednak nie widzieli żadnego wyjścia, a skały były zbyt strome na wspinaczkę.

- Ta droga prowadzi nas chyba z powrotem - odezwała się Thorgil. - Miałam nadzieję na powrót do statku, ale tunel był zablokowany.

Zatrzymali się na odpoczynek przy rwącym potoku, a Jack rozdał ser, który zabrał ze sobą. Wiele się wydarzyło, od kiedy ostatnio widział Thorgil. Opowiedział jej o swoim powrocie do wioski i o wędrownkach barda w ciele Mężnego Serca.

- To był on? - wykrzyknęła dziewczyna. - Ten głupi ptak mówił mi, że jest bardem, ale myślałam, że kłamie. To częste u ptaków.

- Rozumiesz mowę ptaków? - spytała Pega.

Młoda wojowniczką bez słowa skinęła głową. Jack pamiętał, że Thorgil nie przepada za swoją zdolnością rozumienia ptaków. Mówiła, że przypominają jej bandę pijanych Ludzi Północy i nawet na chwilę nie milkną.

- A co mówi tamten? - spytała Pega, pokazując szczygła, przycupniętego na krzewie bzu.

Thorgil nasłuchiwała przez chwilę.

- Mówi: „Coś mnie swędzi. Coś mnie swędzi. Coś mnie swędzi”. A tamten: „Mnie też. Mnie też. Mnie też. Mnie też”. Ten na brzozie śpiewa: „Ptasie wszy, ptasie wszy, wszyscy mamy ptasie wszy!”

- Lepiej nie wiedzieć - oceniła Pega.

Szli dalej. Jack opowiedział Thorgil o szaleństwie Lucy, o zniszczeniu Studni Świętego Filiana i o zniknięciu Brutusa.

- Wywołałeś trzęsienie ziemi? - wykrzyknęła, gdy doszedł do tej części historii.

- Nie chciałem. Byłem zły. Bard mówi, żeby nigdy nie zajmować się magią, kiedy jesteś zły.

- To cudowna umiejętność! - stwierdziła wojowniczką. - Mógłbyś spuścić lawinę na swoich wrogów. Mógłbyś zmieść całą wioskę z powierzchni ziemi.

- O rany - mruknął. Zapomniał o jej krwiożerczym usposobieniu. W sumie jednak spędzili miły dzień, opowiadając sobie różne historie i wspominając swoje przygody w Jotunheimie. Jack dopiero późnym popołudniem zauważył, że Pega od dłuższego czasu się nie odzywa.

Poszukał miejsca na nocleg, ale tym razem nie wypatrzył żadnej bocznej dolinki. Musieli nocować na skałach albo wejść pod drzewa.

- Nie pójde pod drzewa - oznajmiła Thorgil.

- Boisz się? - spytała kąśliwie Pega.

- Tylko *thrallowie* się boją - syknęła córa miecza.

- To dobrze, bo nie ma tu żadnych *thrallów* - odparła Pega. - Jeśli o mnie chodzi, znajdę

sobie przyjemne, miękkie posłanie z mchu. Ty pewnie wolisz kulić się na skałach.

- Pega! - wykrzyknął Jack. Był zaskoczony. Wywoływanie kłótni wydawało się do niej niepodobne.

Thorgil jednak tylko prychnęła.

- Sama wybieram sobie przeciwników. Nie chcę się obudzić z potworem nad głową.

Pega ruszyła w stronę drzew, choć Jack zauważył, że nie weszła pod gałęzie. Thorgil znalazła sobie gładką półkę skalną.

- To bez sensu - powiedział do niej Jack. - Musimy trzymać się razem.

- Więc niech ona tu przyjdzie.

- Nie ruszę się stąd! - zawołała Pega.

Spoglądał to na jedną, to na drugą, zastanawiając się, jak zebrać je razem. Nie rozumiał, dlaczego nagle wybuchł ten spór.

- Przynajmniej poopowiadajmy sobie jakieś historie czy coś. Nie chce mi się jeszcze spać - zaproponował.

Dziewczyny z ociąganiem wstały i spotkały się w połowie drogi między wybranymi posłaniami. Nie było to zbyt dobre miejsce, bo trochę błotniste, ale Jack cieszył się, że w ogóle się udało. Skąd się wziął ten problem? - zastanawiał się. Po Thorgil można się było spodziewać popędliwych zachowań. Właściwie podejrzane było, kiedy stawała się miła. Pega jednak zawsze starała się postępować uprzejmie.

- Wiem, co bym chciała usłyszeć - powiedziała Pega. - Chcę wiedzieć, dlaczego sławna wojowniczką znalazła się pod mchem.

- To dobre pytanie - przyznała Thorgil. - Lepiej odpowiem na nie, zanim się ściemni.

Zaczęła od tego, że po trzęsieniu ziemi wspięła się do dziury w sklepieniu. Poczowała wielką ulgę, znalazłszy się na zewnątrz, i przed powrotem na plażę, do swoich, postanowiła poszukać wody.

- Natrafiłam na strumień, a potem zaczęłam szukać jedzenia - powiedziała. - Wszystkie moje rzeczy, oprócz tego noża, zniknęły w osuwisku. Myślałam, że polowanie będzie trudne, ale zwierzęta okazały się zaskakująco oswojone. Właściwie nawet głupie. Można niemal powiedzieć, że się kładły i prosiły, bym je zabiła.

- Oj, Thorgil - jęknął Jack. - Po tym powinnaś poznać, że to magiczne miejsce. Nie pamiętasz Doliny Yggdrasila? Zabijanie tych zwierząt było zakazane.

- Byłam głodna - powiedziała Thorgil z irytacją. - Moim zdaniem jelonek, który siada przed głodnym człowiekiem, popełnia samobójstwo.

- Chyba go nie... - zaczęła Pega.

- Oczywiście, że tak - odparła córka miecza. - A potem nie mogłam znaleźć drewna, żeby go upiec. Próbowałam łamać gałęzie, ale tutejsze drzewa są chyba z żelaza. Udało mi się tylko oderwać parę cienkich gałązek. Kiedy wróciłam do jelonka, okazało się, że zniknął. Miałam wrażenie, że coś na mnie patrzy.

- Do licha! - powiedziała Pega i skuliła się.

- To nie przypominało niczego, co w życiu spotkałam, człowieka, zwierzęcia ani trolla. Było zimne. Jak drzewo. Wyczuwałam jego myśli. Nie było na mnie złe. Chciało się mnie po prostu pozbyć w ten powolny sposób, który stosują drzewa, gdy oblewają żywicą natrętnego chrząszcza.

Jack zadrzał. Przypomniawszy sobie, jak Żywopłot, otaczający Din Guardi, niedbale wyciągnął gałąź, by podrapać go po twarzy.

- Miałam wielką ochotę się położyć. Wiedziałam... wiedziałam - powiedziała Thorgil ochryplym nagle głosem - że jeśli zostanę, nie zdołam się oprzeć. Zaczęłam więc biec. Ścisłe rzecz biorąc, wpadłam w szał.

- W szał berserkera? - spytał Jack.

- To by było przyjemne. Rąbać, siec, plądrować... A, nieważne. - Westchnęła. - Ogarnęła mnie panika.

Skinał głową. Wiedział, że dziewczyna nie może wpaść w szał berserkera, odkąd napiła się ze Studni Mimira.

- Po prostu biegłam... biegłam... i biegłam. Kiedy przystawałam, żeby zaczerpnąć tchu, drzewa się do mnie zbliżały, więc nie zatrzymywałam się, dopóki nogi się pode mną nie ugięły. Dźgałam mech i krzyczałam, ale to coś miało mnóstwo czasu. W końcu nie mogłam już walczyć i położyłam się. Czułam, jak korzenie pełzną wokół mnie, a mech wkłada się na moje ręce i nogi. Myśli tego czegoś kojarzyły się ze stertą gnijących liści... Uch! - Zadrzała gwałtownie. Jack otoczył ją ramieniem.

Przygotował się na cios, Thorgil bowiem nie przepadała za współczuciem, ale tym razem była zbyt przejęta, by zaprotestować. Po chwili otrząsnęła się i posłała mu niewyraźny uśmiech.

Dolina pogrążyła się w cieniu. Na granatowym niebie zaczęły pojawiać się gwiazdy, a z łąki sączyła się chłodna wilgoć.

- To jak? - spytał Jack. - Drzewa czy skały?

Pega przykucnęła i jeszcze bardziej niż zwykle przypominała wielką zabę.

- Po tej opowieści też nie chcę się zbliżać do drzew - powiedziała - ale chcę mieć własną skałę.

- Nie wiem, czemu jesteś taka rozdrażniona - powiedział ostro Jack. Opowieść Thorgil zdenerwowała go bardziej, niż chciałby przyznać. - Chcesz być sama? Dobrze. Znajdź sobie własną skałę.

Miał poczucie winy, że tak postąpił, ale był zmęczony i nie chciał tracić połowy nocy na kłótnie. Thorgil znalazła osłonięte miejsce między dwoma głazami. Położyli się skuleni obok siebie i rozmawiali o Jotunheimie. Młoda wojowniczką zasnęła, ale Jack patrzył na niebo między głazami i próbował snuć plany. Usłyszał ciche pochlipywanie Pegi.

Do stu pluskiew, pomyślał, używając jej ulubionego przekleństwa. Lepiej tam pójde. A potem do jego uszu dobiegł inny dźwięk. Z początku brzmiał jak pomruk, szum odległego strumienia, ale narastał. Jackowi serce zamarło w piersi. Pomruk rozdzielił się na głosy, które były niemal wyraźne. Pega umilkła.

Jack podniósł się ostrożnie. Księżyc w pełni rzucał niesamowite światło na zbocze góry. Zobaczył, że Pega siedzi całkiem niedaleko, skały wokół niej zdawały się migotać, jakby coś po nich biegało. *Piękna pani, śpiewały głosy. Najcudniejsza z cudnych. Nigdy nie płacz, bo jesteśmy przy tobie. Uwielbiamy cię. Kochamy.*

- Jack? - wychrypiała Pega, tak przerażona, że ledwie mogła mówić.

- Thorgil - szepnął Jack. Wiedział, że będzie potrzebował jej pomocy. Dziewczyna zerwała się z nożem w ręce, gotowa do akcji.

- Właśnie to widziałam dziś rano, tylko teraz jest ich więcej - oznajmiła.

- Idziemy, Pego! - zawołał Jack, trzymając laskę w gotowości.

*Nie mamy złych zamiarów, szepnęły głosy. Pani płakała, więc przyszedliśmy. Najpiękniejsza z pięknych. Kochamy cię.*

- Dotykają mnie! - pisnęła Pega.

- Boi się was - powiedział chłopak.

*Skrzywdziłeś ją, zaśpiewały oskarżycielsko. Odpędziłeś ją, a ona płakała.*

- Wcale nie. Chciała być sama.

*Nie ona. Nie ona. Jej samotność nas wzywała. Okrutny ziemisty.*

- Jack, zrób coś, żeby przestały mnie dotykać - jęknęła Pega.

- Słyszeliście ją - powiedział. - Cokolwiek robicie, natychmiast przestańcie.

- Mam atakować? - szepnęła Thorgil.

- Jeszcze nie. Słuchajcie, naprawdę się was boi! - zawołał Jack. - Dlaczego się nie pokażecie, żebyśmy mogli was zobaczyć?

*Piękna, czy tego sobie życzysz? Głosy brzmiały jak szum wiatru w gałęziach drzew.*

- Tak! Ręce przy sobie - odparła Pega.



I nagle ukazały się stwory, niczym w wodzie, której powierzchnia nagle staje się gładka i można spojrzeć w głąb. Były ich setki! Tworzyły wokół Pegi gęsty krąg, ale na szczęście nie stały zbyt blisko niej. Jack nie miał pojęcia, co robić. Jakim cudem miał skłonić wszystkie te istoty, żeby sobie poszły?

Przypominały małych ludzi i nosiły ubrania, których kolor zlewał się ze skałą. Miały plamistą skórę i duże, jakby zaspane oczy. Ich nozdrza były dwiema szparkami ponad szerokimi ustami bez warg, a rzadkie włosy kleiły się do wilgotnych czół. Długie palce były spłaszczone na końcach.

- Koboldy - szepnęła Thorgil.

- Widziałeś je już? - spytał cicho.

- Oblazły okręt Olafa, kiedy płynął w górę Renu. Musiał poprosić o pomoc wieszczkę, żeby się ich pozbyć.

- Są niebezpieczne?

- Nie - odrzekła. - Płatają tylko figle. I kradną.

- Kradną! - wykrzyknął jakiś głos za nimi. Jack i Thorgil aż podskoczyli. Jeden ze stworów stał o wiele za blisko. - Kradną! To mi się podoba! Po tych wszystkich miłych rzeczach, które dla was zrobiliśmy! Przynosiliśmy wam jedzenie i odwracaliśmy uwagę Pani Lasu po drugiej stronie doliny.

- Olaf mówił, że są drażliwe - dodała Thorgil.

- Przepraszam - powiedział chłopak i uklonił się. - Nie chcieliśmy was obrazić. Jesteśmy wam bardzo wdzięczni za pomoc.

Stwór prychnął w odpowiedzi.

- Mógłbyś poprosić swoich towarzyszy, by puścili naszą przyjaciółkę? Jest bardzo zdenerwowana.

- Nic jej nie robimy. To przy was czuła się niechciana.

- No tak, za to też przepraszamy. Możecie nas do niej przepuścić? - spytał chłopak.

- Nikt was nie zatrzymuje. - Stwór uśmiechnął się szyderczo.

Jack i Thorgil podeszli do kręgu. Rozdzielił się, by ich przepuścić, a potem zamknął za nimi. Jack czuł na sobie spojrzenia setek żabich oczu. Poczł muśnięcia ich rąk, przypominające trzepot roju ciem.

- Nie rozumiem, czemu Pega się zdenerwowała - powiedziała Thorgil, wbijając łokieć w jakiś niewidoczny brzuch.

- O, Jack! Jack! - krzyknęła Pega, zarzucając mu ręce na szyję, gdy w końcu do niej podszedł. - Dlaczego tu są? Dlaczego na mnie patrzą? Co to takiego?

- Thorgil mówi, że koboldy.

- Niezupełnie. - Większy i mocniej cętkowany stwór stanął nagle obok Pegi, a ona zaczęła krzyczeć. - Koboldami nazywają nas w Niemczech. Tutaj jesteśmy znani jako hobgobliny. Niektórzy używają też określeń „skrzaty”, „fenoderee” i mojego ulubionego: „bugabu”.

- Jesteś bugabu? - spytała Pega słabym głosem.

- Moja pani, ja jestem Bugabu przez duże „B”, władca tego miejsca.

- A ja jestem jego Nemezis - dodał stwór, który rozmawiał wcześniej z Jackiem i Thorgil.

- Niech żyją Bugabu i jego Nemezis! - wykrzyknęły wszystkie pozostałe, tańcząc wkoło tak ekstatycznie, że raz po raz znikały z pola widzenia.

- Co to jest nemezis? - spytała Thorgil. Nie najlepiej przyjmowała nieustanne zainteresowanie hobgoblinów. Biła małe dłonie, które usiłowały dotknąć jej ubrania, włosów, skóry. W niczym to nie pomagało. Stwory tylko chichotały, by zaraz powrócić do przerwanej czynności.

- Każdy król musi mieć nemezis - powiedział Nemezis, wypinając pierś. - Nemezis mówi mu, kiedy popełnia błąd, wykazuje głupotę albo lenistwo. W przeciwnym razie król staje się zbyt dumny. U was tak nie jest?

- Zdaje się, że nasi królowie nie lubią krytyki - odparł Jack.

- Oczywiście, że nie lubią! Krytyka musi boleć. Inaczej na nic się nie zda.

- Nasi królowie - dodał Jack - zabijają ludzi, którzy budzą w nich gniew.

Zapadła pełna zdumienia cisza.

- Powiedział „zabijają”? - mruknął jeden ze stworów.

- Nie popieramy tego, ale tak się zdarza - powiedział chłopak.

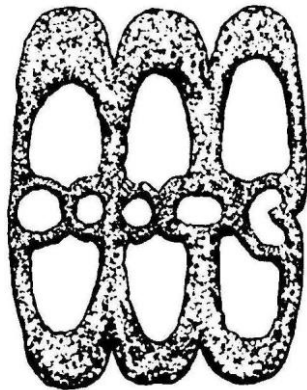
- Absolutnie obrzydliwe - stwierdził Nemezis, długimi palcami gładząc się po włosach. - Muszę przyznać, że mnie to nie dziwi. Ziemiści to dzikusy.

- Spokojnie. Nie powinniśmy być nieuprzejmi wobec naszych gości - zaprotestował Bugabu. - Jesteśmy zachwyceni, że ktoś nas odwiedził. W dolinie dzieje się tak niewiele, zwłaszcza od czasu tej okropnej lawiny. Musicie do nas wrócić na ucztę. Urządzamy je co wieczór.

- No i proszę, podlizuje się, jak zwykle - mruknął Nemezis. Ale dołączył do innych hobgoblinów, otaczających Jacka, Thorgil i Pegę na skałach w jasnym świetle księżyca.

## Rozdział 24

### Oświadczyzny



Szli dalej w otoczeniu tłumu hobgoblinów. Nie mieli szans się wyrwać. Kulili się z zimna, a ich oddechy zmieniały się w parę. Dotarli właśnie do ścieżki wysypanej okrągłymi, przezrzystymi kamieniami. W każdym z kamieni odbijał się księżyc, wyglądało to więc jak ścieżka z połyskujących wśród nocy kropel deszczu.

- Co to za czary? - spytała Thorgil, przystając. Wpadło na nią kilka hobgoblinów.
- Żadne tam czary. To księżycowe kamienie - wyjaśnił Bugabu.

Dziewczyna natychmiast ukłękła i podniosła kilka z nich. Ale w jej dłoniach rozpuściły się i zmieniły w wodę.

Jack usiłował sobie przypomnieć opowieści o hobgoblinach. Pamiętał, że gobliny (bez wątpienia z nimi spokrewnione) miały bardzo złą reputację, gdy chodziło o dzieci.

- Powinniśmy iść - zwrócił się do Bugabu. - Jesteśmy wam bardzo wdzięczni za zaproszenie, ale to ważna wyprawa i nie mamy czasu na odwiedzin.
- Bzdura. Macie mnóstwo czasu - odrzekł król hobgoblinów.
- Niestety nie. Mój ojciec został uwięziony. Zabiją go, jeśli nie wrócimy jak najszybciej.
- Spójrz na księżyc - powiedział Bugabu.

Księżyc w pełni świecił bardzo jasno. Wczoraj też był w pełni, pomyślał Jack z niepokojem.

Pod zaspanymi powiekami oczy Bugabu były duże i ciemne. Przeglądał się w nich księżyc, zupełnie jak w kamieniach.

- Wstaje tak noc po nocy, zawsze doskonały, a nigdy nadgryziony przez mole, jak w waszym świecie. Elfy nazywają go Srebrnym Jabłkiem.

- Ale jak... - zaczął Jack.

- Kiedy elfy zostały wyrzucone z Nieba, otrzymały moc wstrzymywania czasu. W Krainie Srebrnych Jabłek koło roku się nie obraca.

- To znaczy, że czas tu nie płynie? - spytała Pega. Tuliła się do Jacka, a uścisk jej dłoni na jego ramieniu nie zelżał, odkąd zaczęli iść.

- Zgadza się, moja mała kropło rosy - potwierdził Bugabu, dotykając jej podbródka. Ukryła twarz w piersi Jacka.

- Mniej gadania, więcej marszu - mruknął Nemezis.

Fala hobgoblinów parla naprzód, niosąc Jacka, Pegę i Thorgil z łatwością strumienia, unoszącego liście. Ścieżka wiła się między ogromnymi głazami, wiodąc pod górę. Kończyła się pod drzwiami w górskim zboczu.

- Mam złe przeczucia. W środku będziemy zdani na ich łaskę - powiedziała Thorgil.

- Może wszystko będzie w porządku - odparł niepewnie Jack.

- W końcu nas karmili.

- Chyba raczej tuczyl.

Bugabu zastukał w drzwi. Dał się słyszeć zgrzyt wielu zamków i szczęk licznych łańcuchów. Drzwi otworzył ponury hobgoblin z włócznią w ręce.

- Nareszcie! Kolacja spalona na popiół - mruknął.

- To mój syn - oznajmił z dumą Nemezis.

Dach i ściany okalające przejście pokryte były grzybami, które lśniły łagodnym blaskiem, w powietrzu zaś unosił się miły zapach ziemi. Jack zastanawiał się, czy grzyby są jadalne. Zdażył już bardzo zgłodnieć. Pewnie lepiej nie jeść czegoś, co świeci, stwierdził. Grzyby jednak pachniały bardzo smakowicie.

Doszli do drugich drzwi, które otworzył inny, jeszcze bardziej zrzędlivy hobgoblin.

- To mój drugi syn - powiedział Nemezis i zachichotał. - Wystarczy, że spojrzysz na mleko, żeby od razu skwaśniało.

Jack zatrzymał się, zdumiony sceną po drugiej stronie.

Ogromna jaskinia rozciągała się wokół jak okiem sięgnąć. W górze płonęły ognie, zawieszony w powietrzu niczym zagubione gwiazdy. Jack próbował rozpoznać, co to takiego, ale znajdowały się za daleko i za bardzo się zmieniały. Krzyknął ze zdumienia, gdy niektóre pomknęły w dół i zawisły nad przybyłym tłumem.

- Błędne ogniki - wyjaśnił król hobgoblinów. - Są bardzo ciekawskie.

Thorgil pogroziła im pięścią, a wtedy odleciały.

Ścieżka prowadziła w dół, ku szeregowi ładnych, krytych strzechą domków z otoczonymi płotem ogródkami. Hobgoblińskie kobiety w długich sukienkach krzątały się przy garnkach. Dzieci w kołyskach machały drobnymi rączkami. Stwory przędły wełnę, uprawiały ogródki, rąbały drewno, plotły koszyki - robiły to wszystko, co zwykle robią mieszkańcy ludzkich wiosek. Dla Jacka był to cudownie radosny widok. W oddali dostrzegał zwierzęta na pastwiskach. Wyglądało to jak cały świat, ukryty we wnętrzu góry.

Bugabu szedł naprzód, z dumnymi ukłonami odpowiadając na wiwaty poddanych. Idący za nim Nemezis nie ustawał w docinkach.

- Patrz na tych głupców - mówił. - Można by pomyśleć, że witają Pana Lasu. To jeden ze starych bogów, ale ty jesteś tylko hobgoblinem, który późno wstaje, a przez resztę czasu się objaja. Nigdy w życiu nie zrobiłeś niczego mądrego.

Jack wiedział, że rozzłościłby się, gdyby ktoś tak nieprzerwanie z niego szydził, ale Bugabu beztrąsko maszerował dalej. Wyglądało na to, że poddani naprawdę go lubią. Co jakiś czas ktoś krzyczał: - Dalej, Nemezis! Pokaż, co potrafisz! - A Nemezis kłaniał się w odpowiedzi. Było to bardzo dziwne plemię.

Tłum zaczął się rozchodzić, zmierzając do różnych domów, aż w końcu z dziećmi zostali tylko Bugabu i Nemezis. Dotarli do dużego budynku z podjazdem okolonym ziemnymi wałami, na których rosły grzyby. Najwyraźniej posadzono je celowo, tworzyły bowiem wzory w czerwieni, żółci, fiolecie i bieli.

Fala hobgoblinów wlała się na dziedziniec, witając się donośnie i podskakując z radości. Rosła kobieta złapała Nemezisa i pocałowała go głośno w oba policzki.

- Wróciłeś, stary łobuzie! Pewnie ani razu o mnie nie pomyślałeś - powiedziała.

- A po co? To była ulga, że mogłem się stąd wyrwać - odrzekł Nemezis, także ją całując. Wyciągnął z kieszeni mały bukietek fiołków.

- Pewnie się połamały - stwierdziła, wachając kwiatki.

- Mam nadzieję - odpowiedział jej mąż, choć zdaniem Jacka bukietek wyglądał zupełnie dobrze.

Starsza kobieta podbiegła do Bugabu.

- Nie wpadłeś w żadne kłopoty, co, Buguśku? - spytała.

- Nie, Mamciu! Pan Lasu jest przewidywalny jak wschód księżyca. Był zajęty, bo kierował korzenie na osuwisko.

Mamcia zauważyła nagle Pegę.

- Już wiem, dlaczego tak się spóźniłeś! - wykrzyknęła. Chwyła Pęgę w entuzjastycznym

uścisku, z którego dziewczyna próbowała się wyrwać.

- Dzielna z ciebie dziewczyna, co? Chodź ze mną. Zdejmiemy z ciebie te szmaty i przebierzemy cię w coś ładnego.

- Jack! - zawyła Pega, wyrywając się rozpaczliwie.

- Proszę - zwrócił się chłopak do króla hobgoblinów. - Ona się boi.

- Czyżby mój leśny kwiatusek był nieśmiały? - zagruchał czule Bugabu, wyswobadzając ją z ramion swojej matki. - Czyżby był jak nieopierzone pisklę, które wygląda poza krawędź gniazda?

- Nie jestem kwiatem! Ani głupim ptakiem! Dusisz mnie! - krzyknęła dziewczyna.

Król odstawił ją na ziemię i cofnął się z szerokim uśmiechem. Jack zauważył, że hobgoblino potrafią się uśmiechać naprawdę szeroko. Pega natychmiast podbiegła i objęła chłopca ramionami tak mocno, że ledwo mógł oddychać.

- Widzę, że okazałem się nieuprzejmy - powiedział Bugabu, kłaniając się dostojnie. - Nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś jej bratem. Nigdy nie skojarzyłbym takiej urody z... no cóż, wy, ziemiści, nic nie poradzicie na swój wygląd. Najpierw powinienem poprosić cię o zgodę. Drogi chłopcze... nazywasz się Jack, tak? Drogi Jacku, czy uczynisz mi ten zaszczyt i pozwolisz zabiegać o względy twojej cudnej siostry w nadziei, że zechce mi oddać rękę i wziąć ze mną ślub?

- Ślub? - wykrzyknęła Pega.

Jack wodził wzrokiem od jednej twarzy do drugiej. Wszyscy się uśmiechali i wydawali ciche, zachęcające pomruki.

- Hmm... eee... - zająknął się Jack, a przez jego głowę przelatywały setki myśli.

Pega opadła na ziemię i załżała się łzami, jakby miało jej pęknąć serce. Pomruki natychmiast umilkły. Grupa błędnych ogników opadła w dół, by popatrzeć.

- Myślałam - wyjąkała pomiędzy spazmami szloch - myślałam, że sobie z tym poradzę. Całe życie bałam się spojrzeć w strumień i zobaczyć swoją twarz. Widziałam, jak wszyscy się odwracają i spluwają na mój widok. Żaden pan nie trzymał mnie, gdy jego żona zaszła w ciążę, ze strachu, że zaszkożę dziecku. Próbowałam się nie przejmować. Modliłam się by to zrozumieć. Dlaczego? Za co obarczono mnie taką szpetotą? Co zrobiłam, że na to zasłużyłam?

Zakołysała się w przód i w tył. Nikt nawet nie drgnął. Jack, Thorgil, hobgoblino, a nawet błędne ogniki wydawały się sparaliżowane jej smutkiem.

- Brat Aiden powiedział mi, że mam piękną duszę i że w Niebie będę lśniła jak gwiazda o poranku. A potem Jack mnie wyzwolił i nie byłam już niewolnicą. - Podniosła wzrok, a na jej

plamistej twarzy pojawił się wyraz uwielbienia. - Poprzysięgam służyć mu do końca swoich dni i nigdy, przenigdy nie uzalać się już nad sobą, ale nawet mi się nie śniło o takim okrucieństwie! Nie jestem kwiatem. Nie jestem pisklęciem. Nikt nie chciałby się ze mną ożenić, chyba że dla żartu.

Bugabu przypadł do ziemi obok niej i próbował złapać ją za rękę. Odepchnęła go.

- Proszę, nie płacz, mój mały muchomorku. Nie chodziło mi o żart. Nie mam nawet poczucia humoru.

- Ma rację. Z jego kawałów nawet kawka by się nie zaśmiała - odezwał się Nemezis.

- Najpierw przyciągnął mnie twój głos - powiedział Bugabu. - Myślałem, że to Królowa Elfów wkroczyła na naszą ziemię i wyszedłem, żeby... hmm, no, nieważne, co chciałem zrobić. Nigdy nie dogadywaliśmy się z elfami. Ale kiedy zobaczyłem twoją twarz, zakochałem się od pierwszego wejrzenia. „To przez księżyc”, powiedziałem sobie. „W świetle dnia będzie wyglądała jak każda inna ziemista”. Ale słońce ukazało tylko więcej piękna.

Pega podniosła wzrok. Twarz miała mokrą od łez i wytarła nos rękawem. Drżała z emocji.

- Przez cały ten czas mnie szpiegowałeś?

- Tak! A któż by tego nie robił? - wykrzyknął Bugabu.

Roześmiała się słabo.

- Pewnie... dla ciebie... wyglądam dość atrakcyjnie.

Król hobgoblinów uśmiechnął się, rozciągając gumowate usta najszerzej, jak się dało. Jego plamiste oblicze promieniało radością.

- O, Panie - powiedziała Pega, znów spuszczać wzrok.

Jack doszedł do wniosku, że pora się wtrącić.

- Może nie jestem jej bratem - odezwał się - ale z całą pewnością jestem jej opiekunem. W naszej krainie zabieganie o względy kobiety to powolny proces. Pani potrzebuje czasu, by przyzwyczać się do zalotnika. - Jack wiedział, że w rzeczywistości jest inaczej, ale słyszał o tym w opowieściach.

- Małżeństwo to pułapka - wtrąciła Thorgil. - Jeśli dziewczyna da się w nie wpuścić, traci wszystko. Traci słodką radość bitwy i zmagania się ze sztormami w poszukiwaniu dobrego łupu. Spędza większą część życia na okropnych czynnościach: gotowaniu, tkaniu, szyciu, sprzątaniu, i jeszcze cały czas musi się uganiać za cuchnącymi bachorami. Nie ma w tym ani krzty honoru. Musimy porozmawiać, Pego.

Wszystkie oczy zwróciły się na córę miecza. W końcu Bugabu powiedział:

- Pan Lasu powinien być ją zabrać... Wiem, jak należy starać się o rękę. Wybacz moją porywczosć, mój drogi wodorosie. - Wziął Pegę za rękę, a ona była zbyt oszołomiona, by go odepchnąć. - Poczekam na ciebie tak długo, jak będzie trzeba. Choćby nawet do końca życia.

Wszystkie obecne kobiety zagruchały z zachwytem, a niektóre zaczęły ukradkiem ocierać oczy. Pega wydawała się po prostu smutna.

- A teraz pora na kolację - zawołał Bugabu przy wtórze wiwatów i braw.

- Nareszcie - mruknął Nemezis.

Hobgobliny zaczęły się krzątać, ustawiając stoły i wyciągając talerze, noże i łyżki. Rozstawiły kubki, które wyglądały jak zrobione z żółędzi, spłaszczonych na spodzie, by się nie przewracały. Jack podniósł jeden z nich i uważnie obejrzał.

- Z własnego dębu Pana Lasu - wyjaśniła Mamcia.

- Bez jego wiedzy, ma się rozumieć - dodał Bugabu.

- Ciagle mówicie o Panu Lasu - powiedział Jack. - Kto to taki?

- Jeden ze starych bogów - odparł król hobgoblinów. - Był tu pierwszy, wraz z Księżycowym Człowiekiem, Dzikim Łowcą i gnomami.

- Nienawidzi ludzi za to, że zabijają mu dzieci - dodała Mamcia. Wyglądała bardzo poważnie i Jack zrozumiał, że nie jest tylko śmiesznym stworem, na jakiego wygląda, lecz osobą, która kryje w sobie głębię.

- Dzieci? - powtórzył chłopak.

- Drzewa, trawę, mech, a także zwierzęta i ptaki. Pan Lasu włada światem zieleni. Wobec tych, którzy krzywdzą jego poddanych, czuje bezbrzeżną nienawiść. Dlatego próbował zabrać twoją przyjaciółkę Thorgil.

- Co takiego? Co mówicie? - spytała Thorgil, która nagle się obudziła.

- Zabiłaś jelonka, który ci ufał - odrzekła matka Bugabu, w najmniejszym stopniu nie zważając na gniew młodej wojowniczkę. - Nikt nie poluje na stworzenia Pana Lasu w sercu jego królestwa, nawet my. To, co zwierzęta robią sobie nawzajem, jest zgodne z jego prawem. Jelonek umknąłby przed wilkiem, ale nie przed tobą. Po takim akcie zdrady zatrzęsło całym lasem. Zwierzęta stały się nieco mniej ufne. To było jak atak na władztwo Pana Lasu.

- Wiedzieliście, że Thorgil grozi niebezpieczeństwo, i zostawiliście ją na śmierć? - Jack zaczynał już lubić hobgobliny, ale nie pomóc bezbronnej osobie, którą zaraz pochłonie mech... to było barbarzyństwo.

- Zasłużyła na swój los. - W oczach Mamci, przypominających głębokie ciemne stawy, nie było ani śladu żalu.

- Uratowaliśmy tego drugiego - powiedział Bugabu, chcąc być może złagodzić ponurą



atmosferę, która przytłoczyła nastrój święta.

- Oto zdumiewający przykład twojej głupoty - stwierdził Nemezis. - Pnącza ciągnęły go do rzeki. Należało mu się, za to, że próbował wyciąć sobie przez nie drogę. A jak nam podziękował? Poskarżył się, że byliśmy zbyt brutalni.

- Zaraz - odezwał się Jack, bo przysłała mu do głowy radosna myśl. - Czy on przypadkiem nie nazywa się Brutus?

- Widzę, że go znacie - powiedział Nemezis.

- Czy znamy? - Pega pierwszy raz przerwała swoje smętne milczenie. - To mój przyjaciel.

- Ojej! Szkoda, że go nie zatrzymaliśmy - odrzekł Bugabu.

- Co mu zrobiliście?

- Nic złego - odparł pospiesznie król hobgoblinów, próbując objąć ją ramieniem. Wywineła się.

Nemezis parsknął złośliwym śmiechem.

- Daliśmy mu to, czego chciał. Zawsze powtarzam, że trzeba uważać, o co się prosi. Nie był w najmniejszym stopniu wdzięczny. „O, nie, nie, nie. Brutusowi się to nie podoba” - powiedział, w bardzo wiarygodny sposób naśladowując głos niewolnika.

- Wyrządziliście mu krzywdę - powiedział Jack oskarżycielskim tonem, zrywając się na nogi. Narzekania i ciągle pogwizdywanie Brutusa doprowadzały go do szału, ale nie chciał, by spotkała go krzywda.

- Nieprawda! Uratowaliśmy mu życie! - wykrzyknął Bugabu.

- To ja go odesłałem - pochwalił się Nemezis. - Jego Królewska Głupota chciał mu udzielić gościny, ale w końcu to ja muszę dbać o porządek w królestwie. Widać było, jakie wywoła zamieszanie. To potomek Lancelota, a każdy mężczyzna z tego rodu wie, jak rzucić urok na kobietę.

- Proszę, powiedzcie nam, gdzie on jest. - Jack zobaczył, że Bugabu zerka na Nemezisa, a ten kręci głową.

- Chciał wyjść, więc go odprowadziłem. Niebo jedno wie, dokąd trafił.

- Jedzenie się zepsuje, jeśli będziemy dłużej czekać - wtrąciła Mamcia. Dała swoim pomocnikom sygnał, by przynieśli potrawy. Jack chciał zaprotestować, ale był niezmiernie głodny. Wydawało się, że Pega lada chwila zemdleje.

Kolacja okazała się lepsza, niż się spodziewał. Kremowa zupa z soczewicy i kromki chleba, doprawionego koprem. Wokół stołu podawano pieczoną nad ogniem rzepę w wonnym, roztopionym maśle i duże gomółki sera. Uwagę zwracały grzyby. Duszone, smażone, marynowane, zapiekane - ich różnorodność zdawała się nie mieć końca. Jack nie

wiedział, że istnieje aż tyle rodzajów jadalnych grzybów.

- Czy to na pewno... - zaczął, gdy fioletowy kapelusz wylądował na jego talerzu niczym duży stek.

- Co czy na pewno? Czy to na pewno smaczne? Tak! - powiedział Bugabu, wgrzyzając się w swój grzyb.

- Ziemiści zawsze boją się naszych grzybów - zauważył Nemezis. - Chociaż - dodał - pomyłki się zdarzały.

Jack pociągał napój z wielkiego żołądźcia. Miał lekki posmak sosnowych igieł, ale była to chyba woda. Wyjątkowo świeża. I zimna, co było pożądane na dziedzińcu otoczonym wieloma pochodniami. Nie przyprawiała go o senność, czuł jednak, że jego myśli wolniej krążą. Zaczął się przyglądać kubkowi z żołądźcia. Był bardzo ładny, w barwie jasnego brązu, w którym można było zatopić wzrok, docierając do samego serca.

- Chyba masz już dość - powiedziała Mamcia, odbierając mu naczynie. Jack z zaskoczeniem stwierdził, że leży twarzą w fioletowym grzybie. Wyprostował się i błędnym wzrokiem popatrzył dookoła. Z brody kapał mu grzybowy sok.

- Ha! Nie może znieść wody! - zapał Nemezis.

- Spokojnie. Ziemiści... przepraszam, ludzie... często mają z tym kłopot - stwierdził Bugabu. Nakazał ponownie napełnić kubek Jacka. - Lepiej napij się zwykłej wody z jaskini - powiedział uprzejmie.

Jack spróbował. Była wapienna i niezbyt smaczna, ale najwyraźniej nie wprawiała go w trans.

- Tamta to miał być przysmak - wyjaśniła Mamcia. - Czerpiemy ją z własnego stawu Pana Lasu, oczywiście wtedy, gdy jest zajęty gdzie indziej. Pozwala myśleć długo i powoli, w rytmie drzew. To dość miłe, przypomina wakacje.

- Nie będę piła niczego, co pochodzi od Pana Lasu - oznajmiła Thorgil, odsuwając od siebie naczynie. Jej twarz pobladła i Jack domyślił się, że dziewczyna przypomniała sobie mech.

- Łatwo temu zaradzić - odrzekł król hobgoblinów. Kazał nalać obu dziewczynom wody z jaskini. Jack zauważył, że niektóre stwory przy stole wpatrują się w nich i uśmiechają półgębkiem (półgębkiem - jak na hobgobliny).

- Niemądrze pić coś, co czyni cię bezbronny - zauważyła Thorgil, także na nich spoglądając. - Wrogowie mogą się do ciebie podkraść.

Bugabu z rozbawieniem zastrzygł uszami.

- Wielkie nieba! My nie mamy wrogów.

- Każdy ma - odparła młoda wojowniczką.

- Nie my. Wszędzie jesteśmy lubiani.

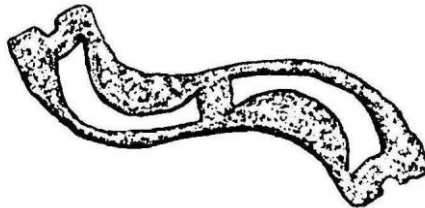
- Więc dlaczego stawiacie wartowników? - nie ustępowała. - Dlaczego macie tyle zamków w drzwiach? I dlaczego bawicie się w niewidzialność?

Śmiech ucichł. Pochodnie na skraju dziedzińca płonęły jasnym blaskiem, a kilka błędnych ogników sfrunęło niżej, by zbadać przyczynę nagłej ciszy.

- Z powodu elfów - powiedział Bugabu.

## Rozdział 25

### Omlet z żabiego skrzeku



- Elfy kradną nasze dzieci - wyjaśnił król. - Musicie zrozumieć, że życie elfów skupia się na przyjemnościach. Nie umieją znieść choćby minuty bez rozrywek i muszą wymyślać wciąż nowe zabawy, bo bardzo łatwo się nudzą. Kiedyś, dawno temu, stwierdziły, że zabawnie będzie podmieniać nasze dzieci na ludzkie. Zdaje się, że wy nazywacie nasze maluchy odmieńcami.

Jack przypomniał sobie, jak bard o tym mówił. „Podmienione dzieci”, stwierdził starzec, „zawsze się boją, bo wyrwano je z miejsca, do którego należą. Mają napady wściekłości i krzyczą, doprowadzając wszystkich do szału”. No i co w tym dziwnego? - pomyślał chłopak. Gdyby ludzkie dziecko ocknęło się nagle w otoczeniu hobgoblinów, oszalałoby ze strachu. Odwrotne doświadczenie musi być równie przerażające.

- Czy elfy oddają wam nasze dzieci? - spytał.

Bugabu westchnął głęboko, a wśród hobgoblińskich kobiet poniósł się pomruk. Brzmiało to jak stado gołębi, które cicho ze sobą rozmawiają.

- Z ludzkich dzieci robią sobie zwierzątka domowe. Uważają, że to szykowne, prowadzić takiego malucha na smyczy. Nieraz przebierają je w śmieszne kostiumy albo uczą sztuczek. Dzieci są mądrzejsze od psów, ale nie tak wytrzymałe. W końcu wpadają w rozpacz. To skutek braku miłości. Kiedy dziecko przestaje dostarczać rozrywki, zostawiają je w lesie, by zajęły się nim wilki.

- To straszne! - jęknęła Pega.

- Kiedyś mój ojciec zostawił mnie wilkom - wtrąciła Thorgil.

- Nie dziwię się - odrzekł Bugabu. - Najbardziej smutnym wydarzeniem w naszym życiu jest utrata młodych. Nie ma tu rodziny, która nie straciłaby jednego czy dwóch maluchów.

Próbujemy zagradzać tunele. Stawiamy warty i zakładamy pułapki, ale elfy zawsze znajdują jakąś drogę.

Hobgobliny miały irytujący zwyczaj mrugania oczami każdym z osobna, a nie oboma naraz, tak jak ludzie. Kiedy były zdenerwowane, tak jak teraz Bugabu, mrugały nie tylko szybko, ale i nieregularnie. Jack czuł zawroty głowy od samego patrzenia.

Coś dręczyło jego umysł. Coś ważnego, o czym powinien pamiętać. Ale ciepło, suty posiłek, a może i skutki wody Pana Lasu przytępiły mu rozum. Był przy tym potwornie zmęczony. Pega przysypiała i nawet Thorgil musiała potrząsać głową, próbując zachować czujność.

Na deser podano wielkie, parujące ciasto, zawinięte w tkaninę. Jack jak przez mgłę pamiętał, że zjadł kawałek. To, co wziął za śliwki, okazało się fioletowymi grzybami.

Po kolacji stwory zaczęły sprzątać ze stołów. Jack patrzył w swoistym oszołomieniu. Wiedział, że grzecznie byłoby pomóc, ale chciało mu się tylko spać. Wkrótce grupka młodych hobgoblinów odprowadziła go w jedną stronę, a Pegę i Thorgil - w drugą.

Miejscami do spania okazały się wydrążenia w ziemnym podłożu niewielkiej bocznej grotki. Powiedziano mu, że jest jedna grotka dla chłopców, a druga dla dziewcząt. Dorośli spali we własnych domach wraz z małymi dziećmi. Zagłębienia wyłożono najbardziej miękką wełną, jaką można sobie wyobrazić, a młodzi kulili się w nich jak króliki.

Jack przekonał się, że nie może wyprostować nóg, nie wystawiając ich poza krawędź, to był jednak jedynie drobny problem. Odczuwał takie zmęczenie, że zasnąłby nawet na posłaniu z pokrzyw. Chrapanie wypełniło grotkę niczym rechot żab latem w stawie. Wełna mocno pachniała grzybami i zapewne hobgoblinami.

Jack usiadł i potarł oczy. Wokół niego skakały olbrzymie żaby, kumkając tak, jak mają w zwyczaju żaby, kiedy są szczęśliwe. Po chwili zobaczył, że to młode hobgobliny. Pod sklepieniem jaskini unosił się rząd błędnych ogników.

- Już rano! Już rano! - wykrzyknął jeden z młodych, lądując przy posłaniu Jacka. - Pora śpiewać, tańczyć i hulać!

Jack wypelzł ze swojego gniazda. Bolała go głowa i nie miał nastroju do tańca. Hobgobliny podskakiwały, by go zachęcić, przyprawiając go o zawroty głowy.

Kiedy wstał na nogi, od razu znalazł się w centrum zainteresowania. Poklepywano go i dźgano lepkimi palcami. W końcu miał ochotę przyłożyć następnemu stworowi, który go dotknie.

- Gdzie moja laska? - spytał, przeszukując podłoże przy zagłębieniu. Bezustanne noszenie

jej przy sobie stało się jego drugą naturą. Była to najważniejsza rzecz, jaką posiadał. Wiedział, że miał ją przy sobie, gdy kładł się spać. - Gdzie moja łaska?! - powtórzył.

Zamiast odpowiedzieć, złapały go za ręce i nogi, po czym poniosły w serii podnieconych podskoków.

- Śpiewać, tańczyć i hulać! - krzyczały.

Jack szarpał się, próbując się wyrwać, ich ręce jednak okazały się zaskakująco silne.

- Puśćcie! - wrzasnął.

- Ziemiści muszą się zabawić - powiedział mu jeden ze stworów. - Są o wiele zbyt posepmni i ciągle mówią o grzechu. Powinni cieszyć się życiem!

- Śpiewać, tańczyć i hulać! - zaćwierkała reszta.

- Zostawcie mnie!

W oddali rozbrzmiało granie rogu. Nie był to ekscytujący dźwięk rogu myśliwskiego, na którym grał czasem John Grotnik, lecz nieprzyjemny, natarczywy hałas.

- Śniadanie! - wykrzyknęły młode hobgobliny. Wybiegły z jaskini, niosąc chłopaka. Róg zagrał znowu. Stoły zastawiono już parującymi talerzami. Thorgil i Pega były już na miejscu, rozczochrane i ponure. Na dachu domu Bugabu jeden z hobgoblinów nadymał się jak żaba. Wypuszczał powietrze przez nozdrza, które mógł zaciskać i otwierać, kiedy tylko zechciał. To właśnie z nich dobywał się nieprzyjemny dźwięk, który słyszał Jack.

- Wiesz, co ci spryciarze zrobili w nocy? - powiedziała gniewnie Thorgil. - Ukradli mi nóż! Oooch, coś musiało być w tym jedzeniu. W uszach mi dzwoni, jakby tuzin wojowników walczyło na miecze.

Jack też czuł się dziwnie. Grota lekko się kołysała, gdy usiłował skupić wzrok.

- Mnie zabrali łaskę.

- To dowodzi ich złych zamiarów. Mówiłam ci, że mam złe przeczucia, że znajdziemy się tu w pułapce. Chcą nas utuczyć.

- Mojej świecy nie wzięli - stwierdziła Pega, unosząc woreczek, który nosiła przy sobie.

- A po co mieliby ją zabierać? - powiedziała Thorgil. - Świecą nikomu nie obetniesz głowy.

- Nie sądzę, żeby chcieli zrobić nam krzywdę - upierała się Pega. - W końcu wypuścili Brutusa.

- To ich wersja. Równie dobrze mogli go ogryźć do kości. - Córa miecza potoczyła wojowniczym spojrzeniem po hordach hobgoblinów, które zebrały się na śniadanie. Pohukiwali i stukali w stoły, czekając na jedzenie. W tym momencie pojawili się Bugabu i Nemezis.

- Co za piękny poranek, moja kroplo rosy! - wykrzyknął Bugabu i usiadł obok Pegi.  
- Skoro tak mówisz. - Przsunęła się do Thorgil.  
- Tak właśnie mówię. Nawet to powtórzę. Co za piękny, cudowny poranek!  
- Kiedy tak mówi, wiadomo, że przed zachodem słońca będzie lało jak z cebra - powiedział Nemezis.

Mamcia i żona Nemezisa przyszły z tacami i zostały powitane radosnymi okrzykami.

- Szykuje się pyszne śniadanko - oznajmił Bugabu. - Mamcia przygotowała swoją specjalność. Omlet z żabiego skrzeku.

- Huraaa! - wrzasnęły hobgobliny, tupiąc nogami.

Thorgil zakryła uszy dłońmi.

- Omlet z żabiego skrzeku? - mruknęła Pega.

- Z najświeższych jajeczek - dodał król, wkładając sobie na talerz drgający, zielony placek.

- Będziecie po tym skakać, słowo daję. Rozumiecie? Cha, cha? Żaby? Będziecie skakać?

- Rozumiem - odrzekł Jack. Miał kłopot ze skupieniem wzroku.

- No ale się nie śmiejesz. Wy, ziemiści, nie macie poczucia humoru.

- Nie chce mi się śmiać - stwierdził Jack, który zaczynał tracić cierpliwość. Nieustanny hałas działał mu na nerwy i było mu niedobrze. - Mówiłem wam, że mam ważną misję do wypełnienia. Pani Jeziora uciekła z wodą z Bebba's Town. Naszym zadaniem... jednym z naszych zadań jest sprowadzenie jej z powrotem.

- Te same rzewne historyjki opowiadał Brutus. Akurat mnie to obchodzi - powiedział Nemezis z drwiną w głosie.

- Nie rozumiesz! Mój ojciec został zakładnikiem. Zabiją go, jeśli nie przywrócimy wody. Oj, dlaczego nie chcecie mnie słuchać! - Rozmowy przy stole umilkły. Wszyscy odwrócili się w stronę Jacka, a Pega cofnęła rękę, którą Bugabu próbował trzymać. Jack wstał i uklonił mu się. - Jesteśmy wdzięczni za gościnę, ale nie możemy zostać.

- Nie mów głupstw. Dopiero przybyliście - odparł król hobgoblinów. - Zaplanowaliśmy mnóstwo rzeczy, żeby was zabawić: festyn grzybowy, strzyżenie pstrokatych owiec, zawody w skakaniu, występy wesołków. Ani nam w głowie was wypuścić.

- A nam ani w głowie zostać. Jeszcze jedno: gdzie moja laska i nóż Thorgil? Mieliśmy je wieczorem, a wy je zabraliście! - Chłopak już nawet nie próbował być uprzejmy.

Hobgobliny nadeły się i zaczęły syczeć jak rozgniewane koty.

- Oskarżasz nas o kradzież? Nas? Swoich dobroczyńców? - zaskrzeczał Nemezis, podskakując na swojej ławie.

- Niezupełnie - odparł Jack, zaniepokojony gniewem, jaki wywołał. - Może tylko je pożyczyliście.

- Już raz mówiłem i jeszcze powtórzę: tutaj czas nie płynie - warknął Bugabu. - To Kraina Srebrnych Jabłek. My, szczęśliwe istoty, żyjące w obrębie jej granic, nie starzejemy się, o ile nie zapuścimy się do Midgardu. Kiedy nas opuścicie... jeśli nas opuścicie, możecie wejść w strumień życia dokładnie w miejscu, w którym z niego wyszliście. Wtedy będziecie mogli kontynuować swoją misję. A teraz przeproście Mamcią. Przez te wasze obelgi źle się poczuła.

Jack osłupiał. Rozumiał już, że zostali więźniami. Wyobrażał sobie, że spędzi tu z dziewczętami całe miesiące, jeśli nie lata. Czy dorosną? Czy to w ogóle było możliwe?

- Czekam - powiedział Bugabu, tupiąc nogą.

Jack powstrzymał potok gniewnych słów, które cisnęły mu się na usta. Byli uwięzieni w tej jaskini bez broni i bez sojuszników, a jedyną szansą na ucieczkę było utrzymanie przyjaznych relacji z hobgoblinami. W jakiś sposób, jeśli będą mieli czas - a tego nam nie zabraknie, pomyślał Jack z goryczą - mogą znaleźć wyjście, z którego skorzystał Brutus.

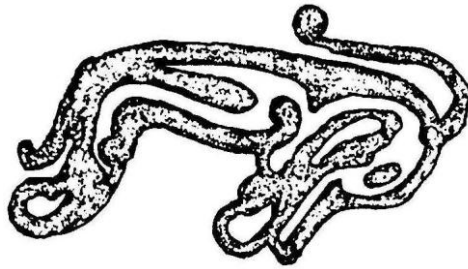
- Oczywiście, przepraszam, Mamciu - powiedział, bezsilnie zaciskając pięści. - Nie chciałem zranić twoich uczuć. Ten omlet z żabiego skrzeku jest wyśmienity.

- Tego już za wiele - mruknęła Thorgil, Mamcia jednak uśmiechnęła się, a przy stołach znów zapanował dobry nastrój.



## Rozdział 26

### Maelstrom



Jack, Thorgil i Pega wlekli się noga za nogą, pogrążeni w różnych stadiach przygnębienia. Przez kilka tygodni zwiedzali jaskinię, zawsze w towarzystwie grupy młodych hobgoblinów. W pewnym stopniu cieszyli się wolnością, ale nigdy nie zostawali zupełnie sami. Częste napady gniewu Thorgil sprawiały, że tamci starali się trzymać poza zasięgiem jej pięści.

Chmary błędnych ogników wypełniały górną część jaskini, więc wewnątrz góry było niemal równie jasno, jak w dzień. Ale nie do końca. Temu światłu czegoś brakowało. Jack wyczuwał to, choć nie wiedział, o co dokładnie chodzi. Nie rosły tu żadne rośliny liściaste, ani trawa, ani nawet mech. Hobgobliny i ludzie przemierzali rozległe pola grzybów. Niektóre były wysokie niczym drzewa, a u ich podstawy gromadziła się ciemność. Nawet cienie wyglądały nie tak, jak trzeba. Ciągłe się zmieniały pod wpływem ruchów błędnych ogników.

Grzyby miały wszelkie możliwe kształty i kolory. Wypełniały powietrze wilgotną, zatechłą wonią, która przytłaczała Jacka. Nauczył się, dzięki wskazówkom Pegi, nie jeść określonych grzybów. Te w czerwone kropki wywoływały koszmary, a okrągłe i fioletowe, które z początku wziął za śliwki, przytępiały zmysły. Bugabu ostrzegał ją przed trującymi grzybami, gdy o tym pamiętał, i był nadzwyczaj skruszony, jeśli akurat zapomniał.

- Ludzie i hobgobliny nie jedzą dokładnie tego samego - wyjaśnił. - My, na przykład, nigdy nie tkniemy pasternaku. Po jednym kęsie swędzi nas przez tydzień.

Nagle coś uderzyło Jacka w brzuch. Zwinął się na ziemi, z trudem łapiąc dech.

- Co to było? - wykrzyknęła Thorgil, sięgając po nóż, ale go nie znajdując. - Na Thora, bez broni czuję się naga! - Zaczęła zrywać grzyby i rzucać nimi w niewidocznego

przeciwnika.

- To pstrokate owce! - zawołał jeden z młodych hobgoblinów. - Rozglądajcie się za cieniami, których nie powinno być.

Pega przyklekła obok Jacka.

- Zaraz poczujesz się lepiej - powiedziała cicho. - Wiem, jakie to przykre, kiedy po uderzeniu tracisz dech.

- Gdzie te przekłete bestie? - spytała Thorgil.

- Nie... cierpię... owiec - wydyszał Jack, trzymając się za obolały brzuch. Zajęło mu to kilka minut, w końcu jednak dostrzegł zawieszone w powietrzu smugi. - Po co trzymać zwierzęta, których nie widać? - zdziwił się.

- Chodzi o pstrokatą wełnę - wyjaśnił hobgoblin. - Ukrywa nas, kiedy wychodzimy na zewnętrzny świat. Powinniście zobaczyć płaszcze, które robimy... a raczej powinniście ich nie zobaczyć. - Młodzieniec zarechotał serdecznie z własnego żartu. Odskoczył od grupy płam, która podkradała się w jego stronę.

Gdy ból Jacka minął, ruszyli dalej. Znaleźli się teraz w najgłębszej części jaskini, z dala od wszystkich miejsc zamieszkałych przez hobgoblina. Na wszystkie strony rozchodziły się boczne korytarze. Zbadanie ich może zająć całe lata, pomyślał ponuro Jack, i kto wie, jakie stwory czają się w ciemnościach?

Minęli słupy z piaskowca, które lśniły niesamowitym blaskiem w świetle błędnych ogników. Robaczki świętojańskie wisiały na połyskujących niciach. Olbrzymie jaskiniowe pająki uciekały w cień.

- Przypominają mi się pukacze - powiedziała Pega i zadrzała.

- Zlikwidowaliśmy większość pukaczy - odezwały się młode hobgoblina. - Obowiązuje zasada, że jeśli błędny ognek nie chce wlecieć do jakiegoś tunelu, też lepiej trzymać się od niego z daleka.

W końcu dotarli do czarnego jeziora, wypełniającego najdalszy kraniec jaskini. Nie było tu grzybów ani żadnej innej formy życia, a błędne ogniki nie chciały się zapuszczać nad ciemną wodę. Jezioro niknęło w narastającym mroku. Jack czuł do niego instynktowną niechęć.

- Wolabym nie żeglować po tej wodzie - stwierdziła Thorgil.

- Bugabu myślał, że ci się spodoba - zwrócił się młody hobgoblin do Pegi, wskazując wystającą nad jezioro, kryształową półkę. Była przejrzysta niczym szkło i nie grubsza od lodowej kry.

- Robi wrażenie - powiedziała niepewnie Pega. Jack wiedział, że odczuwa taki sam

niepokój, jak on.

- Wejdz na nią - zaproponował jeden z młodych.

- Nie, dziękuję - odparła Pega.

- To bezpieczne, o ile nie zaczniesz skakać. - Stwór podreptał na półkę i z powrotem. Z każdym jego krokiem półka wydawała inny dźwięk. Woda zadrgała w odpowiedzi. Powstały fale, które ułożyły się w linie, rozchodzące się niczym szprychy koła.

- To piękne! - powiedziała dziewczyna.

- Można uzyskać najróżniejsze wzory, chodząc w różne strony - oznajmił hobgoblin. Pega jednak wciąż się wahała.

Thorgil, która gardziła ostrożnością, wkroczyła na półkę i tupnęła nogą.

- Nie! - wrzasnęły hobgoblino, biegnąc ku skałom. W jaskini zagrzmiął pojedynczy dźwięk. Stawał się coraz głośniejszy. Woda zafalowała, a jezioro zapadło się pośrodku i całe zaczęło się obracać.

- Wracaj! - krzyknął Jack. Thorgil stała na półce, podczas gdy spienione fale sięgały jej butów.

- To *maelstrom!* - zawołała ze śmiechem.

- Zejdz stamtąd! - Jack podbiegł do kryształowej półki i odciągnął ją w tył. Teraz wir, czy też *maelstrom*, jak nazwała go Thorgil, osiągnął swoje apogeum. Ryczał jak rozwścieczone zwierzę, kręcąc się bez ustanku, podczas gdy czarna dziura pośrodku stawała się coraz głębsza. Jack nie mógł do niej zajrzeć. I nie chciał. Był zbyt zajęty wspinaniem się na skały i podtrzymywaniem Pegi, by i ona mogła wejść wyżej. Przycupnięte na skałach hobgoblino bełkotały coś z przerażeniem.

A potem woda stopniowo się uspokoiła. Ryk ucichł, a zięjący w jeziorze otwór zniknął. Tylko niewielkie zmarszczki na powierzchni wskazywały, gdzie był wir.

- Na dziewięć morskich wiedźm, to dopiero była przygoda! - wykrzyknęła Thorgil z zapalem. - Źle mi w tej jaskini. Nic się nie dzieje. Każdy dzień wygląda jak poprzedni, cały czas słyszę te same czerstwe dowcipy.

Jack musiał się z nią zgodzić. Łatwo było wpaść w niekończącą się rutynę, która przytępiała umysł w nie mniejszym stopniu niż grzyby, których uczył się unikać.

Młode hobgoblino zaczęły się tłoczyć wokół dziewczyny i załamywać ręce.

- Nigdy nie tup w kryształ. O, nie, nie, nie - jęknął jeden z nich. - My tylko lekko w niego stukamy, żeby zobaczyć piękne fale. Nie wolno tupać. Nigdy.

Teraz, gdy jezioro znów się uspokoiło, hobgoblino poszły się pobawić. Pukały w kryształową półkę i gładziły ją, tworząc piękne muzyczne kaskady. Był to wspaniały koncert,

dopóki nie zepsuły go śpiewem. Nadymały się jak tamten osobnik, który wzywał na śniadanie, i wydawały z siebie potworne, zawodzące dźwięki.

Jack, Thorgil i Pega cofnęły się za ścianę z piaskowca, która w pewnym stopniu odcięła ich od tej kakofonii. Pega zadrżała.

- Bugabu nazywa ich muzykę zawodzeniem. Moim zdaniem to gorsze niż wycie głodnych wilków, kiedy człowiek znajdzie się sam w lesie.

- Gorsze niż wycie wilków? - powtórzył Jack. Te słowa zabrzmiały jakby znajomo. Już od paru dni miał wrażenie, że umykają mu jakieś wspomnienia. - Wielkie nieba! To właśnie słyszał ojciec, kiedy porwano moją siostrę!

I teraz Jack przypomniał sobie słowa ojca o małych ludziach, cętkowanych niczym trawa w leśnym poszyciu. Ich ruchy przyprawiały o zawroty głowy, to byli widoczni, to zlewali się z liśćmi, by po chwili znów się pojawić. Nagle zrozumiał, że mieli na sobie płaszcze z pstrokatej wełny!

- Hobgobliny zabrały moją siostrę! - wykrzyknął.

- Zdaje się, że bard nazwał porywaczy „pukami” - powiedziała Pega.

- Nazwał ich też hobgoblinami. Jak mogłaś zapomnieć?

- Też miałam zamglony umysł. To przez te przekłete grzyby. Myślisz, że ciągle ją mają? - spytała.

Myśli wirowały w głowie Jacka. Jego siostra mogła zostać ukryta gdziekolwiek w tym olbrzymim, podziemnym świecie. A jeśli zdoła ją odnaleźć, jak ją stąd wyciągnie? Zresztą, jak miał uratować samego siebie, Pegę i Thorgil?

- Nie wiem, od czego zacząć - przyznał.

- Czemu po prostu nie spytać hobgoblinów, gdzie jest twoja siostra? - podsunęła Pega.

- Spytać? - wykrzyknęli Jack i Thorgil.

- Nie chcą nam zrobić niczego złego.

- Niewiniątka! Rozbroili nas i trzymają w niewoli! - przypomniała córka miecza.

- Wiele się dowiedziałam, słuchając Bugabu i Mamci - wyjaśniła Pega. - Myślę, że naprawdę chcą nas uszczęśliwić. Mogą udawać, że nie lubią ludzi, i nazywać ich „ziemistymi”, ale w głębi duszy nas podziwiają. Nie zauważyliście, jak bardzo to miejsce przypomina nasze wioski? Hobgobliny naśladują wszystko, co robimy. Mają takie same ubrania, domy, wybierają takie same zajęcia i sposoby spędzania czasu. Nie mogą sadzić w ogródkach kwiatów, więc sadzą czerwone, żółte i zielone grzyby.

Jack słuchał tego ze zdumieniem. Tak długo rozmyślał nad sposobem ucieczki, że przestał zwracać uwagę na hobgobliny. Jaskinia rzeczywiście była kopią ludzkiej wioski. Po

co domy kryte strzechą tam, gdzie nigdy nie pada deszcz? Po co nosić kapelusze, jak czynili tutejsi mężczyźni podczas zbierania grzybów, skoro nie ma słońca?

- Dlaczego chcą nas tu trzymać? - spytał.

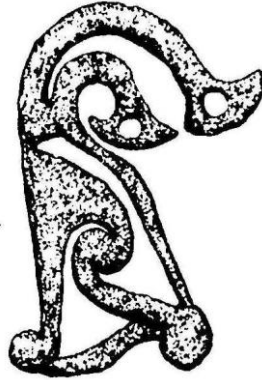
- Bo jesteśmy największą atrakcją, jaka przydarzyła im się od wieków - odpowiedziała Pega. - Musiałeś zauważyć, jakie nudne mają tu życie. Nic się nie zmienia. Mamcia mówi, że to zła strona Krainy Srebrnych Jabłek. Taka jednostajność pochłania życie, choć je przedłuża. Każdy dzień powtarza się w nieskończoność, aż mieszkańcy wpadają w trans, z którego nie sposób ich wyrwać. Hobgobliny regularnie odwiedzają Midgard, by się przebudzić.

Potworne zawrośnięcie skończyło się i do uszu Jacka dobiegły głosy hobgoblinów, z niepokojem wołających ich po imieniu.

- Dziś wieczorem spytamy o moją siostrę - postanowił. - Najpierw Pega może trochę zmiękczyć Bugabu swoim śpiewem.

## Rozdział 27

### Hazel



Tego wieczoru Pega zaśpiewała im „Wesołego młynarza” i „Fałszywego rycerza”, a potem „Księżycowego Człowieka”, piosenkę, której Jack nigdy wcześniej nie słyszał. Księżycowy Człowiek zszedł na dół, by nazbierać drewna do swojego paleniska, podpierając się podczas marszu rozdwojonym kijem. Była to dziwna i dość niepokojąca historia. Chłopak zastanawiał się, gdzie się jej nauczyła.

- Czasami rozmawiałam z Księżycowym Człowiekiem - powiedziała Mamcia, gdy piosenka dobiegła końca. - Może przekazać wiele wiedzy tym, którzy potrafią znieść jego towarzystwo.

- To on naprawdę istnieje? - spytał Jack, który przypuszczał, że to tylko legenda.

- To jeden ze starych bogów. Jest skazany na samotne przemierzanie nieba, a kiedy jesteś przy nim, czujesz się jak na bezkresnym morzu bez gwiazdy, która wskazałaby ci drogę. Odwiedza zielony świat tylko podczas nowiu, a jego mowa jest ponura i niepokojąca zarazem.

- Wolałbym, żebyś z nim nie rozmawiała - wtrącił Bugabu. - Płaczesz potem całymi godzinami.

- Za wiedzę zawsze trzeba płacić - powiedziała Mamcia, mrugając oczami. - Zbieram wieści o szerokim świecie od jaskółek, które zagląдают do lasu na zewnątrz. Tylko w ten sposób Księżycowy Człowiek może je poznać. W ciemnościach fruują jedynie sowy, a one są nie tylko głupie, ale i opryskliwe.

Jack szerzej otworzył oczy. Przypomniała mu się poważna rozmowa barda z jaskółką przy oknie w Din Guardi.

- Jesteś... bardem? - spytał ostrożnie.

Mamcia parsknęła śmiechem.

- Nikim aż tak wielkim. Nauczyłam się paru rzeczy od Mędrców, ale jestem zbyt leniwa, by poświęcić całe życie na naukę.

Jack jej nie uwierzył. Nie była w najmniejszym stopniu leniwa. Wydawało się, że wie bardzo wiele, ale nie chce się tym dzielić.

- Myślę, że po tych historiach o Księżycowym Człowieku trzeba nam czegoś wesołego - powiedział król. - Zaśpiewaj nam „Hymn Caedmona”, moja droga Pego.

Uśmiechnęła się i spełniła prośbę. Gdy jej doskonały głos wzbił się ku tłumowi oczarowanych błędnych ogników, z pobliskich domów zaczęły się wylaniać hobgobliny. Wychodziły parami i trójkami, aż wokół dziedzińca stanął gęsty krąg stworów. Kiedy Pega skończyła, wszystkie westchnęły na podobieństwo wiatru, hulającego po lesie.

- Moja droga! - wykrzyknął Bugabu. - Nie umiem wyrazić, jak mnie uszczęśliwiłaś. Proś, o co zechcesz, a to dostaniesz.

- Teraz to wpadłeś - powiedział Nemezis. - Nie będzie zadowolona, dopóki nie dostanie twojego serca i wątroby.

- Najpierw muszę wam opowiedzieć pewną historię - zaczęła Pega. - Dawno temu matka Jacka urodziła małą dziewczynkę. Niestety, bardzo zachorowała i dzieckiem musiała się zająć inna kobieta. Później, gdy odzyskała zdrowie, ojciec Jacka poszedł po dziewczynkę, ale w drodze do domu zatrzymał się, by nazbierać orzechów.

Na wzmiankę o orzechach wszystkie hobgobliny usiadły prosto i nadstawiły uszu.

- Dla bezpieczeństwa postawił koszyk z dzieckiem na drzewie, ale wtedy stało się coś strasznego. Tłum niewielkich istot otoczył drzewo i ukradł małą. Ojciec Jacka próbował ich łapać, ale okazali się zbyt szybcy.

- Znowu się zaczyna - mruknął Nemezis. - Oskarżasz nas o kradzież.

- Nie wspomniałam o was ani słowem - odparła. - Ale masz rację. To były hobgobliny. Ojciec Jacka pogrążył się w wielkim smutku. Wiedział, że jego żona będzie miała złamane serce.

Mamcia otarła oczy rąbkiem fartucha. Kilka innych kobiet zamruczało ze współczuciem.

- O dziwo, gdy ojciec Jacka wrócił po koszyk, w środku było inne dziecko. Piękne, choć bardzo samolubne, jak się później okazało.

- Lucy nie jest taka zła - zaoponował Jack.

- Mogłaby być lepsza - stwierdziła Thorgil. - Powinna częściej dostawać w skórę, tak jak ja, dla poprawy charakteru.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała Pega, gromiąc młodą wojowniczkę wzrokiem. - Ojciec Jacka wziął dziecko do domu i latami nikomu nie mówił, co się stało. A teraz dochodzę do swojej prośby. - Przyłożyła sobie palce do warg i spojrzała prosto na króla. - Chcę, żeby siostra Jacka wróciła do nas i żebyśmy mogli zabrać ją do domu.

Wśród zgromadzenia zapadła absolutna cisza. Dziesiątki lśniących, czarnych oczu wpatrywały się w Pegę i nic się nie poruszało. Nawet błędne ogniki zamarły. Mamcia ciężko westchnęła.

- Wiedziałam, że nie wyjdzie z tego nic dobrego - powiedziała. - Mówiłam wam: „nie naśladujcie elfów. Są złe do szpiku kości”.

- Ale Mamciu, chciałem im tylko odplacić pięknym za nadobne - zaprotestował Bugabu. - Wziąłem ich młode i znalazłem niepilnowaną kołyskę, w której je zostawiłem. Myślałem, że elfy się nauczą, jak to jest stracić dziecko.

- Niczego się nie nauczyły - odparła. - A nam przysporzyło kłopotu, co zrobić z dzieckiem, które wzięłeś z tej kołyski.

Jack niemal nie oddychał. Czyżby jego siostrę oddano elfom, by stała się zwierzątkiem na smyczy?

Mamcia klasnęła w dłonie, na co podbiegł do niej młody hobgoblin.

- Idź do domu Blewitów i przyprowadź ludzkie dziecko - nakazała.

Jack odetchnął z niewypowiedzianą ulgą. Hobgobliny naprawdę przetrzymywały jego siostrę i zaraz miały ją doń przyprowadzić! Wydarzenia następowały tak szybko, że kręciło mu się w głowie. Jak będzie wyglądała? Jakie wiodła życie? Przychodziły mu do głowy dziesiątki pytań, był jednak zbyt przejęty, by coś powiedzieć. Podobnie jak wszyscy pozostali.

W oddali zobaczył dwoje hobgoblinów, kobietę i mężczyznę, schodzących ścieżką, prowadzącą w dół ze skalnej półki. Przed nimi tańczyła dziewczynka, znajdowała się jednak zbyt daleko, by ją wyraźnie zobaczyć.

Tłum wokół domu Bugabu rozdzielił się. Hobgoblińska kobieta szlochała, a mąż obejmował ją ramieniem. Dziewczynka zatrzymała się nagle, po czym pobiegła do nich z powrotem. Przytulili ją, a potem wzięli za rączki, by poprowadzić naprzód. Była znacznie mniejsza niż Lucy, mniej więcej wzrostu czterolatki.

- To twoja siostra - zwróciła się do Jacka Mamcia. - Nazwaliśmy ją Hazel. Leszczyna.

Mała podniosła na chłopaka bezbrzeżnie zdumione spojrzenie.



- Ziemisty! - wykrzyknęła. - I jest ich więcej? Ale fajnie! Skąd ich wzięliście?

- Nigdy nie powiedziałam jej prawdy - załkała kobieta.

- Nikt z nas nie powiedział, pani Blewit - stwierdziła Mamcia.

Hazel podbiegła tanecznym krokiem do Jacka, Thorgil i Pegi.

- Ta jest ładna - stwierdziła, wskazując Pegę grubym paluszkiem.

- O czym jej nie powiedzieliście? - Mówienie przychodziło Jackowi z trudem. Hazel wyglądała niemal jak kopia ojca, poczynając od krępej budowy, a kończąc na zdecydowanym wyrazie twarzy. Oczy miała szare, a nie fioletowe, a włosy kasztanowe, a nie złote niczym popołudniowe słońce. Nie unosiła się jak pyłek z dmuchawca. Podskakiwała na podobieństwo szczenięcia na przerośniętych łapach. Nikt nigdy nie wziąłby jej za zaginioną księżniczkę.

Była jednak na swój sposób piękna, miała okrągłe, różowe policzki i gęste, zdrowe włosy.

- Nigdy jej nie powiedzieliśmy, że nie jest hobgoblinem.

Jack był zdumiony. Jak Hazel mogła nie widzieć, że różni się od innych dzieci? Przecież musiała choć raz spojrzeć w strumień albo zauważyć, że na jej rękach nie ma cętek. Była jednak bardzo mała, a małe dzieci nie zauważają takich rzeczy.

- Hazel! - zawołał. Podbiegła, a on ukląkł przy niej. - Hazel, jestem twoim bratem.

- Nieprawda! - Zachichotała.

- Jesteśmy do siebie podobni. Mamy takie same włosy, oczy, skórę. Spójrz na swoje dłonie. Twoje palce nie są długie i cienkie. Ani lepkie na końcach. Jesteś ziemistą dziewczynką.

- Jestem hobgoblinem, głupku, jak mama i tata. - Wskazała Blewitów. - Nie podobasz mi się, ale ona tak. - Podeszła z powrotem do Pegi, która wzięła ją w ramiona.

- Uff! Cięższa, niż się wydaje - stwierdziła Pega, z powrotem stawiając ją na ziemi.

- Całe życie spędziła z Blewitami. Stracili jedyne dziecko tuż przed tym, jak ją znaleźliśmy - powiedziała Mamcia.

Chyba raczej „ukradliśmy”, pomyślał Jack. Nie powiedział jednak tego na głos. Nie chciał wszczynać nowej kłótni.

- Skoro czas tu nie płynie - odezwał się, głośno myśląc - Hazel ciągle powinna być niemowlęciem. A nie jest. Jak to możliwe?

- Myślisz, że trzymamy ją zamkniętą, jak ptaka w klatce? - powiedział z oburzeniem pan Blewit. Był to szczupły hobgoblin o ponurym wyglądzie i bezustannie przygarbionych ramionach. - Młode potrzebuje świeżego powietrza. Często zabieramy ją na pola Midgardu.

- I kochamy to miejsce - dodała pani Blewit. - Jesteśmy stworzeniami z Midgardu, a nie z Krainy Srebrnych Jabłek. Czasami tęsknimy i chcemy odwiedzić góry z czasów naszej

młodości, nawet jeśli przez to będziemy się starzeć.

- Wiele hobgoblinów nie chce opuszczać ojczystych ziem - odezwał się Bugabu. - Na przykład koboldy czują się szczęśliwe w ciemnych lasach Niemiec, a skrzatów nie da się odciągnąć od ich palenisk. Tylko my przybyliśmy tutaj.

Jack patrzył na Hazel, czując, że na jej widok drętwieje mu umysł. Wyglądała jak człowiek, ale zachowywała się dokładnie jak hobgobliny. Podskakiwała, pohukiwała i skrzeczała. Owo skrzeczenie było szczególnie okropnym dźwiękiem, który hobgobliny wydawały w chwilach radości, i brzmiało jak coś pomiędzy żabim rechotem a beknięciem. Hazel wydawała go właśnie w tej chwili.

- Musimy przywyknąć do siebie nawzajem - stwierdził Jack.

- Na szczęście mamy mnóstwo czasu - powiedziała Mamcia.

- Cały czas świata - dodał Bugabu.

- Wcale nie - odparła Pega. - Poprosiłam, żeby siostra Jacka do nas wróciła, bo chcemy ją zabrać do domu.

- Nie możecie zabrać mi dziecka! - wybuchnęła nagle pani Blewit. - Opiekowałam się nią przez całe jej życie i tak bardzo ją kocham! O, nie, nie, nie, nie możecie być tak okrutni.

- Możemy poczekać kilka dni - powiedział Jack.

- Dzień, miesiąc, rok, co za różnica - jęknęła pani Blewit.

- Będę ją wtedy kochała tak samo, jak teraz. O, moje kochanie, moja kijanko, moje maleństwo, zabiorą cię! - Przytuliła Hazel, która zaczęła płakać.

- Nie możecie jej zabrać i koniec - warknął pan Blewit, uderzając pięścią w swoją dłoń.

- To moja siostra! - wykrzyknął Jack.

- Przestańcie - powiedział Nemezis, stając między nimi. - Do stu muchomorów, Blewit, zachowujesz się jak ziemisty.

- Przepraszam, ale to wbrew zasadom - odparł hobgoblin.

- Kiedy straciliśmy nasze maleństwo, Hazel była odpowiedzią na nasze modlitwy. Nie mogę jej oddać.

- Wszyscy zaczerpnijmy tchu - poradził Nemezis. - Już prawie pora spać, a rano na pewno zobaczymy wszystko wyraźniej. Mamciu? Czy dziś rano widziałem w kuchni kosz jabłek?

- Zgadza się - odparła jego matka. - Pochodzą z najlepszych drzew Pana Lasu (był zajęty lawiną po drugiej stronie góry). Upiekliśmy je i umoczyliśmy w miodzie.

- Doskonale! To dobrze zrobi Hazel, jeśli zobaczy, że wszyscy znowu są dla siebie mili. Kłótnie dorosłych źle wpływają na dzieci. - Oczy Nemezisa były głębokie i spokojne niczym

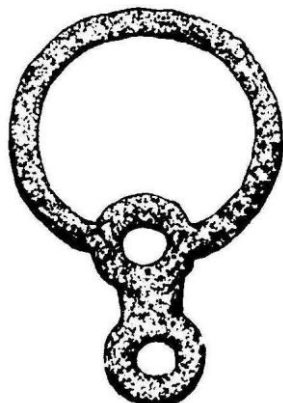
stawy w lesie, a jego słowa na wszystkich podziałały uspokajająco.

Jack zastanawiał się, kto właściwie rządzi tym królestwem: Bugabu, Mamcia czy Nemezis? A może działali razem i każde robiło to, co wychodziło mu najlepiej?

Hazel przestała szlochać i usiadła panu Blewitowi na kolanach. Pokazała Jackowi język.

## Rozdział 28

### Święty Kolumban



Siedzieli przy stołach i sączyli cydr. Miał lekki posmak octu, ale Jack był nim zachwycony, napój bowiem pochodził z Midgardu, a nie z Krainy Srebrnych Jabłek. Zrobiono go z owoców drzew, które spały całą zimę i zostały obudzone przez chłopców i mężczyzn, krzyczących *waes hael*. Posiekane jabłka fermentowały w kadziach ze zwykłą wodą. Leżały tam jednak nieco zbyt długo i cydr stał się trochę za kwaśny. Jack rozkoszował się tą jego niedoskonałością, świadectwem zmian i upływu czasu.

Nachmurzony Bugabu spoglądał na błędne ogniki, a Pega bawiła się z Hazel w „a-kuku”. Dziewczynka była w stanie bliskim hysterii. Podskakiwała jak mały hobgoblin i skrzeczała, gdy Pega odsłaniała oczy. Wielkie nieba, pomyślał Jack, jak mam się do niej kiedykolwiek przyzwyczaić?

Odwróciwszy się do Bugabu, spytał, dlaczego między hobgoblinami a elfami panuje taka wrogość.

- Elfy nas nienawidzą, bo mamy dusze - wyjaśnił król.

Jack z fascynacją słuchał, jak Bugabu opowiada historię brata Aideny o wojnie w Niebie i o tym jak Bóg wyrzucił anioły, które nie chciały stanąć po żadnej ze stron.

- Przez długie lata żyliśmy z elfami w pokoju - powiedział hobgoblin. - A raczej one nas ignorowały, a my nie wchodziliśmy im w drogę. Zbudowały tunel, by nie natknąć się na Pana Lasu, który potrafił złapać nieostrożnego elfa, polującego w jego królestwie.

- Później łodziami przy płynęli Piktowie i od razu zaczęli ścinać drzewa. Pan Lasu

dokonał straszliwej zemsty. Poprosił swojego brata, Księżycowego Człowieka, by zesłał szaleństwo na ich kobiety. Niektóre rzucały się z urwisk, inne topiły się w morzu. Mężczyźni uciekli pod ziemię, gdzie w tajemnych zakątkach napotkali elfy.

- Byli oszołomieni - ciągnął król. - A może powinienem raczej powiedzieć „oczarowani”, to poważniejsza sprawa. Większość Piktów wyszła z ukrycia i drogą wymiany pozyskała żony od Irlandczyków po drugiej stronie morza. Niektórzy zostali.

- Pradawni - wtrącił Jack.

- Oddają cześć elfom niczym bogom i przyprowadzają im niewolników.

Jack i Thorgil wymienili zdumione spojrzenia. Chłopak pamiętał targ niewolników, na którym Ludzie Północy próbowali sprzedać jego i Lucy. Pamiętał niskich mężczyzn, którzy wyglądali jak leśne cienie. Na ich ciałach wiły się malowane pnącza, a głosy syczały niczym wiatr w sosnowym igliwiu. Ich przywódca chciał Lucy, ale Olaf Jednobrewy ją ochronił.

- Myślałam, że zjadają jeńców - powiedziała Thorgil.

- Kiedyś tak robili - odparł Bugabu. - Teraz niewolników, którzy nie nadają się, by służyć elfom, składają w ofierze Panu Lasu. Pradawni zabiegają o jego przyjaźń, ale tylko się łudzą. Pan Lasu nigdy nie zostanie ich przyjacielem. Jego nienawiść jest wieczna. Niewolnicy są podczas nowiu prowadzeni pod drzewa. Nie podejmuję się opisać, co się z nimi dzieje.

- Chyba wiem - powiedziała Thorgil, która zrobiła się trupio blada.

- Kto chce pieczone jabłko? - spytała Mamcia. Hobgobliny łąpczywie wyciągnęły swoje miski. Mamcia podawała oblane miodem, parujące owoce, a jej pomocnik nakładał na nie śmietanę. Gorące, korzenne zapachy były dla Jacka miłą osłodą po przygnębiającej historii o Piktach. Wśród niewolników, których kupili od Ludzi Północy, był też ponury mnich. Chłopak zastanawiał się, jaki los go spotkał.

Hobgobliny rywalizowały o to, który wepchnie sobie pod policzki więcej jabłek. Zwycięzca wcisnął ich dziesięć, policzki hobgoblinów były bowiem nadzwyczaj rozciągliwe. Hazel próbowała ich naśladować i trzeba było uderzyć ją w plecy. Wielkie nieba, nawet ja myślę o niej jak o młodym hobgoblinie, pomyślał Jack. Próbował zwabić ją do siebie, wyciągając rękę z pieczonym jabłkiem. Natychmiast uciekła w ramiona pani Blewit, a on poczuł przyływ smutku i zazdrości zarazem.

- Po Piktach przybyli Celtowie, Brytowie, Rzymianie i Sasi - ciągnął Bugabu, rzucając za siebie ogryzki jabłek. - Nigdy nie widziałeś czegoś takiego jak rzymskie wojsko! Na wzgórzach roilo się od żołnierzy, szczęk zbroi, tupot nóg, wykrzykiwane rozkazy. Ścinali drzewa, budowali drogi i stawiali mury. Nawet gdy Pan Lasu dopadł kilku z nich, pojawiała się ich jeszcze więcej. Zostawili mu tylko kilka porośniętych drzewami skrawków ziemi, a to

go osłabiało. Widzisz, właśnie z drzew czerpie swoją siłę.

- Dochodzimy do najlepszego - przerwał Nemezis. - Do świętego Kolumbana.

- Moi wspaniali dziadowie widzieli jego przybycie - powiedział król. - Przypłynął przez morze z Irlandii.

- W małej łódce - dodał Nemezis, mrugając powiekami w kojącym rytmie. Najwyraźniej bardzo lubił historię o świętym Kolumbanie. - Fale powinny roztrzaskać ją na kawałki, ale przypłynęła bez przeszkód. Kolumban mówił Piktom o dziwnych rzeczach, takich jak „miłosierdzie” i „litość”. Piktowie śmiali się serdecznie i próbowali go zamordować, ale Kolumban dmuchnął w garść słomy.

- Był bardem! - wykrzyknął Jack. - Oni tak doprowadzają ludzi do szaleństwa.

- Cokolwiek zrobił, Piktów śmiertelnie to przeraziło. Padli na kolana i błagali go o tę nową rzecz, zwaną litością. A zatem Kolumban połał im głowy wodą, a oni stali się łagodni jak baranki.

- Moi wspaniali dziadowie ukryli się za pomocą płaszczy z pstrokatej wełny, by wysłuchać kazań świętego - podjął opowieść Bugabu. - Wtedy, podobnie jak teraz, hobgobliny nie były mile widziane przez ziemistych w ich domach. Podążali za Kolumbanem, który chodził od wioski do wioski. Ani na chwilę się nie pokazywali. Pewnej nocy mój wspaniały dziad zebrał w sobie odwagę i podszedł do jego okna. „Powiedz, o ziemisty”, szepnął, „jakie czary rzuciłeś na Piktów?”

- „Podejdz do ognia, żebym cię zobaczył”, powiedział Kolumban. Mój wspaniały dziad wśliznął się przez drzwi, spodziewając się, że obrzucą go kamieniami, jak to było we zwyczaju. Ale Kolumban tylko się roześmiał. „Tacy jak ty to rzadkość”, stwierdził. Dał mojemu wspaniałemu dziadowi kubek cydru i zadał mu wiele pytań o litość i miłosierdzie. Odpowiedzi mojego wspaniałego dziada mu zaimponowały. „Widzę, że słuchałeś”, powiedział z uznaniem. Mój wspaniały dziad przyznał się do podsłuchiwania pod oknami.

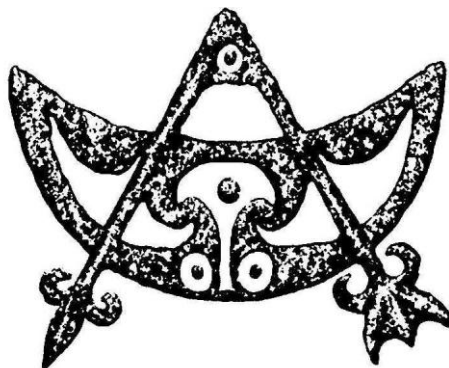
- Skutek był taki, że Kolumban zwołał wszystkie hobgobliny i udzielił im chrztu. Stały na brzegu Loch Ness, a święty po kolei wprowadzał je do wody. Trwało to siedem dni i siedem nocy. W pewnej chwili wynurzył się kelpie i pożarł kilka hobgoblinów, ale Kolumban go odegnał.

- Kelpie! Nie znoszę tego fragmentu! - wtrącił Nemezis. - Robią wszystko, żeby nas dopaść. Wspinają się na drzewa, ryją w ziemi, skaczą z urwisk. Nie mogę nawet o tym myśleć! - Zbladł jak płótno i zatrzęsł się na całym ciele. Mamcia i żona Nemezisa usiadły po obu stronach wzburzonego hobgoblina, głaszcząc go i pomrukując, dopóki nie doszedł do siebie.

- Stracił rodziców, ciotki i wujów podczas pikniku nad Loch Ness - szepnął Bugabu do Jacka. - Wszyscy staramy się nie wymawiać przy nim tego słowa na „k”. Kończąc opowieść... Kolumban zapewnił naszych przodków, że ich dusze są w doskonałym stanie. I od tamtego czasu elfy to nasi zawzięci wrogowie.

## Rozdział 29

### Zdrada



Jack leżał zwinięty w swoim zagłębieniu do spania. Był środek nocy. W ciemnościach chłopiec słyszał najprzeróżniejsze odgłosy: warknięcia, pochrapywanie, syki i jęki śpiących młodych.

Wylot grotty, w której spali, świecił. Pewnie jakiś błędny ognek zbliżył się do niego, co o tak późnej porze wydawało się dość dziwne. Jack odwrócił się doń plecami i bezmyślnie wbił wzrok w tańczące na ścianie cienie. Ogniki niemal ciągle się poruszały, z cieniami było podobnie. Nagle czyjeś ręce wywlokły go z zagłębienia. Coś zakneblowało mu usta, zasłoniło oczy. Rzucił się i wierzgał, ale napastnik okazał się zbyt silny.

Jack czuł, że jest gdzieś niesiony, jak wtedy, gdy młode hobgobliny oddawały się swoim porannym harcom, tym razem jednak nie towarzyszyły temu radosne okrzyki. Cokolwiek go trzymało, poruszało się w absolutnej ciszy. Jack zaczął gorączkowo myśleć. Odrętwienie ustąpiło.

Co go pochwyciło? Smok - nie. Nie było dość gorące. Ani troll. Nie było dość zimne. Może kelpie? Nie było dość mokre. Pozostawały więc wywerny, hipogryfy, mantykory, bazyliuszki, hydry, krakeny i piktyjskie bestie, o których miał blade pojęcie. Czy to mógł być pukacz? Przypomniawszy sobie wstrętne cielsko, które wyglądało jak olbrzymi, napęczniały od krwi kleszcz. Z boków sterczały mu odnóża, jedne czepiały się skał, inne rozciągały się po podłożu, uwalanym śluzem.

Jack ze wszystkich sił starał się wyrwać, ale bez żadnego skutku. Usłyszał syk, a uścisk



na jego rękach i nogach stał się jeszcze silniejszy. Poczekam, aż się zatrzyma, postanowił. Wtedy będę walczył. Zmusił się, by myśleć racjonalnie. To nie mógł być pukacz. Nie dość oślizgły.

Krew szybko pulsowała mu w żyłach, a serce waliło jak młotem, o dziwo jednak, wcale się nie bał. Odczuwał ulgę, że po tylu monotonnych dniach coś się zaczęło dziać. Rozumiał teraz, czemu Thorgil tak się cieszyła, wywoławszy *maelstrom*.

Jego lot głową naprzód zakończył się gwałtownie, tajemniczy stwór zwolnił uścisk. Jack dojrzał wokół siebie cienie i zaatakował. Jakiś stwór oberwał głową w brzuch, co poskutkowało krzykiem i upadkiem. Chłopak błyskawicznie odwrócił się, by pociągnąć innego za nogi, po czym równie szybko złapał innego za rękę i zamachnął się nim, uderzając jego pobratymców. Było ich jednak zbyt wielu, więc za chwilę leżał już przygwożdżony do ziemi ich ciężarem.

- Do stu zgniłych grzybów! Jeszcze gorszy od tamtego! - warknął znajomy głos. Chłopaka opuścił bitewny zapach. Leżał na rozgniecionych grzybach, a na rękach i nogach siedziały mu plamiste sylwetki hobgoblinów. W górze unosiła się para błędnych ogników, która ledwie rozpraszała mrok.

- Mam nadzieję, że jesteś zadowolony, ziemisty. Przez ciebie Blewit zwrócił kolację. - Z półmroku wyłonił się Nemezis, a Jack usłyszał, jak ktoś charczy i spluwa. Zapewne był to pan Blewit, którego trafił w brzuch.

- Jeśli urządzasz na kogoś zasadzkę w środku nocy, możesz się spodziewać kłopotów - odparł Jack.

- O, od kiedy Jego Królewska Głupota cię zaprosił, i tak nic, tylko mamy kłopoty - stwierdził tamten. Na dany przez niego znak hobgobliny pozwoliły Jackowi usiąść, wciąż go jednak trzymały.

- To była porządna walka - odezwała się niedaleko Thorgil. - Dobry byłby z ciebie berserker. - Pilnowano jej, równie starannie, jak i jego.

- Dzięki - powiedział.

- Sama też nieźle się spisałam - odrzekła dziewczyna. - Dwóch łobuzów pozbawiłam zmysłów, a trzeciego uszkodziłam.

Jack dostrzegł siedzącą nieopodal Pegę.

- Jak się czujesz?! - zawołał.

- Tak jak może czuć się ktoś, kogo ciągnano na wszystkie strony.

Nemezis prychnął pogardliwie.

- Taka jest kara za mamienie naszego króla.

- Nic takiego nie zrobiłam - odparła ze złością Pega. - To on się do mnie przyczepił.

- O, widziałem te twoje drobne sztuczki. Tak go oczarowałaś, że zapomniał o obowiązkach. Poprosiłaś, żeby oddał naszą Hazel i złamał Blewitom serce. Nie mogę na to pozwolić.

- Jeśli chcesz nas zabić, pozwól nam przynajmniej zginąć z bronią w ręku - oznajmiła Thorgil.

- Zabić? - Nemezis aż podskoczył z gniewu. - Bierzesz nas za ziemistych? Mamy dusze i dbamy o nie, dziękuję bardzo. Po prostu was odprowadzimy.

- Do Midgardu? - spytał Jack.

Hobgobliny wybuchły śmiechem, a przynajmniej wydały dźwięk, świadczący o rozbawieniu. Dla Jacka brzmiało to tak, jakby ktoś dławił się kawałkiem kości.

- O, nie - zaprotestował Nemezis, łapiąc oddech i szybko mrugając powiekami. - Damy wam dokładnie to, o co prosiliście, i odeślemy was do Krainy Elfów.

- Do Krainy Elfów? - powtórzył Jack, niemal nie wierząc we własne szczęście.

- A dlaczego nie? - odparł tamten. - Próbowałem namówić Bugabu, żeby zrobić to od razu. Ale ogłupiał na punkcie naszej Pani Kusicielki.

- Ani przez chwilę go nie kusiłam! - zaprotestowała Pega.

Nemezis znowu dał sygnał. Hobgobliny puściły więźniów i rozbiegły się, zanim Thorgil zdążyła zareagować. Wspięły się na skały i przycupnęły tam, plamiste cienie w półmroku. Pan Blewit, który wciąż trzymał się za brzuch, stanął przy Nemezisie.

- Przykro mi, że pana zabolalo - powiedział Jack. Nie żywił negatywnych uczuć wobec melancholijnego hobgoblina, pragnącego jedynie zatrzymać przy sobie dziecko, które uważał za własne. - Dlaczego nie poczekaliście, aż będzie można wszystko omówić?

Nemezis podszedł na tyle blisko, że chłopak widział jego ciemne oczy.

- To by nie sprawiło różnicy. Nawet za rok utrata Hazel byłaby równie bolesna.

- Jaka przyszłość czeka ją tutaj? - zapytał Jack. - Nie jest stworzona do tego, by spędzić pół życia pod ziemią. Co będzie, kiedy dorośnie? Pewnego dnia przejrzy się w stawie i zrozumie, że jest inna niż wy.

- Powiemy jej, że to nie ma najmniejszego znaczenia! - odparł pan Blewit.

Jack nie umiał na to odpowiedzieć. Hazel go nie akceptowała i uciekała, gdy próbował się do niej zbliżyć. Możliwe, że matki też by nie zaakceptowała.

- Spory nie mają sensu. Hazel nie może odejść - oświadczył stanowczo Nemezis. - Tak czy owak, elfy budzą w niej przerażenie.

- Naprawdę są takie złe?

- Gorsze! - Pan Blewit skulił ramiona, jakby ogarnął go nagły ziąb. - Ale wy tego nie dostrzeżecie. Ziemiści nigdy tego nie widzą. To przez ten blask, pozłotę. Wszystko wygląda cudownie, a w istocie jest jednym wielkim oszustwem.

- Skoro tak nienawidzicie elfów, dlaczego żyjecie z nimi po sąsiedzku? - zdziwił się Jack.  
- Gardzicie nimi. Kradną wam dzieci. Bugabu mówił, że nie ma tu rodziny, która nie straciłaby jednego czy dwóch maluchów. Wydaje mi się, że gdybyście mieszkali obok watahy głodnych wilków, to albo byście je wybili, albo przenieśli się gdzie indziej.

Hobgobliny odwróciły wzrok, a niektóre zaczęły przestępować z nogi na nogę. Zdawało się, że coś kryją. Albo są zmieszane. W słabym świetle trudno to było określić. W końcu Nemezis odchrząknął.

- Byliśmy słabi - przyznał. - Najpierw przyciągała nas elfia muzyka, a potem, w miarę jak czas upływał... a raczej nie upływał... doświadczyliśmy nieśmiertelności. Oj, wiem! - Zamachał rękami, by oddalić protesty pana Blewita. - Mieliliśmy czyste intencje. Kto chce patrzeć, jak jego rodzice starzeją się i umierają? Ale zapłaciliśmy wysoką cenę.

- Dlaczego w takim razie nie iść na całość? Lepiej przenieść się do Krainy Elfów i z tym skończyć - powiedziała Pega, otrzepując sukienkę z grzybowych zarodników.

- I żyć wśród kłamców?! - wykrzyknął pan Blewit.

- Zdaje się, że nieźle wyszło wam okłamywanie samych siebie! Bez niczyjej pomocy - odparła.

- Nie - odrzekł powoli Nemezis. - Blewit ma rację. Kraina Elfów ma złowieszczą moc, która omamia. Jej wpływy ogarniają całą Krainę Srebrnych Jabłek, ale najsilniejsze są w samym środku. Tutaj przynajmniej nie odwróciliśmy się całkowicie od świata. Nadal czujemy radość i smutek. Kraina Elfów jest pustką. To życie w śmierci.

- Do stu pluskiew! Straszenie innych przychodzi wam bez trudu - stwierdziła Pega.

- Idziemy - powiedział Nemezis. Cienie, które czaiły się na skraju światła, zaczęły się zbliżać. Jack przygotował się na dalsze nieprzyjemności, ale hobgobliny po prostu popędziły go naprzód. Było ich więcej, niż mu się wydawało. Wychodziły z ciemności i tłoczyły się za plecami trojga ludzi. Czuł na plecach muśnięcia ich długich palców.

Blask dwóch błędnych ogników dawał widoczność zaledwie na kilka kroków. Strzeliste słupy niknęły w mroku. Spod ich stóp unosił się ciężki odór rozdeptanych muchomorów, a gdzieś po prawej stronie płynęła niewidoczna rzeka.

Łąd kończył się na skraju jeziora. Tylko kryształowa półka sięgała ponad jego czarne wody. Nagle Jack zrozumiał zamiary hobgoblinów.

- Chcecie utopić nas w tym wirze! - krzyknął.

- Jak zwykle, widzicie w nas swoje własne wady - powiedział Nemezis. - To jest przejście do Krainy Elfów. Nie róbcie takich min! Dostaniecie tylko to, o co prosiliście.

- Oddamy wam nawet broń - dodał pan Blewit. Rozwinął jakiś pakunek, po czym podał Thorgil nóż, a Jackowi laskę. Jack z zachwytem ujął gładkie, ciemne drewno. Z zapalem przyzwał siłę życiową, poczuł jednak tylko jej słabe echo.

- Thorgil, co wyczuwasz w runie ochronnej? - spytał.

Córa miecza przyłożyła sobie rękę do szyi i zmarszczyła brwi.

- Nic. Nie, to nieprawda. Coś jest. Jakby piskłę próbowało wydostać się z jajka.

- Tego się obawiałem - stwierdził. - Coś blokuje tu siłę życiową. - Z niechęcią popatrzył na czarną wodę. Słabiutka poświata błędnych ogników z ledwością je oświetlała.

- Dostyc tych pogaduszek - warknął Nemezis. - Musimy skończyć sprawę, zanim Bugabu się obudzi. Lwia Paszcza i Larwa Żuka! Obudźcie wir!

Dwa przysadziste hobgobliny wybiegły na szklaną półkę, po czym zaczęły podskakiwać, wywołując głośny dźwięk, który narastał, aż wydało się, że lada chwila cała jaskinia się zawali. Wir utworzył się w jednej chwili, ziejąc niczym jakaś groteskowa paszcza.

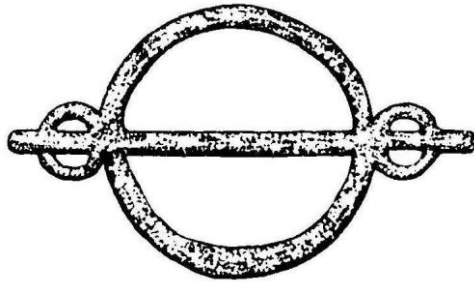
Hobgobliny cofnęły się, a potem, zanim Jack zdążył zareagować, oderwały Pegę od jego boku i wrzuciły ją do środka.

- Potwory! - krzyknął Jack. Wrzaski Pegi szybko umilkły, gdy wciągnął ją *maelstrom*.

Chłopak nie zastanawiał się. Wiedział tylko, że musi ratować dziewczynę i rzucił się w czarne odmęty.

## Rozdział 30

### Kraina Elfów



Woda zapieniła się wokół niego i przez ułamek sekundy widział brzeg, po czym zapadł się w ciemność. Kręcił się w kółko, zanurzony plecami w wodzie, twarzą zwróconą ku czarnej nicości w środku. Mógł oddychać. Robił to automatycznie. Ale otaczająca go martwota budziła grozę. Chciał umrzeć, chciał zrobić cokolwiek, byle uciec. Ale nie mógł nic zrobić. Kręcił się i kręcił, aż także jego zmysły się zakręciły i opuściły go wszelkie myśli.

Woda niosła go bardzo długo. Stopniowo ruch wirowy zwalniał, aż chłopak poruszał się nie szybciej niż opadający z drzewa jesienny liść. W końcu ruch ustał zupełnie i Jack opadł na trawiastą łąkę.

- O, Jack! - załkała Pega, rzucając się na niego. - Umarliśmy? Mam nadzieję, że to Niebo.

Jack popatrzył na gwiazdziste niebo, rozświetlone przez księżyc w pełni. Ponad nim nie było ani śladu wiru, ani śladu czegokolwiek z wyjątkiem letniej nocy. Na skraju łąki drzewa wznosiły w górę srebrzyste gałęzie, a gdzieś w pobliżu śpiewał słowik. Chłopak czuł woń kwiatów, wspaniałych kwiatów o zapachu słodszy niż świeże róże. Wietrzyk przynosił ku niemu rześki aromat mięty.

- Nie ma grzybów - mruknął.

- Co? Nie zauważyłam. - Pega usiadła i głęboko odetchnęła. - Masz rację! Ani śladu grzybów. To cudowne!

Jack nadal wpatrywał się w niebo. Wypełniało je tysiące skrzących się gwiazd. Niektóre były błękitnobiałe albo żółte, inne połyskiwały czerwienią bądź jabłkową zielenią. Wszystkie świeciły jaśniej niż gwiazdy Midgardu, ale może dlatego, że to miejsce zdawało się tak idealne.

Idealne. Taką właśnie cechą miał ten świat. Żadna wada nie przyćmiewała jego doskonałości, na drzewach nie było połamanych gałęzi, a w głosie słowika ani jednej fałszywej nuty. W powietrzu nie unosiły się żadne niemiłe zapachy. Trawa była miękka i gęsta, ale nie mokra, jak zazwyczaj bywała trawa w środku nocy, lecz jedynie lekko zroszona chłodem, co okazało się bardzo przyjemne.

- To może być Niebo - stwierdził Jack. Nagle usiadł gwałtownie, słysząc jakiś grzmot.

- Na tyłek Baldura, to było okropne! - zakląła Thorgil.

To nie może być Niebo, pomyślał Jack z lekkim ukłuciem zawodu. Nie byłoby tu Thorgil.

- Thorgil! - zawołał.

Natychmiast znalazła się przy jego boku.

- Widziałeś jakichś wrogów?

- Nie. Rozejrzyj się - powiedział Jack.

Córa miecza obróciła się, by popatrzeć na srebrzyste drzewa, łąkę i gwiazdy. W nieodległym rowie krył się strumień. Jego cichy szum rozbrzmiewał w nocnym powietrzu. Spomiędzy drzew wyłoniło się stado saren, które powoli, z gracją podeszły do nich. Na ich skórze, nienaturalnie jasnej w blasku księżyca, widniały białe plamki, a smukłe kopytka nie wydawały najmniejszego dźwięku. Nawet Thorgil wydawała się oszołomiona ich pięknem.

Sarny przeszły obok i ruszyły ku zagłębieniu. Po chwili do uszu Jacka dobiegł plusk ich nóg w strumieniu.

- Przynajmniej nie umrzemy z głodu - stwierdziła córka miecza.

- Oj, Thorgil, niczego się nie nauczyłaś? - zirytował się Jack. - Nie możesz polować, dopóki się nie upewnisz, że to dozwolone.

Wszyscy umilkli. Wystarczyło położyć się pod gwiazdami i patrzeć, jak wielki księżyc, z pewnością większy niż w Midgardzie, przemierza niebo.

Jack próbował poukładać wszystko, co się wydarzyło, odkąd opuścili wioskę. Udali się do Studni Świętego Filiana i do Din Guardi. Przypomniawszy sobie Żywopłot i tunel. W tunelu stało się coś złego, ale nie pamiętał, co to było. A potem znaleźli się w lesie. Pojawiła się Thorgil... a może cały czas była z nimi? Jak przez mgłę pamiętał jaskinię pełną grzybów. Kto w niej mieszkał?

Wszystko się teraz oddalało, a tak naprawdę nie miało znaczenia. Tu było tak pięknie... czy ktoś potrzebował czegoś więcej?

\* \* \*

Jacka obudziły promienie słońca, padające mu na twarz. Zamrugnął powiekami i przekonał

się, że światło nie razi go w oczy. Było łagodne, niczym słońce w dniach, gdy spowijał je dym z torfowych ognisk.

Las nie lśnił już barwą srebra, lecz żywej zieleni. Łąkę pokrywały kępy kwiatów, a sarny pożywiały się trawą.

- Ładnie, prawda? - powiedziała Pega. Najwyraźniej nie spała już od jakiegoś czasu, zdążyła bowiem nazbierać całą stertę jabłek. Były duże i złociste, a także, co po chwili odkrył Jack, słodkie jak miód.

Thorgil bawiła się swoim nożem i obserwowała sarny.

- Wiem - mruknęła. - Nie mogę na nie polować. Ale czy nie smakowałyby wyśmienicie upieczone na węglach?

- Najpierw się dowiedzmy, do kogo należą - odparł chłopak. Jedząc, patrzyli na ptaki. Niektóre były zielone, z długimi, różowymi piórami na ogonach. Inne miały niebieską barwę, tak idealnie dopasowaną do koloru nieba, że znikwały, gdy wzbijały się w powietrze. Ich głosy wypełniały powietrze radosną muzyką.

- Co mówią? - zwróciła się Pega do Thorgil.

Młoda wojowniczką pokręciła głową.

- Nie wiem. To tylko hałas.

- Miły hałas - stwierdziła Pega.

- Tak, ale powinnam je rozumieć.

- Wiecie, co jeszcze jest dziwne? - spytał Jack. - Nie ma tu ani jednej pszczoły.

- Są motyle - zauważyła Thorgil i rzeczywiście, na łące aż się od nich roiło. Były tak duże i wspaniale ubarwione, że prawie nie dało się ich odróżnić od kwiatów.

- Moja mama hoduje pszczoły - powiedział chłopak. Wiedział o tym, a jednak gdy próbował przywołać w umyśle widok gospodarstwa i uli, okazało się to niemożliwe. Zupełnie jakby jego wspomnienia zasnuła mgła. - Mówi, że przenoszą siłę życiową z jednej rośliny na drugą.

- To ciekawe - odezwała się Pega, choć w jej głosie nie dało się słyszeć nawet cienia zainteresowania. Robiła wianek z kwiatów, jej zwinne palce wily z nich coś w rodzaju korony. Jacka przebiegł dreszcz, gdy zauważył, że żaden z kwiatów nie wygląda znajomo. Były piękne, podobnie jak wszystko wokół, ale jakieś dziwne. Łąkę porastały... prawie stokrotki, niemal nagietki, niby-jaskry i o wiele za duże ostróżki.

Jack sięgnął po laskę, pragnąc poczuć w ręce drżenie mocy. Niczego jednak nie poczuł. Umarła, zupełnie jak wir.

- To miejsce nie jest prawdziwe! - wykrzyknął.

- Wydaje się prawdziwe - odparła Pega, zrywając trochę trawy.

- To pozlota, o której mówił pan Blewit.

- Kto? - mruknęła Thorgil.

- No, wiesz. Jeden z tych plamistych stworów, które wrzuciły nas do wiru. - A jednak w chwili, gdy o tym pomyślał, wspomnienie rozpadło się na kawałki. Usiłował przywołać je z powrotem i wtedy usłyszał w oddali przepiękny dźwięk. Czyste granie rogu myśliwskiego przyprawiało o dreszcze. Wraz z nim rozległo się szczekanie psów, o ile w ogóle można porównać ten cudny odgłos z jazgotem zwykłych psów. Był to hołd dla lata, dla zieleni drzew, dla pędu. Była to czysta radość. I gdy Jack już pomyślał, że nie może być lepiej, usłyszał głosy.

Nie dało się ich opisać. Jack miał wybitne zdolności muzyczne. Jego głos należał do najpiękniejszych w Midgardzie, ale okazał się żaden w porównaniu z głosami elfów. A one nawet nie śpiewały. Po prostu ich zwyczajna mowa brzmiała bardziej melodyjnie od wszystkich ziemskich pieśni.

Sarny wypadły spomiędzy drzew. Znowu rozbrzmiał róg, a z zieleni wyłonił się tłum naganiaczy. Biegli przed grupą jeźdźców, waląc kijami w krzaki, by wypłoszyć zdobycz. Byli to ludzie drobnej budowy, nadzy, jeśli nie liczyć przepasek biodrowych. Ich ciała pokrywały wijące się wzory, przypominające cienie lasu, więc trudno ich było dostrzec na tle drzew.

Piktowie.

Nie byli to wędrowni kupcy, przemierzający trakty Midgardu i sprzedający artykuły metalowe oraz garnki. Byli to Pradawni, którzy zaludniali senne koszmary Jacka, ci, którzy targowali się o Lucy i odprawiali tajemne ceremonie przy świetle księżyca.

Piktowie przystanęli i zaczęli wydawać z siebie głośne syki. Jeźdźcy zatrzymali konie i zawołali psy.

- Co my tu mamy? - odezwał się cudowny głos.

Jack podniósł wzrok na najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział. Na złotych włosach mężczyzny widniała srebrna korona. Jego tunika miała zieloną barwę liści buku, a płaszcz - najciemniejszy odcień bluszczu. Pikt o szerokiej piersi, potarganej brodzie i krzaczastych brwiach chwycił uzdę jego wierzchowca, gdy zwierzę potrząsnęło głową.

- Zostaw, Brude. Płoszysz go - powiedział jeździec. - Nieznajomi! Co robicie na naszej ziemi? Czemu zawdzięczamy wasze miłe towarzystwo? - Uśmiechnął się, a na widok jego doskonałych, lśniących zębów Jacka ogarnęło niezmierne poczucie szczęścia. Za nim przepychali się inni konni. Ich rumaki zupełnie nie przypominały przysadzistych koni bojowych, które hodował John Grotnik. Nie miały szerokich kopyt, zmierzwionej sierści i



krótko przyciętych ogonów, by nie czepiały się ich rzepy. Były pełne wdzięku niczym sarny. W ich oczach kryła się inteligencja, grzywy zaś i ogony połyskiwały niczym srebro.

Konie elfów, pomyślał Jack z drżeniem. Olaf Jednobrewy zrabował takiego podczas napaści na wioskę Gizura Łamikciuka.

Jeśli chodzi o jeźdźców, Jack niemal nie miał śmiałości na nich spojrzeć. Ich uroda oszałamiała. W grupie znajdowali się zarówno mężczyźni, jak i kobiety, odziani w różne odcienie zieleni i bez choćby jednej skazy, typowej dla śmiertelnych. Nie mieli krzywych zębów ani blizn na twarzach, śladów po chorobach, wypadkach czy głodzie. Nagle Jack ujrzał swoje towarzyski w świetle tych doskonałych istot. Uroda Thorgil była szorstka, a Pega - biedna Pega! - ledwie wyglądała jak człowiek. Co do własnego wyglądu także nie miał złudzeń.

- Mowę wam odjęło? - wykrzyknął wesoło myśliwy.

- Nie żartuj z nich, Gowrie - powiedziała jedna z kobiet. - Dopiero do nas przybyli, chociaż zastanawia mnie ta mała. Wygląda na odmieńca.

- To człowiek, droga Ethne - odparł myśliwy. - Wyczuwam odór śmiertelności.

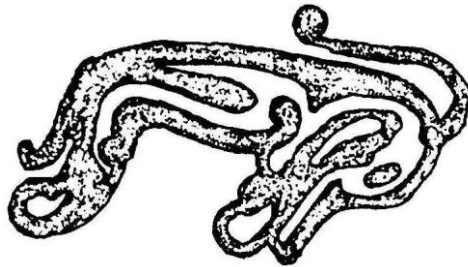
- W takim razie trzeba ich zaprowadzić do naszego pałacu - stwierdziła Ethne. - Królowa z pewnością zechce ich poznać.

Towarzystwo odjechało przy wtórze rogów i szczekania psów. Brude i pozostali Piktowie zostali z tyłu.

- Wy iśśś - zasyczał Brude, jakby ludzka mowa przychodziła mu z trudem. Inni chwycili swoje kije i uformowali straż wokół Jacka i jego towarzyszek.

# Rozdział 31

## Mroczna rzeka



Jack powinien mieć się na baczności, ale był zbyt oczarowany, by się martwić. Las, przez który szli, wyglądał piękniej niż wszystko, co w życiu widział. Każde drzewo zdawało się na swój sposób doskonałe, choć różniło się od pozostałych. Każda polana skrywała nieoczekiwane piękno. Z białego urwiska spływał wodospad, na stawie widniały kwiaty tak duże, że można by na nich usiąść, a żonkile - czy raczej coś, co je przypominało - sięgały głowy chłopaka. Jack z niecierpliwością wyczekiwał kolejnych odkryć. Niemal nie zauważał ponurego oddziały Piktów ani faktu, że nie mógł iść tam, dokąd chciał.

Z urwiska w oddali poderwał się orzeł. Miał taką rozpiętość skrzydeł, że każdy ptak z Midgardu wyglądałby przy nim jak karzeł, a potężnymi szponami mógłby bez trudu unieść w powietrze łosia. Krzyknął wyzywająco, ale nawet ten odgłos nie budził grozy, lecz zachwyt.

- Wielki jak orzeł z Jotunheimu - mruknął Jack.

- Ale inny - dodała Thorgil nieco sennym głosem.

- Bardziej brązowy. I większy. - Jackowi z trudem przychodziło opisanie różnic między ptakami.

- Jak coś z Yggdrasila.

Jack ocknął się gwałtownie. Orzeł nie wyglądał jak ptak, który mógłby przycupnąć w gałęziach Wielkiego Drzewa. Był zbyt doskonały. Zdawało się, że nigdy nie zgubił pióra ani nie ubłocił sobie łap. Stworzenia z Yggdrasila budziły podziw, ale ulegały zmianom. Tak jak wszystko, co żyje. Jack poczuł cień strachu, którego doświadczył w wielkim wirze.

- Co się stało? - spytała Pega.

Lęk zniknął. Chłopak chciał, by zniknął.

- Po prostu brzuch mnie rozboleł. Widocznie zjadłem zbyt wiele jabłek - odparł z uśmiechem.

Jeden z Piktów szturchnął go kijem i Jack ruszył naprzód. Minęli drzewo, całkowicie pokryte motylami, i inne, obwieszane pnączami tak delikatnymi, że wyglądały jak strzępy mgły.

Las się kończył i nagle wszystko się zmieniło. Przed nimi widniała ciemna rzeka - a może długie, wąskie jezioro, bo woda w ogóle się nie poruszała. Ścieżka niknęła w nim i pojawiała się znowu po drugiej stronie. Naprawdę zniknęła. W wodzie nic nie było widać, nie odbijało się w niej niebo ani brzegi. Było to po prostu pasmo mroku, które przecinało im drogę.

Piktowie zatrzymali się, wyraźnie zaskoczeni. Zaczęli pokazywać sobie barierę, wydając syki i warknięcia, a ponad wszystkie głosy wzbijał się głos Brude'a. Chciał iść naprzód. Było to wyraźnie widać po sposobie, w jakim machał rękami. Jack pomyślał, że woda znalazła się tam niedawno i zapewne nie jest zbyt głęboka. Wetknął w nią swoją laskę. Woda zawirowała leniwie i zaczęła wspinać się po drewnie w kierunku jego ręki. Natychmiast się cofnął.

- Moglibyśmy to z łatwością przepłynąć - stwierdziła Thorgil.

- Wolałbym przejść - stwierdził, patrząc na zmarszczki na oleistej powierzchni.

W końcu opinia Brude'a wzięła górę i Piktowie znów uformowali straż wokół nich.

- Iść - nakazał Brude, znowu trącając Jacka kijem.

Dzieci wzięły się za ręce, tworząc ludzki łańcuch. Na czele szedł Jack, a za nim Thorgil i Pega. Prowadzili ich dwaj Piktowie, którzy ostrożnie badali drogę przed sobą. Reszta podążała z tyłu. Z początku woda sięgała im tylko do kostek. Chłopak odetchnął z ulgą i próbował nie zważać na strużki wody, wpełzające mu na nogi.

Rzeka stała się głębsza. Dochodziła teraz do kolan. Jack zauważył coś dziwnego - prawdziwą wodę zawsze czuło się na skórze. Ale nie tę tutaj.

- Iść! - nakazał Brude z nutką paniki w głosie.

Nagle jeden z Piktów, którzy szli na czele, postąpił w bok i zniknął niczym mucha w pysku żaby. Poszedł pod wodę bez najlżejszego plusku i w tym momencie jego kompani puścili się biegiem. Posykując, przepchnęli się obok dzieci, po czym wspięli się na przeciwległy brzeg, gdzie natychmiast zaczęli się bić między sobą.

Jack i Thorgil zostali pośrodku przeprawy.

- Gdzie Pega? - wykrzyknął chłopak.

- Przewróciła się! - powiedziała Thorgil. - Te świny przebiegając potrafiły ją.

Rozejrzał się w nadziei, że zobaczy jakiś ruch w wodzie. Nic jednak nie dostrzegł.

- Iśśśś! - ryknął Brude z odległego brzegu.

- Nie! - odrzyknął Jack. Musiała gdzieś tu być. Jak długo mogła wstrzymać oddech? - Pega! Machaj rękami! Wstań! Spróbuj podskoczyć! - Woda jednak pozostawała zupełnie gładka. Zaczęli macać dno nogami i to Thorgil znalazła Pegę tuż pod powierzchnią. Nieprzytomną, ale żywą.

Posuwali się naprzód, niosąc ją między sobą. Woda sięgała Jackowi do piersi. Zastanawiał się, czy mógłby tu pływać. Nie podobała mu się myśl, że dziwna ciecz mogłaby dotknąć jego twarzy. Piktowie patrzyli na nich posepnie. Przydałaby się ich pomoc, pomyślał Jack, ale nie zrobią nic, łajdaki. Nawet nie próbowali ratować swojego towarzysza.

W końcu wyszli na połyskujące morze trawy i położyli Pegę na ziemi. Jack pochylił się, opierając dłonie na kolanach i ciężko dysząc. Czuł się, jakby przebiegł całą milę. Thorgil, nie mniej wyczerpana, wyciągnęła się na plecach.

- Musimy wypompować z niej wodę - wydyszał Jack, podchodząc na chwiejnych nogach, by przewrócić Pegę na brzuch. Gdy jednak nacisnął na jej żebra, nic się wydarzyło. Odwrócił ją z powrotem. Była blada jak kreda.

- Oddycha - stwierdziła Thorgil, klękając przy nich.

Jack wyciągnął świecę, którą Pega nosiła w woreczku i przytknął ją do nosa dziewczyny. Zadygotała i jęknęła.

- Coś mi się śniło - szepnęła.

- Teraz się obudziłaś. - Jack zadrzał, czując ulgę. Wyglądała jak martwa!

- Okropny sen - wzdrygnęła się.

- Nie myśl o tym. Popatrz lepiej na łąkę.

Thorgil pomogła Jackowi ją podnieść. Oboje podtrzymywali dziewczynę, pozbawioną zupełnie sił. Powoli dźwignęła się i usiadła. Patrzyli na błękitne niebo, na łąkę, na ptaki, które śpiewały w locie.

Miejsce wyglądało spokojnie, pięknie i w pewien sposób tajemniczo. Trawa chyliła się na łagodnym wietrze, falując niczym morze. Za paskudną rzeką Jack wciąż dostrzegał las. Drzewa były absolutnie doskonałe. Razem tworzyły masę zieleni piękniejszą, niż wszystko, co można było zobaczyć w Midgardzie.

\* \* \*

Piktowie pognali Jacka i jego towarzyszkę naprzód. Wcale nie była to niemiła wędrówka. Trawa i czysta łąka ustąpiła miejsca sdom i wszyscy zaczęli zrywać owoce z drzew. Tak jak wcześniej, nic nie przypominało tu Midgardu, ale owoce okazały się tak pyszne, że Jack na to nie zważał. Jabłka były srebrzyste, niczym małe księżycy, wiszące pomiędzy ciemnymi

liśćmi. Sam zapach wystarczył, by cię uszczęśliwić, kiedy je zjadłeś, nie potrzebowałeś już niczego innego.

Po drugiej stronie sadu dostrzegli wznoszący się w oddali pałac.

- Elfhame - ryknął Brude, wskazując budowlę swoim kijem. Jack widział pałac Królowej Gór w Jotunheimie. Był wspinały, wykuty w lodzie i otoczony mgłą, ale Elfhame wyglądał pięknie.

Zgrabne wieże połączone były wspinałymi łukami. Ściany pokrywały pnące róże, a irysy i fiołki tworzyły pod drzewami fioletowe cienie. A w zasadzie kwiaty, które przypominały irysy i fiołki. Ścieżka prowadziła do fontanny, wokół której stali mężczyźni i kobiety, zastygli w tańcu. Jack zatrzymał się w pół kroku.

- Zmieniono ich w kamień? - spytał cicho.

- Olaf Jednobrewy rzeźbił zwierzęta z drewna - powiedziała Thorgil, dotykając palców jednego z posągów. - Myślę, że to coś podobnego, ale... - Urwała i zmarszczyła brwi.

Jack rozumiał jej zmieszanie. Zwierzęta Olafa pokrywały sklepienia i filary w jego domu, skąd obserwowały mieszkańców niczym przyjazne duszki. Nie były doskonałe. Nie można ich było pomylić z oryginałami, dusza wielkoluda wikinga w jakiś sposób przenikała jego sztukę. Patrząc na zdobiące domostwo wiewiórki, kruki i wilki, człowiek wyobrażał sobie donośny śmiech gospodarza. Te rzeźby, choć piękne ponad wszelkie wyobrażenie, były martwe.

Jack jęknął.

- O co chodzi? - wykrzyknęła Thorgil, sięgając po nóż.

- To drzewo - szepnął.

Pega odwróciła się, by zobaczyć, co go przestraszyło. Drzewo wyglądało normalnie, dopóki nie podeszło się bliżej, skąd było widać, że jego owoce to tak naprawdę miodowe ciastka.

- Dobrze! - mruknął Brude, odpychając ich z drogi. Piktowie zgromadzili się wokół drzewa i zaczęli się opychać. Thorgil też wpadła w zbiegowisko, rozpychając się, walcząc o lepsze miejsce i obzerając się bez opamiętania. Jacka ogarnęła niepokojąca świadomość podobieństwa między Ludźmi Północy a Piktami.

Drzewo zostało wkrótce zupełnie ogołoczone. Kiedy jednak wojownicy odeń odeszli, z twarzami lepkimi od słodyczy, na gałęziach wyrosły nowe owoce. Ma się rozumieć, wrócili po dokładkę. W końcu Piktowie i Thorgil opadli na ziemię, najedzeni do nieprzytomności, ale wyraźnie szczęśliwi.

Pega ostrożnie zerwała palcami miodowe ciastko.

- Chcesz jedno, Jack?

Z niechęcią patrzył na drzewo.

- Skąd miód w miejscu, w którym nie ma pszczół?

- A kogo to obchodzi? - odezwała się wyciągnięta na ziemi Thorgil.

- Mnie. Pszczoły służą sile życiowej, a skoro ich tu nie ma, to drzewo nie istnieje. Nie wiem, co jedliście, ale nie zdziwię się, jeśli się po tym rozchorujecie.

- Naprawdę nie umiesz się bawić. - Córa miecza beknęła donośnie.

- Jeszcze jedno - dodał Jack. - Ojciec opowiadał Lucy bajkę o miodowym ciastku, które spadło na ziemię i zapuściło korzenie. Wyrosło z niego drzewo. Oto i ono! Ojciec wymyślił tę historię, ale w tym miejscu dzieją się rzeczy niemożliwe. Kwiaty są zbyt duże, owoce zbyt słodkie. Moim zdaniem to jest właśnie pozłota. Wszystko to kłamstwo.

Pega odłożyła swoje ciastko, nie skosztowawszy. Na jej twarzy widać było napięcie i zmęczenie.

- Kiedy wpadłam do tej... tej rzeki, myślałam, że umrę. Nie mogłam się ruszyć. Nie mogłam krzyknąć. Zniknęły wszystkie łąki i kwiaty. Było ciemno... ciemno... - Ukryła twarz w dłoniach.

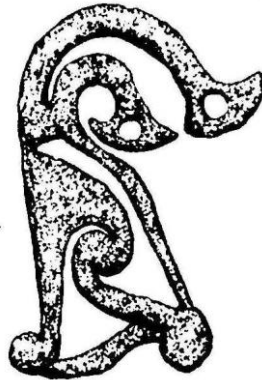
- To tylko zły sen. Nie myśl o tym. - Jack był przejęty jej wyraźną rozpaczą.

- To było prawdziwe! Trudno to sobie przypomnieć, wszystko jest tu takie piękne. Nie chce się pamiętać. - Pega cisnęła miodowe ciastko w krzaki. - Kraina Elfów zniknęła, a pozostała tylko jaskinia, pełna kości i brudu. Myślę, że właśnie takie jest naprawdę to miejsce, ale pozłota skrywa je przed nami. Tam nie było nadziei. Nie było ciepła. Ani miłości.

Coś w słowach Pegi obudziło w pamięci Jacka pewne wspomnienie. Razem z Thorgil czekał na Norny w pałacu Królowej Gór. Z oddali zaczęły dobiegać głosy. Zbliżały się i szeptały o świecie straty tak straszliwej, że na samą myśl można by oszaleć. Wszystko, co jasne, dzielne i piękne miało zostać pokonane. Nie dało się tego powstrzymać. Można było tylko patrzeć, jak wszystko umiera. I przypomniał sobie swoją odpowiedź na tę rozpacz: „Służę sile życiowej. Droga Norn to tylko jeden liść Wielkiego Drzewa. Nie wierzę w śmierć”.

## Rozdział 32

### Lucy



Jack już zamierzał powiedzieć Pedze o Nornach, gdy z wnętrza pałacu dobiegł dźwięk rogu. Rozległ się cały chór głosów. Frontowa brama otworzyła się i wyszli zza niej najpiękniejsi i najweselsi ludzie, jakich Jack w życiu widział. Nosili ubrania we wszystkich kolorach tęczy.

Niektórzy tańczyli niczym rzeźby przy fontannie, inni grali na harfach i fletach. Jeszcze inni rozrzucali płatki róż na wietrze i śpiewali głosami tak czystymi, że Jackowi omal nie pękło serce. Ogarnęły go piękno i tęsknota, aż stracił orientację, czy doświadcza właściwie radości, czy też cierpienia.

Stał jak wryty. Nie drgnąłby, nawet gdyby leciał na niego deszcz srebrnych strzał. Wszyscy pozostali wydawali się równie oszołomieni.

Towarzystwo podeszło bliżej i Jack rozpoznał myśliwego, który nosił imię Gowrie. Przy nim pani Ethne niosła girlandy kwiatów.

- Witajcie! - zawołała, wkładając girlandy Jackowi i dziewczynom. Brude z nadzieją nadstawił szyję, ale minęła go bez słowa. - Witajcie w Elfhame! Chodźcie wyleczyć swoje ziemskie troski. Wszelkie radości czekają w środku, gdzie władza Partholis wraz z Partholonem, swoim małżonkiem. Chodźcie, znużeni wędrowcy, i dołączcie do naszych zabaw!

Towarzystwo otoczyło Jacka. Czuł się niezmiernie szczęśliwy i uśmiechnął się do Ethne, która odpowiedziała uśmiechem, momentalnie zyskując jego zaufanie. Była taka promienna!

Nigdy nie znał nikogo podobnego. Bez wysiłku zdobyła jego lojalność.

Piktowie podążyli za nimi niczym wataha głodnych, źle traktowanych psów.

\* \* \*

Jack szedł jak we śnie. Jedne cuda prowadziły do kolejnych. Brama Elfhame była pojedynczym, złotym łukiem, otoczonym wieńcem szmaragdowych pnączy. Drzwi wykonano ze srebra. Wewnątrz wnosiły się kolumny, sięgające ciemnoniebieskiego sklepienia, upstrzonego setkami lamp.

Po obu stronach stały elfy, odziane w szaty obrębane futrem i wyszywane złotem. U ich stóp tańczyły małe pieski z dzwoneczkami na obrożach. Jeden podbiegł do Pegi, obnażył białe zęby, po czym czmychnął.

Niektóre z dam trzymały na smyczach dzieci. Maluchy ciągle się przewracały i płakały. Jedno łkało bez ustanku, więc właścicielka uderzyła je w głowę wachlarzem.

Jacka i jego towarzyszek przeprowadzono przez kilka komnat, każdą wspanialszą od poprzedniej. W końcu znaleźli się w sali o szklanej posadzce. W powietrzu płonęło miniaturowe słońce. Jack z zachwytem zadarł głowę, by poczuć na twarzy jego łagodne ciepło.

- Chodź - ponagliła ze śmiechem Ethne. Jack ruszył za nią po szkle. Zupełnie jakbym chodził po wodzie, pomyślał, bo pod przezroczystą posadzką widniał staw pełen ryb o złotych, skrzączących się łuskach. Elfia pani wzięła go za ręce i pociągnęła w wir tańca.

Thorgil pomacała stopą przejrzystą powierzchnię, zanim na nią weszła.

- Nie boję się tego - oznajmiła.

- Pewnie, że nie! - wykrzyknął Gowrie, ciągnąc ją za sobą.

Pega przystanąła na krawędzi, po czym ruszyła sztywno za tańczącymi parami. Jack obejrzał się i zobaczył, że nikt nie poprosił jej do tańca. Puścił Ethne i pobiegł z powrotem do dziewczyny.

- Chodź, Pego - powiedział uprzejmie, wyciągając rękę. W oczach miała taką wdzięczność, że aż zakłuło go serce. W królestwie hobgoblinów traktowano ją niemal jak królową. Tutaj jej szpetota boleśnie rzucała się w oczy. Próbował naśladować kroki elfów, nie należał jednak do najlepszych tancerzy, jeśli zaś chodzi o Pegę, nikt oczywiście nie kłopotał się, by nauczyć ją tańca. Jack znał tylko góralskie tańce, które polegały głównie na podskakiwaniu, dopóki człowiekowi nie zabrakło tchu.

Ethne jednak do nich dołączyła, a jej magia dodała im wszystkim gracji. Kręcili się wkoło, nad głowami mając miniaturowe słońce, a pod nogami - złote ryby. Ten taniec upajał.



Jack miał wrażenie, że wszystkie najlepsze dni jego życia zwały się w jeden. Był tak szczęśliwy, że wybuchnął głośnym śmiechem.

A potem znaleźli się w przeciwnym końcu sali. Jack zatrzymał się. Serce mu waliło, a ciało miał lepkie od potu. Pega oparła się o niego. Ethne wciąż była rześka jak skowronek.

Przed nimi wznosiło się podwyższenie, na którym stały cztery trony. Po prawej stronie siedziała Pani Jeziora. Jack dobrze ją pamiętał. Wciąż swędziały go plecy po tym, jak go trafiła. Dwa środkowe trony zajmowali kobieta w złotej szacie oraz mężczyzna, odziany w srebro. Po lewej zaś stronie, na tronie niewiele większym od zwykłego krzesła, zasiadła Lucy.

- Lucy! - krzyknął Jack.

Pani Jeziora uniosła rękę w ostrzegawczym geście. Mężczyzna, którego Jack wcześniej nie zauważył, powstał z posadzki u jej stóp.

- Całe szczęście! Udało wam się! - powiedział Brutus, zeskakując z postumentu. Nie miał już na sobie łachmanów niewolnika. Nosił piękną, złotą tunikę, nakrytą karmazynowym płaszczem. Wielki miecz Anredde powiesił przy wysadzonym diamentami pasie. - Nie mów jeszcze do swojej siostry - zalecił. - Trzeba tu przestrzegać pewnych dworskich obyczajów. - Złapał chłopaka za ramię i pociągnął, zmuszając do pokłonu przed tronami. Thorgil i Pega poszły za jego przykładem.

- Brutus... - zaczął Jack, zdenerwowany i zachwycony zarazem na jego widok. Co cwany niewolnik robił przez ten cały czas?

- Maniery, chłopcze - przerwał mu Brutus. - Szlachetni Partholis i Partholonie, moi towarzysze, o których wam opowiadałem - oznajmił, kierując w stronę podwyższenia kolejny przesadny ukłon. - Przybyli, by podziwiać waszą wspaniałość. Błagam cię o zakrycie twarzy, o Partholis, żeby nie oślepiła ich twoja uroda.

- Jak zwykle masz słodką mowę, potomku Lancelota - powiedziała ze śmiechem królowa. - Jak ty z nim wytrzymujesz, Nimue?

- Jego komplementy zmieniają się jak szemrzący strumyk - odparła Pani Jeziora i uśmiechnęła się. - Są różnorodne jak fale... i równie niestałe.

- Ranisz mnie, pani! Jestem zawsze wierny! - wykrzyknął mężczyzna, uderzając się w pierś. - Źródła, które radowały moją duszę, wyschły. Jestem zrozpaczony! Umrę ze smutku!

- Jeszcze nie umieraj - powiedziała Nimue, chichocząc. - Dzisiaj wieczorem urządzamy przyjęcie.

- To ten *thrall*, który wam zaginął? Wygląda na zupełnego szaleńca - mruknęła Thorgil do Pegi.

- Można się przyzwyczać. - Pega uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Witamy was, przyjaciele Brutusa - powiedziała królowa Partholis, powstając z tronu. - Oferujemy wam swoją dobrą wolę i gościnność. Korzystajcie swobodnie ze wszystkich przyjemności Krainy Elfów. Odnajdźcie ukojenie w jej pałacach i ogrodach. - Głos królowej kojarzył się z letnim deszczem, padającym na spękaną ziemię. Jack mógłby go słuchać godzinami.

- Jesteśmy bardzo wdzięczni, wasze szlachetne wysokości - odrzekł, kłaniając się niemal równie pięknie, jak Brutus. Czuł się głupio, ale sądził, że właśnie tak powinien się zachować.

Królowa znowu wybuchnęła perlistym śmiechem, a Jack uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Pani Ethne upредиła nas o waszym przybyciu, przygotowaliśmy więc ucztę. - Klasnęła w dłonie.

Z bocznych komnat wyroili się niewolnicy, taszczący stoły i ławy. Za nimi szli następni, niosąc parujące tace z łabędziami, dziczyzną, potrawkami z zająca, prosiętami i wieloma innymi potrawami, których Jack nie umiał rozpoznać. Ostrygi i trąbiki otaczały olbrzymiego łososia na tacy tak wielkiej, że musiało ją nieść sześciu mężczyzn. W kryształowych misach piętrzyły się skowronki, tak małe, że każdy starczał ledwie na jeden kęs. A oprócz tego, ma się rozumieć, były tam wszelkiego rodzaju ciasta, placki, keksy, babki, pierniki i budynie, jakie tylko można sobie wyobrazić.

Przez cały ten czas Lucy puszyła się na tronie, machając nogami. Jack poznawał to zachowanie. Oznaczało, że złości się, bo nie jest w centrum zainteresowania. Próbował przyciągnąć jej spojrzenie, ale Brutus go powstrzymał.

- Cierpliwości, chłopcze - ostrzegł. - Poczekaj, aż ich wysokości będą zajęte czym innym.

Jacka posadzono przy długim stole. Po jednej stronie miał Pegę, po drugiej zaś panią Ethne. Obok Thorgil siedział Gowrie, myśliwy. Ta dwójka od razu zaczęła dyskutować o sposobach ćwiartowania dziczyzny.

Brutus napakował sobie jedzenia na talerz, po czym przysiadł na podwyższeniu.

- O, fuj! - powiedział, klękając przy Pani Jeziora. - Takie delikatne ręce nie nadają się do krojenia kuropatw. Pozwól, że będę wkładał kęsy w twoje piękne usta.

Nimue oblała się rumieńcem i zachichotała. Jack zastanawiał się, jak to możliwe, że te brednie uchodzą niewolnikowi płazem.

- Ale się nadyma - stwierdziła Pega, gestem wskazując Lucy. - Porządna siostra już by z tobą porozmawiała.

- Pewnie została zaklęta - odparł Jack.

- Phi! Jest taka sama jak zawsze. A w jaki sposób przygotowali tę ucztę tak szybko? Wiem, ile trwa oskubanie łabędzia. A to co za potwór? - Uniosła gołębia z sześcioma udkami.

- Na ogół, jeśli czegoś nie znam, to tego nie jem - powiedział chłopak.

Thorgil wzięła gołębia, spałaszowała wszystkie udka, po czym oznajmiła, że są pyszne.

Jack rozejrzał się po sali. Nie zobaczył żadnych starych elfów, elfich dzieci też niemal nie było. Kilkanaście maluchów na smyczach przycupnęło u stóp swoich właścicieli. Jack z obrzydzeniem odwrócił wzrok i w duchu zadał sobie pytanie, czy te dzieci pamiętają jeszcze swoich rodziców. Nie przychodził mu do głowy żaden sposób uwolnienia ich.

Zauważył, że wszyscy niewolnicy są ludźmi, jako że elfy nie robiły niczego samodzielnie. Nie sięgały po łyżkę, leżącą po drugiej stronie stołu, lecz wzywały *thralla*, by ją podał. Ludzie uwijali się bez ustanku, nosząc potrawy, wycierając rozlane napoje i biegając od elfa do elfa, by spełniać ich najbliższe zachcianki.

Każdy z niewolników mógłby pochodzić z wioski Jacka. Byli to zwykli ludzie, którzy mieli pecha, zasnęli na jakimś elfim wzgórzu i nocą podążyli za upojną muzyką. Bard uprzedzał, jakie to niebezpieczne. Kiedy już dałeś się zwabić, mogłeś nie wrócić przez długie lata.

Brude'a i jego pobratymców nie zaproszono na ucztę. Czekali przy drzwiach, wachając powietrze i potarćając się nawzajem. Dobre psy, zostać - pomyślał Jack z ponurą satysfakcją. Piktowie okazali się mniej ważni nawet od niewolników.

Myśli chłopca krążyły to tu, to tam. W jednej chwili nienawidził elfów, a potem znów myślał o pani Ethne obok siebie i na powrót był oczarowany. Zadawała mnóstwo pytań o Midgard, rodziny, uprawę roli, a także, co najbardziej go zaskoczyło, o klasztory. Jack wiedział o nich niewiele, z wyjątkiem Klasztoru Świętego Filiana.

Ethne słyszała o tym miejscu. Czy to nie okropne, jak uwięzili Nimue w źródle? Ojciec Swein pokropił mury święconą wodą. Kiedy Nimue próbowała przez nie przejść, dostała strasznej wysypki.

Głos Ethne przypominał rwący strumień, spływający z górskiego stoku. Jack był nim urzeczony. Niemał nie zauważał Pegi, która siedziała po jego drugiej stronie.

- Teraz masz okazję - powiedziała Thorgil, szturchając go gołębim udkiem. Jack podniósł wzrok i zobaczył, że Partholis i Partholon zeszli z podwyższenia. Ruszyli na ceremonialny obchód sali, pozdrawiając poddanych i w odpowiedzi przyjmując ukłony. Uwagę Nimue całkowicie pochłaniał Brutus. Nikt nie pilnował Lucy.

Jack podszedł do postumentu i dotknął stopy siostry, by zwrócić na siebie jej uwagę.

- Przyszliśmy zabrać cię do domu - oznajmił cichym głosem.

Lucy zmarszczyła brwi.

- Czy ja cię znam?

- Jestem twoim bratem. Nie wygłupiaj się.

- Nie mam brata. - Wierzněła nogą w jego stronę.

- Jak sobie chcesz, ale masz matkę i ojca, którzy strasznie za tobą tęsknią.

- A, tamci. - Wzruszyła ramionami. - Moi prawdziwi rodzice są tutaj. A przynajmniej jest Partholis. Nie pamięta, kto jest moim ojcem.

Jack chciał ją uderzyć, ale opanował się.

- Przebyliśmy długą drogę, żeby cię uratować. Pewnie zostałeś zaczarowana i nie pamiętasz, jak dobrze było w domu.

- O, pamiętam! Nierówne posłania, brzydkie stroje i każdego dnia te same ciastka owsiane. - Pochyliła się w przód, a Jack z ukłuciem niepokoju dostrzegł naszyjnik w kształcie srebrnych liści.

- Co ja widzę? - powiedział, sądząc, że to on może być źródłem zaklęcia.

- Nie dotykaj! Złodziej! - Zeskoczyła z tronu i podbiegła do Pani Jeziora, która posłała Jackowi jadowite spojrzenie, nim odwróciła się z powrotem do Brutusa.

- Niemożliwie rozpuszczona - oceniła Thorgil, gdy chłopak wrócił na miejsce. - Zawsze mówiłam, że porządne lanie i noc wśród wilków dobrze by jej zrobiły.

- Może masz rację - przyznał ponuro Jack.

Partholis i Partholon skończyli obchód i znowu wspięli się na podwyższenie.

- A teraz deser - oznajmiła królowa. - Chciałabym poprosić naszych drogich gości, żeby zaśpiewali albo zabawili nas w jakiś inny sposób, by odwdzińczyć się nam za gościnę. Ty nie, Brutusie. Nie chcemy dawać Nimue powodów do zazdrości.

Brutus uśmiechnął się chytrze. Thorgil zaklęła pod nosem, Pega zaś wydawała się przerażona.

- Ja to zrobię - zaoferował się Jack. Wiedział, że dziewczyny nie przywykły do występów, sam zaś pokazywał się już przed znacznie gorszą publicznością. Śpiewał dla żądnych krwi berserkerów. Ci tutaj przynajmniej nie zamierzali go poćwiartować, gdyby występ im się nie spodobał.

Trony odsunięto na bok. Jack wspiął się na podwyższenie, a elfy wpatrywały się w niego uważnie. Wydawały się z uwagą czekać na pieśń, a jednak chłopak miał poczucie, że ich skupienie ma w sobie coś złowrogiego. Nieważne. Nie mogły być gorsze od półtrolki Frith, której moc była w stanie wprost zmrozić człowiekowi krew w żyłach.

- Zaśpiewam wam sagę o Beowulfie - zaczął.

Jack miał dobry głos i zdawał sobie z tego sprawę, ale efekty okazały się inne, niż się spodziewał, choć królowa miała uprzejmą minę, a Ethne uśmiechała się zachęcająco. Kiedy

skończył, wszyscy zaczęli klaskać bez przekonania.

- Słyszałam już tę opowieść - stwierdziła Partholis - od śmiertelnika, zwanego Smoczym Językiem.

- Od barda? - spytał zaskoczony Jack.

- Bezcelny był z niego typ - powiedziała królowa, uśmiechając się do swoich wspomnień. - Choć podobały mi się jego złote włosy.

Partholon poruszył się niespokojnie.

- Był łajdakiem pierwszej wody.

- Nie przypadło ci do gustu, że zwraca na mnie uwagę. Jesteś zazdrosny - odparła władczyni z zachwytem w głosie.

- Bzdura. Wszyscy zwracają na ciebie uwagę. Miałoby to tyle sensu, co przejmowanie się ómami, tańczącymi wokół światła. Smoczy Język umiał sobie poradzić z moimi najlepszymi czarami - mruknął Partholon, po czym znowu umilkł.

Elfy zaczęły się głośno domagać kolejnej historii.

- Na brwi Odyna, nie patrz na mnie - powiedziała Thorgil. - Wolę, żeby przesytyło mnie włóczęgą, niż bym miała robić z siebie idiotkę.

Gowrie jednak zaczął skandować imię córki miecza, a inni poszli za jego przykładem, więc dziewczyna, która wcale nie była aż tak przeciwna popisom, wspięła się na podwyższenie.

Kłopot w tym, pomyślał w pewnym momencie Jack, że ona tak naprawdę nie wie, jak się opowiada historię. Pędziła z akcją do przodu, a potem musiała wracać i objaśniać poszczególne wydarzenia. Miewała poetyckie przebłyski, ale jej głos miał tak surowe brzmienie, jakby bez przerwy przeklinała. Z drugiej strony, była lepsza od Svena Mściwego, który zapominał puenty dowcipów, i od Eryka Pięknołicego, który zawsze krzyczał. Ludziom Północy jej występy bardzo by się spodobały.

Thorgil opowiadała o Olafie Jednobrewym i jego bitwach. Ta saga mogła trwać bardzo długo. Olaf stoczył wiele bitew. Ale w połowie pierwszej opowieści, o tym, jak to wielkolud ocalił Ivara bez Kości przed Królową Gór, ktoś wybuchnął śmiechem.

Dziewczyna urwała. To jeszcze bardziej rozbawiło elfy, które zaczęły poszturchiwać się nawzajem.

- Dalej! - zawołał jeden z nich.

Córa miecza podjęła opowieść, ale śmiech powrócił i wkrótce zaraził już wszystkich.

- Jest kapitalna - szepnęła jedna z dam.

- Ten głos. Aż chce się wyc - powiedziała inna.

Thorgil poczerwieniała, a potem krzyknęła:

- Słuchajcie, ropuchożerne pięknie! Mówię o najmężniejszym człowieku, jaki kiedykolwiek żył, a jak się nie podoba, to mogę wam dokopać!

Cała sala zagrzmiała śmiechem. Elfy waliły w stoły i płakały z nieodpartej wesołości. Młoda wojowniczką wyciągnęła nóż. Brutus zerwał się na nogi.

- Uważam, że to był wspaniały występ! - zawołał, stając pomiędzy dziewczyną a jej niedoszłymi celami. - Podziękujmy tej walecznej istocie.

Zerwała się burza oklasków i okrzyków. Brutus szybko skierował Thorgil z powrotem na miejsce.

- Podobało im się? - spytała ze zdumieniem.

- Jak najbardziej. Mieli łzy w oczach - odparł niewolnik.

- Oczywiście - potwierdził Jack, choć wiedział, że tak naprawdę elfom najbardziej spodobał się u niej brak talentu.

- Teraz posłuchajmy małego hob-człowieka! - krzyknął Gowrie. Uznano to za świetny dowcip i wszyscy znowu wybuchnęli śmiechem.

- Nie mogę tam iść. - Pega skuliła się na ławie.

- Hob-człowiek! Hob-człowiek! Hob-człowiek! - skandowały elfy, bębniąc w stoły, a królowa Partholis wstała, by uciszyć tłum.

- Impreza robi się coraz gorętsza - powiedziała z pięknym uśmiechem. - Obawiam się, że musisz wystąpić, dziecko. Bez tego po prostu się nie uspokoją.

- Nie mogę - jęknęła Pega.

- Mamo, proszę - odezwała się Ethne, wstając z miejsca. - Mała jest ogarnięta strachem, a upór byłby okrucieństwem.

Partholis zmarszczyła brwi.

- Może jesteś moim dzieckiem, Ethne, ale masz w sobie więcej niż odrobinę człowieczeństwa. Mówię, że ma wystąpić, i koniec.

Ku zaskoczeniu Jacka, Ethne objęła Pegę ramieniem i szepnęła:

- Pójdę z tobą.

- Wszyscy pójdziemy - wtrącił Jack. - Nie martw się. Jeśli głos ci osłabnie, ja będę śpiewał dalej.

Trzęsąc się na całym ciele, dziewczyna pozwoliła się poprowadzić na podwyższenie. Thorgil i Brutus stanęli za nią niczym straż, a Ethne wzięła ją za rękę.

- Zaśpiewaj im hymn brata Caedmona - mruknął Jack.

A zatem Pega zaczęła. Z początku jej głos wydawał się niemal niesłyszalny, ale szybko

się otrząsnęła. Kochała muzykę nie mniej niż Jack, więc gdy już zaczęła śpiewać, zapomniała o wszystkim innym. Głos dziewczyny niósł się po sali, rozbrzmiewając łagodnymi nutami, które zrobiły takie wrażenie na bardzie i oczarowały Bugabu. Zdawało się, że całe piękno, którego brakowało jej ciału, skupiło się w tej jednej umiejętności.

*Chwalmy stwórcę bezkresu Niebios,  
Majestat Jego mocy i Jego wielką mądrość,  
Dziela władcy świata, stwórcy wszystkich cudów...*

Był to hymn, podyktowany bratu Caedomonowi przez anioła. Słuchając tej pieśni pojmowało się chwałę Niebios i cudowność ziemi. Była to pochwała życia większa niż wszystko, co Jack mógł przywołać za pomocą swojej laski. Odbierał ten fakt jako upokorzenie, ale w duchu przyznawał, że tak właśnie jest. Hymn tak go zaabsorbował, że na początku nie zauważył reakcji elfów. Siedziały w zupełnej ciszy.

Były oszołomione.

Ocknął się, gdy usłyszał łkanie. Elfia dama ukryła twarz w dłoniach, a kilka innych szlochało cicho.

- Oj, niech przestanie - jęknęła dama.

Mężczyźni także płakali. Jack doskonale wiedział, dlaczego, i oczywiście właśnie z tego powodu zaproponował tę pieśń.

Był oburzony drwinami elfów z Thorgil i Pegi. Wiedział, że chciały się tylko ponasmiwać z ludzi. Żaden śmiertelnik nie mógł się z nimi równać, a te znudzone - jak nazwała ich Thorgil? - ropuchożerne pięknie pragnęły tylko rozrywek. Dostały więcej, niż chciały. Hymn pochodził prosto z Nieba, czyli z jedynego miejsca, którego nie mogły osiągnąć. Pieśń z pewnością im o tym przypominała. Doskonały głos Pegi też stanowił niemiłą niespodziankę. Jack uśmiechnął się ponuro. Tego rodzaju zemsta nie wywoływała poczucia winy.

- Stać! - krzyknął jakiś głos za nimi.

Pega urwała. Partholon stał nad Partholis, która zemdlała. Ethne krzyknęła i pobiegła do królowej.

- Podstępni śmiertelnicy! - ryknął Partholon. - Sprowadziliście smutek do tego pałacu, który nie widział go od wieków! Brude! Zabierz tych ludzi do lochów! Potem postanowię, co z nimi zrobić.

Piktowie wpadli do pomieszczenia. Jack złapał Thorgil za nadgarstek.

- Nie możemy z nimi walczyć - powiedział cicho.

- Nie boję się walki! - wykrzyknęła córka miecza.

- Nie, dzielna wojowniczo - powstrzymał ją Brutus. - Przyjdzie czas na wojnę, ale nie tutaj, w samym sercu iluzji. Zaufaj mi. Wiem, jak to działa.

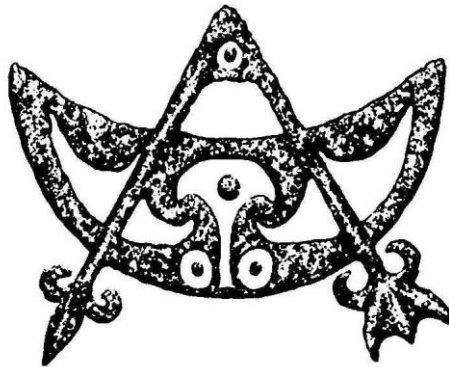
Thorgil splunęła na podłogę obok nogi Gowrie, ale schowała nóż.

Piktwowie otoczyli ich i wyprowadzili.



## Rozdział 33

### Więżniowie



Wędrowali długimi, krętymi tunelami. Światło stało się bledsze, a dźwięki, dobiegające z zewnętrznego świata, przycichły. Jack sądził, że będzie przerażony. Wcześniej jedyny kontakt z lochami miał w Din Guardi, gdzie zamknięto go w celi, wypełnionej rykami morskich potworów. Wcale się jednak nie bał. Przeciwnie, czuł się tym lepiej, im bardziej zagłębiali się w tunele. Rozjaśniło mu się w głowie, choć wcześniej nie zdawał sobie sprawy ze swojego otepienia. Fala wspomnień zaczęła wracać.

Brude szedł przodem z płonąca pochodnią. Miał w sobie coś znajomego i Jack nagle zrozumiał, co to takiego.

- To ty byłeś na targu niewolników! - wykrzyknął. Brude skulił ramiona, odmawiając rozmowy. - Kupowałeś niewolników od Olafa Jednobrewego. Proponowałeś świetny miecz za Lucy i tandetny nóż za mnie. Pewnie nie byłem wart zbyt wiele. - Uśmiechnął się smutno.

- Tak, to on! - zawołała Thorgil. - Dziwne, że wcześniej nie zauważyłam. Mówiąc między nami, powinnam była sprzedać mu Lucy. Od tamtej pory nic, tylko sprawiała kłopoty. *Hauu nehahwa oueem?*

- *Hwatu ushh* - powiedział Brude.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

- Mówisz po piktyjsku? - spytał Jack.

- Znam parę słów. Spytałam, dokąd prowadzi tunel, a on powiedział, żebym poszła jeść trollowe łajno.

- Miło.

- To moja wina, że tu jesteśmy - rozpaczła Pega. Płakała niemal przez całą drogę.

- Bzdura, panienko - odparł Brutus. - To najlepsze, co mogło się zdarzyć. Wyższe warstwy zalane są pozłotą. Nie da się tam normalnie myśleć. Tutaj powietrze jest czyste.

Jack zdał sobie sprawę, że mężczyzna ma rację. Powietrze faktycznie było tu świeże i ożywcze, co wydawało się dziwne, biorąc pod uwagę, że znajdowali się głęboko pod ziemią.

- Myślałam, że polubię elfy - załkała Pega. - A... ale one nie mają serca.

- Nie Ethne - zaprotestował Jack.

- Nie Ethne - przyznała.

Jack pomyślał o tej elfiej damie. Inne były piękne ponad wszelkie wyobrażenie, a jednak nie pamiętał ich twarzy. Natomiast obraz Ethne utkwił w jego umyśle.

- Jest bardziej... - przerwał, próbując określić różnicę.

- Nie śmiała się z Thorgil, tak jak reszta - przypomniała Pega.

- Kto się ze mnie śmiał? - spytała córka miecza.

- Nikt - odrzekł pospiesznie Jack. Zaczął się jednak zastanawiać nad tą kwestią. Faktycznie, spośród wszystkich elfów tylko Ethne okazywała współczucie.

W oddali Jack usłyszał dziwny dźwięk. Niósł się echem po krętym korytarzu niczym krzyk jakiegoś zwierzęcia: „ubba ubba... ubba ubba... ubba ubba”. Czyżby to była foka? Albo sowa? Skręcili za róg i stanęli przed żelaznymi drzwiami, strzeżonymi przez mężczyznę, którego Jack nie spodziewał się już nigdy zobaczyć. Kołysał się niespokojnie z boku na bok, kołysząc długimi rękami i pomrukując: - Ubba ubba... ubba ubba... ubba ubba.

Był to Guthlac, ten którego opętały potężne demony. Chłopak sądził, że olbrzym utonął w Studni Świętego Filiana. Wyglądało na to, że opętanie trwało nadal.

- W tył! - warknęli Piktowie, popychając Guthlaka na ścianę.

Brude szybko wyciągnął klucz i otworzył drzwi.

- W śśrrodku - syknął. - Cierrrrpienie.

- Tobie też miłego *hwatu ushh* - powiedział Jack, uchylając się przed ciosem. W chwili, gdy więźniowie znaleźli się w środku, drzwi zatrzasnęły się i Piktowie puścili Guthlaka.

- Gaaaaaa! - ryknął, rzucając się na metalową powierzchnię drzwi. Jack słyszał, jak uderza w nie ciałem i wali pięściami. Po chwili hałas ustał i do ich uszu znowu dobiegało tylko jednostajne „ubba ubba... ubba ubba”.

- Dobrze, że zamknęli drzwi na klucz - zauważyła Thorgil.

Pomieszczenie nie wyglądało wcale źle, w porównaniu z niektórymi miejscami, w których Jackowi zdarzało się bywać. Podłogę pokrywała czysta słoma, na stole zaś widniał

dzban z wodą i kubki, a także bochenki chleba i ser. Nie będą głodowali. Lampka, która też stała na stole, rozsiewała żółte światło. Blask nie sięgał zbyt daleko, ale sprawiał, że środek celi wyglądał pogodnie.

- Myślałem, że Guthlac nie żyje - powiedział Jack.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy my nie żyli - rozległ się jakiś głos w ciemnym kącie. Wszyscy podskoczyli, a Brutus wyciągnął miecz. W odpowiedzi rozległ się gorzki śmiech. - Przyszliście nas zabić?

- Nieceee - jęknął ktoś w przeciwległym kącie.

- Odwagi - powiedział pierwszy głos. - Jeśli dopisze ci szczęście, dostaniesz tylko kilka tysięcy lat w czyścicu.

Brutus odłożył broń. Jack zmrużył oczy, wpatrując się w ciemność.

- Dlaczego nie wyjdziecie do światła? - zaproponował.

Nastąpiła chwila milczenia, po czym z pierwszego kąta dobiegł szmer. Na słomie zaszurały powolne, pełne wysiłku kroki i z mroku wyłonił się mnich.

- Pamiętam cię - powiedział. - I ciebie, szatański pomiole. - Zgromił Thorgil wzrokiem.

- Poznajesz go? - spytał Jack.

Wzruszyła ramionami.

- Płdrujemy tyle klasztorów...

- Nieważne. Jestem tylko cieniem samego siebie. Wkrótce już nic nie zostanie. - Począł do ławki i ostrożnie usiadł. Wtedy Jack go rozpoznał. Był to mnich, sprzedany Piktom na targu niewolników. Wtedy był gruby.

- Bardzo się cieszę, że cię widzę - powiedział Jack. - Myślałem, że zjedli cię... ee...

- Piktowie? - Zakonnik parsknął śmiechem, co skończyło się napadem kaszlu. Z ciemnego kąta znowu dobiegł jęk. - Nie jedzą już ludzi, chociaż celowo rozsiewają tę plotkę. Dzięki temu ludzie się ich boją, a Piktowie najbardziej na świecie lubią strach. Mają teraz gorsze zwyczaje.

- Są jakieś gorsze zwyczaje od ludożerstwa? - Chłopak przejął się marnym stanem mężczyzny przed sobą. Szaty wisiały luźno na kościstym ciele. Wstrząsał nim kaszel, na policzkach zaś widniały czerwone plamy gorączki.

- Składają ofiary demonom, którym oddają cześć. Tak właśnie stało się z innymi, których zabrali ze mną. Najpierw zaproponowali nas elfom jako niewolników. Tych, których nie przyjęto, zaprowadzili pod drzewa podczas nowiu. Nie widziałem, co się tam działo, ale słyszałem krzyki.

- Nieceeee - jęknął mężczyzna w ciemnym kącie.

- Na pewno nie jest tam przyjemnie - powiedział Jack. - Dlaczego do nas nie przyjdiesz?

- On mnie zabije.

- Kto? Ten mnich?

- Nie! To dziecko wiedźmy, ręka Belzebuba, sługa Złego.

- Pamiętam te obelgi! - wykrzyknął Brutus.

Ruszył w ciemność i po krótkiej szamotaninie wyłonił się z mroku, ciągnąc za nogę ojca Sweina.

- Litości! Litości! - darł się opat Klasztoru Świętego Filiana, usiłując wczepić się palcami w podłogę.

- Wszystko mi się przypomina. - Brutus zaśmiał się. - Bicie, noce, gdy musiałem spać w śniegu, tygodnie o chlebie i wodzie. - Pchnął ojca Sweina na ścianę.

- Chyba nie chcesz się mścić? - zaskamlał opat. - To wszystko było dla dobra twojej duszy.

- Tak samo próbowałeś pomagać Guthlakowi - powiedział mnich. - On najwyraźniej nie wybaczył.

Do uszu Jacka dobiegło z zewnątrz stłumione „ubba ubba... ubba ubba”.

- Dlatego Piktowie go tu postawili - jęknął ojciec Swein. - Żeby mnie dręczyć. Teraz myśli tylko o jednym: chce rozerwać mnie na strzępy.

- Nawet nie wiedziałem, że żyje - powiedział Jack.

- Bo tak naprawdę nie żyje - wyjaśnił mnich. - Dzięki mojemu koledze znalazł się w połowie drogi w zaświaty, ale elfy ściągnęły go z powrotem. Guthlac utknął między życiem a śmiercią. Uwolnienie go byłoby aktem miłosierdzia.

- Przepraszam. Spędziliśmy razem tyle dni na statku Olafa Jednobrewego, a nigdy nie spytałem cię o imię - powiedział Jack.

- Po co pytać o imiona skazanych na zagładę? - odrzekł pustym głosem zakonnik. - Ale w lepszych czasach mówiono na mnie ojciec Severus.

- Severus! - wykrzyknęli chórem Jack i Pega.

- Zdaje się, że zyskałem pewną sławę - stwierdził mnich z upiornym uśmiechem.

- To ty uratowałeś brata Aidena - powiedziała Pega. - Mówi o tobie bardzo ciepło. Na pewno byłby zachwycony, gdyby zobaczył cię żywego.

- Więc przeżył najazd na Świętą Wyspę - mruknął ojciec Severus. Jego surowe oblicze złagodniało. - Zawsze był z niego dobry chłopak, spokojny i wyrozumiały. Trzeba uczcić jego ocalenie posiłkiem, chociaż sami nie mamy szans na ratunek.

Zgorzknienie mnicha niemal wywołało uśmiech na twarzy Jacka. Pamiętał je ze statku

Olafa.

Thorgil pokroiła chleb i ser, a Pega nalala wody. Większą część jedzenia pochłonał ojciec Swein. Ojciec Severus miał znikomy apetyt, pozostali zaś przyszli prosto z uczty. Jack stwierdził, że woda jest zaskakująco smaczna, znacznie lepsza od tej, którą pił wcześniej. Ugasiła jego pragnienie, podczas gdy tamta nie mogła go zaspokoić.

Z roztargnieniem dotknął laski i ku swojemu zaskoczeniu poczuł wibrowanie mocy. Ciepło rozlało się po jego ciele, napełniając go radością.

- Thorgil, czuję siłę życiową - oznajmił.

Dziewczyna uniosła dłoń do runy ochronnej na swojej szyi i skinęła głową.

- To brak pozłoty - powiedział ojciec Severus, posyłając obojgu ostre spojrzenia. - Proste istnienie Bożego świata jest potężniejsze niż każdy sen elfów. Uważają życie bez iluzji za straszliwą karę, ale ja wolę jeść prawdziwy chleb i leżeć na prawdziwej ziemi niż pławić się w tym, co w ich pałacach uchodzi za życie.

- Często tam chodzisz? - spytał Jack.

- Dość często. Uważają, że jestem... zabawny. To dlatego trzymają ludzi, albo jako niewolników, albo dla rozrywki. Nie doświadczają żadnych prawdziwych uczuć. Mogą tylko patrzeć, jak żebracy, zaglądający przez okno.

Po posiłku ojciec Swein wrócił do swojego kąta. Choć Jack sądził, że ukrywanie się w ciemnościach musi być okropne, opat najwyraźniej wolał się nie pokazywać.

Ojciec Severus zapalił kolejną lampę i podał ją Brutusowi, dzięki czemu mogli zwiedzić loch. Wcześniej jednak zademonstrował czasomierz, zrobiony ze starego pękniętego kubka. Napełniał go wodą i patrzył, ile czasu wycieka ona przez pęknięcie.

- Na Świętej Wyspie mieliśmy klepsydry - oznajmił - ale to też działa.

Jack nigdy wcześniej nie widział podobnego urządzenia. Osobiście uważał, że to głupi pomysł. Różne czynności zajmowały tyle czasu, ile było trzeba - polowanie, strzyżenie owiec, sadzenie roślin, tkanie - i mierzenie ich nie miało sensu. Zakonnik jednak stwierdził, że odmierzanie czasu jest nadzwyczaj ważne w klasztorach.

- Pozwala utrzymać porządek - wyjaśnił. - Mówi ci, kiedy wykonywać różne obowiązki, kiedy medytować, kiedy się modlić. Bez tego człowiek leniwieje. A to pociąga za sobą inne grzechy. - Spojrzał znacząco w kąt, w którym krył się ojciec Swein.

- W Klasztorze Świętego Filiana mieli klepsydry - zauważył Brutus. - O ile wiem, odmierzanie czasu nikogo nie uchroniło tam od lenistwa. Z wyjątkiem niewolników, ma się rozumieć.

Jack, Pega i Thorgil rozglądali się po więzieniu, a prowadził ich Brutus. Pomieszczenie

było bardzo duże. Otwory pod sklepieniem przepuszczały lekki wietrzyk. Na oczach Jacka przez jeden z nich do środka wpadła mysz, która następnie schowała się w słomie.

- Te dziury muszą prowadzić na zewnątrz - stwierdziła Thorgil.

- Na nic nam się nie przydadzą - odparła Pega. - Nawet ręki bym tam nie wcisnęła.

- I jesteśmy głęboko pod ziemią - dodał Jack.

Znaleźli naturalne źródło, z którego płynęła woda i znikła w ścianie. W bocznej celi znajdowała się wygodka. Pod drzwiami piętrzyła się słoma do spania. Ominęli kąt ojca Sweina i znaleźli się z powrotem przy stole, gdzie z zamkniętymi oczami siedział mnich i medytował.

Znowu więc wszystko obeszlą, by się upewnić, czy niczego nie przeoczyli. Okazało się, że nie. Więzienie było tak nieciekawe, jak się z początku wydawało. Aby ich rozweselić, Brutus zaczął opowiadać historie o Lancelocie i o tym, jak Pani Jeziora dała jego przodkowi miecz zwany Anreddelem.

- Umiesz się chociaż posługiwać mieczem? - spytała Thorgil.

- Nie gorzej od Lancelota - odparł, szczerząc zęby.

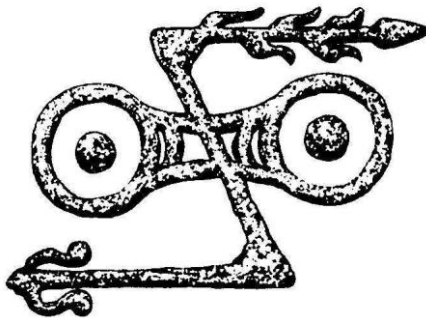
Ojciec Severus ocknął się z medytacji, po czym ponownie napełnił swój wodny czasomierz i powrócił do modlitwy.

Nie taki zły ten loch, pomyślał później Jack, kuląc się w stercie świeżej słomy. Mieli posłania i wodę. Ojciec Severus mówił, że Piktowie regularnie przynosili jedzenie. Nie było to takie straszne. Mogło jednak stać się straszne, gdyby musieli spędzić w ciemności wiele dni, tygodni i miesięcy. Dziwne, jak bardzo tęskni się za słońcem, kiedy go nie ma.

Poza tym, pomyślał Jack, nie tak łatwo będzie przyzwyczać się do Guthlaka. Jego „ubba ubba... ubba ubba” rozbrzmiewało przez całą noc.

## Rozdział 34

### Dzikie łowy



Jack obudził się. Nie wiedział, czy jest ranek czy noc, ale czuł się bardziej wypoczęty niż kiedykolwiek od chwili, gdy przybył do Krainy Srebrnych Jabłek. W jaskini hobgoblinów spał płytko i się nie wysypiał. Widocznie pozłota odbierała siłę. Może w Krainie Elfów, gdzie iluzja miała największą moc, sen w ogóle nie istniał. W wygodce paliła się lampa, ale główne pomieszczenie pogrążone było w niemal zupełnej ciemności.

Jack oczyścił sobie skrawek podłogi, pozostawiając małą stertę słomy, i przyzwał siłę życiową. Nie musiał rozpalać ognia. Zrobił to po prostu dlatego, że obecność siły podnosiła go na duchu, niczym towarzystwo starego przyjaciela. Słoma rozbłysła płomieniem i chłopak zobaczył ojca Severusa, siedzącego przy stole. Jego głowa przypominała czaszkę, obciągniętą cienką warstwą skóry. Chłopak zadrżał.

- Nauczyłeś się paru sztuczek od naszego ostatniego spotkania - powiedział mnich. - Wiesz, że czary to grzech.

Kiedyś Jack nie spierałby się z mnichem. Ojciec nauczył go podziwu dla tych wspaniałych ludzi. Wiele się jednak zdarzyło od czasu, gdy był zastraszonego chłopcem, prowadzonym na targ niewolników. Stał u podnóża Yggdrasila i pił ze Studni Mimira.

- Przywołuję życie. Życie to nie grzech.

Mnich roześmiał się.

- Patrzcie go! Będzie pouczał starszych! Życie to okazja do grzechu. Im dłużej trwa, tym więcej zła przywiera do twojej duszy, aż toniesz pod jego ciężarem. Zaraz mi powiesz, że magia jest tym samym, co cuda.

- Właśnie to chciałem powiedzieć - przyznał Jack. - W Klasztorze Świętego Filiana codziennie czynili cuda i nikt się nad tym nie zastanawiał.

- To nie były cuda - odparł ojciec Severus. - To były straszliwe wypaczenia. Żerowali na słabych i grabili ich do czysta. Gdybym ja odpowiadał za Klasztor Świętego Filiana, zrobiłbym z tymi mnichami porządek. Ciężka praca i post dla wszystkich. Ale nie musimy siedzieć tu w ciemności. - Postawił na stole lampę. - Tylko bez twojej magii, proszę. Użyjemy normalnego krzemienia i żelaza.

Zdaniem Jacka płomień rozpalony kawałkami metalu i kamienia był równie magiczny, jak ogień, który przyzywał swoją łaską. Nie chciał się jednak klócić. Ojciec Severus był słaby, być może umierający, a pomimo ponurego wyglądu, miał w sobie głęboką dobroć. Jego cześć dla „prostego istnienia Bożego świata” niewiele się różniła od szacunku barda dla siły życiowej.

- Mógłbyś napęłnić dla mnie dzban, chłopcze? - spytał mnich.

Jack pospiesznie spełnił prośbę. Minał Thorgil, która natychmiast się obudziła, i Pegę, która zakopała się w słomie niczym mysz. Widział tylko czubek jej głowy. Kiedy wrócił, ojciec Severus rozstawiał kubki i miski.

- Niedługo przyjdą Piktowie. - Uśmiechnął się ponuro mnich. - Czasami potrafię poznać upływ czasu po burczeniu w brzuchu.

- Dlaczego tu są? To znaczy Piktowie - spytał Jack. - Nie wyglądają na niewolników.

- Są zakłęci - odrzekł ojciec Severus. - Ulegli czarowi Jasnego Ludu dawno temu, gdy ziemią władali Rzymianie. To nie są zwyczajni Piktowie, lecz Pradawni, którzy odwrócili się plecami do Bożego świata. Nie zawierają już ślubów i nie mają dzieci. Żadna śmiertelna kobieta nie jest dla nich dość dobra.

- Skoro nie mają dzieci - powiedział ze zdziwieniem chłopak - dlaczego nie wymarli?

- Nie rozumiesz. To ci sami ludzie, którzy walczyli z Rzymianami i uciekli pod wydrażone wzgórza. Nie starzeją się, z wyjątkiem tych rzadkich sytuacji, gdy muszą wejść do Midgardu.

- Ile... mają lat?

- Setki - odparł zakonnik. - Nie zazdrość im. Długie życie nie dało im mądrości. Tylko jeszcze bardziej pograżyło ich w zepsuciu.

Jack poczuł zimny dreszcz, gdy próbował sobie wyobrazić tak długi czas. Już rok wydawał mu się wiecznością. Nawet tydzień mógł się ciągnąć w nieskończoność, jeśli się na coś czekało. Pega wyłoniła się z ciemności, drapiąc się po głowie, a za nią pojawili się Thorgil i Brutus. Ojciec Swein wciąż gdzieś się chował.



- Nie słyszę Guthlaka. To znaczy, że jest rano? - spytała Pega i ziewnęła.

- Dokładnie tak - odparł ojciec Severus. - Piktowie prowadzą go na spacer, zanim przyniosą jedzenie. Inaczej zbyt trudno byłoby im wejść i wyjść.

Usłyszeli głosy i szcęk otwieranego w drzwiach zamka. Na czele szedł Brude z pochodnią. Inni wnieśli chleb, ser, jabłka i pieczone gołębie, takie zwykłe, z dwiema nogami. Brude znalazł ojca Sweina, śpiącego w kącie, pochylił się nad nim i szepnął: - Ubba ubba.

- Co? Co to było? Nie rób mi krzywdy! - wykrzyknął opat, zrywając się na nogi. Piktowie ryknęli śmiechem.

- Iśśść - powiedział Brude, kiwając palcem na Brutusa.

- Nie, dziękuję - odparł niewolnik.

- Pani cię wzzzywa.

- A! To co innego. - Brutus strzepnął źdźbło słomy z ubrania i przeciągnął palcami po włosach. - Obowiązek wzywa - powiedział do Jacka.

- Jaki obowiązek? - spytał chłopak.

- Zabawianie Nimue. Widocznie namówiła Partholis, żeby mi przebaczyła.

- Zostawiasz nas? - wykrzyknął Jack, nad wyraz zirytowany faktem, że mężczyzna tak lekko porzuca przyjaciół.

- Muszę, jeśli chcesz, żeby woda wróciła do Din Guardi.

Wyszedł, pogwizdując między zębami denerwującą melodyjkę.

„Dlaczego do tej pory nie przywróciłeś wody?“, chciał spytać Jack, ale znał odpowiedź.

W Krainie Elfów mężczyźni było lepiej niż kiedykolwiek w życiu.

Piktowie zatrzasnęli drzwi.

- Wiedźmowy bachor - mruknął ojciec Swein, pakując sobie do miski tyle jedzenia, ile tylko zdołał zmieścić.

Po odejściu Brutusa z pomieszczenia wyparowała cała radość. Działał Jackowi na nerwy, ale jego leniwy urok podtrzymywał wszystkich na duchu. Śniadanie w więzieniu w towarzystwie ponurego mnicha i na wpół szalonego opata nie mogło tego zastąpić. Gdy niebawem wrócił Guthlac, Swein skrył się ze swoim śniadaniem w ciemności.

Jack, Pega i Thorgil opowiadali ojcu Severusowi o swoich przygodach. Mnich napełnił swój wodny czasomierz i słuchał, aż cała woda wypłynęła.

- Dosyc - nakazał, podnosząc rękę. - Trzeba robić różne rzeczy na przemian. Inaczej czas zacznie zbyt ciężko. Osobiście lubię modlitwy, przerywane medytacją na temat grzechu, ale wam brak dyscypliny. Dla młodych lepsza jest praca.

- A ile rzeczy do roboty może być w takim miejscu? - spytała Pega, rozglądając się po

rozległym, pustym pomieszczeniu.

- Dziesiątki - odrzekł z przekonaniem zakonnik. - Możecie pozamiatać, umyć miski, powybierać pchły ze słomy, wymierzyć podłogę dłońmi...

- Wymierzyć podłogę? - powtórzyła Thorgil. - A w czym to pomoże?

- Może bardzo pomóc, jeśli dzięki temu masz zajęcie. Nie ma znaczenia, czy praca jest pożyteczna, ważne, że pochłania umysł.

- Na Hel - mruknęła Thorgil, wymawiając imię bogini, której lodowe komnaty czekały na krzywoprzysięzców.

- Piekło to jest dokładnie to, co nas martwi - powiedział ojciec Severus. - Widziałem, co się dzieje z mnichami, którzy mają zbyt wiele wolnego czasu. Niektórzy stają się źli, a innych - ruchem głowy wskazał cień, w którym ojciec Swein wysysał szpik z gołębich kości - ogarnia szaleństwo.

Czy to opętanie przez pomniejszego, czy przez potężnego demona? - pomyślał Jack, tłumiąc śmiech.

- Zapewniam, że to poważna sprawa - powiedział ojciec Severus, marszcząc brwi. - Możemy tu spędzić całe lata. A raczej wy możecie. Ja tyle nie pożyję.

Podczas przerw w pracy Jack i dziewczyny opowiadali historie, ćwiczyli i rozwiązywali zagadki - ojciec Severus okazał się ich niewyczerpanym źródłem. Uczył dzieci łacińskich słów, a także dziwnej magii, zwanej „matematyką”. Sześć razy dziennie modlili się razem, oprócz Thorgil, która stwierdziła, że oddawanie czci bogu *thrallów* jest poniżej jej godności.

Jack pomyślał, że bez tych stałych czynności chyba by oszalał. Dni mijały w monotonii, bez choćby jednego promyka dziennego światła. Nakrzyczał na Pegę, która na to nie zasłużyła, i pobił się z Thorgil, która zasłużyła. Ojciec Severus go zbeształ. Rozumiał jednak rozpacz chłopaka i wyznaczył mu pracę, by ukoić jego umysł.

Jack miał wyłapywać małe zwierzątka, które spadały ze sklepienia, i wypuszczać je do dziur w podłodze. Nie wiedział, czy tam będzie im lepiej, ale w więzieniu z pewnością skazane były na zagładę. Ojciec Swein uwielbiał je zgniatać. Jeśli złapał jakieś zwierzątko żywcem, zabierał je do swojego kąta, skąd do uszu pozostałych dobiegały potem żałosne piski.

Opat stawał się coraz bardziej niebezpieczny. Żądał dla siebie najwięcej jedzenia, a że był największy, to je dostawał. Pozwalał, by to, czego nie zjadł, gniło. Smród zatruwał powietrze, ale nikt nie ważył się zbliżyć do jego kąta, by posprzątać. Czasami chodził dookoła, grożąc karą tym, którzy mu się sprzeciwią. Potem ten humor mu przechodził i znów cofał się do kąta, wydając głośnie jęki. Ojciec Severus modlił się za niego, ale modlitwy nie odnosiły żadnego

skutku.

Thorgil szepnęła, że jeśli opat kogoś zaatakuje, ona go zabije. Jack najbardziej obawiał się tego, że dziewczynie się nie uda.

Pewnego dnia - szóstego lub siódmego, odkąd przybyli do lochu - Jack spytał ojca Severusa o to, jak ten znalazł brata Aiden. Wcześniej przez dwa cykle wodnego czasomierza ćwiczyli „matematyczną magię” i Pega wybuchnęła płaczem przy następującym zadaniu: „Gdybyś miała dziesięć wędzonych węgorzy i pierwszego wieczoru zjadła dwa z nich, a drugiego osiem, ile by ci zostało?”

- Nie można zjeść ośmiu węgorzy za jednym razem - łkała. - Są za duże.

- Olaf Jednobrewy by zjadł - wtrąciła Thorgil.

- Tak czy owak, nie można nie mieć ani jednego wędzonego węgorza - upierała się Pega.

- Możesz nie mieć nic do jedzenia, ale nie wiesz, czego nie masz. - Miała kłopot z pojęciem zera. Podobnie jak Jack.

Ojciec Severus oznajmił, że pora na opowieści, i właśnie wtedy Jack spytał go o brata Aiden.

- Żyłem w lesie - odparł mnich. - Odbywałem pokutę, rozumiecie.

Jack przypomniał sobie, że brat Aiden wspominał o jakimś skandalu z udziałem ojca Severusa i syreny. Bardzo chciał o to zapytać.

- To było wspaniałe miejsce - powiedział mnich, a jego posępne rysy złagodniały pod wpływem wspomnień. - Miałem szałas, otoczony z trzech stron wielkimi dębami, które chroniły go przed wiatrem i deszczem. Woda z pobliskiego źródła była słodka jak rosa, a latem wokół rosły poziomki. Jesienią żywiłem się orzechami i jabłkami, których starczało i na zimę. Może wam się zdaje, że byłem samotny, ale to nieprawda. Sarny, borsuki i dzikie kozy igrały przed moim szałasem. Na gałęziach zawsze siedziało mnóstwo ptaków.

- Dla mnie nie brzmi to jak pokuta - zauważyła Pega.

- Zapewniam, że cierpiałem - odparł. - W każdym razie pewnej nocy usłyszałem odgłos pościgu przez las. Nocą, uważacie, gdy wszyscy dobrzy chrześcijanie powinni spać. „Skąd wiedzą, w którą stronę iść?” - zastanawiałem się. Trzaskały krzaki, czekały psy. Słyszałem tupot nóg i granie rogu.

- Wiedziałem już, że to nie jest chrześcijańskie polowanie, lecz coś innego. Ukłakłem, by modlić się o ocalenie, a przynajmniej o odwagę, by znieść to, co miał przynieść los. Po jakimś czasie odgłosy łowów ucichły. Podziękowałem Bogu za Jego miłosierdzie. A potem to usłyszałem.

- Co? - spytała Thorgil, pochłonięta barwną opowieścią mnicha.

- Dziecięcy płacz. W bezludnej głuszy usłyszałem małego chłopca, który płakał tak, jakby miało pęknąć mu serce. Wziąłem lampę i zacząłem szukać, ale głos ucichł. Bał się mnie. Miałem ogólne pojęcie, gdzie się znajduje, więc następnego dnia wystawiłem garnek z owsianką.

- Skąd miałeś owsiankę w środku lasu? - spytała Pega.

- Wolno mi było wziąć ze sobą owies, groch, fasolę i jęczmień - odparł zakonnik z lekkim zniecierpliwieniem. - Zadowolona?

Jack szturchnął Pegę, dając jej znak, by więcej nie przerywała.

- W nocy owsianka zniknęła i wiedziałem, że dziecko żyje.

- Na piersi Freyi, to lepsze niż saga - stwierdziła Thorgil.

- Oswoiłem wiele leśnych zwierząt - powiedział ojciec Severus, marszcząc brwi, by wyrazić dezaprobatę dla słów Thorgil. - Z dzieckiem nie było inaczej. Dzień po dniu wystawiałem jedzenie, siadałem pod jego ulubionym drzewem i opowiadałem historie. Chłopiec mnie nie rozumiał, o czym dowiedziałem się później, ale brzmienie mojego głosu musiało dodać mu odwagi. Pewnego dnia się pokazał. Ani drgnąłem. Po prostu siedziałem i mówiłem dalej. W końcu zaufał mi na tyle, że przyszedł do szałas.

Biedne, wygłodniałe, zabiedzone dziecko! Ciało miał całe w siniakach. Skóra i kości. Był ledwo żywy, a kiedy zobaczyłem znaki na jego skórze, zrozumiałem. - Zamilkł, by napić się wody. Był wytrawnym gawędziarzem i doskonale wiedział, kiedy przerwać.

- Co zrozumiałeś? - spytała Thorgil.

- Jestem zmęczony - odrzekł mnich. - Może jutro dokończę.

- Nie możesz teraz przerwać! - powiedziała Pega.

Jack zauważył lekki uśmiezek w kącikach ust ojca Severusa. Tak samo wyglądał bard, gdy wiedział, że przyciągnął uwagę wszystkich słuchaczy.

- Na pewno? - spytał mnich z głębokim westchnieniem.

- Tak! Tak! - wykrzyknęły jednocześnie Pega i Thorgil.

- Dobrze. Chłopiec miał tatuaż w kształcie półksiężyca, przykrytego złamaną strzałą. Pod spodem była linia, przedzielona pięcioma krótszymi kreskami, czyli runa *aiden*. *Aiden* to po piktyjsku „cis”. Półksiężyc symbolizował Księżycowego Człowieka, a złamana strzała Pana Lasu. Pewnie o nich nie słyszeliście.

- O, słyszeliśmy - odparł Jack.

- To demony, czczone przez Piktów, a tatuaż oznaczał, że dziecko przeznaczono na ofiarę!

- Nie! - krzyknęła Pega.

- Tak - powiedział ojciec Severus. - To on był celem Dzikich Łowów. Miał zginąć, ale zdołał uciec. Wiedziałem, że w lesie nigdy nie będzie bezpieczny. Piktowie na pewno by wrócili, zabrałem go więc na Świętą Wyspę. Nauczyłem go saskiego i łaciny, ale dobroci nie musiałem go uczyć. Nosił ją już w sobie. Chłopiec wyrósł na brata Aideny i został bibliotekarzem na Świętej Wyspie.

- Piękne zakończenie - westchnęła Pega.

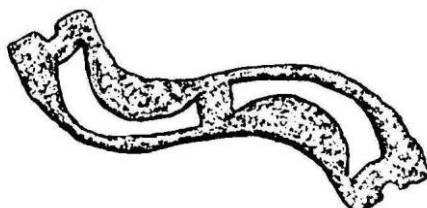
- Mogłoby być lepsze, gdyby mnisi wrócili do lasu i wyrznęli Piktów - powiedziała Thorgil.

- Mnisi tak nie robią - odparł ojciec Severus.

- Dlatego tak łatwo ich złupić - stwierdziła młoda wojowniczką z uśmiechem zadowolenia.

## Rozdział 35

### Wiadomość od barda



Nieobecność Brutusa głęboko niepokoiła Jacka. Za każdym razem, gdy Piktowie przynosili jedzenie, chłopak wydrapywał kreskę na ścianie i teraz naliczył ich już czternaście. Mężczyzny nie było od czternastu dni! Thorgil próbowała wypytać o niego Brude'a, ten jednak napluł na nią w odpowiedzi.

Jack ścigał polną mysz, która wlaźła w słomę, i złapał ją, zanim zbliżyła się do ojca Sweina. Uniósł ją delikatnie i popatrzył w jej lśniące oczy. Siła życiowa w tym rozedrganym ciałku przypominała nikłą iskierkę, lecz podniosła chłopaka na duchu. Wyobraził sobie rodzinę myszy, czekającą na jej powrót. A potem zauważył coś jeszcze.

Miała w pyszczku kwiatek.

Była to stokrotka, taka, jakich w środku lata pojawiało się tysiące. Jack widywał te kwiatki w każdym roku swojego życia, nie zwracał jednak na nie szczególnej uwagi. Teraz, w ciemnej celi, jedna, jedyna stokrotka świeciła niczym gwiazda. Mysz niosła ją, by zbudować gniazdo.

Chłopak wypuścił zwierzątko do tunelu, by mogło uciec, ale zatrzymał sobie kwiatek. Usiadł nieruchomo i nieoczekiwanie usłyszał w swoim umyśle głos:

*Szukam za labiryntem*

*Rozplątany węzeł*

*Otwartymi drzwiami.*

Zobaczył niewyraźny obraz domów w otoczeniu zielonych pól. Smugi dymu z palenisk wznosiły się w górę, a John Grotnik wołał swoje psy, idąc drogą przed siebie. Był to taki

zwyczajny, cudowny dźwięk! Za jego sprawą wizja stała się jaśniejsza i wyrazistsza. W drzwiach siedziały kobiety i czesały wełnę. Jakaś dziewczyna wyganiała z ogrodu uprzykrzoną owcę. Mężczyźni za pomocą kołków zbijali w całość elementy wozu. Jack słyszał w oddali łoskot ich młotów. A pola stokrotek ciągnęły się jak okiem sięgnąć.

Ale to nie tam miał być. Odwrócił się i znalazł się w pomieszczeniu. Było to przytulne miejsce, ze stołem i krzesłami, paleniskiem, które zapewniało ciepło, oraz ustawionymi pod ścianą łózkami. Przez okno wpadał snop światła słonecznego i Jack zobaczył jaskółkę, dziobiącą okruszki na podłodze. Popatrzyła na niego i zaświergotała: *ćwir, trit, ćwierk*.

*Też go widzisz? Mądry ptak!* - przemówił jakiś głos. Jack zadrżał.

*Piiip, ćwir, kuu* - odrzekł ptak.

*Nie wygląda najlepiej, ale nie martw się. Strzeże go dziki ogień.*

Bard patrzył na Jacka przez tubki ze zwiniętych dłoni. Za nim, na łóżku, leżał ojciec, blady i nieruchomy, z czuwającym u jego boku bratem Aidenem.

*Masz sprzymierzeńców, o których nawet nie wiesz* - powiedział bard, zwracając się bezpośrednio do Jacka. *Żadna iluzja, nieważne, jak nieodparta, nie ma szans przeciwko...*

Wizja rozmyła się. Chłopak chwycił powietrze, próbując ją przytrzymać, ale magia nie działała w ten sposób. Bard miał dość mocy, by widzieć drugą stronę. Jack nie miał podobnych zdolności. Nie umiał uspokoić umysłu na tyle, by choćby rozpocząć zaklęcie, zwłaszcza przy jękach ojca Sweina i dobiegającym zza drzwi „ubba ubba”.

Żadna iluzja nie ma szans przeciwko czemu? - pomyślał. Wiadomość urwała się przed przekazaniem tej ważnej informacji. I jakich sprzymierzeńców miał w tym mrocznym miejscu? Na pewno nie chodziło o Brutusa! Chłopak czuł zupełną bezradność. Mógłby wytrzymać głód, bicie i niewolę, ale nie tę złudną nadzieję. Nie panował nad niczym i nie mógł liczyć na ucieczkę. Pochylił głowę i poddał się rozpacz.

- Chodź tutaj, Jack - powiedział ojciec Severus, który siedział przy stole i grzał ręce nad lampą.

Jack usiadł, modląc się, by nie stracić panowania nad sobą. Nastąpiła długa cisza.

- Nigdy nie zapominaj, że wszystko pod słońcem ma swój cel - odezwał się w końcu ojciec Severus.

Jack nie rozumiał, o czym mowa.

- Gdybym nie zgrzeszył, nigdy nie wysłano by mnie do lasu. Gdyby nie wysłano mnie do lasu, nigdy nie uratowałbym życia Aidenowi - wyjaśnił mnich. - Gdybym nie wrócił na Świętą Wyspę, nie porwaliby mnie Ludzie Północy. Nie spotkałbym ciebie, Pegi ani Thorgil. Miałem się tu znaleźć, bo mnie potrzebowaliście. A wy troje mieliście się tu znaleźć z

nieujawnionego jeszcze powodu. Ale ten powód istnieje.

Jack głośno przelknął ślinę.

- Mówisz jak bard.

Zakonnik roześmiał się, co wywołało u niego atak kaszlu. Wypił kubek wody, by mu przeszło.

- Nie obrażaj mnie porównaniami z czarownikiem. Wiele słyszałem o twoim bardzie, czy też Smoczym Języku, jak nazywają go elfy.

- Naprawdę?

- Przybył tu jako młodzieniec. Zbierał jemiołę na elfim wzgórzu, gdy zauważyła go Partholis. Zwabiła go do środka i zatrzasnęła drzwi. Widzisz, była nim oczarowana, przynajmniej na tyle, na ile te bezduszne stwory mogą odczuwać coś wobec innych. Wydostanie się stąd zajęło Smoczemu Językowi rok. A gdy mu się powiodło, zabrał z sobą część najlepszych czarów Partholona. Znakomita sztuczka. Nie żebym pochwalał magię, ale...  
- powiedział mnich.

Opowieść wywołała w chłopaku ogromną radość. Stary dobry bard! Przechytrył okropną Królową Elfów.

- A to co? - spytał ojciec Severus, wskazując dłoń Jacka.

- Stokrotka. Mysz ją przyniosła.

- Naprawdę? - Mnich podniósł wzrok na ciemne sklepienie. - Często się zastanawiałem...

- Urwał. - Powietrze jest zawsze świeże, a czasami czułem zapach deszczu. Myszy, normice i ryjówki, które tu wpadają...

- Są zbyt słabe, by wejść głęboko pod ziemię - powiedział Jack. - Kiedy tu szliśmy, wydawało się, że schodzimy w dół...

- ...ale Kraina Elfów jest pełna iluzji! - wykrzyknął ojciec Severus. - No jasne! Dlaczego nigdy nie przyszło mi to do głowy? Skoro umieją sprawić, że w powietrzu pojawi się pałac... co to dla nich, wmówić nam, że schodzimy w dół, podczas gdy tak naprawdę...

- ...szliśmy w górę - dokończył Jack.

Obaj popatrzyli na sklepienie. Jack nigdy nie rozważał wspinaczki, która wydawała się bezsensowna. Jeśli jednak znajdowali się tuż pod powierzchnią, mogli się przebić...

Żelazne drzwi otworzyły się na oścież. Jack ujrzał przyciśniętego do ściany Guthlaka i Brude'a z pochodnią. To nie była pora na jedzenie. Piktowie przybyli tu z innego powodu, i to zapewne niezbyt miłego. Jack chwycił swoją laskę i miskę, by rzucić nią, gdyby zaszła taka potrzeba. Thorgil i Pega wyłoniły się z mroku. Nawet ojciec Swein wyszedł ze swojego kąta.

Pani Ethne przebiegła przez pomieszczenie i uklękła u stóp ojca Severusa.



- Próbowałam! Próbowałam! - zaszlochała.

- Spokojnie, dziecko - powiedział mnich, głaszcząc ją po głowie. - Powiedz, co cię zdenerwowało. Rozmowa na pewno pomoże.

- Nic nie pomoże - jęknęła Ethne.

- Na tym polega kłopot z pozyskaniem nowej duszy - powiedział łagodnie zakonnik. - To jak wyciągać łódź ze wzburzonego morza. Kochasz zbyt głęboko i nienawidzisz zbyt mocno. Strasznie cierpisz z powodu drobnych afrontów i zachwycasz się nieznacznymi przejawami sympatii. Trzeba czasu, by przywyknąć do śmiertelności.

- Nie o swoją duszę się martwię - odparła, ze łzami w oczach i drżącymi wargami podnosząc wzrok na ojca Severusa - lecz o twoją.

- Moja jest w rękach Boga.

- Nie rozumiesz! Przybył posłaniec Stamtąd. Wszystkich nas wzywają na święto letniego przesilenia.

Jack sądził, że ojciec Severus nie może już wyglądać na bardziej schorowanego, ale się pomylił. Mnich zadrżał, a jego twarz zrobiła się biała jak pergamin.

- Wszyscy muszą przyjść?

- Długo kłóciłam się z matką. Błagałam ją, by cię uwolniła, ale jest przerażona. Mówi, że to oni wybiorą. Mówi, że wpadają w gniew, gdy zbywa się ich czymś drugiej kategorii.

- Kiedy? - słowo zabrzmiało tak cicho, że zdawało się ledwie szeptem płomienia świecy. Jack, Thorgil i Pega nachylili się bliżej. Wydawało się, że ojcu Severusowi ledwie starcza sił, by mówić.

- Wkrótttce - odezwał się Brude i wszyscy podskoczyli.

Oczy błyszczały mu niczym oczy wilka w lesie. Wysoko unióśł płonąca pochodnię i wyciągnął rękę do włosów Ethne.

- Cofnij się! - krzyknęła, zrywając się na nogi. W jednej chwili z przerażonej dziewczyny zmieniła się w córkę Królowej Elfów. Brude skulił się, podnosząc rękę, jakby chciał się osłonić przed ciosem. - Mogłabym wysłać cię na Zewnątrz - warknęła Ethne. - Mogłabym cię wygnać z Krainy Elfów. Spędziłbyś resztę życia, leżąc na zimnym górskim zboczu i prosząc, by cię wpuszczono.

- Nnnieeee - jęknął Pikt, kuląc się u jej stóp.

Jack był zdumiony zmianą, która w niej zaszła.

- Zostaw nas, wstrętny robaku! - nakazała. Brude wymknął się z pomieszczenia. Ethne błyskawicznie na powrót stała się zapłakaną dziewczyną, którą była wcześniej. - Nie opuszczę cię - szepnęła i pochyliła się, by ucałować dłoń ojca Severusa. Wyszła z taką samą

gwałtownością, z jaką weszła, po czym zaryglowano za nią drzwi.

- Latawica - odezwał się ojciec Swein, wbiwszy spojrzenie w miejsce, w którym stała elfia pani. - Kusicielka. Bezwstydnica. - Potem pochłonęło go coś innego i wycofał się do swojego kąta, mamrocząc pod nosem.

- Nie rozumiem, o co tyle krzyku. My, Ludzie Północy, lubimy święto przesilenia - powiedziała Thorgil. - Olaf Jednobrewy robił wielkie, pokryte słomą koło, podpalał i staczał w dół wzgórza spod pałacu króla Ivara. To miało wybić trollom z głowy pomysł napaści. W dzień przesilenia góry się otwierają itrolle wypelzają na zewnątrz, szukając zaczepki. I znajdują, na Thora! - Dziewczyna uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

Jack widział, że nie zrozumiała tego, co w wizycie Ethne było najistotniejsze. Nie zaproszono ich na jakieś niewinne przyjęcie. Wystarczyło spojrzeć na twarz ojca Severusa, by wiedzieć, że czeka ich coś potwornego. Przypomnił sobie słowa barda w Din Guardi: „Elfy niechętnie przyjmują gości, z wyjątkiem dnia letniego przesilenia” oraz odpowiedź brata Aiden: „Wtedy lepiej nie być w pobliżu”.

- Czym Ethne tak się zdenerwowała? - spytał.

Mnich wziął głęboki wdech i zacisnął dłoń na cynowym krzyżyku, który nosił na szyi.

- Muszę dać przykład tym młodym - mruknął. - Nie mogę błagać o litość.

- Co się z nami stanie? - spytała Pega piskliwym głosem.

Ojciec Severus westchnął.

- Dawno temu elfy próbowały wstrzymać czas, ale nie mogły zrobić tego własnymi siłami. Poprosiły o pomoc moce Ciemności.

- Oj! Nie podoba mi się to - powiedziała Pega.

- Za takie rzeczy zawsze trzeba zapłacić. Elfy przeciągnęły lata w swojej krainie w nieskończoność i starzeją się tylko wtedy, gdy opuszczą tę zaklętą ziemię. W zamian za to, podczas letniego przesilenia muszą zapłacić trybut Piekłu. Znajdują dobrze odżywioną duszę i przekazują ją swoim przyjacielom. Demony gardzą zwykłymi grzesznikami, takimi jak drobne złodziejaszki. Twierdzą, że nie ma na nich dość mięsa. Ale nic nie sprawia im większej radości niż dobry mężczyzna, który zszedł na złą drogę. Albo kobieta. Nie są wybredne.

- Byłam drobnym złodziejaszkiem. Nie przypadnę im do gustu - powiedziała z nadzieją Pega.

- Na pewno się tobą nie zainteresują, dziecko - odparł zakonnik, siląc się na uśmiech. Wyglądał jednak przez to jeszcze bardziej upiornie. - Ilość zła, które uczyniłaś, nie zadowoliliby nawet chochlika.

- Mnie nie wybiorą - stwierdziła Thorgil. - Służę Odynowi, a nie bogu *thrallów*, który nie umie utrzymać porządku we własnym pałacu.

- Dopuściłaś się zbrodni, z których cię rozliczą - powiedział mnich - ale jeszcze nie teraz. Podczas święta przesilenia demony wolą smak poczucia winy. Twierdzą, że dodaje to potrawie pikantności. Ty, córo miecza, jesteś bezwstydną jak rzymski kot dachowy. Ciebie też nie wybiorą, Jack. Stosujesz czary, ale nigdy nie posłużyłeś się nimi w imię zła.

Jack poczuł nieodpartą ulgę. Przypomniały mu się opowieści ojca o demonach z długimi szponami.

- A co z nim? - skinął głową w kierunku ciemnego kąta, z którego dobiegało mamrotanie ojca Sweina.

- Już jest służbie Złego. Pewnego dnia po niego przyjdą, ale wolą trzymać swoje służki na ziemi, by przywodziły innych do grzechu.

- Czyli zostaje tylko... - Pega urwała.

- Zostają tylko ja - powiedział ojciec Severus.

- Nie jesteś zły!

- W młodości popełniłem akt wielkiego okrucieństwa. Nie będę się zasłaniał nieświadomością. W głębi serca wiedziałem, że to coś złego. Teraz mój grzech pociągnie mnie do Piekła.

Zapadła cisza. W końcu odezwała się Pega:

- Czy to miało coś wspólnego z jakąś syreną?

- Cicho bądź - syknął Jack.

- Muszę pogodzić się z losem, na który zasłużyłem - rzekł zakonnik, nie zważając na pytanie dziewczyny.

- Nie pozwolimy im cię zabrać - powiedziała Pega. - Staniemy przed tymi demonami i powiemy, jaki dobry z ciebie człowiek.

Mnich uśmiechnął się lekko.

- Odwołuję to, co powiedziałem wcześniej, moje dziecko. Nie nadawałabyś się nawet na przystawkę dla chochlika. Niestety, nikt nie może spojrzeć w Piekło i nie zamrzeć z przerażenia. Nie istnieje nic gorszego. Nic.

- To znaczy, że spojrzymy prosto w... - zaczęła Pega.

Jack popatrzył na nią i pokręcił głową. Widział, że ojciec Severus z trudem zachowuje udawany spokój.

- Chcesz być sam? - spytał.

- Tak! Tak! Muszę się pomodlić! - Mnich chwiejnym krokiem wszedł w ciemność i

wkrótce z różnych miejsc zaczęły dobiegać ścierające się ze sobą dźwięki: modlitwy ojca Severusa, jęki opata i „ubba ubba” Guthlaka. Pod ich wpływem atmosfera lochu stała się nadzwyczaj przygnębiająca.

Ale Jack nie zamierzał się poddać. Poinformował pozostałych o swoim przypuszczeniu, że znajdują się blisko powierzchni ziemi.

- Musimy wykopać sobie drogę na zewnątrz! - krzyknęła Thorgil, przejmując inicjatywę. Bez chwili wahania podciągnęła stół pod ścianę, po czym cała trójka ustawiła na blacie ciężkie ławy.

Jack wspiął się na chybotliwą stertę mebli i zaczął wykopywać dziury, które miały im pomóc we wspinaczce. Gdy się zmęczył, zastąpiła go Thorgil. Praca była powolna i wyczerpująca. Musieli wyciągać kamienie ze ściany. Na twarze spadały im grudki ziemi. Jack nie wiedział, w jaki sposób mają wydrążyć tunel, gdy już dostaną się do sklepienia. Musieli jednak spróbować.

Pega usiadła na dole i zastanowiła się.

- Myślę, że ojciec Severus nie ma siły, by się wspinać - zauważyła.

- Poniesiemy go - mruknęła Thorgil, chwytając się ściany.

- Nie wiem, jak mielibyśmy to zrobić. To znaczy... wystarczająco trudno samemu trzymać się tych dziur.

- Powiedziałam, że go poniesiemy! Waży nie więcej niż zdechły pies - odparła Thorgil. Ze zdwojonym zapalem rzuciła się na ścianę aż jej nóż zazgrzytał.

- Uważaj, bo złamiesz ostrze - poradziła Pega.

Jack oparł się o ścianę i odpoczywał. Coś się zmieniło. Młoda wojowniczką wciąż drążyła ścianę. Grudki ziemi opadały w dół. Po lewej modlił się ojciec Severus. Po prawej jęczał ojciec Swein. Brakowało „ubba ubba”.

Jack zerwał się na nogi. Z zewnątrz dobiegał tupot wielu nóg. Drzwi otworzyły się na oścież. Sterta ław runęła i Thorgil obróciła się. Z łatwością wylądowała na obu nogach, jak przystało na wojowniczkę, ale uderzenie ławki wytrąciło jej nóż z ręki.

Do celi wpadł tłum Piktów. Wypchnęli Jacka, Pegę i Thorgil na korytarz. Wyciągnęli ojca Sweina z jego kąta, a dwóch innych podniosło ojca Severusa z taką łatwością, jakby był to suchy patyk.

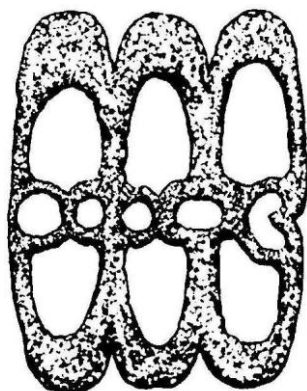
- Wy iśść - syknął Brude.

- Wolałbym zosstać - odparł Jack, uchylając się przed ciosem, w żaden jednak sposób nie mógł im stawić oporu.

Nadeszło święto letniego przesilenia.

## Rozdział 36

### Tajemni sprzymierzeńcy



- Dobrze się czujesz? - zwrócił się Jack do Thorgil. Ławka mocno ją uderzyła i nadgarstek zaczynał puchnąć.

- Bywało lepiej. Na kły Fenrisa, szkoda, że straciłam ten nóż! Przynajmniej nie znalazł go żaden z tych *hwattu shazz*.

- Czy to znaczy „odchody trolli”? - odgadł Jack. Po minach Piktów domyślił się, że była to obelga.

- Cuchnące odchody trolli - uzupełniła dziewczyna.

- Zdaje się, że pamiętam Fenrisa. Czy to był ten ogromny wilk, którego Thor zakuł w łańcuchy? - spytał.

- Tak. Fenris nie zgodził się, by go związano, dopóki bóg Tyr nie włoży mu ręki do pyska. Kiedy zrozumiał, że go oszukano, odgryzł Tyrowi rękę i ją połknął. Ha! To była wesoła opowieść!

- Skoro tak uważasz... - powiedział Jack. Pamiętał, jak Runa opowiadał tę historię w dniu, w którym Ludzie Północy przyprowadzili go do domu. Biwakowali na spowitej mgłą plaży i Thorgil dała Lucy naszyjnik w kształcie srebrnych liści. Co za nieszczęsny dar! Przypływ szczodrości doprowadził do zepsucia ceremonii dzikiego ognia, zniszczenia Studni Świętego Filiana i zranienia ojca. A teraz jeszcze groziło im zaciągnięcie do Piekła. Wszystko z powodu jednego naszyjnika.

Jack odwrócił się, by zerknąć na ojca Severusa. Mnich był zbyt słaby, by dotrzymać

kroku innym, więc go niesiono. Jeden z Piktów dostrzegł zainteresowanie Jacka i krzyknął:

- *Shooffhahh!*

Thorgil parsknęła śmiechem.

- To znaczy „psie wymioty”.

- Widzę, że znasz wiele ich przekleństw - powiedział chłopak.

- Takich rzeczy uczysz się na targach niewolników.

Ojciec Severus miał rację, pomyślał Jack. Nie miała w sobie ani krztyny skruchy za popełnione zbrodnie. Pega szła obok zakonnika, przytykając sobie do policzka świecę od matki Jacka. Chłopak miał nadzieję, że to dodaje jej otuchy. Nie potrafił doszukać się w ich położeniu niczego dobrego.

Podążali w górę - a może w dół? Jack zamknął oczy i próbował odgadnąć. Im dalej jednak szli, tym większa ospałość ogarniała jego umysł. Czuł, jak umykają mu wspomnienia. Chwilę wcześniej Thorgil przypomniawszy mu o mglistej plaży, teraz jednak nie potrafił już sobie przypomnieć, gdzie to było. Potem znikło nawet to wspomnienie. Miał jedynie poczucie straty, nic więcej.

Przeście zmieniło się - ponury kopalniany tunel przerodził się w korytarz, ozdobiony kosztownymi gobelinami. W wysadzanych klejnotami podstawach płonęły pochodnie. Podłoga o złotej powierzchni słodko dzwoniła im pod stopami. Pozłota, pomyślał Jack, nienawidząc jej i pragnąc zarazem. Cóż, czemu nie otaczać się pięknem? Po co mieszkać w kopalni, jeśli można mieć pałac?

Wiedział, że coś ma się wydarzyć, ale nie pamiętał, co. Spytał Thorgil, ale i ona nie wiedziała.

- Zabierają nas na święto letniego przesilenia - powiedziała Pega piskliwym, przestraszonym głosem. - Będą tam demony.

Odpowiedź lekko zaskoczyła Jacka. Dlaczego ona pamiętała, a on nie?

- My, Ludzie Północy, lubimy w dzień przesilenia urządzać polowanie na trolle - odezwała się Thorgil. - Mam nadzieję, że demony nie sprawią nam zawodu. - Straciła wątek i umilkła.

Dotarli do jakichś drzwi i tutaj Piktowie ich zostawili. To święto nie było przeznaczone dla Brude'a i jego wojowników. Stojące na warcie elfy skrzyżowały włócznie, by nie wpuścić Piktów, wskazały jednak Jackowi i jego towarzyszom drogę do środka. Piktowie przycupnęli w korytarzu i zaczęli iskać się nawzajem w poszukiwaniu pcheł.

Jack dostrzegł wśród *thrallów* Guthlaka. Był związany pńczami i w umyśle Jacka pojawiło się niemiłe wspomnienie portretu świętego Oswalda. Pnącza, które owijały

olbrzymia, wiły się i szumiały. Jakiś *thrall* założył mu na głowę kaptur.

- Ciekawe, co szykują dla tego biedaka - powiedział ojciec Severus, który szedł noga za nogą, opierając się na ramieniu Pegi.

- Niiieeee - jęknął ojciec Swein, próbując uciec. Pilnujące drzwi elfy odepchnęły go z powrotem. Guthlac jednak nie widział wroga, więc opat zdołał się przemknąć obok niego.

Znaleźli się na rozległym dziedzińcu pod rozgwieżdżonym niebem, na którym świecił księżyc w pełni. Pośrodku płonęło ogromne ognisko, zaś z boku znajdowały się ukwiecone ogrody, rozświetlone lampami, pochodniami i ogniem. Jasne cienie walczyły o lepsze z ciemnymi.

Elfy śpiewały, tańczyły, ucztowały, grały w różne gry i wyczarowywały potwory. Olbrzymia ropucha łapała językiem robaczki świętojańskie. Brzuch jej świecił, gdy owady wpadały do środka. Po chwili z ziemi wyrósł potworny, czarny kwiat, który połknął ropuchę. Zza zaciskających się płatków dobiegał jej żaloszny rechot. Małe dzieci wyły i próbowały odpełznąć, ale powstrzymały je smycze. Elfy śmiały się serdecznie.

Zdawało się, że wokół panuje wirujący chaos, trwa gorączkowe poszukiwanie kolejnych przyjemności i rozrywek, i Jack zdał sobie nagle sprawę, że w tym świętowaniu w ogóle nie ma radości. Był to szal, podobny do tego, który ogarnia owce po zjedzeniu spleśniałej trawy.

- Coś dotknęło mojej twarzy! - wykrzyknęła Pega. Jack obrócił się na pięcie, gotów do walki z tym, co ją przestraszyło. Nic jednak nie zobaczył. Dla pewności obszedł ją dookoła. Ścierające się światła i cienie utrudniały widoczność. - Coś tam było - upierała się dziewczyna. Najpierw poczułam to w korytarzu, a teraz tutaj.

- Zrobiło ci krzywdę?

- Nie. - Pega najwyraźniej nie chciała powiedzieć niczego więcej.

- Pewnie nietoperz - odezwała się Thorgil. Nad ogniskiem rzeczywiście co i rusz przelatywały duże skórzaste kształty wielkości szczeniąt.

Pega zadrżała.

- Poznałabym, gdyby to jeden z nich na mnie wpadł. Ale to bardziej przypominało... pocałunek.

- Może to coś chciało cię skosztować, sprawdzić, jak smakujesz.

- Thorgil! - ofuknął ją Jack.

- Jest Lucy - powiedziała Pega. W tym momencie Jack zobaczył królową Partholis i swoją siostrę. Obserwowały, jak z ziemi kiełkuje jakaś roślina.

- Nie, nie! - zawołała władczyni. - Najpierw gałęzie, a potem miodowe ciastka! - Lucy tupnęła nogą i sadzonka obumarła. - Nie wiem, po co uczę cię pozłoty - mruknęła królowa

elfów. - Masz mózg pchły.

- Dlaczego nie robi tego, co chcę? - jęknęła Lucy.

- Bo pozłota wymaga skupienia. No, dobrze. Ja to zrobię. - Partholis zamachała dłońmi i sadzonka ożyła, wydała gałęzie, liście, kwiaty, a w końcu ciastka. Lucy zaczęła pochłaniać przysmaki.

- Jest nasz gość honorowy! - wykrzyknął Gowrie, myśliwy, który tańczył z Thorgil na przyjęciu. Tłum elfów natychmiast pociągnął Jacka wraz z towarzyszami ku królowej.

- O, rany! Co on tu robi? - spytała Lucy z ustami wysmarowanymi miodem. Jack poczuł ukłucie gniewu. Po wszystkim, co przedsięwziął, by ją ratować, mogła przynajmniej ucieszyć się na jego widok. Ale przypomniał sobie, że dziewczynka może być pod wpływem zaklęcia. Na jej szyi wciąż połyskiwał srebrny naszyjnik.

- Przybył na ceremonię - wyjaśniła Partholis. - Ma być... no, wiesz.

Lucy odwróciła się, znudzona.

- Niech się zacznie święto! - zakrzyknął Gowrie, klaszcząc w dłonie.

*Thrallowie* wystawili krzesła, stoły i przekąski. Partholis i Partholon usiedli obok Ethne, która rzuciła pełne niepokoju spojrzenie w stronę ojca Severusa oraz Lucy.

- Nimue! - zawołała królowa. - Nimue! Chodź, usiądź z nami. Szykuje się świetna zabawa! - Pani Jeziora zaczęła przedzierać się przez grupę elfich dam, odzianych w coś, co przypominało rybie łuski.

- Chciałabym zostać - zagruchala - ale po prostu muszę uważać na Brucia-Pucia.

Brucia-Pucia? - pomyślał Jack i zamarł. Po chwili zobaczył Brutusa, wachlowanego przez okryte łuską damy.

- Nie może iść - jęknęła królowa. - Przyrzekł, że dla mnie zaśpiewa, a poza tym...

- I bez niego masz dość ludzi - powiedziała cierpko Nimue. - Obiecałam przywrócić wodę do Bebba's Town i muszę przyznać, że tęskno mi do bagien i moczarów. Teraz, gdy moc świętego Filiana została przełamana, mogę tam chodzić i wracać, kiedy tylko zechcę.

- Jesteś jak zwykle samolubna - parsknęła Partholis. Pani Jeziora ziewnęła lekko.

Brutus wy dostał się z tłumu pełnych podziwu kobiet.

- Czy to weszło słońce? Czy wszedłem w sam środek kwiatu? A może twoja olśniewająca uroda oślepiła moje oczy?! - wykrzyknął, kłaniając się przed królową.

- Oj, ty - powiedziała Partholis i zachichotała.

- Zapewniam, nic nie mogłoby mnie oderwać od twojej wspaniałości z wyjątkiem obowiązków wobec mojej pani! - wykrzyknął Brutus. - Niestety, jestem w niewoli.

- Im szybciej stąd wyjdziemy, tym lepiej - ponagliła Nimue.



- Obawiam się zatem, że muszę was wszystkich pożegnać - powiedział Brutus, znowu się kłaniając.

- Chwileczkę - powiedział Jack. - Jak możesz nas opuścić?

- Nie opuszczam was. Wypełniam zadanie.

- Bruciu-Puciu, jesteś nędznym krzywoprzysięcą - stwierdził Jack, posługując się najgorszą obelgą Thorgil.

- Głęboko mnie ranisz - zaprotestował niewolnik. - Miałem za zadanie przywrócić wodę do Din Guardi. I to właśnie zamierzam uczynić. A co mnie spotyka w zamian za wierną służbę? Czarna niewdzięczność. Ale wybaczam ci, bo potomkowie Lancelota nie chowają urazy.

- Potomkowie Lancelota co chwila zmieniają zdanie! - krzyknął Jack. - Opuuszczasz nas! Porzucasz, żeby zabrano nas w czeluście Piekła! To takie szlachetne?

- Ach! Masz sprzymierzeńców, o których nawet nie wiesz - odparł mężczyzna z tajemniczym uśmiechem.

- Jakich sprzymierzeńców? O czym ty mówisz?

- Chciałbym zostać. Niestety, w Krainie Elfów nawet powietrze ma uszy. Mogę jednak przekazać podarunek od nich.

- Sięgnął do kieszeni i wyciągnął mały skórzany woreczek. Jack zajrzał do środka. W środku znajdowała się bryłka krzemienia, a także gwóźdź z jasnego metalu i hubka, otrzymywana z suszonej huby.

- Narzędzia do rozpalania ognia! - zawołał chłopak, ogarnięty wściekłością. - Po co mi one? Tam mamy największe ognisko w Midgardzie!

Brutus uciszył go, przykładając sobie palec do ust.

- Byłaby to prawda, gdybyśmy rzeczywiście przebywali w Midgardzie. Ale w Krainie Elfów nic nie jest takie, jakim się wydaje.

- Nie możesz nas zostawić! - zawołała Pega, rzucając się na Brutusa. - Nie możesz zostawić jego. - Wskazała ojca Severusa.

Nawet Thorgil zmięknęła na tyle, że pociągnęła go za rękaw.

- Prawdziwi towarzysze trzymają się razem.

- Nie mam w tej kwestii wyboru. Pani gardzi ludźmi, oprócz mnie, ma się rozumieć. Nie zabierze was - powiedział Brutus, przytulając ich po kolei.

- Ale... ale... - zaczęła Pega i zalała się łzami.

- Przynajmniej daj mi Anreddena - poprosiła Thorgil. - Pewnie nawet nie wiesz, jak go używać.

- Wiercie mi, żaden miecz śmiertelnych was nie obroni. Pega ma broń, której musicie użyć, ale nie ośmielę się powiedzieć nic więcej.

Rybie damy wołały go, by do nich dołączył. Posłał im całusy.

- Muszę iść. Wodne nimfy są takie niecierpliwe! Słodkie istoty! - Poglaskał Pegę po potarganych włosach. - Pamiętaj o podarunku, który przekazałem Jackowi, panienko. Jest prawdziwy. Nie pochodzi z Krainy Elfów.

W tym momencie Nimue mocno złapała mężczyznę za ramię i wyprowadziła go. Później widzieli już tylko jego ciemną głowę, wyłaniającą się raz po raz spomiędzy rybich łusek w oddali.

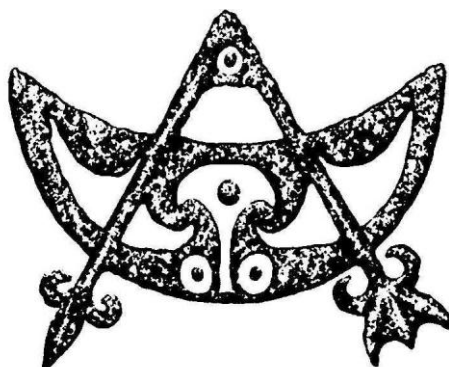
- Mam broń? Co on miał na myśli? Co mam zrobić? - spytała Pega. - Nie jestem wojownikiem. Mogłabym najwyżej zaśpiewać.

- Ostatnim razem przez twój śpiew trafiliśmy do lochu - przypomniała Thorgil.

- Brutus tak naprawdę niczego nie miał na myśli. Taki już po prostu jest - stwierdził z niesmakiem Jack.

## Rozdział 37

### Danina dla piekła



Elfy ustawiły się szerokim łukiem wokół łąki. W centrum zajęli miejsca Partholis i jej małżonek. W pobliżu trzaskało ognisko, strzelając wysoko w górę snopami iskier. Iskry unosiły się niczym złote światełka pomiędzy srebrnymi gwiazdami i ani na chwilę nie gasły. Czy demony wciągną nas w ogień? - pomyślał Jack. Czy iluzja może spalić? Doszedł do wniosku, że pewnie może. Na twarzy bez wątpienia czuł gorąco. Gowrie zaklaskał w dłonie, domagając się ciszy.

Partholis rozpoczęła ceremonię.

- Nastalo święto letniego przesilenia - odezwała się słodkim głosem. - Księżyc jest prawie w zenicie, a nasi goście - tu głos lekko jej zadrzał - wkrótce się zjawią. Najpierw musimy mieć rozrywkę, proszę więc ponurego mnicha - po zgromadzeniu poniósł się chichot - o jedno z jego zabawnych kazań.

Jack był zdumiony, ale ojciec Severus nie okazał zaskoczenia. Wspierając się na ramieniu Pegi, poczłapał powoli w stronę królowej, aż stanął przed nią.

- Postępujesz głupio, jak zwykle - powiedział. - Dano ci szansę na zbawienie, ale zatkałaś uszy. Czas na ciebie czeka, fałszywa królowo. Możesz się ukrywać w tej błyskotce zwanej Krainą Elfów, ale pewnego dnia ją utracisz. Będziesz się błąkać po zimnych traktach, aż znikniesz niczym mgła o wschodzie słońca. Tego strasznego dnia żadna z twoich kłamliwych sztuczek nie powstrzyma czasu. Ukorz się! - Nagle podniósł głos, aż Jack dostał gęsiej skórki. - Ukorz się! Albowiem nadchodzi godzina, gdy strażnicy domów zadrzą, a silni pokłonią się

ziemi. Wszystkie drzwi się zamkną, a córki muzyki upadną.

Gdy mnich przemawiał, wyprostował się, a wszystkie oznaki choroby zniknęły. Jack widywał już to samo u barda. Starzec bywał czasem wyczerpany po ciężkim dniu. Miał wtedy zeszywniałe, niezgrabne palce. Kiedy jednak brał do rąk harfę, znów stawał się młody, grał bezbłędnie i miał mocny głos.

Tak działała magia, tkwiąca w muzyce. A tutaj Jack widział magię innego rodzaju. Oczy Pegi lśniły, nawet Thorgil słuchała z otwartymi ustami. Córa miecza odczuwała szacunek wobec mocy. A tu miała przed sobą prawdziwą moc!

Potem jednak Jack usłyszał inny dźwięk, który narastał, aż zagłuszył ojca Severusa. Śmiech! Elfy rechotały, tupwały nogami i klepały się nawzajem po plecach. Partholis była tak rozbawiona, że Partholon musiał dać znak jednemu z *thrallów*, by przyniósł jej wina.

- Och! Och! To było dobre! - krzyczała królowa. - Zupełnie jakby za mocno ciągnąć strunę. Ping! I poszła!

Tylko Ethne okazywała zdenerwowanie.

- Przestańcie! - zawołała. - Nie śmiejcie się z niego! Ma rację. Musimy się ukorzyć.

- Ethne, jesteś jeszcze nudniejsza niż zwykle - uznała Partholis, ocierając oczy. - To przez tę odrobinę człowieczeństwa.

- Pólczłowiek! Pólczłowiek! Pólczłowiek! - zakpiła Lucy.

- Nie, nie. Nieladnie - zbeształa ją królowa.

- Ale to zabawne - odparła dziewczynka.

Władczynie objęła ją i przytuliła.

- Może i bywasz okropna i masz mózg pchły, ale jesteś w pełni elfem - powiedziała z dumą. I wtedy Jack zyskał całkowitą pewność, że Lucy nie jest pod wpływem zaklęcia. Naszyjnik nie odpowiadał za jej zachowanie. Obudził w niej tylko wrodzony instynkt. Lucy była elfem i nosiła w sobie typowe dla tej rasy samolubstwo i okrucieństwo. Nigdy nie kochała taty i mamy. Nigdy nie kochała jego. Była po prostu targanym pragnieniami stworzeniem, które pewnego dnia zniknie niczym tęcza z zapadnięciem nocy.

Jack bardzo posmutniał. Ale miał też poczucie, że stał się wolny. Nie musiał się już martwić ani myśleć o tym, jak ją ocalić, bo przywiezienie jej z powrotem do rodziców tylko sprowadziłoby na wszystkich wielki smutek.

Tymczasem śmiech zupełnie zagłuszył głos ojca Severusa. Wydawało się, że mnich kurczy się na oczach Jacka, na powrót stając się schorowanym, słabowitym człowiekiem.

- Potwory! - krzyknęła Pega z błyskiem w oku.

- Potwory miałyby więcej honoru - stwierdziła Thorgil.

- La, la, la! Pora na następne wydarzenie - oznajmił z drwiną Gowrie. Najwyraźniej grał rolę mistrza ceremonii. Dał znak *thrallom*, by zabrali ojca Severusa i innych na bok. Z powietrza wyczarowano niskie ogrodzenie, wyznaczające boisko do gry. Elfi panowie i panie stanęli wokół. Jack z niepokojem zauważył, że uzbrojeni są w coś, co wyglądało jak długie języki ognia. Płomienie wiły się w powietrzu niczym żywe istoty, a oczy elfów połyskiwały w ich blasku.

Ojciec Swein został przywiązany do drewnianego bloku pośrodku ogrodzonego pola. Stał tam, mrugając powiekami i tocząc spojrzeniem po zgromadzeniu. Niewolnicy wyciągnęli na boisko Guthlaka, ściągnęli mu kaptur, po czym uciekli. Pnącza zsunęły się z rąk i nóg wielkoluda.

Przez chwilę oszołomiony mężczyzna po prostu stał bez ruchu. Wśród tłumu poniósł się podniecony szept.

- UBBA UBBA! - ryknął Guthlac, rozpoznawszy swojego wroga. Rzucił się na ojca Sweina. Opat był silny, ale nie miał najmniejszych szans z kimś opętany przez potężnego demona. Przeciągnął drewniany blok na skraj pola, cały czas unikając ciosów i ugryzień Guthlaka. Gdy jednak tam dotarł, odegnano go za pomocą ognistych biczów.

Posuwali się to naprzód, to w tył. Obaj krzyczeli, ile sił w płucach, a ojciec Swein zbierał razy. Udało mu się zadać kilka ciosów, ale Guthlac przyjął je tak, jak ukąszenia pcheł. Szata mnicha była w strzępach. Krwawił z tuzina ran i zaczynał już chwiać się na nogach. Gdy któryś z mężczyzn zbliżył się do ogrodzenia, elfy wyganiały go z powrotem na środek.

Wszyscy wznosili radosne okrzyki. Partholon klaskał. Lucy tańczyła jak szalona. Nawet Ethne oblała się rumieńcem i wyglądała na podekscytowaną.

- Powstrzymajcie ich! Powstrzymajcie! - krzyknęła Pega.

- Wrzucimy tam też małego hob-człowieka? - zawołał Gowrie.

- Tak! Tak! - odpowiedział chór głosów. - Hob-człowieka! Hob-człowieka! Hob-człowieka!

Z rozbawieniem na przystojnej twarzy, Gowrie wyciągnął ręce po dziewczynę. Jack uderzył go w nogi laską. Gowrie upadł z miną znamionującą zupełne zaskoczenie.

- Uderzył mnie! - krzyknął.

Pozostałe elfy ryknęły śmiechem.

- Dalej, Gowrie! Bierz hob-człowieka!

Myśliwy z wysiłkiem dźwignął się na nogi i Jack przygotował się do walki, ale ojciec Severus stanął między nimi.

- Ja zajmę miejsce dziewczyny - oznajmił.

To dopiero było coś!

- Wrzucić tam ponurego mnicha! Dwóch mnichów kontra jeden demon! Ale zabawa! - przekrzykiwały się uradowane elfy.

- Nie! - krzyknęła Ethne, pochłonięta wcześniej walką.

- Oj, zamknij się, żalosa imitacja elfa! - parsknęła Partholis. - Ale istotnie, musimy przerwać. Rozdzielić ich - nakazała. - Jak tak dalej pójdzie, nie zostanie nam nikt ku uciesze naszych gości. A wszyscy wiemy, co to oznacza.

Elfy natychmiast otrzeźwiały. Odciągnęły Guthlaka od ojca Sweina i znowu spętały go pnączami. Opat runął na ziemię. Magiczne ogrodzenie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło. Elfy wróciły na swoje miejsca.

Wszyscy zamilkli, z wyjątkiem Guthlaka. Przesępował z nogi na nogę, mamrocząc coś pod nosem. Ognisko trzaskało. Księżyc nieco przybliżył się do zenitu. Wszyscy czekali. Jack ochronnym gestem objął Pegę. Thorgil stała, z trudem tłumiąc w sobie energię gotowego do bitwy Człowieka Północy. Ojciec Severus pogrążył się w modlitwie.

Ze środka ogniska rozbrzmiał odległy zgrzyt rozdieranego kamienia. Płomień pojaśniał. Sięgał samego nieba, języki płomieni dotykały gwiazd. Z oddali do uszu Jacka dobiegły krzyki. Serce mu zamarło od rozbrzmiewającego w nich bólu i strachu. Były to głosy potępionych.

Jack chciał uciec, ale nie mógł. Jego nogi przywarły do ziemi. Odebrało mu całą wolną wolę, wszystkie racjonalne myśli. Mógł tylko patrzeć w ogień i obserwować pojawiające się w nim kształty.

Były gorsze niż wszystko, o czym opowiadał mu ojciec. Ojciec nigdy nie widział prawdziwego demona. Nie chodziło tylko o ich szpony i kły, ale także o budzące obrzydzenie ciała, na wpół skryte przez płomienie. W ich oczach lśniła ponura wiedza. Widziały najgorsze rzeczy i miejsca. Nienawiść biła od nich niczym najohydniejszy smród. A samego smrodu też nie brakowało. W ich oddechach mieszało się tysiąc odorów zepsucia.

Jack zakrył nos, ale na nic się zdało. Pega klasnęła w dłonie. Ojciec Severus opadł na kolana. Thorgil pochyliła się i zwymiotowała. Nie ona jedna. Paniczny strach ogarnął gapiów, zarówno elfy, jak i ludzi. Ojciec Swein leżał tam, gdzie upadł, mamrocząc coś w przerażeniu.

Jakiś wysoki kształt, który pojawił się w ogniu, wyciągnął długą rękę i wskazał zwęglonym palcem najpierw Jacka, potem Pegę i Thorgil. Przy Thorgil przez chwilę się zawahał. *Córo miecza* - zabrzmiał głos niczym grzmot burzy w oddali.

Dziewczyna wbiła wzrok w płomienie. Nie mogła się ruszyć. Spotkała godnego przeciwnika, i nawet w tym momencie, gdy wszystkich innych paraliżował strach, zdołała

przemówić.

- Jestem wojowniczką Odyna - wydyszała. Jack widział, że mówienie sprawia jej ból. - Nie należę do ciebie.

Istota roześmiała się, aż zatrzęsała się ziemia. *To się jeszcze okaże* - powiedziała. *Ale co my tu mamy? Palec przesunął się i wskazał ojca Severusa. Pamiętam cię. A czy ty pamiętasz mnie? Pamiętasz, jak szeptałem ci do ucha o syrenie?*

Mnichowi odebrało mowę. Jego palce zaciskały się na cynowym krzyżyku, a wargi się poruszały, choć nie dobywał się z nich żaden dźwięk.

*Ach! Wspaniały smak poczucia winy. Zapach wstydu.*

W ognisku zasyczały inne, pełne zachwyty głosy.

- Zostawcie... go... w spokoju - zdołał wyszeptać Jack.

Palec zatrzymał się.

*Opór. Lubię go, choć nie jest tak smaczny, jak wstyd.*

- Odejdź - jęknęła Pega.

*I lojalność.* Głos wydawał się lekko zaskoczony. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, Thorgil rzuciła się w przód. Nie miała broni, więc uderzyła w palec pięścią. Zajaśniała błyskawica. Płomień ogarnął prawą rękę dziewczyny. Krzyknęła, gorączkowo tarzając się po ziemi, by zgasić ogień. Ten jednak przyczepił się do niej niczym żywe stworzenie. Istota zwróciła teraz na nią całą swoją uwagę, śmiejąc się i wstrząsając ziemią.

Złowrogi czar, który utrzymywał Jacka i Pegę w bezruchu, zdawał się słabnąć.

- Pega - wydusił z siebie Jack. - Wyciągnij swoją świecę.

Zrozumiał, co bard próbował mu powiedzieć w wizji. „Strzeże go dziki ogień”, mówił starzec. „Żadna iluzja, nieważne jak nieodparta, nie ma szans przeciwko...”

Nie ma szans przeciwko czemuś prawdziwemu. Chwycił narzędzia z woreczka i skrzesał iskrę na hubkę. Pojawił się drobny płomyk, blady na tle potężnego blasku ogniska. Pega podstawiła świecę.

Knot zapalił się. Światło było bardzo słabe, ale prawdziwe, w miejscu, gdzie wszystko inne było złudzeniem. Pochodziło z dzikiego ognia, przywołanego wysiłkiem wieśniaków w najciemniejszą noc w roku. Stanowiło czystą siłę życiową.

Światło łagodnie odeгнаło mdłe iluzje Krainy Elfów i kłamstwa, które dawały Piekle śmiertelności moc. Najpierw oświetliło Thorgil i zdlawiło ogień, który trawił jej rękę. Dziewczyna jęknęła i zwinęła się w kłębek.

Światło podążało dalej. Było to cudowne zjawisko. Nikły blask zdołał ogarnąć ogromną przestrzeń. Ognisko zgasło. Księżyc zamigotał i zniknął. Światło zaczęło docierać do elfów.

Ich wspaniałe szaty i klejnoty rozplywały się. Piękne twarze zmizerniały, a wiecznie młode ciała stały się tym, czym były naprawdę: wysuszonymi skorupami istot, których czas niemal już minął. Partholis zmieniła się w starą wiedźmę. Partholon wyglądał jak strach na wróble. Gowrie stał się przypominającym lisa opryskiem o rozbieganych oczach. Nawet Lucy, która naprawdę była młoda, straciła swoje piękno i przerodziła się w bezwzględną, samolubną istotę, którą w istocie była. Srebrny naszyjnik zmienił się w ołów.

Całe królestwo elfów okazało się brudną jaskinią, pełną śmieci i kości. Ale co najbardziej zdumiewające, tam, gdzie wcześniej płonęło ognisko, ział czarny otwór. Różne stwory przepelzały przez jego krawędź niczym olbrzymie robaki albo na wpół zgniłe ścierwa, wyrzucane na plażę po sztormie.

Istota wciąż jednak budziła przerażenie. Była płataniną macek, wylaniających się z dziury, królem wszystkich pukaczy. Wciąż syczała i wygrażała.

*Dostanę swoją daninę* - zagrzmiała mrozącym krew w żyłach głosem.

- A ja ci ją dam! - Guthlac, którego więzy zniknęły w blasku świecy, złapał ojca Sweina i pchnął go pomiędzy macki. Opat krzyknął i zniknął w rozedrganej masie. Guthlac roześmiał się. - Uczta w sam raz dla mojego pana! - zawołał.

*Ty głupcze* - odezwała się istota. *On już należał do mnie i nie jest pożywniejszy niż okruch suchego chleba. Chodź, a otrzymasz karę.*

Wielkolud otworzył usta jak do krzyku, lecz zamiast tego wydobył się z nich olbrzymi robak. Rozpychał szczęki mężczyzny, aż Jack usłyszał ich trzask. Stwór opadł na ziemię i został porwany przez jedną z macek.

To pewnie nazywa się „opętanie przez potężnego demona”, pomyślał Jack. Zobaczył, że oczy Guthlaka stają się przytomniejsze. Pierwszy raz mężczyzna wyglądał na zdrowego. I wesołego. A potem przewrócił się i umarł.

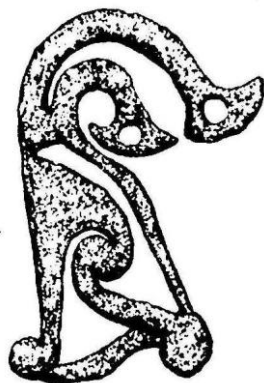
*Dostanę swoją daninę* - wyła istota, dźwigając się z otworu. *Jeden wypalony grzesznik to za mało. Wy, elfy, wiecie, jak brzmi pakt. Jeśli nie będę zadowolony, wezmę jednego z was! Z tymi słowami podpełzł do Gowriego.*

Wokół poniosło się straszliwe echo elfich krzyków, gdy istota wciągała myśliwego do dziury. Za nim pognąła masa robaków, które zaczęły rzucać się w mrok. Skały zazgrzytały i na powrót się zasklepiły. Grzmot wstrząsnął ziemią, rozbrzmiewając coraz głębiej i ciszej, aż wreszcie zupełnie ucichł.



## Rozdział 38

### Wolność



W Krainie Elfów zapanowała ciemność. Tylko słaby blask świecy ukazywał elfy, kulące się w cieniu. Wydawały się oszołomione. Jack dostrzegł zwiniętą w kłębek Thorgil. Podbiegł do niej i próbował ją ocucić.

- Thorgil - powiedział. - Nie sądzę, żebyś miała oparzoną dłoń.

Odwróciła twarz. Chowiała przed nim swoją rękę.

- Ten ogień nie był prawdziwy - ciągnął, opadając na kolana przy jej boku. - Wszystko było złudzeniem.

- Był prawdziwy - odparła.

- Jesteś w szoku. Chwyć runę ochronną. Może cię uleczyć.

- Już próbowałam, głupku, i nie podziałało.

- Pokaż.

- Odejdź - powiedziała, kuląc się jeszcze bardziej.

Jack ujrzał ojca Severusa, modlącego się nad ciałem Guthlaka. Mnich położył swój cynowy krzyżyk na piersi mężczyzny i delikatnie zamknął mu oczy. Pega wciąż trzymała świecę i patrzyła na coś ze zdumieniem. U jej stóp widniały na ziemi dwie ledwie widoczne wypukłości.

- Naprawdę nie chcę znowu przez to przechodzić - powiedziała jedna z nich.

- Gdybyś mnie posłuchał, czcigodny durniu, nigdy byśmy się w to nie wpakowali - odezwała się druga. Jack poderwał głowę. Ten głos brzmiał jak Nemezis!

- Musiałem ratować Pegę - odparł Bugabu.

- Byłem głupcem, że z tobą poszedłem - warknął Nemezis.

- Bardzo szlachetnym głupcem - zgodził się król hobgoblinów. - Och, Pego! Tak się cieszę, że cię widzę! Mmm! Pozwól, że ucałuję twoje stopki.

Dziewczyna podskoczyła jak oparzona.

- Przestań! - wrzasnęła.

Dookoła rozległy się szmery, gdy elfy zaczęły przychodzić do siebie.

- Lepiej chodźmy - powiedział Nemezis, wstając. - Kiedy odtworzą pozłotę, nie będziemy wiedzieli, gdzie góra, a gdzie dół.

W blasku świecy Jack dostrzegł sylwetkę hobgoblina. Był od stóp do głów okutany pstrokatą wełną i wyglądał niczym nagromadzenie różnobarwnych smug, zawieszony w powietrzu. Drugie stworzenie, podobne, próbowało przytulić Pegę, dziewczyna jednak trzymała je na odległość ramienia.

Oto byli tajemni sprzymierzeńcy, o których wspomniał Brutus. Bugabu i Nemezis przedostali się do Krainy Elfów, by ratować Pegę. To pewnie oni dali Brutusowi krzesiwo i hubkę. Ale skąd wiedzieli, co robić? I w jaki sposób bard dowiedział się o tym planie?

Tymczasem elfy zgromadziły się w jednym miejscu. Trzymając się za ręce, zaczęły śpiewać, z początku cicho, stopniowo jednak ich głosy nabierały mocy. Jack był oczarowany. Już kiedyś słyszał tę muzykę, w innym świecie.

Było to w drodze do Bebbas Town. Pielgrzymi biwakowali w lesie, a bard grał na harfie. Ojciec zachwycał ich śpiewaniem hymnów, które zapamiętał ze Świętej Wyspy. Potem położyli się pod gwiazdami, przeświecającymi między gałęziami jesionu.

Tamtej nocy Jack śnił o muzyce tak pięknej, a zarazem tak pełnej tęsknoty i rozpacz, że omal nie pękło mu serce. Były to głosy elfów. Głosy, które teraz słyszał. Muzyka stanowiła odległe wspomnienie Nieba, same zaś elfy były w istocie blaknącym wspomnieniem aniołów.

Z ziemi zaczęły wyłaniać się pnącza. Wokół kwitły kwiaty i wyrastały drzewa. Na niebie znów pojawiły się gwiazdy, a księżyc...

Księżyc!

Wśród elfów podniósł się pełen cierpienia krzyk. Krzyczała Partholis, krzyczał Partholon. Nawet Jack poczuł strach. Księżyc miał z boku ciemne wgłębienie! Czas rzucił cień na Srebrne Jabłko.

- Szybko! Szybko! - wrzasnął Partholon. - Musimy naprawić szkodę!

- I zgaście tę świecę! - wydarła się Partholis.

- Biegiem! - nakazał Nemezis, zrzucając płaszcz. Złapał Jacka za rękę, Bugabu zaś

chwycił Pegę.

- Nie zostawię Thorgil! - zawołał Jack.

Nemezis zaklął, ale zawrócił i pociągnął córę miecza za włosy. Był to brutalny gest i Jack by tak nie postąpił, udało się jednak osiągnąć zamierzony skutek. Thorgil przestała jęczeć i przyłączyła się do uciekających.

- Gdzie ojciec Severus? - krzyknęła Pega.

- Mam go - wydyszała Ethne. Podpierała go ramieniem i nakłaniała do pośpiechu. Bugabu szybko złapał mnicha i zaczął nieść go na rękach. Jack ze zdziwieniem zauważył, że w świetle świecy twarz Ethne wciąż jest piękna. Była starsza i jej włosy straciły nieco blasku, ale zdaniem chłopaka wyglądała przez to jeszcze ładniej.

Elfy były zbyt zajęte, by długo ich gonić. Jack podniósł laskę, gotów do walki z Piktami, niepotrzebnie się jednak niepokoił. Piktowie okazali się zupełnie niegroźni. Wyli jak psy, tocząc pianę z ust. Promienie świecy straszliwie ich postarzyły i wydawało się dziwne, że tak słabi ludzie w ogóle jeszcze żyją. Wychudli, zgarbieni i bezzębni, oplakiwali czasy, gdy byli młodzi i zabijali Rzymian.

Jack stwierdził, że wspina się pod górę, a nie schodzi w dół, a zatem kierunek korytarza był iluzją. Teraz jednak grunt zdawał się opadać. Na ścianach pojawiły się gobeliny, a na podłodze złote płytki.

- Szybciej! Szybciej! - ponaglał ich Nemezis.

Choć Jack ze wszystkich sił próbował sobie wyobrazić, że wspina się pod górę, magia kryła w sobie zbyt wielką moc. Wszystkie zmysły mówiły mu, że uciekają ku jądro ziemi i mają nad głowami masę skał. Miał otepiały umysł. Zatrzymał się, rozmyślając, czemu ucieka, ale Nemezis kopnął go i zmusił, by ruszył dalej.

Po jakimś czasie ściany znów zmieniły się w skałę, a posadzka w żwir.

- Możecie odpocząć - wydyszał Nemezis. - Pozłota tu nie sięga.

Wszyscy opadli na ziemię. Bugabu oparł ojca Severusa o ścianę. Mnich popatrzył na hobgoblina z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Nie jesteś... chyba nie jesteś chochlikiem? - spytał.

- Tak, ciągle musimy znosić takie obelgi! - mruknął Nemezis. - Ech, ci ziemiści!

- Jesteśmy uczciwymi hobgoblinami - wyjaśnił Bugabu - i proszę nas nie mylić z diabłami, chochlikami, demonami, nieczystymi duszami czy potworami. Ani nawet z dużymi goblinami - dodał, zapalając się do tematu. - One lubią odżywiać się mnichami... ale my nigdy tego nie robimy.

Ojciec Severus sięgnął do krzyżyka, ale zorientował się, że zostawił go przy Guthlaku.

- Jesteśmy dobrymi chrześcijanami - oznajmił Bugabu.

- Naprawdę? - spytał z powątpiewaniem zakonnik.

- Niczego nie lubimy tak bardzo, jak porządnego kazania. Przy okazji, uważam, że wygłosiłeś przed królową elfów świetną przemowę.

- Nie tak dobrą, jak kazanie Kolumbana do Piktów - zaproponował Nemezis.

- Racja, ale to był święty - odparł Bugabu. - Jaki wspaniały pościg! I jaki ratunek! Przypuszczam, że przez wieki będą układać o nas wiersze, co, Pego? „O królu hobgoblinów i jego narzeczonej”.

- Nie jestem twoją narzeczoną - powiedziała Pega.

Thorgil była ponura, ale Ethne promieniała.

- Jestem wolna! - wykrzyknęła. - Nie mogę się doczekać, kiedy zostanę zakonnicą, zacznę nosić welon i znosić publiczne biczowanie.

- Nie musisz posuwać się aż tak daleko - stwierdził ojciec Severus.

- O, ale ja chcę cierpieć! Będę podążała do Nieba jako męczennica, z radością przyjmując każde nowe cierpienie!

Mnich lekko zmarszczył brwi.

- Lepsze skutki przynosi zwyczajne dobro, karmienie głodnych, opieka nad sierotami i tym podobne. Cierpienie nie powinno napawać cię dumą.

- O, nie będzie! - wykrzyknęła, klaszcząc w dłonie. - Nigdy już nie będę dumna. Zostanę najskromniejszą służebnicą, jaką Bóg kiedykolwiek miał!

Ojciec Severus westchnął.

- Później popracujemy nad pokorą, jeśli się stąd wydostaniemy.

- To nie kłopot - powiedział Bugabu. - Z waszej dawnej celi jest świetne wyjście. Próbowaliśmy dostać się do was już wcześniej, ale drzwi były zbyt pilnie strzeżone.

Szli dalej, tym razem wolniej. Thorgil wciąż chowała swoją dłoń, a Pega manewrowała w taki sposób, by Jack stale znajdował się pomiędzy nią a królem hobgoblinów. Drzwi więzienia zastali otwarte. Leżał przy nich łańcuch, którego użyto do okiełznania Guthlaka.

- Jeśli kiedykolwiek poczuję litość wobec tych przeklętych elfów - odezwał się ojciec Severus - przypomnę sobie, co zrobiły Guthlakowi.

- Gdzie on teraz jest? - spytał Jack.

- Stoi przed sądem, przed którym wszyscy staniemy. Mam nadzieję, że Niebiosa będą dla niego łaskawe, wiele bowiem wycierpiał.

W środku celi ojciec Severus zapalił lampę, a Pega zdmuchnęła świecę. Światło przybladło i wkrótce z pomieszczenia uleciało całe ciepło.

- Jaka mała - jęknęła Pega, bo została ledwie połówka świecy.

- Ale oddała ci wielką przysługę - stwierdził Bugabu.

Jack znalazł pod przewróconymi ławami nóż Thorgil. Oddał go dziewczynie, pewien, że to podniesie ją na duchu, ona jednak odwróciła się do niego plecami.

- Sam go weź. Ja już nigdy nie będę mogła go użyć.

- Ogień był iluzją - odparł z naciskiem.

- W takim razie jak to wyjaśnisz? - Wyciągnęła rękę, którą wcześniej chowała. Miała dziwną, srebrzystą barwę. - Nie mogę ruszyć palcami. Jestem sparaliżowana. - Zaśmiała się gorzko. - Kiedyś półtrolka Frith zagroziła, że obetnie mi prawą rękę, żebym nie mogła już być wojowniczką. Zdaje się, że jej życzenie się spełniło.

- Znajdziemy jakąś wieszczkę. Ktoś na pewno będzie wiedział, jak cię wyleczyć.

Zgromiła go wzrokiem.

- Ludzie Północy nigdy nie ulegają złudnej nadziei.

- Co wy tu wyprawialiście? - spytał Nemezis, patrząc na wydrażone w ścianie otwory.

- Próbowaliśmy uciec - wyjaśnił Jack. - Doszliśmy do wniosku, że powierzchnia jest blisko sklepienia.

Hobgoblin zachichotał.

- A jeszcze bliżej tego źródła z tyłu. Można mieć pewność, że ziemiści zawsze wszystko pokręcą.

- Od dawna chciałem o to zapytać - odezwał się Jack. - Dlaczego ciągle nazywacie nas „ziemistymi”?

- Bo Bóg zrobił człowieka z ziemi, głupku - odrzekł Nemezis. - Słowo daję! Niektórzy nigdy nie chodzą do kościoła. - Zaczął kopać przy źródle i niebawem odsłonił kamienny krąg z metalowym kółkiem pośrodku. Razem z Bugabu unieśli go, odsłaniając otwór.

- Schodzimy w dół? - spytał chłopak. - To nie ma sensu.

- Ma, jeśli znajdujesz się na szczycie góry - odparł Nemezis. - Kraina Elfów leży głęboko. Tunel prowadził w górę, ponad powierzchnię ziemi, ale nie wiedzieliście o tym z powodu pozłoty. Stąd zejdziemy do strumienia. Od Midgardu dzielą nas trzy skoki.

- Nie mogę się doczekać! - powiedziała Pega z błyskiem w oku.

- Ja też nie. - Bugabu podniósł ją w ramionach i zeskoczył do dziury. Jack usłyszał plusk i krzyk Pegi.

- Zapomniałem dodać, że woda jest zimna - uśmiechnął się złośliwie.

Ethne uparła się, że pójdzie następna.

- Opuszczam Krainę Elfów - rzekła z powagą. - Odwracam się od uciech i witam smutki

śmiertelności, by łatwiej zyskać wstęp do Nie...

- Dostyc gadania - mruknął Nemezis, opuszczając ją do otworu. Jack znów usłyszał plusk, a zaraz po nim krzyk. Potem w dół zeszli Jack i Thorgil.

- Na trollowe plwociny! - zakląła córka miecza. - Nie żartował, że woda jest zimna!

Woda przypominała płynny lód, a powietrze w niczym jej nie ustępowało. Oddech dobywał się z ust Jacka pod postacią kłębow pary.

- Na górę - zarządził Bugabu, podsadzając ich na brzeg. Pega i Ethne już tam były. Szczękały zębami i trzęsły się jak osika. Król hobgoblinów brodził w strumieniu, a Nemezis zajął się ojcem Severusem. - Nie możemy cię zmoczyć, prawda? - rzucił wesoło Bugabu. - Jesteś taki chudy, że zrobiłby się z ciebie sopel.

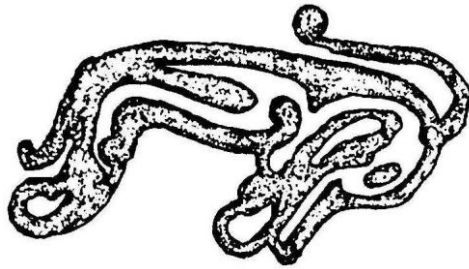
Nemezis zszedł ostatni.

- No, na co czekacie? - zwrócił się do skulonych na brzegu ludzi. Zimno zdawało się nie przeszkadzać ani jemu, ani królowi.

Woda mknęła pod lodowymi stalaktytami. Błękitne światło sączyło się z nieodległego otworu, gdzie strumień kończył się wodospadem. Posuwali się śliską ścieżką, aż dotarli na czarną, skalną półkę.

## Rozdział 39

### Zapomniany las



Poniżej rozciągała się dolina, okolona wysokimi górami. Rosnące w niej drzewa nie były szmaragdowozielone. Łąk nie zapępniały ogromne kwiaty, a jezioro nie przypominało intensywnie niebieskich jezior z Krainy Elfów. Taki widok był jednak bliższy ludzkiemu sercu. Jack kochał każde pochyłe drzewo, wijący się strumień i wilgotną polanę.

- To Zapomniany Las - oznajmił Bugabu, kierując się w dół.

Zapomniany Las! - pomyślał Jack. To tutaj chciał ich zabrać bard.

- Trochę stromo - powiedział Bugabu. - Hobgobliny nie boją się wysokości, więc znieśmy was pojedynczo.

Nemezis mruknął coś z niezadowoleniem, ale po chwili przyznał, że bez pomocy ziemiści mogliby skończyć jako mokre plamy u podnóża góry. Najpierw hobgobliny zabrały ojca Severusa i Pegę, potem Ethne i Thorgil, a na końcu Jacka. Chłopak zamknął oczy, gdy Nemezis zaczął skakać ze skały na skałę, piejąc ze złośliwą radością. W pewnej chwili skoczył na postrzępioną skalną iglicę, nalegając, by Jack podziwiał przepaść w dole. Później przebiegał z grani na grani, przyprawiając chłopaka o zawroty głowy i krzycząc: - Oj! - za każdym razem, gdy udawał, że się przewraca.

- Nieźle - przyznał hobgoblin, gdy wreszcie znaleźli się na dole. - Większość ziemistych zwróciłaby już owsiankę.

Jack jednak wiedział, że nie zwymiotował tylko z jednego powodu: nie jadł owsianki.

Nagle zaczął mu doskwierać dotkliwy głód. Zapach lasu i chłodny oddech wodospadu sprawiły, że poczuł się bardziej żywy niż kiedykolwiek od... od czasu, gdy trafił do Krainy Srebrnych Jabłek. A wraz z tą żywotnością pojawiło się nieodparte łaknienie. Niemal nie

zdając sobie z tego sprawy, wziął kilka sosnowych igieł i zaczął je żuć.

- Przestań! Nie jesteś żukiem! - wykrzyknął Bugabu.

- Tak działa Kraina Elfów - stwierdził Nemezis. - Tylko diabeł wie, czym was tam karmili, pod tą całą pozlota. Dżdżownice, błoto, pająki... To mogło być cokolwiek. - Uśmiechnął się na widok przerażonej miny Pegi.

- Nigdy nie jadłem ich zaklętej żywności - powiedział ojciec Severus, opierając się z wyczerpaniem o skałę.

- To widać - zakpił Nemezis.

Hobgobliny szybko zabrały się za rozbijanie obozowiska i zbieranie drewna.

- Zaraz wrócimy - obiecały. Jack rozpałił ognisko i gdy hobgobliny wróciły, niosąc pstrągi, jabłka, ogromne grzyby, pory i plastry miodu, wszyscy usiedli w kręgu.

Jedzenie smakowało wspaniale. Bugabu upiekł ryby w glinie, a grzyby i pokrojone w plastry pory ponadziewał na patyki. Pega karmiła ojca Severusa, który był wykończony, lecz mimo to wydawał się nadzwyczaj szczęśliwy.

- Zapomniałem, jak piękny jest Boży świat - mruknął.

Ethne odmówiła przyjęcia plastra miodu.

- Porzuciłam puste przyjemności - oświadczyła. - Teraz jem tylko po to, by utrzymać się przy życiu.

- Mnie to pasuje - odparł Nemezis, dokładając plaster do swojej sterty jedzenia.

- Gdzie znaleźliście miód? - spytał Jack, pamiętając, jak bolesnym zadaniem było wydobywanie miodu z uli matki.

- Zobaczyłem gniazdo pszczół w wydrążonym drzewie i wziąłem go sobie. - Hobgoblin wepchnął do ust wielki grzyb i sok trysnął mu na brodę.

- Czy pszczoły protestowały? - spytała Pega.

- Jasne, że tak. Całego mnie pożałowały. Mmm! - Wyrażne wybrzuszenie powędrowało w dół jego szyi, gdy połykał grzyb w całości. Klepnął się w udo z głośnym klaśnięciem. - Hobgobliny są twarde jak korzenie drzew. Nawet żmija połamałaby sobie na nas kły.

Dzień miał się ku końcowi i Jack pierwszy raz zauważył wiszący na zachodnim niebie półksiężyc.

- Patrzcie! - zawołał.

Wszyscy odwrócili głowy.

- W Krainie Elfów był prawie w pełni - przypomniała Thorgil.

- I wciąż jest prawie w pełni, jeśli cokolwiek wiem o pozłocie - stwierdził Bugabu. - Elfy utrzymają go w takim stanie, jak długo zdołają, ale prędzej czy później cień pochłonie



Srebrne Jabłko. Do Krainy Elfów przeniknął czas.

- To znaczy, że będą się starzeć? - spytał Jack.

- Nie tak jak wy. Elfy wciąż mają swoje moce, ale stopniowo zaczną blaknąć.

Teraz, gdy najedli się już smakołyków i ogrzali przy ogniu, zaczęli ziewać. Bugabu i Nemezis, którzy najwyraźniej dobrze znali tę dolinę, zniknęli w mroku, po czym wrócili z naręczami trawy. Przygotowali posłania dla wszystkich, przy każdym kładąc dodatkową trawę do przykrycia się.

Jack, Thorgil, Pega, Ethne i ojciec Severus wpełzli z rozkoszą na te zaskakująco wygodne łoża. Hobgobliny jednak nie były jeszcze gotowe do snu. Stwierdziły, że takie wspaniałe zwycięstwo nad elfami zasługuje na to, by je uczcić. Wspięły się na pobliskie skały i nadęły się niczym ogromne żaby.

- O, nie! Tylko nie to zawodzenie - jęknęła Pega, próbując zagrzebać się w trawie.

Las wypełniło potworne wycie, gdy Bugabu i Nemezis na przemian pęcznieli i kurczyli się. Odmykali i zamykali nozdrza, by zmienić wysokość dźwięku.

- Posłuchaj tego, moja najdroższa Pego - powiedział Bugabu. - To lament księcia, którego ukochana odjechała bardzo daleko.

- Nie dosyć daleko - mruknęła dziewczyna.

- Wszystko ma swoje dobre strony - odezwał się Jack, gdy straszliwe zawodzenie rozbrzmiało znowu. - Przy czymś takim nocą nic nas nie zaatakuje.

\* \* \*

Jack obudził się pod ciężką warstwą rosy. Z ogniska został tylko żar, a świt pomalował na czerwono kilka postrzępionych obłoków. Wszyscy spali. Wstał i dołożył do żaru kilka gałęzi ze sterty, zebranej najwyraźniej przez hobgobliny poprzedniego wieczoru.

Jack usiadł przy ogniu, by wysuszyć ubranie. Gdyby nie wiedział o obecności pozostałych, mógłby pomyśleć, że jest zupełnie sam. Wszyscy zagrzebali się w trawie i wyglądali jak stogi siana.

Rozbrzmiał poranny chór. Najpierw odezwały się gołębie, potem kowaliki, strzyżyki, wróble i kilka wron. Pierwsze promienie słońca rozświetliły szczyty gór i wodospad załśnił niczym płomień. Chłopak poszukał wzrokiem wejścia do Krainy Elfów, wodospad jednak zupełnie je zakrywał.

Thorgil odrzuciła trawę i podeszła bliżej, by usiąść obok niego.

- W Krainie Elfów nie rozpoznawałam mowy ptaków. A tutaj rozumiem te przekłete krzykacze aż za dobrze - powiedziała. Nigdy nie przepadała za ptakami, z wyjątkiem tych

pieczonych.

- Co mówią? - spytał Jack.

- Zwyczajła paplanina: „Nakarm mnie, nakarm”. „Chcę żuka, żuka, tłustego, smacznego żuka”. Reszta rzuca groźby wrogom. Jest też coś dziwnego. - Thorgil nasłuchiwała uważnie.

Jack zobaczył stado jaskółek, fruujących w górze, tuż pod warstwą jaśniejących chmur.

- Nie rozumiem dokładnie. Coś jakby „są tutaj, są tutaj, są tutaj”. - Odwróciła się od ptaków i zaczęła grzebać w ognisku długim patykiem. - Drugą rękę miała wsuniętą pod pachę.

- Ludzie wracają do siebie po różnych obrażeniach - zauważył ostrożnie Jack, obserwując córę miecza.

- Nie wszyscy - odparła.

- To nie powód, żeby się poddawać.

- Nigdy się nie poddam! - wykrzyknęła ze złością. Dwa najbliższe stogi siana zadrżały. - Przyznaję, że kiedy byliśmy na tej wysokiej półce, myślałam, czy nie rzucić się w dół.

- Thorgil - powiedział z niepokojem Jack.

- Ale nie mogłam. To - chwyciła ukrytą runę ochronną - mi nie pozwoliło. Odebrało mi odwagę. Powinnam ją zerwać i wrzucić do jeziora. - Mocniej zacisnęła palce na runie.

- Ale nie możesz - domyślił się chłopak.

- Nie! Ten przeklęty wisior mi na to nie pozwala. Nie mogę się go pozbyć.

- Jeśli dobrze zrozumiałem barda, runa sama cię wybiera - wyjaśnił Jack. - Pewnego dnia będziesz wiedziała, że pora komuś ją przekazać. Tak jak ja wiedziałem, że należy dać ją tobie.

- Nie powiedział, bo i po co, że strasznie mu jej brakuje i chciałby ją odzyskać.

- Podarunki mają swoje sposoby, żeby obrócić się przeciwko tobie - mruknęła Thorgil, wbijając spojrzenie w ogień.

Przez chwilę Jack nic nie mówił. Pomyślał o srebrnym naszyjniku Lucy. Promienie słońca ześlizgiwały się po zboczu góry i wkrótce miały dotrzeć do ich biwaku. Znad pobliskiego stawu unosiła się mgła i Jack usłyszał cichy plusk, gdy z wody wyskoczyła jakaś ryba. Takie miejsce podnosiło na duchu.

- Dlaczego uderzyłaś demona, który chciał zabrać ojca Severusa?

- Jakiego demona? Widziałam tam wielkiego psa.

- Psa?

- To był Garm, który pilnuje Hel. Runa mi o nim opowiadała. Ma czworo oczu, larwy wypływają mu pomiędzy zębów i jest cały umazany krwią. Próbował mnie zabrać, ale powiedziałam mu, że jestem wojowniczką Odyna.

Jack był oszołomiony. Widocznie występowało tu to same zjawisko, co przy pukaczach. Każdy widział to, czego się spodziewał.

- No dobrze, więc dlaczego uderzyłaś Garma?

- Ja... - Urwała, ściskając runę ochronną. - Uważałam, że to niesprawiedliwe. Dlaczego miał porwać ojca Severusa, a zostawić krzywoprzysięzców, takich jak ojciec Swein i Gowrie? Ale później ich zabrał. - Uśmiech zadowolenia rozjaśnił jej twarz.

- Tak! Zasłyniesz jako... Jak cię nazwać? Thorgil Srebrnoręka, która walczyła z psem Hel. Ułożę o tym pieśń.

- O, Jack - szepnęła. Zamrugła powiekami, by odegnać łzy, a potem ze złością pokręciła głową. - Przeklęte słońce. Łzawią mi od niego oczy.

Pega wstała i zaczęła porządkować obozowisko, jak to miała w zwyczaju. Przyniosła naręcze gałęzi na opał.

- Mówicie o Tyrze? - spytała. - Jeden z właścicieli nauczył mnie poematu o nim. Zaczęła recytować po sasku:

*„Tyr bi tacna sum healde  
Trywas wel wi cecelingas”.*

- Znam go - oznajmił Jack. - „Tyr jest gwiazdą. Jest lojalny wobec książąt i wciąż podąża swoją drogą nad nocnymi mgłami. Nigdy nie zawodzi”. Zapamiętałem to, kiedy bard uczył mnie o gwiazdach. Nigdy nie wiązałem tych słów z żadnym bogiem.

- Kiedy Tyr stracił rękę, został opiekunem podróżnych - wyjaśniła Thorgil. - Stoi na dachu nieba i do niego należy gwiazda, która nigdy się nie przesuwają. Nazywamy ją Gwoździem.

- A my Gwiazdą Statków - powiedział Jack. Z zadowoleniem stwierdził, że z twarzy Thorgil znika rozpacz i że dziewczyna nie próbuje już ukrywać swojej ręki. Jej dłoń naprawdę miała srebrzystą barwę, jakby posypano ją sproszkowanym metalem. W świetle kolor ten stał się jeszcze wyraźniejszy.

Bugabu i Nemezis wygramolili się ze swoich trawiastych posłań i pomogli wstać ojcu Severusowi.

- Odpocznij - zwrócił się do Bugabu. - My zajmiemy się śniadaniem.

W końcu wyłoniła się Ethne, z początku wyraźnie zła, że przemokła od rosy, potem jednak zrozumiała, że to okazja do cierpienia.

- Nie usiądę przy ogniu - oznajmiła. - Zapalenie płuc dobrze zrobi mojej duszy.

- Wyszusz się. Zapalenie płuc niczemu nie służy - odparł ojciec Severus.

A zatem Ethne usiadła w ciepło, a pozostali niecierpliwie czekali, co też zrobią Bugabu i Nemezis.

Powrócili z węgorzami, orzechami i nieodłącznymi grzybami. Po spokojnym posiłku odbyli rozmowę, by podjąć decyzję, dokąd teraz pójść.

- Jeśli znajdziemy mój okręt, będziemy mogli odwiedzić ojca Severusa do domu - powiedziała Thorgil.

- Płynąć na okręcie Ludzi Północy? - spytał słabo mnich. - Nie wiem...

- Miejsca starczy dla wszystkich. Skakki nie załadował jeszcze *thrallów*. - Córa miecza uśmiechnęła się złowrogo.

- Thorgil - powiedział ostrzegawczym tonem Jack.

- Morze jest o dzień drogi w tamtą stronę - oznajmił Bugabu, wyciągając rękę na wschód.

- Przy plaży jest wejście do tunelu i my, hobgobliny, będziemy mogli wrócić do domu. Przy okazji, jesteś honorowym hobgoblinem, Pego.

- Wcale nie - odparła.

- To najlepszy plan - ciągnął król. - Przejście przez góry na zachód jest o wiele za ciężkie dla ojca Severusa.

Wędrowcy rozpoczęli przygotowania do drogi. Nie trwały długo, nie mieli bowiem nic. Pega wzięła krótką kąpiel w jeziorze. Jack znalazł kij, by ojciec Severus miał się czym podeprzeć, a Thorgil ćwiczyła używanie noża lewą ręką. Była w bardzo dobrym nastroju i zażądała, by Jack natychmiast zaczął układać poemat na jej cześć.

- Thorgil Srebrnoreka. Podoba mi się - stwierdziła.

Hobgobliny znały każdy kamień w Zapomnianym Lesie.

- Ciągłe tu przychodzimy - wyjaśnił Bugabu. - Rosną tu ogromne grzyby! Jedną kurką można nakarmić pięcioosobową rodzinę, tak samo jak borowikiem czy smardzem...

Jack przestał słuchać. Kiedy hobgobliny zaczynały mówić o grzybach, trwało to w nieskończoność.

Szli ścieżką, wydeptaną przez sarny. Późno wyruszyli, a ojciec Severus był słaby, więc o zmroku dotarli ledwie do przełęczy. Zrobiło się bardzo zimno, a z powodu gęstej mgły ciemność zapadła nadzwyczaj szybko.

- Jack, o ile pamiętam, znasz zaklęcie, które rozprasza mgłę - przypomniało się Thorgil.

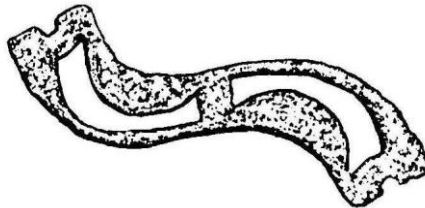
- Niestety, przy okazji wywołuje deszcz - odparł.

Doszli do wniosku, że mgła jest lepsza od deszczu i przygotowali sobie nocleg w zagłębieniu, osłoniętym przez skały. Wilgoć przenikała wszystko. Ogień ciągle przygasiał.

Ojciec Severus kaszlał przez całą noc.

## Rozdział 40

### Wąż Midgardu



Rano widoczność ograniczała się do trzech długości włóczni.

- Gardło mnie boli - oznajmiła Ethne. - Zdaje się, że dopadła mnie pierwsza choroba. Ale fajnie!

Nie zatrzymali się na posiłek, lecz pospiesznie schodzili z gór ku cieplejszemu, nadmorskiemu powietrzu.

- Poznaję te drzewa! - wykrzyknęła Thorgil. - To tutaj Skakki i Runa rozbili obozowisko. A Eryk Pięknolicy zjadł znaną martwą mewę, a potem z wymiotował. A to jaskinia, w której Heinrich Potworny i ja... - Urwała.

Jaskinię od podłoża do sklepienia wypełniały kamienie. Nawet mysz by się nie prześliznęła.

- O, Freyo. Trzęsienie ziemi - szepnęła córka miecza.

Bugabu dźgnął kamienie kijem i z góry posypał się zwir.

- Masz szczęście, że przeżyłaś - stwierdził.

- Gdzie wszyscy? - spytała dziewczyna. - Na pewno zbudowali jakieś schronienie. Nie porzuciliby towarzyszy z okrętu... ale gdzie okręt? - Nic nie było widać, poza wąskim pasem morza tuż przy brzegu.

- Ta mgła może utrzymać się przez parę dni - powiedział Jack, z powątpiewaniem podnosząc głowę i oceniając, czy spadnie duży deszcz, gdyby próbował posłużyć się czarami.

- Może poszukacie dalej na brzegu? Ja zrobię tutaj, co się da.

Usadowił się w wygodnej pozycji i przyzwał siłę życiową. W pobliżu wyczuł rozświetlone niebo. Mgła była płytka i z góry wyglądała jak przytulona do ziemi chmura. Dalej rozciągało się szarozielone morze. Na jego powierzchni nie unosiło się nic z wyjątkiem

kilku mew.

Na niebie szybowwały jaskółki. Muskały górną warstwę mgły i Jack czuł siłę ich skrzydeł. Cudowne stworzenia! Dalej wyczuł inne skrzydła. Podjął poszukiwania, lecz zobaczył jedynie wodę, poprzecinaną tu i ówdzie białym grzbietem fali.

To wiatr, pomyślał ze zdziwieniem. Wiatr też miał skrzydła, niczym stado niewidzialnych ptaków. Czasami bard wzywał wiatr, by schłodzić pola, które jałowiały w letnim skwarze, albo odegnąć burzę śnieżną, która zbytnio się przeciągała. Ale nie przekazał jeszcze chłopakowi tej umiejętności.

Sam to odkryłem, pomyślał z dumą Jack. Starzec powiedział kiedyś, że gdy już przesiąkniesz magią, odsłania się przed tobą coraz więcej tajemnic. Powiedział też, że większość z nich jest niebezpieczna.

„Chodźcie do mnie”, wezwał chłopak, zaciekawiony tymi nowymi możliwościami. „Lećcie do mnie, duchy powietrza”. Sięgał umysłem coraz dalej i dalej, rozkoszując się podmuchami, prądami i zawirowaniami wokół siebie. Sam też leciał, niczym prowadzący stado ptak, ten, który pokazuje innym, dokąd frunąć. Był ich królem. Wielkie powietrzne ptaki zakręcały i podążały za nim. Zbliżały się!

Jack roześmiał się i wyciągnął ręce. Uderzenie wichru rozproszyło mgłę. Nigdy nie widział, żeby mgła zniknęła tak szybko! Budziło to w nim satysfakcję, ale zarazem lęk. Sekundę później uderzyła go fala, rzucając nim o plażę. Woda przewaliła się w powietrzu, aż się zakrztusił.

Wiatr nie ustawał, wył i obalał drzewa. Fale rozbijały się o skały, wicher ciskał kroplami wody o górskie zbocze. „Stójcie!”, krzyknął Jack, próbując odzyskać nad tym wszystkim kontrolę. Uczępił się skał, żeby go nie zwało. „Cofnijcie się. Uspokójcie. Stójcie”.

Próbował wszystkiego, co przyszło mu do głowy, ale wiatr wciąż nim targał, aż w końcu stracił zainteresowanie i wycofał się. Takie przynajmniej sprawiało to wrażenie. Wiatr się nim znudził. A wtedy wzbił się ku niebu i zniknął.

Jack dźwignął się na nogi. Był posiniaczony, przemarzył do szpiku kości i miał przemoczone ubranie. Drzewa leżały porozrzucane jak chrust na podpałkę.

- Jack! Jack! Nic ci się nie stało? - krzyczała Pega, biegnąc brzegiem przed pozostałymi.

- Chyba nie - odparł, strzepując z siebie gałązki i błoto. Znalazł swoją laskę, tkwiącą między skałami przy wejściu do jaskini.

- Co to było? - spytał Bugabu. Hobgoblin nastroszył uszy, a jego skóra stała się jasnozielona ze zdenerwowania.

- Nie... nie mam pewności - odparł Jack. W chwili, gdy uderzył go wicher, widział, jak z

morza wyrasta wysoki, biały słup.

- Wyglądało jak ogromny wąż - powiedziała Pega, potwierdzając jego spostrzeżenie. Kołysał się w przód i w tył między wodą a niebem. Próbowałam cię ostrzec, ale poruszał się zbyt szybko.

- To był Wąż Midgardu - odezwała się Thorgil. Wszystkie oczy zwróciły się teraz na nią.  
- To jedno z dzieci Lokiego - wyjaśniła. - Był taki zły i niebezpieczny, że Odyn kazał go wrzucić do morza. Tworzy teraz pas wokół Midgardu, trzymając ogon w pysku. Kiedy się wije, ziemia drży.

- Właśnie coś takiego zdarzyło się tutaj. Trzęsienie ziemi - stwierdził Bugabu, wskazując wypełniające jaskinię kamienie.

- Parszywe zabobony - powiedział z dezaprobatą ojciec Severus. - Wszyscy wiedzą, że trzęsienia ziemi wywołuje Lucyfer, tupiąc nogą w podłoże Piekła.

- Wąż i Thor są wrogami - ciągnęła młoda wojowniczką, nie zważając na mnicha. - Thor lubi urządzać na niego łowy. Odcina głowę bykowi i nabija na hak jako przynętę, po czym wrzuca do morza i czeka, aż głupia bestia połknie hak. Ta sama sztuczka sprawdza się za każdym razem. Thor wyciąga węża, ale nie ma dość siły, żeby zrobić to do końca. To właśnie widzieliśmy: ogon wyciąganego na brzeg Węża Midgardu.

- Czysta fantazja - uznał ojciec Severus z drwiną w głosie.

- Runa widział to na ciepłych morzach południa. A Runa nie należy do kłamców - odparła córka miecza ostrzegawczym tonem.

- Nikomu nawet nie przyszło to do głowy - powiedział pospiesznie Jack. Nie podzielił się swoim przypuszczeniem, że za powstanie wodnej trąby odpowiadał wiatr. - Słońce już weszło, więc możemy poszukać okrętu.

Wszyscy osłonili oczy i zaczęli wyglądać na morze, ale nawet Pega, która miała najbystrzejszy wzrok, nie dostrzegła niczego na szarozielonym bezmiarze. Wszelkie ślady obozowiska zmyła woda. Jack usiłował wyciągnąć swoją łaskę, wciśniętą między głązy zbyt duże, by mógł je poruszyć.

- Ja spróbuję - powiedział Nemezis.

- Nie złam jej! - krzyknął Jack, gdy krzepki hobgoblin odepchnął go na bok.

- Spokojna głowa. Wiem, co robię. - Nemezis stoczył jeden z głazów ze sterty.

- Uwważaj! - zawołał chłopak. Ledwie zdążył pochwycić łaskę, gdy w dół runęła lawina kamieni.

Nemezis odskoczył w bok równie zwinnie, jak żaba, umykająca bocianowi.

- Widzisz? Udało się - zapiał hobgoblin.



- A to co? - spytała Pega, wskazując wnoszącą się ponad jaskinią górę. Wysoko w górze Jack dostrzegł wyryte w skale rysunki. Były zbyt daleko, by zobaczyć je wyraźnie.

- Rzucę na to okiem - powiedział Bugabu. Zaczął się wspinać z ogromną łatwością, na palcach rąk i nóg miał bowiem przyssawki. - To trzy zestawy wizerunków - oznajmił, przycupnąwszy na wysokiej grani. - Po jednej stronie jest młot i rozłożyste drzewo. Dość prymitywne w porównaniu z robotą hobgoblinów, ale da się poznać. Po drugiej statek i... chyba koń, tyle że ma zbyt wiele nóg. Pośrodku są jeszcze trzy złączone trójkąty.

Thorgil krzyknęła. Jack omal nie wyskoczył ze skóry.

- Co się stało? Coś cię boli? - zawołał.

- Odpłynęli! - jęknęła. - Odpłynęli przez bezkresne morze, bo myśleli, że nie żyję. - Skuliła się na ziemi, tak jak wtedy, gdy demon oparzył ją w rękę.

- Wiesz, co to takiego? - spytał Jack, który chciał ją objąć, ale się na to nie poważył.

- Znaki nagrobne - odparła. - Pośrodku jest *valknut*, rebus, który oznacza, że ktoś zginął w walce. Młot oznacza Thora, a drzewo Yggdrasila. To moje symbole. Pozostałe rysunki symbolizują Heinricha Potwornego. Ten koń to Sleipnir, wierzchowiec Odyna. Heinrich ciągle mówił, że chciałby na nim jeździć, ale oczywiście za życia nie da się tego zrobić. O, przeklęty Heinrich! Naprawdę nie żyje. I pewnie teraz dosiada Sleipnira. A ja jestem uwięziona tutaj z beużyteczną ręką i bez okrętu.

- Możesz iść ze mną do klasztoru - zaproponowała radośnie Ethne. - Będziemy się świetnie bawić, wspólnie odprawiając pokutę.

Thorgil cisnęła w nią garścią piasku.

- Powiedziałam, że jestem uwięziona, a nie głupia.

Ojciec Severus ukląkł przy młodej wojownicze i Jack zaniepokoił się, że Thorgil zaatakuje także jego. Darzyła jednak mnicha dziwnym szacunkiem, zwłaszcza zważywszy na fakt, że pomogła go sprzedać jako niewolnika.

- Wszystko, co dzieje się pod sklepieniem Niebios, ma swój cel - zaczął.

- Nazywamy to przeznaczeniem - stwierdziła.

- I nie nam rozumieć, jak działa. Miałś pozostać na tej plaży. Nie wiem, dlaczego. Nie wiem też, dlaczego sam tu jestem, ale mamy w tym świecie jakieś zadanie do spełnienia. Użalenie się nad sobą w niczym tu nie pomoże.

Jack wstrzymał oddech. Jeśli jakieś słowa mogły doprowadzić Thorgil do szału, to te, które właśnie padły. Zobaczył, że jej twarz blednie, a potem czerwienieje. Napięła wszystkie mięśnie.

A potem, nagle i nieoczekiwanie, parsknęła śmiechem.

- Używasz słów tak, jak Olaf używał pięści, miłośniku *thrallów*. Ja też potrafię się posługiwać słowem jako bronią.

- Więc witam cię jako swojego wroga - odrzekł ojciec Severus.

Zostali na plaży, by dać ojcu Severusowi czas na dojście do siebie. Każdego ranka Thorgil wspinała się na wysoką skałę i siadała tam, wpatrując się w morze. Co jakiś czas pomagała w różnych zajęciach, ale każda praca przypominała jej o bezużytecznej ręce. Rzucała wtedy to, co akurat robiła, i wracała do swojego punktu obserwacyjnego. Jack nie miał serca, by zwrócić jej uwagę.

Ojciec Severus leżał pod drzewem. Wydawał się szczęśliwy, Jacka jednak martwił jego kaszel i plamy na policzkach wywołane gorączką.

- Czasami wydaje mi się, że przez cały pobyt w Krainie Elfów w ogóle nie spałem - mruknął mnich. - Może dlatego jestem teraz taki zmęczony.

Jack rozumiał, co zakonnik ma na myśli. Wszędzie była pozłota i człowiek nie wiedział, czy to jawa, czy sen. Nawet jego własne wspomnienia o Lucy były jakieś pogmatwane. Czy naprawdę ją widział? Czy naprawdę zwróciła się przeciwko niemu, czy może był to tylko zły sen? Trudno mu było przypomnieć sobie jej twarz.

- Niektórzy nazywają Krainę Elfów Pustą Ziemią - powiedział ojciec Severus, gdy chłopak podzielił się z nim swoimi przemyśleniami. - Tworzą ją nasze pragnienia, ale w sumie jest tylko odbiciem czegoś innego. Pamiętasz muzykę elfów?

Była to jedna z rzeczy, które Jack pamiętał. Muzyka wydawała się zawisać w powietrzu niczym ostatni promyk słońca przed nadejściem ciemności.

- Słuchałem ich głosów noc po nocy i starałem się nimi gardzić - przyznał ojciec Severus. - Nie mogłem. - Westchnął.

Na plaży Pega zrobiła przemyślny kopiec z kamieni, pusty w środku, by rozpalać tam ogień. Wierzch przykryła płaskim kamieniem do pieczenia. Jack zbierał trąbiki, kapustę morską, pory i czosnek. Hobgobliny nie miały sobie równych, gdy chodziło o łowienie ryb.

Stosowały pewną szczególną metodę. Bugabu przysiadł na skale tuż nad linią fal i majtał nogą w wodzie. Nemezis czekał za nim z pałąk. Palce u nóg hobgoblinów były długie i zwinne. Bugabu mógł jednocześnie poruszać wszystkimi pięcioma w różnych kierunkach. Zademonstrował to Pedze, która kazała mu odejść.

Od spodu palce musiały wyglądać jak gromadka dżdżownic. Z pewnością przyciągały ryby, choć wkrótce wyszło na jaw, że należy zwracać uwagę na rozmiary wabionych osobników. Któregoś razu olbrzymi dorsz niemal połknął nogę Bugabu i Nemezis musiał

okładać rybę do utraty przytomności, by reszta ciała Bugabu nie znalazła się w ślad za nogą w rybich trzewiach.

- Lepziej nie znajdziesz - oznajmił król, rzucając rybę na ziemię przed przerażoną Pega. Była wystarczająco duża, by wszyscy najedli się do syta.

- Krew ci leci! To krew, prawda? - jęknęła.

Żółtozielone krople sączyły się z ran na nodze hobgoblina.

- Martwisz się o mnie! - wykrzyknął z zachwytem hobgoblin, robiąc wokół niej fikołki i obsypując ją piaskiem.

- To, że się martwię, nie znaczy, że mi zależy - odparła Pega, ocierając ziarenka piasku z twarzy.

- Zależy, zależy! Jestem taki szczęśliwy! Chyba zapieję z radości!

- Nie! - poprosiła dziewczyna, tamten jednak był zbyt ogarnięty radością, by przestać.

Pianie, pomyślał Jack, to najokropniejszy dźwięk na świecie. Hobgobliny wydawały go, gdy popadały w ekstazę, co zdaniem chłopaka zdarzało się o wiele zbyt często. W dodatku odgłos był zaraźliwy. Gdy zaczął jeden osobnik, dołączały do niego inne i dźwięk roznosił się jak ziewanie wśród ludzi. Nemezis, który nigdy nie należał do wesołych stworów, piał pod nosem, gdy oprawiał rybę.

Ethne była do niczego przy wszystkich pracach. Pega próbowała nauczyć ją wyplatania koszyków, ale koszyki się rozpadały. Przy Ethne ogień gasł, a mewy kradły ryby. Gdy Pega posłała ją po koper, ta przyniosła lulek.

- To trucizna! - krzyknęła dziewczyna, wrzucając rośliny do ognia. - Na niczym się nie znasz?

- W Krainie Elfów ciągle jedliśmy sałatkę z lulka - odparła wzburzona Ethne. - Nigdy nie stało się nam nic złego. - W końcu usiadła przy ojcu Severusie i zaczęła uczyć się na pamięć łacińskich modlitw. Jack był pewien, że nie rozumie łaciny, ale dzięki temu nie sprawiała kłopotów i zapewniała zajęcie ojcu Severusowi.

W końcu pewnego popołudnia, po obiedzie, na który zjedli pieczoną gęś (palce u nóg hobgoblinów okazały się też nieodparcie wabić gęsi), Bugabu zwołał zebranie.

- Już pora, żebyśmy wszyscy wrócili do domu - oświadczył.

- Do jakiego domu? - spytała Thorgil. - Moi towarzysze odpłynęli, bo myśleli, że nie żyję. Kiedy zaczyna się dzień, często przeklinam swój los, samotna i zrozpaczona. Nie mam towarzysza, przed którym mogłabym odsłonić serce. Już nigdy nie zaznam radości uczyty, a na moją duszę padł cień.

Jack, który lubił poezję, podziwiał jej piękne słowa, ale ojciec Severus wykrzyknął:

- Wielkie nieba, córo miecza! Napawasz się własnym nieszczęściem.

- Wcale nie!

- Prawdziwy wojownik okazuje wdzięczność za to, co zsyła mu Bóg. Mogłabyś tonąć pośrodku morza. Mogłabyś zostać uwięziona w płonącym domu. Tysiąc diabłów mogłoby walczyć o twoją duszę (nie mówię, że kiedyś się tak nie stanie), a tymczasem wieczorem siedzisz sobie na przyjemnej plaży w otoczeniu przyjaciół. Precz z uzalaniem się!

- A ja straciłam dom i wcale nie uzalam się nad sobą - oświadczyła Ethne.

- Naprawdę musimy odbyć tę rozmowę na temat dumy - powiedział do niej ojciec Severus.

- Wracając do rzeczy - wtrącił Bugabu - kiedy nadejdzie jesień, na tej plaży nie da się żyć.

- Możemy zbudować łódź? - spytała Thorgil z nadzieją.

- Nie! - odparł Nemezis. - Hobgobliny nigdy, przenigdy nie wsiadają na łodzie.

- Z uwagi na kelpie? - zainteresowała się dziewczyna.

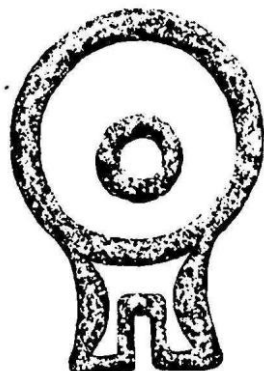
- Potrafią pływać długie godziny, jeśli wyczują coś smacznego - wyjaśnił Nemezis z nawiedzonym błyskiem w oku. - Ścigają cię dniem i nocą, nigdy nie śpią ani się nie poddają. Są niestrudzone.

- I zobacz, co narobiłaś - ofuknął ją Bugabu. - Wypowiedziałaś to zakazane słowo. - Zabrał przyjaciela na krótki spacer, a gdy wrócili, skóra Nemezisa znów miała zdrowy, zielony odcień.

- Jak chciałem powiedzieć, zanim mi przerwano, pora wracać do domu. Na szczęście na tym brzegu jest niejedna jaskinia - powiedział król hobgoblinów.

# Rozdział 41

## Wizja



Oczywiście. To było tak proste, że Jack nie wiedział, czemu wcześniej o tym nie pomyślał. Kiedy on, Brutus i Pega rozpoczynali wyprawę, obozowali w wielkiej grocie, pełnej nietoperzy. Komora rozgałęziała się na osiem tuneli, które kojarzyły się z odnóżami pająka. Nie podoba mi się to porównanie, pomyślał Jack.

Trzęsienie ziemi zasypało jeden z tuneli, ale być może pozostałe były wciąż nietknięte. Bugabu zapewnił wszystkich, że do elfiego tunelu prowadzi mnóstwo odgałęzień i że hobgobliny znają go jak własną kieszeń.

- Wiemy, gdzie jest skrót do Studni Świętego Filiana - powiedział.

- A nie będzie tam pełno wody, skoro Pani Jeziora wróciła? - spytała Pega.

- Trzęsienie ziemi otworzyło studnię do samego tunelu. Potrzeba by całego morza, żeby to wypełnić.

Szybko zbliżał się zachód słońca. Jaskółki nurkowały w powietrzu i krążyły nad niewielkim obozowiskiem na plaży. Pega i Jack rozpalili ognisko i wszyscy napawali się jego ciepłem pośród wieczornego chłodu.

- Ciągle wykładam im ryby, ale nie chcą jeść - stwierdziła dziewczyna, spoglądając na jaskółki.

- One nie jedzą ryb - wyjaśnił Jack. - Ciekawe, dlaczego tak się nami interesują.

- Mamcia kazała im mieć na nas oko. Co? - Bugabu zdziwił się zaskoczeniem Jacka. - Nie mówiłem wam?

- Nie mówiłeś im - potwierdził Nemezis. - Miałaś zamiar, ale myśl szybko wyleciała z tej wietrznej jaskini, którą nazywasz mózgiem.

- W takim razie powiem im teraz - odparł pogodnie król. - Mamcia nauczyła się mowy jaskółek od Księżycowego Człowieka. Mało tego, potrafi też tchnąć w jedną z nich swoją duszę. Kiedy zaginęłaś, Pego, byłem zdruzgotany. Myślałem, że nie żyjesz, dopóki Nemezis nie wyznał mi, co zrobił.

- Powinienem był trzymać buzię na kłódkę - mruknął Nemezis.

- Ach, ale było ci mnie żal - powiedział król. - Pod tą twardą skorupą bije serce kijanki. Mamcia od razu pofrunęła w ciele jaskółki, by zasięgnąć rady Smoczego Języka.

- Smoczego Języka? Znacie go? - wykrzyknął Jack.

- No oczywiście. To najmądrzejszy z mądrych - stwierdził Bugabu. - Powiedział nam, że świeca Pegi zawiera siłę życiową samej ziemi. Ale ostrzegł, że jej zapalenie wprawi w ruch koło roku. W Krainie Srebrnych Jablek czas już nigdy nie będzie stał w miejscu. Zaczniemy się starzeć. Powoli, ale nieubłaganie.

- Zwołaliśmy naradę. Wszyscy musieli się zgodzić - powiedział Nemezis.

- I zgodzili się, Pego, moja kochana. - Bugabu ujął jej dłonie w swoje długie, lepkie palce.

- Powiedzieli, że warto się poświęcić dla takiej pięknej i miłej królowej o cudownym głosie.

- Ojej - jęknęła Pega. - Jestem odpowiedzialna za śmierć, która do was przyjdzie. Mam poczucie winy.

- To bez sensu, moja droga. Dzięki tobie po prostu znów wkroczyliśmy w strumień życia. Zbyt długo byliśmy od niego odcięci i słuchaliśmy elfiej muzyki.

Pasma chmur nabrały złotej i czerwonej barwy. Niebo pociemniało i białe czapy fal stały się wyraźniejsze. Zerwał się wiatr. Jaskółki pomknęły w stronę gór, szukając otworów skalnych. W powietrzu rozlegał się jedynie szum morza i krzyki mew.

- Co mówią? - spytała Pega.

- Oskarżają się nawzajem o rabowanie gniazd - odrzekła Thorgil. - Większość jest z tego dumna.

- Ty też rozmawiasz z ptakami, córo miecza? - spytał Bugabu.

- Przypadkiem skosztowałam smoczjej krwi. Nigdy tego nie róbcie. Niemal wypaliła mi gardło.

Tego wieczoru wcześniej poszli spać, musieli bowiem wstać o brzasku. Pega spakowała jedzenie. Nemezis, pod kierunkiem Thorgil, wyźłobił runy na pniu drzewa.

- Może tu wrócą. Zobaczą to i będą wiedzieć, że żyję - powiedziała.

Jack poczekał, aż wszyscy zasną, po czym wstał i popatrzył w ognisko. Pomyślał o

jaskółce, którą widział w towarzystwie barda, gdy wtrącono go do lochu w Krainie Elfów.

„Jesteś bardem?“, spytał Mamcię ostatniego wieczoru wśród hobgoblinów.

„Nikim aż tak wielkim. Nauczyłam się paru rzeczy od Mędrców, ale jestem o wiele zbyt leniwa, by poświęcić całe życie na naukę“. Wyglądało na to, że nie zdradzała się z całą swoją wiedzą.

Jack oczyścił umysł i zaczął okrażać ognisko.

*Szukam za fałdami gór*

*Dziewięcioma falami mórz*

*Ptasim krzykiem na wietrze.*

To tę plażę widział, gdy Thorgil, Skakki i Runa planowali najazd na Krainę Elfów. Cóż to był za szaleńczy plan. Ale gdyby Thorgil się na to nie zdecydowała, nigdy by jej nie zobaczył. Może ojciec Severus miał rację. Wszystko, co działo się pod sklepieniem Niebios, miało swój cel.

Jack odegnał tę myśl. Zakłócała działanie jego magii. Zataczał krąg za kręgiem, śpiewając cicho. Szybciej, niż się spodziewał, ciemne morze pojaśniało i stało się pałacem, rozświetlonym blaskiem ognia. Nie była to siedziba króla Yffiego. Jack nie poznawał tego miejsca, dopóki nie dostrzegł kilku szczegółów: witrażowe okno, skrzynka z kości słoniowej z wizerunkiem mężczyzny, pochłanianego przez liście.

Był to skarbiec Klasztoru Świętego Filiana. Na ścianach płonęły pochodnie. Większość złotych, wysadzanych klejnotami skrzyń odsunięto na bok, by zrobić miejsce na ucztę. Mnisi pili i głośno śpiewali pieśni, zaś posepni niewolnicy chodzili między stołami, roznosząc jedzenie. Jack zapamiętał zakonników jako gburów, ale tak źle to nigdy nie wyglądało.

Niektórzy leżeli na podłodze, ubabrani winem albo czymś jeszcze gorszym. Inni, pijani, zataczali się. Jeszcze inni niemrawo okładali się pięściami z powodu jakiejś obelgi. Zrezygnowali z prostych habitów na rzecz szat ze świetnej wełny i lnu. Dary dla klasztoru zostały zgrabione.

U szczytu stołu siedział drobny mężczyzna, niemal całkiem zasłonięty przez rozhułanych towarzyszy. Jako jedyny nosił prosty mnisi habit i spożywał skromny posiłek, złożony z chleba i wody. Był to brat Aiden.

- Posłuchajcie, proszę - powiedział łagodnym głosem. - Naprawdę musimy iść do kaplicy.

Nikt nie zwracał nań najmniejszej uwagi. Po chwili wstał i Jack ruszył za nim przez zbyt mocno ogrzaną salę, a potem przez długie korytarze do kaplicy. Brat Aiden zapalił świecę,

ukazując fatalny wygląd pomieszczenia: powywracane ławy, pokrywający wszystko kurz i przechylony krzyż.

Drobny mnich ukląkł i zaczął się modlić. Jack próbował go zawołać, ale jego magia nie była dość silna. W końcu, zniechęcony, opuścił kaplicę i zaczął wędrować po klasztorным terenie. Nie wiedział, dokąd zmierza. Pragnął dotrzeć do twierdzy Din Guardi i zobaczyć barda, ale wizja nie działała w ten sposób. Pokazywała to, co było potrzebne.

Księżyc w fazie między pierwszą kwartą a pełnią rzucał widmowy blask na ruiny murów i zawalone budynki. Dlaczego tego nie uprzątnięto? Gdy jednak znalazł się wśród ruin Studni Świętego Filiana, zobaczył, że mnisi nie byli zupełnie beczynni.

Otwór studni został zakryty. W jakiś sposób, nadludzkim wysiłkiem, położono na nim wielką, kamienną płytę. W szczeliny wepchnięto mniejsze kamienie, po czym umocowano je za pomocą tynku. Nie było najmniejszych szans, by ktoś się stamtąd wydostał.

Król Yffi nie miał zamiaru pozwolić, by ktokolwiek wrócił. Nawet gdy znów pojawiła się woda, kamiennej płyty nie usunięto. Thorgil powiedziała, że władca nie ma honoru. Jacka ogarnął taki gniew, że mógłby wywołać kolejne trzęsienie ziemi. Złość jednak rozproszyła wizję i chłopak znów znalazł się na plaży, wśród szumu fal.

- Studnia zamknięta? Jesteś pewien? - spytał Bugabu. Był wczesny ranek i słońce wciąż kryło się za mgłą nad morzem.

Wszyscy przykucnęli przy trzaskającym ogniu, próbując się rozgrzać.

- Widziałem to - odparł Jack.

- Tak, a ja widziałem w snach pieczone kuropatwy, tańczące wśród porów - powiedział Nemezis.

- Dalekowidzenie nie kłamie - oburzył się chłopak.

- Bardowie to umieją - stwierdził Bugabu, przyjaźnie szturchając Nemezisa. - Osobiście mu wierzę. Smoczy Język nie uczyłby go magii, która nie działa.

- W takim razie może lepiej iść przez Zapomniany Las - zaproponowała Thorgil.

- Ojciec Severus na pewno by tego nie przeżył.

Hobgobliny zmajstrowały nosze, by dźwigać mnicha, te jednak na nic nie mogły się przydać na stromych i wąskich górskich ścieżkach.

- O ile pamiętam, tunel rozgałęział się w wielu kierunkach. Czy są inne przejścia?

- Tak - odparł Bugabu. - Większość prowadzi przez miejsca, które by się wam nie spodobały, na przykład przez Kolonię Robali i Komnatę Widm. Jeden z korytarzy kończy się w głębokiej rozpadlinie, zwanej Kwoczą Dziurą. W życiu nie wspięlibyśmy się na jej ściany.



Jedynie bezpieczne przejście wiedzie pod Din Guardi.

- Pod Din Guardi? - powtórzył Jack. W jego głowie pojawiło się ponure wspomnienie lochów i łoskotu fal.

- Jest tam cała sieć jaskiń. To bardzo stara twierdza.

- Na wielkie muchomory i małe grudki szlamu! Chcesz, żebyśmy zginęli? - wykrzyknął Nemezis. - To tam Księżycowy Człowiek popełnił zbrodnię, przez którą wygnano go na nieboskłon. Starzy bogowie uważają, że to ich własność. Pan Lasu oblega twierdzę dniem i nocą.

Jack zadrżał, przypominając sobie Żywopłot, otaczający posepne, szare mury.

- Nie jest tak źle - powiedział król. - Za czasów Lancelota było to całkiem wesołe miejsce. Ostatnio zajął je ktoś inny. Nie pamiętam, kto.

- Ziemiści piraci - ryknął Nemezis.

- Właśnie! Nie mamy się czym martwić. Każdy hobgoblin przechytrzy ziemistego... Wybacz, Jack.

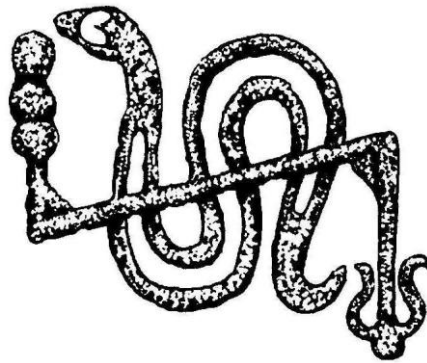
Piraci faktycznie zajęli twierdzę, pomyślał Jack, ale przewodził im król Yffi, półkelpie. Przez chwilę chłopak zmagał się ze swoim sumieniem. Gdyby zdradził, co wie, Nemezis bez wątplenia nie zechciałby iść. Musieliby wędrować przez góry, a ojciec Severus spadłby z urwiska. Inni też mogli zginąć. Thorgil nie radziła sobie najlepiej z jedną sprawną ręką, Pega zaś nie była silna. Oczywiście, należało chronić ich życie, zamiast ujawniać niemiłe (i zapewne nieistotne) fakty. Yffi i tak pewnie nie jadł hobgoblinów, jako że tylko w połowie był kelpie. Poza tym mogli poprosić o pomoc barda.

Wewnętrzna walka Jacka zakończyła się.

- Dobra. Niech będzie Din Guardi - powiedział chłopak.

## Rozdział 42

### Gnomy



Za pnąciami i drzewami kryło się kilka jaskiń. Wszystkie oprócz jednej okazały się zablokowane osuwiskami skalnymi. Wylot ostatniej znajdował się pod powierzchnią morza i tylko podczas odpływu nie przykrywała go woda. Musieli czekać kilka godzin, zanim morze go odsłoniło.

Była to niezbyt zachęcająca dziura, pozapychana śmieciami, naniesionymi przez liczne sztormy. Mały wieloryb utknął między skałami i z jego kości wciąż zwisały płyty tłuszczu.

- Trzeba się spieszyć - powiedział Bugabu. - Musimy zejść w dół, zanim wejdziemy na górę, a jeśli woda się podniesie...

Utoniemy, pomyślał Jack, patrząc na śliskie skały w środku. Zrobili sobie pochodnie na tę wędrowkę, niezbyt dobre i w niewystarczającej ilości. Bugabu jednak powiedział, że dalej będzie światło. Thorgil poszła pierwsza, dzierżąc pochodnię. Za nią ruszyły hobgoblino, niosąc ojca Severusa. Dalej podążały Pega i Ethne, która głęboko wdychała woń zgniłego wieloryba.

- Więc tak pachnie rozkład - powiedziała w zadziwieniu. - W Krainie Elfów coś takiego nigdy nie istniało.

- Jeśli się nie ruszysz, zaraz zwymiotuję - ostrzegła Pega.

- Ale dlaczego? - spytała elfia pani ze szczerym zdumieniem. - To ostry zapach, bez dwóch zdań. Podobnie jak zapach wiciokrzewu. Jeden i drugi wydają mi się równie przyjemne.

Pewnie mówi prawdę, pomyślał Jack. Skąd miała znać różnice pomiędzy tym, co nieprzyjemne albo miłe, skoro przez całe życie nic jej tego nie nauczyło?

Pega popchnęła ją mocno, by szła dalej.

Jack szedł na końcu, trzymając zarówno nóż Thorgil, jak i własną laskę. Doświadczenie uczyło go, że kłopoty zwykle nadchodzą z tyłu. Rozglądał się ostrożnie na boki i nasłuchiwał podejrzanych dźwięków.

Podłoże obniżało się, aż natrafili na zagłębienia, w których stała słona, cuchnąca woda. Wkrótce brodzili w błocie po pas. Hobgobliny trzymały nosze z ojcem Severusem nad głowami i ponuro parły naprzód. Na ścianach tańczyły cienie, w blasku rzucanym przez pochodnię Thorgil.

Z tyłu dobiegało echo fal i co jakiś czas na dół spływała kolejna porcja wody. Nogi swędziały Jacka od soli. Stopy miał przemarznięte, a powietrze śmierdziało. Próbował przekonać siebie, że podoba mu się zapach zgnitego wieloryba, ale na próżno.

Usłyszał szum i zatoczył się pod naporem niespodziewanej fali wody.

- Biegiem! - krzyknął Bugabu. - Przyływ wrócił!

Pognali najszybciej, jak umieli, wśród chlupotu i przekleństw, miotanych przez Thorgil, a nawet Pegę.

- Co to znaczy „brudny #\$@!!”? - spytała Ethne.

- Później ci powiem - wydyszała Pega.

Podobnie jak w wypadku elfiej pani, jej marsz opóźniało obciążenie w postaci kosza z prowiantem, niesionego na głowie. Na szczęście droga zaczynała wieść pod górę. Wkrótce podłoże jaskini zmieniło się w piasek, a sklepienie coraz bardziej się wznosiło, aż mogli swobodnie iść, bez obawy, że wpadną na skałę. W końcu dotarli w miejsce, gdzie podłoże było równe. Wszyscy padli na ziemię, a Thorgil wbiła pochodnię w piasek.

- Od wieków tu nie byłem - wysapał po chwili Bugabu.

- To samo siedlisko szkodników, co zawsze - mruknął Nemezis.

Z przodu dmuchała niespokojna bryza, odpędzając woń wielorybich szczątków.

Jack rozejrzał się po dziwnie bulwiastych skałach. Przypominały sklezione ze sobą kule z ciasta.

- Jakich szkodników? - spytał.

- Głównie gnomów - odparł Bugabu. - Zjawy trzymają się swojej groty, z wyjątkiem Jenny Zielonozębej. Ta łązi tu i tam.

- Dlaczego? Czego szuka? - spytała Pega.

- Nie martw się, mój meszku - powiedział Bugabu, otaczając ją ramieniem. - Stara Jenny

dowiedziała się tego i owego o naprzykrzaniu się hobgoblinom od czasu ostatniego... no, nie będę wchodził w szczegóły.

- Nigdy nie słyszałem o gnomach - odezwał się Jack, zanim Pega zdążyła zadać następne pytania o zwyczaje Jenny Zielonozębej.

- To starzy bogowie - wyjaśnił Nemezis. - Trzymają się własnego grona. Jeśli im nie przeszkadzasz, oni nie przeszkadzają ci.

Pega rozdała zimne, pieczone pory, licząc, że przekąska podniesie wszystkich na duchu. Miała też wędzone ryby, ale Bugabu powiedział, że po nich chce się pić, więc nie będą ruszać ryb, dopóki nie znajdą wody. Pochodnia już się wypaliła, więc Thorgil zapaliła następną.

Teraz wędrówka stała się niemal przyjemna. Tunel rozszerzył się i było w nim już tyle miejsca, że dziesięciu mężczyzn mogłoby iść obok siebie z wyciągniętymi rękami. Jack cieszył się z tej przestrzeni. Wąskie, podziemne tunele działały mu na nerwy. Piasek zastąpiła ziemia. Powietrze stało się świeższe i dało się w nim wyczuć woń roślinności, choć w takim mroku nic by nie wyrosło. Jeśli jednak zamknął oczy, mógł sobie wyobrazić, że idzie przez pole. W powietrzu wisiało życie, odnosiło się wrażenie, że w każdej chwili z ziemi wyrośnie jakiś listek.

Doszli do źródła, bijącego z ziemi. Wypływał z niego strumyk, przy którym rosły ogromne, blade grzyby wielkości dorosłego mężczyzny.

Bugabu zarządził postój.

- Idziemy już wiele godzin. Na zewnątrz już na pewno zapadł zmrok.

Jack ze zdziwieniem zdał sobie sprawę, że to prawda. Ostatnia część wędrówki była tak interesująca, że zapomniał o zmęczeniu.

- Możesz zgasić pochodnię - powiedział Nemezis. - Tutaj nie będzie nam potrzebna.

Jack miał złe przecucia, patrząc, jak Thorgil odwraca pochodnię, by zdusić ogień. Światło zgasło i na chwilę zapanowała całkowita ciemność. A potem - tu, tam, bliżej, dalej - zaczął narastać łagodny blask, niczym jasna mgiełka. Z początku Jack nie wiedział, co jest jego źródłem, ale po kilku chwilach światło stało się na tyle mocne, że na ziemię padły cienie.

Grzyby. Świeciły jasnozielonym, perłowym blaskiem, niczym okutane welonami księżycy. Przy ich masywnych nogach roiły się świetliki. Na zielony rozbłysk na sklepieniu odpowiedział inny. Robaczki świętojańskie poderwały się nagle w powietrze.

- Tutaj możemy napić się wody - uznał Bugabu.

Wszyscy odczuwali już silne pragnienie, uklękli więc przy źródle ze złączonymi dłońmi. Woda okazała się zimna i czysta, z bardzo słabym, roślinnym posmakiem.

- Gdybym nie obawiał się bluźnierstwa, powiedziałbym, że to woda życia - odezwał się

ojciec Severus.

- Nie pomyliłbyś się - odparł Bugabu. - Tu było serce królestwa dawnych bogów, zanim ludzie najechali tę ziemię. To źródło poi korzenie lasu i osładza wodę w ziemskich studniach. Wciąż przetrwały tu pradawne istoty, które nie dbają o sprawy ludzi. My, hobgobliny, byliśmy częścią tego świata, zanim święty Kolumban dał nam dusze.

- Dusze dał wam Bóg - poprawił go łagodnie mnich. - Święty Kolumban tylko uświadomił wam ich istnienie.

Teraz mogli już jeść wędzone ryby, orzechy i czosnek w wodorostach, który ugotowała Pega. Czuli się miło w swoim towarzystwie pomimo dziwnego otoczenia. Thorgil opowiedziała kilka historii o krwawych bitwach. Wszystkie miały takie samo zakończenie: uczestnicy ginęli, a potem pożerały ich kruki.

- Może zadeklamujesz wiersz? - podsunął Jack, licząc, że oderwie ją od ponurych sag. Wiedział, że jest dumna ze swoich zdolności poetyckich.

- Dobrze - zgodziła się z uśmiechem.

*Walą się blanki, pałace legły w gruzach.*

*Wojownicy śpią w smutku i bezruchu,*

*Tam, gdzie padli, przy bronionym murze.*

*Lśniący kubek po piwie leży zdeптany*

*I tylko szare wilki piją dziś do syta*

*Czerwoną krew, przelaną tak niedbale...*

- Co? - spytała, przerywając recytację.

Hobgobliny patrzyły na nią z przerażeniem, ojciec Severus kręcił głową, Pega zaś wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Czy oni wszyscy nie żyją? - spytała z powagą Ethne. - Muszę wiedzieć, bo nigdy nie widziałam trupa.

- To wiersz! - wykrzyknęła Thorgil. - Powinien wam sprawić przyjemność!

- Jest bardzo dobry - pochwalił pospiesznie Jack - ale wszyscy są chyba zmęczeni po długim marszu. Przydałoby się coś mniej poruszającego.

- Opowiem wam historię - zaproponował ojciec Severus. Jack nie wiązał z tym pomysłem zbyt wielkich nadziei, mnich jednak zaskoczył wszystkich opowieścią pod tytułem:

## *BESTIA I NAJGORSZY GWÓZDŹ W ARCE*

*Dawno temu (zaczął ojciec Severus) Noe przystąpił do budowy arki, był jednak bardzo zapracowany. Musiał zgromadzić po dwa osobniki wszystkich żyjących na Ziemi stworzeń, a to wymagało mnóstwa czasu i pieniędzy. Zadanie budowy arki powierzył zatem pewnemu zapijanemu cieśli. Cieśla od czasu do czasu przybijał jakąś deskę. Pracował tylko pod wpływem gróźb ze strony synów Noego: Sema, Chama i Jafeta.*

*W końcu arka była gotowa, miała jednak pewną wadę. Cieśla zapomniał o jednym gwoździu w jej dnie i została dziura, przez którą mogła wlewać się woda.*

*Niebo się zachmurzyło, zagrział grom i zaczęło lać jak z cebra. Sem, Cham i Jafet zagnali zwierzęta do arki. Zwierzęta wchodziły parami, ale synowie Noego popełnili błąd. Zamiast dwóch węży, na pokład trafiły trzy. Pod postacią węża na arkę postanowił dostać się Diabeł.*

*Noe zaczął obchód, żeby sprawdzić zapasy i zagrody dla zwierząt. Diabeł chował się to tu, to tam, bo Noe był bardzo spostrzegawczy i potrafił odróżnić prawdziwego węża od fałszywego. W końcu nie pozostała mu już żadna kryjówka oprócz dziury w dnie. Diabeł wcisnął się w nią i utknął na dobre! Nie mógł się ruszyć ani w przód, ani w tył. Nie mógł się nawet wić. Został więc tam, zatykając dziurę do samego końca Potopu.*

*Dlatego Diabeł bywa nazywany najlepszym gwoździem i najgorszym gwoździem w arce.*

- Dobra historia - pochwaliła ze śmiechem Pega.

- Muszę ją zapamiętać i opowiedzieć innym hobgoblinom - powiedział Bugabu.

- Jaki żeglarz wyrusza w morze bez sprawdzenia, czy nie ma przecieków? - zaproponowała Thorgil. - A co porabiali ci jego leniwi synowie, że pozwolili temu pijakowi na fuszerkę? Spralabym ich na kwaśne jabłko i najęła porządnego cieślę.

Jack pomyślał, że dziewczynie coś umknęło, ale zachował milczenie. Wiedział, że ciągle gryzie się tym, jak przyjęto jej wiersz.

Na koniec Pega zaśpiewała. Było zupełnie tak, jak w lochu w Krainie Elfów i na plaży. Nikt nie chciał wystąpić po Pedze, taka była świetna.

Jack musiał to przyznać: zazdrościł jej, choć wiedział, że to niegodne. W końcu nie miała nic oprócz tego talentu. Zdaje się, że niczym nie różni się od Thorgil i chce, by wszyscy podziwiali jej poezję, pomyślał. Pograżony w rozmyśleniach, nie słuchał głosu Pegi, do chwili, gdy krzyknęła.

Jack zerwał się na nogi z laską w pogotowiu. Wszyscy zbili się w ciasną grupę. Światło

nagle pojaśniało i grzyby naprawdę wyglądały teraz jak księżycy. Chłopak zobaczył, że w skalnych wnękach tkwiły bryły, które przypominały kawały ulepionego ciasta. Każda osnuta była długimi, jedwabistymi włosami o barwie zboża, a wewnątrz tych kokonów widniały małe, skulone ciała, brązowe jak świeżo przekopana ziemia. Twarze wydawały się niewyobrażalnie stare - pokryte płątaniną zmarszczek tak głębokich, że trudno było uwierzyć w ich istnienie. A w twarzach osadzone były lśniące, czarne oczy, wszystkie uważnie wpatrzone w Pegę.

- Gnomy - szepnął Nemezis. - Są w porządku, dopóki się ich nie zdenerwuje.

- Jak mamy się zachować? - szepnął w odpowiedzi Jack. Gnomów było bardzo dużo, wyglądały jak komórki w plastrze miodu. Nie przewyższały wzrostem rocznych dzieci, ale w grupie mogły okazać się groźne.

- Bądźcie cicho - poradził Bugabu. - Jeśli nic nie zrobimy, może znowu zapadną w sen.

Wszyscy siedzieli więc w całkowitym milczeniu. Po ścianach poniosło się westchnienie, ciche i piskliwe niczym świergot ptaka. Jedna z brył oderwała się i z pacnięciem wylądowała na ziemi.

Jack zobaczył małego człowieczka, owiniętego od stóp do głów długą brodą. Wydawał się nieszkodliwy niczym kociak, ale Jack nie dał się zwieść. Miał zbyt duże doświadczenie z nieziemskimi stworzeniami, by w cokolwiek wierzyć.

- *Śpiewaj* - mruknął gnom tym samym, świergotliwym głosem.

Pega posłała Jackowi pełne niepokoju spojrzenie.

- Lepiej rób, co mówi - rzekł cicho.

Powtórzyła zatem hymn, który im wcześniej zaśpiewała. Potem przeszła do ballady, a w końcu do piosenki o zrywaniu kwiatków w maju. Przerwała dla nabrania tchu.

- *Śpiewaj* - powtórzył gnom.

- Muszę się napić wody - oznajmiła dziewczyna. Gnom zanurzył w strumyku długą brodę, która zwinęła się niczym liść paproci. Podskoczył do Pegi, a ona skuliła się przy Bugabu.

- W porządku, najdroższa. Myślę, że nie ma złych zamiarów - mruknął król hobgoblinów.

- Na razie - dodał Nemezis.

- *Wyciągnij ręce* - powiedział gnom. Pega złożyła dłonie, a on ścisnął koniec brody.

Woda strugą trysnęła na jej palce. - *Pij*.

Skrzywiła się, ale była zbyt przestraszona, by nie usłuchać. Wypiła wodę z rąk i na jej twarzy pojawił się zachwyty.

- Pyszna! - wykrzyknęła.

Gnom pokiwał głową.

- *Śpiewaj* - nakazał.

Pega zaśpiewała „Falszywego rycerza”, „Wesołego młynarza” i „Niewiastę z Usher's Well”. Głos zaczął jej lekko drżeć i Jack zrozumiał, że jest zmęczona. Jak długo jeszcze te stwory będą żądały, by je zabawiała? Nie przypominały niczego, co można spotkać w Midgardzie. Należały raczej do świata, który leży pod nim, kamieni, wody i ziemi.

Czasami, gdy Jack sięgał umysłem w głąb, ku sile życiowej, pośród korzeni i zwierząt w norach wyczuwał istoty, których nie potrafił rozpoznać. Podejrzewał, że gnomy zechcą słuchać muzyki bardzo, bardzo długo.

Stwór obserwował go błyszczącymi oczami. Po ścianach tunelu poniosł się świergotliwy szmer.

- *Śpiewaj* - powiedział gnom, owinięty kokonem swojej brody.

- Ja zaśpiewam - zaproponował Jack. - Może mój głos nie jest tym, czego pragniecie, ale Pega nie da rady śpiewać przez całą wieczność.

- Wieczność to cała istota tych stworzeń - mruknął Nemezis.

Jack przywołał w swojej głowie wszystko, czego uczył go bard o zwierzętach, ludziach, trollach i elfach, ale nie przypomniał sobie nic o gnomach. Po chwili, niespodziewanie, ujrzał w umyśle obraz matki. Wczesną wiosną, gdy ziemia była już na tyle rozgrzana, by orać, a kolor nieba zmieniał się z szarości w błękit, kobieta chodziła na pola. A idąc, śpiewała...

*Erce, Erce, Erce eorcean modor,*

*Geurmecee se alwalda, ece drihten...*

- *Erce, Erce, Erce...* - powtórzył Jack prastare wezwanie do ziemi w języku tak starym, że nikt nie znał jego dziejów. Może mówił nim Księżycowy Człowiek. Dalej chłopak ciągnął już w mowie ludzi.

*Matko Ziemi, niech wszechmocny*

*Pan Życia zapewni ci*

*Żyzne, urodzajne pola*

*Zielone liście i wysokie łodygi*

*Tak mocnego jęczmienia*

*Jak i jasnej pszenicy*

*Erce, Erce, Erce...*



Śpiewając, Jack wciąż widział w umyśle matkę, jak pochyla się nad każdą bruzdą, oddaje jej hołd i obsypuje nasionami. Zakłęcie było długie, a chłopak powtórzył je dziewięć razy. Gdy skończył, podniósł głowę i ujrzał całą rzeszę gnomów, które poodpadały od ścian. Kojarzyły mu się z masą maleńkich stogów siana. Serce podeszło mu do gardła. Co takiego narobił? Może jednego gнома jeszcze łatwo było zabawić. Ale co miał zrobić z setkami gnomów?

Ale pierwszy z nich, wyróżniający się spośród reszty, powiedział:

- *Dobry z ciebie chłopak, Jack, bo oddajesz cześć uprawom. A z ciebie dobra dziewczyna, Pego, bo śpiewasz tak, jak śpiewała Ziemia na samym początku. Jak możemy was nagrodzić?*

- Lepiej nie odpowiadać - szepnął Nemezis.

Jack jednak uznał, że byłoby to niegrzeczne. Poza tym podobały mu się te małe stogi siana, nawet jeśli wyglądały nadzwyczaj dziwnie.

- Chcieliśmy wam tylko podziękować za łaskawość, okazaną plonom mojej matki. Prosimy o pozwolenie na przejście do Din Guardi.

Po zgromadzeniu poniósł się świergotliwy syk, przypominający szum wiatru w łanach pszenicy.

- *Din Guardi to siedziba cieni. Otaczają krąg Nieżycia.*

- Okropne miejsce - przyznał Jack - ale jest tam mój ojciec i bard, mój mistrz. Muszę się upewnić, że nic im nie jest. Nie martwcie się, odejdziemy stamtąd jak najszybciej.

Gnomy naradzały się między sobą pośród wielu westchnień, syków oraz dźwięków, przypominających odległy grzmot burzy. Brzmiało to jak gniew.

W końcu naczelny gnom odpowiedział:

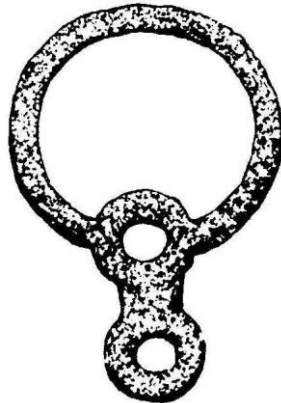
- *Nie będziemy was przetrzymywali, ale nie zapomnimy o was.*

- Dziękujemy - powiedział niepewnie Jack. Nie wiedział, czy chce być tu pamiętany. Gnomy wspięły się z powrotem na ściany. Trudno było stwierdzić, jak tego dokonały bez użycia rąk ani nóg, ale jakoś im się udało. Wkrótce znów wszystkie były wciśnięte w swoje wnęki. Ich brody o barwie słomy pobladły i zlały się w jedno ze ścianą, aż w końcu stwory znów były tylko zbiorem brązowych brył.

- Chyba powinniśmy iść - stwierdził Bugabu, a Jack ze zdumieniem zauważył, że hobgoblin stał się jasnozielony ze zdenerwowania. Pierwszy raz widział u króla strach i uświadomił sobie, że te małe stogi siana nie były takie nieszkodliwe, na jakie wyglądały.

## Rozdział 43

### Kelpie



Wygląd tunelu zmienił się. Zamiast oświetlanego blaskiem grzybów brązu widzieli teraz wokół siebie surowe skały. Powietrze miało zimną, mineralną woń, a ze sklepienia kapąła woda. Jack ponownie zapalił pochodnię Thorgil.

- Ja to wezmę - zaferował się Nemezis.

Thorgil z ociąganiem oddała pochodnię. Kolejny raz przypominano jej, że ma tylko jedną sprawną rękę, więc nie da rady osłaniać płomienia. Została z tyłu, by iść z ojcem Severusem, który sprawiał wrażenie zaskakująco żwawego.

- Nie wiem, co się stało - powiedział z zadumą. - Czuję się znakomicie, jakbym był o połowę młodszy. Może po prostu potrzebowałem czasu, by odzyskać siły.

Jack jednak w głębi duszy przypuszczał, że miała na to wpływ woda z ziemi gnomów. Sam poczuł się o wiele, wiele lepiej, gdy się jej napił. Przygnębiająca apatia Krainy Elfów ustąpiła, zabierając ze sobą tęsknotę za Lucy.

Wszyscy wydawali się szczęśliwsi, nawet Thorgil. Ethne, ma się rozumieć, wciąż promieniała. Fascynowało ją każde nowe doświadczenie, choćby w pozostałych budziło jak najgorsze odczucia.

- Te gnomy były takie urocze - piała z zachwytem. - Miałam ochotę je przytulić!

- Nigdy, przenigdy nie próbuj przytulić gнома - przestrzegł Bugabu.

Nemezis szedł przodem, machając pochodnią w prawo i w lewo, by uchronić ją przed spadającymi kroplami.

- Zbliżamy się do morza! - zawołał. - Czujecie fale?

Jack pierwszy raz zauważył przechodzące przez skały drzenie. Zimny wietrzyk niósł zapachy wodorostów i soli. Wszyscy przystanęli. Z oddali dobiegło żalosne wycie.

- To chyba nie Jenny Zielonozęba, co? - spytała Pega.

- Zjawy są cichsze - wyjaśnił Bugabu. - Wolą ciężko dyszeć do ucha.

- Do stu pluskiew! Tylko tego mi brakowało - powiedziała dziewczyna, przysuwając się do Jacka.

Gdy szli naprzód, wycie stało się głośniejsze. Rozróżniali wyraźnie głosy wielu stworzeń. Niektóre krzyki brzmiały wysoko i piskliwie, inne nisko niczym ryk byka.

- Już to kiedyś słyszałem - stwierdził Bugabu. - Co to było? Wywerny? Mantykory? A, już wiem! Kelpie.

Nemezis zatrzymał się gwałtownie i wszyscy po kolei powpadali na siebie.

- Kelpie! Nie idę dalej!

- Są daleko na morzu, przyjacielu - oznajmił Bugabu.

- Skąd możesz wiedzieć? Może na nas czekają.

- Jestem pewien, że nie. Widzisz...

- Słuchaj, chcę iść za tobą wszędzie. Jesteś moim królem. Nasz lud wybrał właśnie mnie, żebym cię chronił przed twoją własną głupotą. Poza tym... lud cię lubi. Ja cię lubię... O, na świętego Kolumbana! Nie wierzę, że to powiedziałem. Ale proszę, Wasza Królewska Ignorancjo, nie proś mnie, bym zbliżał się do kelpie. One zjadają hobgoblina. Zjedzą mnie.

Nemezis przybrał barwę popiołu. Jego uszy zwijały się i rozwijały, a oczy mrugały tak szybko, że Jack nabrawał obaw, czy aby hobgoblin zaraz nie zemdleje.

- Wiem, że mnie lubisz - odrzekł Bugabu, łapiąc przyjaciela za rękę. - Trudno znaleźć gorzej utrzymywaną tajemnicę. A ja cię bardzo podziwiam i szanuję. Ale chciałem właśnie powiedzieć, że kelpie wyją, kiedy nadciąga sztorm. Czują zrywający się wiatr i to doprowadza je do szału. Już to widziałem. Siedzą na wysepkach i patrzą na morze. Co ważniejsze, wiatr wieje w naszą stronę, więc nic nie wyczują.

Nemezis stał się pomarańczowy.

- Jesteś pewien? - spytał.

- Jak tego, że Bóg stworzył małe, brązowe gnomy.

- Ojej. - Nemezis zadrżał. - Chyba muszę przyznać, że wiedziałeś coś, czego ja nie wiedziałem.

- Święty Kolumban byłby z ciebie dumny - powiedział król serdecznym tonem. - Mawiał, że skromność to największa cnota.

Grupa ruszyła dalej, prowadzona przez hobgoblina.

- Może wyglądają jak demony - odezwał się cicho ojciec Severus - ale czystość ich serc niemal mnie zawstydza.

Pega odciągnęła Jacka na bok i szepnęła:

- Coś sobie przypomniałam. Yffi to półkelpie. Powinniśmy powiedzieć Nemezisowi.

- I co zrobić? - spytał. - Cofnąć się? Spędzić zimę na plaży? Severus by tego nie przeżył.

- Ale nie możemy kłamać.

- Nie nagniesz lekko prawdy, żeby ratować czyjeś życie? A jest jeszcze ojciec. Potrzebuje nas.

Przystanęli. Pozostali podążali naprzód, prowadzeni przez Nemezisa, który trzymał pochodnię w górze.

- Chyba masz rację - powiedziała Pega z wahaniem. - Musimy tylko od razu znaleźć barda. On zajmie się Yffim.

- O tym samym myślałem - stwierdził i pobiegli naprzód, by dogonić resztę.

Szli teraz wolniej, często przystając, by nasłuchiwać wycia. Fale waliły o brzeg. Zimny wiatr zaczął wiać przez tunel, pochylając płomień pochodni. Z nieodległego wyjścia zaczął się już sączyć słaby blask.

Wyszli na skaliste wybrzeże. Musieli przejść przez płytką zatoczkę, po czym znów wspięli się na szlak. Jack poczuł nagłe zawroty głowy, jakby za moment miał stracić przytomność. Po chwili mu przeszło. Morze wdzierało się na skały, posyłając w powietrze fontanny kropel. Jack kulił się, sądząc, że zaraz zmoknie, ale krople ani razu go nie dotknęły.

- Jak to możliwe? - zwrócił się do Bugabu, pokazując wodę, która zatrzymywała się gwałtownie, jakby coś ją odpychało.

- Weszliśmy w dziedzinę Din Guardi - wyjaśnił hobgoblin. - Jest chroniona.

- Chroniona? - powtórzył Jack, myśląc sobie, że należałoby raczej chronić wszystko inne przed Din Guardi, a nie na odwrót.

- Dawno temu, kiedy odebrano to miejsce Księżycowemu Człowiekowi, stworzono barierę, by uniemożliwić mu powrót. Dawni bogowie wciąż roszczą sobie prawa do twierdzy. Bóg Morza próbuje szturmować ją swoimi przyływami. Pan Lasu czeka na lądzie.

- Czy to krąg Nieżycia, o którym mówiły gnomy? - spytał chłopak.

- Zgadza się. One też nie mogą wejść.

- Nic nie zatrzyma kelpie - wtrącił Nemezis. - Idźcie, idźcie, jeśli nie chcecie stać się obiadem.

Z lewej strony częściowo zasłonił ich rząd kolumn. Po prawej wznosiło się urwisko, zakończone szarymi murami, tak porośniętymi mchem, że wyglądały, jakby wyrosły z ziemi.

Jack dostrzegł wschód słońca pomiędzy niebem, pełnym płynących chmur, a morzem, poznaczonym groźnymi skałami. Wysokie postacie podnosiły się i kładły, witając nadchodzący sztorm.

- Nie wychylaj się - przestrzegł Nemezis.

Jack usłuchał, ale nie mógł sobie odmówić jeszcze jednego spojrzenia. Nigdy nie widział kelpie, z wyjątkiem króla Yffiego, który był zasłonięty od stóp do głów. Zresztą Yffi był tylko półkelpie. Stwory na skałach wydawały się znacznie wyższe. Niewiele było widać, bo światło znajdowało się za nimi, ale wydawały się porośnięte sierścią. Najbardziej przypominały olbrzymie wydry. Nogi, które Jack dostrzegł tylko przelotnie, kończyły się długimi, hakowatymi szponami. Ich krzyki były straszliwe, a jednak dziwnie melodyjne. Im dłużej Jack słuchał, tym lepiej to wszystko brzmiało. Mógłby wykorzystać podobne harmonie we własnej muzyce. Ale najpierw musiał podejść bliżej.

Bugabu pociągnął go tak mocno, że chłopak upadł i rozciął sobie wargę.

- Chcesz, żeby pożarły nas wszystkich? - syknął.

Pozostali, już daleko z przodu, patrzyli na nich z niepokojem. Jack otarł krew z ust i pognął za królem. Dotarli w miejsce, gdzie szlak znów schodził pod ziemię, i usiedli, by odpocząć. Nemezis przybrał bladożółtą barwę i wzdygał się za każdym razem, gdy usłyszał wycie.

- Co się z tobą działo? - spytała Thorgil. - Bugabu musiał po ciebie wrócić.

Jack wyjrzał ku morzu. Nie widział kelpie, za to je słyszał. To naprawdę był rodzaj muzyki, pełnej tęsknoty i jakiegoś innego uczucia, którego nie umiał określić. Chciał usłyszeć więcej.

- Halo? Jest tam kto? - Pega zamachała mu ręką przed twarzą.

- Właśnie tak kelpie wabią ofiary - powiedział Bugabu. - sprawiają, że chcesz, by cię zjadły. Wejdiesz im prosto w gardła, jeśli ktoś cię nie powstrzyma. Nie powinniśmy iść dalej, zanim zacznie się sztorm.

Słońce całkiem znikło za horyzontem. Po chwili nastąpił nagły rozbłysk, po którym natychmiast zagrzmiał grom i kelpie zaczęły wyć ze zdwojoną siłą. Bardzo niewiele światła wpadało do tunelu i wkrótce musieli się zatrzymać.

- Kto niesie pochodnie? - spytała Thorgil.

- Ja - odparła Ethne. - A niech mnie oset pokłuje! Kosz mi przemókł. Pewnie wtedy, kiedy puściłam go na wodę w tym strumyku, przez który przechodziliśmy.

- Dlaczego zrobiłaś coś takiego? - wykrzyknęła Pega.

- Nie wiem - odparła niedbale elfia pani. - Może kosz skojarzył mi się z łódkami, które mieliśmy w Krainie Elfów. Wsadzaliśmy do nich ludzkie dzieci i puszczaliśmy na wodę, wiecie, żeby krzyczały ze strachu. To był ubaw!

- Mogę przyzwać ogień z ziemi - oznajmił Jack, zanim Pega straciła cierpliwość. Wciąż miał krzesiwo i hubkę, które Brutus dał mu w Krainie Elfów, ale pochodnie były tak mokre, że tylko magia mogła je rozpaścić. Na rozpałkę postanowił użyć osmalonej resztki pochodni Nemezisa.

- Czy to te czary, które uprawiałaś w lochu? - spytał ojciec Severus.

- Tak - odparł Jack, szykując się na kazanie, ale mnich postanowił się nie wtrącać. Chłopak sięgnął umysłem w głąb, między skały i wodę, która przesączała się przez szczeliny. Kiedyś za nic w świecie nie potrafiłby uprawiać magii w obecności widzów, ale dzięki ćwiczeniom jego umiejętności wzrosły.

Skały były niewyobrażalnie stare, choć Jackowi nigdy nie przyszło do głowy, że kamienie mogą mieć jakiś wiek. Sprawiały wrażenie zużytych i zniknęło z nich całe życie. Drzewa i trawa nigdy tu nie rosły, nieważne, jak bardzo się o nie dbało.

Jack uświadomił sobie, że nie widział w twierdzy żadnego ogrodu, nawet grządki z ziołami, które uprawiali kucharze i wieszczki. Jeśli się nad tym zastanowić, kobiet też tam nie było.

Sięgnął głębiej. Woda miała w sobie lekki blask, gdy spadała z nieba, traciła go jednak wśród mrocznych skalnych zakamarków. Czy taki był skutek skazania dawnych bogów na wygnanie? Może byli groźni i nieprzyjaźni, ale to oni władali światem zieleni.

Jack dotarł do bariery. Napierał na nią, a bariera go odpychała. Bolał go brzuch, a serce łomotało mu w piersi. Obudził się zlany zimnym potem, z zaciśniętymi pięściami.

- Nie mogę - wysapał.

Burza osiągnęła apogeum. Wicher wył w wylocie tunelu, a grzmoty wstrząsały ścianami.

- Thor jedzie swoim rydwanem przez niebo - powiedziała Thorgil.

- Niech sobie jedzie gdzie indziej - mruknęła Pega.

- Głupstwa! To wspaniały dźwięk. Oznacza, że Thor ciska młotem w swoich nieprzyjaciół.

- Jak zwykle, jesteś przesiąknięta niewiedzą - rzekł ojciec Severus. - Bóg ciska gromy, by przypomnieć nam o Sądzie Ostatecznym. Najlepiej paść na kolana i błagać Go o miłosierdzie.

- Wizja boga typowa dla *thralla* - zadrwiła Thorgil. - Już prędzej pogrozę Mu pięścią.

- Przestańcie tracić czas! - wykrzyknął Nemezis, który rozemocjonowany, przeskakiwał z

nogi na nogę. - Jeśli któryś z tych kelpie wsadzi tu pysk, możecie się pożegnać z życiem.

- Ma rację - zgodził się Bugabu. - Chodziłem tymi tunelami tyle razy, że wyczuję drogę.

- Jak to... - zaczął Jack i urwał. W słabym świetle zobaczył, że uszy króla hobgoblinów rozwinęły się na pełną długość. Miały teraz szerokość jego wyciągniętych rąk, a ich krawędzie okolone były siwymi włosami, które sterczały niczym kocie wąsy.

- Muszę poprosić, żebyście wszyscy zachowali ciszę - oznajmił Bugabu. - Mój słuch jest teraz czuły do bólu. Weźcie się za ręce.

Zrobili, jak polecił. Przodem szli Bugabu i Nemezis, a za nimi Ethne, ojciec Severus i Pega. Jack i Thorgil zabezpieczali tyły, jako że najlepiej walczyli. Cała grupa posuwała się w ciszy, a włosy czuciowe króla hobgoblinów muskały ściany tunelu. Wkrótce znaleźli się pośród całkowitych ciemności.

Mijali stalagmity i potykali się o kamienie. Bugabu szeptem przekazywał zalecenia: - Teraz w lewo. W lewo. Au. Przepraszam. Uwaga na dziurę.

Na twardym podłożu nie leżał piasek, a gdy Jack dotknął ścianę, zdziwił się, jaka jest zimna. Na zewnątrz panowało lato, ale tutaj najwyraźniej zima nigdy nie ustępowała. Ziąb wdierał mu się do butów. Inni też musieli to czuć, bo zaczęli się potykać.

- Jesteśmy już prawie na miejscu - szepnął Bugabu. - Odwagi, najdroższa Pego.

Szlak zaczął wieść pod górę i nieznośny chłód ustąpił. Przed nimi zajaśniało światło. Ośmieleni, ruszyli szybszym krokiem. Widać już było posępne mury z niebiesko-czarnego kamienia, który pochłaniał każdy promień światła. Z otworów powyżej padały długie snopy czegoś, co Jack umiał nazwać tylko „pomniejszym mrokiem”.

Przeszli przez żelazne drzwi. Lochy, pomyślał Jack. Ciekawe, czy ktoś tam jest? Znow najwyraźniej znaleźli się blisko morza, usłyszał bowiem odległy łoskot fal i wyjące kelpie.

- Ach, teraz lepiej - powiedział Bugabu, zwijając uszy. Na początku włosy czuciowe znalazły się przy skórze, potem krawędzie uszu zawinęły się nad nimi. W końcu uszy wyglądały jak małe, tłuste kielbaski. - Nemezis i ja poczekamy tutaj. Ziemiści robią straszne zamieszanie, kiedy zobaczą hobgoblina. Wejdziecie po tych schodach i traficie na dziedziniec. Później możecie wkraść się do środka przez boczne drzwi.

- Tylko nie zwlekajcie zbyt długo - warknął Nemezis, nasłuchując dobiegającego od strony morza wycia.

- Poproszę barda o pomoc - obiecał chłopak.

Dwa hobgoblina znalazły wnękę w murze i wcisnęły się do środka. Choć nie miały na sobie pstrokatej wełny, doskonale wtopiły się w cień.

Jack poprowadził towarzystwo po schodach. Nie był całkiem pewien, jak przyjmie ich

król Yffi, ale władca bał się barda. Nie skrzywdziłby żadnej osoby, chronionej przez starca. Chłopak znowu miał poczucie winy, że nie powiedział Nemezisowi o Yffim. Już bard coś wymyśli, uznał, odpędzając nieprzyjemne uczucie.

Nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy podszedł do żelaznych drzwi u szczytu schodów. Udało się! Wszyscy mogli już wrócić do domu. Ojciec Severus mógł zamieszkać w Klasztorze Świętego Filiana. Ethne mogła zostać zakonnicą. Pega mogła poślubić Bugabu - w tym momencie znów miał poczucie winy, ale prawdę powiedziawszy, czy mogła jej się trafić lepsza okazja? W wiosce byłaby tylko dawną niewolnicą, tak brzydką, że nikt nigdy nie poprosiłby jej o rękę. A w Krainie Srebrnych Jabłek mogła zostać królową.

A ja nie miałbym rywalki, dodał w myślach. Wstydził się sam przed sobą, że tak pomyślał. Nigdy nie zazdrościł Thorgil, choć często budziła jego gniew. Był bardem, a Pega górowała nad nim głosem.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Nie podobało mu się, że odkrył w swoim wnętrzu tak brzydkie motywy. Ojciec Severus nazwałby to grzechem, bard zaś - którego zdanie liczyło się bardziej - podłością i małodusznością. Muszę to w sobie zwalczyć, postanowił.

Był już prawie przy drzwiach. Co z Thorgil? Odwrócił się i zobaczył, że dziewczyna idzie za ojcem Severusem, Pegą i Ethne, strzegąc ich. Co ona miała do tego? W Klasztorze Świętego Filiana nie spotka się z miłym przyjęciem. Jeśli rozpoznają w niej przedstawicielkę Ludzi Północy, całe wybrzeże zażąda jej krwi. A co do jej stroju...

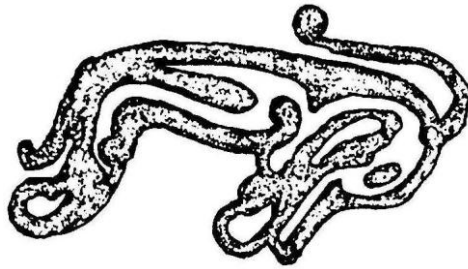
Pierwszy raz popatrzył na nią oczyma wieśniaków. Nosila męskie ubranie. Miała ścięte włosy, wojowniczy wyraz twarzy, a obyczaj... surowe, mówiąc najogólniej. Jak miał jej to wszystko wytłumaczyć?

Z całej siły pchnął ciężkie żelazne drzwi. Wiatr dmuchnął mu w twarz kroplami deszczu. Potężna ręka wsunęła się przez otwór i wyciągnęła go na zewnątrz.



## Rozdział 44

### Ethne



Żołnierze króla Yffiego ciągnęli do lochu młodego posługacza, przyłapanego na kradzieży kury. Nie byli przesadnie zadowoleni, że kazano im wyjść w taką pogodę, a schwytanie uciekiniera (jak sądzą), wcale nie poprawiło im nastroju. Rzucili Jacka na ziemię. Kapitan próbował postawić mu stopę na piersi, ale chłopak obrócił się, usuwając mu się z drogi, i z donośnym trzaskiem przyłożył laskę w nogę mężczyzny.

Zanim reszta zdążyła zareagować, przez drzwi przeszedł ojciec Severus.

- Stać! - nakazał, a jego głos wybił się ponad zgiełk ulewy i wichru. Wszyscy zamarli: Jack na ziemi, kapitan, masujący obolałą nogę, dwaj strażnicy, trzymający młodego posługacza za ramiona, a także sam posługacz, który próbował gryźć. Wszędzie wokół chlupotała woda, lejąca im się na głowy i przesiąkająca przez ubrania aż do skóry.

Jack ocknął się pierwszy.

- Król Yffi będzie zadowolony. Sprowadziliśmy wodę z powrotem - powiedział, wstając na nogi i ściskając laskę w wyciągniętej w bok ręce. Miał nadzieję, że w wystarczającym stopniu przypominał barda.

- Smarkacz, którego wrzuciliśmy do studni - warknął kapitan, pocierając nogę. - Nie spodziewałem się, że jeszcze cię zobaczę.

Pewnie nie, skoro zatkałeś studnię, pomyślał Jack.

Za mnichem, wciąż stojącym w drzwiach, pojawiły się Pega, Thorgil i Ethne.

- Kto to? - spytał jeden z żołnierzy.

- Nie mieliśmy w więzieniu kobiet - stwierdził kapitan.

- Za pozwoleniem, panie dowódco - powiedział żołnierz - to nie są zwykłe kobiety.

Tamta to dama, pewne jak amen w pacierzu.

- O, tak, prawdziwa piękność - zadziwił się drugi. - Nie ma ani jednego pryszcza, ani jednego zęba jej nie brakuje. - Posługacz próbował się wyrwać, więc żołnierz walnął go w czubek głowy.

Na Thorgil i Pegę zwracano akurat tyle uwagi, że równie dobrze mogłyby być niewidzialne. Kapitan pokuśtykał do Ethne i nisko się pokłonił.

- Witaj w naszych progach, szlachetna pani. Wybacz nam, proszę, tę paskudną pogodę, i pozwól, że zaprowadzimy cię do odpowiedniejszych kwater.

Elfia pani roześmiała się, a jej śmiech zabrzmiał jak srebrne dzwonki. Kapitan i jego ludzie byli oczarowani.

- Szczurek! Ściągaj tę koszulę! - W okamgnieniu żołnierze zdjęli koszulę z nieszczęsnego posługacza. Trzymali ją nad głową Ethne, podczas gdy dowódca podał jej rękę, by ją poprowadzić. Jedynym pozytywnym skutkiem było to, że zapomnieli o karze dla Szczurka i zostawili go, dygoczącego na deszczu.

Koszula tak naprawdę nie chroniła Ethne, ale gest wynikał z najszczerzych intencji. Żołnierze i kapitan eskortowali ją pilnie, przenosząc nad głębszymi kałużami. Thorgil, Pega, ojciec Severus i Jack szli za nimi, brodząc po kolana w błocie, ale nikt nie dbał o ich wygodę.

Po drugiej stronie dziedzińca poprowadzono ich krętymi korytarzami do pomieszczenia, w którym Jack rozpoznał komnatę barda. Serce mu rosło na myśl o spotkaniu ze starcem, ale komnata okazała się pusta. Może jest u króla, pomyślał. Żołnierze szybko rozpalili piecyk. Chodzili w tę i z powrotem, ciągnąc pledy, stoły, krzesła, łóżka i materace wypchane gęsim puchem. Znosili jedzenie z kuchni i czyste, suche szaty dla Ethne.

- Powiem królowi, że tu jesteście - oznajmił kapitan, rumieniąc się, gdy Ethne pod wpływem impulsu pocałowała go w szorstki policzek. - Zapomniałem spytać. Jak się zwiesz, o piękna?

- Księżniczka Ethne - odrzekł ojciec Severus swoim grobowym głosem, zanim sama zainteresowana zdążyła odpowiedzieć.

- Księżniczka! - powtórzył dowódca, na którym wywarło to wielkie wrażenie. - Mogłem się domyślić. Żadna zwykła niewiasta nie miałaby w sobie tyle wdzięku, tyle... tyle...

- Przepraszam - przerwał Jack, zanim kapitan zdołał wymyślić kolejne komplementy. - Gdzie bard? I mój ojciec? I brat Aiden?

- Giles Kuternoga jest w szpitalu przy Klasztorze Świętego Filiana - odparł tamten, nie odrywając wzroku od dołeczków na twarzy Ethne. - Brata Aidena postawili na czele klasztoru. Akurat mu to pomoże. Ci mnisi przejadą się po nim jak stado górskiego bydła. A

co do Smoczego Języka, miło mi powiedzieć, że do nich dołączył. Człowiek nigdy nie mógł się odprężyć, kiedy był w pobliżu. Niczym się nie martw, księżniczko - znowu zwrócił się do Ethne. - Przyniosę ci trochę łakoci, zobaczysz.

- Ona potrzebuje odpoczynku - odezwał się smętnie ojciec Severus - a nie łakoci.

Zostawiono ich samych, by mogli się najeść i wysuszyć. Pega była zachwycona jedzeniem - plackiem z gołębia, pieczenią wieprzową i ostrygami, gorącym chlebem prosto z pieca i osełką masła. Dostali też misę jabłek.

- Biedni Bugabu i Nemezis - powiedziała. - Szkoda, że nie mogę im czegoś zanieść.

- To by nie było mądre - stwierdził ojciec Severus. - Też im współczuję, ale muszą pozostać w ukryciu.

- Co teraz zrobimy? - spytał Jack. - Potrzebujemy pomocy barda. - Mógłbym iść do Świętego Filiana, ale boję się zostawić was samych. Tutaj czai się zło.

Gdy jedli, zapadło milczenie. Ethne znikła w sąsiedniej komnacie, by przymierzyć nowe stroje. Ledwie minęło południe, ale pociemniało, jakby zapadał już zmierzch. Niebo przecięły trójzęby błyskawic.

- Nigdy nie widziałam tak strasznego sztormu - zauważyła Thorgil. - Zupełnie jakby Thor ciskał swoje gromy na nas.

- Albo Bóg - powiedział zakonnik.

- Nie - odezwał się Jack, gdy coś mu przyszło do głowy. - Myślę, że dawni bogowie oblegają Din Guardi. Pan Lasu i Pan Morza próbują się tu dostać. Może dołączył do nich ten, kto władał niebem.

- Ktoś się na pewno zdenerwował - stwierdziła Thorgil, oblizując tłuszcz z palców. - Miejmy nadzieję, że on... albo ona... zmęczy się, zanim wszyscy stracimy słuch.

Zupełnie jakby „ktoś” ją usłyszał, potężny grzmot tak mocno wstrząsnął ścianami, że z sufitu odpadł tynk. Wszyscy się skulili. Po tym dobitnym akcencie burza się cofnęła. Słyszeli jej pomruki, gdy oddalała się w głąb morza.

- Wszyscy święci, miejcie nas w opiece! - wykrzyknął ojciec Severus.

Jack zobaczył Ethne, która tanecznym krokiem weszła do pomieszczenia w suchym ubraniu, przyniesionym jej przez kapitana. Tańczyła lekko niczym nasienie dmuchawca, dokładnie tak jak Lucy na łąkach w pobliżu wioski. Suknia Ethne skrzyła się klejnotami, ale największe wrażenie robił jej płaszcz. Jack nigdy nie widział podobnego. Na kosztownej, kremowej tkaninie widniał wyszywany wzór, przedstawiający winorośl, w której kryły się zwierzęta. Nie wiedział, jakie - pewnie sarny, psy myśliwskie albo koty - były jednak równie smukłe i pełne gracji, jak winorośl. Pośrodku nad tym światem zieleni unosił się biały gołąb z

gałązką w dziobie.

- Natychmiast to zdejmij! Nie! Nie suknię! - ryknął mnich, gdy elfia pani uniosła suknię nad kolana. - Płaszcz! Płaszcz!

Zdumiona Ethne zsunęła płaszcz z ramion. Ojciec Severus złapał go, zanim dotknął ziemi. Zakonnik opadł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach. Ethne, widząc go w takim stanie, wybuchnęła płaczem.

- Jesteś chory? - spytał Jack, klękając przy krześle.

- To tylko wstrząs - odparł mnich. - Moja droga Ethne, nie jestem na ciebie zły. Proszę, przestań płakać. Wiem, że nie chciałaś zrobić niczego złego.

Jej łzy momentalnie wyschły. Uśmiechnęła się i na nowo podjęła swój taniec wokół komnaty. Jej emocje zmieniały się z taką samą budzącą grozę gwałtownością, jaką Jack zauważył u Lucy.

- Poznajesz ten płaszcz? - spytał chłopak.

- To nie płaszcz. - Ojciec Severus zaczerpnął głęboki wdech, po czym wygładził tkaninę.

- To przykrycie ołtarza ze Świętej Wyspy. Pamiętam, jak haftowały je siostra Agnieszka i siostra Eowina. Biedne, łagodne niewiasty, obie już nie żyją. Wrzucili je do morza ci straszni mordercy, te piekielne łotry...

- Skąd się to tu wzięło? - spytał Jack, rzucając nerwowe spojrzenie na Thorgil. Należała do piekielnych łotrów.

- Nie wiem. Niektóre skarby mogły ocaleć. Pewnie zabrano je do Świętego Filiana.

Jack nic nie powiedział. Nie musiał. Klasztor istniał po to, by naciągać łatwowiernych. Wszelkimi zdobytymi skarbami braciszki dzielili się z królem Yffim.

- Przysięgam - powiedział powoli ojciec Severus - że jeśli ci złodziejscy mnisi wpadną mi w ręce, raz na zawsze nauczą się, co to znaczy żal za grzechy.

Nie zdążył jednak powiedzieć, co ma na myśli, bo kapitan straży zastukał do drzwi. Zdążył zmienić koszulę, miał też wypolerowany hełm i świeżo przystrzyżoną brodę.

- Piękna księżniczko, witam w Din Guardi. Król, mój pan, czeka na ciebie z niecierpliwością - oznajmił głośno, nisko kłaniając się Ethne.

- A co z nami? - spytał ojciec Severus.

- O was nie wspomniał.

- Byłby to otwarty policzek wobec jej książęcej mości, zapraszać ją bez świty. Już z błaższych powodów wybuchały wojny.

Jack podziwiał spryt mnicha. Kapitan nie miał pojęcia, że Ethne to tylko wygnana córka królowej Krainy Elfów. Partholis pewnie już nawet o niej nie pamiętała. A na pewno nie

pamiętała jej ojca. A jednak zakonnik zasugerował, że księżniczka cieszy się poważaniem i że istnieje jakaś armia.

Bynajmniej nie skłamał. Powiedział tylko, że „z błaższych powodów wybuchają wojny” i pozwolił, by kapitan sam wyciągnął wnioski. Blask, który bił od Ethne, też się do tego przyczynił.

- Oczywiście, oczywiście. Powinniście iść wszyscy - powiedział kapitan jak zahipnotyzowany.

Na zewnątrz czekała honorowa straż. Żołnierze stanęli na baczność, a potem podążyli za całą grupą przez korytarze. Choć sztorm się skończył, niebo wciąż było ciemne. Mrok pochłaniał nieliczne promienie światła, które przedostawały się do twierdzy.

Tutaj zawisł wieczysty smutek, pomyślał Jack. Nie umiał sobie wyobrazić Lancelota i jego rycerzy, weselących się w takim miejscu, ale może byli oni równie gruboskórni, jak Brutus. Brutus okazał się zupełnie nieczuły na nastrój i atmosferę. A tak właściwie, gdzie się podziewał ten zdradziecki niewolnik? Był prawowitym władcą Din Guardi, ale Jack nie potrafił sobie wyobrazić, że zwycięża Yffiego, czy choćby nawet Szczurka.

Gdy pierwszy raz spotkał króla, był zbyt przerażony, by bliżej mu się przyjrzeć. Teraz szukał w nim cech, które świadczyłyby o tym, że pochodzi od kelpie. Yffie był wyższy i bardziej krępy niż jego ludzie, i jego ciało szczelnie wypełniało złocony tron. Na nogach miał wielkie buciory. Co się kryło w środku? Pazury? Czy władca mógł zmieniać postać? A jeśli tak, co się wtedy działo z jego ubraniem?

Yffi był opatulony od stóp do głów, nawet na głowie miał skórzany hełm, zakrywający twarz. Jediną widoczną częścią ciała były jego oczy, zatopione w twarzy niczym kamyki w miseczce owsianki. Efekt był wyjątkowo nieprzyjemny.

Stwór - Jack nie potrafił o nim myśleć jako o człowieku - musiał marznąć, bo wszędzie pod ścianami paliły się piecyki, przez co trudno się oddychało. Pot, spływający po twarzach żołnierzy, zraszał ich brody.

- Księżniczka Ethne - oznajmił ojciec Severus, zanim kapitan zdążył przemówić. Po pomieszczeniu poniósł się szmer.

- O, jaka piękna - mruknął jeden z mężczyzn i natychmiast oberwał od przełożonego. Ale dla wszystkich było jasne, że Ethne to niezwykle zjawisko. Dygnęła, po czym obróciła się dookoła, by obdarzyć całe towarzystwo swoim uśmiechem. Mężczyźni odpowiadali uśmiechami. Nie było to pełne surowości szczerzenie zębów rodem z karczmy, lecz grymasy niewinnego zachwytu. Wyglądali jak mali chłopcy, pochłonięci zabawą w letni dzień.

Trudniej było odgadnąć reakcję króla Yffiego. Patrzył nieruchomym wzrokiem i z

jakiegoś powodu kojarzył się Jackowi z ropuchą, obserwującą motyla.

- Jak się dostaliście do moich lochów? - spytał w końcu.

- Przeszliśmy przez elfi tunel - odparł ojciec Severus.

Rozległy się zdumione okrzyki.

- To droga zjaw - powiedział kapitan. - Ale ty nie jesteś widmem, księżniczko - dodał pośpiesznie.

- Zjawy nie mogą przekroczyć naszych granic - stwierdził król Yffi - ale inne istoty przedostają się przez Dolną Drogę. - Jego oczy były równie pozbawione emocji, jak oczy pająka. - Niektórzy z naszych więźniów zniknęli z lochów. Znajdujemy tylko ich rozpięte łańcuchy.

Jack pomyślał o ukrytych w cieniu Bugabu i Nemezisie.

- Z elfiego tunelu korzysta wielu, zarówno dobrzy, jak i źli. Przybyliśmy z Krainy Elfów - wyjaśnił ojciec Severus. Reakcja była natychmiastowa i miła. Mężczyźni uklękli przed Ethne, a ci, którzy nosili hełmy, zdjęli je z głów.

Uśmiechnęła się olśniewająco. Bywały chwile, gdy Ethne wydawała się człowiekiem. Wtedy Jack lubił ją najbardziej. Była wtedy ujmująca i dziwnie znajoma, choć nie miał pojęcia, dlaczego. Czasami jednak była w całej pełni córką królowej Partholis, na przykład teraz. Rozsiewała wokół siebie pozłotę i żaden z ludzi Yffiego nie potrafił się jej oprzeć.

- Elfia dama! Powinienem się domyślić! - wykrzyknął kapitan. - Taka uroda nie może być śmiertelna.

- Kiedy byłem mały, widziałem elfy, jak tańczyły na łące - powiedział stary, pobruźdony wojownik. - Na samą myśl czuję się młody.

- A ja słyszałem, jak śpiewają - dodał inny tęsknym głosem. - Cały ranek leżałem w rosie i omal nie umarłem z zimna. Ale było warto.

- Cicho bądźcie! Wszyscy! - ryknął król. Mężczyźni zerwali się na nogi i nacisnęli hełmy.

- Ta twierdza znajduje się w oblężeniu i każdy, kto przychodzi bez zapowiedzi, jest podejrzany. Dlaczego nie weszła przez główną bramę?

- No bo, wasza wysokość, to trochę trudne z powodu Żywopłotu... - zaczął ten, który słyszał elfi śpiew.

- Cisza! Wkradła się tu jak złodziejka. Skąd wiecie, że nie planuje najazdu?

- Mój dom mogłaby najechać, kiedy by tylko chciała - odparł tamten.

- Straże! Zabrać tego głupca na zewnątrz i wymierzyć mu sześć razy. Nie, dwanaście razy. Jakies pytania?

- Nie, panie. Nie, wasza wysokość. Ani słowa - rozległy się pomruki, gdy dwaj potężni

strażnicy wyprowadzali pechowego żołnierza.

- Za dobrze wam było - powiedział władca. - Całe dni spędzacie na picciu i hazardzie. Przez to staliście się nieostrożni. Sami najechaliśmy ten zamek od spodu. Inni mogą zrobić to samo. Elfy, kelpie, hobgobliny...

- A, właśnie sobie przypomniałam. Nie moglibyście zaprosić do środka naszych przyjaciół hobgoblinów? - wtrąciła Ethne.

- Ethne! Nie! - krzyknął ojciec Severus.

- Tam na dole jest okropnie. Na pewno tutaj bardziej by im się podobało. - Wydęła wargi. Yffi dał znak i jeden z żołnierzy szybkim ruchem przyłożył mnichowi nóż do gardła.

- Ani słowa, nędzniku. Reszta też ma milczeć, albo on zginie. A teraz, moja śliczna. Co mówiłaś o tych waszych hobgoblinach?

- Uratowały nas w Krainie Elfów. Mama była wściekła, kiedy Pega zapaliła świecę. Poza tym mam teraz duszę i chcę zostać zakonnica. Co za emocje! Tak czy owak, hobgobliny wiedziały, jak się tu dostać, ale schowały się w lochu, bo nie miały pewności, jak je przyjmiesz. Ale wiem, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, bo jesteś królem i w ogóle. A jeśli jest inaczej, mógłbyś wyprowadzić nas przez drzwi? Chociaż przyjęcie byłoby niczego sobie.

Yffi zmarszczył brwi, próbując ogarnąć znaczenie jej słów. Jedno wydawało się jasne.

- Mówisz, że w moich lochach są hobgobliny?

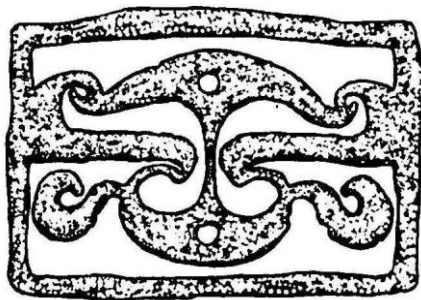
Jack zaczął protestować, ale wtedy żołnierz mocniej przycisnął nóż do gardła ojca Severusa.

- O, tak! U podnóża schodów.

- Dziękuję, księżniczko. Twoi przyjaciele są tu jak najmiej widziani - powiedział król cichym głosem. - Nie widziałem hobgoblina od... Tak! Tak! Nie można przepuścić takiej okazji! Pospieszcie się, chłopcy, i przyprowadźcie tych gości, zanim sobie pójdą. Trzeba przygotować wino i piwo, sery i placki. Przyślijcie mi kucharza i młodego Szczurka, jeśli jeszcze żyje. Pomyślmy. Hobgoblin z nadzieniem orzechowym. Hobgoblin z grzybami. Tyle możliwości...

## Rozdział 45

### Pozłota



Hobgobliny, porządnie związane, zostały zaciągnięte do sali tronowej. W lochach toczyła się zaciekle walka. Na skórze żołnierzy widniało mnóstwo skaleczeń i siniaków. Jeden stracił przednie zęby. Ale Bugabu i Nemezis nie byli nawet draśnięci. Skóra hobgoblinów, jak przechwalał się Nemezis, była równie twarda, jak korzenie drzew.

Na Yffim wywarło to oszałamiające wrażenie. Zerwał się z tronu i zaczął skakać wokół hobgoblinów, wydając z siebie pełne zachwyty syknięcia, które w najmniejszym stopniu nie były ludzkie. Nagle zrzucił hełm i wciągnął powietrze w nozdrza.

- Ach! Zapach hobgoblinów! Nie da się go zapomnieć! O, ta cudowność, ta ekstaza, ten smak!

Pega padła na kolana, a Nemezis zemdłał, bo gdy Yffi ściągnął hełm, jego pochodzenie stało się aż nadto widoczne. Jego usta były wąską szczeliną o kształcie litery V w bladej, żabiej skórze, włosy zaś przylegały do głowy niczym sierść do foczej skóry. Bugabu starał się znaleźć pomiędzy władcą a swoim przyjacielem, Yffi jednak tańczył tak dziko, że okazało się to niewykonalne.

- Pego, najdroższa, nic ci się nie stało? - spytał król hobgoblinów.

Pega jęknęła, załamując ręce.

- Nic nam nie będzie, ale obawiam się, że z wami jest inaczej - powiedział ojciec Severus.

- Wygląda na to, że twierdzą włada kelpie, który udaje człowieka. Wiedziałaś o tym, Jack?

Jack zmusił się do mówienia.

- Tak.

- A jednak o tym nie wspomniałaś. Dziwne. Pewnie miałaś swoje powody.



Chłopaka ogarnął wstyd, a z nim przerażenie tym, do czego doprowadził. Chciał jak najszybciej wrócić do domu. Okłamał Nemezisa... albo ukrył prawdę, na jedno wychodziło. Bard coś wymyśli, powiedział sobie. Ale w głębi duszy wiedział, że kłamie.

- W mojej krainie mamy takie powiedzenie - odezwał się Bugabu. - „Nie ma co żałować wczorajszych grzybów”. Co się stało, to się nie odstanie i do nikogo nie żywię urazy. Odwagi, stary przyjacielu - dodał, gdy Nemezis się poruszył.

Pega chciała podbiec, by mu pomóc, ale powstrzymał ją jeden z żołnierzy.

- Uratujemy was - powiedziała przez łyżę. - Nie wiem, jak, ale coś wymyślimy.

- Cieszę się, że jesteś bezpieczna. Co do naszego losu... Cóż, będziemy mogli spotkać świętego Kolumbana. W pewnym stopniu wyczekuję śmierci.

- Mów za siebie - mruknął Nemezis.

Tymczasem Yffi popadł w taką ekstazę, że zaczął śpiewać.

*Pikantny i słonawy*

*Z lekkim posmakiem wina*

*Nie ma lepszej potrawy*

*Niż placek z hobgoblina*

*Niezłe są też smażone*

*Z ostrym farszem grzybowym,*

*Dobre i podduszone*

*W sosie orzechowym.*

Piosenka miała kilka strofek tego rodzaju, a każda kończyła się refrenem:

*Na kotlet z hobgoblina*

*Już mi cieknie ślina*

*Tralala*

*Więc w kuchni tam się ruszcie*

*I pieczcie je na ruszcie.*

Nemezis, mimo że ze wszystkich sił starał się być odważny, znowu zemdłał.

\* \* \*

- Ale ze mnie nędzna istota! Najgorsza z najgorszych! - łkała Ethne. - Zagłodzę się! Poddam publicznej chłości! Zniosę cierpienie z godnością, z którą żaden skruszony grzesznik nie będzie się mógł równać!

- Nie chciałaś zrobić nic złego - powiedział ojciec Severus znużonym tonem.

Ethne od godziny wygadywała podobne rzeczy i wszyscy mieli tego dosyć. Skulili się w rogu dziedzińca. Wokół uwijali się żołnierze. Kucharze pokrzykiwali na niewolników. Obok przeszedł Szczurek z naręczem drewna na opał. Rzucił ponure spojrzenie ludziom, którzy zabrali mu koszulę.

Jack skupił wszystkie myśli na tym, jak ratować hobgoblina. Wiedział, że jest bardziej winny niż Ethne, ale użalanie się nad sobą nikogo nie mogło ocalić. Przypomniawszy sobie całą magię, jaką dysponował. Mógł wywołać deszcz i mgłę, rozpalić ognisko i sprawić, by jabłka spadły z drzewa. Raz spowodował trzęsienie ziemi. Wzrokiem ocenił forteczne mury. Chwycił laskę i sięgnął umysłem w dół, ku sile życiowej, ta jednak okazała się zbyt słaba i odległa. Nie miał nawet pewności, jak to wcześniej robił.

Żołnierze wykopali wielki dół na ognisko i teraz stawiali nad nim rożen. W dole płonąła sterta bierwion. Bugabu i Nemezisa zamknięto w spizarni.

Próbował oszacować, ile mają czasu. Chmury zakryły słońce i nie sposób było ocenić, która godzina. Dobrze było jedynie to, że nieustanna mżawka groziła zgaszeniem ognia.

Pega oparła się o ścianę. Po twarzy płynęły jej łzy. Ojciec Severus się modlił, a Ethne głośno lamentowała. Tylko Thorgil zachowała czujność. Obserwowała przygotowania do uczty, pozycje żołnierzy, złowieszcze kruki na murach. Patrząc na nią, Jack poczuł przypływ nadziei. Nie znała kapitulacji. Walczyła nawet wtedy, gdy smok miał ją już w swoich szponach.

Jack przypomniał sobie radę Olafa Jednobrewego: „Nie poddawaj się, nawet kiedy spadasz z urwiska. Nigdy nie wiadomo, co ci się przytrafi w drodze na dół”. Uśmiechnął się na wspomnienie olbrzymiego Człowieka Północy.

- Poweselałeś. Czyżbyś wymyślił jakiś plan? - spytała Thorgil.

- Wspomniałem Olafa.

Córa miecza zmarszczyła brwi, próbując rozprostować sparaliżowaną dłoń.

- Raz w bitwie złamali Olafowi prawą rękę, musiał więc walczyć lewą. Kiedy przeciwnik wytrącił mu miecz, Olaf kopnął go w brzuch. A potem walnął trolla głową i strącił z klifu. Olaf wiedział, jak się walczy.

- Przede wszystkim pokazał nam, że dobrze mieć twardą głowę.

- Ze swojej był bardzo dumny - zgodziła się. - Był też mistrzem strategii.

Jakiej znów strategii? - pomyślał chłopak. Na ile zdołał się zorientować, jedyna taktyka Ludzi Północy polegała na tym, że zbiegali w dół zbocza, krzycząc, ile sił w płucach.

- Olaf mawiał: „Nawet najmniejsza rzecz może posłużyć za broń. Możesz pogrzebać zamek pod lawiną, jeśli wiesz, który kamyk poruszyć”.

Jack uniósł brwi.

- To znaczy?

- Gnomy. Zaproponowały, że coś dla nas zrobią. Powinieneś je poprosić.

- A co mogą zrobić? Nie wolno im wejść do twierdzy.

- Nigdy nie wiesz, co się może zdarzyć - odparła. - Widziałam już gnomy, w gęstej mgle i z oddali, ale wiem, że są potężne. Olaf zawsze darzył je dużym szacunkiem. My nazywamy je *landvcettir*.

Droga od obmyślenia planu do wcielenia go w życie była u Thorgil zawsze bardzo krótka, więc natychmiast odwróciła się do ojca Severusa.

- Musisz tu zostać z Ethne - powiedziała. - Pozostali uratują hobgobliny. - A potem klepnęła Pegę w ramię i rzuciła: - Bądź gotowa. - Na koniec złapała Ethne i mocno nią potrząsnęła. - Przestań jęczeć. Wiesz, jak tworzyć pozłotę, prawda?

Ethne stłumiła szloch i popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- No, wiesz czy nie? - spytała córka miecza, znowu nią potrząsając. Tamta pokiwała głową. - To dobrze. Idź tam i występuj. Postaraj się tak omamić tych strażników, żeby nie wiedzieli, gdzie przód, a gdzie tył.

Ethne zwróciła się o pomoc do ojca Severusa. Mnich uśmiechnął się lekko.

- Dostyc już lamentów, dziecko. Na pewno wywarłaś wrażenie na Niebiosach. Wiele zostanie ci wybaczone, jeśli ocalisz te szlachetne hobgobliny. - Elfia dama rozpromieniła się i zapomniała o łzach. Ojciec Severus uniósł dłoń, błogosławiąc Thorgil. - Niech was Bóg prowadzi.

- I jeszcze Thor i każdy inny bóg, który zechce dołączyć - powiedziała dziewczyna. A potem, z ociąganiem, dodała: - Dzięki. - I wypchnęła Ethne na dziedziniec.

Ethne zaczęła tańczyć. Poruszała się niczym babie lato na lekkim wietrze, niczym promienie słońca, muskające powierzchnię jeziora. Jej stopy ledwie dotykały ziemi, z każdym krokiem stawała się w mniejszym stopniu człowiekiem, a w większym - elfem. Najpierw jeden żołnierz spojrzał na nią, potem drugi, a ziemia wokół niej zaczęła się zmieniać.

Kwiaty rosły w miejscach, gdzie nigdy przedtem nie było kwiatów. W górę wzbily się pnącza. Wiły się po fortecznych murach, pokrywając szary kamień liśćmi tak zielonymi, jakby przeświecało przez nie światło. Dziwne ptaki o szkarłatnych skrzydłach siedziały na

gałęziach i wyśpiewywały melodie nigdy niesłyszane w Midgardzie.

- Nie patrz - powiedziała Thorgil, ciągnąc Jacka za ucho tak mocno, że aż zawył. Ból odegnał wizję i szary kamień powrócił. Chłopak ujrzał skuloną pod murem Pegę.

- Chodź - ponaglił, łapiąc ją za rękę.

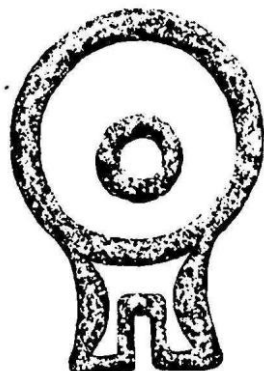
- Co się dzieje? - spytała.

- Nie patrz na to. Idziemy ratować hobgoblina.

Wszelkie wątpliwości, które dręczyły Pegę, zniknęły. Poczłapała za Jackiem, który z kolei poszedł za Thorgil, aż wszyscy stanęli przed drzwiami do lochu. Strażnicy, którzy ich strzegli, byli zupełnie zahipnotyzowani. Thorgil odepchnęła ich z drogi. We dwoje otworzyli ciężkie drzwi, a gdy znaleźli się w środku, młoda wojowniczką kazała zamknąć je z powrotem.

## Rozdział 46

### Nieżycie



Biegli w dół po długich schodach, a potem przez korytarze, mijając cele, w których może byli więźniowie. Jack przypomniał sobie słowa króla Yffiego: „Niektórzy z naszych więźniów zniknęli z lochów. Znajdujemy tylko ich rozpięte łańcuchy”. Cokolwiek się tu czai, już za późno, by się tym przejmować, pomyślał, przechodząc przez ponure, metalowe drzwi.

Gdy jednak droga zaczęła prowadzić w dół i było coraz mniej światła, uświadomił sobie inny problem.

- Pochodnie! - wykrzyknął. - Nie mamy pochodni!

- Nie możesz przyzwać ognia swoją laską? - spytała Pega.

- To nie zadziała, jeśli nie ma czego palić. - Zaczął gorączkowo rozglądać się dookoła, korytarze jednak były zupełnie puste.

- Myślę, że znajdę drogę - stwierdziła Thorgil.

Jack i Pega wbili w nią zdziwiony wzrok.

- Tam jest zupełnie ciemno, a droga jest kręta. Nawet Bugabu się gubił - przypomniał chłopak.

- Runa nauczył mnie, jak zapamiętywać drogę w ciemności. Sam robi coś podobnego na morzu.

Jack przypomniał sobie, jak dawno temu, gdy był więźniem Ludzi Północy, Olaf Jednobrewy opuścił Runę do morza. Stosowana przez nich metoda znajdowania lądu polegała na tym, że płynęli w jednym kierunku, aż na coś natrafili, mieli jednak fantastyczną pamięć.

Nigdy nie zapominali plaży, gdy już raz ją zobaczyli. Gdy raz skosztowali wody, nigdy nie mylili jej z wodą z miejsca odległego choćby o milę.

A Runa był w tym najlepszy. Patrzył na morze tak, jak dobry rolnik na swoje pola. Znał jego kształty, różne kolory i nastroje. Obserwował, jak ptaki podnoszą skrzydła, wyczuwając powietrzne prądy. Wciągał powietrze w nozdrza, szukając woni dymu i świeżego torfu, sosny i jałowca. Próbował smaku morza, by wykryć niewidzialne prądy słodkiej wody albo chłód, wzbierający z głębin. W rezultacie starzec zawsze wiedział, gdzie się znajduje.

- Potrafisz robić to, co Runa? - spytał Jack.

- Brak mi wieloletniej praktyki, ale chwalił moje umiejętności.

Popatrzył na szlak, niknący w ciemnościach. Wezwanie innych mocy nie mogło zaszkodzić, na wypadek gdyby nigdy nie wyszli po drugiej stronie.

- *Niech siła życiowa trzyma nas w swej dłoni. Obyśmy wrócili ze słońcem i odrodzili się na świecie* - wyrecytował, powtarzając słowa barda.

- Ja nie wrócę. Moją nadzieją jest Walhalla - odparła Thorgil.

- A moją Niebo - stwierdziła Pega.

Wzięli się za ręce. Pierwsza szła Thorgil, za nią Pega, a na końcu Jack.

- Tak jak Bugabu, potrzebuję ciszy - powiedziała młoda wojowniczka. - Muszę przypomnieć sobie drogę.

Zagłębili się w mrok i, co gorsza, w zimno. Chłód wzbijał się od ziemi ku sklepieniu. Ściany były tak lodowate, że zdawały się parzyć, a nie chłodzić, gdy się na nie wpadło. A wpadali na nie wszyscy, raz za razem. Gdy prowadziła Thorgil, a nie Bugabu, wędrówka była znacznie powolniejsza i trudniejsza.

Czasami musiała się zatrzymać, by wciągnąć powietrze w nozdrza. Jack nie wiedział, czego dziewczyna szuka. Poszczególne miejsca wydawały się niczym od siebie nie różnić, ale po chwili Thorgil wybierała kierunek i prowadziła ich dalej.

Jack zaczął odczuwać coraz większą senność. Potykał się.

- Nie kładź się - powiedziała Thorgil. - Właśnie tak lodowe olbrzymy łapią swoich nieprzyjaciół.

Lodowe olbrzymy, pomyślał. Pamiętał, że bard coś kiedyś o nich mówił.

- Nie mogę iść dalej - jęknęła Pega. - Zostawcie mnie. Umrę tutaj.

- Po *thrallu* można się czegoś takiego spodziewać - odparła ostro młoda wojowniczka. - Bardzo dobrze, umieraj. Takim jak ty właśnie to wychodzi najlepiej.

- Nie jestem *thrall*! - wykrzyknęła Pega z niespodziewaną energią.

- To dobrze. Czuję, że przechodzimy blisko Niflheimu. To władztwo bogini Hel, która

szczególnie upodobała sobie *thrallów*. Nie kusiłabym jej rozmowami o śmierci. A teraz bądź cicho. Muszę pomyśleć.

Z wysiłkiem podążali naprzód. Jack też z trudem stawiał kolejne kroki. Miał wrażenie, że błąkają się w ciemnościach od wielu godzin. Nagle rzucił się w bok i wylądował na czymś miękkim.

No może niezupełnie miękkim, ale i nie tak twardym, jak całe podłoże. Było to całkiem wygodne posłanie.

- Wstawaj - powiedziała Pega z paniką w głosie. Wyciągnęła rękę, próbując złapać go za ramię. Thorgil zawróciła, by jej pomóc.

- Wpadłam na takiego wcześniej i poprowadziłam was naokoło - oznajmiła. Nie wyjaśniła, o czym mówi. Cała trójka znów ruszyła naprzód, lecz wyglądało na to, że także Thorgil słabnie. Jej kroki stały się wolniejsze i bardziej niepewne.

- Widzę światło - stwierdził Jack.

- W samą porę. Szybciej - powiedziała córka miecza.

Dojmujący ziąb jeszcze nie ustąpił, lecz światło było już na tyle mocne, że widzieli ściany. Wtedy właśnie napotkali w tunelu jeszcze jedną dziwną bryłę. Było to duże muskularne stworzenie, porośnięte sierścią niczym olbrzymia wydra. Jego stopy odwrócone były w tył i ciągnęły za sobą bezużyteczne pazury, ręce zaś - wyciągnięte w stronę światła. Kelpie jednak zamarł na śmierć, zanim zdołał uciec.

- Pewnie próbowały zaatakować Din Guardi - stwierdziła Thorgil.

Kiedy wyszli na brzeg morza, padła na ziemię. Jack zauważył, że dziewczyna ścisła runę ochronną, a rumieniec odpłynął z jej twarzy.

- Powinnaś odpocząć - powiedział z troską w głosie.

- Wstyd mi za moją słabość - odrzekła. - Przechodziliśmy blisko Niflheimu i pomyślałam, że jeśli tam umrę, Odyn nigdy mnie nie znajdzie.

- Odyn zawsze by cię znalazł - stwierdził Jack z serdecznością w głosie. - Nie należysz do Niflheimu. Wypluły cię jak pestkę.

Uśmiechnęła się słabo.

Wszyscy odpoczywali, nie mówiąc o tym, co dręczyło ich umysły: że czas ucieka i że wkrótce wielkie palenisko na dziedzińcu będzie gotowe. W końcu, z ciężkim westchnieniem, Pega dźwignęła się na nogi.

- Czuję się, jakby obili mnie pałką.

- Ja też - przyznała Thorgil. - W tym tunelu był tylko ziąb, nic więcej.

Jack nie zdradził im swojej teorii. Wiele razy było mu zimno, ale nawet lodowe góry

Jotunheimu nie były tak straszne, jak ta ciemność. Niezależnie od nazwy - Niflheim czy Piekło - ten tunel był dziedziną śmierci. I nie czekał na śmiertelników, którzy zawierzili Bogu. Był to całkowity brak nadziei.

Ruszyli dalej. Fale odbijały się od bariery wokół Din Guardi i Jack czuł zawroty głowy, znowu tędy przechodząc. Ziemia gnomów powitała ich swoją ciepłą, ziemistą wonią. Powietrze wydawało się zielone, choć, ma się rozumieć, nie miało żadnej widocznej barwy.

- Teraz mogę zrobić pochodnię - stwierdził chłopak, szukając wyrzuconego na brzeg drewna i wysuszonych wodorostów.

- Chyba nie będzie nam potrzebna - powiedziała Thorgil.

- Myślisz, że do nas przyjdą? - spytał.

- Jeśli ona zaśpiewa.

Jack znów musiał w sobie zwalczyć ukłucie zazdrości. Miał dobry głos. Więcej niż dobry. Lepszy, niż kiedykolwiek miał bard. Albo Runa. Spodobał się gnomom, kiedy przybyli. Ale to Pega je przywołała.

Śpiewała głosem samej ziemi, z mocą, o jakiej bardowie mogli tylko pomarzyć. Jack wiedział, że nigdy jej nie dorówna. Ze wszystkich sił starał się wnieść ponad gorycz w swojej duszy.

- Śpiewaj, Pego - polecił. - Zaśpiewaj im hymn, którego anioł nauczył Caedmona.

Odwróciła się w stronę ciepłej ciemności, wyciągnęła ręce i zawołała: - *Erce, Erce, Erce*. Przybądźcie, o, przybądźcie - poprosiła, a potem zaśpiewała. Najpierw hymn Caedmona, a potem zimową pieśń „Ostrokrzew i bluszcz”. Później „Niewiastę z Usher's Well”, o matce, która wzywa synów do domu, nie wiedząc, że utonęli w morzu. A synowie faktycznie wracają w środku nocy, cali w wodorostach i muszlach małży.

Jack pomyślał, że śpiewanie tej ballady tak blisko siedziby zjaw może być nierozsądne. Poczul się lepiej, kiedy przeszła do kołysanki. Tak naprawdę jednak nie miało znaczenia, co takiego śpiewa Pega. Wszystko brzmiało pięknie.

Z oddali dobiegły kwilenia i świergoty. Ciemność w tunelu jeszcze zgęstniała. Coś odrywało się od ściany i spadało na ziemię z głośnymi plaśnięciami. Jack dostał gęsiej skórki. Chwycił laskę i stanął pomiędzy Pegą a nadciągającą rzeszą. Po chwili dołączyła doń Thorgil.

Na podłożu tunelu, a także na ścianach i sklepieniu, tłoczyły się kłęby włosów jasnych niczym pszenica latem. Trzymały je długie, brązowe jak ziemia palce. Lśniące, czarne oczy obserwowały dzieci z budzącym dreszcz skupieniem. Thorgil trzymała nóż w lewej ręce. Jack nie miał wątpliwości, że w razie ataku dziewczyna będzie potrafiła naśladować Olafa, włącznie z kopaniem i uderzeniem głową.



- Nic nie rób - szepnęła. - Myślę, że są przyjaźnie nastawione.

- To *landvcettir* - mruknęła. - Zwracanie ich uwagi na siebie jest zawsze niebezpieczne. Olaf zdejmował z dzioba okrętu smoczą głowę, kiedy przybijał do brzegu, bo nie chciał ich obrazić.

- Nie pamiętam tego - stwierdził, nie odrywając spojrzenia od nadciągającej masy małych stogów siana.

- Nie zwracałeś uwagi. Na morzu demonstrowanie smoczej głowy to nic złego, ale *landvcettir* uważają, że to wyzwanie. Na Thora i Odyna! Przestań mnie dotykać!

Stogi dotarły już do Jacka i Thorgil i nacisk ich ciał przywołał zapomniane sny. Sny, które chłopak próbował sobie przypomnieć tuż po przebudzeniu, o tym, że tonie w błocie albo że połyka go olbrzymi wąż.

- Nie jestem waszym wrogiem! - wykrzyknęła młoda wojowniczką, odrzucając nóż. Krąg gnomów rozluźnił się i Jack oddychał teraz z większą łatwością. Pega przestała śpiewać. Twarz miała białą jak kreda.

Jeden ze stworów wyróżniał się spośród masy. Chłopak domyślił się, że to ten, z którym wcześniej rozmawiał.

- Dziękuję wam za przyście - powiedział.

- *I jak wam się podobało Din Guardi, dzieci ziemi?* - spytał stwór.

- Zupełnie okropne - odparł Jack.

- *A wasi ludzie? Co z nimi?*

- Nawet ich tam nie było - odrzekł. - Mój tata i bard są u Świętego Filiana. Brat Aiden też. A teraz naszym przyjaciółom grozi niebezpieczeństwo.

- Proszę, proszę, pomóżcie nam - wtrąciła Pega. - Król Yffi chce zabić hobgobliny. Proszę... Wcześniej proponowaliście, że coś dla nas zrobicie. Teraz o to prosimy. Ratujcie ich! Ratujcie naszych przyjaciół! Zniszczcie ich wrogów!

- Uważaj, o co prosisz - mruknęła Thorgil.

- *Córo miecza* - odezwał się gnom, odwracając się w jej stronę. Wszyscy jego pobratymcy zrobili to samo wśród szmerów i świergotów. - *Twoja matka oddała nam cześć. My nie zapominamy.*

- Moja... moja matka? - zdumiała się Thorgil. Jack wiedział, że dziewczyna niemal nie знаła swojej matki i wstydziła się jej, bo kobieta była *thrallem*.

- *Twoja matka prosiła, byśmy nad tobą czuwali. Nadal prosi.*

- Jak to możliwe? Ona nie żyje! Widziałam, jak podrzynają jej gardło! - wykrzyknęła Thorgil.

- *Pomożemy wam, dzieci ziemi* - oświadczył gnom, nie zważając na ten jej wybuch.

Cała grupa ruszyła naprzód. Wyszli z tunelu i oblało ich przygaszone, popołudniowe światło. Jack, Pega i Thorgil musieli iść przed gnomami. Świadomość, że otaczają ich małe stogi siana, napierające coraz bardziej, była nie do zniesienia.

Morze łoskotało o niewidzialną barierę. Chmury opadły niżej, jakby także one próbowały się przedrzeć. Gdy przechodzili przez niewidzialną granicę, Jack poczuł znane już zawroty głowy. Cała trójka odwróciła się.

Gnomy zatrzymały się na granicy.

- Dobra, to była strata czasu - powiedziała Thorgil.

Pega wróciła do nich biegiem.

- Co mamy zrobić? Jak pokonać zaklęcie, które nie pozwala przejść dawnym bogom?

- *Zaklęcie?* - zdziwił się gnom. - *Nie ma żadnego zaklęcia.*

- Tak nam powiedziano - stwierdził Jack. - *Księżycowy Człowiek* zrobił coś złego. Nie wiem, co to było, ale wygnano go na księżyc, a reszcie z was zakazano wstępu do jego twierdzy.

- *Księżycowy Człowiek pragnął władać światem zieleni* - powiedział gnom swoim świszczącym, świergotliwym głosem. - *Zabiłby wszystko, by zdobyć władzę. W tym celu został sojusznikiem Nieżycia. To my go wygnaliśmy. Ale nie byliśmy zdolni cofnąć szkód, które wywołał. Właśnie Nieżycie nie pozwala nam tam wejść.*

- Nie wiem, jak wam pomóc! - zawołał Jack. - Może bard by wiedział, ale nie mogę do niego dotrzeć.

- *Masz to, czego potrzeba* - odparł gnom, a tysiące jego pobratymców zaszemrało z aprobatą. - *Twoja laska wyciągnęła ogień z serca Jotunheimu. To gałąź Wielkiego Drzewa.*

- Yggdrasila? - spytał zaskoczony. Wiedział, że jego laska to coś więcej niż zwykły kawałek drewna, ale żeby aż tak? Jak to możliwe, że miał coś tak potężnego i nawet o tym nie wiedział? I dlaczego bard mu nie powiedział?

- *Położ laskę na kręgu Nieżycia, żebyśmy mogli przejść.*

Jack zawahał się przez chwilę. Miał przeczucie, że nie spodoba mu się to, co nastąpi, i chciał zachować talizman, który nieświadomie przyniósł z Jotunheimu. Laska była czarna jak węgiel, lecz przy tym twarda jak krzemień. Nie używał jej zbyt często. Tak naprawdę jej nie rozumiał, choć raz za jej pomocą wywołał trzęsienie ziemi.

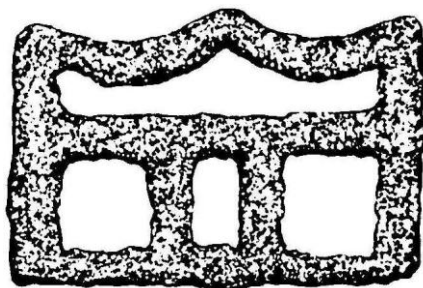
- Jack, pamiętaj o hobgoblinach - powiedziała Pega.

Chłopak otrząsnął się. Być może właśnie teraz ludzie króla Yffiego ciągnęli Bugabu i Nemezisa do ognia. Wzniósł laskę i poczuł w niej znajome drżenie mocy. A potem przełożył

ją przez barierę.

## Rozdział 47

### Ostatnie chwile Din Guardi



Przywódca gnomów ruszył naprzód, przesuwając się za pomocą długich, brązowych palców. Dotknął laski, a Jack wstrzymał oddech.

Powietrze zadźwięczało niczym dzwon. Zdawało się, że samo niebo drży. Ziemia odpowiedziała cichym grzmotem. Światło czyste niczym poranny świt rozlało się po morzu. Wpełzło na ponure ściany Din Guardi i przeniknęło do tunelu. Bryza niosła woń, która przypominała łąkę po burzy, ale znacznie czystsza, świeższa.

Zieleń. To było właściwe słowo. Powietrze pachniało zielenią i Jack wdychał je z przyjemnością.

Spojrzał w dół. Laska, którą zdobył w Jotunheimie, która mówiła całemu światu, że on, Jack, jest prawdziwym bardem i spadkobiercą Smoczego Języka, zmieniła się w popiół. Na jego oczach bryza poderwała srebrzysty pył i porwała go w dal.

- Idą! - wykrzyknęła Thorgil.

Gnomy zaczęły przelewać się przez barierę na podobieństwo ogromnej fali. Szmerząc i szepcząc, całym rojem mijały dzieci. Jack, Thorgil i Pega trzymali się blisko siebie. Niemal nie wazyli się oddychać, gdy kolejne rzesze stogów siana przelewały się obok nich.

Tym razem przywołały dobre sny, z rodzaju tych, które Jack pamiętał, ale które zazwyczaj znikwały po przebudzeniu. Domyślał się, że wcześniej gnomy były złe, bo dziewczyna groziła im nożem. Teraz wydawały się radosne.

- Śmiejesz się! - powiedział ze zdziwieniem do Thorgil.

- Ty też! - wykrzyknęła córka miecza, od której aż biła radość.

- Wszyscy się śmiejemy. O, to cudowne! - zawołała Pega. - Zupełnie jak w dniu, kiedy

nauczyłam się piec chleb, albo wtedy, gdy pierwszy raz zobaczyłam fiołki. Albo, albo... jak wtedy, gdy mnie uwolniłeś, Jack. To był najlepszy dzień w moim życiu! - Pega otoczyła go ramionami i pocałowała.

Był zaskoczony, ale zadowolony i też ją pocałował. A potem pocałował Thorgil. Wszyscy przytulili się do siebie, zachwyceni morzem, niebem, ziemią i sobą nawzajem.

Gnomy mijały ich i znikwały pod Din Guardi. Szalona radość, która ogarnęła Jacka, Thorgil i Pegę, zniknęła. Spoglądali na siebie z zawstydzeniem. Jack nie miał pojęcia, co w niego wstąpiło, że pocałował obie dziewczyny. I ten chichot Thorgil. Najwyraźniej wszyscy troje oszaleli.

- Chmury odpływają - stwierdziła Pega, przerywając niezręczne milczenie. Była to prawda. Szara opończa, która odcinała promieniom słońca drogę na ziemię, rozwiewała się i zaczął zza niej wyglądać błękit nieba. Fala uderzyła o brzeg i krople wody bryznęły na drzewo.

- Zdaje się, że nic nie zatrzymuje już morza - stwierdziła Thorgil. - Lepiej uciekajmy. Idzie przytyw. O ile się nie mylę, zaleje tunel.

- Nie wiem, czy znowu zniosę to zimno - powiedziała Pega.

- Albo zmarzniemy, albo utoniemy.

Jack podniósł wzrok. Okolice Din Guardi nie były już skąpane w perłowym blasku znad morza, a słońce zachodziło. Ale promienie wschodzącego księżyca w pełni rozmiękczały mrok na skałach. Jeśli kamienie mogły wydawać się szczęśliwe, to te tak właśnie wyglądały. Chociaż są zbyt strome, by się po nich wspinać, pomyślał z żalem Jack, podążając za Thorgil i Pegą.

Czekała ich miła niespodzianka. Nic nie wyglądało tak jak przedtem. Ściany pokrywał rozedrgany mech, a w tunelu rosły takie same, świecące grzyby, jakie napotkali już przedtem. Mało tego, podłoże okazało się miękkie, a powietrze miało cudowny zapach.

Do Din Guardi zawitało lato. Po przenikliwym zimnie nie został nawet ślad.

- *Landvcettir* są naprawdę potężne, skoro potrafią odegnąć Hel - powiedziała Thorgil.

Gdy doszli na wyższe poziomy, gdzie znajdowały się lochy, okazało się, że wszystkie drzwi są otwarte. Nikogo nie było w środku, chociaż niektóre kajdany sprawiały wrażenie, jakby jeszcze niedawno opinały rękę lub nogę.

- Myślicie, że zjadły ich kelpie? - szepnęła Pega.

Jack szczerze w to wątpił. Drzwi miały zbyt solidne zamknięcia. Nie podobały mu się ślady śluzu, wiodące po ścianach w górę. Nie podobało mu się to, że jego stopy lepiły się do podłoża. Pukacze, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Drzwi na dziedziniec były otwarte. Czerwony blask bił od wielkiego paleniska i pochodni, płonących po bokach. Czarny rożen odcinał się na tle płomieni.

- Nie mogę na to patrzeć. Czy oni... - Pega ukryła twarz w dłoniach.

- Nic im nie jest. - Jack dostrzegł Bugabu i Nemezisa z ojcem Severusem i Ethne. A także kogoś, kogo nigdy nie spodziewał się spotkać.

- Brutus! - krzyknął.

- Witajcie w Din Guardi! Albo, jak nazywał to miejsce mój przodek Lancelot, w Ioyous Garde. Minęło sporo czasu, od kiedy gościła tu radość. - Uśmiechnął się nieznośnie. Wciąż miał na sobie złotą tunikę i szkarłatny płaszcz, które dała mu Pani Jeziora. Wielki miecz Anreddeń wisiał przy wysadzonym diamentami pasie.

Pega podbiegła do Bugabu i mocno go przytuliła.

- Tak się bałam! Myślałam, że wy...

- Jesteśmy cali i zdrowi, najdroższa. A na twój widok czuję się jeszcze lepiej. - Bugabu złożył na czubku jej głowy głośnego całusa.

- Brutus? Dlaczego wcześniej cię tu nie było? Dlaczego nam nie pomogłeś? - zawołał Jack, pragnąc zetrzeć ten głupi uśmiech z twarzy mężczyzny.

- Niestety, nie mogłem. Stary Yffi wtrącił mnie do lochu, kiedy mnie tylko zobaczył. Zabrał mi też miecz, ale ci tutaj go odzyskali.

Jack rozejrzał się dookoła i zobaczył, że wśród cieni kryje się mnóstwo ciemnych brył, których oczy lśnią w blasku pochodni.

- Gnomy?

- Matka często z nimi rozmawiała. Są w porządku, o ile nie staniesz po niewłaściwej stronie. - Brutus dał znak i przerażony, skruszony Szczurek podbiegł doń z kielichem wina.

- Pewnie nawet nie wiesz, jak używać miecza - powiedziała Thorgil, rozdarta między pogardą a śmiechem.

- Ród Lancelota nie takie wygrywał bitwy - odrzekł Brutus, puszczając do niej oko. - Tak czy owak, czekaliśmy, aż się pojawicie, żeby mogły dokończyć dzieło. - Ruchem głowy wskazał czekające w milczeniu stogi siana. Wyglądały, jakby nie ruszały się już od dawna, może nawet od wieków.

- Jakie dzieło? - spytał Jack.

- Dawno, dawno temu Księżycowy Człowiek wznosił tę budowlę. - Brutus opróżnił kielich i zabrał się za pieczonego kurczaka z talerza, trzymanego przez wyraźnie roztrzęsionego Szczurka. - Odkąd go wygnano, mieszkali tu różni ludzie, ale żaden nie mógł się odprężyć, jeśli wiecie, co mam na myśli.

- W piwnicy mieli Hel - zauważyła Thorgil.

- Nawet Lancelot oglądał się przez ramię, gdy schodził na dół. No! Dzięki tobie, chłopcze, krąg Nieżycia został przełamany.

- Nie jestem dla ciebie „chłopcem” - odparł Jack, dotknięty niedbałym tonem, jakim Brutus mówił o jego poświęceniu.

- Wszelki ślad po starej twierdzy musi zniknąć - ciągnął Brutus, nie zważając na gniew chłopaka. - Nie chcę patrzeć, jak pada w gruzy, ale nie damy rady powstrzymać Pana Lasu. Jak dotąd tylko gnomy były do tego zdolne. Pożegnajmy zatem Din Guardi. Wino dla wszystkich, Szczurku.

Posługacz popędził do spiżarni, po czym wypadł stamtąd z naręczem metalowych kielichów i butelek.

- Czy one piją? - szepnęła Thorgil, wskazując głową milczące stogi siana.

- Nie tak jak my - odparł Brutus. - Ach! Doskonałe wino z Iberii. To na kontynencie, nie wiem dokładnie, gdzie. Yffi i jego świta mieli wszystko, co najlepsze.

Wzniesli toast za ostatnią godzinę Din Guardi, a Jack podał swój kielich temu gnomowi, który wyróżniał się spośród reszty.

- *Dziękuję ci, dziecię ziemi. Cieszy mnie ta troska, chociaż wolimy wodę* - powiedział stwór.

- Nie chciałem, żebyście czuli się pominięci - powiedział Jack.

Po dziedzińcu poniosł się echem szum, przywodzący na myśl przesypywanie piasku. Chłopak przypuszczał, że się z niego śmieją.

- *Nigdy nie jesteśmy pominięci* - szepnął gnom, znów wtapiając się w cień. - *Nie zapomnimy cię.*

- A teraz pora już iść - stwierdził wesoło Brutus. - Szczurek, pójdziesz pierwszy z lampą. Thorgil, moja droga, zabezpieczysz tyły. - Córa miecza uśmiechnęła się, wcale nieprzejęta faktem, że nazwano ją „moją drogą”.

- Trzymajcie się blisko mnie - powiedział Bugabu, stawiając Pegę między sobą a Nemezisem. - Nie jestem pewien dobrej woli Pana Lasu. - Przeszli między nieruchomymi bryłami gnomów, a potem przez bramę frontową. Żywopłot wznosił się złowrogo na tle gwiazd.

- Jest przejście. Niech nikt się nie oddala. Dobry Żywopłotek - niemal zapiał Brutus, poklepując, ciemne, lśniące liście.

Jack nie wiedział, czy Żywopłot jest przyjazny, czy nie. Jeśli dziś miał dobry dzień, chłopak wolał go nie oglądać w dzień gorszy. Powietrze w przejściu było duszące. Gałązki

wyciągały ciernie, czepiając się ubrania i skóry Jacka. W pewnej chwili jedna z nich oplótła mu kostkę, po czym (z żalem, jak mu się zdawało) cofnęła się. Bijąca od liści wrogość utrudniała oddychanie. Przejście mogło się w jednej chwili zamknąć, miażdżąc wszystko, co było w środku...

Nie myśl o tym, powiedział sobie w duchu Jack.

A potem znaleźli się po drugiej stronie, pośród świeżego powietrza, pod połącią migoczących gwiazd i księżycem, wieńczącym mury Din Guardi. Zgrzyty i trzaski świadczyły o tym, że przejście naprawdę się zamknęło.

- Czekajcie! - wykrzyknął. - Yffi i jego ludzie! Nadal są w twierdzy.

- Zasłużyli na swój los - stwierdził ojciec Severus.

Jack zauważył, że mnich niesie zwiniętą tkaninę ze Świętej Wypsy.

- Gnomy dokonały między nimi wyboru - wyjaśnił Brutus. - Odrzuceni zostali wtrąceni do magazynu. Właściwie wszyscy zostali odrzuceni, z wyjątkiem Szczurka. Yffi próbował walczyć, ale nie tak łatwo walczyć z gnomami. Prawda, Szczurku?

- N-nie... - wyjąkał młody posługacz.

- Szczurek też stawiał opór. Pewnie to niezbyt przyjemne, kiedy tak cię dotykają.

Faktycznie, niezbyt przyjemne, pomyślał Jack i przestał się dziwić przerażeniu posługacza.

- Wejźmy na to wzgórze - zaproponował Brutus.

Było niezbyt wysokie, a marsz po miękkiej trawie, która je porastała, sprawiał Jackowi przyjemność. Grały świerszcze i kumkały żaby. Był to zwyczajny, piękny, letni wieczór.

Dotarłszy na szczyt, chłopak zobaczył ciemny kształt Din Guardi w świetle księżyca w pełni. Księżyc wydawał się większy, niż go pamiętał. Potem zauważył Żywopłot, napierający na mury.

Pan Lasu przypuścił atak.

Kamienie jęczały, wrywane ze swoich miejsc. Drewniane drzwi pękały. Żelazne kraty na oknach sypały iskrami, rozrywane na strzępy. Przerazający hałas nie ustawał. Po chwili Jack zobaczył, że twierdza staje się coraz mniejsza. Wnikała w ziemię na podobieństwo śniegu, topniejącego w strumieniu. Gdy była już niemal płaska, odgłosy zniszczenia stopniowo umilkły.

Jeśli w całym tym zgiełku rozlegały się jakieś ludzkie głosy, Jack ich nie słyszał. W sercu odczuwał ból. Nie umiał sobie wyobrazić ostatnich chwil uwięzionych tam ludzi. Żał mu było kapitana, który podziwiał Ethne, a także mężczyzny, który całą noc leżał w rosie, by słuchać elfiego śpiewu. „Uważaj, o co prosisz”, powiedziała Thorgil.



- I tak się kończy chwała Din Guardi - stwierdził Brutus, wysoki i niezwykle przystojny w świetle księżyca. - Była to siedziba mroku i smutku, ponura w swojej wielkości i skazana na niesławę. Ale w sumie zawsze miło zacząć od początku - dodał, psując cały efekt swojej przemowy.

- Zamierzasz ją odbudować? - spytała Thorgil.

Twierdza zniknęła już do reszty. Tylko skalny jezior wrzynał się w morze.

- W końcu jestem jej władcą. Pani Jeziora i jej nimfy obiecały, że mi pomogą.

- No pewnie - wtrącił Jack.

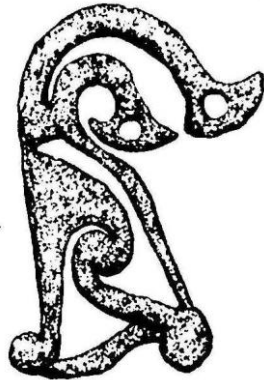
- Położę się na trawie i trochę zdrzemnę. Jest tak ciepło, że na pewno będzie nam wygodnie.

Brutus od razu zasnął, a inni szybko poszli w jego ślady. Był to długi, straszny dzień. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, wszystkich ogarnęło wyczerpanie.

Jack jednak siedział jeszcze przez chwilę, wspominając laskę, którą zabrał z Jotunheimu i zastanawiając się, czy ponosi jakąś odpowiedzialność za śmierć ludzi Yffiego. Księżyc w pełni oświetlał skałę, na której wcześniej stała twierdza Din Guardi. Chłopak zastanawiał się, czy Księżycowy Człowiek patrzył na jej upadek i jakie wrażenie to na nim wywarło.

## Rozdział 48

### Dary Pani Jeziora



Rano Jack obudził się jako ostatni. Ojciec Severus rozmawiał z Brutusem, a Ethne tańczyła na łące u stóp wzgórza, obserwowana przez czającego się w pobliżu Szczurka. Chłopak patrzył na nią przez cały ranek.

- Nie mieści mi się w głowie, że Din Guardi już nie ma - odezwała się Pega, która w zamyśleniu patrzyła na morze. - O świcie zesłam na dół i nie został tam ani jeden kamyk. Widziałam dziurę w skale, ale bałam się podejść bliżej.

- Bardzo rozsądnie - stwierdził Jack.

Ukwiecona łąka sięgała aż do skalnej półki. Wszystko wyglądało tak, jakby od tysiąca lat nic się tu zmieniło. Po Żywopłocie nie został nawet ślad.

Thorgil paradowała na krępych kucu. Obróciła wierzchowca, by pokazać im jego srokatą maść.

- Ładny, prawda? Gnomy wyprowadziły zwierzęta domowe, zanim Pan Lasu zajął twierdzę.

Bugabu i Nemezis też złapali kuce. Uczepili się ich grzbietów niczym rzepy, a koniki wierzgały gwałtownie, próbując zrzucić hobgoblina.

- N-n-nie r-r-rozumiem o c-co t-tyle k-krzyku z tą j-jazą k-konną - poskarżył się Nemezis, kurczowo trzymając się zwierzęcia długimi, lepkimi palcami rąk i nóg. - T-to ż-żadna zabawa!

- Lepiej go wypuść, zanim zdechnie ze strachu - poradził Jack.

- Z-z chęcią! - Nemezis jak żaba zeskoczył z kuca, który, cały mokry od potu, pognął w przeciwnym kierunku. W tej samej chwili swojego wierzchowca wypuścił Bugabu.

- Przykro mi, najdroższa - przeprosił Bugabu. - Chciałem ci zaimponować. Chyba nie nadaję się na rycerza.

- W porządku. - Pega się uśmiechnęła. - Jesteś królem, a to coś więcej.

- Nie mogę się doczekać, kiedy pójdziemy do Świętego Filiana - odezwał się Jack.

- Ja też! Tęsknię za bratem Aidenem.

Bugabu chciał coś powiedzieć, gdy Brutus zawołał ich do siebie. Kuc Thorgil, najwyraźniej przekonany, że to jego nowa pani, poszedł za nią pod górę i przystanął, skubiąc trawę.

- Idziemy do Świętego Filiana? - spytał Jack.

- Najpierw do Bebba's Town - odparł ojciec Severus.

- Spierałem się z nim - powiedział Brutus. - Zdaje się, że nie wystarczy być władcą Din Guardi. Wiem, że z budowli niewiele zostało...

- Zupełnie nic - wtrąciła Thorgil.

- ...ale sam tytuł powinien coś znaczyć.

- Musisz zrozumieć. Bebba's Town od bardzo dawna jest rządzone przez łajdaków. Mieszkańcy nikomu nie ufają. Musisz zdobyć ich poparcie, zanim spróbujesz przejąć kontrolę nad klasztorem. - Ojciec Severus zmarszczył brwi, a Ethne tanecznym krokiem przeszła w drugi koniec łąki, pilnie śledzona przez Szczurka. - Przede wszystkim, musisz wyglądać jak człowiek, który może ich obronić. Wiem, że jesteś przystojny. Pobojowiska pełne są kości przystojniaków. Ale mieszczanie oczekują, że będziesz surowym, prawdziwym wojownikiem, jak twój przodek Lancelot. Nie zaszkodzi też, jeśli będziesz sprawiał wrażenie człowieka drażliwego, takiego, który zetnie głowę pierwszemu, kto go zdenerwuje.

- Nigdy bym tego nie zrobił!

- Nie powiedziałem, że masz to robić. Musisz tylko wyglądać, jakbyś był do tego zdolny. Właśnie tak Yffi utrzymał władzę. Wszyscy przywódcy tak robią.

- Wolałbym władać tą łąką, pełną stokrotek - odparł z uśmiechem Brutus.

- Słuchaj, głupku! - Ojciec Severus wydawał się teraz zarówno surowy, jak i drażliwy. Jack doszedł do wniosku, że zakonnik lepiej nadawałby się na przywódcę niż Brutus, tyle że nie miał takich możliwości. - Masz obowiązki wobec tych ludzi. Wyrządzono im wielką niesprawiedliwość, grabiono i zabijano niewinnych. Musisz przejąć kontrolę nad sytuacją. Mam plan... ale zanim do tego dojdę, czy mógłbyś zejść na tę łąkę, mój dobry Nemezisie? Powiedz Szczurkowi, że oddam go gnomom, jeśli nie zostawi Ethne w spokoju.

- Z chęcią - powiedział Nemezis.

Gdy ojciec Severus przedstawił swój plan, Brutus poszedł poszukać Pani Jeziora. Poszedł sam, bo (jak stwierdził) Pani gardzi wszystkimi śmiertelnikami (oprócz niego, ma się rozumieć). Nie było go bardzo długo.

Jack zastanawiał się z rozpaczą, czy w ogóle dotrą do Bebbas Town. Był strasznie głodny, a łąka miała niewiele do zaoferowania. Bugabu i Nemezis znaleźli rzepę, ale zdaniem chłopaka surową rzepę z trudem można było zaliczyć do rzeczy jadalnych. Gdy jednak Brutus wrócił, zobaczyli, co zajęło mu tyle czasu. Pani Jeziora przekazała im wspaniałe dary.

Jack dostał białą tunikę i niebieski płaszcz, haftowany w srebrne księżycy i gwiazdy - uznał, że to bardzo pasuje do barda. Thorgil otrzymała granatową tunikę i zielony płaszcz z wzorkiem w kształcie winorośli na rąbku. Wyglądała... no cóż, pięknie, pomyślał Jack, wspominając pocałunek pod Din Guardi. Zawstydzony, odwrócił wzrok.

Ojciec Severus nosił teraz czarny mnisi habit. Do tego Pani Jeziora przekazała mu kij pasterski, którego czubek wyrzeźbiono na kształt rozwijającego się liścia paproci.

- Wspaniały! - wykrzyknął zakonnik, wymachując kijem. - Nawet lepszy niż pastorały, które widziałem w Rzymie. A mają je najznamienitsi biskupi... Wielkie Nieba, właśnie popełniłem grzech pychy!

Ethne promieniała w nowej białej sukni, wyszywanej diamentami. Szczurek ubrany był jak prawdziwy giermek, co trochę poprawiło jego nieprzyjemną powierzchowność.

- Nad jeziorem leży sterta mieczy, pasów i proporców - oznajmił Brutus. - Możemy je zabrać po drodze.

Ale dla Pegi i hobgoblinów nie było niczego.

- Nie mogę w tym iść! - wykrzyknęła dziewczyna, wskazując swoje wytarte ubranie.

- Widocznie Pani o tobie zapomniała - powiedział Brutus.

- Wcale nie zapomniała! - oburzył się Jack. - Po prostu się mści. Pewnie Partholis powiedziała jej o świecy.

- Nie płacz, najdroższa. Znacznie milej będzie poczekać tutaj - powiedział Bugabu. - Hobgobliny i tak nie mogą wejść do miasta. Ziemiści rzucają w nas kamieniami.

Pega otarła łzy.

- To ziemiści, nie? O, jak ja ich nie cierpię! I Pani Jeziora też!

- Nałowię pstrągów, a Nemezis rozpali ogień. Kiedy będzie bezpiecznie, pójdziemy do Świętego Filiana i odwiedzimy tego twojego brata Aideny.

- Jesteś dla mnie taki dobry - westchnęła.

- A kto by nie był? - odrzekł król hobgoblinów.

Nietrudno było spędzić konie. Najwyraźniej im ulżyło, że znowu znalazły właścicieli. Jack i Thorgil dosiedli kuców. Jack nigdy wcześniej nie jeździł konno, nie licząc jazdy z ludźmi króla Yffiego, miał jednak pewne doświadczenie z osłami. Rozmiary kuca sprawiały, że zwierzę idealnie nadawało się do nauki. Odwrócił się, by pomachać do Pegi i hobgoblinów. Cała trójka kryła się w trawie i gdyby Jack nie wiedział dokładnie, gdzie ich szukać, na pewno by ich przeoczył.

Grupa ruszyła. Jack i Szczurek trzymali zielone proporce, które łopotały na wietrze. Jack cieszył się z nowego, świetnie wykonanego miecza przy boku. Broń była wystarczająco krótka i lekka, by mógł bez trudu się nią posługiwać. Nikt się nie zdziwił, gdy okazało się, że Ethne znakomicie jeździ konno. Wystarczyło, że poprosiła, a zwierzę spełniało jej życzenia, jakby rozumiało ludzką mowę. Brutus dosiadł czarnego jak smoła ogiera o zgrabnych pęcinach i błyszczących oczach. Tworzyli efektowną parę. Ojciec Severus pojechał przodem, by ich zapowiedzieć. Szczurek włókł się na ociężałej chabecie, której się w dodatku bał.

- Brutus oczaruje wszystkie kobiety, a Ethne mężczyzn - zauważyła Thorgil, wraz z Jackiem zabezpieczająca tyły. - Może powinni wziąć ślub.

- Ethne chce zostać zakonnica - przypomniał Jack.

Thorgil parsknęła śmiechem.

- Równie dobrze mógłbyś prosić motyla, żeby prznosił kamienie. Niewiele wiem o zakonnicach, ale wiem jedno: Ethne się do tego nie nadaje.

- Wolno jej spróbować.

- Ciekawe. Pod pewnymi względami przypomina Frith i Yffiego. O, nie jest okrutna ani złośliwa, jak oni. Tkwi między dwoma światami. Takie istoty często popadają w szaleństwo.

- Ojciec Severus będzie miał na nią oko - powiedział Jack z niepokojem w głosie.

Wjazd do miasta wyglądał najlepiej, jak mogli sobie wyobrazić. Wszyscy zebrali się na rynku, usłyszeli bowiem, że nie ma już Din Guardi. Para pasterzy, szukających zaginionych owiec, widziała upadek twierdzy.

- To był smok! - powiedział jeden z nich rozemocjonowanej cizbie. - Dmuchał iskrami i w ogóle. Straszne dźwięki, po prostu straszne!

- Przez całą noc nie mieliśmy odwagi wystawić nosa! - wykrzyknął drugi. Inaczej nas też by pożarł. Rano nie było już nic. Ani... jednego... kamyka. - Staranność procesu zniszczenia na wszystkich wywarła duże wrażenie.

W tym właśnie momencie ojciec Severus wjechał na swoim rumaku na rynek, krzycząc:

- Z drogi przed nowym panem Din Guardi! - Wszyscy rozpierzchli się, by zrobić miejsce,

unosząc ręce w radosnym geście pozdrowienia. - Wyglądaj groźnie - syknął mnich, więc Brutus uroczo zmarszczył brwi.

- Hu! Jaki przystojny - powiedziała jakaś kobieta.

- A ona? - dodał jeden z mężczyzn.

Ethne skłoniła konia, by lekko unióś kopyta, jakby tańczył. Była to ładna sztuczka, która wywołała wiele okrzyków aprobaty, ale najładniejszą sztuczką była, ma się rozumieć, rozsiewana przez nią poślota.

- Sam powiedz, czy tak wygląda zakonnica - mruknęła Thorgil.

- Patrzcie, oto człowiek, który włada Din Guardi po śmierci podłego uzurpatora Yffiego!

- wykrzyknął ojciec Severus, wznosząc swój pastorał. - Nocą twierdza uległa zniszczeniu. Całe zło zostało usunięte i nadszedł czas na nowy początek.

- Najmocniej przepraszam, panie - odezwał się człowiek, który wyglądał na przywódcę tłumu. - To znaczy, że nie smok zburzył budowlę?

- Tu nie ma smoków - odparł z pogardą mnich. - Na Yffiego spadł gniew Boży.

- Ale Bóg miał jakąś pomoc, prawda? - upierał się tamten. - A przy okazji, jestem burmistrzem.

- Widzisz, burmistrzu Bebba's Town, Bóg wybiera takie narzędzia, jakie Mu odpowiadają. Patrz, oto Brutus! Prawowity spadkobierca swojego ojca Lucjusza z linii Lancelota!

Jack czuł najwyższy podziw dla zdolności zakonnika, który ani razu tak naprawdę nie skłamał. Bóg rzeczywiście wybrał sobie narzędzia zniszczenia: gnomy. Ale obwieszczając władzę Brutusa, mnich wywarł wrażenie, że dokonał tego ten niesłowny, dobrotliwy i leniwy były niewolnik. Obecność oszałamiającej Ethne też w niczym nie przeszkadzała.

- Niech żyje król Brutus, pan Din Guardi! - zakrzyknął burmistrz, a tłum jak echo powtórzył okrzyk.

Ogłoszono dzień świąteczny. Rozpalano ogniska, wytaczano beczki z piwem i łapano nieszczęsne kurczaki, szykując się do uczty. W krótkim czasie rozpakowano konstrukcje, używane podczas jarmarków. Wzniesiono piękny pawilon dla króla Brutusa i dla (jak sądzili mieszczanie) jego przyszłej żony Ethne. Ojciec Severus nie tracił czasu, informując wszystkich dookoła, że to księżniczka.

Huczne świętowanie trwało do późnej nocy. Jack martwił się o Pegę i hobgoblina, ale ojciec Severus stwierdził, że lepiej zostawić ich w spokoju.

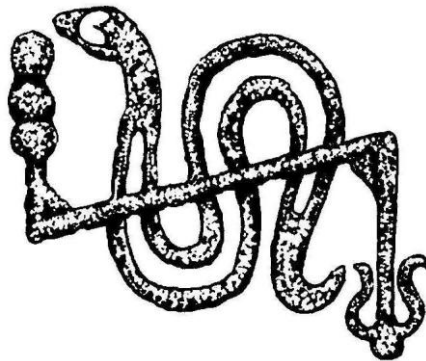
- Bugabu się nią zaopiekuje - powiedział. - Mam nadzieję, że jej serce zbliżyło się do niego, od kiedy ledwie uniknął śmierci. To dobre dziecko i zasługuje na lepszy los, niż czeka

ją tutaj.

Chłopak jednak myślał o lęku, jaki budziły w niej podziemia, pozbawione blasku słońca.

## Rozdział 49

### Powitanie w klasztorze



Rano wyruszyli do Klasztoru Świętego Filiana, pozostawiając Ethne na wypadek kłopotów. Spory tłum mieszczan nalegał, by iść z nimi, a ojcu Severusowi tylko o to chodziło.

- Wierz mi, klasztor to nasz prawdziwy kłopot - powiedział Jackowi, gdy jechali obok siebie. - Ci mnisi są niewiele lepsi od piratów, a jest ich wielu. Nie mogę się doczekać, żeby zrobić z nimi porządek. - Uśmiechnął się złowrogo.

- Ty?

- Brutus chce mnie postawić na czele klasztoru. Brat Aiden to najbardziej wyrozumiały człowiek na świecie. Uratowałby tonącego szczura, choćby ten gryzł go w rękę, a potem by go jeszcze pobłogosławił. Trzódka ojca Sweina potrzebuje innego pasterza.

Jack dostrzegł połąć bieli za sosnowym zagajnikiem i rozpoznał Klasztor Świętego Filiana. Dalej, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył spore jezioro, porośnięte trzcina. Poprzednio Jack ucieszył się na widok pięknych, białych murów i tętniącego życiem klasztoru. Teraz jednak budowla wydawała się dziwnie wymarła.

- Czyżby był jakiś najazd? - spytał.

- Nie z zewnątrz - odparł ojciec Severus.

Starannie wcześniej utrzymany klasztorny teren był teraz zupełnie zaniedbany. Wszędzie rosły chwasty. Przed drzwiami leżała sterta śmieci, a latryny najwyraźniej od dawna nie czyszczono. Dwaj mnisi - albo niewolnicy, z oddali trudno było to stwierdzić - leżeli



beżładnie i chrapali. Obok świnia ryła w ziemi w poszukiwaniu odpadków.

Część zniszczeń spowodowało trzęsienie ziemi. Na niektórych murach widniały długie, pionowe pęknięcia, które jednak powinny już zostać do tej pory naprawione.

- Zupełnie jak w wizji, którą miałem - mruknął Jack.

- Zadmij w trąbkę, Szczurku - nakazał ojciec Severus.

Szczurek nauczył się tej sztuki w Din Guardi, gdzie grał na musztrę. Brak talentu muzycznego nadrabiał zapalem. Dźwięk trąbki wstrząsnął powietrzem, potem jeszcze raz. Mnisi poderwali się z ziemi i wpadli na siebie w panice. Świnia czmychnęła do lasu. Ze środka dobiegły krzyki.

- Wystarczy, Szczurku - powiedział ojciec Severus.

Chłopak uśmiechnął się i otarł ślinę z ustnika.

- Uciekajmy! Uciekajmy! - krzyczały jakieś głosy.

- Nie! Stańmy do walki! Do walki! - odpowiadały im inne.

- To Ludzie Północy! Jesteśmy zgubieni!

- Ludzie Północy już dawno byliby w środku - zauważyła Thorgil.

Niebawem na dziedzińcu pojawili się uzbrojeni w pałki niewolnicy, wypchnięci przez mnichów, kulących się za ich plecami.

- Powiedzcie bratu Aidenowi, że przyjechaliśmy się z nim widzieć! - zawołał ojciec Severus nad głowami niechętnych niewolników. - Przywiedliśmy nowego pana Din Guardi.

- Niech żyje król Brutus! - zakrzyknęli mieszczenie, którzy tłoczyli się z tyłu.

Brutus wyjechał przed nich. Wyglądał jak szlachetny pan. Wyciągnął Anreddena i zamachał nim dziko. Tłum wiwatował.

- Kiedyś zrobi sobie nim krzywdę - mruknęła Thorgil.

- Naprzód! - nakazał ojciec Severus i tłum ruszył do przodu, omijając konie. Mieszczenie byli zachwyceni, że biorą udział w tak pamiętnym wydarzeniu. A gdyby nawet przyłożyli paru mnichom, którzy ich wyzyskiwali - czy ktoś będzie miał pretensje? Wkrótce Klasztor Świętego Filiana został opanowany. Brutus wjechał na dziedziniec, wprost promieniejąc dobrocią. Jack zaczął się rozglądać, aż zobaczył drobnego człowieczka, który wyłonił się z kaplicy.

- Bracie Aidenie! Dzięki Niebiosom, nic ci nie jest! - zawołał chłopak.

Uśmiech rozjaśnił twarz mnicha.

- Jack! Brutus! Tak się cieszę, że was widzę! I... i... to niemożliwe!

- Możliwe, mój przyjacielu - odparł ojciec Severus.

- Porwali cię Ludzie Północy. Zginąłeś!

- Sprzedali mnie w niewolę, ale za dużo by opowiadać - powiedział ojciec Severus. - Kiedy wszystko załatwię, byłbym nadzwyczaj wdzięczny za kufel waszego wrzosowego piwa. A, i przybyłem przejąć klasztor. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu.

- Co wieczór modliłem się o takie błogosławieństwo! - krzyknął brat Aiden w odpowiedzi.

- To dobrze - stwierdził ojciec Severus, spoglądając z niezbyt miłym uśmiechem na mnichów. Niektórzy mieli podbite oczy, a wszyscy wyglądali na bardzo skruszonych. - Najpierw muszę się zająć kilkoma sprawami.

Bard i ojciec przebywali w szpitalu, najwygodniejszym miejscu w całym klasztorze. Bard uzupełnił zbiór ziół, wiszących u powały, i właśnie wyjaśniał ich zastosowanie Gilesowi Kuternodze, gdy do środka weszli Jack i Thorgil.

- Jack... o, mój synu! - wykrzyknął ojciec. Nogę miał w łupkach i podpierał się kulami, ale Jack ucieszył się, widząc go w takim zdrowiu. - Myślałem, że już nigdy nie wrócisz. Kiedy Yffi przykrył studnię... - Mężczyzna wyprostował się, by przyjrzeć się Jackowi. - Przysięgłbym, że urosłeś, choć minęło tylko parę tygodni. I skąd masz to ubranie?

- Dobra robota, Jack! - zawołał serdecznie bard. - Dokonałeś niezwykłych rzeczy! Ach, Thorgil, znowu się spotykamy.

- Smoczy Język? - spytała córka miecza.

- Mówiłem ci, że żyje - powiedział Jack.

- Co to za chłopak? - spytał ojciec. Jack się spieszył. Cały czas zastanawiał się, co powiedzieć o Thorgil. Zdawał sobie sprawę, że nie tylko ojciec, ale i mieszczenie biorą ją za chłopca. To rozwiązywało kwestię sukienek, których nie chciała nosić. Mimo wszystko, była jednak Człowiekiem Północy i czekała ją śmierć, gdyby ktoś się o tym dowiedział. A potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, bo ojciec spytał: - Gdzie Lucy?

Nadeszła chwila, której Jack tak się bał.

- Jest cała i zdrowa... - Głos mu się łamał. - Jest szczęśliwa.

- Nigdy nie była jedną z nas, Gilesie - wtrącił bard. - Wiedziałeś o tym od samego początku. Przypuszczam, że została w Krainie Elfów.

- Nie chciała stamtąd odejść - powiedział Jack nieszczęsnym tonem.

- Nawet dla mnie? Albo dla Aldithy? - wykrzyknął ojciec.

Bard położył mu rękę na ramieniu.

- Elfy myślą inaczej, niż my. Może ci dla nich pęknąć serce, a one będą się tylko śmiać.

Jack czuł się nieswojo, patrząc, jak ojciec płacze. Nie wiedział, co robić. Lucy nigdy nie

kochała ani jego, ani nikogo innego. Pewnie już o nim zupełnie zapomniała.

- A nie chcesz wiedzieć o Hazel? - spytała nagle Thorgil.

Ojciec podniósł wzrok.

- Kim jesteś?

- Jestem Thorgil Córka Ola...

- Tyle informacji wystarczy - przerwał bard. - To ktoś, kogo Jack poznał w podróży. Hazel jest twoją prawdziwą córką, Gilesie. Gdy ostatnio miałem o niej wieści, żyła z rodziną hobgoblinów.

- Hobgoblinów! - Zdjęty smutkiem mężczyzna poderwał się nagle. - Zjedzą ją!

- Bzdura. Hobgobliny mają dobre serce i kochają dzieci. Podejrzewam, że Hazel też nie chciała stamtąd odejść.

Serce zakłuło Jacka jeszcze mocniej.

- Widzisz, nigdy nie poznała nic innego. Myśli, że sama jest hobgoblinem i kocha swoich przybranych rodziców. Porwać ją... to by było okrucieństwo.

- Chociaż był taki plan - powiedziała Thorgil.

- Dobrze, że się nie powiódł - stwierdził bard. - Mamy wiele do omówienia, a Aiden z pewnością zechce wiedzieć, co się wydarzyło. Jack, może zaprosisz go na kolację? A, i mógłbyś zanieść kosz jedzenia dla Pegi i jej przyjaciół. Powiedz, że po zmroku będą tu mile widziani.

Jack natychmiast wyszedł, zastanawiając się, który ptak powiedział starcowi o dziewczynie i hobgoblinach. Wydawało się niesamowite, że bard najwyraźniej wie o wszystkim, co się dzieje. Wyszedłszy przez drzwi, usłyszał jeszcze głos ojca: - Thorgil to dziwne imię, jak dla Sasa.

- Na północy jest bardzo popularne - poinformował go bard.

Gdy zapadł wieczór, mieszczanie wrócili do domów. Byli w świetnym nastroju. Śmiali się i gratulowali sobie nawzajem zwycięstwa nad mnichami.

- Ojciec Severus będzie przez miesiąc trzymał ich o chlebie i wodzie - powiedział jeden z mężczyzn.

- Modlitwa co cztery godziny, a przez resztę czasu praca - piał z zachwytu inny. - Kiedy skończą naprawiać ściany, mogą się wziąć za Din Guardi. Ach, jak dobrze znowu mieć prawdziwego króla!

- Znalazł też sobie ładniutką księżniczkę. - Mężczyźni zachichotali i przez ciemniejące pola podążyli do Bebba's Town.

Jack słuchał ich głosów, leżąc na brzuchu pośród trawy, wraz z hobgoblinami i Pegą.

- Myślisz, że to bezpieczne? - szepnął Bugabu.

- Mam nadzieję. Brat Aiden powiedział, żebyśmy weszli przez bramę cmentarną.

Pełzli naprzód, aż dotarli do otworu w murze, otaczającym cmentarz. W środku było zupełnie pusto. Wokół małych, smętnych krzyży rosły chwasty. Znad łąk nadciągała mgła.

- Tym łatwiej się ukryjemy - mruknął Nemezis.

Podeszli pod tylne drzwi szpitala. Otworzyła im Thorgil.

- Nareszcie - mruknęła. - Smoczy Język nie pozwolił nam jeść, dopóki nie przyjdziecie.

Jack przywykł do dziwnego wyglądu hobgoblinów, ale ojciec omal nie spadł ze stołka na ich widok.

- Demony! D-Demony! Przyszły zaciągnąć nas do Piekła!

- Uspokój się. I ty też, Aidenie - nakazał bard. - Te łagodne stworzenia to hobgobliny, najmiłsza rasa na Ziemi. Witaj, Pego. Zostawiłem ci najlepsze miejsce.

Dziewczyna trzymała się z tyłu, pamiętając o swoim postrzępionym i brudnym ubraniu.

- Wolę zostać z Bugabu i Nemezisem.

- Prawdę mówiąc, wszystkie miejsca są najlepsze, bo niczym się od siebie nie różnią - oznajmił wesoło starzec. - Ty i twoi przyjaciele jesteście honorowymi gośćmi. Podaj posiłek, Szczurku. Może i nosisz strój giermka, ale wszyscy wiemy, że w głębi duszy pozostałeś posługaczem.

Szczurek z kwaśną miną podał tace z potrawką z soczewicy i cydrem.

- Za nowy początek! - zawołał bard, wznosząc swój kubek.

- Za nowy początek! - powtórzyli pozostali. Zaczęli pić i nikt się nie odezwał, dopóki nie skończyli.

- Wyśmienite - powiedział Bugabu po trzeciej dokładce potrawki. - Przydałaby się tylko garstka grzybów dla smaku.

- Jak zwykle demonstrujesz żalosne maniery, krytykując jedzenie - powiedział Nemezis. Jack wiedział, że hobgobliny czują się w pełni odprężone, skoro Nemezis znów zaczął dogryzać królowi.

- Thorgil opowiedziała nam o waszych przygodach, a ja, ma się rozumieć, znałem już niektóre z nich - powiedział bard. - Muszę ci pogratulować, Pego. Triumf nad elfami to coś wielkiego. Kiedy zapaliłaś tę świecę podczas święta przesilenia, wiedziałem, że masz dokonać czegoś ważnego.

- Dziękuję - odrzekła, z zawstydzieniem spuszcżając wzrok.

- A ty, Jack, przełamałaś krąg Nieżycia wokół Din Guardi. Siła życiowa długo próbowała

się tam dostać. Ta twierdza była jak czyrak, który ropieje i rozsiewa chorobę dookoła. Teraz czyrak został wyleczony.

- Straciłem laskę z Jotunheimu - mimowolnie powiedział chłopak.

- Wiem.

Jack pomyślał, że spośród wszystkich obecnych jedynie bard rozumie, jak wielkie to było poświęcenie. Starzec patrzył na niego ze współczuciem i chłopak bał się, że zaraz się rozpłaczę i będzie wstyd.

- Za poświęceniem przychodzą inne moce - powiedział cicho bard. - Mądrzy je znają, ale trzeba czasu, by się ich nauczyć. Już dawno, podczas ceremonii dzikiego ognia, wiedziałem, że ty, Pega i Lucy uruchomiliście ogromną zmianę. Nie przewidziałem natomiast udziału Thorgil. Oddała to, co miała najcenniejszego, gdy podniosła rękę na Pana Nieżycia. I wiele zyskała, choć jeszcze o tym nie wie.

- Ona? - powiedzieli jednocześnie brat Aiden i ojciec.

- Przywykliście do hobgoblinów. Możecie też przywyknąć, że Thorgil to dziewczyna - odrzekł bard.

Jack był pod wrażeniem sposobu, w jaki starzec przedstawiał każde zagadnienie tak, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Ojciec rozmawiał nawet z Bugabu. A brat Aiden przestał się denerwować za każdym razem, gdy spojrzał na hobgoblina. Stary, dobry bard! Z każdego potrafił wydobyć jego najlepsze cechy.

Drzwi, prowadzące do klasztoru, otworzyły się gwałtownie i do środka weszli Brutus (król Brutus, przypomniał sobie Jack) oraz ojciec Severus.

- Uff! To był pracowity dzień! - zawołał nowy władca Din Guardi. - Nawet na chwilę nie mogłem usiąść.

- Jutro będzie gorzej - zapewnił go ojciec Severus. - Szliśmy już do łóżek, kiedy przypomniałem sobie o pewnej niezłałatwionej sprawie. Możecie sobie wybrać łóżka, swoją drogą. Mnisi jeszcze długo będą spali na podłodze. Smoczy Języku - zwrócił się do barda - pora, byś kogoś poznał.

Ojciec Severus odsunął się w bok i do pomieszczenia weszła Ethne. Zdawało się, że blask świec stał się jaśniejszy.

- Oto twoja córka, Smoczy Języku.

Pierwszy raz, odkąd Jack poznał barda, starcowi zupełnie odebrało mowę.

Teraz Jack rozumiał, czemu Ethne wyglądała tak znajomo. Gdy górę brała jej elfia natura, sprawiała wrażenie młodszej wersji Partholis. Kiedy jednak stawała się człowiekiem - a

wtedy podobała się Jackowi znacznie bardziej - miała te same niebieskie oczy, a nawet ten sam uśmiech, co bard. Część swojej dobroci też pewnie odziedziczyła po nim. Niestety, cechę tę przyćmiewał zwykle wpływ Partholis. Lecz teraz jej ludzka strona wzięła górę.

- Zawsze się zastanawiałam, kto jest moim ojcem - powiedziała Ethne. - Pytałam matki, ale ona nie pamiętała.

- Elfy nie pamiętają. - Bard w końcu odzyskał głos. Wciąż jednak wydawał się oszołomiony.

- Wiele słyszałam o Smoczym Języku.

- Zdaje się, że zabrałaś nie tylko magię Partholona - zauważył ojciec Severus.

Bard posłał mu gniewne spojrzenie.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś nie zepsuł tej chwili. Ethne, wierz mi. Nie miałem pojęcia o twoim istnieniu. Żałuję, że nie widziałem cię, kiedy byłem młodszy. Minęło sześćdziesiąt lat od mojej wizyty w Krainie Elfów, a ty wciąż jesteś młoda. Ale tam tak to już jest. - Uśmiechnął się smutno. - Nie mogę ci zaproponować specjalnych wygód, ale serdecznie cię zapraszam.

- Chce zostać zakonnica - oznajmił ojciec Severus.

Bard odwrócił się do niego.

- Tego już za wiele. Istnieje wiele sposobów na wejście do strumienia życia, a ja mogę ją bez trudu nauczać. Nie pozwolę, żeby godzinami pościła i odwracała się plecami do piękna tego świata.

- Ale... ojczy... ja lubię pościć - powiedziała Ethne.

- To dla ciebie coś nowego i tyle. Tak naprawdę musisz zanurzyć się w życie, pozwolić, by płynęło przez ciebie, musisz nauczyć się kochać.

- Uczyłem Ethne przez rok - argumentował ojciec Severus. - Chcę zbudować żeński klasztor i posłać do Canterbury po mniszki. Ethne będzie miała towarzystwo i możliwość kształcenia. Nauczy się spełniać dobre uczynki. Nauczy się pokory. Wykorzenię z niej wszystko, co elfie, i tak oczyszczę jej duszę, że anioły będą walczyły o prawo zanieśienia jej do Nieba.

- Oj, oj, oj, oj - westchnął bard, który teraz wydawał się naprawdę bardzo stary i zmęczony. - Nie masz pojęcia, z czym masz do czynienia. A mnie nie zostało być może dosyć lat, by ją ocalić.

Jack poczuł niepokój. Nie chciał myśleć, że bard kiedykolwiek umrze, nawet jeśli oznaczało to jedynie odrodzenie w jakimś innym miejscu.

- Wielkie Drzewo ma wiele gałęzi, moje dziecko - powiedział łagodnie starzec, ujmując

ręce Ethne. - Chrześcijaństwo to tylko jeden liść.

Uśmiechnęła się do niego niepewnie. Jack wiedział, że nie ma pojęcia, o czym mowa.

- Znalazła się pomiędzy dwoma światami. - Bard podniósł wzrok na ojca Severusa. - Nie wiem, czy zdoła w pełni porzucić któryś z nich.

- Zrobi to z Bożą pomocą - odparł mnich.

- Powiedz, Ethne, naprawdę chcesz zostać zakonnica?

- To taka dobra zabawa - powiedziała z entuzjazmem elfia dama.

- Dobrze, nie będę ci stawał na drodze. Ale posłuchaj, jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy... - Urwał, by pomyśleć. - Przyślę ci kota. Wiem, że zakonnicom wolno trzymać zwierzęta. Dobrze go traktuj i nie zapomnij karmić.

- To jakaś czarodziejska sztuczka? - spytał ojciec Severus.

- Skąd! - Oczy barda aż świeciły niewinnością. - Kupiłem tego kota od iryjskiego kapitana, który zawinął do Bebbas Town. Wabi się Pangur Ban. Jeśli kiedykolwiek poczujesz strach, moja córeczko, opowiedz mu o swoich kłopotach. Rozmowa ze stworzeniem, które nie może... żadną miarą... nigdy... bez cienia wątpliwości... przekazać tych informacji nikomu, bywa bardzo kojąca.

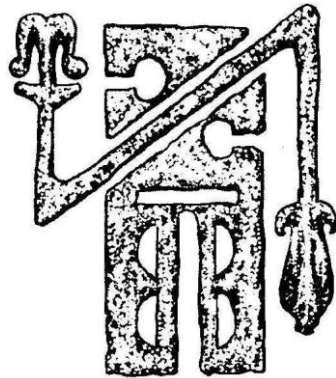
Ethne pochyliła się i pocałowała go w policzek.

- Zapamiętam - powiedziała cicho.

A potem, ponieważ zrobiło się bardzo późno, a wszyscy mieli ciężki dzień, ojciec Severus powiedział, że powinni już iść do łóżek. Zatrudnił nawet kobietę z Bebbas Town do opieki nad Ethne. Był nadzwyczaj dobrze zorganizowanym człowiekiem.

# Rozdział 50

## Do domu



Noga ojca goiła się szybciej, niż ktokolwiek odważył się oczekiwać. Mało tego, jego kalectwo niemal zniknęło.

- Kości zostały źle złożone, kiedy byłeś mały - wyjaśnił mu bard. - Następne złamanie okazało się świetną okazją, żeby to poprawić.

- Skoro tak mówisz. - Giles Kuternoga skrzywił się, opierając ciężar ciała na zrosniętej nodze.

- Lepiej pojedź na ośle. To długa podróż.

Ojciec ze smutkiem popatrzył na Dzwonka i Jack wiedział, że wspomina, jak zwierzę niosło Lucy do Bebba's Town. Dwa kuce, dar nowego pana Din Guardi, niosły barda i zapasy. Jack, Pega, Thorgil i brat Aiden mieli iść pieszo.

- Szkoda, że nie możemy tu zostać. Zawsze chciałem wieść żywot mnicha - powiedział ojciec.

- A moim zdaniem bicie odebrało ci cały rozum, o ile w ogóle go miałeś - odparł bard.

Wszyscy odwrócili się, by popatrzeć na Bebba's Town, które zostawało z tyłu, a także na pustą skałę, na której kiedyś stało Din Guardi. Rano nastąpił czas pożegnań i Jack zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś spotka Brutusa. Król obiecał, że odwiedzi wioskę, ale nie należało wierzyć w żadne jego słowo.

Jack i Thorgil włożyli stare ubrania i spakowali piękne dary od Pani Jeziora. O pół dnia drogi od miasta znajdowała się niewielka, lecz bardzo dobra studnia. Przymocowano do niej



mosiężny kubek na długim łańcuchu. Nikt nie wiedział, kto go tam umieścił. Może sam Lancelot albo król Artur. Kubek służył strudzonym podróżnym, bo woda w studni stała zbyt głęboko, by jej łatwo dosięgnąć. Rozbili biwak w małym, bukowym zagajniku. Późnym popołudniem wśród drzew zmaterializowały się dwie postacie.

Bugabu i Nemezis odziani byli w stroje z pstrokatej wełny i przypominali cętkowane plamy cienia.

- Witajcie! - zawołał do nich bard. - Specjalnie dla was zebraliśmy kurki.

Jack i Thorgil rozłożyli na płachcie tkaniny najróżniejsze przysmaki, które zgromadzili specjalnie na tę pożegnalną ucztę. Pega wyjątkowo nic nie robiła. Siedziała smętnie z boku.

Bugabu natychmiast do niej doskoczył.

- Czy mogę mieć nadzieję? Czy zechcesz mnie uszczęśliwić i spełnić moje największe marzenie? - wykrzyknął, łapiąc ją za rękę.

- O rany - westchnęła Pega, spuszczając oczy.

- Potrzebujesz więcej czasu? - spytał król hobgoblinów. - Mogę poczekać, mnie to nie przeszkadza. No, przeszkadza, ale rozumiem, że mój meszek może się wstydzić.

- Nigdy w życiu nie musiałam jeszcze zrobić czegoś tak trudnego. Byłeś dla mnie bardzo dobry i wiem, że twoi poddani chcą, bym została ich królową. Święci w Niebie! Poświęcili dla mnie swoją nieśmiertelność. - Pega zwiesiła głowę jeszcze niżej i otarła oczy. - Czuję się taka winna.

- Sami podjęli decyzję - odparł Bugabu.

- Zawsze chciałam być piękna. W majowe poranki wychodziłam, by obmyć twarz rosą. Zapłaciłam nawet wieszczce za zaklęcie, ale nic nie działało. Wiedziałam, że to się nigdy nie uda. Ale potem pojawiłeś się ty i mnie polubiłeś...

- Pokochałem, najdroższa - poprawił król.

- Rzecz w tym... - Urwała i popatrzyła na Jacka.

Próbował podsłuchiwać, ale powietrze było zbyt znieruchomiałe. Nikt inny się nie odzywał. Poprzedniego wieczoru ojciec Severus długo ją przekonywał, że to małżeństwo to właściwa decyzja. A on potrafił, jak to ujął brat Aiden, przekonać wilka, by porzucił jagnię. Sam widok ojca Severusa wystarczył, by wredni mnisi od Świętego Filiana zaczęli rąbać drewno, nosić wodę i sześć razy dziennie na kolanach dziękować Bogu. A jednak zakonnik nie zdołał poruszyć małej i skromnej Pegi.

- Najważniejszym wydarzeniem w moim życiu - ciągnęła - było to, że Jack mnie uwolnił. „Po co to zrobił?”, zastanawiałam się. „Dla pracy”, odpowiedziałam sobie. Po prostu. Żeby wykonywała proste, codzienne czynności, dbała o innych, stanowiła część społeczności. Bard

powiedział mi kiedyś, że mój duch łąknie rodziny i ciepła. A ja na to: „Chciałabym zostać tutaj i pracować do końca życia i... być po prostu muchą na ścianie”. - To właściwie wszystko. Nie nadaję się na królową. Naprawdę bardzo mi przykro, że sprawiam ci zawód. Skłamałabym, nie wspominając, że nie chcę też żyć w pełnej grzybów jaskini. Nie proponuj, że przeprowadzisz się tutaj! - dodała, ostrzegawczym gestem przykładając palec do ust. - Masz obowiązki wobec swojego ludu. Prawda jest taka, że twoje miejsce jest tam, a moje tutaj. Przykro mi.

Oczy Bugabu zamrugały szybko i nierytmicznie. Jack nie wiedział, czy hobgobliny potrafią płakać, ale teraz zapewne nie było do tego daleko.

- Będę cię odwiedzał każdego lata - powiedział ochryłym głosem. - Będę pytał, czy zmieniłaś zdanie. I będę przyprowadzał ze sobą Hazel.

- Byłoby bardzo miło - odparła.

Król hobgoblinów podniósł się i uklonił pozostałym.

- Bardzo uprzejmie z waszej strony, że przynieśliście kurki - stwierdził tym samym ochryłym głosem - ale nie jestem głodny. - Był zbyt przejęty, by powiedzieć coś więcej, więc pospiesznie oddalił się z polany.

Nemezis popędził za nim, przystając tylko na chwilę, by pochylić się nad Pegą i szepnąć:

- Dziękuję.

Usiedli pod drzewami, wspominając swoje przygody i opowiadając sobie nawzajem różne historie. Gdy zapadła noc, Jack rozpalił ognisko, a brat Aiden wyciągnął butelkę specjalnego, wrzosowego piwa. Thorgil deklamowała ponure poematy. Bard nakłonił rodzinę sów, by pohukiwały ponuro w tle recytacji. Potem Pega zaśpiewała i nawet drzewa przestały szumieć, by posłuchać.

Jack pragnął, by ta chwila trwała wiecznie, ale czas stał w miejscu tylko w Krainie Srebrnych Jabłek. Zresztą była to raczej klątwa niż błogosławieństwo. Wystarczyło, że znalazł się w strumieniu życia, przebywał wśród przyjaciół i dobrze się bawił. Wyciągnął się na trawie, patrząc na gwiazdy, rozsiane między listowiem.

# Aneks

## RELIGIA

Na Wyspach Brytyjskich osiedlały się liczne grupy ludzi, które przywoziły ze sobą swoich bogów i boginie. Z biegiem czasu te dawne bóstwa zostały zapomniane albo trafiły do bajek. Za przykład może tu posłużyć święta Brygida, początkowo bogini natchnienia i poezji. Granica między dawnymi a nowymi wierzeniami często się zacierała. Święty Patryk posłużył się zaklęciem, by zmienić swoich zwolenników w jelenie i uciec przed nieprzyjaciółmi. Święty Kolumban, który bez wątpienia zaczął życie jako druid, przekonał potwora z Loch Ness, by ten przestał pożerać ludzi. Kruki, zbesztane przez świętego Kutberta za dewastację dachu, przeprosiły, przynosząc świętemu kostkę smalcu do smarowania butów.

Ci dawni misjonarze wprost uwielbiali podróże! Wędrowali z wioski do wioski, biwakowali na świeżym powietrzu, dostawali darmowe jedzenie i unikali stałej pracy. Kochali samotność, wyszukiwali więc odludne wysepki, na których budowali swoje chatki. Świętego Kutberta trzeba było siłą wyciągać z jego samotni, by został biskupem Lindisfarne, co zresztą bardzo go zdenerwowało.

Między piątym a jedenastym stuleciem na północy Europy mieszały się ze sobą najróżniejsze kultury. Obok siebie żyli czciciele Odyna, druidzi, wieszczki, chrześcijanie i wyznawcy religii, o których niemal nic nie wiadomo. Nie wiemy, komu lub czemu oddawali cześć Piktowie. Zostały po nich tylko piękne rzeźbienia: półksiężyc przecięty złamaną strzałą czy bestia o podkurczonych nogach z pyskiem delfina. Dałam im jako bogów Pana Lasu (zwanego też Zielonym Człowiekiem), Księżycowego Człowieka i Dzikiego Łowcę. Ale tak naprawdę nie wiemy, komu oddawali cześć. Nie wiadomo też, skąd wzięły się takie istoty, jak błędne ogniki, hobgobliny, Pani Jeziora, syreny czy gnomy. Myślę, że to dawne bóstwa, które wraz z elfami przetrwały od zarania czasów historycznych.

Co do elfów - przekonanie, że to na wpół upadłe anioły, można odnaleźć we wczesnych źródłach chrześcijańskich. Słynny pisarz J. R. R. Tolkien z pewnością wiedział o tej idei, ale postanowił z niej nie korzystać.

## STUDNIA ŚWIĘTEGO FILIANA

Imię świętego Filiana bywa też zapisywane „Fillian” lub „Fillan”. W Szkocji istniała Studnia Świętego Filiana, do której z wysokiej skały zrzucano ludzi dotkniętych szaleństwem. Można to uznać za wczesną formę terapii szokowej. W XVIII wieku pewien duchowny kazał zasypać studnię, by powstrzymać ten proceder. W 2005 roku firma budowlana Genesis Properties chciała usunąć wielki głaz w pobliżu Studni Świętego Filiana, by zrobić miejsce pod budowę domów. Okoliczni mieszkańcy nie pozwolili tknąć głazu, twierdząc, że pod spodem żyją elfy. Firma się wycofała.

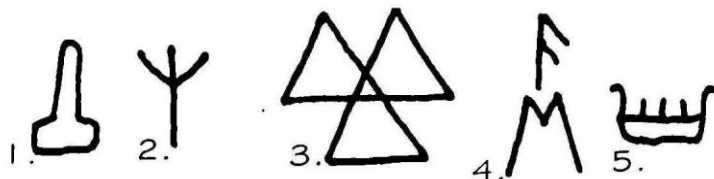
## DIN GUARDI

Twierdza Din Guardi stoi w pobliżu miasta Bamburgh (Bebba's Town), oddzielona wodą od Lindisfarne (Świętej Wyspy). Jest bardzo stara - być może jej początki sięgają epoki neolitu - i kilkakrotnie była burzona i odbudowywana. Dziś nazywa się ją Zamkiem Bamburgh. Podobno właśnie tutaj mieścił się pałac Lancelota, Joyous Garde.

Odkopano tam wiele interesujących rzeczy, ale największą fascynację wzbudził miecz. Była to zapewne najdoskonalsza broń swojej epoki. Nawet dziś naukowcy nie są pewni, w jaki sposób ją wykuto. Nie istnieje nic podobnego. Archeolog, który odkrył miecz, schował go u siebie w domu na czterdzieści lat, zapewne po to, by w tajemnicy cieszyć się jego posiadaniem. Gdy zmarł, broń trafiła na śmietnik, ale na szczęście studenci naukowca dotarli na miejsce przed śmieciarką.

Oczywiście, mam na myśli Anredde, miecz Pani Jeziora. Tylko ona wie, jak powstał.

## SYMBOLE, WYRYTE PRZEZ TOWARZYSZY THORGIL



Ludzie Północy nie wypracowali dobrego sposobu na zapisywanie swojej historii. Ryli w skałach symbole, z których z biegiem lat wykształcił się alfabet. I tyle tylko możemy stwierdzić na pewno, kiedy trzeba się opierać na przekazach zaczerpniętych z kamieni, a nie z rękopisów. Większość opowieści zamykano w poematach i zapamiętywano.

Znaki takiego wrytego w skałę alfabetu nazywano „runami”. Niektóre z nich przypisane były poszczególnym bogom i przywoływały ich moce. Dwie lub więcej run można było ze

sobą połączyć, tworząc talizman, zwany *galdrastafir*.

Dla Thorgil i Heinricha wyryto następujące symbole:

1. Młot Thora (*mjóllnir*)
2. Runa ochronna; także symbol Yggdrasila (*algir*)

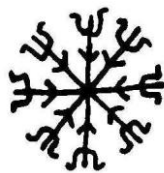
Powyższe oznaczają Thorgil.

Pośrodku (3) znajdowały się „węzły śmierci” (*valknut*), zwane też „pętami umysłu”. Odyn rzucał je na wojowników, których chciał wezwać do siebie. Dalej widniały:

4. Runa Odyna (*oss*) nad runą konia (*ior*); razem symbolizują wierzchowca Odyna, Sleipnira.

5. Duchowy statek

Oznaczają one Heinricha.



Kiedy *algir* (2), runa ochronna, zostanie powtórzona w powyższym talizmanie, ten staje się wielokrotnie silniejszy. Właśnie ona wyryta jest na amulecie, który Thorgil nosi na szyi.

## SYMBOLE PIKTYJSKIE

Symbole piktyjskie widnieją na wielu kamieniach w Szkocji, a także na nielicznych w południowej Francji. Są tak charakterystyczne i złożone, że bez wątplenia miały istotne znaczenie. Niestety, nie przetrwały niemal żadne informacje o kulturze Piktów. Ich język zanikł, a historię spowijają legendy. Także ich bogowie pozostają tajemnicą.

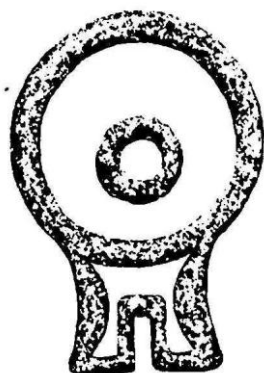
Ich sztuka przetrwała jednak w Ewangeliarzu z Lindisfarne, w Księdze z Kells i licznych innych dziełach. Bez wątplenia byli wybitnymi artystami. Zwierzęta rysowali szczegółowo i z dużym znanstwem. Dlatego zaskakuje fakt, że Piktyjskiej Bestii nie sposób rozpoznać (to zwierzę ze zwiniętym ogonem i warkoczem na głowie). Uznawano ją za delfina, za konia, a

nawet za słonia. To częsty symbol i istnieją różne opowieści na jego temat. Jedna (która pojawia się w książce) głosi, że bestia ma po narodzinach rozmiary ogórka i bardzo szybko rośnie.

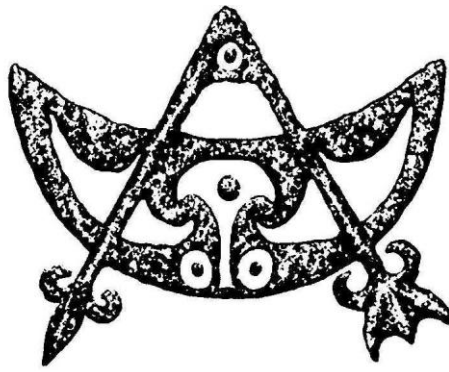
Złamana strzała to częsty motyw u Piktów, zwłaszcza złamana strzała przecinająca półksiężyc. Zinterpretowano to jako symbol śmierci mężczyzny, podczas gdy śmierć kobiety symbolizują grzebień i lusterko. W książce brat Aiden ma na piersiach tatuaż w kształcie złamanej strzały i półksiężyca, co wskazuje, że został przeznaczony na ofiarę. Te półksiężycy i strzały są często oplecione pnączami. Wykorzystałam je w powieści jako znaki trzech najważniejszych piktyjskich bogów: Księżycowego Człowieka, Pana Lasu (inaczej Zielonego Człowieka) i Dzikiego Łowcy. To wyłącznie mój pomysł - nikt nie wie, jakie bóstwa czcili Piktowie - ale te trzy istoty pojawiają się w prastarych przekazach na terenach całej północnej Europy.

Co nadzwyczaj ciekawe, charakterystyczny grzebień (który wygląda niemal jak brama ogrodowa) i lusterko pojawiają się przy wyobrażeniach syren. Nie sądzę, by chodziło o przypadek. Bardzo możliwe, że syrena była piktyjską boginią morza, a te symbole odnoszą się właśnie do niej.

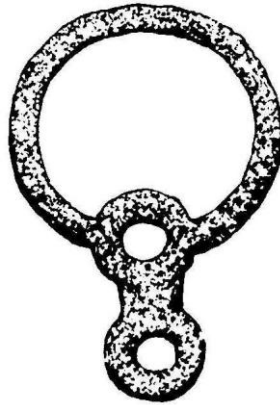
Znaczenie wszystkich symboli można tylko odgadywać, ale oto kilka możliwości, zaczerpniętych z książki „The Pictish Guide” Elizabeth Sutherland, wydanej w Edynburgu w Szkocji w 1997 roku.



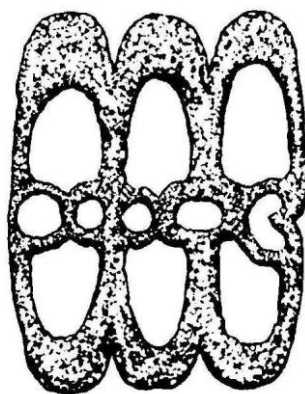
*Tarcza słoneczna trzymana przez człowieka.*



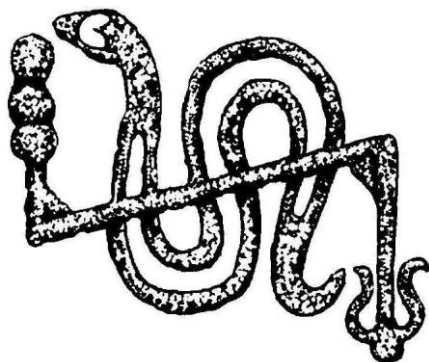
*Złamana strzala, przecinająca półksiężyc, symbolizuje śmierć mężczyzny.*



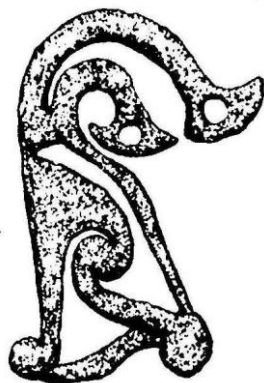
*Grzebień i lusterko oznaczają śmierć kobiety.*



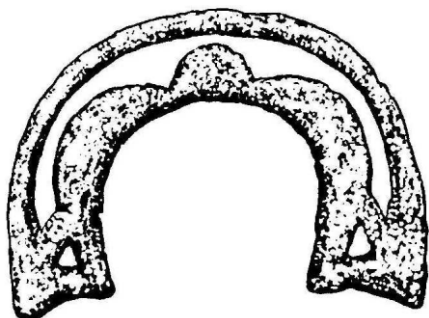
*Trzy owale, połączone łańcuszkiem, to może być bransoletka.*



*Wąż przecięty złamaną strzałą (zwaną też kijem Z) może symbolizować odrodzenie i nieśmiertelność.*

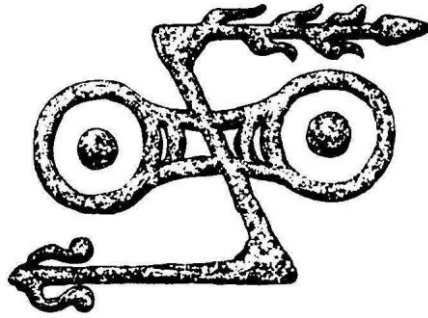


*Zakrzywiony, przypominający kwiat wzór może być właśnie kwiatem albo końską uprzężą.*

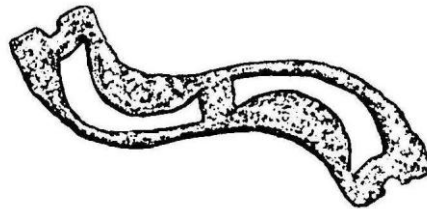


*Łuk może oznaczać tęczę, którą uważano za most do zaświatów. Czasami pojawia się ze złamaną strzałą.*

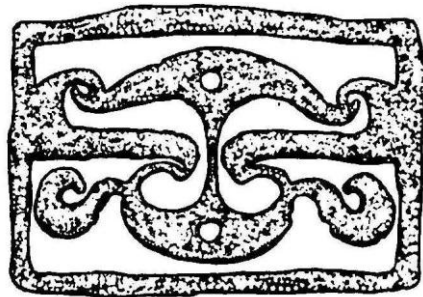




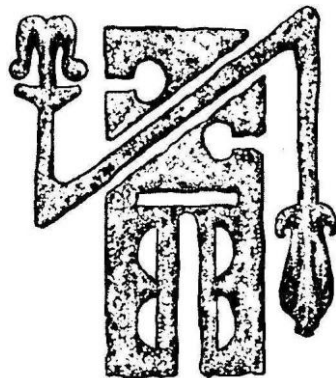
*Podwójny dysk, przecięty złamaną strzałą (albo kijem Z) ma symbolizować dwoistą naturę słońca, które za dnia oświetla Ziemię, a nocą - zaświaty.*



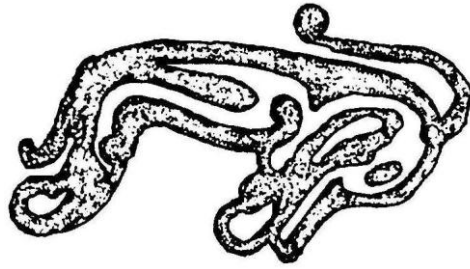
*Ten wygięty kształt to zapewne tylko dekoracja.*



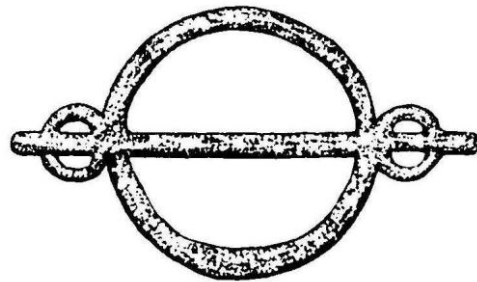
*Prostokąt może być pojemnikiem na kosztowności.*



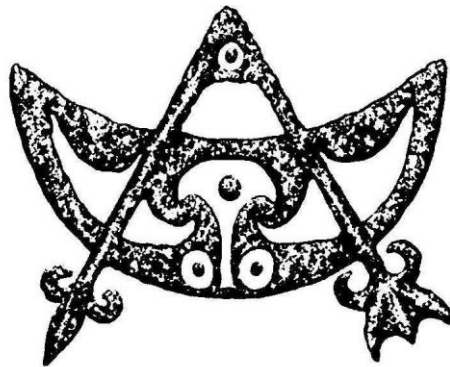
*Nacięty prostokąt ze złamaną strzałą (kijem Z) może oznaczać rydwan lub twierdzę.*



*Nasz stary znajomy - Piktyjska Bestia.*



*Okrag przecięty linią z dwoma mniejszymi okręgami po bokach to być może kocioł. Kocioł symbolizuje odrodzenie.*



*Jeszcze jeden półksiężyc przecięty złamaną strzałą.*

## **PODZIĘKOWANIA**

Wielkie dzięki dla mojego męża, Harolda, który dzielił ze mną przygody w elfim tunelu.

Dziękuję Richardowi Jacksonowi za zachętę i pomoc, a także doktorowi Williamowi Ratliffowi za udostępnienie mi biblioteki uniwersyteckiej w Stanford.

Chcę też podziękować członkom naszej grupy pisarskiej: Margaret Kahn, Antoinette May, Jamesowi Spencerowi i Robowi Swigartowi. Nie ma to jak grupa zawodowych autorów, gdy wpadniesz do jamy pukacza i trzeba cię wyciągnąć.